

Geza Gardonyi  
Gwiazdy Egeru

„Gwiazdy Egeru” są pierwszą powieścią Gezy Gardonyiego, jaką bierze do ręki polski czytelnik. Opowiada ona o wyjątkowo burzliwym i skomplikowanym fragmencie historii Węgier, trudno zrozumiałym dla kogoś, kto dziejów tego narodu się nie uczył. Należy się więc czytelnikowi przedstawienie osoby autora oraz scharakteryzowanie epoki historycznej, w której Gardonyi umieścił akcję swej powieści.

„Byłem marynarzem, który przez 35 lat musiał żeglować bez kompasu” — to wyznanie Gardonyiego trafnie charakteryzuje dzieje jego trudnego, niespełna sześćdziesięcioletniego życia. By je dobrze przedstawić, nie można nie ulec konwencji — trzeba zacząć od dat.

Autor „Gwiazd Egeru” urodził się w r. 1863, w czternaście lat po upadku tak pełnych nadziei walk o wolność Węgier w czasie Wiosny Ludów, a na cztery lata przed utworzeniem monarchii austro-węgierskiej. Zmarł w r. 1922, po dwudziestu pięciu latach życia w swej samotni w Egerze, do której uciekł przed nie rozumiejącym go społeczeństwem. Na grobowcu Gardonyiego widnieją słowa: „Tylko ciało jego...” na dowód, że duch pisarza żyć będzie zawsze w pamięci rodaków; z tymi samymi rodakami jednak za życia „pustelnik z Egeru” nie mógł znaleźć wspólnego języka.

Był synem ubogiego mechanika, który z dumą nosił w sercu wspomnienie służby żołnierskiej w stopniu porucznika u Kossutha i swym siedmiorgu dzieciom zaszczepiał umiłowanie wolności. W rodzinie Gardonyiego nie przelewało się i chłopiec nie tylko nie mógł zapisać się na wyższe studia, ale nawet nie ukończył gimnazjum. Jako dziewiętnastoletni młodzieniec miał za sobą seminarium nauczycielskie, zwane uniwersytetem dla ubogich, i rozpoczął pracę nauczyciela. Nie mógł jednak, widocznie, żyć bez pisania, bo po kilku latach rozpoczął karierę dziennikarza, tak typową dla wielu współczesnych mu pisarzy węgierskich, choć tak wiele zawierająca cierni. Dziennikarstwo leżało u źródła pisarskich prób Mora Jókai, od redagowania czasopism zaczynał Kalman Mikszath, w tej samej

dziedzinie startowali rówieśnicy Gardonyiego — Istvan Tomorkeny, Gyula Reviczky, Sandor Brody i Zoltan Thury.

Dziesięć lat pracy dziennikarskiej nie poprawiło sytuacji materialnej Gardonyiego. By wyżyć, pisywał anonimowo brukowe opowiadania, dostosowane do gustów niewybrednej publiczności. W r. 1890 przeniósł się do Budapesztu w nadziei, że tam zdoła się wybić w życiu literackim. Lecz stolica zawiodła nadzieje pisarza. Krytyka pomijała milczeniem jego utwory, nie przyniosła mu rozgłosu wydana w r. 1894 powieść pt. „Latarnia” (A lampas) o smutnych losach nauczyciela ludowego ani wiersz pt. „Sprawiedliwość na ziemi” (Igazság a földön) (1896), zawierający ostrą krytykę społeczeństwa, choć o treści zaczerpniętej z legendy religijnej. W tej sytuacji Gardonyi poszedł na kompromis, którego nieraz się później wstydził — w ciągu czterech lat wydał bardzo przeciętny cykl powieściowy pt. „Księgi Gabóra Gore” (Gore Gabor-könyvek), napisany w formie płytkiej burleski przedstawiającej komiczne postacie chłopskie. Jak na ironię losu właśnie ten cykl przyniósł Gardonyiemu sławę wśród czytelników i uznanie wydawców.

W r. 1897 pisarz przeniósł się do Egeru, którego nie opuszczał niemal do końca życia. Miasto to w szczególnie mocny sposób związane jest z jego osobą — najpierw młodzieńcze studia w seminarium, potem 25 lat życia na odludziu, wreszcie Eger XVI-wieczny jako arena jego najlepszej powieści — „Gwiazdy Egeru”. By zrozumieć ucieczkę pisarza do egerskiej samotni, trzeba poznać jego poglądy filozoficzno-społeczne. W młodości zetknął się równocześnie z dziełami Schopenhauera oraz książką Ludwika Buchnera „Kraft und Stoff”. Obaj filozofowie, choć tak od siebie różni, wywarli na Gardonyiego duży wpływ. Potem pisarz zaczął studiować dzieła niemieckich biologów, doszedł aż do Darwina, o którym napisał, że „oddziaływał na mnie jak wiosenny promień słońca topiącego lody”. Pod wpływem tych lektur oraz namiętnych studiów historycznych wyszły spod jego pióra utwory realistyczne, jak „Moja wieś” (Az on falum) (1898), zbiór nowel o charakterze autobiograficznym, dramat „Wino” (A bor) (1901) i „Gwiazdy Egeru”. Pesymistyczna filozofia Schopenhauera zapuściła jednak silne korzenie w umyśle pisarza. Nie znajdując w Budapeszcie towarzyszy broni, z którymi mógłby walczyć o swe szlachetne idee, złamany nieudanym małżeństwem i tragiczną miłością, nie ciesząc się sukcesem „Książ Gabora Gore”, rzucił stolicę

i jak borsuk zaszył się w egerskiej kryjówce. Ale samotność jeszcze pogłębiła kryzys — powieści historyczne napisane w Egerze: „Niewidzialny człowiek” (A lathatatlan ember) (1902), książka sięgająca do starożytności, oraz „Niewolnicy Boga” (Isten rabjai) (1908), powieść obrazująca dzieje Węgier XIII wieku, ustępują „Gwiazdom Egeru” tak poziomem artystycznym, jak i potęgą myśli. „Gwiazdy Egeru”, bezsprzecznie największe dzieło Gezy Gardonyiego, ukazały się po raz pierwszy w odcinkach w dzienniku „Magazyn Powieści” (1899—1900), następnie doczekały się wielu wydań książkowych.

Na język polski przełożono sporo opowiadań i parę fragmentów powieści Gardonyiego (między innymi fragment „Gwiazd Egeru”), drukowano je jednak przeważnie w czasopismach stosunkowo mało znanych szerszemu ogółowi czytelników (wydawanych przez polskich uchodźców w czasie II wojny światowej na Węgrzech). Można więc powiedzieć, że imię tego wielkiego realisty węgierskiego, autora powieści historycznych i pięknych nowel o życiu węgierskiej wsi, było dotychczas w Polsce prawie nieznanne.

Epoka historyczna, w której rozgrywa się akcja „Gwiazd Egeru”, była przedmiotem zainteresowań wielu pisarzy węgierskich. Bo też nadawała się doskonale na tworzywo pisarskiej pracy — dzieje Węgier w XVI wieku obfitowały w wartko następujące po sobie wydarzenia, przynoszące krajowi spustoszenie i zniszczenie, a narodowi śmierć i niewolę; barwne szeregiem bohaterskich walk przeciwko najazdom tureckim i niemieckim, udramatyzowane bratobójczymi wojnami, mordami politycznymi, przekupstwem i prywatą, urozmaicone galerią postaci to wspaniałych, to nikczemnych, pociągały wyobraźnię niejednego pisarza. Większość ich, a między innymi Gardonyi, poświęciło swe pióro zobrazowaniu przede wszystkim wielkiego męstwa, przywiązania narodu do wolności, ofiarnych walk sławnych „rycerzy kresowych” o niepodległość. Gardonyi jednak, wierny prawdzie historycznej, w oparciu o mozolnie studiowane źródła, nie pominął milczeniem także smutniejszych kart owego okresu.

Autor „Gwiazd Egeru” z dokładnością historyka podaje daty trwania akcji swej książki: 1533—1552. Był to okres największego chaosu i nieładu na Węgrzech — okres równoczesnego panowania dwóch królów, wielkiej roli ambitnych magnatów, ciągłych zmian granic

poszczególnych części kraju oraz bezustannych wypraw tureckich i niemieckich na Węgry. Bezpośrednim czynnikiem, który wpłynął na ukształtowanie się oblicza epoki, były najazdy tureckie i dlatego trzeba sięgnąć trochę wstecz — do momentu pierwszego poważnego zagrożenia Węgier przez Turcję.

Za panowania Karola Roberta i Lajosa Nagya (Ludwika Wielkiego) z dynastii andegaweńskiej (XIV wiek) na Węgrzech nastąpiło wzmocnienie władzy centralnej oraz wewnętrzna konsolidacja państwa. Dziełem tych panujących zachwiała potęga turecka, kiedy to pod wpływem klęski wyprawy krzyżowej, dowodzonej przez króla węgierskiego Zsigmonda, na Węgrzech zaczęła dochodzić do głosu wielka magnateria. Dążąc do osłabienia władzy królewskiej, zapoczątkowała proces anarchii feudalnej, która w XVI wieku obok czynników zewnętrznych stanie się jednym z głównych powodów utraty niepodległości. Wzrost potęgi magnaterii musiał mieć podstawy ekonomiczne — równolegle wzrastał więc ucisk chłopstwa. Niezadowolone chłopów, podsycane radykalnymi ideami husyckimi, przenikającymi z Czech, prowadziło oczywiście do buntów antyfeudalnych, co z kolei osłabiało siłę państwa.

W drugiej połowie XV wieku wielką próbę przywrócenia potęgi Węgier podjęli regent Janos Hunyadi oraz jego syn król Matyas (Maciej Korwin). Obaj zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa tureckiego, a Janos Hunyadi chciał nawet doprowadzić do usunięcia Turków z Półwyspu Bałkańskiego.

Po śmierci Matyasa wielcy panowie feudalni znowu doszli do głosu i proces zubożenia chłopów coraz bardziej się pogłębiał. W r. 1514 wybuchło wielkie powstanie ludowe pod dowództwem Gyorgya Dózsy; bunt został krwawo stłumiony, a Dózsa spalony na ognistym tronie. Sejm, który zebrał się po upadku powstania, zamiast zastanowić się nad zabezpieczeniem kraju przed Turkami, podjął nowe uchwały dotyczące chłopów, które opracował palatyn Istvan Verboczy. Między innymi wprowadzono wówczas zasadę przywiązania chłopca do ziemi.

Po upadku powstania Dózsy sytuacja w kraju stała się bardzo ciężka — przede wszystkim nie było siły zbrojnej, zdolnej do jego obrony. W tym stanie rzeczy wojska Solimana II bez oporu weszły na południowe tereny Węgier i w r. 1526 w bitwie pod Mohaczem zadały druzgoczącą klęskę armii węgierskiej. W bitwie tej poległ także król

Węgier i Czech, Lajos II (Ludwik Jagiellończyk). Klęska pod Mohaczem zamknęła pierwszy wielki okres w historii Węgier — okres istnienia niepodległego państwa. Od r. 1526 Węgry dostały się w orbitę wpływów dwóch rywalizujących ze sobą potęg: Turcji, która na przeszło 150 lat podbiła środkową i południową część kraju, oraz Habsburgów, których panowanie (najpierw w zachodniej części, a potem na całych Węgrzech) trwało prawie 400 lat, aż do I wojny światowej.

Po bitwie pod Mohaczem Turcy spustoszyli kraj, ale na razie wycofali się poza jego granice. Natomiast sejm węgierski rozpadł się na dwa stronnictwa: jedno z nich wybrało królem brata cesarza Karola V — Ferdynanda Habsburga, drugie zaś wojewodę siedmiogrodzkiego Janosa Zapolyę (po węgiersku — Zapolyai, w „Gwiazdach Egeru” — Szapolyai). Ferdynand opanował zachodnią część Węgier, natomiast tereny na wschód od Dunaju pozostawały pod wpływem Zapolyi. Był to jeden z najbogatszych magnatów węgierskich, właściciel olbrzymich posiadłości, a wśród jego klientów (familiaris) oraz stronników znajdowało się wielu bohaterów „Gwiazd Egeru” — np. Balint Torok, Peter Perenyi. Gyorgy Martinuzzi (Frater Gyorgy) i Verboczy. Zresztą poszczególni dowódcy oddziałów wojskowych i politycy w okresie tym bardzo często przechodzili z jednego stronnictwa do drugiego lub też działali na własną rękę. Było to jedną z charakterystycznych cech epoki i dlatego w większości wypadków trudno sprecyzować oblicze polityczne poszczególnych postaci. Oba obozy zajmowały nieprzejeźdzenie wrogie stanowiska, czego odbicie znajdzie czytelnik w wielu momentach akcji „Gwiazd Egeru”. Na przykład w r. 1527 ten sam biskup ukoronował Ferdynanda tą samą koroną, co w roku poprzednim Zapolyę, a Torok i Perenyi przeszli do obozu Habsburgów.

Obaj królowie zapomnieli o niebezpieczeństwie tureckim, Zapolya próbował zabezpieczyć się przed nim sojuszem z Francją, przede wszystkim jednak, tak jak i Ferdynand, myślał tylko o zdobyciu władzy nad całymi Węgrami. Pierwsze starcia zbrojne przyniosły zwycięstwo Ferdynandowi, wobec czego Zapolya uciekł do Polski, osiadł w Tarnowie i korzystając z pośrednictwa wojewody sieradzkiego Hieronima Łaskiego zaczął zabiegać o poparcie Solimana.

W r. 1529 sułtan podjął wyprawę przeciwko Ferdynandowi i pod Mohaczem, w miejscu pamiętnej klęski węgierskiej, przyjął hołd Zapolyi. W zamian za uznanie zwierzchnictwa Turcji Zapolya otrzymał wschodnią część Węgier.

Lata trzydzieste upływały na ciągłych walkach turecko-niemieckich oraz pustoszeniu Węgier przez wojska obu obcych mocarstw. Poszczególni feudałowie prowadzili swą własną politykę, Balint Torok, Elek Thurzó i Andros Bathory należeli do najślawniejszych pogromców Turków, a Martinuzzi, István Brodarics i Verboczy byli wierni Zapolyi. Przez dwanaście lat kraj stał w ogniu wojny domowej, czego obraz znajdzie czytelnik w pierwszej części „Gwiazd Egeru”.

W r. 1538 Zapolya i Ferdynand zawarli pokój w Varad. Był on głównie dziełem Martinuzziego, postaci bardzo ciekawej i często przewijającej się przez karty powieści Gardonyiego, warto więc krótko przedstawić dzieje jego życia.

Frater Gyorgy urodził się jako syn Chorwata o nazwisku Utjesenoyic i Włoszki z domu Martinuzzi. Od młodości związał swe losy z Zapolyą służąc mu najpierw jako giermek, a potem najbliższy doradca. W wieku dwudziestu kilku lat wstąpił do zakonu paulinów, stąd znany był w dziejach Węgier głównie jako frater Gyorgy, i stosunkowo szybko doszedł do godności biskupa w Varad. W służbie Zapolyi zdobył olbrzymie wpływy polityczne, które starał się wykorzystać dla zjednoczenia kraju, w miarę możliwości pod berłem swego pana. W r. 1538 doprowadził do zawarcia pokoju, na mocy którego po śmierci bezdzietnego Zapolyi całe Węgry miały przypaść Ferdynandowi, w zamian za co ten zobowiązał się bronić kraju przed Turkami. Pokój ten jednak nie został dotrzymany przez żadną ze stron, a przede wszystkim wywołał nowy najazd turecki. Zapolya ożenił się z Izabelą, córką Zygmunta Starego i Bony, i w momencie przyjścia na świat syna Janosa Zsigmonda postanowił nie dotrzymać układu w Varad. Konsekwencje tego nie dały długo na siebie czekać. W r. 1540 wojska Ferdynanda rozpoczęły oblężenie Budy, bronionej przez Martinuzziego, a równocześnie Zapolya na łożu śmierci wyznaczył trzech opiekunów małoletniego syna: Martinuzziego, Petrovicsa i Toroka.

W rok później Soliman pod pozorem zapewnienia małoletniemu królowi opieki zajął Siedmiogród i zbliżył się do Budy, w której znajdowała się Izabela wraz z synem. Izabela wolałaby oprzeć się o

potęgę Habsburgów, uległa jednak wpływom Martinuzziego i Petrovicsa, zajadłych wrogów Niemców. Soliman zwyciężył niemieckie wojska generała Roggendorfa, po czym podstępnie opanował Budę i najmniej uległego z panów węgierskich, Toroka, wywiózł do Jedikuli koło Konstantynopola, gdzie waleczny Węgier zmarł nie doczekawszy wolności. Od tej pory datuje się podział Węgier na trzy części: 1) części zachodnia i północna pozostały pod panowaniem Habsburgów, 2) części środkowa i południowa — wzdłuż Cisy i Dunaju — należały bezpośrednio do Turcji, 3) Siedmiogród oraz wschodnia część Altoldu (Wielka Nizina Węgierska), tzw. Partes, pozostawił sułtan Janosowi Zsigmondowi, ale jako państwo lenne Turcji.

W ten sposób Martinuzzi, który usiłował zjednoczyć kraj pod berłem Zapolyich, stał się sprawcą opanowania większej części kraju przez Turków. Nie porzucił jednak swej myśli i z kolei wybrał orientację habsburską. Po zajęciu Budy przez Turków Węgry znowu stały się areną ciągłych walk. Turcy, chcąc rozszerzyć stan swego posiadania, najechali północne Węgry zajmując szereg twierdz granicznych — Fehervar, Esztergom, Nógrad i Hatvan. W r. 1542 armia Ferdynanda podjęła wyprawę przeciwko wojskom sułtana, ale na skutek nieudolności dowódców oraz słabości wojska kampania zakończyła się klęską. Dużo ofiarniejszą, choć także mało skuteczną walkę przeciwko wschodnim najeźdźcom podjęły węgierskie oddziały wojskowe, rekrutujące się ze szlachty i chłopów zbiegłych przed nawałą turecką.

Tymczasem rządy w Siedmiogrodzie ujął w swe ręce Martinuzzi. Widząc dalsze podboje kraju przez Turków liczył na ciągle obiecywaną pomoc Habsburgów, prosił nawet papieża o oddziaływanie na cesarza i Ferdynanda; ci jednak nie wykazywali zbyt chętności do rozstrzygającej walki z Solimanem. Wreszcie w r. 1551 niemiecka armia najemna pod wodzą hr. Castaldo przybyła do Siedmiogrodu, któremu groził już bezpośredni atak turecki. Pod presją Habsburgów Izabela musiała w imieniu syna zrezygnować z korony i żywić nienawiść do „zdrajcy” Martinuzziego za sprowadzenie wojsk niemieckich, wyjechała wraz z synem do Polski. Cel życia Martinuzziego pozornie został osiągnięty. Siedmiogród złożył przysięgę na wierność Ferdynandowi i w ten sposób prawie cały kraj,

poza środkową częścią turecką, wprowadzie nie pod berłem Zapolyich, ale został zjednoczony.

Frater Gyorgy prowadząc od lat politykę lawirowania między obiema wrogimi potęgami, a w stosunkach wewnętrznych znany z twardej ręki, miał wielu wrogów w kręgach najwyższej magnaterii węgierskiej. Również Castaldo, czując się niepewnie na obcym siedmiogrodzkim gruncie, niechętnym okiem patrzył na Martinuziego, który w opinii publicznej w dalszym ciągu uchodził za zwolennika Turcji.

Na zemstę sułtana za oddanie Siedmiogrodu Ferdynandowi nie trzeba było długo czekać. Armia Castaldo, licząca siedem tysięcy żołnierzy, nie przedstawiała żadnej siły wobec potęgi tureckiej; stawiał więc jej czoło sam Martinuzzi na czele wojsk węgierskich. Zdawał sobie jednak sprawę, że lawina turecka prędzej czy później złamie każdy opór. Chcąc więc wykorzystać sprzyjającą na razie sytuację i uzyskać korzystny pokój, wdał się w tajne rokowania z dowódcami tureckimi. W ten sposób sam mimowolnie zastawił pułapkę na swe życie. W r. 1551 Castaldo, bojąc się zamachu na własne życie, polecił zamordować Martinuziego; jeden z morderców odciął Martinuzziemu uszy i zawiózł je Ferdynandowi. Protest papieża przeciwko zamordowaniu swego kardynała okazał się bezskuteczny, gdyż dwór wiedeński przy pomocy różnych nieuczciwych wybiegów przekonał Stolicę Apostolską, iż Martinuzzi dopuścił się zdrady chrześcijaństwa.

Wraz ze śmiercią Martinuziego zabrakło w kraju autorytatywnego przywódcy, który by w taki czy inny sposób próbował bronić interesów Węgier. Castaldo zagrabiwszy skarby zamordowanego wycofał się ze swą armią z Siedmiogrodu, a wojska Solimana rozpoczęły nową kampanię w północnej części kraju. W r. 1552 padło po kolei szereg twierdz: między innymi Dregely, bohatersko broniona przez Gyorgya Szondi, Temesvar i Szolnok. Twierdza w Egerze stanowiła ostatnią poważną przeszkodę na drodze wojsk tureckich, które chciały opanować Siedmiogród. Na czele załogi zamkowej stał Istvan Dobo, znany od lat pogromca Turków, który przy pomocy Gergelya Bornemisszy i Istvana Mekkseyego potrafił tak pokierować obroną obleżonej ze wszystkich stron twierdzy, że po przeszło sześciotygodniowym oblężeniu przeważające siły tureckie musiały zrezygnować z dalszej walki. Gardonyi pisząc o braku pomocy ze



strony Ferdynanda nie odbiegł od prawdy historycznej. Bohaterstwo oraz głęboki patriotyzm załogi Egeru, wśród której nie brakło także walczących kobiet, obroniły olbrzymią wschodnią część Węgier przed zaborem, tureckim. Na tym wszakże nie skończyły się walki przeciwko Turkom; współczesna poezja węgierska utrwaliła wiele bohaterskich postaci „rycerzy kresowych”, a wśród nich jednego z największych — Miklósa Zrinyiego, obrońcę Szigetvaru w r. 1566.

Po powrocie Izabeli wraz z Janosem Zsigmondem do kraju (r. 1556) zaczęła wzrastać rola polityczna Siedmiogrodu. Zależność od dworu habsburskiego stawała się coraz bardziej formalna, a w Siedmiogrodzie rodziły się wszelkie próby odzyskania niepodległości całych Węgier. Pierwszą z nich podjął książę Siedmiogrodu i późniejszy król Polski Stefan Batory (po węgiersku — Istvan Bathory), który na drodze dyplomatycznej chciał uniezależnić Węgry tak od Habsburgów, jak i od Turcji. Wiek XVII przyniósł wiele wojen przeciwko Turcji i powstań antyhabsburskich. Turcy wycofali się z Węgier dopiero w r. 1699, natomiast panowanie Habsburgów — mimo wielu powstań węgierskich — przetrwało jeszcze do I wojny światowej.

Położenie ludności węgierskiej w obu zaborach było bardzo ciężkie. Może zabór turecki przybrał ostrzejsze formy, gdyż na wzór organizacji państwa Solimana również na terenach podbitych wprowadzano zasady militarne despotyzmu. Chłopi wyznania niemuzułmańskiego pozbawieni byli wszelkich praw i obciążeni szeregiem najróżniejszych usług. Na porządku dziennym było uprowadzanie niewolników na wschód. „Turcy zabierają wszystko pod pretekstem ściągania podatków. Nawet dzieci” — notuje Gardonyi na początku czwartej części powieści.

Ferdynand także postanowił całkowicie zlikwidować odrębność polityczną zachodniej części Węgier, jednakże dla pozoru stworzył centralne instytucje węgierskie (Zgromadzenie Krajowe, Rada Namiestnicza itp.). Rola tych organów jednak ograniczała się właściwie do wykonywania poleceń dworu wiedeńskiego. Położenie chłopstwa w całym kraju stawało się coraz cięższe — w drugiej połowie XVI wieku rozpoczęło się przechodzenie na gospodarkę folwarczną, co wprawdzie oznaczało postęp gospodarczy, lecz zwiększało ciężary chłopstwa. Sytuację ludności pogarszał jeszcze ucisk ze strony obcych wojsk najemnych, które podbity kraj uważały

za doskonały teren do grabieży i morderstw. W tym świetle zrozumiały jest duży udział chłopów w oddziałach wojskowych walczących przeciwko zaborcom, głównie Turkom. W „Gwiazdach Egeru” reprezentuje ich Gergely Bornemissza, syn ubogiego rzemieślnika.

Nie wszystkie wątki „Gwiazd Egeru” są sensu stricte historyczne. Właśnie one nadają książce rangę literatury pięknej.

ANDRZEJ SIEROSZEWSKI

Część pierwsza

## KOLEBKA BOHATERÓW

1

W potoczku kąpało się dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. Może to i nie bardzo wypada, ale oni o tym nie wiedzą; chłopiec ma siedem lat, dziewczynka jest o dwa lata młodsza.

Biegając po lesie natrafili na potoczek, a idąc dalej brzegiem znaleźli się w dolince, gdzie wezbrana woda tworzyła jakby jezioro. Słońce przygrzewało mocno, nie mogli się więc oprzeć pokusie.

Z początku dzieci zanurzyły tylko stopy, potem śmielej weszły do wody aż po kolana. Gergely zmoczył płócienne porcięta, zrzucił je zatem. Później zdjął koszulę: w końcu oboje rozebrani do naga pluskali się w strumyku.

Lasem mało kto chodzi. Nikt więc dzieci nie zobaczy, a na pewno oberwałyby od rodziców, gdyby je przyłapano na zakazanej kąpieli. Mniejsza o chłopca, to nie pańskie dziecko, ale dziewczynka jest córką możnego pana, Petera Ceceyego — to jaśnie panienka i wymknęła się z domu niepostrzeżenie.

Choć nagusieńka, widać po niej pańskie pochodzenie. Płeć ma białą jak mleko, a krótkie złote warkoczyki turkoczą, gdy radośnie skacze i dokazuje w wodzie.

— Gergely — śmieje się do chłopca — ja chcę pływać. Szczupły, śniady chłopaczek staje do niej plecami, a dziewczynka obejmuje go za szyję. Gergely rusza ku brzegowi, mała zaś „pływa” po tafli wody wierzgając nóżkami.

Dobrnawszy do brzegu chłopczyk rozgląda się niespokojnie.

— Oj, a gdzie Siwek?

Czepiając się wikliny jednym susem wyskakuje na brzeg, biega między drzewami, bystrym okiem szuka śladów końskich kopyt na ziemi.

— Wunia, zaczekaj tu! — woła do dziewczynki. — Zaraz wrócę!

I nago, jak stoi, klusem biegnie w stronę gościńca. Za kilka minut wraca na grzbiecie starego Siwka. Na łbie konia zwisa kantarek ze splecionych postronków. Przed kąpielą Gergely spętał Siwka, ale węzeł się rozluźnił. Teraz w milczeniu smaga konia witką. Jest jakiś wylekniiony i blady; coraz to spogląda za siebie. Dojechawszy do miejsca kąpieli, zsuwa się z grzbietu konia, obejmując go za szyję.

— Schowajmy się! — szepcze dzwoniąc zębami. — Schowajmy się! Turek idzie!

Szybkim ruchem przywiązuje konia do pnia najbliższego drzewa, porywa z ziemi swoje ubranie i sukienkę dziewczynki i oboje uciekają za krzak głogu, gdzie przytuleni do siebie kryją się w kępach wrzosu.

Na węgierskich gościńcach spotkanie z Turkami nie należało wówczas do rzadkości. Jeśli sądzisz, drogi czytelniku, że owe dzieci latem tego roku kąpały się w potoczku, to jesteś w błędzie. Gdzie ten dzień i gdzie te dzieci? Gdzie ów jednooki Turek i gdzie bohaterowie, których dzieje, smutki i radości poznasz w miarę czytania tej książki! Od dawien dawna obrócili się już w proch.

Odlóż więc, kochany czytelniku, kalendarz tegoroczny i myślami przenieś się do roku 1533. Jest właśnie maj, a ty żyjesz pod panowaniem króla Janosa, Ferdynanda I lub tureckiego sułtana.

Wioska rodzinna dzieci leży gdzieś w jednej z wielu kotlinek Mecseka. Ze trzydzieści lepianek i jeden murowany dom — oto i cała wieś. Okienka chatek to płótno nasyczone olejem, podobnie zresztą jak okna dworku szlacheckiego. Poza tym niczym się nie różnią od dzisiejszych chałup ze słomianymi strzechami. Leśna gęstwina odgradza wioskę od reszty świata, toteż mieszkańcom wydaje się, że nie trafi tu żaden Turek. Bo i jak? Droga jest stroma, a kolein na niej nie widać. Nawet wieża kościelna nie zdradza bliskości ludzkiego osiedla. W małej, ukrytej wiosce ludzie żyją i umierają na podobieństwo robaków leśnych.

Ojciec Gergelya był ongiś kowalem w Pecs, ale już zmarł. Wdowa przeniosła się do Keresztesfalvy, razem ze swoim ojcem, siwym jak gołąb starcem, który niegdyś walczył w chłopskim powstaniu Dózsy. Właśnie dzięki temu znalazł schronienie we wsi dziedzicznej Ceceyego.

Staruszek chadzał lasami do Pecs na żebry. Właściwie jałmużna była jedynym środkiem utrzymania rodziny, nawet w czasie srogich mrozów. Czasami, rzadko kiedy, kapnęło im coś niecoś z pańskiego stołu.

Owego dnia starzec także powrócił z miasta i rzekł do wnuka:

— Popaś trochę Siwka, na pewno wygłodniał od rana. I napój go w potoku.

Gergely wybrał się z koniem na skraj lasu. Kiedy mijał dworek, mała Ewa wymknęła się za furtkę:

— Poczekaj, Gergely! Ja też pójdę z tobą!

Gergely nie śmiał odmówić jaśnie panience. Zsiadł z konia, by jak zwykle spełnić życzenie małej Ewy. A dziś Ewunia chciała koniecznie gonić motyle, motyle zaś znikwały w głębi lasu, więc dzieci gnały za nimi. Przy potoczku Gergely puścił konia na trawę. I tak doszło do kąpieli, a potem do ucieczki za krzew głogu — i teraz oto drżąc ze strachu przycupnięci kryją się przed Turkiem.

A strach wcale nie jest bezpodstawny. Po chwili słyhać trzask suchych gałęzi i między drzewami ukazuje się biała kapuza janczarska, ozdobiona strusim piórem, i kasztanowaty łeb bachmata.

Turek wodzi okiem w prawo i lewo, wzrok jego zatrzymuje się na Siwku. Swojego kasztana trzyma za kantar.

Jest to człowiek o kościstej, śniadej twarzy. Na ramieniu zarzuconą ma opończę orzechowej barwy, na głowie kapuzę. Jedno oko zakrywa biała opaska, drugie zaś badawczo ocenia Siwka, przywiązanego do drzewa. Kręci nosem, widać, że koń nie przypadł mu do gustu, niemniej odwiązuje go.

Wolałby zastać tu tego, który przed chwilą siedział na koniu: dzieci są bardziej poszukiwanym towarem niż konie. Na stambulskim targu niewolników płacą za dzieci trzykrotnie drożej. Ale chłopca ani śladu. Turek zagłada za grube pnie drzew, raz i drugi zadziera głowę, przeszukując wzrokiem gęste listowie, wreszcie woła po węgiersku:

— Gdzie się podziałeś, chłopcze? Nie bój się, przecież cię nie zjem! Chodź no tu, dam ci daktyli, spróbuj, jakie słodkie!

Chłopak siedzi w ukryciu z zapartym oddechem.

— No co? Boisz się? Czego? Włos ci z głowy nie spadnie! No, prędko, bo jak się rozgniewam, to ci konia zabiorę.

I już wprowadza w czyn pogroźkę: chwyta w garść uzdy obu koni i rusza między drzewa.

Poblądłe dzieci w milczeniu słuchają słów Turka. Kusząca obietnica smakowitych daktyli nie rozprasza strachu — zbyt często słyszały w domu złorzeczenia w rodzaju: „A niech cię Turek porwie”, i historie o okrucieństwach Turków, aby dać się zwieść słodkim obiecankom. Jednakże na groźbę uprowadzenia Siwka Gergely poruszył się. Z wyrazem niewymownej rozpaczyny spogląda na małą Ewę, jakby błagając o radę.

Siwka mu zabierają. Co powie dziadek, jeśli on powróci do domu bez konia?

Mała Ewa nie odpowiada na milczące pytanie. Siedzi skulona przy chłopcu, a w dużych szarych oczach lśnią łzy przerażenia.

Tymczasem Siwek oddala się coraz bardziej. Gergely nasłuchuje: słyszy tak dobrze znany odgłos ciężkiego stąpania. Suchy chrust trzeszczy miarowo pod kopytami Siwka. Więc Turek naprawdę go zabiera! Nie żartował!

— Siwek... — szepcze Gergely z wykrzywionymi do płaczu ustami. Jego Siwek idzie potulnie z obcym człowiekiem! Oj ty głupie stworzenie, oj głupie!...

Nagle Gergely zapomina o strachu: zrywa się na równe nogi i nagusieńki pędzi za koniem.

— Panie! — woła trwożliwie. — Panie Turku! Jednooki przystaje i uśmiecha się od ucha do ucha. Ach, jaki z niego brzydal! Szczerzy zęby, jakby chciał człowieka ugryźć.

— Panie Turku, to nasz Siwek — szepce płacząco — przecież to nasz Siwek... — i przystaje o dwadzieścia kroków od Turka.

— Ano, skoro tak, to go sobie zabieraj — odpowiada jednooki — masz, trzymaj — i mówiąc to wypuszcza uzdę Siwka z ręki.

Cała uwaga chłopca skupia się na koniu i kiedy ten ociężałe zbliża się ku niemu, Gergely doskakuje go jednym susem i chwytą za uzdę.

Ale w tej chwili i on sam zostaje schwytyany. Długie silne palce Turka obejmują wątle, nagie ramię i jednym zamachem podrzucają malca na grzbiet bachmata.

Gergely wrzasnął wniebogłosy.

— Milcz! — syknął Turek wyciągając jatagan.

Gergely, jakby nie słyszał jednookiego, krzyczy:

— Ewunia! Ewunia!

Turek także odwraca głowę: drugie nagusieńkie dziecko wyłania się z chaszczy. Turek szybko chowa jatagan i uśmiecha się dobrotliwie.

— Chodź no, chodź śmiało — mówi — nie bój się. — I prowadząc oba konie rusza ku dziewczynce.

Gergely usiłuje zeskoczyć z bachmata, ale dłoń Turka spada mu na ramię. Chłopak poddaje się przemocy, tylko cichutko popłakuje. Jednooki wypuściwszy z ręki wodze biegnie za dziewczynką.

Biedactwo, stara się uciekać, ale cóż, nóżki krótkie, a trawy wysokie. Potyka się i za chwilę już rozpaczliwie wierzga i wrzeszczy w żelaznych rękach Turka.

— Spokój! — warczy Turek. — Spokój, bo jak nie przestaniesz się drzeć, to cię zjem. Ham-Ham!

Dziewczynka milknie, tylko serduszko jej trzepoce jak u schwytanego w garść wróbla.

W najbardziej groźnej i beznadziejnej sytuacji instynkt życia bierze jednak górę, tak więc, gdy Turek wsadza ją na konia, z piersi małej wyrywa się krzyk: zdaje jej się, że ojciec w dalekiej wsi usłyszy słabe wołanie:

— Tatko! Tatuniu!

Gergely wtóruje jej do płaczu i ocierając oczy dłońmi łka:

— Do domu! Ja chcę do domu!

— Milcz, parszywy bękarcie — wrzeszczy Turek — bo ci kiszki wypruję! — i groźnie potrząsa pięścią.

Dziewczynka zastyga w przerażeniu, chłopak już tylko cicho pochlipuje na grzbiecie bachmata.

Wyjeżdżają z lasu.

Gdy mijają ostatnie drzewa, oczom Gergelya ukazuje się na drodze mieniąca się wszystkimi barwami chmara Turków: konni akindzowie, piesi asabowie, dżamakowie na zwinnych bachmatach posuwają się w kierunku Pecs.

Ostatni z czambułów, do którego się właśnie zbliżają dzieci i jednooki janczar, stanowi eskortę jakichś dziesięciu wozów drabiniastych, zawałonych rzuconymi w pośpiechu rzeczami: w nieładzie leżą szafy, łóżka, pościel, beczki, stołki, skóry dzikich zwierząt i worki ze zbożem. Po obu stronach wozów wloką się ze spuszczoneymi głowami milczący brańcy ze spętanymi nogami, z rękami związanymi z tyłu.

Jednooki był — jak się okazało — panem trzech wozów i siedmiu niewolników. Wśród eskorty Gergely doliczył się trzech zbrojnych w długie włócznie asabów w futrzanych czapach, pięciu janczarów — ci mieli szarawary, czerwone trzewiki, a na głowach białe kapuzy z kościanymi ozdobami tylko, podczas gdy pokryte białym kurzem, wygięte pióro strusie w kapuzie jednookiego janczara sięgało aż do połowy pleców.

Oczekując powrotu jednookiego trzy jego wozy zjechały na skraj gościńca, aby dać wolną drogę wracającej z łupem do domu hordzie.

Janczarzy wybuchami śmiechu powitali dzieci i Siwka.

O czym szwargoczą po turecku? Gergely nic nie rozumie, ale domyśla się, że mówią o nich. To spoglądają na niego, to uśmiechają się do małej Ewy, tylko na konia machają ręką lekceważąco.

Jednooki podrzucił dzieci na spiętrzoną na jednym z wozów pościel, gdzie siedzi już jakaś dziewczyna ze związanymi nogami: branka. Jednooki Turek nakazuje jej, by zaopiekowała się dziećmi. Następnie któryś z janczarów rozwiązuje brudny wór i wyciąga zeń najrozmaitsze części dziecięcego ubrania: spódniczki, bieliznę, kożuszek, serdaczek wyszywany cekinami, kapelusik, czapkę i ciżemki. Turek wybiera dwie koszulki, serdaczek i wrzuca na wóz.

— Ubierz dzieci — nakazuje oschle niewolnicy.

Niewolnica ma jakieś siedemnaście lat i sądząc po wyglądzie jest wieśniaczką. Ubierając dzieci pieści je i całuje z zamglonymi od łez oczyma.

— Jak ci na imię, aniołku?

— Ewunia.

— A tobie, serdeńko?

— Gergely.

— Nie płaczcie, kochani. Będziemy razem. Ja was nie opuszczę.

— Ale ja chcę iść do domu — płacze Gergely.

— I ja chcę do domu — wtóruje mu Ewa — do domu... Dziewczyna obejmuje dzieci i całuje zapłakane twarzyczki...

2

Wiejska psiarnia z wściekłym ujadaniem obskakuje siwobrodego pątnika o długich włosach. Psy poszarpałyby na nim habit, gdyby nie oganiał się kosturem zakończonym rączką wyrzezaną w kształt krzyża.

Z początku szedł środkiem drogi, ale w miarę jak rosła sfora ogromnych kudłatych psów, cofał się w kąt między żywopłot, tworzący jakby literę „L”, i tam wywijając kosturem czekał, aż się ktoś zjawi i wybawi go z obleżenia.

Daremnie. Na głośnie ujadanie co prawda powychodzili z chat ludzie, ale oczy wszystkich były zwrócone na pięcioosobowy konny oddział harcowników węgierskich, zbliżających się galopem w stronę wsi; na czele grupy cwałował płowowłosy młodzieniec w szkarłatnej opończy. Na kołpaku powiewało mu czaple pióro, w poprzek kulbaki leżała strzelba, a spod lekkiego kaftana pobłyskiwała kolczuga.



Dojechawszy do wioski bacznie rozejrzał się w prawo i w lewo, jak gdyby chaty były zjawiskiem godnym podziwu.

Przed bramą dworku Ceceyego jakiś stary chłop, zbrojny w dzidę, siedział drzemiąc na kamieniu, lecz tętent kopyt końskich poderwał go na nogi; spiesznie rozwarł drugie skrzydło bramy. Jeźdźcy z łoskotem wjechali przez most na dziedziniec.

Stary Cecey, przygarbiony jak sędziwy orzeł, siedział w cieniu gumna, gdzie kilku jego poddanych strzygło właśnie owce. W rękę mieli nożyce, u boku szable. Takie to były wtedy czasy na Węgrzech.

Cecey wstał na widok wojaków i ruszył naprzeciw. Dziwny miał chód pan Cecey: jedna noga była sztywna w kolanie, a druga w kostce się nie zginała. Ale jak miały się zginać, skoro obie zrobione były z drzewa. Kawałka prawej ręki także mu brakowało, rękaw płóciennego kaftana zwisał pusty poniżej łokcia. Twarz okolona była aż po oczy przyprószonym siwizną zarostem, białe włosy sięgały do ramion.

Rycerz z czaplim piórem zeskoczył z wierzchowca, wodze rzucił jednemu z chłopów i pośpieszył do pana domu; prezentując się stuknął obcasami:

— Jestem Istvan Dobo.

Był to rosły i szczupły młodzieniec. Usta miał przekorne, wąskie, zacięte, jakby gryzł niewidoczne wędzidło, ruchy świadczyły o niezwyklej energii. Spojrzenie szarych oczu było przenikliwe i bystre. Cecey schował rękę za plecy.

— W czym wojsku służysz? — spytał, a oczy jego ciskały ognie.

— Obecnie służę w szeregach Balinta Tóroka — odrzekł Dobo.

— W takim razie jesteś stronnikiem Ferdynanda. Witam cię, synu.

Mówiąc to wyciągnął rękę ku młodemu rycerzowi. Jednym spojrzeniem oka ocenił rumaka, drugim — szablę przybysza.

— Z których to Dobów...

— Ruskich, waszmość.

— Spokrewnionych z Palóczykami?

— Tak jest.

— Z tego wynika, żeś z północy. Skąd się tu wzięłeś, jakie cię wiatry tu przygnały, synu?

— Przybywamy wprost z Paloty.

— Z zamku Mórego?

— Nie jego to już zamek!

— A czyj?

— W tej chwili niczyj. A na dobrą sprawę to już nawet nie zamek, tylko kupa kamieni.

— Rozwaliliście go? — spytał Cecey z nutą podziwu w głosie.

— Zrównaliśmy go z ziemią.

— Dzięki Najwyższemu! No to wejdź dalej, synu, odpocznij sobie trochę w cieniu. Żono! Gość przyjechał! — zawołał i z nieukrywanym podziwem przypatrywał się młodemu.

— Z ziemią, powiadasz?

Po chwili drobna, pulchna pani domu pilnie krzątała się na ganku wraz ze służebną nakrywając stół w cienistym kącie, drugiej zaś dziewczce nakazała przynieść wino z piwnicy.

— Istvan Dobo — przedstawił Cecey żonie młodzieńca — spokrewniony z Palóczyimi. Każ służbie dać jego żołnierzom jeść i pić.

Dobo wyciągnął z kieszeni czerwoną chustkę i począł ocierać spoconą twarz.

— Zanim zasiądziemy do stołu — powiedział patrząc przenikliwie w oczy Ceceyego — chciałbym spytać waszmościa, czy przypadkiem nie zastałem tu Mórego? Bo jego właśnie szukam.

— More? Tu? U mnie? Bodajbym go tylko na szubienicy ujrzał!

Dobo dalej ocierał sobie twarz i szyję.

— Wobec tego jesteśmy na fałszywym tropie. Czy mogę napić się wody?

— Poczekaj. Zaraz przyniosą wino.

— Kiedym spragniony, piję tylko wodę.

I podniósł do warg pękaty dzban z dziobem.

— Czy waćpan zezwoli odpocząć tu do wieczora? — zapytał, zaspokoiwszy dręczące pragnienie.

— Ha! ha! To dobre! Do wieczora, powiadasz? Żartujesz chyba! Zostaniesz u nas parę dni i basta!

— Dziękuję waszmości, ale to nie karnawał. Przez całą noc nie zmrużyłem oka, a wieczorem musimy ruszyć w dalszą drogę. Ale chętnie zdjąłbym tę koszulę — wskazał na pancerz. — Grzeje jak piec, choć przewiewna, bo z samych dziur uszyta.

Podczas gdy Dobo rozbierał się w izbie, pątnik pojawił się u bramy...

— Ty chyba od gwardiana przybywasz! — przywitał go Cecey.

— Ano — uśmiechnął się pielgrzym — z czego wielmożny pan wnioskuje?

— Wystarczy spojrzeć na twą brodę: aż się bieli od borsuczego sadła.  
— To prawda.  
— Z tego wnioskuje, że szmat drogi masz za sobą.  
— I to zgadłeś, wielmożny panie.  
— Z dalekich stron zaś nikt inny mi nie przysłał wieści, tylko gwardian sajoladzki, mój krewniak, bodaj go piorun spalił!  
— Hej, wielmożny panie, już on przestał być gwardianem, teraz jest króla przyjacielem.  
— Wiem, wiem, bodaj się we wspólnym kotle smażyli! Jak się nazywasz?  
— Imre Varsanyi.  
— Ile masz lat?  
— Trzydzieści.  
— Do rzeczy więc: jakie przyniosłeś wieści?  
Pątnik rozsiadł się na ziemi i jął rozpruwać podszewkę habitu.  
— Piekielny upał w tych stronach — mrucał pogodnie — a do tego Turków jak much.  
— Dzięki gwardianowi i twojemu królowi. Ale gdzie do licha zaszyłeś ten list?  
Wreszcie Varsanyi wy dostał list z czerwoną pieczęcią i podał go Ceceyemu.  
— Każ ugościć tego człowieka i przygotować mu nocleg — zwrócił się Cecey do żony, po czym złamał pieczęć i otworzył list.  
— Tak jest — rzekł rzuciwszy tylko okiem — to pismo gwardiana, literki drobne jakby drukowane. Nie dam rady przeczytać. Posłać po księdza!  
Pątnik wsunął się głębiej w cień orzecha.  
— Przekonasz się, wielmożny panie, że pismo zawiera same pomyslnie wieści — pocieszał pana domu z właściwą mu pogodą ducha — bo gwardian nie kazał mi się śpieszyć. A przecież wiadomo, kiedy wysłał list z dużą pieczęcią, to leć, człowieku, na złamanie karku. Ale na tym piśmie przyłożył małą pieczęć; to nie sprawa kraju. I z cichą radością człowieka, który po trudach dobrnął do celu, pociągnął z postawionego przed nim dzbanka.  
Z kolei pani Cecey zajrzała do listu. Obracała go, badała ze wszystkich stron, dłuższą chwilę poświęciła złamanej pieczęci, po czym zwróciła się do pątnika:  
— A jak się ma wujaszek? Czy zdrowy?

Służebna postawiła właśnie przed pątnikiem chleb i biały ser, ten zaś sięgając po kozik odpowiedział:

— On, mości dobrodziejko, nigdy nie choruje.

Właśnie nadszedł ksiądz, siwobrody, barczysty człowiek z głową jak tur.

Pątnik wstał i chciał ucałować jego rękę. Ksiądz cofnął się o krok.

— Prawowierny jesteś czy też heretyckiej wiary?

— Jestem prawowierny — odpowiedział pątnik.

Wówczas ksiądz wysunął dłoń do pocałunku. Weszli do izby. Ksiądz stanął przy oknie i czytając list napisany po łacinie tłumaczył na węgierski:

— Drogi szwagrze... — głos księdza miał osobliwie głucho brzmiące niczym u brzuchomówcy, połykał przy tym spółgłoski, co jednak nie przeszkadzało wcale wiernym rozumieć go — kochana Julisko, niech Was Bóg Wszechmogący zachowa w dobrym zdrowiu i da Wam żywot spokojny. Doszły mnie wieści, że w Waszych stronach grasują na przemian to More, to Turcy i że tylko chłopci przywiązani do ziemi siedzą na miejscu, a kto ma ręce i nogi, na północ kraju ucieka, a jak słyhać — nawet do Niemca. Jeżeli więc list mój zastanie Was przy życiu i jeśli jesteście jeszcze w Keresztes, moi drodzy, to się ratujcie przed hordami. Rozmawiałem z Najjaśniejszym Panem, ażeby Wam wynagrodził straty...

— Dość! Ani słówka więcej! — wybuchnął Cecey. — Nie trzeba mi łaski psubrata!

— Cicho, cicho, po co tyle krzyku? — uciszała go żona. — Gyórgy jest mądry, Gyórgy dobrze wie, że my od Szapolyaich nie przyjmujemy żadnej łaski. Wysłuchajże, waszmość, pisma do końca.

Ksiądz ściągnął krzaczaste brwi i czytał dalej:

— ...Wprawdzie król nie może wam zwrócić Sasdu, ale chętnie podaruje Wam wieś pod Nagyvarad...

— Przestań, Balint, przestań, bo nie ręczę za siebie — gorączkował się Cecey, czerwony ze złości.

— Teraz już o czym innym pisze — zauważył ksiądz i czytał dalej: — ...albo jeśli taką czujesz w sobie nienawiść do króla...

— Właśnie taką czuję w sobie nienawiść — krzyczał Cecey, uderzając pięścią w stół — nie chcę go spotkać ani tu, ani na tamtym świecie. A jeśli, to tylko z szablą w rękę!

Ksiądz niewzruszony czytał dalej:

— ...to byłbym rad, gdybyście zechcieli zamieszkać w moim skromnym domku w Budzie. Wszak my na dniach przenosimy się do Nagyvarad. Dolną kondygnację zajmuje rymarz, ale górne trzy komnaty czekają na Was, moi drodzy...

Cecey biegnąc po izbie pieniał się ze złości.

— Co to, to nie, gwardianie! Noga Petera Ceceyego nigdy nie postanie w domu kupionym za pieniądze Szapolyaich! Przenigdy!

Ksiądz wzruszył ramionami.

— A skąd ta pewność, że za pieniądze króla kupił ten dom? A może to dziedzictwo po rodzicach?

Cecey, jakby nie słyszał uwagi księdza, wściekły wyszedł z izby, pokuśtykał przez ganek do pałnika, który pożywiał się pod orzechem, i powiedział mu oschle:

— Przekaż wielebnemu ojcu pozdrowienia, a co do listu — szkoda było i fatygi, i papieru: wszystko to na nic.

— To pisma nie będzie?

— Nie.

Cecey odwrócił się i odszedł w stronę gumna. Przechadzał się w słońcu, niekiedy wywijając kijem, jakby opędzał się od niewidocznych psów.

— Ho! ho! Głowę mam jeszcze nie drewnianą!

Chłopi pilniej strzygli owce, a psy przezornie ustępowały mu z drogi. Nawet dworek jakby nieco zsunął się ze skarpy.

Pani domu stała na ganku z księdzem, prowadząc dalej wszczętą rozmowę:

— A choćby, dajmy na to, nie odziedziczył domu, to go przecież zdobył swoją pracą — perswadował właśnie ksiądz. — Dom należy do niego i uczyni z nim, co mu się żywnie podoba. Może go podarować Peterowi i wówczas król nawet nie będzie mieć nic do powiedzenia, bo dom przejdzie w posiadanie Ceceych...

Tu ksiądz przerwał swe wywody, gdyż Dobo zbliżył się do nich. Pani domu przedstawiła go księdzu, po czym rozejrzawszy się po dzieciarni, zawołała:

— Ewa! Ewuniu, gdzie jesteś?

— Bawi się w ogrodzie — odezwała się jedna ze służebnych.

Cecey wrócił i kipiąc jeszcze gniewem rzekł do księdza:!

— Czyżbyś został, księżę, renegatem na starość? Może się dosłużysz chorążostwa u króla Janosa?

— A ty chcesz na starość wyrzec się swojej narodowości! — odburknął ksiądz.

— Katu się zaprzędajesz! — wrzeszczał Cecey.

— A ty Niemcom! — przekrzykiwał go ksiądz.

— Kat!

— Niemiec!

— Hycel!

— Zdrajca!

Dwaj posiwiali starcy stali naprzeciw siebie, z twarzami sinymi ze złości, obrzucając się wzajemnie obelgami. Dobo szykował się już, że za chwilę przyjdzie się ich rozdzielić.

— Na Boga, waszmoście, nie swarzcie się — wtrącił zaniepokojony — czy nie lepiej iść na Turków wspólnymi siłami? Cecey, opuściwszy się na krzesło, machnął ręką.'

— Cóż! Ty tego nie pojmujesz, synu. Szapolyai jemu kazał uciąć język, mnie zaś prawicę. Czy nie jest durniem ten, kto resztą języka broni swojego oprawcy, Szapolyaiego?

— Hej, gdyby tylko moim był wrogiem, przebaczyłbym mu już dawno — westchnął ksiądz już spokojniej. — Ale tak czy owak wolę jego na tronie węgierskim niżeli Niemca.

— A ja powiadam, że Niemiec stokroć lepszy od Turka — wybuchnął Cecey na nowo.

Aby nie dopuścić do powtórnej kłótni starców, Dobo wtrącił się do rozmowy:

— Co tu dużo mówić: jeden wart drugiego, to prawda, ale my, z północnych stron, jesteśmy zdania, że trzeba poczekać i przekonać się, czy Niemcy pójdą na Turków i czy Szapolyai naprawdę chce sprzedać ojczyznę Turkom.

— Ten, synu, już ubił interes — machnął ręką Cecey.

— Nie wątpię — odparł Dobo — Szapolyaiemu chodzi tylko o koronę, a nie o przyjaźń turecką.

Tymczasem na stole pojawił się półmisek smażonych kurcząt. Twarze dwóch przeciwników nabrały łagodniejszego wyrazu.

— Hej, synu, ja w twoim wieku... — kiwał głową Cecey — ...ile właściwie masz lat?

— Trzydzieści jeden — odrzekł Dobo — jeszcze trochę i po młodości.

— Dopóki się nie ożenisz, dopóty zostaniesz młodym. Ale już czas ci, synu, na żeniaczkę.

— Jak dotąd właściwie nie miałem na to czasu — uśmiechnął się Dobo — od dziecka wojuję...

— Tak być powinno. Odkąd świat światem, taki żywot prowadzą Węgrzy. A czy ja, myślisz, w płasach straciłem obie nogi? Ja, synu, zacząłem wojować u boku Kinizsiego \*/.

\*/Pal Kinizsi (zm. w 1494 r.) — wódz węgierski podczas panowania króla Matyasa i Władysława II, sławny z dzielności w walkach z Turkami.

Król Matyas mówił do mnie po imieniu. A wojaczkę skończyłem przy Dózsy, który, powiadam ci, synu, był bohaterem nad bohaterem.

Cecey podniósł napełnioną po brzegi czarę i zwróciwszy się do Dobo, rzekł:

— Niechaj Pan Bóg strzeże Węgrów, a szczególnie ciebie, synu. I niechaj da zwycięstwo twojej szabli, a tobie ładną żonkę. Czy umiesz grać w szachy?

— Niestety, nie, wasza miłość — odparł Dobo, ubawiony przeskokiem myśli szlachcica.

Wychylił czarę napełnioną mocnym, czerwonym winem. „Teraz już rozumiem — pomyślał — skąd się bierze ognisty temperament tych waszmościów”.

— Wobec tego nigdy nie będziesz dobrym wodzem — stwierdził Cecey.

— Gdybyśmy prowadzili wojnę na sposób wschodni, armia przeciwko armii, to może nie. Ale my walczymy według węgierskiej tradycji: człowiek przeciwko człowiekowi. A tego się nie można nauczyć przy szachownicy.

— Jak widzę, umiesz jednak grać.

— Nie umiem, znam tylko zasady gry.

— Zmieniłbyś zdanie, gdybyś się nauczył. W jednogodzinnej grze zawarte są, synu, wszelkie fortele prawdziwej batalii.

— Waszmoście pewnie często grywają razem w szachy?

— Skądże? Na cóż nam szachy? Przecież bez tego wciąż skaczymy sobie do oczu. A znamy się od najmłodszych lat. Razem żeśmy wyrastali, razem walczyli...

— I razem umrzemy — dorzucił ksiądz. Dwaj starzy ludzie przyjaźnie spojrzeli na siebie i trącili się pucharkami.

— Ale chyba zgodzisz się ze mną, Balint, że ten, co z zamku wykurzył Mórego, tego chytrego lisa, dokonał nie lada wyczynu. A kto to był? Ferdynand!

Cecey z zadowoleniem podkręcał wąsa.

— To nie wyłączna zasługa Ferdynanda — sprostował Dobo. — To był wspólny czyn królów. Wojska ich walczyły ramię w ramię. Przebrała się miara. Ostatnio More już nawet grobów nie szanował.

— Ale Ferdynand więcej wojsk rzucił do boju.

— Siły króla Janosa były znaczniejsze. Ferdynand posłał tylko Balinta Tóroka, aby wsparł Janosa, no i pięćdziesięciu górników też posłał.

— Do burzenia murów?

— Właśnie. I garść Turków mieliśmy po naszej stronie.

— Ma się rozumieć, pod króla Janosa sztandarem.

— Tak. Ale diabła warta taka pomoc. Wracając z boju zawsze rabują. Bez łupu ani rusz.

— Psie juchy. To pewno akindżowie.

— Jako rzekłeś, mości dobrodzieju.

— No i łatwo przyszło wam zdobyć zamek?

— Nie powiedziałbym. Mury z litej skały, a machin kruszących żadna ze stron nie sprowadziła. Działkami zaś tam nie da rady...

— Byłem kiedyś w tym zamku — wtrącił ksiądz Balint. — Pamiętam, zamek co się zowie, a nie żadna tam drewniana lichota, ale skapitulować nie chcieli, co?

— Skąd? Górnicy zakasali rękawy i zabrali się do rzeczy. Trzeba przyznać, że spisali się dzielnie. Spod kilofów aż iskry się sypały, a żelazne sztangi zaledwie na palec wbijały się w skałę.

Ale koniec końców tyle par rąk zrobiło swoje: kamień musiał ustąpić.

— Wyszadziliście mur?

— Ale nie bez uprzedzenia! Daliśmy znać Móremu, że szyb napęczniono już prochem. W odpowiedzi zażądał, by dać mu do rana czas do namysłu. Czekaliśmy więc. I pomyślcie tylko, mości panowie, co ten szczywany lis uczynił? Zwołał całą załogę oraz służbę i namawiał ich, aby za wszelką cenę trzymali zamek, podczas gdy on się wymknie i sprowadzi ludzi na odsiecz! — No dobrze — powiedzieli ludzie — a jaką nam dajesz porękę, że powrócisz? — Zostawiam przecież swoje dzieci — odpowiedział ten gałgan — złoto, srebro i dobytek, słowem wszystko, co posiadam! Czego więcej chcecie? — Potem spuścił się po linie. Myśmy go oczywiście nie



sposzregli w ciemności. A kiedy ranek nastał, a tu ani białej chorągwi na wieży, ani posła, ani otwarcia bram — zapaliliśmy lonty. Może i tu słyhać było huk? Bo wybuch aż wstrząsnął górami. Mury runęły, a my hajda do zamku! Nasi chłopcy byli tak wściekli, że w pień wycięli ludzi Mórego.

— A jego dzieci także?

— Nie. Znaleźliśmy je w sklepionej piwnicy. Dwóch ładnych chłopaków. Chowają się na dworze króla Janosa.

— A ty, synu, szukasz teraz Mórego?

— Właśnie, skręciliśmy w tę stronę, bośmy po drodze spotkali polowego, u którego More nocował i jakoby tędy podążał do Peksu. Pani Cecey poruszyła się niespokojnie.

— Magda — zawołała na służebną zajętą na podwórzu — gdzie jest Ewunia?

— Nie widziałam jej — odrzekła dziewczyna. — Po obiedzie bawiła się w ogrodzie.

— Idź, poszukaj jej.

— Ewa to moja ukochana córeczka — wyjaśnił z uśmiechem Cecey.

— Dar boży na stare lata.

— A syna mości państwo nie mają?

Cecey spowaźniał i przecząco potrząsnął głową.

— Hej, mój drogi, gdybym ja syna miał, to jakby mi ręka odrosła, niczym u raka.

Służba na próżno szukała małej Ewy: znikła jak kamfora. Rodzice zajęci ożywioną rozmową i czytaniem listu całkiem o niej zapomnieli. Dziewkom zaś nie Ewa była w głowie. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie miały jakąś pilną robotę właśnie na dziedzińcu. Żołnierze podkręcali wąsy. Dziewki zalotnie kołysały biodrami, jakby wojacy zjechali do dworku Ceceyego na oględziny.

Przeszukano cały dom od strychu do piwnicy.

— Ewa! Ewunia!

Wszystkie krzaki koło domu przetrząśnięto, przeszukano wszystkie ulubione miejsca zabaw. A gdzie się podziała piastunka? Miała przecież pilnować Ewy! A może gdzieś zasnęła starowina? Kto widział Ewunię? Nikt. Kto tędy przechodził po południu? Nikt prócz małego Gergelya; prowadził konia na pastwisko. A gdzie jest mały Gergely? Jego też nie widać. Na pewno wyprowadził konia do lasu.

Oh, bezmyślność dziecięca! Ileż to razy go upominano, aby się nie oddalał poza morwowy zagajnik.

Cał po cał przeszukano las otaczający wioskę.

— Ewunia! Ewunia!

Dobo ze swymi żołnierzami także nie siedział beczynnio. Systematycznie badano całą okolicę: rowy i pagórki, krzaki, drzewa i zarośla. A może sen ją gdzieś zmorzył?

— Ewa! Ewunia!

Zaalarmowana zniknięciem dzieci matka Gergelya także biegnie, szuka syna, biadoląc głośno.

W lesie natknęli się na starą niańkę. Już ochrypła z ciągłego wołania.

Wreszcie pod wieczór rozległ się radosny krzyk jednej z dziewczyn:

— Są!

— No, to dzięki Najwyższemu!

— Tu leży ich ubranie!

Tak! Ale tylko ubranie: bielutka jak śnieg koszulka, karmazynowe cizemki, żółta jedwabna sukienka. W tym więc miejscu kapali się. W piasku nad brzegiem potoczka widać ślady dziecięcych stóp. Większe

— Gergelya, mniejsze zaś — to odbicie stóp Ewuni.

Chyba utopili się w potoczku.

3

— Na imię mi Margit, więc mówcie do mnie „ciociu Margit”, dobrze?

— zaczęła rozmowę z dziećmi siedząca na wozie branka..— Lubicie bajki? Tak. To dobrze, będę wam opowiadać, bo znam dużo bajek, a co jedna, to piękniejsza. A gdzie mieszkają wasi rodzice?

— We wsi — odrzekł Gergely z bezmiernym smutkiem na twarzy.

— Efsi — powtórzyła sepleniąc dziewczynka.

— W której wsi?

— O, w tamtej.

— A jak się nazywa ta wieś?

— Nie wiem.

Margit miała twarz okrągłą, wargi pełne, jakby stworzone do całowania, na nosie trochę piegów. Szyję zdobiły paciorki z błękitnego szkła. Turcy porwali ją z puszy pod Somogy.

Na odpowiedź dzieci potrząsnęła tylko głową. Z leżącej na wozie pościeli oddzierała ukradkiem skrawki płótna i owijała nimi drewnianą łyżkę, usiłując nadać jej kształt lalki.

— To lalka dla ciebie, Ewuniu, popatrz, jak ładnie jej w żółtej chustce i czerwonej sukience. Będziemy ją przebierać, karmić i śpiewać jej kołysanki...

Miarowo toczył się wóz z niewolnikami.

Obok wozu włókł się na bosaka młody wieśniak i równie młody dziobaty Cygan odziany w portki i kurtkę niebieskiego koloru, co zresztą trudno było rozpoznać spod różnobarwnych łąt. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyzierał brudny ustnik piszczałki. Po drugiej stronie wozu sunął duchowny w czarnym habicie i chłop około czterdziestki o szerokiej twarzy, ze zlepioną od kurzu i potu czupryną. Ksiądz był nieco młodszy — smukły, o twarzy pociągłej, bez żadnego zarostu: ni brody, ni wąsów, nawet brwi nie widać. A przy tym twarz czerwona jak burak. Tylko oczy ma czarne, płonące. Przed paroma dniami Turcy oblewali go wrzątkiem, aby im wydał skarby kościelne. Skarby? Skąd skarby w jego kościele?

Nieszczęśni. Wszyscy zostali teraz niewolnikami Turków! Na nogach szękały im łańcuchy. Ręce — u jednych z tyłu, u innych z przodu — także skrepowane. Chłopak skuty z Cyganem. Ksiądz ze starszym chłopem. Chłopak obłożył sobie szmatami pod kajdanami kostki, ale przesiąkły już krwią.

— Przystańmy — odwracał się błagalnie od czasu do czasu — kajdany ranią mi nogi.

Janczarzy jednak nie zwracali nań najmniejszej nawet uwagi. Szwargotali między sobą po turecku i najwyżej gniewne spojrzenia rzucali na natręta.

Gergely jak urzeczony przypatrywał się chłopakowi. Jakże olbrzymie ma ręce! Ile guzów na lejbiku! I nic się nie boi. Chyba Turcy uciekaliby przed nim na łeb, na szyję, gdyby nie był zakuty w kajdany.

Chłopak widać rzeczywiście nie znał uczucia strachu, bo nagle zadarł głowę i wrzasnął na jadącego obok Turka o przygarbionych plecach:

— Bodaj was piekło pochłonęło, bydlę pogańskie!

— Gaspar, Gaspar — uspokajała go dziewczyna z wozu — miej trochę cierpliwości! Słońce już zachodzi: o tej porze zwykle się zatrzymują.

Gdy dzieci spostrzegły, że dziewczyna ociera zamglone od łez oczy, także się rozplakały.

— Ja chcę do domu! — łkał Gergely.

— Do taty! — szlochała Ewa.

Sprawdziły się przewidywania Margit. Turcy niebawem zatrzymali się, pozsiadali z koni i wyciągnęli bukłaki napełnione wodą. Umyli sobie ręce, nogi i twarze, po czym równym rzędem uklękli zwróceniu ku wschodowi, ucałowali ziemię i rozpoczęli modły.

Brańcy przyglądali się im w milczeniu.

Margit zeszła z wozu, z brzegu koszuli urwała skrawek płótna i owinęła nim zakrwawione nogi chłopcu, z czułą troskliwością unosząc kajdany, o ile było można.

— Bóg zapłać — westchnął Gaspar.

— Jak mi się w nocy uda, to urwę parę listków babki i obłożymy nimi rany, prędzej ci się zagoją — pocieszała go, ale twarz jej skrzywiła się przy tym do płaczu i uroniła kilka łez. Gdy dzieci, idąc za przykładem swej opiekunki, także wybuchnęły płaczem, dziewczyna opanowała się i uśmiechnęła się przez łzy.

— Ojoj, jaki mój gospodarz głodny — narzekał siedzący obok nich na ziemi Cygan wskazując na brzuch. — Jak żyję, tak szczerze nie pościłem, nawet w wielkim poście.

Woźnica, młodzik także zakuty w kajdany, mimo woli uśmiechnął się na westchnienie Cygana.

— I ja niesyty — powiedział rzucając na Turków nienawistne spojrzenie — ale to nic. Na wieczерę nagotuję im takiego paprykarzu, że odechce im się jeść: a za to my się najemy do syta.

— Patrzcie, to ty jesteś tu kucharzem?

— Tylko wieczorami. W dzień obchodzą się beze mnie, bo z gardła ludziom wydzierają jadło.

— Bodaj im sen oczy skleił na wieki! Jak dawno u nich służysz?

— Już trzy doby.

— A nie da się stąd zwiać?

— Wiać? W takich butach? — mówiąc to podniósł nogi brzęczące kajdanami.

— A czy aby na pewno każą ci dziś gotować? — zaniepokoił się Cygan.

— Nic się nie bój! Wczoraj tak im dogodziłem, że się oblizywali jak psy.

— Oj, oj, żebym i ja miał się już po czym oblizywać! Jakby człowiek czasem nie pogadał, toby może nawet zapomniał, że ma usta.

— I wina dziś nakradli! Mam tu na wozie!

— Co ty wygadujesz? Przecież Turek wina do ust nie bierze, bo to u nich grzech.

— Grzech grzechem, ale kiedy widzi wino, to i o grzechu zapomina i pije jak gąbka.

— To i dobrze — radował się Cygan. — Zobaczysz, jak im zagram na piszczałce, to jeszcze zatańczą.

Po skończeniu modlitwy jednooki janczar nie kazał ruszać w dalszą drogę. Z wierzchołka góry już widać było miasto spowite wieczornym mrokiem. To gniazdo węgierskie, rojowisko os. Lepiej tam się nie pchać na noc...

Turcy naradzali się przez jakiś czas, po czym janczar zawołał na woźnicę:

— Jazda! Do lasu!

Prawie przez kwadrans jechali w głąb gęstwiny.

Tymczasem słońce skryło się za konarami drzew, w lesie zapanował mrok. Na bezchmurnym niebie błysnęła pierwsza gwiazda.

Wybrawszy dogodną na popas polankę, Turcy wyprzęgli konie. Janczar uwolnił z kajdan ręce księdza i krzyknął:

— Rozpalić ogień!

— Ja się lepiej na tym znam — poskoczył usłużnie Cygan. — Niechaj jaśnie wielmożny pan Turek pozwoli mi go wyręczyć, bo, całuję rączki, to mój fach.

— Milcz! — warknął Turek.

Wyznaczył jeszcze trzy branki do rozniecenia ogniska. Ksiądz i trzy kobiety ubierali chrustu, a przy pomocy hubki i krzesiw wykrzesali ogień z suchych gałęzi.

Z nóg woźnicy także zdjęto łańcuch.

— Ugotuj to samo, co wczoraj — nakazał jednooki. Woźnica nastawił kocioł wody i gdy ksiądz i Cygan obdarli skopa ze skóry, sprawnie pokrajał go na kawałki i mięso wrzucił do kotła, potem dodał cebuli i wszystko hojną ręką posypał papryką. Dodałby chętnie jeszcze pokrojone ziemniaki, ale naonczas był to owoc kosztowny i rzadki. Na pańskich stołach też tylko przy uroczystych okazjach znajdowała się ta roślina, zwana wówczas jabłkiem amerykańskim albo ziemnym.

Dokoła ogniska legło ze dwudziestu Turków. Wozy uprzednio już ustawili taborem, a konie przywiązali do tyłu pojazdów.

Niewolników zagnali do środka taboru. Było ich czternastu: dziewięciu mężczyzn i pięć kobiet, nie licząc dwojga dzieci. Strudzeni nieszczęśliwcy zwalili się na trawę, niektórzy zasnęli.

Mała Ewa także już spała na wozie, główkę oparła o kolana Margit, w objęciach trzymała szmacianą lalkę. Gergely ułożył się obok.

Jednooki janczar pozwolił im zostać na wozie, ale coraz to rzucał na nich okiem.

Płomień ogniska strzelał wysoko. Turcy zarżnęli barana, kury i gęsi, brańcy zaś skrzętnie przygotowywali strawę — wkrótce paprykarz warzył się już w kotłach, a na rożnach rumieniły się combry.

Po lesie rozchodził się drażniący nozdrza aromat paprykarzu i pieczonego mięsiwa.

4

Nie minęła godzina, kiedy Andrasowi dostał się taki policzek, że aż mu kapelusz spadł z głowy i na dwa sążnie odleciał.

— Ażeby cię siódme piekło pochłonęło — ryczał jednooki janczar, trzymając się za głowę i łapiąc powietrze otwartymi ustami, by ochłodzić piekący od papryki język.

W rezultacie paprykarz został — jak to przewidywał kucharz — dla niewolników, ku wielkiej radości Cygana.

— Oj oj oj, to warte było nawet dwóch takich policzków — orzekł zadowolony.

Turcy podzielili się mięsem pieczonym na rożnach. Beczki już dawniej odszpunktowali i popijali węgierskie wino z kubków i rogów.

Cygan podniósł się, ręką otarł usta, potem rękę o portki, podszedł do Turków i z miodowym uśmiechem na twarzy zagabnął ich słowami:

— Jaśnie wielmożny panie Kumotrzak, całuję rączki, może by tak zagrać coś na cześć dostojnego towarzystwa? Nazwany Kumotrzakiem jednooki Jumurdżak zerknął na niego spode łba:

— Żeby nam Węgrów na kark sprowadzić, co?

Cygan nie wziął widać zbytnio do serca odmowy, bo wróciwszy do swego grona raz jeszcze zanurzył drewnianą chochlę w kotle — kto wie, kiedy mu się znów nadarzy taka sposobność.

— A niech cię powieszą w chwili największego powodzenia — posłał tylko jednookiemu pobożne życzenie i machnął ręką.

Uczta Turków ciągnęła się bez końca. Jakiś ponury akindzi o zwisających wąsach zdjął z wozu sporą kasetkę i wyważył wieczko: posypały się dukaty, pierścienie i kolczyki.

Siedzący przy ognisku podzielili między siebie łup podziwiając blask oprawnych w złoto drogich kamieni.

Gergely, choć senny, nie mógł oderwać oczu od jednookiego Turka. Jakże groźna i odpychająca wydawała mu się jego twarz, zwłaszcza gdy zdjął kapuzę odsłaniając łysinę. I jak niesamowicie się śmieje. Nawet dziąsła mu widać...

Po podziale łupu jednooki wy dostał spod kaftana pękata sakiewkę z jeleniej skóry, wstał i poszedł za wozy, gdzie konie spokojnie chrupały świeżą, soczystą trawę.

Gergely bacznie śledził każdy ruch Turka, który wyciągnawszy drewniany kołek z kulbaki wsunął sakiewkę przez otwór.

Niewolnicy raczyli się jeszcze przy kotle paprykarzem: widać smakowała im ta ostra potrawa. Woźnica względnie kucharz, co miał na imię Andras, z zadowoleniem wcinał smaczne kęsy.

— A ty czemu nie jesz? — zwrócił się ksiądz do Gaspara. Chłopak smętnie patrzył przed siebie.

— Bo nie chcę — odrzekł krótko. Po chwili jednak spojrzał na księdza.

— Wielebny ojcze, jak skończycie, chciałbym coś powiedzieć. Ksiądz odłożył drewnianą łyżkę i przysunął się cokolwiek do Gaspara.

— Czego chcesz, synu?

Chłopak, nie spoglądając na księdza, wyrzucił z siebie:

— Proszę, abyście mnie, ojcze wielebny, wypowiedali.

— Po co?

— Abym czysty poszedł na tamten świat.

— Daleko ci jeszcze do tego, Gaspar.

— Nie tak daleko, jak wielebnemu księdzu się zdaje! Rzucił nienawistne spojrzenie na gromadę Turków i ciągnął dalej:

— Po wieczery przylezie tu do nas ten jednooki, co mnie porwał. Przylezie, ażeby założyć nam kajdany. A wtedy ja go zabiję!

— Nie czyń tego, synu!

— A właśnie go zakatrupię. Jak przyjdzie, wyrwę mu nóż z za pasa i wbiję mu go w brzuch. No to już, niech mnie ksiądz wypowiada!

Ksiądz przez chwilę przypatrywał mu się uważnie.

— Nie, synu — rzekł wreszcie cicho — ja cię nie mogę wypowiadać. Jestem luteraninem.

— To ta nowa wiara?

— Tylko nazywa się nową wiarą, ale w samej rzeczy to jest właśnie ta stara prawdziwa wiara, którą nam zostawił Jezus Nazareński. My nie spowiadamy tak, jak papiści. Według naszej wiary Pan Bóg i tak widzi nasze dusze. Ale dlaczego szukasz swojej zguby? Jesteśmy jeszcze na ziemi węgierskiej, tuż pod Pecsem. Ile to już razy wyzwolono Węgrów z niewoli tureckiej !

— A jeśli nas nie uwolnią?

— Opatrzność boska czuwać będzie nad nami. Bywa, że człowiek znajduje szczęście dopiero na ziemi tureckiej, dokąd przywleczono go w kajdanach; tam robi fortunę i jako można pan wraca do ojczyzny. Chodź, synu, zjedz coś. Pokrzep się trochę.

Gaspar wrogo spojrział ku Turkom.

— Do stu diabłów... ja muszę się rozprawić z nimi — mruczał zgrzytając zębami. Ksiądz pokiwał głową.

— Chłopcze, chłopcze, zastanów się. Posłuchaj moich rad! Chłopak westchnął ciężko, podniósł się i wolnym krokiem wrócił do gromadki brańców. Byli to przeważnie ludzie silni i młodzi. Wśród kobiet była Cyganka o ognistych oczach. Zwyczajem cygańskim ręce i nogi miała pomalowane na czerwono barwnikiem roślinnym, a włosy jej lśniły rudawo. Czasem odrzucała w tył głowę, bo kosmyki spadały jej na oczy. Z dziobatym rodakiem rozmawiała po cygańsku.

— Może to twoja żona? — spytał woźnica.

— Nie — odparł Cygan — jeszcze ani razu nie była moją żoną.

— A o czym gadacie po cygańsku?

— Wciąż brzęczy mi do ucha, że wywróżyłaby, co nas czeka, gdyby jej pozwolono podejść bliżej do ogniska.

— Przyszłość jest w ręku Boga — wtrącił ksiądz z powagą.

W grupie niewolników znajdowało się dwóch mężczyzn w starszym już wieku. Jeden z nich, milczący człowiek, z siwą brodą i zwisającymi wąsami, miał wygląd pański, choć sądząc po jego śniadej twarzy, mógłby być również Cyganem. Nie odpowiadał na żadne pytania. Od nasady lewego ucha do oka czerwieniła się pręga. Jakiś przedziwny zapach, jakby spalonego prochu, zionął z jego ubioru. Drugi z nich, ów skuty razem z księdzem wieśniak o kanciastej twarzy, miał oczy zawsze szeroko rozwarte, jakby się wszystkiemu dziwił, i tak zwieszoną na piersi głowę, jak gdyby nie miał siły udźwignąć jej ciężaru. Co prawda, głowa to była olbrzymia.



Niewolnicy cicho rozważali przy baranim paprykarzu, jak tu uciec od Turków.

— Nijak — odezwał się niespodziewanie wieśniak o kanciastej twarzy. Odłożył drewnianą łyżkę i wytarł usta rękawem koszuli.

— Już ja to chyba najlepiej wiem! Jużem przecierpiał niewolę, Dziesięć lat życia mnie to kosztowało.

— A potem puścili was do domu?

— Gdzie tam puścili!

— No to jakżeście wrócili?

— Jak? Ano tak, że jednego razu zawieźli mnie do Belgradu. Tam wyrwałem im się, przepłynąłem Dunaj i tyle.

— Jak jest w niewoli? — ciekawił się szesnastoletni chłopak o wodnistych oczach.

— Co tu gadać, niewiele kur zarżnięto dla mojej przyjemności.

— U kogo służyłeś? Może u jakiego bogacza?

— U samego sułtana.

— U sułtana? A co tam robiliście?

— Byłem głównym czyszcicielem!

— A co to znaczy główny czyszciciel? Coście czyścili?

— Ano, stajnie.

Słuchacze wybuchnęli śmiechem, ale po chwili na nowo posmutnieli.

— A jak się obchodzą z kobietami? — spytała młoda niewiasta o kruczonych włosach.

— To zależy. Jak młodsza, to i Turek nią nie pogardzi. Ale większość bab służy.

— Ale jak służbę traktują?

— To zależy.

— Katują?

— Jak kiedy.

— To znaczy, że i biją... za byle co?...

Ksiądz wstał.

— Wnioskując z tego, com usłyszał, znasz drogę, którą mamy przed sobą.

— Obym jej nie znał.

Ksiądz oparł stopę o szprychę koła u wozu i przy blasku ogniska w zamyśleniu wpatrywał się w żelazną obręcz, obejmującą nogę. Widniały na niej drobne nacięcia. Zapewne notatki jakiegoś nieszczęśliwca: obraz cierniowej drogi.

Ksiądz wyteżył wzrok i z trudem odczytał notatki.

— Od Belgradu do Hizarlik jeden dzień.

— Nieprawda — zaprzeczył chłop — do Hizarlik mamy jeszcze z pięć postojów.

— W takim razie te pięć krzyżyków oznacza pięć postojów. Ksiądz czytał dalej:

— Następnie Alopnica. Chłop przytaknął.

— Potem Nisz.

— To już Serbia — westchnął chłop obejmując kolana. — Tam sieją rdzawą kaszę.

— Rdzawą kaszę? — zdumiała się któraś z kobiet.

Chłop nie odpowiedział. Ksiądz jął dalej czytać:

— Kuri-Kemze.

— Tam cholernie dużo skorpionów.

— Szarkewi.

— Tam trzy młyny wodne.

— Caribrod.

— Tam mnie potłukli. Do krwi. Nawet głowę mi rozwalili.

— Za co?

— Za to, że rozbiłem kajdany na nogach.

— Dragoman — odczytywał dalej ksiądz.

— To już bułgarska ziemia, stamtąd wiedzie droga do Sofii. Sofia to duże miasto. Gdzie spojrzeć — wieże a wieże. Ksiądz poślinił palec i potarł nim uwierające nogę kajdany.

— Iktiman.

— Tam zmarła jedna z naszych dziewczyn. Biedaczka.

— Kapiderwen.

— Tam góry wysokie. Nawet latem białe od śniegu.

— Pozarki, czy jak tam...

— Tak, to Pozarki, bodajby je ziemia pochłonęła. Tam spaliśmy w owczarni. Szczury po nas biegały.

— Filippe.

— To też miasto. Bodaj się zapadło! I to nocą, kiedy wszyscy śpią pod dachem!

— Kaladan.

— Tam bisurmani sprzedali mojego ziomka. Żeby zgnili za życia.

— Uzonkowa.

— Tam nic, tylko sady. Miejscowość niczego sobie. Jakaś kobiecina dała nam dwa kosze jabłek.

— Charmanli.

— Tam jakiś bogaty Turek kupił Antala Davidka. A przecie wpierw o mnie się targował.

— Mustafa pasza — Kópri.

— Tam jest spory kamienny most. Bodaj się zawalił!

— Drinapol.

— To okrutnie wielkie miasto. Tam widziałem tego... żywą słońcę.

— Co to takiego? — spytali brańcy z niedowierzaniem.

— Ano, to bydlę tak ogromne, jak ten wóz z gratami, może nawet i większe. A łyse jak bawół. Nochal ma chyba na dwa metry. Rusza nim, jak inne zwierzę ogonem. Jak je muchy męczą, to nosem zgarnia je z grzbietu.

— To chyba był słoń — sprostował ksiądz i czytał dalej:

— Corli.

— Stamtąd widać już morze.

Brańcy westchnęli głęboko. Niektórzy ukryli twarze w dłoniach, inni spoglądali przed siebie oczyma wilgotnymi od łez.

5

Człowiek z czerwoną pręgą na twarzy odezwał się cicho:

— Rodacy — rzekł głosem chrapliwym — gdybyście mi dopomogli do uciezki, tobym was odbił Turkom.

Wzrok niewolników skierował się na mówiącego. Człowiek z pręgą rzucił przelotne spojrzenie na Turków i ciągnął dalej, jeszcze bardziej zniżając głos:

— Jestem możnym panem. Mam dwa zamki i pieniądze. Jeśli mnie się powiedzie, to i wam wrócę wolność. Wasza pomoc polegałaby na tym: jak zauważycie, że będą przy piątym wozie, zaczniście się niby sprzeczać między sobą i podnieście gwałt. To wszystko.

Chłop, który przecierpiał już niewolę, wzruszył ramionami:

— To na nic. Potłukliby i nas, i was, panie. Na tym by się skończyło.

— Jak się zwiecie, waszmość? — spytał ksiądz.

— Nazywam się Niewolnik — odpowiedział człowiek z pręgą oschle.

Wstał. Pokuśtykał kilka kroków ku Turkom, potem usiadł i spode łba badał twarze oświetlone płomieniem ogniska.

— Też mi pan! — machnął jeden z brańców. — Prędzej mi wygląda na Cygana, co został katem.

Gergelyowi ścierpła skóra. Jak urzeczony wpatrywał się w człowieka z pręgą — więc to kat cygański! Jak to zwykle dziecko, przyjął za dobrą monetę słowa dorosłych.

— Hej, żebyśmy to mieli werbenę — westchnął siedzący obok Gaspar, patrząc żałośnie na poranione nogi.

Niewolnicy, jakby go nie słyszeli, siedzieli w milczeniu, spoglądając smutno przed siebie.

— Bo werbena to taka roślina, co od niej kajdany opadają.

W gronie janczarów nagle powstało ożywienie: z wrzaskiem obstąpili beczkę, jak się okazało, napełnioną starym węgierskim tokajem. Zatoczyli beczkę przed ognisko i mlaskając popijali ognisty napój.

— Niech żyją Węgrzy! — aby Turkom do śmierci nie zabrakło wina!

— ryknął Jumurdżak i wzniosł kwartę ku niewolnikom.

— Skąd znasz węgierski? — spytał go człowiek z pręgą, nazywający siebie Niewolnikiem.

— Co ci do tego? — odrzekł drwiąco roześmiany Jumurdżak. Był już wieczór księżycowy i gwiazdzisty; chrabąszcze brzęczały w wilgotnym od rosy listowiu drzew.

Brańcy pokładli się na trawie i we śnie szukali możliwości upragnionej ucieczki. Ksiądz także usnął z ręką pod głową. Widać w domu sypiał na poduszce. Cygan leżał na wznak, ze złożonymi na piersiach rękami, a nogi miał rozrzucone szeroko. Wszyscy spali głębokim snem. Tylko Gaspar westchnął jeszcze raz w półśnie:

— Już nigdy nie zobaczę mojego Egeru.

Gergely także drzemał przytuliwszy głowę do rożka, pierzyny, tylko dłoń wsunął pod delikatną, spaloną słońcem buzię.

Byłby już zasnął, gdyby jego uszu nie uderzyło nazwisko Cecey. Poznał chrapliwy głos cygańskiego kata, a za chwilę to samo nazwisko powtórzył jednooki janczar.

Przy wozie rozmawiali:

— U Ceceyego, z całą pewnością u Ceceyego — powiedział cygański kat.

— Skarb Dózszy?

— Tak, cały skarb Dózszy. To znaczy wszystko, co miał przy sobie.

— A co miał przy sobie?

— Złote kielichy, puchary. I złoty talerz, wielki jak księżyc w pełni. I bransolety, pierścionki, naszyjniki wysadzone diamentami i perłami. Krótko mówiąc, kosztowności, jakie miewają możni panowie. Oby

tylko nie przetopił już części złota na sztaby. Ale cóż! Wtedy znajdziemy sztaby.

— Tu pod lasem?

— Tak. Dlatego żyje tak na odludziu.

— A czy broń ma?

— Piękne szable okute w srebro. Co prawda, widziałem tylko pięć. A jakie kirysy! Cały strych zawałony... zwłaszcza jeden rzucił mi się w oczy: piękny, lekki, niegdyś należał do króla Lajosa. Wiem, że w komnacie Ceceyego stoi jeszcze sześć skrzyń okutych żelazem. Tam trzyma na pewno najcenniejsze kosztowności.

— Hm... Cecey... Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

— Bo już nie wojuje. To on był podskarbisem Dózsy. Turek kręcił głową.

— Za mało nas — rozważał. — Musimy tu zostać do jutrzejszego wieczoru, aby wzmocnić czambuł...

— Na co tylu ludzi? Im więcej was będzie, tym mniej wypadnie na jednego. Zresztą rozprawić się z nim nie trudno, przecież to niedołężny starzec, obydwie nogi i jedną rękę ma z drzewa.

— Ale chyba służba jest uzbrojona.

— Skądże znowu! To zwykli chłopci, orzą tylko i sieją.

— Kiedy byłeś tam ostatni raz?

— Chyba będzie już z rok.

— Ho! ho! Rok to kawał czasu. Nie lubię niespodzianek. Zaczekamy do jutra. Jeżeli prawdę mówiłeś, to cię puszcę na wolność, nawet dam ci nagrodę. Jeżeli zaś skłamałeś, to cię każę powiesić na bramie Ceceyego.

Tu urwała się rozmowa. Jednooki wrócił do ogniska i widać powtarzał słowa Niewolnika, bo towarzysze słuchali go ze skupioną uwagą.

Gergely walczył ze snem, jednak zmorzył go wreszcie. Usnął. Sen miał koszmarny. Śniło mu się, że Turcy biegają po wsi z wyciągniętymi jataganami, chwycili matkę i wbili jej nóż w piersi. Gergely zajęczał przez sen i ocknął się.

Było ciemno i cicho; tylko słowiki śpiewały. Sto słowików. Tysiąc słowików. Jak gdyby słowiki całego świata zebrały się w tym lesie, aby umilić sny udręczonym niewolnikom.

Gergely spojrział na niebo. Błady sierp księżycy jak gdyby zwisał z postrzępionej chmury — tylko gdzieniegdzie migotały gwiazdy.

Janczarowie poukładali się do snu na trawie, dokoła przygasającego zwolna ogniska, tylko pośrodku czerwieniła się jeszcze odrobina żaru. Jumurdzak spał z jakąś torbą pod głową; obok na trawie bielilo się coś, może kapuza — nie dojrzeć dokładnie w głębokim zmroku. „Uciekać! — przeleciało przez myśl Gergelya. — Ale jak?” Rozejrzył się wokoło. Wszyscy śpią. Może by się powiodła ucieczka? Zaryzykować, gdyż inaczej może nigdy już nie ujrzy domu rodzinnego!

Mała Ewa spała obok. Lekko ją trącił i szepnął do ucha;

— Ewunia! Ewunia! Ewa otworzyła oczy.

— Chodźmy do domu — powiedział cichutko Gergely. Usta dziewczynki skrzywiły się do płaczu, lecz tylko przez chwilę. Potem zdumionym wzrokiem spoglądała to na Gergelya, jakby go zobaczyła pierwszy raz w życiu, to na lalkę, którą trzymała w ręku.

— Ewunia! Ewunia! — przynaglał Gergely — chodźmy... tylko cichutko...

Zsunął się z wozu i zdjął Ewę ostrożnie, aby nie rozbudzić asaba chrapiącego z głową opartą o koło i z włącznią na kolanach. Bukłak leżał obok. Spał tak mocno, że chyba wszystko można by wynieść z lasu, nawet pojazd, o którego koło się oparł.

Gergely chwycił małą za rękę i pociągnął za sobą.

— Jeszcze Siwek... — szepnął. — Siwka nie mogę zostawić... Siwek był związany razem z bachmatem Turka. Z pętami Gergely dał sobie jakoś radę, ale rozplatanie uzdy przekraczało jego możliwości; przez jakiś czas na próżno mocował się z węzłem, wreszcie rozplakał się ze złości.

Widać nie zrezygnował jednak z zamiaru, bo gdy nieco odsapnął, na nowo zabrał się do rozwiązywania węzła, najpierw palcami, potem zębami. Lecz trud i tym razem okazał się daremny. Chwycił więc postronek Siwka i pociągnął oba konie.

Na szczęście koniuch spał także z głową opartą o pień drzewa: chrapał z otwartymi ustami. Gergelyowi udało się wyminąć śpiącego. Dzieci posuwały się bezszelestnie jak cienie. Wysoka trawa tłumiała stuk kopyt końskich: cały tabor pogrążony był we śnie.

Gergely upatrzył sobie wystający sęk drzewa, zatrzymał się i dosiadł Siwka, nie bez trudu, szeptem zachęcając Ewę, by poszła za jego przykładem. Lecz nóżki Ewy były za krótkie. Gergely musiał więc zsiąść i podnieść dziewczynkę na tyle, by mogła postawić stopę na

wystającym sęku. Przy pomocy chłopca wdrapała się na grzbiet Siwka.

Wreszcie siedzieli na koniu. Z przodu Gergely, a za nim Ewa, w jednej ręce trzymając lalkę w czerwonej spódniczce, drugą kurczowo ściskając chłopca. Nawet na myśl im nie przyszło, by dosiąść bachmata, choć w wysokiej kulbace dziewczynce siedziałoby się wygodniej. Ale to cudzy koń. Gergely szarpnął postronkiem; Siwek ruszył wiodąc za sobą bachmata.

Wnet znaleźli się na trakcie. Tam Siwek znał drogę: szedł stępą. Cała okolica spowita była w półmrok. W bladym świetle księżyca zdawało się, że strzeliste drzewa przydrożne to czarne groźne olbrzymy. Lecz Gergely bynajmniej nie odczuwał strachu: przecież to węgierskie drzewa.

6

Owej nocy we dworcu Ceceych nikt nie zmrużył oka. Szukano dzieci do nastania ciemności, wreszcie postanowiono przeszukać potoczek następnego dnia skoro świt. Jedynie żołnierze ułożyli się do snu.

Ksiądz Balint został u Ceceych i pocieszał jak mógł zrozpaczonych rodziców.

Pani Cecey odchodziła od zmysłów, łamiąc ręce biadoliła:

— Oj, oj, moje dziecko, moje biedne dziecko... córuchna najdroższa!

Na wszelkie pocieszenia pan domu potrząsał tylko głową. W końcu rozżalony krzyknął:

— Nie ma Boga!

— Jest — zaprzeczał ksiądz.

— Nie ma! — walił pięścią w stół Cecey.

— To, co Bóg daje, może i zabrać, a co zabierze, może zwrócić. Z oczu starca trysnęły łzy.

— Po co zabiera, skoro już raz dał? Dopiero nad ranem ksiądz go opuścił. Kiedy zamknął za sobą drzwi, pątnik podniósł się z rogoży rozłożonej na ganku.

— Wielebny ojciec — szepnął.

— Czego chcesz, synu?

— One się nie utopiły.

— Tylko co?

— Turcy je zabrali. Ksiądz stanął jak wryty.

— Skąd wiesz?

— Stąd, że widziałem ślady tureckich butów na kretowisku, kiedyśmy dzieci szukali nad brzegiem potoczka.

— A czy to na pewno był ślad Turka?

— Przecież buty nie miały obcasów, Węgier takich nie nosi.

— A może to były zwykłe kapcie?

— Toć na kapciach nie ma ostróg. Widziałem nawet ślady kopyt tureckiego konia. Chyba i ojciec wielebny wie, jak wygląda podkowa turecka?

— Czemu nie powiedziałeś od razu?

— Bo pomyślałem sobie, że lepiej milczeć. Kto wie, dokąd je zawlekli? Ludzie rzuciliby się w pogoń za tą hordą i co by iż tego wyszło? Wszędzie ich co niemiara i po zęby uzbrojeni...

Ksiądz przemierzał ganek zatopiony w myślach. Nagle skierował kroki ku drzwiom, ale zanim położył rękę na klamce, przystanął i zwrócił się do pątnika:

— Co mam uczynić?

Pątnik wzruszył ramionami:

— Milczeć, jak ja.

— To straszne.

— Co robić, kiedy cała okolica roi się od Turków. Hej, żeby człek wiedział, którądy poszli? Na wschód? Na zachód? Ale tak, znowu polałaby się krew, ludzi znowu naginęłoby jak much.

— Śmierć lepsza od niewoli — wtrącił z bólem ksiądz Balint.

— Bóg raczy wiedzieć, gdzie one już były, kiedyśmy ich tu szukali.

Ksiądz stał na ganku wstrząśnięty do głębi. Od wschodu niebo zaróżowiło się lekko. Świtało.

— Ludzie! Ludzie! Wróciły!

Ksiądz nasłuchiwał: to głos stróża, już słychać było tupot nóg.

— Kto wrócił?

Kroki zbliżały się. Po chwili ktoś walił już pięścią w bramę:

— Otworzyć, dzieci się znalazły!

Ksiądz wpadł do pokoju pana domu:

— Jest Bóg, Peter! Wstawaj, jest Bóg!

Dwoje wyczerpanych dzieci na grzbiecie Siwka czekało pod bramą.

Cała wieś zbiegła się na dziedziniec dworu. Kobiety zdążyły zaledwie spódnice zarzucić na siebie, mężczyźni, jak spali, wyskoczyli usłyszawszy radosną nowinę. Wyrywali sobie z rąk Gergelya i Ewę, ściskając ich i całując.



— A skądżeście tego pięknego tureckiego konia wzięli?

— Przyprowadziłem — rzekł Gergely wzruszając ramionami.

— Od dziś jesteś moim synem — powiedział Cecey z uroczystą powagą, kładąc dłoń na głowie chłopca.

Matka Gergelya, w halce i na bosaka, padła na kolana i podjęła za nogi dziedzica.

Dobo z podziwem spoglądał na małego bohatera, który Turkom zabrał konia.

— Daj mi go waszmość, wychowam go na dzielnego żołnierza — rzekł i podniósł Gergelya.

— Chciałbyś zostać żołnierzem?

— Tak — zabłysły uśmiechem oczy malca.

— Konia już masz! I szablę ci zdobędziemy na Turku.

— To ten koń jest mój? — Gergely spojrzał na swoją zdobycz, którą z upodobaniem poklepywali przez ten czas wojacy Dobo.

— A jakże! Przecież sam go zdobyłeś!

— Tak, to twoja własność — potwierdził Cecey — razem z kulbaką i uprzężą.

— To i pieniądze są moje! — wykrzyknął z dumą malec.

— Jakie pieniądze?

— Ano, w kulbace.

Z zaciekawieniem zdjęli piękną, wewnątrz wysłaną aksamitem kulbakę i potrząsnęli nią: coś zabręczętało; wyciągnęli drewniany kołek, z kulbaki wysypało się mnóstwo złotych monet.'

— A to ci dopiero — zawołał Cecey. — To nie ja przyjmuję cię za syna, lepiej ty mnie przyjmij za ojca. — No, zbieraj, kobieto! To nie lada bogactwo — zwrócił się do matki chłopaka.

Matka Gergelya stała jak urzeczona, wpatrzona w złote monety sypiące się na ziemię. Nie mogła własnym oczom uwierzyć.

— To... wszystko moje? — wybełkotała z trudem, przenosząc wzrok to na Ceceyego, to na Dobo, to na ojca wielebnego. — To moje?...

— Tak, to twoje — skinął głową ksiądz — to Pan Bóg obdarował twego syna.

Ręce kobiety szukały fartucha, ale przecież nie włożyła go w pośpiechu. Jakiś mężczyzna zdjął z głowy czapkę i podał jej. Oszołomiona kobieta drżącymi palcami zaczęła zbierać złoto. Gergely przez chwilę przyglądał jej się, po czym rzekł:

— Tylko dobrze schowajcie, matulu, bo jutro tu przyjdą.

— Kto przyjdzie?

— Turki.

— Turki?

Gergely przytaknął:

— Słyszałem, jak Turek powiedział do kata.

— Do kata? Do jakiego kata?

— No, do cygańskiego!

— Że tu przyjdą?

— Tak. Chcą zabrać skarb naszego pana — rzekł chłopak wskazując ręką na Ceceyego.

— Co mówisz? Moje skarby? — przeraził się Cecey.

— Tak — prawil Gergely z powagą. — Gadali o żelaznych skrzyniach... że jest ich sześć.

— To poważna sprawa — odezwał się Dobo. — Może lepiej wejdziemy — i trzymając chłopca za rękę wprowadził go do izby.

Tam jęli wypytywać Gergelya i dowiedzieli się wszystkiego, co dziecięcy umysł zdołał zapamiętać.

— Z blizną na twarzy, powiadasz? Jak wyglądał? Ciemne miał włosy? A jaka to była blizna?

— Czerwona pręga od ucha do oka.

Dobo zerwał się z krzesła.

— To More!

— Tak! To może być tylko More. Ten gałgan wpadł w ręce Turków, a teraz prowadzi mi ich na kark, aby zwrócili mu wolność!

— A czy More zna drogę?

— Był tu jakieś sześć lat temu. Poprzewracał cały dom do góry nogami. Zabrał mi pięćdziesiąt cztery forinty, siedem krów i złoty krzyżyk żony.

Dobo w uniesieniu przemierzał izbę.

— Ilu waszmość ma ludzi zdolnych do walki?

— Może wszystkich razem będzie nas ze czterdziestu.

— To mało! Jaka miejscowość najbliższej?... Pecs? Nieprawdaż? To źle! Tam Janos Szerecsen jest panem... zwolennik króla Janosa.

To nasz wróg!

— Nie damy rady. Nic, tylko uciekać... — wtrącił Cecey potrząsając głową — w las... gdzie oczy poniosą...

— Ale chyba wszyscy nie uciekną!!! Waszmość myśli wieś zostawić na pastwę losu? Uciekać przed garstką Turków?! Ej, do licha! Nie ma

Węgra, który by się nie rwał do boju, skoro przychodzi horda turecka, czyimkolwiek byłby zwolennikiem! — powiedział Dobo, po czym wyszedł na dziedziniec i zawołał: — Na koń!

Kiedy sam już dosiadł rumaka, dodał:

— Jadę do Szerecsena. A tymczasem każ waćpan ludziom polewać wodą dachy w całej wsi, potem zaś zwołaj wszystkich, razem z dobytkiem, na dziedziniec. Każ im nagromadzić beczek i kamieni przy bramie. Kobiety uzbroić w kosy, widły i motyki. Za dwie godziny wracam.

Po czym spojrzał na blednące już na wschodzie gwiazdy i pocwałował na czele swoich wojaków.

8

Dworek Ceceych stał pośrodku dwumorgowego obszaru, otoczony murem wysokim zaledwie na człowieka i — co tu mówić — mocno ruszonym zębem czasu.

Już przed południem zebrała się cała wieś na dziedzińcu. Między tobołami i stosami różnych gratów biegały kozy i świnie, gęgały gęsi, gdakały kury i kwakały kaczki. Obok szopy jakiś chłop ostrzył szablę, noże i kosy. Ksiądz przypasał sobie szeroką zardzewiałą szablę i wyszedłszy na środek dziedzińca zaczął nią wywijać, po czym zadowolony schował ją do pochwy.

Przed kuchnią kilka kobiet warzyło obiad w mniejszych i większych kotłach.

Cecey kazał znieść ze strychu jakieś sześć nadgryzionych przez myszy łuków i rozdawał tym starcom, co z nim razem walczyli pod sztandarem Dózsy.

Koło południa Dobo powrócił. Przywiódł ze sobą zaledwie trzydziestu zaciężnych, niemniej przyjęto ich okrzykami radości.

Dobo obszedł dziedziniec, kazał wznieść szańce, zgromadzić kamienie i zamurować połowę bramy. Następnie wezwał do siebie uzbrojonych wieśniaków w liczbie pięćdziesięciu jeden i grupami porozstawiał ich na umocnieniach. Sam, z dziesięcioma doborowymi strzelcami, zajął stanowisko tuż przy bramie za barykadą wzniesioną naprędce z beczek.

Dwaj trębacze wysłani zostali na krańce wsi — dojrząwszy wroga mieli dać znak.

Nie potrało to nawet do wieczora. Po południu, o trzeciej, ze wschodniego skraju wsi zabrzmiał dźwięk trąbek, a w kilka minut później słycać już było galop wracających trębaczy.

Cecey rozejrzał się dokoła.

— Wszyscy na miejscu?

Okazało się, że brakuje matki Gergelya. Biedaczka całkiem straciła głowę: to zakopywała złoto, to znów odkopywała. Bała się zostawić swój skarb u Ceceyego — a nuż Turcy zabiorą? Pobiegnęła pewnie do lasu, by tam go ukryć.

— Zamknąć bramę! — rozkazał Dobo. — I więcej tu jeszcze worów z ziemią, kamieni, kłoców, zostawić tylko przejście na jednego jeźdźca.

— Już jadą! — krzycał z daleka jeden z wracających trębaczy.

— Dużo ich jest? — spytał Dobo.

— Myśmy tylko przednich widzieli.

— To wracaj! — huknął na niego Dobo. — Sprawdź, ilu ich jest. Uciec jeszcze zdążysz, kiedy ci już po piętach będą deptać.

— Zaciężny z Peksu poczerwieniał, zawstydzony zawrócił konia i pocwałował z powrotem.

— To tacy z was śmiałkowie? — zwrócił się Dobo drwiąco do zaciężnych z Peksu.

— Skądże znów — odpowiedział jeden nieco zażenowany. — Ten dopiero wczoraj do nas przystał. To krawczyk. Nie wahał jeszcze prochu.

Po paru zaledwie minutach posłaniec wrócił na spienionym koniu. Za nim z tumanu kurzu wyłoniło się z piętnastu akindżich w czerwonych kapuzach.

Wróg deptał mu już po piętach...

— Wpuścić go i ognia! — rozkazał Dobo.

Dziesięciu strzelców wycelowało. Huk wystrzałów rozdarł powietrze. Jeden z janczarów zwałił się z konia wprost do rowu. Reszta Turków stropiła się, zawróciła czym prędzej. Krawczyk wjechał w otwartą bramę.

— Więc ilu ich jest? — uśmiechnął się Dobo.

— O, chyba z tysiąc — wydyszał trębacz — a może i więcej!

Dobo machnął ręką:

— No, jeżeli stu, to dzisiaj jeszcze potańczymy sobie trochę.

— Mówiłem przecie, tysiąc, panie...

— Dobrze słyszałem, ale skoro tyś widział tysiąc, jest ich co najwyżej stu, a może nawet mniej. — Na skraju wsi wzniosły się kłęby dymu — akindżowie podpalali wieś.

Dobo pokiwał głową:

— No tak. Więc jednak nie polewano dachów?

— Cóż, słoma i siano zawsze się zapali — rzekł Cecey ostrząc szablę o kant bramy.

Wtem na drodze pojawili się jeźdźcy: jednooki janczar, w pancerzu, z kindżalem i pistoletem za pasem — po jego prawicy jechał śniady Węgier, ten, którego mały Gergely nazwał cygańskim katem. Za nimi podążał czambuł akindżich, a po obu stronach gościńca, pod ścianami chat, biegli asabowie z płonącymi żagwiami w ręku.

— Laszlo More! — ryknął Dobo — ty hańbo ojczyzny! Zdrajco nikczemny!

Janczar, zaskoczony, spojrzął na swego towarzysza.

— Nie wierz mu, to kłamstwo wierutne, chce cię tylko omamić.

Janczar wstrzymał konia, aby połączyć się z następującym oddziałem.

— Dobrze znam i ciebie, Jumurdzak — wołał Dobo. — Więc to tak wygląda honor turecki? Ograbiasz tych, co wczoraj z tobą razem walczyli? Jesteś zwykłym opryszkiem, jak i twój współnik.

Janczar znów spojrzął, ale ani słówkiem się nie odezwał.

— Chodź bliżej, ofiarno Morego! Oto moje powitanie! — tak wołając Dobo wycelował: rozległ się huk i Jumurdzak zsunął się z konia na ziemię. Niemal równocześnie zagrzmiało z obu stron. Tureckie pistolety odpowiadały na powitanie.

More uczynił ruch, jakby chciał podtrzymać ugodzonego janczara, ale tylko kindżał został mu w ręku. Nie troszcząc się więcej o los Turka, spał konia i pomknął jak wicher.

— Hej, tam ucieka wasze złoto! — zawołał Dobo do Turków.

Ci przez chwilę stali stropieni, potem z wściekłym wrzaskiem puścili się w pogoń za uciekającym. Dobo liczył ich na głos:

— Dziesięć... dwadzieścia... czterdzieści... pięćdziesiąt... Odczekał chwilę, po czym zeskoczył z szańca.

— Na koń, chłopcy! Nie ma ich nawet sześćdziesięciu. Dosiedli koni; wyjeżdżając za bramę Dobo polecił Ceceyemu:

— Zamknąć tego w pancerzu, jeśli żyje... a podpalaczy, nie litować się, zabić. — Znikł na czele swego oddziałku.

Chłopi, dziko wywijając kosami i widłami wypadli przez bramę, by spełnić jego rozkaz. W kilku punktach wsi płomienie strzelały już w niebo.

Cecey wraz z księdzem i dwoma poddanymi wybiegł na drogę. Jumurdżak podniósł się już i wsparł na łokciu. Zamroczenie było tylko chwilowe. Wklęśnięcie pancerza tuż nad sercem świadczyło o tym, gdzie uderzyła kula Istvana Dobo.

— Związać go i zaprowadzić na dziedziniec — rozkazał Cecey.

Turek biernie pozwalał się związać.

— Umiesz grać w szachy? — huknął doń Cecey. Janczar kiwnął głową i rzekł:

— Nie.

Gdy wiązano ręce Jumurdżakowi, nad rowem pojawiła się głowa drugiego Turka.

— Trzymaj go, ja zaraz wrócę, ino tamtego ukatrupię — zawołał jeden z chłopów do drugiego.

— Stój! — powstrzymał go Cecey i sam pokuśtykał do broczącego krwią janczara. Przyłożywszy mu ostrze szabli do piersi, wrzasnął:

— Umiesz grać w szachy?

— Kaplaman — wybełkotał Turek

— Szach!

— Szach mat? — spytał płaczliwie tamten.

— To, to, psia jucho, niech cię Mahomet kopnie! I tego zabierzcie na dziedziniec, przyda się koło domu.

Dobo ze swym oddziałem powrócił dopiero o zmroku. Przywieźli ze sobą zdobycz: szaty, broń, zbroje i jednego jeńca — Laszlo Morego.

— Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Pilnujcie tylko, żeby się nie wyrwał z potrzasku — powiedział Dobo. Ceceyego ponosiła radość:

— Jakeście go złapali?

— Akindzowie go nam złapali. To szczwane lisy, na wszelki wypadek dali mu lichą szkapę. Łatwo go więc dogonili. A kiedy w najlepsze krępowali mu ręce i nogi, myśmy ich dopadli i rozprawili się z nimi.

— Wybiliście wszystkich?

— Ilu się dało.

— Rozniecić ogień i najlepszego cielaka na rożen! — ryknął Cecey, zacierając ręce radośnie. — I z piwnicy wytoczyć baryłkę. Z tych, co pod ścianą stoją. Uczcić trzeba taką okazję.

— Jeszcze nie czas na to — rzekł Dobo, patrząc za odprowadzanym do lochu Laszlo Morem. — Gdzie jest Gergely?

— A cóż chcesz od niego? Tam na ganku bawi się z moją małą. Właśnie słyszałem, że mu matkę zamordowali.

— Zamordowali?

— Tak. Kiedy jeden z tych zbójców podpalał ich chałupę, nieszczęsna narobiła gwałtu, a ten przebił ją nożem. Chłopak nic jeszcze nie wie.

— A złoto?

— Kobieta leży w kącie izby, twarzą do ziemi. Tam pewnie zakopała złoto.

Dobo przez chwilę stał zamyślony, po czym zakławszy cicho zwrócił się do chłopca:

— Gergelyu Bornemissza! Chodźże tu, rycerzyku. Dosiądź swego bachmata:

A dokąd to znów się wybierasz, przyjacielu? — spytał Cecey.

— Odbić brańców, o których Gergely wspominał.

— Przepłucz, synu, choć trochę gardło! Hej! Gdzie to wino? — zawołał na służbę. — Aha, żeby nie zapomnieć! Twój Turek żyje. Kazałem go zamknąć w komorze.

— Jumurdzaka?

— Licho go wie, jak mu tam. Ten, któregoś postrzelił.

— Hm... Nie zabiłem go więc...

— Nie. Stracił tylko przytomność. Wzięliśmy jeszcze jednego Turka, ale co do niego, obawiam się, że długo nie pociągnie.

— Obawiasz się, waćpan? Na gałąź z tym hultajem!

— Co to, to nie, dobrodzieju! To mój niewolnik!

— Nic mi do tego! Czyń z nim, waćpan, co chcesz. Ale mojemu Jumurdzakowi każ, waszmość, dać konia i przyprowadzić go tutaj.

Żołnierze raz jeszcze zdrowo pociągnęli z kwarty, otarli usta dłońmi i poszli wykonać rozkaz.

— No, Jumurdzak — powiedział Dobo, gdy Turek się zjawił — potrzebne ci to było?

— Dziś mnie, jutro tobie — odburknął wrogo Turek, ale kiedy spostrzegł swego konia z Gergelyem na grzbiecie, aż szczeka mu opadła ze zdziwienia.

Dobo skinieniem ręki wezwał chłopca i galopem wyjechali przez bramę. Tuż za nimi Jumurdzak pod strażą żołnierzy.

— Powiedz mi, Gergely, czy wiesz, po co jedziemy?

— Nie wiem — odparł chłopak.

— Po szablę dla ciebie!

— Do Turków?

— Tak.

— Dla mnie?

— Tak. Boisz się?

— Nie.

— Widzisz, synku, najważniejsze, żeby się nie bać. Reszta już przyjdzie sama.

Na tym skończyła się rozmowa.

Jeźdźcy znikli w tumanie kurzu, tylko tętent koni słychać było na kamienistej drodze, wiodącej po stoku góry.

W ustach Gergelya srebrny dźwięk dzwonu powtarzał się echem:

Najważniejsze, synku, żeby się nie bać.

9

Brańców zastali w lesie pod dozorem sześciu zaledwie asabów. Kiedy węgierscy wojacy pojawili się wśród drzew, odrętwiali w beznadziejnej apatii niewolnicy pogrążeni łańcuchami poderwali się z ziemi wśród radosnych okrzyków. Asabowie na widok jeźdźców wzięli nogi za pas.

— Panowie, zatrzymać, za warkocze ich powiesić! — zaryczał Cygan wskazując na nich. Żołnierze jednak zaniechali pościgu i bezzwłocznie jęli uwalniać z kajdan nieszczęsnych brańców.

Dobo najpierw podał rękę księdzu:

— Jestem Istvan Dobo.

— Gabor Somogyi — odparł ksiądz wzruszony do głębi. — Niech was Bóg błogosławi, Istvanie Dobo.

Oswobodzeni niewolnicy to płakali, to śmiali się ze szczęścia, całowali ręce, nogi i kraj szat swego wybawcy. Cygan w przyływie radości fikał kozły, porykując co chwila.

— Nie mnie dziękujcie — wzbraniał się przed oznakami wdzięczności Dobo — ten oto malec was uratował — wskazał na Gergelya, stojącego u jego boku.

Osierocony mały Gergely przez długie, długie lata późniejsze nie zaznał tyle czułości, co wówczas w lesie.

Istvan Dobo z zadowoleniem stwierdził, że uciekający w popłochu Turcy zostawili na miejscu piętnaście ładownych wozów i wiele różnorodnej broni. Zanim jednak przystąpił do podziału zdobyczy,



zapytał otaczających go brańców, który z nich pierwszy został porwany przez Turków.

Rosły młodzieniec wystąpił z gromadki i zdjął czapkę:

— Ja, panie, byłem pierwszy.

— Jak się nazywasz?

— Gaspar Kocsis, do usług.

— Skąd jesteś?

— Z Egeru, panie.

— Gdzie cię złapali?

— Pod Fejervarem, panie.

— Czy wiesz, czyje to dobro?

— Nie, panie. Mnie nie zabierali, jak szli na rabunek. A rabować, rabowali wszędzie po drodze.

Dobo zwrócił się do Turka:

— No, Jumurdzak, mów ty!

— Tak, braliśmy wszędzie, gdzie Allach pozwolił nam brać. Mamy prawo do mienia niewiernych.

— Wobec tego rozładować wozy. Jeśli nie można zwrócić zagrabionych rzeczy właścicielom, podzielę je między was.

Na jednym z wozów leżał stos wszelakiego rodzaju broni pochodzącej w znacznej części z zamku Mórego. Uwagę Dobo zwróciła lekka szabelka w aksamitnej pochwie, jakby przeznaczona dla młodocianych przedstawicieli wysokiego rodu. Dobo zdjął szablę z wozu i zwrócił się do Gergelya:

— Oto twoja szabla. Bądź wiernym obrońcą ojczyzny i godnym sługą bożym. Niechaj ta szabla przyniesie ci szczęście i błogosławieństwo.

Dobo przypasał szablę do boku chłopca i pocałował małego rycerzyka w czoło.

Chłopiec z głębokim wzruszeniem przyjął ten uroczysty akt; nawet jak gdyby pobladł cokolwiek. Może powiew przyszłych czasów wstrząsnął jego młodym sercem, może poczuł w chwili, gdy przypasano mu szablę, że całe jego życie będzie z nią związane.

Następnie Dobo przystąpił do podziału tych rzeczy, które nieprzydatne były dla żołnierzy. Ku ogólnej radości każdemu dostał się i wóz, i koń, wojacy bowiem nie bardzo kwapili się do chabet zaprzęgniętych do chłopskich wozów.

Cygan uszczęśliwiony, pokrzykując z zadowolenia, biegał, skakał wokół swego konia i wozu, ale naraz coś mu wpadło na myśl. Jednym

susem znalazł się przy stercie broni i począł przymierzać rozmaite zardzewiałe sztuki, pozostawione przez żołnierzy jako nie nadające się do użytku. Na modłę turecką opasał się jakąś chustą, zatknął za pas tyle noży i sztyletów, że przypominał jeża. Wreszcie chwycił jeszcze jakąś tarczę turecką, lichą, z trawy morskiej, i nałożył ją sobie na ramię, do bosych nóg przypiął ogromne zardzewiałe ostrogi, a na głowę przywdział żelazny szyszak, nie zdejmując jednak przezornie czapki. Na końcu uzbroił się w długą włócznię i tak przystrojony tanecznym krokiem przystąpił do Jumurdzaka:

— No, Jumurdzak — powiedział, wymachując mu przed nosem włócznią — jak się teraz czujesz, ty psie niewierny. Pokaż no, czy warkocze masz ładnie upięte!

Zabrzmiał śmiech ogólny.

Lecz Istvan Dobo zawołał:

— Nie bądź teraz taki chwat! Nie trzeba się natrzęsać nawet z wroga. Skąd jesteś?

Cygan spokorniał od razu i kłaniając się w pas rzekł:

— Zewsząd, padam do nóg, gdzie trzeba przygrywać.

— A naprawiać strzelby umiesz?

— Ho! ho! Jeszcze jak, całuję rączki! Tak wyreperuję, że lepiej strzela niż nowa.

— Dobrze. Zgłoś się w Szigetvar, na dworze jaśnie pana Balinta Tóroka. Tam będzie ci nieźle.

Mała, chuda Cyganka zbliżyła się do Dobo prosząc, by pozwolił sobie przepowiedzieć przyszłość.

— Moja żona tak wszystko wywróżyć umie, że po prostu wierzyć się nie chce. I dziś rano przepowiedziała, że nas wybawią z tej niewoli.

Kobiety skwapliwie przyświadczyły Cyganowi, nawet Gergely przekonywał Istvana Dobo:

— Naprawdę tak mówiła, ale myśmy jej nie wierzyli.

— No właśnie, cała bieda w tym, że nikt jej nie chce wierzyć — gestykulował żywo Cygan — ale teraz już wierzycie, co?

Cyganka tymczasem usiadła przy ognisku i zgarnawszy nieco żaru, wsypała doń jakieś czarne ziarenka.

— Datura stramonium — rzekł ksiądz z pogardą.

Nad żarem wzniósł się słup niebieskiego dymu. Cyganka bardziej jeszcze przysunęła się do ogniska, pochyliła głowę zanurzając twarz w

dymie. Oczy wszystkich z zainteresowaniem śledziły każdy ruch wróżki.

— Proszę rękę... — powiedziała po chwili do Istvana Dobo. Bez sprzeciwu spełnił jej życzenie.

— No, pokaż, co umiesz.

Cyganka uniosła twarz ku niebu i wywracając gałki oczne zaczęła mówić półszepem:

— Widzę czerwone i czarne ptaki... lecą sznurem... dziesięć... piętnaście... siedemnaście... osiemnaście.

— Moje lata — uśmiechnął się Dobo.

— Przecież że tak! — radował się Cygan.

— Obok osiemnastego ptaka widzę anioła. Sfrunie do ciebie i już cię nigdy nie opuści. Chustą przewiązuje ci czoło. Na imię jej Sara.

— Sądząc z tego, żona moja będzie miała na imię Sara. Tylko obawiam się, że nim spotkam tę Sarę, będę już starym kawalerem.

— Może wcześniej się nadarzy, jaśnie wielmożny panie żołnierzu — pocieszał Istvana Cygan. Cyganka tymczasem ciągnęła dalej:

— Dziewiętnasty ptak ma kolor czerwony. Wlecze za sobą czarną, burzową chmurę. Straszliwy huk: na ziemię zwały się trzy wielkie kolumny.

— Może to Buda, może Temesvar, a może Fehervar — zastanawiał się na głos Dobo.

— To, to, jaśnie szanowny i wielmożny...

— Czwarta też już płonie, ale ty ją uratujesz, choć ognisty deszcz bije cię w głowę i w rękę.

— Czy to Szolnok? Czy może Eger?

— Eger, Eger, jaśnie wielmożny panie żołnierzu...

— Dwudziesty ptak błyska złotem, powstał on z promieni słonecznych. Na głowie ma koronę. A pierwszy kamień z tej korony wpada ci wprost w dłoń.

— To dobry znak.

— Jeszcze jaki dobry, jaśnie wielmożny...

— Potem znów lecą czerwone i czarne ptaki... Ale robi się ciemno... Już nic nie widzę... Słyszę tylko brzęk kajdan... i twoje westchnienie... Zatrzęsa się i puściła rękę Istvana Dobo.

— Wnioskując z tego, umrę w więzieniu — rzekł Dobo i skóra ścierpła mu na plecach.

— Co za bzdury tu wróżysz, babo! — ofuknął Cygan żonę. — Jaśnie wielmożny panie żołnierzu, ona kłamie.

— E, głupie gadanie — machnął ręką także ksiądz.

Cyganka tymczasem chwyciła rękę Gergelya. Twarz znowu zanurzyła w dymie, potem oczy podniosła ku niebu.

— Gołąb ci towarzyszy przez życie... Biały gołąb, tylko skrzydła różowe... Ale dokoła ciebie widzę ogień, wszędzie ogień... I z twojej ręki lecą ogniste koła... Później gołąb zostaje sam i płacząc szuka cię do końca życia...

Zamilkła na chwilę. Potworne przerażenie malowało się na jej twarzy. Puściła rękę i wzniosłszy dłonie ku niebu szeptała:

— Dwie gwiazdy lecą do nieba... Jedna z więzienia... Druga znad brzegu morza... I tam błyszczeć będą po wieczne czasy... — tu urwała i w śmiertelnym strachu zakryła dłońmi oczy.

— Bzdura! — machnął ręką Dobo. — Wylać by jej na głowę kwartę wody.

— Tak, tak, zimna woda dobrze zrobi tej szalonej — ryknął Cygan.

— To ty takie głupstwa wróżysz swojemu dobroczyńcy?!

I złapawszy wiadro, chlusnął wodą na głowę żony ku ogólnej ucieście towarzyszy niedoli. Dobo wziął Gergelya za rękę.

— Zostańcie z Bogiem — powiedział i ruszył z chłopcem w stronę koni.

— Jaśnie wielmożny panie żołnierzu, a co zrobić z tym zbójem? — zawołał za oddalającym się Cygan, wskazując na Turka.

— Powieś go na pierwszym lepszym drzewie — odpowiedział Dobo nie odwracając nawet głowy.

Posadził Gergelya na siodło, potem sam wskoczył na swego wierzchowca.

10

— No, przeklęty bisurmanie, przyszła na ciebie kolej! — wrzasnął Gaspar Kocsis.

— Dajcie powróż! — krzyczał woźnica Andras — ot, tam leży!

— Teraz zdechniesz — ryczał Cygan, wywracając nabiegłymi krwią oczyma.

— To od twoich kajdanowi — zgrzytnął zębami Gaspar pokazując zakrwawione nogi.

— Ojca mi zamordowałeś — krzyczała jedna z kobiet.

— Zabrałeś nam krowę, spaliłeś dom!

Turek, gdzie spojrział, wszędzie widział płonące zemstą twarze, wygrażające pięści. Rozwścieczona gromada popychała go ku staremu bukowi.

Chłop, który już raz przecierpiał niewolę turecką, wystąpił z podniesioną szablą w rękę.

— Co to, to nie! Żeby tak od razu wyzionął ducha! Trochę ognia mu pod nogi, aby nie zmarzły!

— Tak, to mu dobrze zrobi! — zawołano wielkim głosem. — Spalić żywcem przeklętego!

Kobiety już łamały chrust, inne układały stos pod bukiem.

— Ludzie! — zawołał ksiądz — zastanówcie się! Chcecie się bawić w wieszanie, a skąd pewność, czy nie nadciągnie jakiś grasujący w okolicy oddział turecki i nie weźmie nas ponownie w niewolę. Dobrze wiecie, jak się nade mną znęcali. Któż bardziej niż ja ma prawo rozprawić się z tą bestią?

Milczeniem przyjęto słowa księdza. Prawie wszyscy byli naoczniymi świadkami jego kaźni. Turcy przywiązali księdza do ławki i oblewali wrzątkiem, chcąc wydobyć z niego, gdzie ukrył skarb kościelny.

— Idźcie za żołnierzami i zostańcie pod ich opieką jak najdłużej — radził — potem zaś każdy z was niech dąży do siebie bocznymi drózkami. Niechaj was Pan Bóg błogosławi i zaprowadzi szczęśliwie do domu — skończył ksiądz i wznosił ręce do błogosławieństwa.

Groźba ponownej niewoli podziałała jak zimna woda, nikt już nie myślał o zemście, czym prędzej powiadali na nowo otrzymane pojazdy.

— Wio! W imię Boże!

Cygan także skoczył na wóz w wielkim pośpiechu, nawet całkiem zapomniał o żonie.

— Gdzie się podziałas? No, Beske, zwawo! — krzyczał w ostatniej chwili.

Gaspar przywiązał swój wóz do wozu Margit i usiedli obok siebie.

— Tylko mu dobrze, panie księdu, porachujcie kości — krzyknął Cygan na odjezdnym.

— Tak, niech mu wielebny nie żałuje ognia! — zawtórowała Cyganowi któraś z kobiet.

Odjeżdżali kolejno. Woźnica, który był u Turków kucharzem, siedział także na wozie, miał już wyruszyć, ale nagle zeskoczył.

— Nie daruję ci, ty w smole kapany bisurmanie! Muszę mu oddać! — rzekłszy to, od razu wprowadził swe postanowienie w czyn wymierzając Turkowi siarczasty policzek.

Książd pozostał z Turkiem sam na sam.

11

Gergely miał wrażenie, że to sen. Kłusując na zwinnym tureckim koniu, wciąż się zastanawiał, czym on właściwie zasłużył na tyle zaszczytów.

To na konia spoglądał, to na szablę. Konia głaskał po pięknym łbie, szablę raz po raz wyciągał z pochwy, to znów chował. Gdyby teraz przypadkiem natknęli się na Turków i Dobo powiedziałby:

„Bij, zabij, Gergely!”, z całą pewnością porwałby się, choćby i na całą armię.

Drogą mecsecką podążali ku północy.

Zapadał zmierzch. Całe niebo zasnuły cętkowane obłoczki i gdy słońce zwolna skłoniło się ku zachodowi w promieniach migotliwej glorii, kopuła nieba zdawała się utkana ze szczerozłoty łusek.

Cwałujący w dół drogą mecsecką koń Istvana Dobo nagle stanął, jak gdyby przednie nogi wrosły mu w ziemię. Poderwał łeb i strzygł uszami, grzebał nogą i parskał niespokojnie.

Dobo rozejrzał się bacznie i potrząsnął głową.

— Czuje Turka. Poczekajmy trochę! Wyruszając w las Dobo wysłał dwóch żołnierzy na zwiady. Nie czekali długo i za chwilę wrócili galopem.

— Doliną jedzie oddział turecki — zameldował jeden z żołnierzy.

— Jadą w szyku — dodał drugi.

— Gdzie są? Daleko?

— Spory kawał jeszcze. Ze dwie godziny.

— Ilu ich może być?

— Ze dwustu.

— Traktem jadą?

— Tak.

— Mają z sobą niewolników?

— Tak. I wozów co niemiara.

— Rabusie! Na pewno natknęliśmy się na osłonę Kasona. Wszystko jedno: zaatakujemy ich.

Dobo uważnie badał szeroki trakt główny, wspinający się na górę Mecsek: na zakręcie drogi wypatrzył wystający złom skalny, za

którym zamierzał ukryć ludzi, aby w dogodnym momencie znenacka zaskoczyć Turków.

— Czy nie jest nas za mało? — niepokoił się piegowaty, jasnowłosy młody chłopak, po którym na pierwszy rzut oka widać było wysokie urodzenie.

— Starczy nas, Gyurka, aż nadto — uśmiechnął się pobłaźliwie Dobo — spadniemy na nich tak niespodziewanie, że nie zdążą się nas doliczyć. Zresztą do tego czasu noc już zapadnie. Może nie uda nam się wziąć ich co do jednego, ale przynajmniej się rozpierchną, a w wioskach chłopci rozprawią się z każdym z osobna. Co do tego nie ma obawy.

Zza zakrętu wyłonił się sznur wozów wyzwolonych dziś z niewoli tureckiej.

— Na próżno kładłem im do głów, aby nie jechali głównym traktem — mruczał pod nosem Dobo.

Natychmiast na ich spotkanie wysłał żołnierza z surowym nakazem, aby dostosowali się do jego wskazówek i bezzwłocznie skręcili w stronę Peksu, a stamtąd albo na wschód, albo na zachód.

Gołym okiem widać było, jak żołnierz dopadł jadących, jak wozy stanęły i zawróciwszy ruszyły w odwrotnym kierunku.

Dobo rzucił ponure spojrzenie na Gergelya.

„A co, do diabła, mam robić z tym malcem?”

12

Ksiądz został sam na sam z Turkiem, który stojąc pod bukiem uporczywie wpatrywał się w murawę. Ksiądz wsparty na lancy stał o jakieś dziesięć kroków od jeńca. Przez pewien czas słyhać było jeszcze turkot oddalających się wozów. Potem głęboka cisza zaległa leśną polanę.

Turek nagle uniósł schyloną głowę.

— Nim mnie zabijesz — powiedział cicho, a krew uciekła mu z twarzy — wysłuchaj mnie: ten pas, który mam na sobie, wypełniony jest złotem. Za taką wspaniałą zdobycz możesz mi chyba wyświadczyć posługę: pochowaj mnie.

Ksiądz milczał i obojętnym wzrokiem patrzył na Turka.

— Wiem, że chcesz mnie powiesić — ciągnął dalej Turek — i wiem, że jestem w twoich rękach, panie. Ale spełnij moją ostatnią prośbę. Tu, pod tym drzewem, wykop mi grób i złóż mnie w nim na siedząco, twarzą ku wschodowi. Twoja fatyga zostanie hojnie opłacona.

Po tych słowach umilkł. Czekał na odpowiedź księdza i — na powrót.

— Jumurdzaku! — przemówił wreszcie ksiądz — słyszałem, jak wczoraj wspominałeś, że twoja matka była Węgierką. Czy to prawda?

— Tak — odparł Turek z błyskiem nadziei w oczach.

— Wobec tego jesteś pół-Węgrem?...

— Tak.

— Czy cię Turcy porwali jako dziecko?

— Zgadłeś, panie.

— Skąd cię porwali?

Turek wzruszył ramionami patrząc przed siebie.

— Już nie pamiętam.

— Ile lat miałeś wówczas?

— Nie wiem, ale byłem bardzo mały.

— Ojca też nie pamiętasz?

— Nie.

— Nawet jego nazwiska...

— Nic nie pamiętam.

— A jak ci było na imię?

— Nie pamiętam.

— Może przypomnisz sobie jakieś nazwisko z dzieciństwa?

— Niestety, nie.

— A po węgiersku nie zapomniałeś... To dziwne...

— W szkole janczarskiej sporo było węgierskich chłopców.

— Może przypadkiem znałeś Imrego Somogyi z Laki?

— Trudno mi tak od razu...

— Miał zaledwie pięć lat, kiedy go porwano. Przypomnij sobie. Był to czarnooki chłopak o okrągłej twarzy... dość krępy... na lewej piersi miał znamię, jak ja... — Tu ksiądz rozsunał koszulę. Nad lewą piersią widniało znamię rodzinne: trzy pieprzyki ułożone na kształt koniczyny.

Tak, tak, już pamiętam, znam go — oświadczył nagle Turek — nieraz widziałem podobny znak na jego piersi, kiedyśmy się rozbierali do mycia. Tylko teraz ma na imię Achmed albo Kubat, nie pamiętam dobrze, ale w każdym razie ma imię tureckie.

— Więc przyjaźniłeś się z nim?

— Ależ tak. Tylko... Zresztą on wojuje teraz w Persji. Ksiądz przez kilka chwil patrzył przenikliwie w oczy mówiącego, po czym krzyknął:



— Kłamiesz!

Turek spuścił oczy i wpatrywał się w swoje czerwone trzewiki, jakby się dziwił, kiedy i w jaki sposób przedziurawiły się właśnie na czubku lewej nogi.

— Nędzniku! — rzekł ksiądz z pogardą — istotnie wart jesteś szubienicy.

Turek padł na kolana.

— O, panie! Miej litość! Zabierz wszystko, co mam, pozwól, abym pozostał twoim niewolnikiem! Będę ci wierniejszy od psa!

— Wszystko zależy od tego, czy mam do czynienia z człowiekiem, czy z drapieżnikiem? Skąd pewność, że nie będziesz w przyszłości rabował i mordował mojego biednego narodu?

— Panie, niechaj mnie Allah ukarze, jeśli choć raz jeszcze wezmę broń do ręki.

Ksiądz potrząsnął głową, Turek zaklinał się:

— Złożę ci przysięgę, najstraszliwszą turecką przysięgę... Ksiądz splótł ręce na piersi i przesywając wzrokiem swego więźnia rzekł:

— Jumurdżaku, klęcząc na progu śmierci, chcesz mnie jeszcze wprowadzić w błąd! Albo może zdaje ci się, że nie wiem, co Koran mówi o przysiędze danej giaurowi?

Zimny pot zrosił czoło Turka.

— To mów, panie, na co mam przysięgać! Uczynię, jak mi każesz!

Ksiądz w zamyśleniu wsparł brodę na dłoni.

— Każdy Turek nosi jakiś amulet — powiedział wreszcie — amulet, który go chroni w boju i przynosi mu szczęście. Głowa Turka opadła na pierś.

— Ja nie chcę twojego złota — ciągnął ksiądz dalej — ja chcę twój amulet.

— Sięgnij, panie, pod lejbik — szepnął Turek ledwie dosłyszalnie i podniósł głowę — wisi na szyi.

Ksiądz istotnie znalazł amulet zaszyty w jedwabną pochewkę. Zerwał ją ze złotego łańcucha i schował do kieszeni. Następnie obszedł Turka i z tyłu przeciął więzy na nogach i rękach swojego więźnia.

Turek strząsnął z siebie sznury i odwrócił się zniechęcony. Jego żółte tygrysie oczy błysnęły przy twarzy księdza.

Jednakże ksiądz przystawił mu już do piersi ostrze lancy i uśmiechnął się drwiąco:

— No, no, Jumurdzaku! Uważaj, bo jeszcze nos sobie zadrapiesz! Turek gorejąc nienawiścią cofał się przed księdzem. Kiedy znalazł się już w odległości dwudziestu metrów, ryknął triumfująco:

— Durny giaurze! Wiedz, kogo miałeś w swoim ręku! Jestem pierworodnym synem sławnego paszy Jahja-Oglu-Mahometa! Worki złota dostałbyś za mnie! Cha, cha, cha!...

Ksiądz nie odpowiedział. Z odrazą na twarzy rzucił lancę na wóz.

13

Tarcza słoneczna właśnie ginęła za nieboskłonem, gdy ksiądz Gabor wsiadł na wóz i wyjechał z lasu na gościniec.

Widział jeszcze ostatnie pojazdy swoich rodaków, jadących z góry w stronę Pecs, ale był przekonany, że to tylko część wozów, pozostałe musiały skręcić na północ.

Dobrze znał drogę wiodącą do domu, był to jedyny gościniec biegnący z południa na północ. Przez Pecs, Kaposvar i Szekesfejervar do Budy. Ksiądz postanowił zatrzymać się w leżącym po drodze dworku Pala Bakicsa w Lak. Dalej pojedzie polną drogą na zachód. Tam nad Balatonem leży wioska otoczona brzezina. Jak się ucieszą jego wierni, gdy zobaczą go całego i zdrowego.

Zsiadł z wozu i zastawił koło. Pogodnie poklepał oba konie po karku, po czym wsiadł z powrotem i zjechał po zboczu.

Na szosie zastąpił mu drogę Dobo i jego żołnierze.

— Czemu zawróciłeś? — spytał któryś z żołnierzy, poznając w nim jednego z wyzwolonych. Ksiądz spojrzał nań pytająco.

— Turek idzie, na niego tu czatujemy — perswadował żołnierz. — Wróc i uciekaj w stronę Pecs.

— Księżu drogi! — zawołał Dobo, zbliżając się na koniu do księdza Gabora — gdzie parafia dobrodzieja?

— W Kishida — odparł ksiądz.

— Nad Balatonem?

— Tak.

— To szczęśliwy traf. Może wasza wielmożność zechciałby zabrać ze sobą tego chłopca i przy pierwszej sposobności odstawić go do Balinta Tóróka w Szigetvar.

— Chętnie — zgodził się ksiądz.

— Mamy zamiar rozbić tu spory oddział turecki, a ksiądz wie, że gdzie się strzela, tam o śmierć nie trudno.

Gergely nieśmiało zwrócił się do Dobo:

— Matula będzie się niepokoiła...

— Nie, synu, ona już wie, dokąd pojedziesz.

Ksiądz zawrócił wóz.

— Wsiądziesz? — spytał Gergelya — czy wolisz zostać w siodle?

— Zostanę — odpowiedział chłopczyk, wciąż jeszcze wpatrzony w Dobo.

U boku Dobo czuł się bezpieczniej, choć zanosilo się na krwawą rozprawę. Ale to nic. Turek to nie człowiek, to zwierz, napadający na spokojnych ludzi. Z całego dzieciennego serca nienawidził Turków.

— Jedź z Bogiem, mały rycerzyku — pożegnał go Dobo — wiem, że chętnie byś tu został z nami, ale patrz, nie masz nawet butów. Jedź więc z wielebnym księdzem, przecież spotkamy się za parę dni!

Ksiądz zdjął zastawkę z koła i trzasnął batem nad grzbietami koni.

Przygnębiony Gergely jechał stępa za wozem.

14

Był już ciemny wieczór, kiedy minęli zamek w Pócsu. Nie zatrzymali się, ksiądz pragnął być w domu nazajutrz przed południem, a musieli jeszcze objechać górę Mecsek.

Koło północy wszedł księżyc. Wóz szybko toczył się po gliniastej twardej drodze. Gergely jechał teraz przodem, aby ostrzec księdza przed każdym uszkodzonym mostkiem.

Po północy stanęli przed jakimś białym budynkiem, wyglądającym na zajazd.

— Zobacz no, synu — rzekł ksiądz — czy to zajazd, czy może inny jakiś dom. Czas konie nakarmić.

Gergely wjechał na dziedziniec, ale za chwilę wrócił.

— W domu nie ma nikogo, nawet drzwi nie przymknięte.

— To nic, zatrzymamy się na popas. Biały, kudłaty piesek, wywabiony ludzkimi głosami, wybiegł ze szczekaniem.

Ksiądz zeskoczył z wozu i obszedł cały dom.

— Hej! Dobry wieczór! — wołał w drzwi i okna — jest tu ktoś? W domu było ciemno, na wołania nikt nie odpowiadał. Na progu leżała rozbita szafka. Ksiądz pokiwał głową:

— To turecka robota. Przede wszystkim chodźmy, synu, do studni: skóra mnie jeszcze ogniem pali.

Ksiądz zanurzył wiadro, naciągnął wody, po czym ją szukać czegoś na zawalonym najróżnorodniejszych rzeczami wozie. Była tam pościel, jakaś skrzynia, rzeźbione krzesło, baryłka wina i kilka

pełnych worków. Rozciął jeden z nich i znalazł wreszcie, czego szukał: bieliznę. Wydostał z worka ręcznik, zwilżył go w wiadrze, rozebrał się do pasa i owinął ciało kojącym mokrym płótnem.

Gergely tymczasem także zsiadł z konia i zaprowadził spragnione zwierzęta do koryta.

Ksiądz sięgnąwszy pod siedzenie po garść siana namacał jakiś worek: była to sakwa z chlebem.

— Głodnyś, synku? — spytał rzucając koniom paszę.

— Trochę — przyznał się Gergely z zakłopotanym uśmiechem na twarzy.

Ksiądz wyciągnął szablę z pochwy, ale zanim napoczął bochenek chleba, podniósł oczy ku niebu:

— Święć się imię twoje, Panie — zawołał, a w głosie jego brzmiała głęboka wdzięczność — wyzwoliłeś nas z kajdan i dałeś nam chleba powszedniego!

Niebo było bezchmurne, gwiazdziste. Sierp półksiężyca przyświecał skromnemu posiłkowi.

Usiedli na cembrowinie. Ksiądz od czasu do czasu rzucał psu kawałeczek chleba, Gergely zjadł swoją porcję na spółkę z koniem.

Nagle z dali doszedł ich cichy odgłos kopyt końskich. Nastawili uszu, zajęte jedzeniem usta znieruchomiały na chwilę.

— Ktoś jedzie... ktoś samotny — orzekł wreszcie ksiądz.

— Tak — zgodził się Gergely.

Jedli dalej, chociaż tętent wzmagał się coraz bardziej na twardej, ubitej drodze. Wreszcie pokazał się jeździec.

Przed gospodą zwolnił biegu i wjechał na podwórze. Na pierwszy rzut oka stwierdzili, że to Węgier.

Stanął i rozejrzał się.

— Mubarek olsun! — przywitał ksiądz ochryłym głosem, po turecku, zmylony widać jego owiniętą ręcznikiem głową.

— Jestem Węgrem — powiedział ksiądz stanowczo i wstał. Poznał Mórego. Gergely także i trwoga ścisnęła mu serce.

— Gdzie gospodarz? — zapytał More zeskakując z pokrytego pianą konia.

— Oprócz nas nie ma tu nikogo — odparł ksiądz. — Dom stoi pusty.

— Na gwałt potrzebuję konia! I to wypoczętego konia! Ksiądz zajmując swe poprzednie miejsce na cembrowinie wzruszył ramionami.

— Wątpię, żeby się tu...

— Spiesz mi się! Pieniędzy nie mam. Jesteśmy chrześcijanami.

Pomóżcie!

Wzrokiem znawcy oszacował parę koni księdza. Na wierzchowca Gergelya, który paśł się cokolwiek w cieniu, machnął ręką: szkapa! Nie pytając o zgodę księdza, bez skrpułów wyprzągł dyszlowego. Widząc samowolę, ksiądz zawołał:

— Ho! ho! Może mi choć powiesz, dokąd ci tak pilno?

— Dobo rozbił Turków. I nas wyzwolił.

— Gdzież teraz Dobo?

— Zostawiliśmy go na trakcie.

Na tym się urwała rozmowa: More wskoczył na konia i pogalopował...

— No, no — mruczał ksiądz — ten niewiele czasu stracił na kupno konia.

Zamyślony wstał. Coś mu się przy tym z kieszeni wysunęło i ze stukiem uderzyło o ziemię. Ze zdumieniem podniósł jakiś przedmiot i teraz dopiero przypomniał sobie talizman Turka. W zielonym woreczku wyczuł palcami twardy kształt. Przeciął szablą, sięgnął do środka i wy dostał oprawny w pierścień niezwyklej wielkości, czworokątny, czarny kamień, a może był to ciemny granat. Przy świetle księżycowym za ledwie zdołał ustalić, że na wierzchu widnieje bladożółty sierp z innego kamienia, okolony niby gwiazdami pięcioma drobnymi diamentami. Ponownie sięgnął do sakiewki i z dna wyciągnął tureckie pismo, litery wyszyte były srebrną nitką. Ksiądz władał tureckim językiem, ale czytać nie umiał. Schował więc talizman Turka do kieszeni i zwrócił się do Gergelya:

— No, synku, już czas na nas... — lecz chłopczyk spał kamiennym snem, wsparty o biały worek.

15

Jaskrawe promienie słońca wesoło padają z błękitnego nieba na ziemię! A przecież nad Balatonem, gdzie okiem sięgnąć, zwęglone dachy, trupy, stratowane plony.

O, gdyby słońce było twarzą Boga, łzy na pewno spływałyby na matkę ziemię miast promieni.

Ksiądz, choć wiedział z góry, że jego wieś parafialna także mocno ucierpiała od hord tureckich, zapłakał, gdy stanął na szczycie pagórka

i zobaczył wyzierające między koronami drzew zwęglone szczątki wieży kościelnej.

Konie szły stępą. Krok za krokiem coraz szerzej rozpościerał się przed nimi obraz zniszczenia i spustoszenia. Wszędzie spalone strzechy, rozwalone bramy. Po podwórzach połamane meble, rozbite beczki, rozsypana mąka, trupy ludzi, koni, świń i psów.

W całej wsi ani żywego ducha. Tylko psy, które umknąwszy przed niebezpieczeństwem powróciły już, witały ich radosnym naszczekiwaniem. Kilka kur i gęsi cudem ocalałych spostrzegli w ogrodach.

Ksiądz zsiadł z wozu i zdjął kapelusz.

— I ty zdejm, synu, czapkę — rzekł do Gergelya. — To wioska umarłych, a nie żyjących!

Dalej posuwali się między zgliszczami.

Jakiś siwowłosy chłop leżał w poprzek drogi, wpatrzony w niebo: w zastygłej ręce trzymał jeszcze widły. Ksiądz przystanął i pokiwał głową.

— Biedny Andrasu! — westchnął i odsunął nieboszczyka z drogi, aby koniom dać przejazd.

Drugi młody chłop zawisł brzuchem na płocie, głową ku ulicy, jakby wpatrzony we własną krew, co spłynęła z czoła na ziemię i zastygła w czarną plamę. Prosiak pochrząkiwał na zasłanym pierzem podwórzu. Turek świń nawet palcem nie tknie.

Parę kroków dalej przy furtce leżało nagie niemowlę z otwartą raną na małej piersi.

Wszędzie cuchnący, trupi zaduch i swąd spalenizny. I co było przyczyną tego bestialstwa? Jakiś młody gospodarz w obronie żony przebił widłami ulubionego szyposza \* Turków.

\*/ Szyposz — grający na piszczałce. (Przyp. tłum.)

— Za tego Turka wszyscy zapłacicie życiem — odgrażali się napastnicy.

Ksiądz przygnębiony widokiem kroczył teraz obok konia wpatrzony w żółtawo połyskujący w promieniach słońca pył drogi.

Wreszcie dotarli do plebani!.

Tu dach także był spalony. Gołe zwęglone konary drzew wznosiły się nad grubą warstwą popiołu jakby wołając o pomstę: mur powyżej okien szerniały, osmalony od pożaru.

Gdy jedni z Turków oblewali księdza wrzątkiem, aby im wydał skarby kościoła, inni podpalali plebanię.

Ławka, do której go przywiązano, stała jeszcze pośrodku dziedzińca. Dokoła szczątki skrzyni orzechowej, księgi, rozsypane zboże, stratowane kwiaty doniczkowe, połamane krzesła i skorupy różnych naczyń. Przy stole bez nóg staruszka w czerni leży na wznak z rozpostartymi ramionami. Wokół niej kałuża skrzepłej krwi — to matka księdza.

— Jesteśmy w domu — powiedział ksiądz zdławionym głosem. — Jesteśmy w domu.

16

Prawie przez dwa dni bez wytchnienia grzebali zabitych. Ksiądz zdjął boczne deski z wozu i za jednym obrotem wiózł na cmentarz trzech, a nawet czterech zmarłych.

Gergely kroczył przed wozem. U boku zwisała mu szabla, w ręku niósł krzyż. Ksiądz to śpiewając, to modląc się szedł obok konia.

Na cmentarzu układał zmarłych rzędem, przykrywał ich całunem, aby kruki i wrony nie miały do nich dostępu, i wracał po następnych. Trzeciego dnia przed południem zjawiała się we wsi jakaś chłopka z dzieckiem. Od owego pamiętnego dnia kryli się w trzcinach. Wieczorem wróciło dwóch mężczyzn, co prawda pod strachem i rozglądając się za każdym krokiem.

Teraz i oni wespół z księdzem kopali groby i chowali zabitych.

Dopiero po spełnieniu smutnego obowiązku ksiądz uświadomił sobie, że właściwie nie ma dachu nad głową.

Przede wszystkim pokrył deskami izbę od ulicy, aby się chronić od deszczu. Potem sklecił rozbitą szafę. Gergely zaś zebrał porozrzucone na podwórzu książki i ustawił je starannie na półkach.

Po smutnych pogrzebowych zajęciach Gergelyowi sprawiało przyjemność układanie książek. Biblioteka składała się zaledwie z trzydziestu może tomów. W niektórych znajdował ciekawe obrazy najróżnorodniejszych owadów i kwiatów.

Kobieta doprowadziła kuchnię do jakiegoś takiego porządku i zabrała się do warzenia grochówki bez mięsa, a potem usmażyła jajka — strawę dla całej wsi w dwóch miskach!

Po posiłku ksiądz spojrział na ogród.

— Chodź, Gergely, zobaczymy, czy pszczołom nie wyrządzili krzywdy.

W pasiece stała drewniana budka w kształcie kaplicy. Drzwi i tu były wyważone, ale ponieważ Turcy poza ławką, małym paleniskiem, stołem na kozłach i jakimiś tam podłużnymi szklanymi rurami nie spostrzegli tu nic godnego uwagi, machnęli ręką i wyszli.

Szklane naczynia służyły księdzu do doświadczeń chemicznych. Nie do wiary, że to wszystko ocalało — pomyślał, ale w tej chwili usłyszał odgłos kroków.

Przez furtkę weszła jakaś kobieta opasana fartuchem, w którym niosła martwego rocznego może dzieciaka. Twarz jej była czerwona od płaczu.

Mój Janos... — szepnęła i załkała.

— Pochowamy go — rzekł cicho ksiądz.

Gergely pobiegł po krzyż i ruszył przed nimi w stronę cmentarza.

— Zawinęłam go w pierzynę i ukryłam w piwnicy — prawiała kobieta zanosząc się płaczem. — Słyszałam, jak mordują w sąsiedztwie, no i zgłupiałam ze strachu. Myślę sobie — tu wnet mnie znajdą, bo dziecko może zapłakać i mnie zgubi. Zostawiłam go tam, a sama schowałam się za kurnikiem, ale poganie dopadli mnie i tam. Uciekłam im i nie mogli mnie dogonić. Nocą chciałam wrócić, ale gdzie spojrzeć, wszędzie grasują. Przeszukali całe mokradła, tylko Bóg jeden wie, kogo zabrali i kogo zabili. A kiedy się trochę uspokoiło, to wróciłam i ot, jak znalazłam mojego Janoska. Boże, mój Boże! Czemu mi go zabrałeś?

— Nie pytaj Boga — skarcił ją ksiądz. — Pan Bóg wie, co czyni, a ty nie wiesz.

— Ale po cóż się urodził, jeśli miał mi zaraz umrzeć?

— Nie wiemy, dlaczego się rodzimy, i nie wiemy, dlaczego umieramy. Przestań bluźnić Bogu!

Ksiądz skończył swoją pracę. Gergely pomagał mu motyką. Kobieta odwiązała fartuch i owinąwszy weń dziecko, złożyła je do grobu.

— Oj, oj, jeszcze nie... jeszcze nie... — zaszlochała na nowo. Zrywała kwiaty i trawę i sypiąc na ciało dziecka zawodziła:

— Oj, Boże, mój Boże, że też przyszło mi oddać cię ziemi! Nigdy mnie już nie obejmiesz rączkami. Nigdy już mi nie powiesz: Matulu! Oj, gdzie się podziały te czerwone róże z twojej twarzyczki? Była jak krew z mlekiem. A teraz? Boże, mój Boże! Żółta jak воск... Oj, oj, oj, oj, już nigdy nie będę mogła pogłaskać twoich złotych włosków! — lamentując zwróciła się ponownie do księdza:



— A jakie miał oczki śliczne! Prawda? Oj, oj, jedyna moja uciecha na tym świecie, ty moje serce, już nigdy nie popatrzysz na mnie, już nigdy nie zamrugasz do mnie! Dolo moja, dolo!...

Ksiądz tymczasem usypał grób, łopatą uklepał dookoła, potem z krzaka dzikiego bzu odłamał gałąź w kształcie krzyża i wetknął w mogiłę.

— Oj, Boże, Boże, czemu mi go zabrałeś? — lamentowała kobieta — czemu jego, a nie mnie zabrałeś?

I zrozpaczona matka rzuciła się na świeżo usypaną mogiłę.

— Dlatego, że Bóg lepiej potrafi go dopilnować — burknął ksiądz. Otrząsnął ziemię z łopaty i przerzucając narzędzie przez ramię dodał nieco łagodniej:

— Niektórzy idą naprzód, by czekać na tych, co mają jeszcze robotę na tej ziemi. Bywa, że dziecko idzie pierw, bywa, że rodzice idą wcześniej. Stwórca tak sprawą kieruje, żeby zawsze ktoś czekał za gwiazdami na nowych przybyszów. Chodź!

Kobieta została.

17

Nazajutrz ksiądz i Gergely konno wyruszyli na południe, do Szigetvar.

Dzień był bezchmurny i ciepły. Wszędzie, gdzie przejeżdżali, spustoszenia i pogrzeby: żywi chowali zmarłych. Bywało, że zaledwie kilku wylekłych starców błąkało się po ulicach — resztę mieszkańców Turcy zagarnęli.

Gdy dotarli do trzciniowych zarośli pod Szigetvar, ksiądz spojrział w górę.

— Pan jest w domu.

Gergely w lot zrozumiał, że mowa o kasztelanie Balincie Tóroku.

— A skąd to wiadomo? — spytał zdumiony.

— Czyż nie widzisz chorągwi?

— Tam na wieży?

— Tak.

— Widzę, czerwoną i niebieską.

— To barwy kasztelana. Znak, że pan przebywa w domu. Przez zarośla jechali obok siebie. Nagle zabłysła im przed oczyma tafla wody; był to szeroko rozlewający się w tym miejscu potok Almas, po którym pływało stadko gęsi. Pośrodku dumnie przeglądała się w

lustrze wody stercząca z murów obronnych baszta. Ksiądz ponownie podjął rozmowę:

— No, jak uważasz, chłopcze, czy Dobo zbyt nie przecenił swoich sił, uderzając na Turków? Może poległ...

— W walce?

— Tak.

Nie, Gergely tego się nie obawiał. Jego zdaniem Dobo był niezwycięzony. Gdyby Gergely usłyszał, że Dobo sam jeden pobił całą armię turecką, nie dziwiłby się wcale.

— Gdyby kiedyś zginął — rzekł ksiądz — to ja cię usynowię.

Kopyta końskie dudniły już na drewnianym mostku wspartym na wysokich palach, a prowadzącym do podgrodzia. I tu pod mostem pływały niezliczone stada gęsi i kaczek. Stępa przejechali przez ulice nowego miasta i znowu stanęli u wjazdu na most wiodący do starego miasta. Przed kościołem wznoszącym ku niebu dwie wieże siedziały kobiety sprzedające czereśnie. Jedna z nich wsypywała właśnie owoce do fartuszka bosej dziewczyny. Rzemieślnicy okuwali drewniane wrota kościoła.

I znowu wjechali na most: ten był zbudowany z szerokich bali drewnianych, długi i szeroki; gdzieś w głębi pod nim pluskała woda.

— Wkrótce będziemy na miejscu — stwierdził ksiądz, starannie wycierając twarz chustką.

Brama zamkowa stała otworem, z wewnątrz dochodziło jakieś dudnienie. Spostrzegli, że po obszernym dziedzińcu wściekle pędzą ku sobie w tumanie kurzu dwaj zbrojni jeźdźcy. Srebrny pancerz jednego z nich był nowiutki, drugiego okrywało stare, miejscami pordzewiałe żelastwo, wyciągnięte chyba z jakiejś rupieciarni, gdzie leżało bezużytecznie. Jeden miał na głowie gładki, okrągły szyszak, na czubie zaś drugiego lśniła urobiona ze srebra głowa niedźwiedzia.

— Ten z głową niedźwiedzia to jaśnie pan — orzekł ksiądz z szacunkiem.

Jeźdźcy nastawiwszy kopie pędzili ku sobie z impetem. Konie zderzyły się łbami i stanęły dęba. Kopie jednak ześliznęły się po zbrojach.

— Obuszki! — ryknął rycerz z niedźwiedzią głową, zaledwie konie odskoczyły od siebie cokolwiek.

Twarze walczących były niewidoczne, zakrywały je żelazne przyłbice.

Na krzyk przybiegł pacholek w czerwono-niebieskim stroju i podał walczącym dwa jednakowe obuszki o miedzianych głowicach.

Rycerze rozjechali się w przeciwne strony dziedzińca. Z pyska konia pod jeźdźcem w kolistym szyszaku spadały białe płaty piany.

Zająwszy stanowiska rycerze podjęli walkę na nowo. Pierwszy cios zadał ten w okrągłym szyszaku.

Ów z niedźwiedzim łbem błyskawicznie odparował uderzenie tarczą, która wydała głuchy dźwięk jak pęknięty dzwon. Równocześnie prawie zniecka wyrzucił spod tarczy rękę z obuszkiem i grzotnął w głowę przeciwnika. Na żelaznym szyszaku powstało spore wklęśnięcie, a poszkodowany zdarł konia cugłami i odrzucił broń. Na to ten z niedźwiedzią głową zdjął hełm i zaśmiał się z widocznym zadowoleniem.

Był to śniady mężczyzna o pełnej twarzy. Obfite wąsy przyłgnęły mu do policzków od ucisku szyszaka. Jeden wąs sięgał brwi, drugi zaś zwisał mu prawie do piersi.

— To jaśnie pan Balint — pouczał ksiądz chłopaka z przejęciem — zdejm czapkę, jak spojrzysz w naszą stronę.

Balint Tórók jednak nie spojrział w ich stronę. Z zaciekawieniem obserwował swego przeciwnika, któremu służba z trudem ściągała szyszak z głowy. Po skończeniu tego zabiegu jeździec przede wszystkim wypluł na żwir trzy zęby, po czym jął kłać po turecku, na czym świat stoi.

Spod bramy przybiegło z ośmiu niewolników tureckich, by pomóc mu przy zdejmowaniu zbroi.

Okazało się, że nie był to rycerz, tylko zwykły niewolnik, jak i ci, którzy mu pomagali.

— No, który z was ma jeszcze ochotę zmierzyć się ze mną? — zawołał gromko Balint Tórók zataczając koniem. — Zwrócę wolność temu, który mnie zwycięży!

Muskularny, rzadkobrody Turek w czerwonym lejbiku wystąpił z grupy.

— Spróbuję, może dziś dopisze mi szczęście.

Włożył ciężką zbroję, niewolnicy zapięli stalowy napierśnik, wcisnęli mu na głowę szyszak, na nogi większe nagolenniki, gdyż był wyższy od swego poprzednika. Następnie za pomocą dwóch dragów podźwignęli go na grzbiet konia i podali mu pałasz.

— Co za dureń z ciebie, Achmed — rzekł ubawiony Balist Torok — przecież w rynsztunku nie walczy się pałaszem.

— Co robić, taki mam zwyczaj — odrzekł niewolnik. — Skoro boisz się, panie, pałasza, to trudno, ja inaczej nie potrafię.

Rozmowa toczyła się po turecku. Ksiądz tłumaczył Gergelyowi, o czym mowa.

Balint Tórók spuścił przyłbicę. Galopując dookoła dziedzińca, wywijał lekką kopią.

— Do ataku! — zawołał nagle pędząc na środek dziedzińca.

Gergely trząśł się jak w febrze.

Turek tkwił w kulbace, pochylony do przodu. Trzymając oburącz pałasz, rzucił się do ataku.

— Allah! — krzyknął, wyprostował się i zamachnął do potężnego ciosu.

Balint Tórók celował kopią w pas Turka. Kopia jednak ześliznęła się po pancerzu i wypadła z ręki kasztelana, ale tarcza wytrzymała straszliwy cios Turka, który w tejże chwili został uchwycony przez Balinta za ramię i wyszarpięty z siodła.

Turek zwałił się na bok, aż obłok kurzu wzniósł się dokoła.

— Dość na dziś — zaśmiał się od ucha do ucha Balint Tórók, podnosząc przyłbicę. — Jutro możemy dalej prowadzić harce, o ile będę w domu.

— To nie uchodzi! — krzyczał Turek podnosząc się na obolałych potłuczonych rękach.

— Co nie uchodzi? — spytał Balint Tórók.

— Nie uchodzi rycerzowi ręką ściągać przeciwnika z konia.

— Przecież tyś nie rycerz, a parszywy poganin! Może od ciebie mam się uczyć rycerskości, zbóju plugawy!

Turek milczał.

— Chyba nie bierzecie za rycerskie spotkania tych moich igraszek z wami — pieklił się dalej Tórók, wyciągając nogę ze strzemienia, by zsiąść z konia — łachmaniarze psiej wiary!

— Panie — zawołał zawodzącym, płaczącym głosem chudy, siwobrody niewolnik — ja też chciałbym dziś jeszcze raz zmierzyć się z tobą!

Stojący wokół wybuchnęli śmiechem. Balint Torok także nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Cha! Cha! Cha! Myślisz, że jestem już zmachany! Niech będzie! Sprawię ci tę przyjemność. Ponownie nałożył misiurkę.

— Któryż to raz bijesz się ze mną, Papugo?

— Siedemnasty — odparł żałośnie Turek o papuzim nosie.

Kasztelan zdjął i odrzucił misiurkę.

— Dam ci większą szansę. No, jazda!

Przewaga Tóroka widoczna była już na pierwszy rzut oka. Był to mąż słusznego wzrostu, sprężysty, o wspaniałych mięśniach. Turek natomiast był prawie pięćdziesięcioletnim mizerakiem o przygarbionych plecach.

Walczący mieli tylko kopie. Już przy pierwszym starciu kasztelan silnym uderzeniem kopii wyrzucił Turka z siodła. Ten fiknął koziołka w powietrzu i z głuchym odgłosem upadł na ziemię.

Czeladź wybuchnęła śmiechem; nawet niewolnikom udzieliła się ogólna wesołość.

Kasztelan odrzucił tarczę, zdjął żelazne rękawice i zeskoczył z wierzchowca. Pachołkowie uwolnili go od reszty żelastwa.

Papuga tymczasem podźwignął się z ziemi.

— Panie — płakał, zwracając ociekającą krwią twarz ku kasztelanowi — pozwól mi wrócić do swoich! Żona i dwoje sierot od dwóch lat czekają na mój powrót!

— Trzeba ci było w domu siedzieć, bisurmanie — burknął gniewnie Balint Tórok.

Krew go zwykle zalewała, gdy słyszał tę zebranię niewolników o wolność.

— Panie! — lamentował Turek łamiąc ręce — miej litość nade mną! Mam synka czarnookiego! Nie widziałem go przez długie dwa lata!

— Łkał i na kolanach czołgał się ku Balintowi bijąc czołem o ziemię.

— Panie! Miej litość nade mną!

Kasztelan tarł spoconą twarz.

— Litość? Obym was wszystkich nareszcie zobaczył w kajdanach razem z waszym sułtanem! — wyrzucił z siebie z nienawiścią. — Mordercy! Rozbójnicy! Nie! Gorzej! Dzikie bestie!

Zamilkł i oddalił się nieco.

Wtedy Turek nabrał w garść piachu i z wściekłością rzucił za odchodzącym.

— Niech cię Allach skarże za moją krzywdę, parszywy giaurze! Obyś i ty doczekał starości w kajdanach! Oby cię za życia jeszcze

opłakiwała twoja wdowa i sieroty! I ty będziesz płakał, może nawet po trzykroć więcej niż ja, zanim czarcia twoja dusza zostanie wtrącona do piekła.

Tak pomstował, a płynące z jego oczu łzy, pomieszane z krwią, żłobiły chude policzki.

Pachołkowie pochwycili pniącego się z wściekłości poganina, zawlekli do studni i tam oblewali wiadrami wody.

Balint Tórók przywykł do podobnych scen. Jednakże ani błagania, ani pomstowanie nikomu jeszcze w jego zamku nie zdjęły kajdanów.

Ostatecznie niewolnicy zawsze i wszędzie żebrzą o wolność, z tą jedynie różnicą, że jeden głośno, a drugi w milczeniu. Od najmłodszych lat Balint Tórók słuchał lamentu i błagania rabów, którzy byli przecież zupełnie bezpłatną siłą roboczą. Cóż za pomysł! Zwrócić wolność niewolnikowi, którego nabyło się za pieniądze!

Balint Tórók pozwolił, by parobek poprawił na nim szaty, po czym podszedł do księdza podkręcając wąsy.

— Witam księdza! Witam — i uściśnął podaną mu dłoń. — Słyszałem, że cię ugotowali na raka. No nic, skóra ci odrośnie.

— Mniejsza, wasza miłość, o moją skórę — odparł ksiądz, — Gorzej, że wybili moje wierne owieczki. Biedną matkę moją także zabili.

— Przekłęte psy niewierne — warknął kasztelan, ciskając za siebie spojrzenie pełne nienawiści. — Jeden przeklina mnie, że mu nie daję wolności, a drugi uczy, co to rycerskość! Ja na niego z kopią, a on na mnie z pałaszem. I to ma być pojedynek rycerski! Jeszcze się stawiał, kiedy go zrzuciłem z konia. Takich tylko krukowi rzucać na pożarcie.

Gniewnie szarpnął pas na sobie, a twarz miał czerwoną niczym niedźwiedź wymalowany jako godło nad bramą zamkową.

Nagle spojrzął na chłopca.

— Kto to zacz? — uśmiechnął się zdziwiony.

— Zsiądź — rzekł ksiądz do Gergelya — zdejm czapkę. Bosonogi malec z szablą u boku jak gdyby na to tylko czekał, położył się skwapliwie brzuchem na siodle, zsunął się z konia i stanął przed panem zamku.

— To tego konia zabrałeś Turkom? — spytał Balint Tórók.

— Tak — odpowiedział chłopiec z dumą.

Kasztelan chwycił Gergelya za rękę i niemal biegiem zaprowadził do żony; ksiądz z trudem dotrzymywał im kroku.

Żona kasztelana, jasnowłosa, bladolica jejmość z obfitym podbródkiem, siedziała w ogrodzie na zewnętrznym dziedzińcu zamkowym przy kamiennym stole. Rozlewała właśnie konfitury w dzbany i garnuszki i zawiązywała naczynia. Pomagał jej przy tym duchowny w białym habicie, kapelan zamkowy. Obok bawiło się dwóch chłopców: jeden z nich mógł mieć ze trzy latka, drugi pięć.

— Spójrz, Kato! — rzekł Balint Tórók z uśmiechem. — Ten mały zuch to giermek Istvana Dobo!

Gergely pocałował jejmość w rękę. Niebieskooka pani patrzyła na chłopaka rozbawiona, z niedowierzaniem.

— To on? — powątpiewał kapelan—przecież to jeszcze dziecko, chyba niedawno został odstawiony od piersi.

— Jeszcze ssie, ale zamiast mleka matczynego krew turecką — wtrącił kasztelan.

— Może byś coś zjadł, żołnierzyku?

— Tak — odparł chłopiec bez wahania — ale wpierw chciałbym pójść do mości pana Dobo.

— Oj, synku, to będzie trudno — rzekł kasztelan poważniejąc — twój pan leży...

I zwrócił się do księdza Gabora:

— Nie słyszałeś o tym jeszcze, dobrodzieju? Mając oddział składający się z pięćdziesięciu ludzi, napadł na dwustu Turków. Jeden z tych bisurmanów z taką siłą rzucił w niego lancą, że przebiła udo i zaryła się w łęk.

Gergely słuchał opowiadania z rozszerzonymi oczyma. Nie mógł odżałować, że nie był wtedy u boku swego pana. Taki zadałby cios temu Turkowi, że popamiętałby psiajucha...

— Idź, synu — odezwał się ksiądz Gabor — pobaw się trochę z paniczami.

Dwóch czarnowłosych malców, czepiając się matczynej spódnicy, gapilo się z lękiem na Gergelya.

— Czego się boicie — karciała ich matka — przecież to mały Węgier, krzywdy wam nie zrobi, on was kocha. I zwróciwszy się do Gergelya, dodała:

Ten większy to Jancsi, mniejszy ma na imię Feri.

— Chodźcie — zachęcał Gergely malców — pokażę wam szablę. Chłopcy wnet się z nim zaprzyjaźnili.

— A ty, drogi księże — spytał Tórok, usiadłszy na ławie — co poczniesz teraz bez parafii?

Ksiądz Gabor wzruszył ramionami.

— Jakoś tam będzie. Wielkich wymagań nie mam. W najgorszym przypadku o suchym chlebie pożyję... jak pustelnicy.

Tórok kręcił węża, nad czymś medytując.

— Umiesz po turecku?

— Tak.

— A po niemiecku?

— Dwa lata uczyłem się na ziemi germańskiej.

— Posłuchaj tedy mej rady: zwiń manatki i przyjedź do Sziget, a właściwie do Somogyvar, bo za parę dni tam się przenosimy. Moja żona ma księdza papistę, czemu ja nie mam mieć księdza nowej wiary? Za rok dzieci podrosną, trzeba będzie komuś powierzyć ich wychowanie.

Zakonnik w białym habicie spojrział z niepokojem.

— A ja, jaśnie panie?

— Ty? I ty będziesz miał pole do działania. Od ciebie nauczą się łaciny, a od niego tureckiego. Wierzcie mi, moi drodzy, turecki nie mniej jest potrzebny do zbawienia niż łacina.

Spojrzał na synów, którzy bawili się z Gergelyem w ganiankę wokół jabłoni.

— Zabiorę tego chłopca od Dobo — uśmiechnął się kasztelan — i być może, on będzie trzecim wychowawcą. Kto wie, czy nie lepszym niż wy razem wzięci.



Część druga

## BUDA STRACONA

Król Janos nie żyje. Syn jego jest niemowlęciem. Naród został bez przywódcy. Kraj stał się podobny do owego godła, na którym zawistne gryfy pazernymi szpony sięgają po koronę, wiszącą między nimi.

Naród stracił orientację. Nikt nie wie, czego się bardziej bać: panowania pogańskich Turków czy chrześcijańskich Niemców.

Niemiecki Ferdynand posłał na Budę starego niedołęgę, generała Roggendorfa. Sułtan sam wyruszył, by na zamku króla węgierskiego zatknąć sztandar z półksiężycem.

A działo się to wszystko w roku pańskim 1541.

\*\*

Pewnej księżycowej nocy sierpniowej dwóch jeźdźców truchcikiem podążało pod górę traktem wiodącym przez Mecsek. Jeden z nich w czarnej opończy, szczupły, z wygoloną twarzą, pewnie ksiądz. Drugi to szesnastoletni zaledwie, długowłosy młodzieniec.

W pewnej odległości za nimi podąża pacholek niesamowitego wzrostu, to chyba wielkolud. Ale nie... tylko siedzi na dwóch pękatych workach. Na plecach zwisa mu ogromna skórzana torba, z której wyzierają trzy długie, połyskujące trzony. Jeden z trzonów to lufa strzelby.

Przy drodze ciemnieją kontury rozłożystej dzikiej gruszy, może tak wiekowej jak sam trakt. Koło tej gruszy jeźdźcy się zatrzymali.

Ksiądz badawczo oglądał drzewo.

— Więc to tu?

— Tak — odpowiedział młodzieniec — za mego dzieciństwa gnieździła się w niej sowa. Od tego czasu na pewno dziupla się powiększyła i zmieści się w niej człowiek, a może i dwóch ludzi.

Młodzieniec stanął na siodle i chwyciwszy za konar zręcznym ruchem podciągnął się na gruszę; najpierw szabłą zmierzył głębokość dziupli, potem sam w niej zniknął.

— Zmieścimy się we dwóch, nawet na siedząco — krzyknął zbadawszy możliwości i zeskoczył na murawę. Ksiądz zrzucił z siebie opończę.

— No, to bierzmy się do roboty.

Byli to ksiądz Gabor i Gergely Bornemissza.

Minęło lat osiem od naszego ostatniego spotkania. Ksiądz zmienił się niewiele. Tyle tylko, że brwi mu odrosły. Twarz miał po dawnemu wygoloną. No i zeszczupełił cokolwiek.

Chłopiec natomiast zmienił się nie do poznania. Przez tych osiem lat dojrzał, stał się prawie mężczyzną. Przynajmniej wzrostem. Rysy ani zdecydowanie ładne, ani brzydkie, ot, twarz szesnastoletniego chłopaka. Długie faliste włosy spadały na ramiona zgodnie z ówczesną modą męską.

Pachołek wy dostał z torby motykę i dwie łopaty. Jedną podał księdzu, drugą młodzieńcowi. Zaczęli rozkopywać środek drogi.

Pachołek złożył na ziemi dwa worki, wrócił do koni, zdjął im kantary i spętał nogi, by się pasły na świeżej zroszonej trawie, potem i on wziął się do roboty. Ze skórzanej torby wyjął chleb, bukłak i broń. Torbę napełniał żwirem wybranym z wykopu i wsypywał ten żwir do przydrożnego rowu, a wracając znosił kamienie, by wzmocnić nimi ściany dołu. Nie minęła godzina, a rosły człowiek mógł po pas zmieścić się w dole.

— Dość — rzekł wtedy ksiądz. — Teraz przynieś worki. Pachołek przydzwigał je.

— Uwważaj, nie kładź strzelby na mokrej trawie — przestrzegał ksiądz.

— Teraz weź motykę i przekop rów aż do gruszy. Tu rów ma być głęboki na łokieć, na murawie wystarczy pół łokcia. Staraj się trawę tak wycinać, żebyśmy mogli ułożyć całe płyty ponownie. Nie wolno nam zostawić najmniejszych śladów.

Podczas gdy pachołek kopał, ksiądz i Gergely wpuścili oba worki do dołu. Był w nich proch.

Na workach ułożyli duże kamienie, szpary pozatykali żwirem i ziemią. Wreszcie udeptali wszystko i przyklepali łopatami.

Gdy pachołek wykopał rów aż do gruszy, a boki i dno wyłożył kamieniami, przeciągnęli przez rów lont, pokryli go naoliwionym płótnem, by nie zamókł w razie deszczu, i przycisnęli płaskimi kamieniami.

— No — rzekł z zadowoleniem sługa — teraz już wiem, na co się tu zanoszą.

— Na co, Janos?

— Ktoś stąd polecą wprost do nieba.

— I jak myślisz, kto?

— Kto? Nie trudno zgadnąć: jutro przejeżdża tędy sułtan turecki.

— Dziś — sprostował ksiądz rzucając spojrzenie na zaróżowione niebo i ocierając spoconą twarz.

Gdy wschodzące słońce oświeciło gościniec, nie było już na nim ani śladu dołu ni rowu.

Ksiądz odrzucił motykę.

— A teraz, Janos, skocz na sam szczyt góry Mecsek, stań tak, byś ogarnął okiem całą drogę.

— Rozumiem, proszę dobrodzieja.

— My tymczasem odpoczniemy trochę, położymy się jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków od gruszy. Ty zaś miej oczy otwarte. Gdy ujrzysz pierwszego Turka, wracaj co tchu i obudź nas.

Wyszukali trawiastą polankę, rozłożyli płaszcze i z miejsca zapadli w sen. Dobrze już koło południa wrócił zziąjany pacholek.

— Idą — wołał już z daleka. — Chmarą ciągną jak szarańcza! Tysiące wielbłądów i wozów! Na przedzie rozpoznać już można kilku jeźdźców.

Ksiądz zwrócił się do Gergelya:

— Skoro tak, to może pójdziemy do twego drugiego ojca na obiad.

— Do mości Ceceyego?

— Tak.

Gergely i służący pytająco spoglądali na księdza.

Ksiądz uśmiechnął się.

— Przybyliśmy za wcześnie. Nie rozumiesz? Ci, co teraz idą, rozłożą się taborem, rozbiją namioty, będą warzyć strawę i czekać na przybycie reszty wojsk z gotowym jedzeniem i kwaterą.

No to chodźmy do Ceceych — zawołał Gergely radośnie. Zatrzymali się przy potoczku i umyli starannie. Potem chłopak narwał kwiatów polnych. — A to dla kogo, Gergely?

— Dla mojej żony — uśmiechnął się Gergely.

— Twojej żony?

— Ewa Cecey będzie moją żoną. Razem wychowaliśmy się, a później, gdy jej ojciec mnie usynowił, musiałem ją ucałować, ilekroć przyjechałem w odwiedziny.

— Sądzę, że chętnie to czyniłeś.

— Bardzo! Jej liczko jest tak delikatne jak płatki różane.

— To jeszcze nie dowód, że ci będzie żoną.

— Stary ksiądz mi kiedyś powiedział, że rodzice mnie przeznaczili Ewę. Mości pan Cecey sporządził testament, według którego po ślubie wioska też przejdzie na moją własność.

— Ksiądz zdradził ci zatem tajemnicę.

— Nie, tylko ostrzegł mnie, abym starał się zasłużyć na to niezmiernie szczęście.

— Ale czy znajdziesz szczęście u boku tej dziewczyny? Na twarzy młodzieńca pojawił się uśmiech.

— Gdyby ksiądz ją znał, nie wątpiłby o tym.

Koń Gergelya wysforował się nieco naprzód.

— To dziewczyna — rzekł zatrzymując wierzchowca — jakiej drugiej nie ma w świecie.

Ksiądz uśmiechnął się dobrotliwie.

W gęstwinie leśnej zsiadli z koni. Gergely szedł pierwszy, znał drogę, wiedział, że ta gęstwina zasłania wieś.

Kiedy galopem zjeżdżali po pochyłości, kobiety wybiegły z chat.

— Gergely, patrzcie, to Gergely! — wołały radośnie. Gergely wymachiwał czapką na prawo i lewo.

— Dzień dobry, ciociu Julio! Dzień dobry, matko Anno!

— Jaśnie państwa nie ma w domu — krzyknęła jedna z kobiet.

Twarz Gergelya sposepniała. Zeskoczył z konia.

— Co się stało?

— Wyjechali. Przeprowadzili się.

— Dokąd?

— Do Budy.

Gergely był zdumiony.

— Czy wszyscy? — żywił złudną nadzieję, że usłyszy: „Nie, jaśnie panienska pozostała w domu”.

Usłyszał jednak to, co było do przewidzenia:

— Tak, wszyscy. Nawet ksiądz.

— Kiedy?

— Zaraz po świętym Jerzym.

— Ale chyba ktoś został w domu?

— Tylko Turek.

Gergely przygnębiony zwrócił się do księdza:

— Przenieśli się do Budy. Frater Gyórgy już dawno podarował im tam dom. Ale dziwne, że mi o tym nic nie wspomnieli. Przecież byłem tu w zapusty.

— I gdzie teraz zjemy obiad?

— Turek nam ugotuje.

— Jaki Turek?

— Turek Ceceyego, Tulipan. On tu jest do wszystkiego. Ale jesteśmy przy cmentarzu. Ksiądz pozwoli, bym wstąpił na chwilę.

Za dworkiem widać było cmentarzyk okolony krzewami bzu. Same drewniane krzyże, bez nazwisk. Gergely zostawił konia pod opieką Janosa, sam zaś szybkim krokiem wszedł na cmentarzyk. Stał przy zapadniętym w ziemię, poczerniałym, drewnianym krzyżu. Położył polne kwiaty na mogile i ukląkł. Ksiądz ukląkł obok Gergelya i unosząc twarz ku niebu, modlił się gorąco:

— Boże w niebiesiech, władco żywych i umarłych, daj wieczne odpoczywanie pogrzebanej tu ukochanej matce, zaś klęczącemu przy jej mogile sierocie żywot szczęśliwy. Amen.

I czule objąwszy chłopca pocałował go w czoło.

Brama dworku, położonego naprzeciwko cmentarzyka, była już otwarta na oścież, a przysadzista, rumiana kobieta z serdecznym uśmiechem spoglądała na przybyszów.

— Dzień dobry, Tulipanowo. — przywitał ją Gergely — a gdzie jest mąż? — spytał, zdziwiony, że nie Tulipan otwiera bramę.

— Upił się — wyznała kobieta zażenowana.

— Upił się?

— Jak zawsze. Choćbym nie wiem gdzie schowała klucz od piwnicy, zawsze go znajdzie. Dziś położyłam go pod maglem. Ale i tam znalazł.

Nie trzeba klucza chować, Tulipanowo. Gdyby miał dostęp do wina, może by się tak nie upijał.

— Juz wypróbowałam wszystkie sposoby. Ale nic nie wskórałam. Pije jak gąbka. I śpiewa. Tylko pracować się nie chce gałganowi!

W cieniu morwy siedział śniady wieśniak. Pod nim trzciniowa mata, przed nim zielony dzban gliniany. Nie był jeszcze na tyle pijany, aby pozwolił zabrać sobie wino. Popijał wspólnie z synkiem, sześciolatkiem bosonogim chłopcem, o czarnych jak węgiel oczach, podobnych do oczu ojca, z tą tylko różnicą, że w źrenicach Tulipana igrały wesołe ogniki, jak gdyby dopiero co splątał komuś figla.

Był to ten sam Turek, któremu Cecey darował kiedyś życie, bo twierdził, że umie grać w szachy. Potem okazało się, że w szachy nie warto było z nim grać, ale za to znał się na wszelkich robotach

domowych. W gotowaniu był wprost mistrzem. Jego ojciec był kucharzem u jakiegoś paszy. Kobiety chętnie żartowały z Tulipanem, bo nauczył je, jak przyrządzać pilaw, malebi, sorbety i inne przysmaki tureckie. Łaski Ceceyego zaskarbił sobie dzięki temu, że wyrzeźbił mu z drzewa rękę z palcami. Cecey przymierzył arcydzieło i z zadowoleniem stwierdził, że gdyby włożył rękawiczki, nie znać, że to ręka drewniana. Potem próbował strzelać z łuku, który kazał znieść ze strychu. Udało mu się naciągnąć cięciwę drewnianą ręką. I wtedy awansował Turka na „chłopca do wszystkiego”.

W owych czasach zginął właśnie na wojnie mąż pewnej młodej wieśniaczki. Turek pocieszał biedną kobietę, jak mógł, potem poślubił wdowę, przyjąwszy przedtem wiarę chrześcijańską. Od tej chwili został gorącym patriotą węgierskim.

Na widok Gergelya i księdza Tulipan nie bez trudu wstał z ziemi i zwyczajem tureckim skrzyżował ręce na piersi. Próbował pokłonić się, ale poczuł, że może się to skończyć rozbiciem nosa, więc tylko chwiejnym krokiem i potykaniem się dał wyraz szacunkowi należnemu gościom.

— E j że, ej że! — pokiwał głową Gergely. — Wciąż jeszcze pijesz?

— Ano piję — odpowiedział Tulipan poważnie, lecz oczy mu się śmiały. — Mam dużo do nadrobienia. Przez dwadzieścia pięć lat nie piłem.

— A jak teraz po pijanemu ugotujesz nam obiad?

— Żona ugotuje — wskazał kciukiem na kobietę — takie pierogi z serem, że palce lizać!

— Ale my chcemy pilaw!

— Pilaw też potrafi przyrządzić. Nauczyłem ją.

— A gdzie twój pan?

— W Budzie. Przyszedł list. Jaśnie państwo wyjechali. W Budzie dostali dom. Tam piękna panienska siedzi jak róża w ogrodzie.

Gergely zwrócił się do księdza.

— I co się z nimi stanie, jeśli Turkom uda się zdobyć twierdzę?

— Ho! Ho! — potrząsnął głową ksiądz — wpierw muszą zdobywać kraj cał po calu, a Budę dopiero na samym końcu. Ale dotąd żaden wróg nie zasiadł w tej twierdzy.

I widząc pełne troski spojrzenie Gergelya dodał:

— Ojczyzny strzeże naród. Twierdzy zaś na Budzie sam Pan Bóg strzeże.

Tulipan otworzył drzwi. Stęchły zapach lawendy zionął z izby. Otworzył więc okna i poprosił gości, by spoczęli trochę.

Wzrok księdza zatrzymał się na portretach wiszących na ścianie.

— To Cecey? — spytał wskazując na podobiznę mężczyzny w szyszaku na głowie.

— Tak — odparł Gergely. — Tylko że włosy ma już teraz siwe.

— A ta zezowata kobieta?

— To pani Cecey. Nie wiem, czy miała zeza, kiedy ją malowano, teraz nie jest zezowata.

— Musi to być zgorzkniała kobieta.

— Skądże znowu! Pani Cecey jest pogodna i miła. Była dla mnie dobra jak rodzona matka.

Chłopak czuł się jak u siebie w domu. Podsunał księdzu krzesło i promieniejąc ze szczęścia objaśniał:

— To było ulubione miejsce Ewuni, tu haftowała, a nogi trzymała na tym stołku. Z tego okna zwykle patrzyła na zachód słońca i wtedy cień jej główki padał na ścianę. A jak ślicznie maluje! Proszę spojrzeć na tę płaczącą wierzbę i mogiłę, ja tylko motylki domalowałem. Bywało, siadała tu, łokciem oparta o stół, i uśmiechała się tak filuternie, jak tylko ona potrafi...

— Dobrze, dobrze — przerwał ksiądz znużony — ale idź, synu, i zobacz, co z obiadem.

\*\*

Był już późny wieczór, kiedy ułożyli się do snu. Ksiądz miał napisać kilka pilnych listów, spał więc w osobnej izbie. Gergely także przygotował sobie papier i inkaust, usiadł przy łożówce. Przede wszystkim narysował u góry piękną niezapominajkę i potem dopiero przystąpił do pisania listu do Ewuni: jaką to przykrą niespodzianką było zastać pusty dom, jak to się stało, że go nie zawiadomiono o przeprowadzce? A może zawiadomiono go, tylko list się zawieruszył...

W owym czasie jeszcze nie było poczty na ziemi węgierskiej. Tylko możni mogli sobie pozwolić na prowadzenie korespondencji. Jeśli ktoś miał wysłać list z Budy do Oreglak, to na własny koszt musiał dostarczyć pismo na miejsce przeznaczenia.

Powieki Gergelya opadały raz po raz, rzucił się więc na ławę zasłaną wilczą skórą i z miejsca zmorzył go sen.

Spałby może do późnego ranka, gdyby o świcie nie zaryczała pod oknem krowa.

Odwykł już był od tego rodzaju wiejskiej sielanki. Krowy nie ryczały pod oknami w Somogyvar czy w Szigetvar ani w innych pałacach Balinta Tóroka. Służba budziła go jednocześnie z dziećmi kasztelana i po śniadaniu czekał już na nich w ogrodzie ksiądz z książką w ręku.

Gergely usiadł na posłaniu i przecierał oczy. Przypomniało mu się dzisiejsze niezwykle zadanie: wyprawienie do rajsu sułtana tureckiego. Skoczył na równe nogi i zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju.

— Dzień dobry! Już świta! Może już czas wyruszyć? Ciszka. Gergely wchodzi do izby. W ciemności otwiera okiennice i okno.

Łóżko księdza jest puste.

Gergely rozgląda się zdumiony.

„Co to znaczy? — medytuje. — Posłanie nietknięte...”

Wybiega z pokoju. Na podwórzu Tulipanowa w halce i na bosaka wypędza świnie.

— Tulipanowo! A gdzie wielebny ojciec?

— Poszedł. O północy...

— A Janos?

— Janos został. Ksiądz poszedł sam, pieszo.

Gergely wrócił do pokoju. Domyślał się, co to wszystko znaczy. Bez dalszego zastanowienia sięgnął po plik listów.

Jeden z nich był otwarty. U góry grubymi literami było napisane: Kochany synu, Gergelyu!

Tak, to do niego. Podszedł bliżej okna. Inkaust był jeszcze wilgotny, nie zdążył zaschnąć na papierze.

Gergely czytał:

Twoja to będzie zasługa, jeśli ta ukoronowana bestia poleci dziś do piekła. Wyprawa to niebezpieczna. Zostaw ją więc mnie, synu. Ty kochasz życie. Jesteś młody. Odwaga twoja i pomysłowość mogą niezmiernie oddać narodowi przysługi. Obok listu znajdziesz sakiewkę, a w niej pierścień turecki. To mój skarb jedyny. Temu go przeznaczyłem, kogo najbardziej kocham. Tobie, synu. I książki też tobie zostawiam. Czytaj je, jeśli kiedyś później wypogodzi się niebo nad ojczyzną. Teraz nam, Węgrom, szable do ręki, a nie książki.

Jaśnie panu Balintowi Tóroka zostawiam broń, jaką posiadam, Janosowi zbiór kamieni, Feriemu zaś zielnik. Niechaj z moich książek wybiorą po jednym tomie na pamiątkę. Powiedz im, żeby zwalczali



pogan i kroczyli śladem swoich dzielnych ojców, i niechaj wespół z tobą dążą ze wszystkich sił do podźwignięcia królestwa narodowego. Zresztą do nich także piszę. Zachowajcie wszyscy trzej w pamięci słowa człowieka, którego dusza, podzielona pomiędzy was, nie opuści was po wieczne czasy.

Spałeś, synu, kiedy wyszedłem. Ucałowałem cię w czoło — Książdz Gabor.

Gergely osłupiały wpatrywał się w list. Śmierć? Szesnastoletniemu chłopakowi śmierć wydaje się czymś niepojętym. Wyobraźnię jego fascynuje jedynie myśl, że wśród dymu i płomieni sułtan turecki rozdarty na kawałki wyleci het wysoko. I to w jego oczach.

Wsunął do kieszeni sakiewkę, list i prawie biegiem udał się do Tulipana.

— Tulipanie — zwrócił się po turecku do ziewającego pod okapem człowieka — czy posiadasz jeszcze swój ubiór turecki?

— Nie mam — odparł Tulipan — żona przerobiła na lejbiki sobie i małemu.

— A turban?

— Z turbanu uszyła koszulki, bo to piękne było płótno.

Zawiedziony w swych zamiarach Gergely przechadzał się tam i z powrotem.

— Co więc mam uczynić? Poradź mi! Dziś przeciągnie tędy wojsko tureckie ze swoim sułtanem. Chciałbym go zobaczyć.

— Sułtana?

— Tak.

— Dlaczego nie? Może go panicz zobaczyć.

W oczach Gergelya zabłysnął promień nadziei.

— Naprawdę? W jaki sposób?

— Obok traktu sterczy ogromna skała. Nawet nie jedna, dwie naprzeciwko siebie. Nietrudno będzie wspiąć się na wierzchołek. Gałęziami przykryje sobie panicz głowę i może patrzeć a patrzeć!

— To odziej się prędko i chodź ze mną. A każ jedzenie włożyć do chlebaka i o bukłaku nie zapomnij.

Na słowo bukłak Tulipan nabrał wigoru. Odział się na łapu capu i wesoło wołał na żonę krzątającą się w stodole:

— Julisko, słoneczko moje! Chodź no tu, a prędko!

Tulipanowa zajęta była karmieniem ptactwa. Usłyszawszy głos męża, rzuciła kurom jeszcze garść ziarna i dopiero zwróciła się do męża:

— Czego chcesz?

— Bukłaka, perełko — śmiał się triumfująco Tulipan. — Bukłaka, perełko.

— A za nic nie dam! Skaranie boskie z takim pijanicą! Dotąd chlałeś tylko po południu, a teraz już od świtania chciałbyś żłopać?

— Ależ, baranku mój umiłowany, moja ty słodczy stambulska, to nie dla mnie, to dla panicza.

— Panicz nie pija wina, szachraju jeden!

— To prawda — uśmiechnął się Gergely. — Ale dziś mamy do załatwienia ważną sprawę, może wrócimy dopiero późnym wieczorem, chcę, aby Tulipan nie cierpiał pragnienia.

— A dokąd to się panicz wybiera?

— Chcemy zobaczyć wojsko tureckie. Dzisiaj mają przechodzić przez Mecsek.

Tulipanowa zbladła.

— Wojsko tureckie? Matko Najświętsza! I po co to paniczowi? Nie lepiej siedzieć w domu?

— Nie. Muszę ich zobaczyć!

— Paniczu kochany, po co się pchać w nieszczęście? Niech się panicz zastanowi!

— Mam tego dość! — zniecierpliwiał się Gergely. — Koniec końców, nie o radę prosiłem, ale o wino!

Ponieważ w tym miejscu panicz tupnął nawet nogą, kobieta pobiegła co tchu do domu. Wnet jednak wróciła; była nadaśana.

— Co do mnie, panicz może robić, co zechce, nie moja to rzecz. Ale Tulipan zostanie w domu.

— A nie mówiłem, że durna baba jesteś, słoneczko?

— Zostaniesz w domu! Słyszysz?

— Tulipan pójdzie ze mną — wtrącił Gergely stanowczo.

— Po co? Pacholek poniesie torby panicza. Od tego jest, żeby usłużył i tyle!

Służący Janos był widać tego samego zdania, bo z torbą narzuconą na ramię poił już konie.

Tulipan uznał, że nadszedł właściwy moment, aby wykorzystać niepokój żony i postawić się wobec niej.

— Babo, nie gadaj tyle! Pójdę i koniec! Obym już nigdy nie zobaczył jasnego nieba, jeżeli nie pójdę! Każdy łyk wina trza wymodlić od ciebie. Marna z ciebie żona, marna...

Twarz Tulipanowej zsiniała.

— Zagarną cię Turcy, zobaczysz!

— No i co?

— Oj biada mi! Oj biada! I miałbyś sumienie porzucić nasze piękne dzieci i mnie! Boże, zlituj się nad nami!

— Dzieci dziećmi, ale wina nie dajesz. A w dodatku, kto mnie pobił w zeszły czwartek? Ty!

— Dobrze, pij sobie, ile wlezie, tylko nie odchodź od nas, miej litość nad sierotami...

Tu Tulipanowa zaszlochała gorzko.

— Zgoda, ale zapamiętaj sobie, babo, co przyrzekłaś, panicz świadkiem! Ja zaraz wrócę, tylko odprowadzę panicza. A ty przygotuj przez ten czas wina! Tylko nie poskap, bo się rozgniewam!

— Przecie mówię, że możesz pić, ile dusza zapagnie!

— A ja ci powiadam, kobieto, że jak nie będziesz tyle gderała, to mnie nigdy więcej nie zobaczysz pijanego. Jak tobie się zdaje: czemu ja na raz tyle chlałem? Bom się bał, że mi przez przekorę nigdy już więcej nie dasz się napić!

Słowa Tulipana podziałały kojąco na żonę. Odzyskała spokój i zabrała się do przygotowania prowiantu. Ze łzami w oczach odprowadziła męża do bramy i tak czule patrzyła za nim, że serce Tulipana rozpierała radość.

Janos dotrzymał im towarzystwa aż do gęstwiny. Tam zsiadli z koni, Gergely i Tulipan dalszą drogę odbywali pieszo, Janos zaś wrócił z końmi do wsi.

Przy szosie do dziś dnia stoi skała z dziesięć metrów wysoka. Z jej szczytu objąć można wzrokiem całą drogę do dzikiej gruszy, przy której ksiądz siedział w ukryciu.

Tulipan ściał naręcze gałęzi, obłożył nimi skałę, aby spod tej osłony móc spokojnie obserwować, co się dzieje na gościńcu.

— I tam trzeba trochę gałęzi, od północnej strony — zauważył Gergely.

— Po co?

— Żeby później jak najdłużej cieszyć się wspaniałym widokiem.

Słońce schowało się właśnie. Drozdy śpiewały, synogarlice gruchały w wysrebrzonym rosą lesie. W dali, od strony Peksu, pojawiły się w tumanie kurzu pierwsze oddziały jazdy.

Zdawało się, że droga wiodąca do miasta to jedno długie pasmo chmur. Przez pewien czas nic nie było widać, aż wreszcie chorągiew, czerwona jak papryka, wyłoniła się z szarego kurzu, potem jeszcze jedna... potem pięć, dziesięć, sto, coraz więcej. Pod chorągwiami, w wysokich turbanach żołnierze na koniach arabskich, tak niskich, że niektórym żołnierzom nogi prawie sięgały ziemi.

— To gureby — objaśnił Tulipan. — Oni zawsze idą przodem. To nieprawdziwi Turcy.

— Tylko co?

— Arabowie, Persowie, Egipcjanie i inna hołota. Taka zbieranina.

Tak, to zbieranina. Świadczył o tym ich różnorodny ubiór. Jednemu błyszczał na głowie spory kociołek miedziany. Brakowało mu nosa, widać już obszedł Węgry.

Postępujący z łoskotem oddział wyprzedzała chorągiew w białe pasy. Ogorzali od słońca ludzie ubrani byli w jednakowe niebieskie szarawary. Po ich zadowolonych twarzach widać było, że dobrze podjedli i podpili sobie w nocy.

— To ulufedźowie — ustalił Tulipan fachowo. — Czyli zacieźni, policja polowa. Oni konwojują kasę regimentu. Czy widzi panicz tego brzuchacza, co ma rozwalone czoło i miedziane guziki na piersi?...

— Widzę.

— Nazywa się Tuma. To znaczy żuraw. Ale po mojemu trzeba było nazwać go świnią.

— Dlaczego?

— Bo kiedyś na własne oczy widziałem, jak zjadł jeża — rzekł Tulipan i splunął na ziemię.

Z łomotem zbliżał się następny czambuł z żółtą chorągwią na czele. Aż mieniło się w oczach, taki blask bił od ich zbroi. Nawet konia agi zdobił wyszywany w srebrne łuski napierśnik.

— A to znów sylidarzy — powiedział Tulipan. — Także najemni żołdacy. Niech was kule biją, bandyci! Służyłem u nich dwa lata.

Następnie przeciągały czerwone chorągwie spahich, zbrojnych w łuki i kołczany, oficerowie w zbroi, z szerokimi krzywymi szablami u boku. Po nich następowali Tatarzy w skórzanych dolmanach.

— Tysiąc... dwa tysiące... pięć tysięcy... dziesięć tysięcy... — liczył Gergely.

— Szkoda fatygi — machnął ręką Tulipan — jest ich chyba ze dwadzieścia tysięcy.

— Jakie mają kościste twarze! Fe! Co to za szpetny naród!

— Nawet Turcy mają do nich wstręt. Jedzą łby końskie!

— Końskie łby?

— No tak. A jak nie starczy dla wszystkich, to choć jeden postawią sobie na stół.

— Gotowany czy pieczony?

— Żeby to gotowany albo pieczony... Na surowo! Ale na tym jeszcze nie koniec. Psiejuchy nawet noworodki mordują! Bo widzi panicz, chodzi im o żółć ludzką.

— Nie opowiadaj takich okropności!

— Mogę nie mówić, ale tak jest! Bo u nich taki przesąd: że koń zmęczony od razu nabiera nowych sił, jak mu się dziaśło natrze żółcią ludzką.

Gergely, zatrwożony, cofnął wsuniętą pomiędzy listowie głowę.

— Nie mogę nawet patrzeć na nich — rzekł — przecież to potwory.

Tulipan natomiast dalej obserwował w skupieniu.

— Teraz zbliża się niszandzi beg — odezwał się po dłuższym milczeniu. — To ten, który rysuje nazwisko padyszacha na pismach z pieczęcią.

Gergely wysunął głowę i patrzył w dół. — Więc ten z głową jak szczupak to beg, turecki dostojnik — jak butnie siedzi na swym bachmacie w otoczeniu watahy.

— Za nim jedzie tefterdar, ten siwy przygarbiony Arab; turecki minister skarbu.

W otoczeniu licznej grupy żołnierzy kroczy kazi asker w sięgającym do kostek żółtym burnusie, z wysokim białym kołpakiem na głowie: to najwyższy sędzia polowy. Z kolei ciągną czaznegirowie, czyli stolnicy, rękodajni i cały oddział gwardii dworskiej; ci ostatni błyszczą złotem.

Słysząc już zbliżającą się orkiestrę turecką. Wśród wrzasku surm i trzasku talerzy zbliża się i posuwa dalej barwny, pstrokaty orszak. Sokolnicy dworscy z sokołami na ramionach; konie ich mają grzywy pomalowane na szkarłatne.

Za sokolnikami ciągną rumaki ogniste, tańczące, to stadnina sułtańska pod dozorem solaków i janczarów.

Za stadniną łopocą na wysokich drzewcach buńczuki, niesione przez trzystu kapudżich w jednakowych białych czapkach wyszywanych złotem. To ochrona pałacu cesarskiego w czasach pokoju.

Poprzez obłoki gęstej kurzawy jaśnieją zastępy janczarskie. Za białymi kapuzami wnet pojawiają się czerwone zawoje, zdobne w kościane łyżki, oraz modre sukienne stroje oficerskie.

— A kiedy zobaczymy sułtana? — pyta Gergely.

— Ho! Ho! Jeszcze nie tak prędko — orzeka Tulipan. — Przecież samych janczarów będzie z dziesięć tysięcy, a za nimi jadą jeszcze czausowie i inni dostojnicy dworscy.

— W takim razie nie ma co, usiądźmy trochę dalej i zjedźmy coś.

Od południa skała zasłaniała ich przed pochodem, ale oni dokładnie widzieli nieprzejrzone hordy płynące jak rzeka po północnym zboczu w kierunku kotliny.

— Zdążymy nawet uciąć sobie małą drzemkę — stwierdził z zadowoleniem Tulipan, rozwiązując sakwę.

— A to co? — zdumiał się Gergely, kiedy Tulipan z brzękiem wy dostał z torby jakiś łańcuch.

— To mój nierozłączny druh. Bez niego nie ruszam się z domu — szczyrzył zęby Tulipan, znacząco podnosząc brwi. Gergely spojrzał nań pytająco.

— To moje kajdanki. Ilekroć wychodzę poza granice wioski, wkładam je na jedną nogę na wypadek, gdybym — co nie daj Boże! spotkał Turka. Bo to wiadome, że bisurmanin nie tylko nie zagarnie takiego w jasyr, ale jeszcze mu zdejmie kajdany. A już moja w tym głowa, jak się wymknąć. Już czas najwyższy, aby je sobie założyć. O proszę, ten klucz od kajdan schowam do kieszeni. Gdyby nas spotkało nieszczęście, to powiemy, że należymy do dworu Balinta Tóróka. Ja jako niewolnik, a panicz jako pisarz. Jaśnie pan Balint trzyma stronę Turków, więc nie będą nas zbytnio strzegli. A w nocy ja wyzwolę panicza i razem uciekniemy do domu.

— No, Tulipanie, widzę, że masz głowę na karku.

— To się wie! Nawet żonę potrafię przechytrzyć, szczególnie po trzeźwemu. A przecież to kobieta też niegłupia. Tylko język ma przydługi.

Tak rozmawiając, wy dostał z sakwy świeży, rumiany bochenek chleba, szynkę, słoninę i kilka zielonych strąków papryki. Gergely ukroił sobie kawałek szynki, zaś Tulipan chwycił za słoninę, którą posolił i grubo posypał mieloną papryką.

— Żeby oni teraz widzieli, co ja jem! — powiedział wskazując głową w stronę Turków.

— Bo niby co?

— Ano Turek wina jeszcze wypije — uśmiechnął się Tulipan — ale słoniny tak się brzydzi, jak Węgier pieczonego szczura. Bo nie wie, co to za wspaniała rzecz: paprykowana słonina. Na mój rozum, Mahomet na pewno nigdy nie miał w ustach paprykowanej słoniny, boby tak surowo nie wzbraniał swoim wiernym spożywania świniny.

— Zatem wolisz być Węgrem? — spytał Gergely uśmiechnięty.

— No chyba! Przecież nie dureń! — Rzekłszy to, zadowolony przyglądał czarne jedwabiste wąsy, pociągnął z bukłaka i podał Gergelyowi, ale ten potrząsnął głową.

— Może później.

Wyciągnął z kieszeni jedwabny woreczek.

— Tulipanie, znasz ten pierścionek?

— Nie, ale na oko widzę, że wart tyle co pałac z marmuru. A te drobne kamienie to diamenty?

— Tak.

— To dobrze. Bo powiadają, że wzrok człowieka się poprawia, gdy długo patrzy na diamenty.

— A to pismo umiesz przeczytać?

— A jakże! Byłem przecież janczarem, ale mnie wyrzucili, bo kiedyś w Niszu jadłem słoninę. W szkole janczarów uczono nas czytać, ale tylko Koran. No, zobaczmy, co tam jest napisane.

— Ila maszalah la hakk vela kuvet il a billah el ali el azim. To znaczy: Poza świętym i nieśmiertelnym Bogiem nie ma prawdy i mocy.

Pokiwał głową:

— Tak, tak. Gdyby nie wola boska, tobym nie był dzisiaj Węgrem...

Przez czas jakiś siedzieli zatopieni w myślach. Pierwszy odezwał się Tulipan:

— Przekona się panicz, że sułtan to skromny człowiek. Jego naród lubi się stroić, ale on tylko wtedy przyobleka szaty królewskie, kiedy gości przyjmuje. Przed sułtanem ciągnie cały las chorągwi, przeważnie końskich ogonów na pozłocistych drzewcach. Następnie dostojnicy dworscy, czohodar, czyli komornik, dulben-dar, to ten, co ma dozór nad szatami, czyli szatny, rikiabdardar, czyli masztalerz. Potem idzie dwunastu baszi, rękodajnych sułtana: czamaszir baszi od bielizny, berber baszi — cyrulik, ibrikdar baszi, ten co trzyma miednicę sułtana, gdy sułtan się myje, peskirdzi baszi — od

ręczników, szerbedzi baszi — od pucharów, safradzi baszi — od nakrywania stołu, tim...

— Przystań już, Tulipan, bo mi się w głowie kręci...

— Zaraz, jeszcze tylko powiem, jaki ma urząd timurkdzi baszi: to on obcina najłaskawsze paznokcie sułtana... i — ciągnął dalej — no, potem idzie oddział nieliczny, ale huczny: sułtańska kapela. Na przedzie stu surmarzy, a surmy ich zwisają z ramion na złotych łańcuchach. Potem stu szyposzów i dwustu tarabaniarzy. Ale na tym ciągle jeszcze nie koniec — bo dalszych dwustu chłopca wtóruje im grzechotkami! Zobacz panicz, co tu będzie się dziać!

— Nie zazdroszczę sułtanowi, że mu tak przygrywają od rana do wieczora.

— Tak. To harmider piekielny. Dopiero kiedy pochód staje, muzyka milknie. Ale hałas potrzebny Turkowi, a zwłaszcza w boju. Bez muzyki Turek się nie bije.

— Powiedz, Tulipanie, czy to prawda, że janczarów wychowuje się z samych chłopców chrześcijańskich?

— To przesada! Może połowę. Zresztą nie wiem dokładnie. Ale jedno jest pewne: najgorliwsi janczarowie to chłopcy porwani. Nie mają ni matki, ni ojca. To zaszczyt dla nich polec w boju.

— A po orkiestrze jakie idą oddziały?

— Chmara najróżniejszej hołoty: linoskoczki, kuglarze, guślarze, bazarnicy, co handlują drobiazgami i czatują na łup. Z tyłu ciągną jeszcze wielbłądy z wodą. Ale woda zawsze jest ciepława.

— Na tym koniec?

— Gdzież tam! Za tym wszystkim podążają setki karawan cygańskich i niezliczone hordy psów, co padliną się żywią. Ale te zobaczymy dopiero jutro lub pojutrze.

— A potem?

Tulipan wzruszył ramionami.

— Sępy.

— Sokoły?

— Scierwniki, kruki, wrony... Za każdą armią ciągną całe stada po niebie.

Słońce przygrzewało mocno. Gergely zdjął kubrak. Zajęli poprzednie miejsce i wsparci łokciami o skalny parapet, przyglądali się posuwającym się dołem janczarom.



— Ten śniady chodził ze mną do szkoły — zauważył Tulipan. — Kiedyś o mało nie wyzionął ducha, tak go poharatali, ale wylizał się, tylko mu dołek został na piersi tak wielki, że zmieściłaby się w nim pięść dziecka. A tamten, co zdjął kapuzę i obciera sobie łeb, co najmniej stu ludzi zabił w wojnie perskiej. A sam nawet blizny nie ma na sobie, chyba że go ostatnio posiekali trochę. A ten, co teraz idzie, to chuchro, to mistrz w rzucaniu noży. Na odległość dwudziestu pięciu kroków trafi wroga w pierś. Nazywa się Tyapken. Takich jak on znajdziesz tu wielu. W szkole janczarów jest porośnięty trawą pagórek. Tam uczą rzucać sztyletami.

Niektórzy dla zdobycia wprawy rzucają dziennie po dwa tysiące-razy.

— A ten Murzyn?

Patrzcie no! I ty żyjesz jeszcze, stary Keskin! To pływak, co się zowie. Jak trza, to szablę bierze w zęby i przepłynie rzekę nawet najszerszą.

— To i Węgrzy potrafią.

— Możliwe, ale ten ma płuca jak miech kowalski. A pod wodą widzi jak ryba. Kiedyś sułtan zabawił się z nim nad Dunajem. Złote monety rzucał do wody, a panicz wie, jacy ludzie są łasi na pieniądze; wielu więc skakało do rzeki, aby wyłowić, ale temu najczęściej się udawało, bo ma dłuższy oddech niż inni. Ho! Ho! Stary Kalen! Widzi panicz tego draba z nochalem jak trąba? Ot ten z szerokim pałaszem u boku. Waży dwieście pięć funtów. Pod Belgradem, jak się zamachnął tym pałaszem na pewnego Węgra, to nie tylko jemu ściał głowę, ale i koniowi. A przecież obaj byli w żelazie.

— A potem Węgier zsiadł z konia i podniósł swoją głowę, co?

— Mnie tam nie było, tylko słyszałem, jak się chwalił — spieszył się Tulipan, a potem krzyknął: — Czy ja dobrze widzę? Jumurdzak?

Tak. Nie pomylił się. Na niskim, silnym, gniadym koniu zbliżał się właśnie jednooki janczar, odziany w kosztowne szaty i z ogromnym strusim piórem, powiewającym na białej kapuzie.

— Jak Boga kocham, to on! — gapił się na niego również i Gergely.

— A przecież słyszałem, że ksiądz go powiesił!

— Ja też tak słyszałem.

— A czy ksiądz nigdy nie wspominał o nim?

— Nie.

— Nic nie rozumiem.

W milczeniu długo spoglądali za oddalającym się jednookim, po czym spojrzeli na siebie pytająco.

— Tulipanie — odezwał się w końcu Gergely — powiedz mi szczerze, czy cię nigdy nie korci powrócić do swoich? Tulipan potrząsnął głową:

— Lepiej siedzieć na miejscu, niż włóczyć się po świecie.

— Ale...

— Mam dobrą żonę, a moich dwóch chłopców nie oddałbym za wszystkie skarby sułtana. Młodszy jest jak malowany, a znów starszy to taki mądry, że chyba mądrzejszy od samego muftiego. Nie dalej jak przedwczoraj zapytał mnie: „Tatko, czemu koń nie ma rogów?”

— No, a czy to takie mądre pytanie, Tulipanie? — zaśmiał się Gergely, ale zaraz spowaźniał i ze wzrastającym niepokojem obserwował orężny tłum, płynący bez końca po zboczu góry w kłębach kurzu. Jednostajny szcęk broni i tętent końskich kopyt działały wprost odurzająco, zwłaszcza kiedy skrzekliwe kapele znikwały na zakręcie drogi wiodącej ku dolinie. Gergely nagle poderwał głowę:

— Tulipanie! Oni coś knują! Tyle wojska nie szłoby na próżno.

— Oni nigdy nie idą na próżno.

— Chcą zdobyć Budę!

— I to możliwe — odpowiedział Tulipan obojętnie.

Gergelyowi krew uciekła z twarzy.

— A gdyby sułtan zmarł po drodze?

— Sułtan nie umrze.

— Ale gdyby jednak...

Tulipan wzruszył ramionami.

— To któryś z synów przejmie władzę. Zawsze wlecze ich ze sobą na wszelki wypadek.

— A więc to smok siedmiogłowy?

— Co takiego?

— Nic. Jak myślisz, ile czasu potrzebują, by dostać się do Budy?

Tulipan wzruszył tylko ramionami.

— Mniej więcej! — nalegał Gergely.

— Gdyby deszcz padał, to zmitrężyliby dwa, trzy dni, a może nawet i tydzień.

— To mógłbym ich wyprzedzić?

— Jak panicz mówi?

— Jeśli oni naprawdę idą na Budę, to ja muszę przywieźć tu z powrotem państwa Ceceych albo też zostać przy nich. Moje miejsce jest tam, gdzie są państwo Cecey.

Wrzask przechodzącej orkiestry zagłuszył słowa Gergelya. Skończył się wreszcie przemarsz janczarów, a pod żółtymi chorągwiami następowały wspaniałe szeregi w zawojach przystrojonych strusimi piórami. Nad tłumem górowała postać siwego jak gołąb olbrzyma. Niesiono przed nim dwa szkarłatne ogony końskie na drzewcach lśniących złotem.

Gergely zadrżał.

— To sułtan!

— Gdzież tam! — zaprzeczył Tulipan — to tylko aga janczarów, a ci w pstrokatych strojach, co go otaczają, to jaja-baszi.

— Jak to dziko brzmi: jaja-baszi! Co to znaczy?

— To oficerowie janczarów.

Teraz zbliżała się wspaniała grupa: dwóch śniadych młodzieńców otoczonych lasem złocistych halabard.

— To synowie sułtana, Mohamed i Selim — objaśniał Tulipan z szacunkiem, ale po chwili dodał:

— Bodaj ich diabli wzięli!

Za sułtaniczami podążał siwobrody pasza o władczy wzrok, w piętrowym turbanie na głowie. Przed nim niesiono buńczuk o siedmiu ogonach.

— A ten — rzekł Tulipan — to ojciec Jumurdzaka.

— Niemożliwe!

— Właśnie że tak! Przed chwilą przechodził tędy i brat Jumurdzaka, Arsian beg.

— A dlaczego tamten nazywa się Jumurdzak? Co to za nazwisko?

— To przezwisko — odparł Tulipan, żując z nudów źdźbło trawy.

Z kolei następował oddział zbrojnych ze srebrnymi i złotymi obuszkami, w niezmiernie wysokich turbanach. Gergely zatrzęsł się; czuł, że za chwilę ujrzy samego sułtana.

— O, wszechmogący Boże Węgrów — modlił się Gergely — nie opuszczaj nas!

Srebrna i złota broń, błyszczące szaty migają Gergelyowi w oczach. Zasłonił je na chwilę dłońmi. Tulipan szturchnął go łokciem:

— Paniczu! Paniczu! — szepnął, a głos jego drżał — tam jedzie...

— Który to?

— Ten, przed którym tańczy derwisz. — Tulipan wskazał na samotnego jeźdźca w skromnej, szarej opończy. O parę kroków przed nim wirował z niezmierną szybkością derwisz mający na głowie zawój z wielbłądziej sierści, wysoki na półtora sążnia. Ręce miał wyciągnięte, jedną dłoń zwróconą ku niebu, drugą ku ziemi. Opończa wzdymała się na nim w kształt dzwonu.

— Tańczący derwisz — objaśnił Tulipan.

— Ze też ani jemu, ani koniowi nie zakreśli się w głowie.

— Obaj już przywykli do tego.

Istotnie koń stapał swobodnie i lekko, a po obu jego stronach kroczyło sześciu derwiszów w białych szatach; czekali na swoją kolej.

— Tak wirują przed sułtanem bez przerwy od Konstantynopola do Budy — krzyczał Tulipan w ucho Gergelya. Głos jego gubił się w nieludzkim wrzasku surm, piszczałek, kotłów i talerzy.

Sułtan siedział na pięknym pełnej krwi arabie. Dwóch półnagich Murzynów zasłaniało najjaśniejszego sążnistymi pióropuszcami z pawich piór od piekących promieni słonecznych; lecz bynajmniej nie chroniło to od wypełniających całą dolinę gęstych, piekących kłębow kurzu: wdychał go, jak najnędrniejszy z jego poddanych.

Sułtan odziany był w czerwony atłasowy dolman, także szarawary i zielony turban. Twarz miał chudą i zapadniętą, oczy wylupiate, wąski i długi garbaty nos, siwe wąsy i krótko przystrzyżoną bródkę.

Nagle potworny huk wstrząsnął ziemią, skała pod nimi zachwiała się. Konie wspięły się na tylne nogi... muzyka urwała się... Popłoch... Kurz... fruwające odłamki kamieni... części ciał... szczęk broni... krople krwi padające niby deszcz z nieba... Rozbiegane zastępy w dolinie... Wrzask.

— Wszystko stracone! — krzyknął Gergely i załamując ręce utkwiał przerażony wzrok w kotlinę.

Ciemny słup dymu wznosił się stamtąd ku sklepieniu niebios. Ciężki zapach spalonego prochu napełniał powietrze.

— Co się stało? — spytał Tulipan dzwoniąc zębami.

Głowa Gergelya opadła na piersi.

— Gdyby to sułtan tam był na miejscu agi janczarów...

3

Po wybuchu nastąpiła chwila martwej ciszy. Ryk surm, kotłów, stuk kopyt, szczęk broni umilkł tak nagle, jak gdyby wszystko, co żyje, zamarło lub zamieniło się w kamień. Potem jednak tym potężniej

zagrzmiał dziki wrzask i pomstowanie z tysięcy, tysięcy gardzieli. W tłumie zakotłowało się. Wszyscy pchali się w kierunku rosnącego słupa dymu. Leżały tam stosy ciał zabitych i rannych.

Co było przyczyną tak potężnego wybuchu? Może nieoczekiwanie odezwała się ukryta kolubryna wroga? Może własna nieostrożność spowodowała wybuch wozu z prochem? — zgadywano.

Tylko janczarowie już wiedzieli, że był to ukartowany zamach. Żołnierze, jak spłoszony rój, rozpierzchli się po lesie, by wytropić wroga.

Nikogo jednak nie znaleźli oprócz księdza, Gergelya i Tulipana.

Dwóch janczarów podpierało księdza, który wyglądał jak nieboszczyk z zamkniętymi powiekami i zalanymi krwią ustami. Siła wybuchu zwała drzewo i wyrzuciła księdza z dziupli.

Sułtan kazał przyprowadzić przed swoje oblicze wszystkich trzech schwytanych w lesie. Czekaając na nich zsiadł z dzianeta. Żołnierze natychmiast postawili na ziemi bęben, a jeden z dworaków przykrył go własnym kaftanem atlasowym. Sułtan nie usiadł jednak.

— Kim jesteś? — spytał Tulipana.

— Jestem niewolnikiem — odrzekł Tulipan i osunął się na kolana. — Spójrz, Światłości Rajska, na łańcuch na mych nogach! Przed niewolą byłem janczarem, nazywam się Tulipan i jestem marnym prochem pod twoimi najjaśniejszymi stopami.

— A ten szczeniak?

Gergely stał i oszołomiony ostatnimi wypadkami wpatrywał się w sowie oczy władcy milionów, który przed chwilą omal nie poleciał do raju tureckiego.

— To przybrany syn Balinta Tóróka — brzmiała pokorna odpowiedź Tulipana.

— Tego psa niewiernego na Enying?

— Tak, Wasza Cesarska Mość.

Sułtan spojrzał teraz na księdza.

— A ten człowiek?

Dwóch janczarów trzymało księdza pod ramiona. Głowa opadała mu na piersi, z ust ciurkiem płynęła krew. Nie wiadomo było, czy stracił tylko przytomność, czy nie żyje.

Tulipan patrzył na księdza. Jeden z oficerów brutalnie chwycił go za włosy i poderwał mu głowę, aby Tulipan lepiej widział twarz. Z brody

ciężko rannego bezustannie ściekały krople krwi. W płucach rzeziło przeraźliwie.

— Nie znam tego psa przekłętogo! — oświadczył Tulipan bez wahania.

— A ty? — sułtan spojrział na Gergelya, ale ten też tylko potrząsnął głową.

— Co to był za wybuch? — zwrócił się sułtan ponownie do Tulipana.

— Nie wiem, o panie jaśniejszy od słońca! Zbieraliśmy grzyby, kiedy przywabiła nas tutaj muzyka. Serce mi w piersiach skakało z radości, że znowu wybiła moja godzina i ja, marniejszy od najmarniejszego prochu, miałem już wołać, żeby mnie bracia wyzwolili z tej przekłętej niewoli, kiedy nastąpił wybuch.

— Twierdzisz zatem, że nie wiesz o niczym?

— Tak, a mówię tak szczerą prawdę, jak szczerze pragnę znaleźć się w raju prawowiernych.

— Zdjąć mu kajdany — nakazał sułtan — i nałożyć je temu szczeniakowi — po czym rzucił na księdza przelotne spojrzenie.

— A tego psa oddać w ręce medyków. Musimy go pociągnąć za język.

Po tych słowach sułtan dosiadł rumaka i w otoczeniu synów i baszów pogalopował na miejsce wybuchu.

Gergelya zakuto w kajdany; był on świadkiem, jak księdza położono na wznak, oblano mu twarz i piersi wodą ze skórzanego worka i obmyto go z krwi.

Jakiś dostojny Turek w popielatym kaftanie wywracał powieki księdza i w skupieniu badał gałki jego oczu.

Gergelya popchnięto do grupy niewolników. Błady jak płótno chłopak martwym wzrokiem patrzył przed siebie.

Po kwadransie zjawił się Tulipan, przybrany po janczarsku w niebieski kaftan i szarawary, w białej kapuzie i czerwonych trzewikach. Dostrzegłszy Gergelya jął wygrażać mu pięścią:

— Mam cię wreszcie, ibn el-haram! \* —

\*/ Ibn el-haram! (tur.) — Dziecko grzechu!

krzyczał wściekle, wywracając oczyma. — To mój niewolnik — zwrócił się do strażnika. — Allach jest wielki i sprawiedliwy! Dotąd ja byłem w mocy tego psa parszywego, ale teraz mu pokażę!

'Dozorujący Gergelya janczar skinął głową na znak zgody i odszedł.

Udręczone oczy chłopca zawisły na twarzy Tulipana: czyż mnie naprawdę aż tak znienawidził?

4

Później Gergelya przyłączono do gromadki strudzonych i okrytych kurzem dzieci, które szły pod dozorem zastępu janczarów. Za nimi dudniły lawety armat. Każde z tych olbrzymich dział ciągnęło aż pięćdziesiąt par wołów. Załoga w krótkich, czerwonych kaftanach i karawana objuczonych wielbłądów zamykały pochód.

Żar słońca doskwierał zarówno żołnierzom, jak i niewolnikom.

Jakiś ośmioletni chłopak co parę kroków skomlał:

— Dajcie trochę wody! Wody...

Gergely cicho zwrócił się do Tulipana:

— Daj mu się napić!

— Nie ma — odpowiedział Tulipan najpiękniejszą węgierszczyzną — bukłak został tam...

— Słyszysz, mały, że nie ma wody, ale już niedługo nastanie wieczór

— pocieszał Gergely chłopca, choć sam także niewymownie cierpiał od pragnienia i zmęczenia, gdyż kajdany na nogach utrudniały każdy krok. Pod wieczór wydawało mu się, że dźwiga na nogach ciężar stupudowy. Pozostałe dzieci padały już ze zmęczenia; w końcu zlitowano się nad nimi i powsadzano je na działa i wielbłądy.

— Kiedy odpoczniemy? Czy jeszcze długo? — zwrócił się Gergely do krocącego obok żołnierza, któremu oczy zaokrągliły się, gdy usłyszał mowę turecką z ust Gergelya.

— Jok! \*/ \*/ Jok! (tur.) — Nie!

Był to młody puciołowaty olbrzym w wyświechtanym lejbiku skórzanym. Ramię miał obnażone. Cóż to było za ramię! Niejeden mógłby mu pozazdrościć wspaniałych mięśni, godnych siłacza. Uzbrojenie olbrzymia składało się z dwóch długich handzarów, wetkniętych za opasującą go czerwoną, brudną chustkę. Jeden handzar miał głowicę kościaną, drugi oprawiony był w nieociosany piszczel wołowy. Najważniejszą część uzbrojenia olbrzymia stanowiła jednak długa, zardzewiała dzida. Był on członkiem luźnej watahy trudniącej się pospolitą grabieżą. Ludzie jego pokroju ślepo wykonywali rozkazy herszta, ale tylko dopóty, dopóki się nie obłowili dostatecznie. Na plecach tego olbrzymia wisiała jeszcze pusta, okazałych rozmiarów sakwa z wołowej skóry. Była na niej pieczęć: koło wielkości dłoni,

podzielone na cztery części. Wstrętny zapach skóry i potu zionął od tego człowieka.

— Toś ty Turek? — spytał po chwili.

— Nie — odparł dumnie Gergely. — Nie należę do narodu, który żyje z grabieży.

Olbrzym widać nie zrozumiał pogardliwej uwagi albo też nie wziął jej zbyt do serca. Szedł dalej miarowym krokiem.

Wzrok Gergelya przykuwały jego nad miarę wielkie chodaki, z otworami na czubkach i na piętach. Przy każdym kroku pył wsypywał się przez przednie dziury i wysypywał z chrzęstem przez tylne.

— Umiesz czytać? — zagadnął nagle Turek po kwadransie milczenia.

— Tak.

— A pisać?

— Pisać też umiem.

— A nie chciałbyś być Turkiem?

— Nie.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Soliman pasza też był Węgrem. Umiał czytać i pisać, więc został paszą.

— I walczy przeciw własnej ojczyźnie?

— Walczy za prawdziwą wiarę.

— Jeśli wierzy, że wasi prorocy głoszą prawdziwą wiarę, to niech walczy, ale gdzie indziej, a nie tu.

— Tam walczy, gdzie mu prorok każe.

Na tym urwała się rozmowa. Olbrzym zatopiony w myślach kroczył dalej miarowo; z chodaków strzelał piasek.

5

Zapadł mrok. Gwiazdy zamigotały na niebie, na zakrętach drogi niebo i pola zlewały się w jedną szarą masę.

— No, zaraz odpoczniemy — westchnął olbrzym z zadowoleniem drapiąc się po bokach. Na wschodnim krańcu nieba zabłysło pięć dużych czerwonych gwiazd.

Zanim dobrnęli jednak do celu, minął jeszcze kwadrans trudnego marszu przez orne pola, łąki, pagórki i rżyska.

Każdy oddział miał z góry wyznaczone miejsce, żołnierze więc trafiali do swoich kwater bez szukania prawie. Okazało się, że błyskające z daleka czerwone gwiazdy to cztery żagwie oświetlające namiot



sułtański, a piąta gwiazda to złoty półksiężyc kapiący się na szczycie namiotu najjaśniejszego pana w blasku płomieni.

Na skraju pola słonecznikowego topczy gwizdnął dwa razy; przystanęli.

W tym miejscu namioty ustawiono w kształt litery „U”, tworząc jakby ślepą uliczkę. W sam koniec tego zaułka zagnano niewolników. Gergely strudzony osunął się na trawę, olbrzym zaś poszedł myszkować po polu.

W obozie panowało ożywienie. Gwar ludzki mieszał się z rykiem wielbłądów. Zgłodniali Turcy tłoczyli się wokół kotłów lub rozwiązywali swoje toboły rozmawiając przy tym hałaśliwie.

Gergely szukał wzrokiem Tulipana, ale ten tylko mignął mu przed oczyma. Rozmawiał z jakimś janczarem. Właśnie coś mu powiedział, tamten wzruszył ramionami, a potem obaj znikli w namiocie o barwie ceglastej. Widocznie była to ich kwatery.

„Boże święty! Co się stanie, jeśli nie jemu powierzono dozоровanie niewolników? Obaj zostaniemy w ręku wroga!” — pomyślał Gergely i trwoga śmiertelna ścisnęła mu serce.

Tymczasem wartownicy zmienili się. Same nieznane, obojętne twarze...

W obozie pojawiły się wielbłądy objuczone skórzanymi workami z wodą.

— Sudzi! Sudzi! — słychać było nawoływania nosiwodów.

Spragnieni żołnierze chciwie rzucili się na wodę z Dunaju. Pili ją z czapek, z kuszyków cynowych, z rogów — co mieli pod ręką. Gergely także nabrał sobie wody w czapkę. Choć była letnia i niezbyt czysta, pił łapczywie. Potem przypomniał mu się chłopiec, co tak zebrał o trochę wody w drodze. Rozejrzał się: mimo mroku mógł dojrzeć część dział, topczich leżących na trawie, woły pasące się w pobliżu, ale chłopca ani śladu. Wypił więc przeznaczoną dla niego porcję, strzepnął czapkę i włożył ją z powrotem na głowę.

— W domu lepsza woda, co? — zagadnął Gergely długoszyjnego Turka bez śladu zarostu na twarzy; zapewne chciał pozyskać sobie sympatię nowego stróża.

— Szuszol! Ibn el kelb! \* — warknął ten zamiast odpowiedzi i przystawił dzidę do piersi Gergelya, który teraz dopiero po raz pierwszy poczuł, co naprawdę znaczy niewola. Toteż z okrzykiem

radości powitał Jumurdzaka, który przechadzał się między wartami z obnażoną szablą.

\*/ Szuszo! Ibn el kelb! (tur.) — Milcz! Psi synu!

— Jumurdzak!

Turek rozejrzał się; kto go woła? Ktoś z grupy niewolników! Zdumiony spojrzął na Gergelya.

— Kim jesteś?

Gergely zmieszał się.

— Jestem niewolnikiem — rzekł cicho — ja... ja... chciałem tylko zapytać... że tego... jak to się stało, że jeszcze żyjesz?

— Niby dlaczego miałbym nie żyć? Dlaczego? — powtórzył, wsuwając szablę do pochwy.

Gergely zwrócił uwagę na lewą rękę jednookiego. Była zniekształcona. Palce miał tak dziwnie złożone, jakby kiedyś nabrał szczyptę soli i później już nie mógł ich wyprostować. I od niego również zalatywał ohydny zapach potu.

— Bo słyszałem, że cię powieszono...

— Mnie?

— Tak. Dziewięć lat temu. Pewien ksiądz w lesie mecseckim. Na słowo „ksiądz” Turek zdumiał się jeszcze bardziej.

— Gdzie jest ten ksiądz? Co o nim wiesz? Gdzie go można odnaleźć?

— krzyknął chwytając Gergelya za ramię.

Gergely milczał przez chwilę, potem spytał drżącym głosem:

— Czego chcesz od niego?

— Nie bój się, nie zrobię mu krzywdy — uspokajał chłopca Jumurdzak, a głos mu złagodniał — wręcz odwrotnie, chciałbym mu podziękować, że mnie nie powiesił. Powiedz więc, gdzie go szukać?

— Czemuś mu wtedy nie podziękował?

— Byłem tak zaskoczony jego wielkodusznością, że nawet mi to nie przyszło do głowy. Zresztą do końca myślałem, że tylko naigrawa się ze mnie.

— To znaczy, że zamiast powiesić ksiądz zwrócił ci wolność.

— Tak, to był czyn chrześcijański. Wtedy ja jeszcze nie rozumiałem tego. Później słyszałem, że wiara chrześcijańska nakazuje przebaczać.

— Chciałbyś mu się odwdziaczyć?

— Tak. Nie lubię mieć długów.

— Ksiądz jest tu — przyznał się Gergely w przyływie zaufania.

— Tu? W obozie?

— Tak. Jest jeńcem sultana. Posądzają go, że jest sprawcą wybuchu na Mecseku.

Jumurdzak się zatoczył. Żrenica zwięzła mu się jak u węża szykującego się do ataku na ofiarę.

— Skąd znasz księdza?

— Mieszkamy blisko siebie — odparł ostrożnie chłopak.

— Czy ksiądz nigdy nie pokazywał ci pierścionka?

— Może i pokazywał.

— Chodzi mi o pierścień turecki z półksiężycem i gwiazdami.

Gergely potrząsnął głową.

— Możliwe, że komuś taki pokazywał, mnie w każdym razie nie — oświadczył chowając rękę do kieszeni.

Jumurdzak podrapał się po brodzie. Strusie pióro załopotalo na kapuzie; odwrócił się na pięcie i poszedł dalej. Wartownicy kolejno oddawali mu honory, ruchy kopii wskazywały, którądy kroczy.

Gergely został sam. Usiadł na murawie. Brańcom wydawano zupę z kotła, dostali też drewniane łyżki. Zgłodniała gromada rzuciła się na jedzenie; wartownicy przez ten czas drapali się zapamiętale, tylko gdy któryś z niewolników szepnął coś do sąsiada, przerywali rozkoszną czynność i kopali winowajcę.

— Hajdel Ibn el kelb! \*

\*/ Hajde! Ibn el kelb! (tur.) — Precz! Psi synu!

Gergely także skosztował zupy: była to postna zalewajka bez soli — ranne i wieczorne pożywienie niewolników.

Gergely odłożył łyżkę, odszedł parę kroków i położył się na trawie. Pozostali brańcy, skończywszy posiłek, także ułożyli się na noc i usnęli snem kamiennym.

Tylko Gergely czuwał. Chwilami wilgotniały mu oczy i łzy spływały po twarzy.

Blask wschodzącego księżyca oświecał złociste guzy namiotów, brzeszczoty kopii i lufy armatnie.

Ilekroć dłuższy wartownik przechodził mimo, spozierał nieufnie na Gergely a, który się czuł jakoś nieswojo, toteż odetchnął z ulgą, gdy zobaczył zbliżającą się postać ogromnego Turka. Trzymał on w ręku słonecznik i wypluwał pestki mlaskając jak prosiak. Nie będąc wartownikiem ani nie należąc do regularnego wojska, mógł się wałęsać, gdzie mu się podobało.

— Ci, co rozbijali namioty, sprzątnęli nam sprzed nosa wszystkie słoneczniki, ten ostatni jakoś przeoczyli — żalił się długoszyjemu.

— A może to zrobili niewierni, nam na złość. Bo to taki parszywy pomiot. Wszystko niszczą na polu, jak Turka zwęszą — odparł ponuro wartownik i krążył dalej. Czasem tylko przystawał i drapał się to po bokach, to po nogach.

Olbrzym wyłuskał już wszystkie pestki. Teraz zatopił zęby w miąższ słonecznika. Splunął jednak zaraz.

— Nie dali ci jeszcze jeść? — zapytał Gergely.

— Jeszcze nie. Wpierw janczarom dogadzają. Ja pierwszy raz jestem na wojnie.

— A co przedtem robiłeś?

— Pasałem słońce. W Teheranie.

— Jak się nazywasz?

— Hassan.

Jakiś janczar, który usiadł obok nich na trawie z kawałkiem combra w garści i kozikiem odkrawał sobie po kawałku mięsa, wtrącił się do rozmowy:

— My go nazywamy Hajwan. Bo głupi.

— A to dlaczego? — zaciekawił się Gergely.

— Bo wciąż mu się śni, że jest paszą janczarów — odrzekł odrzucając za siebie obgryzioną kość.

6

Gergely rozciągnął się na trawie i rękę podłożył pod głowę. Był zmęczony. Usnął. Ale właściwie ani na chwilę nie przestał myśleć o wolności.

Nagle ocknął się. Hajwan wrócił i rozsiadłszy się koło niego mlaskał głośno. Nareszcie i on dostał kawałek mięsa z jakiegoś kotła.

— Giaurze — szturchnął Gergely a w nogę — jak chcesz, to i tobie przyniosę.

— Dziękuję, nie jestem głodny.

Turek zapewne nie wierzył, że ktoś może nie być głodny. Z niedowierzaniem potrząsnął głową:

— Ja zawsze jestem głodny — oświadczył i mlaskał dalej. Gergely położył się na wznak; Hajwan cuchnął nie do zniesienia. Chłopiec wpatrywał się w czerwoną tarczę księżycy, toczącego się zwolna ze wschodu, wysoko nad namiotami. Głowa stojącego opodal tureckiego wartownika zasłaniała księżyc do połowy. Turek wyglądał jak widmo

biskupa w infule, kopia w jego ręku do złudzenia przypominała pastorał.

— Nie śpij — szepnął Hajwan — chcę ci coś opowiedzieć.

— Opowiesz jutro.

— Nie, chcę dziś jeszcze.

— No, to gadaj, ale prędko.

— Zaraz, tylko...

Przerwał. Przy wejściu do zaułka powstał jakiś ruch. Pośród zbrojnych wartowników zamajaczyło sześć postaci. Byli to niewolnicy. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Mężczyźni mieli wygląd pański. Kobieta owinięta była w czarną chustę. Twarzy jej nie było widać: płakała.

— Puśćcie mnie do sułtana! — krzyczał grubym, niedźwiedzim głosem po węgiersku jeden z niewolników. — Ja nie Niemiec! Do licha! Mnie tknąć nie wolno! Turcy teraz nie są wrogami Węgrów!

Jakim prawem...

Żołnierze go nie rozumieli. Kiedy przystanął, z oburzeniem wymachując rękami, popchnęli go dalej. Obok legowiska Gergelya było puste miejsce. Tam umieszczono nowych brańców.

Choć nikt nie zwracał na niego uwagi, Węgier pieklił się dalej:

— Bezbożne świńskie ryje! I jeszcze ośmielają się twierdzić, że są przyjaciółmi Węgrów! Głupi, kto im uwierzył i wezwał ich na pomoc! Oby ich ziemia pochłonęła razem z ich cesarskim rozbójnikiem!

Tymczasem kobietę zawleczono gdzieś między stado bawołów. Daremnie krzyczała i szlochała. Pozostali czterej mężczyźni milcząco siedzieli na trawie. Byli to żołnierze niemieccy. Na piersi jednego błyszczał pancerz. Głowę miał odkrytą, a długie włosy zwichrzone.

Gergely zwrócił się do Węgra:

— Ci Niemcy uciekli pewnie spod Budy. Nieprawdaż?

— Chyba — odrzekł Węgier cierpko. — Ja dopiero tu w winnicy spotkałem się z nimi. Czy dają tu wodę? Pić mi się chce.

Gergely przyjrzał mu się uważnie. Grubogłosey Węgier był człowiekiem mizernym o twarzy okolonej brodą. Siedział bez kaftana, w samej koszuli.

— Wątpię. Już wszyscy śpią. Jakaście dostali się do niewoli?

— Schowałem się przed tymi łotrami do piwnicy; znaleźli mnie i wzięli za szpiega. Co za pomysł, ja i szpiegowanie! Jestem uczciwym

szewcem, do stu piorunów! Ja i konszachty z nimi! Durnie! Cieszę się, jak nie widzę ich wstrętnych mord!

— Jesteście może z Budy?

— Ma się rozumieć! Nie mogę sobie darować, że tam nie zostałem!

— Może znacie starego pana Ceceyego?

— Tego z drewnianą nogą? A jakże! I rękę też ma z drewna.

— Co on porabia?

— Co porabia? Bije się!

— Bije się?

— Jeszcze jak! Kazał się przywiązać do konia i razem z panem Balintem — hajda na Niemca!

— Balintem Tórókiem?

— Z nim! To też zuch! Chyba smoczym mlekiem go karmiono. Dzień w dzień wracał z boju obryzgany krwią od stóp do głów. Ależ był zawzięty na tych pogan!

— A pan Cecey wyszedł cało?

— Skądże znów! — zaśmiał się szewc od ucha do ucha. — Ciachnęli mu drewnianą rękę.

— A może znacie i córkę pana Ceceyego? — spytał nieśmiało Gergely.

— A jakże! Robiłem jej śliczne ciżemki, ledwie dwa tygodnie temu, ze skórki, ze złotymi frędzlami. Takie noszą teraz wszystkie panienki. To znaczy te, które stać na to.

— Ładna dziewczyna, nieprawdaż? Szewc wzruszył ramionami.

— Ano, niebrzydka.

Umilkł na chwilę i podkręcił wąsa.

— Przekłete psy pogańskie — wybuchnął niespodzianie na nowo — chyba zwrócą mi moją kurtkę!... Łobuzy, ściągają ubranie z człowieka! Ale ja im pokażę!...

— Kiedyście wyszli z Budy?

— Wyszędłem? Uciekłem trzy dni temu. Chyba diabeł mnie podkusił do tej ucieczki. Źle mi to było w domu? Chociaż... szelmom nigdy nie trzeba dowierzać! Pod Belgradem też przyrzekli, że nikomu włos z głowy nie spadnie. A co potem zrobili? W pień wycięli całą załogę zamku! Tak było czy nie?

— Ale... na miłość boską! To niemożliwe, żeby Turcy zdobyli Budę!

— Zdobędą! Co do tego nie ma gadania.

— Skąd ta pewność?

— Bo w kościele już od tygodnia noc w noc dusze tureckie mszę odprawiają.

— Co takiego?

— O północy zapalają się świeczki w kościele Panny Marii i słysząc, jak śpiewają i wołają po ichniemu: illallah!

— Bzdura.

— Klnę się na świętego Kryspina, że to szczerą prawdą. A czyż w Belgradzie nie było tak samo? I tam nocami słysząc było śpiew turecki, a po tygodniu zajęli twierdzę.

Gergelyowi skóra ścierpła.

— Głupi przesąd.

— Przesąd, nie przesąd. Sam widziałem, sam słyszałem, dlatego uciekłem.

— Tylko dlatego?

— Ma się rozumieć. Rodzinę posłałem do Sopron do matki żony. Jeszcze zanim zaczęliśmy wojaczkę z Niemcami. Ja sam nie chciałem się ruszyć z miejsca, bo zarobek miałem dobry. Przecież panicz wie, każdy szlachcic, jak do Budy przyjedzie, każe sobie szyć nowe buty. Balintowi Tórókowi też szyłem. I jaśnie pani Verboczy. A jaśnie panu Perenyiemu nawet kilka par...

Szawc nie dokończył rejestru swych klientów, gdyż Hajwan chwycił go za kark, podniósł jak kota i odrzucił o dziesięć kroków dalej. Szawc z jękiem runął na ziemię, a Hajwan zajął jego miejsce.

— Powiedziałeś, że umiesz czytać i pisać. Zaraz ci coś pokażę — zaczął spokojnie, wytarł starannie palce o szarawary, zdjął z ramienia białą torbę z wołowej skóry, jeszcze raz wytarł palce, wyjął z torby plik pergaminów i jął je rozwijać.

— Widzisz — objaśniał — znalazłem to pod habitem zabitego derwisza. Zmarł, raniono go w bok. Może kulą, może dzidą, nie wiem, ale to nieważne. Pieniądze też miał przy sobie; szesnaście złotych dukatów. Mam je tu w torbie. Jeśli mi powiesz, co to za papiery, to ci dam jego złoto. Jeśli mi nie powiesz, to ci łeb rozłupię i zdechniesz.

Księżyc rzucał blade światło. Dokoła wszyscy byli pogrążeni we śnie. Szawc także się skulił na trawie; może i on usnął.

Gergely rozwiązał plik składający się z pergaminowych kartek wielkości dłoni, gęsto zapisanych drobnymi literami, między wierszami zaś widniały rysunki różnego formatu.

— Nie mogę przeczytać, to bardzo drobne pismo — powiedział Gergely.

Turek wstał, wyciągnął z ogniska grube polano i przyświecał Gergelyowi, który w skupieniu jął wpatrywać się w pismo i rysunki. Nie czuł wcale żaru pochodni na twarzy.

Nagle podniósł głowę.

— Czy już pokazywałeś komuś te papiery?

— Pokazać pokazałem, ale nikt nie umiał przeczytać. Płomień zamigotał i zgasł. Turek rzucił na ziemię zwęglone drewno i przydeptał nogą.

— Ja nie chcę twojego złota — rzekł Gergely — nie boję się także twoich pięści. Jestem niewolnikiem sułtana, przed nim odpowiesz, jeśli mnie zabijesz. Mogę odczytać ci to pismo, ale pod warunkiem, że spełnisz moją prośbę.

— Mów!

— To pismo jest dla każdego muzułmanina bezcennym skarbem, pochodzi od świątobliwego derwisza. Masz szczęście, że dostało się właśnie do moich rąk, bo Turek połasiłby się na tak drogocenną rzecz i nie oddałby ci jej. A ja ci wszystko przeczytam pod warunkiem, że pójdziesz do tego księdza, który był sprawcą wybuchu czy też jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł ię na miejscu wypadku.

— To on winien, na pewno...

— To nieważne. Mnie obchodzi tylko, czy żyje, czy zmarł. Turek wsparłszy brodę na dłoni zamyślony spoglądał na mówiącego.

— Ja przez ten czas odczytam te papiery — zachęcał go Gergely. — Nie musisz mi już świecić. Światło księżycy zupełnie wystarczy. — Zamilkł i zagłębił się w oglądaniu rysunków.

Były to plany węgierskich grodów i zamków. Rysunki wykonane rylcem cynowym. Miejscami widać było skreślenia. Na jednym z planów rzucały się w oczy znaki X i O. Na dole kartki było objaśnienie w języku łacińskim. X oznacza najsłabszy punkt obronny twierdzy, zaś O najkorzystniejsze miejsce na podkop.

Gergely znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Miał w ręku szkice szpiegowskie. Szkice trzydziestu kilku zamków i twierdz węgierskich. Co powinien uczynić? Ukryć to? Nie. Zupełnie niemożliwe. Spalić? Turek ukatrupiłby go bez namysłu.

Blady z przejęcia stał z dokumentami w ręku. W nagłym olśnieniu sięgnął do kieszeni lejbika, wyciągnął kawałek cyny, na wszystkich



kartkach poprzekreślał znaki X i O i postawił te same znaki na chybił trafił.

To było wszystko, co mógł uczynić. Turek jakoś nie wracał; Gergely miał czas przypatrzeć się dokładniej ostatniemu rysunkowi. Przedstawiał on twierdzę Eger mającą kształt żaby bez łapek. Jeden ciekawy szczegół na tym szkicu zwracał uwagę: plan czterech podziemnych tuneli łączących z sobą podziemne sale i zbiorniki. Dziwna budowa! Jak gdyby projektodawca liczył się z możliwością kontynuowania walki pod ziemią, w razie niepowodzenia — z możliwością odwrotu przez podziemne korytarze. A sądząc z kształtu i sposobu umieszczenia zbiornika miał on służyć za pułapkę na ścigającego nieprzyjaciela.

Trwożnie podniósł głowę i zobaczył zbliżającego się Turka. Jego olbrzymi cień przesuwiał się wzdłuż działa. Drapał się zawzięcie lewą ręką pod prawą pachą.

Gergely błyskawicznie zmiął ostatni plan w kuleczkę i wsunął do kieszeni lejnika. Potem pochylił się nad pozostałymi szkicami rozpostartymi na kolanie.

— Ksiądz żyje jeszcze, ale mówią, że nie pociągnie do rana — rzekł Turek przykucnąwszy obok Gergelya.

— Widziałeś go?

— Tak. Medyki siedzą przed namiotami, a ksiądz leży na poduszkach i rzezi jak koń, który ma zdechnąć.

Gergely zasłonił oczy dłońmi.

W źrenicach Turka zabłysnął żółty ogień jak u tygrysa, kiedy ujrzy łup.

— Jesteś jego współnikiem?

— A jeśli tak, to co ci do tego? Twoje szczęście ja trzymam w garści. Turek nagle złagodniał.

— Powiadasz, że te papiery przyniosą mi szczęście?

— Nie te papiery, a tajemnica, którą zawierają. Ale tajemnica może uszczęśliwić tylko Turka. Masz, trzymaj!

— Mów, co przeczytałeś, przecież spełniłem twoją prośbę — szepnął wielkolud prawie ze łzami w oczach.

— Pod warunkiem, że mnie wyzwolisz.

— Ho! Ho!

— Ta tajemnica warta dużo więcej.

— Nie ty jedyne na świecie umiesz czytać.

— Turkom nie możesz tego pokazać. Każdy zabrałby ci te papiery. Kiedy znów spotkasz takiego chrześcijanina, co zna łacinę i język turecki? A nawet jeśli spotkasz takiego, to czym go przekupisz, by ci otworzył kłódkę zamykającą szczęście?

Turek chwycił Gergelya za gardło.

— Jak mi nie powiesz, to cię uduszę!

— Ale przedtem rozkrzyczę, że okradłeś derwisza. Więcej nie zdołał powiedzieć. Turek zacisnął żelazny pierścień palców dookoła jego szyi. Gergelyowi zabrakło tchu.

Turek nie miał jednak zamiaru wyprawić Gergelya na tamten świat. I cóż by mu z tego przyszło? Zmarły zabrałby ze sobą tajemnicę derwisza i szczęście Hajwana, a on nie po to poszedł na wojnę, aby stracić szczęście lub życie. O, nie! Chciał zostać panem, wielkim panem! Jak każdy żołdak jego pokroju zresztą. Obręcz palców na szyi Gergelya rozluźniła się.

— No dobrze — rzekł ponuro — ale nie ujdiesz swemu losowi, jeśli mnie zdradzisz. Mów, jak mam cię wyzwolić?

Gergely nie był w stanie od razu odpowiedzieć. Musiał kilka razy odetchnąć głęboko.

— Przede wszystkim — bełkotał — przepiłuj mi kajdany na nogach.

Turek uśmiechnął się pogardliwie. Chwycił kajdany ogromną czerwoną łapą. Trzask — i żelazo z cichym brzękiem zsunęło się na ziemię.

— A teraz? — spytał z gorejącymi oczyma.

— Zdobądź dla mnie janczarkę i płaszcz.

— To już gorzej.

— Ściągnij z kogoś ze śpiących. Turek podrapał się po karku.

— Ale to jeszcze nie wszystko — ciągnął dalej Gergely. — O konia też musisz się wystarać i o jakąś broń. Wszystko jedno jaką.

— Jeśli innej nie znajdę, to ci dam mój własny handżar, ten mniejszy.

Turek rozejrzał się dokoła. Wszyscy spali, tylko wartownicy przesuwali się bezszelestnie jak cienie.

Długoszyi wartownik stał o jakieś dwadzieścia kroków od nich oparty o wbitą w ziemię dzidę.

— Zaczekaj — rzekł olbrzym, wstał i znikł między namiotami.

7

Gergely rozciągnął się na trawie i przymknął oczy. Nie poddawał się senności, choć był bardzo zmęczony. Jednym okiem obserwował, czy

długa, ciemna, przypominająca tratwę chmura, która ociężale płynęła po sklepieniu nieba, nie ominie księżyca. Jeśli nie ominie, to korzystna dla zamiarów Gergelya ciemność spowije ziemię. Drugim okiem patrzył na groźnego janczara, jak stoi oparty o dzidę niby sęp z gołą szyją. Spał zapewne. Strudzony żołnierz i stojąc spać potrafi.

Noc była ciepła, powietrze wibrowało od chrapania tysięcy ludzi. Jak gdyby matka ziemia pomrukiwała miarowo i jednostajnie. Poza tym panowała cisza, przerywana od czasu do czasu wymianą hasel między wartownikami i chrupaniem trawy, dochodzącym z łąki, gdzie pasły się konie.

Gergelya zwolna opanowywała senność. Zmęczenie i całodzienne napięcie dawały się we znaki. Podobno skazańcy także przesypiają ostatnią noc w celi śmierci. Gergely walczył z sennością. Nie chciał się poddać. Z radością niemal przywitał komara atakującego natarczywie jego nos. Mały skrzypek nocny przygrywał na wysokiej strunie. W końcu Gergelyowi znudziła się ta zabawa. Odpędził natręta, lecz mimo to dalej musiał pokonywać senność, która opanowała już cały tabor. Wysiłek był jednak daremny, wreszcie i jego zmorzył sen.

Widział siebie w starym dworcu w Somogyvar. Siedział z synami Balinta Tóróka przy wielkim, nie malowanym stole bukowym naprzeciw księdza Gabora. Pochylał się on właśnie nad księgą oprawną w pergamin. Przez okrągłe gomółki okien przeświecało słońce, rzucając snopy światła na róg stołu. Na ścianie wisały dwie mapy: jedna to mapa Węgier, a druga trzech części świata. (W owych czasach dopiero rozchodziła się wieść, że jakiś Portugalczyk odkrył czwartą część świata. O piątej nawet Kolumbowi się nie śniło. (Przyp. autora.)

Na mapie Węgier grody zaznaczone były rysunkiem namiotu, zaś lasy — drzewami. Dobrze to były mapy. Łatwe do odczytania nawet dla ludzi nie znających liter. A przecież takich było wielu, nawet wśród utytułowanej, wysokiej szlachty. Bo i po co im była potrzebna umiejętność czytania i pisania? Od tego skryba, żeby pisał, co mu każą, i list swojemu panu przeczytał.

Ksiądz podniósł głowę i zapowiadał:

— Od dziś nie będziemy się uczyć ani geografii, ani historii. Wszystkie lekcje poświęcamy językom tureckiemu i niemieckiemu, poza tym będziemy się jeszcze uczyć, jak się proch wyrabia.

Janosi Tórók rzucił gęsie pióro do kałamarza.

To tylko strata czasu, proszę księdza, przecież już swobodnie rozmawiamy z niewolnikami tureckimi. A języka niemieckiego sam pan ojciec kazał nam zaniechać.

Dziesięcioletni Feri lekkim ruchem głowy odrzucił z czoła sięgające ramion kasztanowate włosy i wtrącił się do rozmowy:

— A i prochownictwo nam niepotrzebne. Ojciec ma tyle prochu, że nie zabraknie go chyba do końca świata.

— Ho, ho, mój paniczku! — uśmiechnął się ksiądz. — Ty nawet czytać nie umiesz, jak należy. Nie dawniej jak wczoraj zamiast Cyceron czytałeś Kykeron.

Na progu pojawiła się barczysta postać Balinta Tóróka w niebieskim aksamitnym dolmanie, który w swoim czasie otrzymał w darze od umierającego króla Janosa. U boku zwisała mu lekka krzywa szabla, przypasywana zwykle tylko na uroczyste okazje.

— Gość przyjechał — oznajmił księdzu. — Chłopcy, przywdziejcie odświętny strój i zejździe.

Na dziedzińcu stał już wielki, okuty wóz wiedeński. Na nim jakiś Niemiec z drugim jeszcze. Z głębi wozu wyciągali błyszczące broje i podawali je tureckim niewolnikom, a ci zawieszali je na żerdziach. Tuż obok wozu czterech wykwintnie ubranych panów rozmawia z Balintem Tórókiem. Balint prezentuje gościom chłopców. Jeden z panów, niski brunet o gorejących oczach i zadartym nosie, uniósł małego Feri i ucałował go w czoło.

— Pamiętasz mnie jeszcze? Kto ja jestem?

— Wujek Miklós — odpowiedział chłopak.

— To imię, a nazwisko pamiętasz?

Feri ze skupioną uwagą wpatruje się w czarną brodę wujka Miklósa. Starszy brat Janos podpowiada mu:

— Zirinyi.

— Nie Zirinyi, głuptasku — prostuje ojciec — a Zrinyi.

To wszystko wydarzyło się kiedyś naprawdę. Bywa, że we śnie przeżywa się raz jeszcze przeszłość w najdrobniejszych szczegółach.

...Pancerze zawieszono już na żerdziach. Panowie podnieśli strzelby do ramion i wypalili. Jeden z pancerzy został przebity na wylot. Ten pancerz zwrócili wiedeńskiemu kupcowi. Pozostałe, które okazały się mocne, kupili, podzielili między siebie.

Wieczór już zapadł, wszyscy zasiedli do posiłku. Pani domu w górze stołu, pan Balint zaś — według przyjętego zwyczaju — naprzeciw żony. Przy stole goście zadawali chłopcom pytania, jakby chcieli ich przeegzaminować, zwłaszcza z katechizmu.

Przez pewien czas gospodarz z milczącym uśmiechem słuchał pytań, wreszcie potrząsnął głową i rzekł:

— Widzę, iż sądzicie, panowie, że moi synowie tylko katechizmu się uczą. No, Jancsi, opowiedz panom, jak się odlewa działo.

— Ilu cetnarowe?

— Tam do kata! Co najmniej stucetnarowe.

— Na stucetnarowe działo trzeba dziewięćdziesiąt cetnarów mosiądzu i dziesięć cetnarów ołowiu. W razie konieczności i z dzwonów można odlewać działa, wtedy wystarczy połowa ołowiu. Kiedy mamy już materiał, kopujemy dół tak szeroki i głęboki, żeby się całe działo w nim mieściło. Równocześnie każemy ugnieść wał z czystej i lepkiej gliny z domieszką szezki. Do gotowego wału wsadzamy pręt żelazny.

— Do czego służy ten pręt?

— Żeby wał się nie wykrzywił.

Nie odrywając uważnego spojrzenia od ojca, Jancsi mówi dalej:

— Gliniane ciasto trzeba miesić, dosypując w miarę szezki, aż będzie twarde. Czasem trzeba ugniatać przez dwa dni bez ustanku. Kiedy wał gotowy, ustawiamy go pośrodku dołu i sprawdzamy, czy prosto stoi. Potem odlewnik w podobny sposób ugniata glinę na zewnętrzną powłokę. Następnie starannie oblepia gliną wał. Między wałem a obudową należy zostawić odstęp na szerokość pięciu palców, ale jeśli mosiądzu posiadamy pod dostatkiem, to możemy odlać grubsze działo. Kiedy cała forma jest gotowa, okładamy ją kamieniami i podpieramy sztabami żelaznymi. Obok ustawiamy dwa kotły, pod którymi rozpala się dziesięć sążni drzewa. Do kotłów wkładamy mosiądz, następnie...

— Zapomniałeś o czymś...

— O ołowiu — wtrącił bystrooki mały Feri.

— Właśnie teraz miałem o tym mówić — odciął się Jancsi. — Ołów dorzucamy po kawałku i palimy pod kotłami dzień i noc, póki mosiądz nie zacznie się topić.

I tego nie powiedziałeś, jakie mają być kotły — triumfował na nowo młodszy braciszek.

Wielkie i grubościennie. Kto ma rozum w głowie i tak wie.

Goście śmieją się. Jancsi purpurowy siada na swoim miejscu.

— Poczekaj — odgraża się cicho, błyskając oczyma — ja ci jeszcze pokażę!

— Dobrze, już dobrze — uspokaja go ojciec — a teraz niech nam Feri powie, co trzeba robić dalej.

— Co dalej? — wzrusza ramionami malec. — Jak działa wystygnie, wyjmuję się je z dołu.

— A właśnie, że nie! A gdzie piłowanie i wygładzanie? A gdzie trzy wystrzały próbne?

Feri czerwieni się po uszy. Gdyby nie to, że goście wrywali sobie chłopców z rąk, by ich wycalować, bracia pobiliby się przy stole.

— A co najlepsze — zaśmiał się Balint Tórók — o loncie obaj zapomnieli.

Potem toczyła się rozmowa o sprawach wojennych, o Turkach, o Niemcach. W pewnej chwili nawet Gergelya zapytano o zdanie.

— Zapowiada się na dzielnego człowieka — uśmiechał się Balint Tórók do Gergelya z aprobatą — ma bystrą głowę. Tylko ramię jeszcze słabe.

— Mniejsza o to — machnął ręką Zrinyi — nie siła ramion jest ważna, ale siła serca: odwaga. Jeden jedyny chart przepędzi nawet sto zajęcy.

Kolacja dobiegała końca, na stole pozostały już tylko srebrne czary.

— No, dzieci, pożegnajcie się grzecznie. Już czas na was — rzekł Balint Tórók.

— A wujaszek Sebók dziś nie zaśpiewa? — zapytał mały Feri. Niepozorny człowiek o łagodnej, mocno zarośniętej twarzy poruszył się.

— Otóż właśnie, drogi Tinódi \* — zwrócił się do niego Zrinyi z ciepłym spojrzeniem — zaśpiewaj nam coś ładnego.

Sebestyén Tinódi wstaje i wolnym krokiem idzie w róg sali, zdejmując z gwoźdźca lutnię.

— No dobrze — godzi się Balint — pozwalam wam posłuchać jednej pieśni. Potem zatrabuję na capstrzyk.

\*/ Sebestyón Tinódt (1510—1556) — trubadur węgierski, który w swoich pieśniach sławił bohaterstwo Węgrów w walkach z Turkami.

Tinódi odsuwa się z krzesłem nieco dalej od stołu i przebiera palcami po strunach.

— Co wam zaśpiewać?

— To, co ułożyłeś w zeszłym tygodniu.

— O Mohaczu?

— Tak. A może nasi mili goście mają inne życzenie?

— Skądże znowu! Zaśpiewaj nam swoją ostatnią kanconę. Cisza zaległa salę. Służący zdusili knoty świec stojących na stole i przysiedli we wnęce przy drzwiach. Palce barda jeszcze raz przebiegły po strunach. Ze stojącej przed nim czary upił łyk wina i jął śpiewać głębokim, aksamitnym głosem:

O wielkim smutku chcę śpiewać Węgier,  
O krwią przesiąkniętych polach  
Mohacza, O poległym w boju kwiecie narodu,  
O śmierci młodego króla Węgier.

Było coś osobliwego w tym śpiewie, a raczej recytacji wypowiedzianej przejmującym głosem. Czasem bard odśpiewał tylko początek zwrotki, resztę opowiadał, pobrzękując do taktu na lutni. Zamyśloni oczy utkwili gdzieś w kącie izby, jak gdyby był sam w sali i dla siebie samego śpiewał.

W czytaniu tekst wierszy brzmiałby naiwnie i bez cienia artyzmu, w jego ustach jednak nabierał szczególnego piękna i głębi, wstrząsał słuchaczami — jak to kiedyś zauważył ksiądz Gabor. Gdy wypowiadał słowo „żałoba” — przed oczyma wszystkich ciemniał świat. Na słowo „bój” — widziało się dymiące szable i nabiegłe krwią oczy walczących. Kiedy zaś powiedział „Bóg” — każdy czuł nad głową jasność Wszechmogącego.

Goście wsparci łokciami o stół już po pierwszej zwrotce jęli przesuwać dłońmi po oczach; po twarzy Balinta Tóroka popłynęły łzy. Walczył pod Mohaczem w gwardii królewskiej. Żył jeszcze ze cztery tysiące uczestników i naocznych świadków bitwy. Całe Węgry przytłaczało jeszcze poczucie bezsily i beznadziei. Kraj, jak długi i szeroki, spowity był kirem żalobnym.

Obecni w smutnym skupieniu słuchali o przebiegu bitwy, opiewanej przez Tinódiego, tylko przy wspomnianiu czynów bohaterskich promieniały ich twarze.

Wreszcie Tinódi doszedł do ostatniej zwrotki i śpiew jego stal się raczej westchnieniem:

Pod Mohaczem ugór niezorany,

Jakże gęsto trupami usłany.

Całuny kryją naród cały,

Może nigdy nie zmartwychwstanie!

Zrinyi uderzył w rękojeść szabli:

— Zmartwychwstanie!

Zerwał się na równe nogi i podniósł prawicę:

— Mości panowie! Złożmy uroczyste ślubowanie, że żyć będziemy jedynie myślą o ojczyźnie i na ojczyzny pożytek. Że dopóty nie złożymy głowy na poduszce, dopóki Turcy dzierżyć będą choć piędź naszej ziemi!

— A Niemcy? — rzucił Balint Torok, oparłszy się plecami o krzesło.

— Czyż po to ma krew przelewać dwadzieścia tysięcy Węgrów, aby wyświadczyć usługę Niemcom? Turek i Niemiec! Jeden wart drugiego. Prawdę mówiąc, wolę sto tysięcy razy uczciwego poganina niż obłudnego Niemca!

— Twój teść też jest Niemcem — wybuchnął Zrinyi. — Niemiec to jednak chrześcijanin.

Stary jegomość uspokajającym ruchem ręki wtrącił się do gorącej dyskusji:

— Po pierwsze nie jestem Niemcem. I Dunaj przestaje być rzeką niemiecką, gdy przepłynie węgierską granicę. Moim zdaniem jest tylko jedno słuszne stanowisko: Węgrom nie wolno wojować przez pięćdziesiąt lat co najmniej. Musimy się znowu wzmocnić.

— Dziękuję! — Zrinyi walnął pięścią w stół. — Nie chcę się wylegiwać w łóżku przez pięćdziesiąt lat!

Wstał od stołu pobrzękując szablą.

Na ten brzęk Gergely otworzył oczy i ze zdumieniem stwierdził, że nie siedzi przy stole Balinta Tóroka, lecz leży pod gwiazdzistym niebem, a przed nim stoi nie Zrinyi, lecz barczysty Turek, Hajwan.

— Masz! — rzekł rzucając na ziemię płaszcz i janczarke. — Konia zdobędę po drodze.

Gergely narzucił na siebie płaszcz i wciągnął na głowę kapuzę. I jedno, i drugie było o wiele za obszerne na niego, a jednak w tej chwili bardziej go uszczęśliwiło niż najwytworniejszy strój węgierski.

Olbrzym nachylił się i jednym ruchem skruszył kajdany na drugiej nodze Gergelya. Potem ruszyli ku północy.

Płaszcz był przydługi, Gergely musiał go podkasać, by móc dotrzymać kroku Turkowi.

Cały tabor pogrążony był we śnie. Przed niektórymi namiotami,, zapiętymi na mosiężne guzy, stali wartownicy, ale oni także spali. Tabor ciągnął się w nieskończoność.



Wreszcie znaleźli się wśród wielbłądów. Namiotów było już coraz mniej, ale i tam nie brakowało ludzi, którzy spali rozciągnięci na trawie.

Hajwan stanął przed nędznym, połatany namiotem.

— Hej, stary! — zawołał. — Wstań!

Niski, łysy, siwobrody starzec wygramolił się z namiotu. Był bosy, w sięgającej do kolan koszuli.

— Co takiego? — spytał ze zdumieniem w oczach. — Ach, to ty, Hajwan?

— Ja. Kilka dni temu targowałem twojego siwka — wskazał na niesforne konisko pasące się między wielbłądami. — Sprzedasz za tyle, ile ci dawałem?

— I po to mnie budziłeś? Dwadzieścia guruszów\*, ani miedziaka mniej.

\*/ G u r u s z — złota moneta turecka odpowiadająca austriackiemu talarowi.

Hajwan wygrzebał z pasa srebrniki. Przeliczył je raz, drugi, a kładąc po jednej monecie na dłoń kupca, liczył trzeci raz.

— A ostrogi? — zagadnął Gergely olbrzyma, gdy kupiec odwiązywał konia.

— Na dodatek dasz mi ostrogi — rzekł Hajwan do kupca.

— Ale nie dziś. Jutro.

— Nie. Zaraz.

Kupiec znikł w namiocie, długo myszkował, pobrzękiwał w ciemności. Za chwilę pojawił się trzymając w ręku zardzewiałe ostrogi.

8

W tym samym czasie Jumurdzak wałęsał się między namiotami chorych.

— Gdzie ten niewolnik, który chciał wyprawić do raju najjaśniejszą osobę padyszacha? — zapytał jednego z wartowników.

Wskazał mu na czworokątny biały namiot, przed którym pięciu starców siedziało przykucnąwszy dokoła wetkniętej w ziemię żagwi; byli to medycy sułtana. Powaga i ponury wyraz malowały się na ich twarzach.

Jumurdzak stanął przed wartownikiem namiotu.

— Czy mógłbym porozmawiać z jeńcem?

— Zapytaj medyków — odparł z szacunkiem janczar.

Jumurdzak pokłonił się medykom. Oni także skinęli głowami.

— Efendi — zwrócił się do najstarszego — gdybyś mi pozwolił zamienić kilka słów z chorym, wielką mógłbym wyświadczyć przysługę padyszachowi.

Jeden z medyków wzruszył ramionami, mogło to znaczyć „nie pozwalam” albo też „wejdz”.

Jumurdzak wybrał to drugie znaczenie.

Zasłona namiotu była nieco uniesiona. Wewnątrz wisiał płonący kaganek. Na pościeli leżał ksiądz na wznak z lekko przymkniętymi oczami.

— Giaurze — odezwał się jednooki drżącym głosem — poznajesz mnie?

Ksiądz nie odpowiedział. Leżał nieruchomy. Kaganek oświetlał zaledwie czubek jego nosa.

— To ja, Jumurdzak, ten sam, którego miałeś powiesić. Zwróciłeś mi wolność za cenę mojego amuletu.

Ksiądz milczał. Rzęsy mu nawet nie drgnęły.

— Teraz ty jesteś w naszych rękach — ciągnął dalej Turek — i na pewno skrócą cię o głowę. Ksiądz milczał.

— Przyszedłem po amulet — wyjaśniał dalej pokornie. — Dla ciebie to rzecz obojętna, dla mnie źródło powodzenia i siły. Odkąd nie noszę go przy sobie, opuściło mnie szczęście. Miałem dom na brzegu Bosforu, piękny pałacyk. Kupiłem go, by zamieszkać w nim na starość. Spłonął doszczętnie. Bogactwa znajdujące się w nim rozkradziono. Przebili mi ramię w bitwie. Spójrz na moją lewą rękę, może zostanę kaleką na całe życie — wskazał na czerwoną szramę.

Ksiądz leżał nieruchomy jak mrok zalegający wewnątrz namiotu.

— Giaurze — nalegał jednooki płaczliwym głosem — wiem z własnego doświadczenia, że jesteś dobry, szlachetny. Często myślałem o tobie i zawsze dochodziłem do wniosku, że dobroć twego serca musi być niezmierna. Zwróć mi amulet!

Ksiądz milczał. Kaganek tylko zaskwierczał — może mucha wpadła w płomień.

— Spełnię wszelkie twoje życzenia — zaczął na nowo Turek po chwilowej przerwie. — Uczynię wszystko, aby cię uratować z rąk kata. Ojciec mój jest jednym z najpotężniejszych paszów. Brat begiem. Póki człowiek żyje, póty jest jeszcze nadzieja. Powiedz mi tylko, gdzie mój amulet!

Ksiądz milczał.

— Gdzie mój amulet? Powiedz! — i zgrzytając zębami chwycił księdza za ramię, potrząsnął nim. Szczeka księdza opadła. Szkliste oczy wpatrywały się w nicość.

9

Minąwszy ostatnią wartę Hajwan przystanął.

— No — rzekł — spełniłem wszystko, czego żądałeś. Teraz na ciebie kolej. Mów, jaką tajemnicę zawiera pismo?

— To kabała — odrzekł Gergely tajemniczo.

— Kabała?... — powtórzył Hajwan. Ściągnął brwi, jak gdyby usiłował pojąć znaczenie tego niezrozumiałego słowa.

— Jeśli przyjrzyysz się dokładnie kartkom, na każdej zobaczysz gwiazdę. Dokoła gwiazdy święty derwisz stawiał znaki tureckie. To modlitwy do szczęśliwych gwiazd. Jatagan mi też obiecałeś.

Hajwan podsunął Gergelyowi dwa jatagany; ten wybrał jeden i zaraz wsunął go za pas.

— Te obrazki — ciągnął dalej — musisz stale nosić przy sobie. Rozetnij każdy pergamin na siedem części i zaszyj skrawki pod podszewkę kaftana. A nie zapomnij włożyć skrawka do turbanu. Gdzie cię będzie pokrywać ten święty pergamin, tam cię kula nie przebije.

Hajwanowi zabłyśły oczy.

— Czy aby na pewno?

— Nie ja to mówię, a święty derwisz. Słyszałeś chyba o bohaterach, których kule się nie imają?

— Tak.

— No widzisz. Nie dawaj nikomu z tych papierów nawet skrawka. Radzę ci, nawet nie pokazuj ich nikomu, bo ci jeszcze ktoś ukradnie albo wyłudzi je od ciebie.

— Ho, ho! Ja też mam swój rozum!

— Jeszcze nie skończyłem. Na jednej kartce napisane jest, żebyś nie tknął, nawet palcem, ani kobiety, ani dziecka, póki nie zostaniesz wielkim panem. A nim się to stanie, musisz się starać o jedno: wykazać się bohaterstwem i dzielnością.

— Święty derwisz będzie ze mnie zadowolony.

— Wielkie godności czekają na ciebie: zostaniesz beglerbegiem całych Węgier. Turek rozdziawił usta ze zdumienia:

— Beglerbegiem?

— Ho, ho! ale nie tak zaraz. Z czasem dopiero poznają się na tobie. I jeszcze coś tam jest ważnego. Ten, kto posiada pergaminy, powinien ściśle przestrzegać przykazań Koranu. Bądź pilny w modłach i w przepisany myciu ciała. I nie krzywdź tych, co ci wyświadczili dobry uczynek.

Drab z rozrzewnieniem spoglądał na Gergelya.

— Często mi się śni — szepnął — że będę wielkim panem. Widziałem siebie chodzącego po marmurowym pałacu w jedwabnym kaftanie... I piękne żony mnie otaczają... Tak, tak. Wyśniło mi się to już dawno. Mówisz, że na siedem części?

— Tak. Koniecznie. Na większe i na mniejsze kawałki, zależnie od tego, które części ciała chcesz ustrzec przed niebezpieczeństwem.

Turek rozmarzony patrzył przed siebie.

— Jak zostanę wielkim panem — rzekł po chwili — przyjmę ciebie na skrybę. Gergely zagryzł wargi, by nie wybuchnąć śmiechem.

— No, bracie, czas na ciebie — powiedział Turek przyjaźnie. Usłużnie trzymał konia, póki Gergely go nie dosiadł. Na odjeźdźnym Gergely sięgnął do kieszeni:

— Masz, Hajwanie, ten pierścionek. Węgrzy nie przyjmują nic za darmo.

Hajwan wziął pierścień i oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia.

Gergely ciągnął dalej:

— To zapłata za konia i za wolność. Wio, łusy! Niechaj cię Allach pobłogosławi! — Rzekłszy to smagnął konia. Hajwan jednak chwycił za kantar.

— Zaraz, zaraz. Poczekaj trochę. To pierścień turecki, nieprawdaż?

— Tak.

— Skąd go masz?

— Co ci do tego? Ale jak koniecznie chcesz wiedzieć, pochodzi od pewnego janczara.

Hajwan przez chwilę głupio gapił się przed siebie, po czym zwrócił pierścień Gergelyowi.

— Nie chcę go. I tak mi dobrze zapłaciłeś za wolność i za konia — iż powrotem wsunął pierścień Gergelyowi do kieszeni.

Gergely wziął kierunek na południe. Licząc się z pościgiem chciał zmylić Turków i unikał traktu na Budę.

Księżyc między chmurami przesuwiał się ku zachodowi. A na wschodzie zorza poranna różowiła już horyzont.

W pewnym miejscu szeroki trakt przecinał wąską dróżkę. Gergely spostrzegł na niej galopującego jeźdźca. Jeśliby dalej posuwali się w tym tempie, nieuchronnie nastąpiłoby spotkanie na skrzyżowaniu dróg.

Gergely w pierwszej chwili zwolnił bieg konia, ale ponieważ i tamten przeszedł w stępa, spiął konia ostrogami i ruszył cwałem. Zamierzał w ten sposób zyskać sto kroków na czasie.

Nie spuszczał z oka obcego jeźdźca. W rozprasającym się mroku z przerażeniem rozeznał zbliżającego się janczara.

Szarpnął za cugle; koń stanął.

I tamten się zatrzymał.

— Do licha! — mruknął Gergely — z deszczu pod rynnę. Znowu wpadłem w ręce Turka — i trwoga ścisnęła mu serce. Ale już po chwili zdawało mu się, że słyszy ukochany głos Istvana Dobo:

„Najważniejsze, synu, żeby się nie bać”.

Od dzieciństwa nie widział Iswana Dobo. Od czasu, kiedy Balint Tórók odwrócił się od Ferdynanda i przystał do króla Janosa, Dobo nie pokazywał się w Szigetvar ani w Somogyvár czy w Ozora. Gergely jednak zawsze wspominał swego dobroczyńcę z wdzięcznością, w uszach dźwięczały mu jego słowa: „Najważniejsze, synu, żeby się nie bać”.

Zwinny konik Turka znowu ruszył. Gergely także spiął swojego ostrogami. Wola boska! Niech spotkają się na skrzyżowaniu! A może ten Turek wcale nie jego ściga? Krzyknie mu coś na powitanie i popędzi dalej. Tym bardziej że dróżka, po której jedzie Turek, skręca na północ.

A jeżeli Turek chwyci za broń?

Gergely nigdy jeszcze nie walczył. Na dworze Balinta Tóróka sam pan domu i ksiądz uczyli go szermierki, później mierzył się nieraz z niewolnikami tureckimi. Wówczas jednak była to tylko igraszka. Od stóp do głowy chroniło ich żelazo i mieczem nawet nie mogliby zadać sobie rany.

Żeby choć miał dzidę albo szablę, jak ten janczar. Ale ten marny jatagan...

„Najważniejsze, żeby się nie bać” — zadźwięczało jeszcze raz w jego sercu. I to mu dodało otuchy. Galopem ruszył naprzód.

Ale co to? Turek przystanął... i czeka.

Gergely odważnie skręcił na dróżkę, na której Turek stoi, i zaledwie powstrzymał okrzyk radości widząc, że tamten zawraca konia i ucieka aż się kurzy.

To nikt inny, tylko Tulipan!

— Tulipanie! Tulipanie! — śmieje się chłopak. — Nie strój żartów!

Turek jeszcze bardziej wystraszony wołaniem smaga konia co sił i jak wicher pędzi wąską dróżką przed siebie. Konia ma widać dobrego, ale wszędzie stoją kałuże, ziemia gliniasta. Turek przeskakuje przez rów, aby zjechać na łąkę. Koń pośliznął się, Turek spadł do rowu.

Ale kiedy Gergely go dopadł, stał już na nogach z kopią gotową do ataku.

— Ależ Tulipanie — zaśmiewa się Gergely — nie poznajesz mnie, durniu?!

— Olaboga! — stropił się Tulipan — przecież to panicz!

— Nie można powiedzieć, dzielny z ciebie wojak!

— Ano, bo mi się zdawało, że mnie gonią — zawstydził się Tulipan.

— A panicz jak im się wymknął?

— Trochę mi pomógł własny rozum, a trochę głupota innych. Nie miałem cierpliwości czekać, aż ty mnie wyzwolisz.

— Nie było nawet sposobu! Umieścili nas w środku taboru i tak obstawili wartami, że sam ledwo się wymknąłem — usprawiedliwił się Tulipan, pomagając koniowi wstać i skrobiąc się w zakłopotaniu w głowę.

— A to szkapa, już tylko krukowi na pożarcie. Daleko na niej nie zajadę... A iść na piechotę w tych kieckach... Ukatrupią mnie po drodze...

— Zdejm kaftan, nikt cię nie zaczepi.

— Może i tak... A panicz nie wraca ze mną?

— Nie.

— Tylko co?

— Jadę do Budy.

— Chce panicz znów wpaść w ręce Turków?

— Ja prędzej dojadę aniżeli oni. A tam jest mój pan. W razie czego on mi dopomoże. To wielki pan. Mógłby nawet być królem, gdyby tylko chciał.

Tulipan dosiadł konia. Gergely uściskał mu dłoń.

— Pozdrowienia dla domowników.

— Dziękuję pięknie i ja serdecznie pozdrawiam mego pana. Niech panicz nie wspomina, że widział mnie pijanego. Nigdy nie ruszam pańskiego wina, tylko to, co dla służby.

— Dobrze, już dobrze, Tulipanie! No, zostań z Bogiem.

— A co z wielebnym? — spytał Tulipan na odjezdnym. Oczy Gergelya zwilgotniały.

— Nie widziałem się z nim. Biedny... leży ciężko chory.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale czy płacz zdławił słowa, czy rozmyślił się, nie wiadomo. Chwycił za uzdę i odjechał.

Dzień spędził w lesie. Spał. Wieczorem dopiero odważył się wyruszyć w dalszą drogę. Jechał na chybił trafił, drogą okrężną.

Słońce wstawało właśnie, kiedy dotarł do przestronnej łąki rozpościerającej się u podnóża Góry Gellerta. Tam zsunął z głowy kapuzę, zdjął płaszcz i położył na kulbace.

Łąka perliła się od rosy. Gergely zeskoczył z konia, rozebrał się do pasa, zgarnął w garść rosy, by zmyć dwudniowy kurz.

Orzeźwiło go to. Przez ten czas i koń popas! się trochę. W błogim ciepłe promieni słońca zwawo podążali naprzód po ubitym trakcie.

Okolica Budy nosiła niezatarte ślady bitwy. Gdzie spojrzeć padłe konie, połamane kopie, rozwalone wozy, lawety dział, zgniecione zbroje, szable i na czarno pomalowane liche niemieckie szyszaki.

I wszędzie trupy.

Pod krzakiem tarniny leżało pięciu Niemców: dwóch na wznak, jeden zwinięty w kłębek, dwóch zaś z rozplatanymi głowami. Trzech może zginęło od kul, a pozostali dwaj śmiertelnie ranni przywlekli się prawdopodobnie pod krzak i tu wyzionęli ducha.

Powietrze było zatrute strasznym trupim odorem. Na odgłos końskich kopyt stado kruków poderwało się z ciał zabitych i zatoczywszy koło na wysokości kilku sążni powróciło do uczyty.

Nagle dźwięk trąby wyrwał Gergelya ze smutnej zadumy. Zastęp jeźdźców w czerwonych mundurach spuszczał się wolnym truchtem po zboczach Budy. Na przedzie kroczyła kolumna piechoty w ciemnogrnatowych ubiorach. Na czele bieląła konna postać w komży.

To na pewno frater György — zabiło mocniej serce Gergelya — tak, to chyba on. — Od najmłodszych lat wiele słyszał o fraterze Györgygu. W oczach Gergelya była to postać bardziej świetlana niż sam król.

U boku fratra jechał jeździec w czerwonym atłasowym dolmanie, zdobnym w błyszczące już z dala drogie kamienie. W jeźdźcu tym Gergely poznał Balinta Tóroka. Co ma uczynić? Czy uciekać?

Nie. Ucieczka wzbudziłaby tylko podejrzenie. Balint Tórok niechybnie posłałby za nim w pogoń jeźdźca, który zawłókłby go jak schwytanego złoczyńcę przed oblicze ukochanego pana.

Czy ma powiedzieć, jaki los spotkał księdza? Nie. Za nic w świecie! Ściągnąłby na siebie gniew Balinta Tóroka. Bądź co bądź, to on wezwał wojska tureckie do pomocy przeciwko Niemcom, a teraz jego domownicy walczą z Turkami!

Gergely bił się z myślami. Kłamać nie chciał. Byłoby to poniżej jego godności okłamywać człowieka, który go wychował. Z odkrytą głową stał niezdecydowany na skraju lasu. Potem zaczerwienił się nagle aż po uszy, zeskoczył z konia nie wypuszczając wozów z ręki.

Niech się dzieje wola boska!

Koń był głodny. Przekonawszy się, że ma chwilę postoju, zaczął ze smakiem skubać trawę.

Ażeby Pan Bóg pobłogosławił jego łapczywość! Jakże było to na rękę Gergelyowi! Pozornie całą uwagę mógł skupić na trzymaniu w ryzach „niesforne” stworzenia i odwrócić się plecami do żywo rozprawiających o czymś panów.

Tymczasem tętent kopyt zbliżał się zastraszająco szybko. Słysząc było już rozmowę. Uff... Ale... Któż by pomyślał, że i wiatr może się na coś przydać. A jednak. Silny podmuch ze wschodu poderwał żółtawy kurz przydrożny tworząc jakby zasłonę, spoza której ledwie widać było młodego chłopaka parającego się z trudem z jakimś koniskiem. Na pewno bezpański koń po Niemcach. Niech go tam schwyta. Jego szczęście.

Gergelyowi spadł kamień z serca, gdy zobaczył, że grupa dostojników już go minęła i żaden z nich nie zawołał:

— Gergely, skąd się tu wzięłeś, synu?

Skoczył na konia, przywarł płasko do jego grzbietu, przeleżał tak chwilę nieruchomo, potem opuścił nogi, podniósł głowę i już bez obawy śledził pochód.

Wówczas dopiero spostrzegł, że żołnierze w ciemnogramatowych mundurach są zakuci w kajdany. Spodnie i bluzy w strzępach, włosy zmierzwiłone, twarze blade, wynędzniałe. Nie było widać wśród nich starszych, ale za to rannych co niemiara! Czerwono-sina twarz



jednego jeńca była tak poharatana i spuchnięta, że ledwie było widać oczy.

Czy to nie Balint Tórók właśnie tak go wyrzucił?

10

Gergely po raz pierwszy w życiu widział Budę. Wieże, wieżyczki, wysokie mury, szumiące, cieniste drzewa — to ogród królewski. Tu więc przechadzał się król Matyas, tu w tym pałacu żył ongiś król Władysław, a teraz przebywa jego, Gergelya, mała Ewa i oddycha tym samym powietrzem...

...W bramie zamkowej stał wartownik z halabardą, ale Gergelya nie zatrzymał. Swobodnie więc podziwiał dziedziniec pałacowy z okrągłym basenem z czerwonego marmuru pośrodku. Potem przechodząc placem Św. Jerzego stanął i z zaciekawieniem przypatrywał się nagromadzonym tam lawetom. Jakie okopcone! Sądząc po zabłoconych kołach niedawno zostały zdobyte na Niemcach.

— Dzień dobry — zagadnął stojącego na warcie żołnierza. — Czy to łup wojenny?

— No, chyba! — odrzekł żołnierz, widać było, że duma go rozpiera.

Wartownik był przysadzistym brunetem z podkreślonym wąsem, tak pyzaty, jak gdyby bez przerwy dmuchał w kaszę.

Gergely stał zapatrzony w działa zionące jeszcze zapachem spalonego prochu. Szczególnie trzy przykuwały jego uwagę; może nawet dwadzieścia wołów nie dałoby rady ruszyć je z miejsca.

— Panie junaku — zwrócił się Gergely ponownie do żołnierza — może przypadkiem znacie imćpana Ceceyego? Tego z drewnianą ręką...

— Jakżeby nie?

— A gdzie mieszka?

— Ot, tam na dole — wskazał głową ku północy — przy ulicy Św. Jana.

— Jestem obcy w tych stronach. Jak tam trafić?

— Skoro tak, to idź, chłopcze, prosto jak strzełił i pytaj ludzi, aż się dopytasz. Dom nie trudno znaleźć, bo na zielono jest pomalowany. A nad bramą wisi łuk, bo łucznik tam mieszka.

— Sagittarius?

— Tak.

Gergely rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na działa, po czym truchcikiem odjechał.

Wreszcie dopytał się celu. Stał przed zielonym domem przy ulicy Św. Jana.

Był to budynek o pięciu oknach. Trzy na piętrze i dwa na parterze. Pośrodku wąska brama, a nad nią wielki, czerwony łuk z blachy.

Państwo Cecey zajmowali mieszkanie na piętrze. Otworzywszy drzwi Gergely zastał starego pana w żupanie tylko i w kapciach, jak właśnie packą walił w boczną ścianę szafy.

— Masz, psiajucho! Ja cię nauczę! — wołał i tak machał packą, że aż w uszach brzęczało. — Patrzcie, co za odwaga! — prawił dalej, jak gdyby nie słyszał skrzypnięcia drzwi. — Ja je tu tłukę, morduję kupami, a to taki chwyt, że mi siada na brodzie zamiast uciekać! Ale teraz cię mam, sukinsynu! — triumfował i packa ze świstem przecięła powietrze.

— Dzień dobry, tatau — przywitał go Gergely z uśmiechem — dzień dobry!

Cecey odwrócił się zaskoczony. Gergely wprost nie chciał wierzyć oczom, jak Cecey odmłodził. Ach tak — zgolił zarost, który dawniej dochodził mu do samych oczu.

— Któż by się tego spodziewał! — wykrzyknął Cecey. — To ty, synu?

Gergely oczekiwał, że zostanie serdeczniej przywitany, jak to bywało w Keresztes, gdy niekiedy wpadał niespodzianie.

Za chwilę pani domu pojawiła się na progu sąsiedniego pokoju, zwabiona odgłosami rozmowy. Ona też jak gdyby była nie tylko zaskoczona, ale nawet cokolwiek zafrasowana.

— Skąd się tu wzięłeś? Co cię tu sprowadza, synu? — spytała objawszy go za szyję.

„Dawniej pocałunek jej bywał serdeczniejszy” — przemknęło Gergelyowi przez głowę.

— Przyjechałem, aby was namówić do powrotu do Keresztes.

— No, no! — rzekł tylko Cecey, choć miał słowo „bzdura” na końcu języka.

I pani domu spojrzała na chłopaka z politowaniem, jak na kogoś niespełna rozumu.

— Może jesteś głodny, synku? — spytała kładąc dłoń na ramieniu Gergelya. — A może byś się trochę położył? Na pewno nie spałeś.

Gergely z roztargnieniem skinął głową, a potem gwałtownie nią potrząsnął i rzucał tęskne spojrzenia to ku otwartym drzwiom, to na szachownicę rozłożoną na stole.

Spodziewasz się wejścia Ewuni, nieprawdaż? — uśmiechnęła się pani Cecey. — Ale nie ma jej w domu. Mieszka teraz w pałacu u królowej. My też rzadko ją widzujemy, bo królowa nie może się obejść bez niej. Tak, tak, synu! — zdawała relację nie bez dumy, lecz począwszy swąd z kuchni, krzyknęła:

— Matko święta! Mleko mi uciekło!

Gergely pełen oczekiwania spoglądał na Ceceyego, który jednak unikał jego wzroku.

— A gdzie to wielebny ksiądz? — przerwał Gergely milczenie.

— Grzebie — odparł Cecey, a jego twarz przybrała znudzony wyraz.

— On i jeszcze kilku zakonnych.

— Niemców?

— A kogóż? Od samego początku wojny ma pełne ręce roboty. Czy Niemiec wart tyle zachodu?

— I nie strzelają do księży?

— Nie. Bo chodzą w komzach. Do takich się nie strzela.

— Po drodze widziałem sporo jeszcze nie pochowanych.

— Tak, to możliwe, przyjacielu. Bo też wielu położyliśmy. Na słowo „przyjacielu” serce Gergelya ścisnęło się boleśnie. Już nie mógł powstrzymać cisnącego się na wargi pytania:

— Czy Ewa i teraz jest u królowej?

— Tak — brzmiała krótka odpowiedź.

Pan Cecey wstał. Milcząc przez pewien czas przemierzał pokój. Potem z dostojną powagą na twarzy jął opowiadać dzieje córki. Kilka dni temu frater Gyórgy zawiódł Ewę do pałacu i zaprezentował ją królowej, przebywającej właśnie z królewiczem w ogrodzie zamkowym. Niemowle od razu uśmiechnęło się do Ewy i wyciągnęło ku niej rączęta. Ewka bez ceregieli wzięła je na ręce i pohuściła królewicza, jak w domu dzieci poddanych i, jak to ona, powiedziała mu nawet: „Ty mały głuptasku”. Od tej chwili królowa tak ją polubiła, że nawet na noc nie pozwala jej wracać do domu.

Z początku Gergely słuchał pana Ceceyego z zainteresowaniem i zarazem przygnębieniem, w miarę opowiadania rozpromieniały mu się oczy coraz bardziej, ale nagle spoważniał czując na sobie chłodne spojrzenie przybranego ojca.

— Co ci jest? — mruknął pan Cecey. — Czego się tak gapisz jak ciele na malowane wrota?

— Jestem zmęczony... — odparł Gergely, z trudem tłumiąc cisnące się do oczu łzy.

Zrozumiał, że mała Ewa nigdy nie będzie jego żoną.

11

Jak właściwie przedstawiała się sytuacja w Budzie?

Niemcy wielką mieli ochotę zagnieździć się w zamku. Królowa wyraziła na to zgodę, jednakże panowie węgierscy sprzeciwiali się temu, by Niemcy rozsiedli się w zamku Matyasa. Niechaj nareszcie węgierski król rządzi Węgrami! Wezwali więc Turków na pomoc i bronili się zaciekle. Jeszcze przed nadejściem przednich straży tureckich siły niemieckie były osłabione, a w chwili przybycia potężnej armii sułtana wojska Roggendorfa zostały już rozgromione.

Na przywitanie sułtana frater (tak nazywano powszechnie Gyórgya Martinuzzi) osobiście przekazał mu czterystu jeńców.

W uroczystym akcie przekazania ze strony węgierskiej brali udział Balint Tórók i sędziwy Peter Petrovich.

Wojsko sułtana rozłożyło się taborem w Cserepes nie opodal Budy. Jego wysokość sułtan łaskawie przyjął panów w swoim jedwabnym namiocie z wieżą i ganeczkiem. Nazwiska wszystkich trzech znał już ze słyszenia. Było mu wiadome, że głową fratra myśli cały naród węgierski. Balinta Tóroka sułtan pamiętał jeszcze z owych czasów, kiedy w Wiedniu miał właśnie zatknąć sztandar z półksiężycem. Wówczas wszedł mu w paradę Balint Tórók, dokonując krwawego żniwa w szeregach paszy Kasona. Balint Tórók zdobył sobie wtedy wśród Turków opinię wcielonego diabła. Co do starego Petrovicha, to tłumacz wyjaśnił wezyrowi, że jest skoligacony z królewiczem i sławny stąd, że w roku 1514 on właśnie zepchnął Gyórgya Dózsę z konia i wziął go do niewoli.

Panów węgierskich wprowadzono do namiotu. Milcząc wszyscy się pokłonili. A gdy sułtan wyszedł im naprzeciw i wyciągnął dłoń na przywitanie — frater ucałował wyciągniętą rękę. Sędziwy Petrovich uczynił to samo.

Balint Tórók przybladł trochę, lecz tylko pokłonił się ponownie i dumnie patrzył sułtanowi w oczy.

Fratrowi ścierpła skóra. To jest rozmyślna zniewaga! Nie, tego me przewidział! Popęłnił błąd niewybaczalny nakłaniając pana Balinta do dotrzymania mu towarzystwa.

Sułtanowi nie drgnęła nawet powieka. Wysuniętą do pocałunku dłoń podniósł nieco wyżej, położył na ramieniu Balinta Tóróka i objął go serdecznie. Uczynił to z taką prostotą, jakby to było rzeczą najnaturalniejszą w świecie.

Spoza pleców sułtana wystąpili wówczas dwaj sułtanowicze i serdecznie uścisnęli dłonie panów węgierskich. Zapewne już wcześniej dostali wskazówki, jak się znaleźć wobec gości ojca. Następnie obaj powrócili na swoje miejsca za plecami ojca, a oczy ich spoczęły na Balincie Tóróku.

A było na co patrzeć! Balint Tórók to wspaniały typ wielmoży węgierskiego. Gdy tak stał w czerwonej atlasowej szacie, mógł zaćmić nawet koronowane głowy.

Starce, wypukłe oczy sułtana częściej spoglądały na Balinta Tóróka aniżeli na zgiętego w pokłonach fratra, który w płynnej oracji łacińskiej oznajmił, że niebezpieczeństwo niemieckie zostało zażegnane i naród węgierski rad schronić się pod skrzydła tak potężnego opiekuna.

Rolę tłumacza spełniał Sulejman pasza, schorowany, chudy starzec, który w młodzieńczym wieku dostał się z ziemi węgierskiej do Turcji i obydwoma językami władał nienagannie. Zdanie po zdaniu tłumaczył przemówienie fratra.

Sułtan kiwał głową, a gdy frater zakończył perorę głębokim ukłonem, uśmiechnął się z aprobatą.

— Dobrze mówileś. Przyszedłem wam z pomocą, bo król Janos był moim przyjacielem. Los jego ludu nie jest dla mnie losem obcego ludu. W kraju tym zostanie przywrócony pokój. Lud węgierski będzie w przyszłości mógł spać spokojnie. Szabla moja czuwać będzie nad nim.

Frater, promieniejąc radością, złożył jeszcze jeden ukłon. Stary Petrovich uronił ze wzruszenia kilka łez. Jedynie Balint Tórók spoglądał przed siebie z zachmurzonym czołem.

— A teraz — rzekł sułtan — pragnąłbym zobaczyć zwyciężonych. Dosiadł konia i w otoczeniu panów węgierskich wolno przejechał między szpalerem jeńców klęczących na piasku nad brzegiem Dunaju.

Po prawicy sułtana jechał frater, po lewej pasza Sulejman. Sułtan czasem odwracał się kierując słowo do Petrovicha, to do Balinta Tóroka lub do swych synów.

Długi rząd jeńców bił czołem pokłony sułtanowi. Ten i ów błagalnie wysuwał ku niemu zakute w kajdany ręce.

— Nędzny, żołdacki naród — zwrócił się sułtan do Balinta Tóroka po turecku — ale i wśród nich znajdują się dzielni wojacy.

— Tak, było takich paruset, ale ich już nie ma — odparł Balint Tórok po węgiersku i na pytający wzrok sułtana dodał:

— To ja ich w proch rozbiłem.

Powrócili do namiotu. Sułtanowi przyniesiono wygodny stołek z poręczami i oparciem. Ani posłom, ani sułtanowiczom nie postawiono siedzeń.

— Co Jego Światłość każe uczynić z jeńcami?

— Poucinać im głowy — rzekł sułtan obojętnie, jak gdyby powiedział: „Ładny dzień mamy dzisiaj”.

Usiadł na złotem haftowanej poduszce. Dwóch rękodajnych stanęło za jego plecami poruszając wachlarzami z pawich piór. Nie był to ceremoniał dla podniesienia pompy; był koniec sierpnia i za taborem ciągnęły miliardy much. U boku sułtana stali jego synowie. Przed nim z obnażonymi głowami panowie węgierscy.

Przez chwilę sułtan siedział zatopiony w myślach, po czym zwrócił się do Tóroka:

— Wzięliśmy jakiegoś księdza w drodze. Pochodzi z twojego komitatu. Może go znasz?

Balint Tórok zrozumiał sułtana, ale z wyczekiwaniem patrzył na tłumacza.

— Nie wszystkich księży z mojego komitatu znam — odparł po węgiersku. — Moi poddani są różnej wiary. Ale bardzo możliwe, że go znam.

— Przynieście go! — rozkazał sułtan i znużony spoglądał przed siebie.

Znad brzegu Dunaju dobiegał straszliwy zgiełk. Krzyki, lamenty, błagania zlewały się z szumem pobliskiego taboru: egzekucja się rozpoczęła.

Po chwili przyniesiono ciało ludzkie zawinięte w białą płachtę. Położono je przed sułtanem i odsłonięte twarz.

Znasz go? — spytał sułtan spoglądając spod przymrużonych powiek na Balinta Tóroka.

— Znam dobrze! — krzyknął Tórok wstrząśnięty. — Przecież to mój kapelan!

Wodził wzrokiem po obecnych, jak gdyby czekając na wyjaśnienie. Twarze dostojników tureckich nawet nie drgnęły. Spotykał tylko lodowate spojrzenia czarnych oczu.

— Niedomagał. Był już ciężko chory, gdy go przyniesiono do taboru — oświadczył sułtan, po czym nakazał pachołkom, by pochowano księdza według obrzędów wiary chrześcijańskiej.

Zaczęto roznosić srebrne tace z orzeźwiającymi napojami w srebrnych czarach. Był to sok z pomarańcz i wody różanej, zimny i pachnący.

Sułtan z serdecznym uśmiechem poczęstował najpierw Balintra Tóroka.

12

Pani Cecey przygotowała Gergelyowi posłanie w izdebce z oknem od podwórza. Właściwie nie odczuwał zmęczenia, pragnął tylko pozostać sam na sam ze swoim smutkiem.

Nic dziwnego, że królowa polubiła małą Ewę. Jego zdaniem była ona istotą najbardziej godną kochania. A jednak rodzice nie powinni tak się radować jej powodzeniem chociażby ze względu na niego. Doskonale wiedzą, jak mu zależy na spotkaniu z nią, co w tych warunkach stało się całkiem nieosiągalne. On, który nie ma ani domu, ani herbu, ani nawet własnego psa, nigdy nie śmiałby wtargnąć nie proszony na dwór królewski, gdzie dostęp mają tylko książęta i najwyżsi dostojnicy.

Rzucił się na ławę zasłaną niedźwiedzią skórą i mokrą od łez twarz zasłonił dłońmi.

Smutek ma tę wielką zaletę, że usypia i pocieszające zsyła sny. Gergely przespał kilkanaście godzin na niedźwiedziej skórze i zbudził się uśmiechnięty.

Zdumiony rozejrzał się po izdebce, potem wzrok jego padł na obraz świętego Emeryka na ścianie; spoważniał. Siedział z twarzą wtuloną w dłoń, z łokciem wspartym o kolana i w myśli jak w kalejdoskopie przesuwały mu się żalosalne obrazy dwóch ostatnich dni. Niezmierny tabor turecki, niewola, śmierć księdza, ucieczka, zamek w Budzie, Ewa, dwór królewski, chłodne przywitanie przybranych rodziców...

Potem pomyślał o koniu, czy mu dano obroku, czy go napojono? Czy stary siwek wytrzyma trud drogi powrotnej?

Czy powiedzieć domownikom w Somogyvar, co się z księdzem stało? Kto ich teraz uczyć będzie? Na pewno sztywnoreki lutnista Sebestyén Tinódi.

Wstał i otrząsnął się jak ktoś, kto pragnie zrzucić z siebie ciężar koszmarnych myśli. Przeszedł do pokoju Ceceych.

— Matko — rzekł do pani domu — ja tylko po to przyjechałem, ażeby ostrzec was przed Turkami. Ale już wracam.

Pani Cecey siedziała przy oknie i złotymi nićmi wyszywała coś na kawałku cienkiego płótna. Zapewne falbankę ze złotym brzeżkiem, jakie nosiły ówczesne niewiasty koło szyi. To na pewno dla Ewy...

— Czemu ten pośpiech? — spojrzała nań zdziwiona. — Dopiero coś przyjechał! Męża nawet nie ma w domu. Może będzie chciał porozmawiać z tobą. A byłeś już u pana Balinta?

— Nie. I nie pójdę! Pilno mi do domu. Będą niespokojni. Nie uprzedziłem nikogo, że wybieram się tu.

— A z wielebnym nie chcesz mówić?

— Gdzie mieszka?

— Gdzie? Tu z nami. Ale go nie ma w domu. Pogrzeby...

— Jeszcze ciągle skaczą sobie do oczu?

— Więcej niż dawniej. Teraz on jest zwolennikiem Ferdynanda, a mąż przeszedł na stronę Janosa.

— Może waćpani przekaże pozdrowienie ode mnie — rozmyślnie nie powiedział „matko”.

Pani Cecey nawlekała igłę i dopiero po chwili milczenia odpowiedziała:

— W takim razie nie zatrzymuję cię, synu. Jedź z Bogiem. Ale przynajmniej przegryź coś. Zostawiłam ci obiad. Nie chciałam cię budzić, widziałam, żeś zdrożony.

Gergely schylił głowę. Zapewne rozważał, czy nie odmówić. W końcu w obawie, by nie zrobić jej przykrości, przyjął poczęstunek.

Pani domu rozłożyła na stole żółty skórzany obrus, postawiła przed Gergelyem zimne mięso i wino.

Tymczasem wrócił ksiądz Balint. Zwykle do nastania ciemności spełniał smutne obowiązki, dziś jednak wyjątkowo silnie doskwierało słońce, czuł się zmęczony.



Pan Cecey też już był nadszedł. Gergely pocałował księdza w rękę. Po przywitaniu tenże gościnnie posadził go z powrotem do stołu.

— Boże, jak ten czas leci! Wczoraj jeszcze dzieciak, a dziś prawie mężczyzna! — zdumiewał się ksiądz. — A gdzie Ewka?

— Na zamku — rzekł Cecey i na pytające spojrzenie księdza dodał zafrasowany: — Królowa ją polubiła. Nawet na chwilę nie puszcza jej do domu.

— A odkąd to?

— Już od kilku dni.

— Może dziecko niańczy? — zachnął się ksiądz.

— Skądże... Nigdy bym na to nie pozwolił — zapewnił księdza Cecey. — Zresztą... mają tam nianiek pod dostatkiem. Tylko królowa chce ją mieć przy sobie, bo ją polubiła i tyle!

— Twoja córka niańczy syna Szapolyaiego! — ksiądz zerwał się na równe nogi z nabiegłymi krwią oczyma.

Cecey niespokojnie przemierzał pokój.

— A cóż w tym straszego? — zrzędził. — Sam zawsze mówiłeś, że lepszy rogaty Węgier aniżeli anielski Niemiec!

— Twoja córka niańczy syna Szapolyaiego! — powtórzył ksiądz z przekąsem, potem nagle znów go zalała krew i wrzasnął na Ceceyego: — Więc tak zmięknąć może mózg człowieka na starość! Zapomniałeś już o tym, że ojciec tego dziecka był katem! Zapomniałeś już, żeśmy razem pokrajali w kawałki ciało Gyórgya Dózsy? — Mówiąc to cisnął krzesłem o podłogę, aż się rozprysło na drzazgi.

Gergelyowi kęs wypadł z ust. Zbiegł ze schodów, wyprowadził konia i pognał bez pożegnania.

13

Przed pałacem królewskim zeskoczył z konia trzymając go za kantarek. Na murze ujrzał zegar słoneczny. Słońce schowało się właśnie za chmurami, złocona sztabka rzucała ledwie widoczny cień na rzymską liczbę IV.

Gergely tęsknym wzrokiem powiódł po oknach, najpierw parterowych, potem na piętrach, w końcu przeniósł wzrok na wieżę.

W bramie pałacowej panował ożywiony ruch. Żołnierze wchodzili i wychodzili bez ustanku. Jakiś pan w sędziwym wieku, siwy i przygarbiony, dreptał ku pałacowi. Za nim szło dwóch skrybów.

— Z drogi! — krzyknął wartownik na jakichś dwóch chłopczyków.

— Co się tu gapiacie?!

Sędziwy starzec musiał być jakąś znakomitą osobistością. Wszyscy czolobitnie ustępowali mu z drogi, on zaś nawet nie skinął głową. Skrybowie trzymali w rękach zwinięte w rulon papiery. Za spiczaste sukienne czapki mieli zatknięte gęsie pióra, u pasa zwisały im mosiężne kałamarze. W promieniach słońca nawet cienie ich posuwały się dostojnie po murach pałacu.

Wtem Gergely dostrzegł parę cienkich nóg przybranych w czerwone buty. Poznał, że należą one do jednego z członków załogi Szigetvar, nazwiskiem Istvan Nagy. Gergely odwrócił się i spiesznie ruszył ku placowi Św. Jerzego. Nie chciał, by znajomi Balinta Tóroka ujrzeli go tu przed zamkiem królewskim.

Kilka kroków dalej znów natknął się na znajomego. Tym razem był to ruchliwy człowieczek z twarzą okoloną brodą: Imre Martonfalvai — skryba, szafarz, porucznik, słowem — zaufana persona na dworze Balinta Toróka.

Gergely chyłkiem schował się za konia, ale daremnie: został zauważony.

— Ho, ho, ty tu, Gergely?!

Gergely zaczerwieniony po uszy podniósł schyloną dotąd głowę.

— Skąd się tu wzięłeś? Może przyjechałeś na spotkanie pana?

A skąd masz tego wołu z końskim łbem? Przecież to nie z naszej stajni!

Gergely najchętniej zapadłby się pod ziemię, razem z pocziwym zwierzęciem tak spostonowanym. Szybko jednak zapanował nad sobą.

— Tak, tak, właśnie chciałem się zobaczyć z panem — mrugał zafrasowany. — A gdzie go można zastać?

— Nie wiem, czy już wrócił. Zawiódł jeńców niemieckich do sułtana. Hej, nasz pan to wojak jakich mało! Żebyś widział, jak siekł Niemców! Akurat dziś minął tydzień, wrócił z ociekającą krwią prawą ręką. Królowa siedziała przy oknie. Gdy przejeżdżał przed nią, wywijał szablą tą poharataną ręką. A co w domu słyhać? Nie ma pomoru bydła?

— Nie.

— A niewolnicy przeczyścili już starą studnię?

— Tak.

— A młóckarze nie kradną?

— Nie.

— A panicze zdrowi?

— Zdrowi.

— A waćpani?

— Też.

— Znajomych nie spotkałeś po drodze?

— Nie.

— Ano, w takim razie w porządku — rzekł pan Martonfalvai wachlując się czapką. — Gdzie stanąłeś? Masz już kwaterę?

— Nie mam.

— To przenocuj u mnie. Przywiozłeś może jakąś ważną wiadomość? A może list do pana?

— Nie... ja tylko tak...

— Zaczekaj tu. Ja skoczę tylko do pałacu. Potem pójdziemy do mnie i przebierzesz się w świąteczny strój. A może nie masz przy sobie? To nic, znajdzie się. Tak nie możesz się pokazać panu! Chodź no, tam będzie ci przyjemniej czekać — rzekłszy to poprowadził chłopca z koniem na dziedziniec dla jeźdźców i ulokował go w cieniu.

Gergely wodził wzrokiem za gadułą. Jak żwawo biegnie po czerwonych marmurowych schodach! Rozwahał, czy nielepiej byłoby umknąć przed rugami pana Balinta. Ale nie... przed panem Balintem nie ma ucieczki! Jego oczy bystre i śmiałe przyciągają niby magnes. Panu Balintowi trzeba mówić prawdę. Trzeba się przyznać, że... oj, ale jak się tu przyznać?

Podrapał się w ucho, zatopiony w rozważaniach. Potem znów jął wodzić oczyma po oknach. Nagle jego błądzący wzrok padł na wąski zaułek. Kto wie, może tędy jest wejście do ogrodu królewskiego? Może udałoby się wśliznąć tam niepostrzeżenie i choć z daleka zobaczyć Ewę? Tak, tylko z daleka, do królowej nie ma dostępu taki jak on zwykły śmiertelnik. Ujrzałby jej delikatną twarz, jej roześmiane, szare oczy. Wywijałby czapką ku niej, a potem przez tydzień łamałaby sobie głowę, kto to mógł być! Może Gergely? A może ktoś podobny tylko do niego? Albo duch Gergelya?

Dziedziniec był usłany źdźbłami słomy. W murze ciężkie żelazne kółka, do których przyjezdni przywiązywali wierzchowce, podczas gdy sami załatwiali swoje sprawy w zamku.

Gergely, nie namyślając się długo, przywiązał swojego siwka, następnie spokojnie wymijał żołnierzy w mniemaniu, że tam znajdzie wejście do ogrodu. Był jednak w błędzie. Cóż za pomysł! Wejście do

ogrodu królewskiego przez jakiś tam nędzny zaułek? Nie tędy droga do szczęścia! Po jednej stronie zaułka wznosiły się wysokie, żelazne sztachety, po drugiej zaś mroczny mur budynku zamieszkałego niegdyś przez uczonych króla Matyasa. Później, za Władysława, oddano go do użytku duchownym polskim i męskiej służbie dworskiej, jeszcze później zaś gnieździły się tu służki królowej.

Gergely jednak nie wiedział o tym. Stał wpatrzony w białe sztachety o zaokrąglonych, złoconych końcach. Co chwila zaglądał do ogrodu. To zobaczył dróżkę wysypaną żwirem, to znów schludną altankę pod zielonym daszkiem. Sztachety u góry ozdabiały spiżowe sokoły, ząb czasu dał im się jednak we znaki, z niektórych zaledwie nogi się zachowały. Nagle Gergely przez gęste listowie dostrzegł różową plamę — to niewieście stroje!

Serce Gergelya biło jak młotem. Coraz śmieiej zbliżał się do ogrodzenia. Wreszcie pod starą lipą ujrzał grupkę pań.

Siedziały wokół kolebki. Miały jasne, różowe szaty. Tylko jedna z nich była cała w czerni, kobieta o cienkim nosie i owalnej, bladej twarzy. Oczy miała czarne i smutne. Uśmiechała się jedynie wówczas, kiedy nachylała się nad kolebką. Ale nawet jej uśmiech był smutny.

Inna postać w bieli, odwrócona do Gergelya plecami, zieloną gałązką lipy machała nad kolebką.

Gergely wyszukał sobie miejsce najodpowiedniejsze do obserwacji. Doliczył się czterech pań przy kolebce, piąta cokolwiek dalej nachylała się nad marmurowym naczyniem w kształcie kielicha.

Chłopak podbiegł w tamtym kierunku wzdłuż sztachet. Tak! To Ewa! Ale jak urosła! Zbierała kasztany do koszyczka. Ewa! Ewuniu! — szepnął przez kraty.

Dziewczyna stała odeń o jakieś dwadzieścia kroków. Nuciała piosnkę i nie dosłyszała szeptu Gergelya.

— Ewa! Ewunia!

Podniosła głowę i rozszerzonymi ze zdumienia oczyma wodziła po sztachetach.

— Ależ Ewuniu! — powtórzył Gergely, a serce mu skakało z radości.

— Chodź tu, to ja, Gergely!

Gałązki berberysu zasłaniały chłopca przed oczyma Ewy, poznała jednak jego głos. Przez chwilę stała niezdecydowana, potem lekko jak sarenka podbiegła kilka kroków i znów stanęła z okrągłymi oczyma.

— Ewunia! To ja, Gergely — powtórzył Gergely jeszcze raz. Wówczas dziewczynka dopadła go i stanęła jak wryta:

— Gergely! Skąd się tu wzięłeś? — i promieniejąc z radości podała mu przez sztachety buzię do pocałunku.

Gergelyowi zdawało się, że wokół niej unosi się wonny zapach róży jerychońskiej, która kwitnie wiosną!

Oboje trzymali się rękami kraty. Krata była zimna, ręce gorące, twarze zarumienione.

Gergely pokrótce opowiedział dzieje ostatnich kilku dni wpatrzony w dziewczynę z nie ukrywanym podziwem.

Jak urosła! I jak wypiękniała! Jedynie niewinne i szczerze oczy pozostały te same.

Kto inny, obcy, nie uważałby jej za piękną. Była w tym wieku, kiedy ręce i nogi gwałtownie rosną, twarz nie ma kobiecej dojrzałości, kształty nie są zaokrąglone, lecz chłopięce. W oczach Gergely a jednak była ona uosobieniem piękna.

— Mam pierścionek dla ciebie, Ewuniu — zaczął Gergely po chwilowej przerwie, wyciągając z kieszeni turecki pierścionek. — To mój ukochany nauczyciel mi go zostawił. A ja go tobie daję, Ewuniu! Dziewczynka obracała pierścień, podziwiała topazowy półksiężyc i diamentowe gwiazdeczki, wreszcie wsunęła go na palec i uśmiechnęła się:

— Śliczny, tylko trochę za duży! Spójrz, jeszcze jeden palec się zmieści. Ale to nic. Będzie pasował, jak urosnę. A do tego czasu lepiej niech zostanie u ciebie — i dodała z dziecinną szczerością:

— Wiesz, jak będę twoją żoną.

Twarcz Gergelya przybrała smutny wyraz, oczy zaszyły mgłą.

— Nie, Ewuniu, ty nigdy nie będziesz moją żoną.

— Czemu? — stropiła się dziewczynka.

— Zapomnisz o mnie wśród królów i książąt. A i rodzice nie pozwolą ci wyjść za takiego jak ja...

— Też... — wydeła wargi Ewa. — Wcale nie zależy mi na tych wielkich panach! Kiedyś królowa powiedziała, że mi się postara o wielkiego pana na męża, jak urosnę, ale ja jej od razu powiedziałam, że ja już mam narzeczonego, który jest przybranym synem Balinta Tóróka.

— Powiedziałaś? Naprawdę? I co królowa na to?

— Boki zrywała ze śmiechu.

— Ona też jest tu w ogrodzie?

— Tak. Ta w czarnej sukni. Piękna, prawda?

— Ale ja wyobrażałem sobie, że jest ładniejsza. Nawet korony nie ma na głowie...

— Czy chcesz z nią porozmawiać? Ma złote serce, tylko nie umie po węgiersku.

— A po jakiemu?

— O, ona zna dużo języków! Polski, niemiecki, łacinę, francuski, tylko węgierskiego nie. Twoje imię też przekreśla. Zamiast Gergely mówi zawsze Kerkej!

— To jak z nią mam mówić? — zniechęcił się Gergely. — Ja umiem po niemiecku, ale słabo... Lepiej powiedz mi, Ewuniu, w jaki sposób będzie można spotkać się z tobą, gdy przyjadę?

— Poproszę królową, by cię kazała wpuszczać.

— A nie odmówi?

— Ale skąd? Ona mnie kocha, niczego mi nie odmówi. Pozwala mi nawet używać swej pachnącej wody. Powąchaj tylko rękawy mojej sukni! Pachnie, prawda? Wszystkie królowe tak cudnie pachną. Kiedyś i modlitewnik swój mi pokazała! Pełen pięknych obrazków. Najbardziej mi się podobała Matka Boska w jedwabnej, błękitnej sukience wśród róż!

Wtem rozległ się spod lipy żaloszny pisk, jak gdyby nadeptano kotu na ogon.

— Oj, królewicz się zbudził! — krzyknęła Ewa. — Zaczekaj tu, zaraz wrócę!

— Nie mogę, Ewka. Jutro przyjdę.

— Dobrze, bądź tu co dzień o tej samej godzinie — i biegiem wróciła do królewicza.

14

Stało się inaczej.

Balint Tórók powróciwszy do domu zamknął się w swoim pokoju. W dolnych komnatach słychać było jego ciężki, miarowy krok.

— Pan Balint się gniewa — zauważył Martonfalvai stroskany — może na mnie?

— A co będzie, jak mnie zobaczy? — na Gergelyu skóra cierpła ze strachu.

Martonfalvai trzy razy wchodził po schodach, nim wreszcie odważył się nacisnąć kłamekę.

Balint Tórók stał przy oknie wychodzącym na Dunaj. Nie przebrał się po powrocie od sułtana. Nawet szabli nie odparał.

— Czego? — warknął odwracając się. — To ty, Imre? Nie mam ochoty na rozmowę.

Martonfalvai wycofał się z pokornym ukłonem. Stanąwszy na ganku podrapał się za uchem. Co tu czynić? Strach zagadnąć pana Balinta: kiedy się gniewa, ciska piorunami niczym chmura w czas burzy. Ale znów nic nie powiedzieć — też strach. Ktokolwiek przybywał z domu, zawsze był przez pana mile widziany.

Dworek Balinta Tóróka leżał przy drodze fejdarskiej. Okna z jednej strony wychodziły na Peszt, z przeciwnej na Górę Gellerta. Zakłopotany Martonfalvai odetchnął z ulgą, gdy z okna spostrzegł Verbóczyego wchodzącego właśnie w bramę.

Martonfalvai spiesznie wrócił i ponownie otworzył drzwi do pokoju pana Balinta Tóróka:

— Przepraszam, jaśnie panie, przyszedł pan Verbóczy.

— Jestem w domu — odrzekł krótko.

— I Gergely też przyjechał — ciągnął dalej Martonfalvai z duszą na ramieniu.

— Gergely?

— Tak.

— A ten skąd się tu wziął? Niech wejdzie.

Gergely i siwobrody, przygarbiony Verbóczy równocześnie stanęli w otwartych drzwiach.

Za przykładem Martonfalvaiego Gergely złożył głęboki ukłon.

Z ukosa spojrział na Verbóczyego. Był to ten sam sędziwy starzec, za którym skrybowie nieśli zwinięte w rulon pisma. Hej! To człowiek wielkiej sławy! Kiedyś za młodych lat widział króla Matyasa tia własne oczy!

— Witam waszmościa! — zabrzmiał z głębi komnaty głęboki, dźwięczny głos Balinta Tóróka. Dostrzegłszy Gergelya dodał: — Pozwól mi wasze zamienić w pierw kilka słów z moim przybranym synem. Wejdz, Gergely!

Gergely stał jednak jak wrośnięty w ziemię,

Pan Balint ściągnął brwi.

— Mów! Stało się coś w domu?

— Nie.

— Byłeś razem z księdzem?

— Tak — rzekł Gergely.

Balint Tórók zbladł jak płótno.

— W jaki sposób dostaliście się do niewoli? Ksiądz nie żyje. A moi synowie? Są w domu?

— Tak.

— Mówże! Jakaście się dostali do niewoli Turków?

— No, no, waszmość, nie krzycz tak na niego, krzykiem tylko strachu napędzisz biedakowi! — wtrącił się Verbóczy głosem dobrotliwym usiadłszy na krześle obitym czarną skórą.

Na słowo „strach” Gergely otrzeźwiał zupełnie, jakby mu ktoś chlusnął zimną wodą w twarz.

— Tak, że chcieliśmy sułtana wyprawić do raju — odrzekł śmiało.

— Per amorem! — wykrzyknął Verbóczy.

Na twarzy Balinta Tóróka też odbiła się trwoga. Gergely teraz już coraz śmielej jął opowiadać, jak przygotowali zamach i w jaki sposób ksiądz pomylił sułtana z paszą.

Verbóczy złapał się za głowę:

— Nie do wiary! Oj, synu, synu, głupi to był pomysł!

— Pomysł był mądry, tylko ksiądz nie rozpoznał sułtana! — obruszył się Tórók uderzywszy szablą o podłogę.

Obaj panowie stanęli teraz naprzeciw siebie oko w oko.

Sułtan to nasz przyjaciel — obruszył się Verbóczy.

— Sułtan jest naszą zgubą!

— To umysł szlachetny!

— Ukoronowany łotr!

— Ja go znam, a ty nie! Długo z nim rozmawiałem w Konstantynopolu.

— Cóż z tego! Słowa poganina to nie Pismo święte! Przynajmniej nie dla nas, których Koran każe tępić!

— Mylnie sądzisz!

— Oby tak było, mości panie! Ale na mój rozum to spotkanie nie wróży dla nas nic dobrego. Wracam do domu — to rzekłszy Balint Tórók zwrócił się do Gergelya:

— Synu, a mogliście uratować Węgry!

Następnego dnia rano Martonfalvai na palcach wsunął się do pokoju Gergelya, rozłożył na stole niebiesko-czerwony atlasowy strój giermka, po czym zbudził go:



— Pan kazał ci przywdziać ten strój. O godzinie dziesiątej masz być na dziedzińcu. Pójdiesz z nim do pałacu królewskiego.

Rzekłszy to, jak troskliwa matka umył chłopaka, uczesał z przedziałkiem pośrodku, chuchał na złote guziki, przecierał je kawałkiem skórki zamszowej, a nawet ciżmy karmazynowe chciał mu naciągać na nogi.

— Co to, to nie! Czy ze mnie już taki niedołęga, że sam nie dam rady?

— Nie boisz się?

— Czego? Że stanę przed królową? Nasza ukochana pani jest większą panią, choć nie ma korony na głowie.

— I to prawda — potwierdził skwapliwie pan Martonfalvai, z upodobaniem mierząc wzrokiem chłopca — ale zawsze to królowa. Później, gdy z Balintem Tórokiem szli do pałacu królewskiego, wybiegł im naprzeciw służebny ze dworu.

— Jej królewska mość przysłała mnie, ażeby prosić jaśnie pana o natychmiastowe przybycie — wysapał zziajany. — Ma przyjechać jakiś pasza. Tyle wiezie darów, że aż strach!

Balint Tórok zwrócił się do swojej świty:

— Obawiam się, że nie za darmo wiezie!

Żołnierze należący do świty pozostali na dziedzińcu. Balint Tórok z Gergelyem weszli do pałacu po szerokich marmurowych schodach.

Trabant we drzwiach prezentując halabardę wskazał na prawo:

— Jej królewska mość prosi panów do sali tronowej.

— Chodź — spojrzał Balint Tórok na Gergelya — ale trzymaj cię na cztery, pięć kroków za moimi plecami. Jak ja przystanę, to i ty przystaniesz! I masz milczeć! Nie kaszleć, nie pluć, nie ziewać i nie dłubać w nosie!

Sale o sklepieniach łukowych, barwne rzeźbione ściany, złotem błyszczące herby królewskie, wysokie i szerokie podwoje, srebrne sufity, puszyste kobierce tłumiące kroki! Olśniewający przepych!

Gergelyowi zdawało się, że w każdym kącie stoi ukoronowany duch i szepcze:

— Stąpasz po śladach królewskich! Tym powietrzem oddychali królowie!

W sali tronowej oczekiwało już pięciu panów w kosztownych strojach. Za ich plecami paziowie i oficerowie. Po obu stronach tronu kilku halabardników. Tron był jeszcze pusty.

Na rozpiętym pod sklepieniem ciemnobłękitnym jedwabiu widniała konstelacja gwiazd przedstawiających obraz nieba dokładnie taki, jak w chwili koronacji króla Matyasa.

Za tronem wielki czerwony dywan z herbem węgierskim utkanym ze złotej przędzy. Wewnątrz herbu mniejszy herb: dwa białe rogate konie i dwa wilki na tarczy trzymanej przez anioła; powyżej orzeł polski. To herb Szapolyaich z orłem polskim — ze względu na królowę.

Porucznik gwardii pałacowej podszedł do Balinta Tóroka.

— Jej królewska mość wzywa jaśnie pana.

Gergely pozostał sam w gronie giermków i skrybów. Zwrócił się do rozmawiających obok dwóch młodzieńców:

— Nazywam się Gergely Bornemissza. Jestem giermkim Balinta Tóroka.

Jeden z młodzieńców, jasnowłosy chłopak o twarzy ogorzałej od słońca i wesołym spojrzeniu, wysunął dłoń:

— Jestem Istvan Zoltay. Służę w wojsku mości pana Batthyanya.

Drugi, przysadzisty krótkoszyi młodzian obojętnym wzrokiem wpatrywał się w sufit skrzyżowawszy ręce na piersi.

Gergely stropił się cokolwiek. Czyżby ten krótkoszyi nim gardził?

Nazywam się Gergely Bornemissza! — powtórzył uniósłszy dumnie głowę.

Krótkoszyi wzruszył ramionami.

— Co mnie to obchodzi? Pacholek się nie nazywa. Jego imię jest MILCZ, i tyle.

Gergely zaczerwienił się po uszy. Błysnął oczyma na pyszałka:

— Nie jestem twoim pacholkiem! A u mojego pana pacholek nazywa się „Nie daruj zniewagi”!

Krótkoszyi zmierzył go wzrokiem.

— Później na dziedzińcu poznasz moje nazwisko — rzekłszy to, wymownie uniósł rękę.

Zoltay stanął między nimi.

— Ależ, Mekksey, daj spokój! Toż to jeszcze dziecko...

— Nie jestem dzieckiem — obruszył się Gergely — i, jak mnie mój pan nauczył, nie daruję zniewagi. Siedem lat miałem, kiedy Istvan Dobo przypasał mi do boku szablę za odwagę!

Usłyszawszy nazwisko Dobo, Zoltay położył dłoń na ramieniu Gergelya i zawołał:

— To ci dopiero! Toś ty jest ten chłopak? — dodał z niedowierzaniem. — Toś ty zabrał konia jakiemuś janczarowi?

— Tak! — odrzekł Gergely z radosną dumą.

— To było gdzieś koło Peksu, jeśli dobrze pamiętam?

— Na górze Mecsek.

— Wobec tego daj łapę jeszcze raz! — rzekł Zoltay, uściśnął dłoń Gergelya i objął go serdecznie.

Mekcsey stał odwrócony do nich plecami.

— Kto jest ten zarozumialec? — dopytywał się Gergely.

— To dobry chłopak — uśmiechnął się Zoltay — tylko trochę rogaty.

— Wszystko jedno, ja mu nie daruję! — zgrzytnął Gergely zębami i trącił w ramię odwróconego do nich plecami Mekcseyego.

— Panie!...

Mekcsey odwrócił się gwałtownie.

— Możemy się spotkać o północy na placu Świętego Jerzego.

— Dobrze — odrzekł Mekcsey oschle.

Zoltay potrząsnął głową.

Przez ten czas sala napełniła się. Przyjemna woń pomady do wąsów unosiła się w powietrzu. Nagle, jak gdyby lekki powiew przebiegł przez salę, powstało poruszenie. Dwóch halabardników — albo — jak się to naonczas mówiło — pałacowych weszło przez otwarte podwoje. Za nimi kilku dostojników dworskich: mistrz ceremonii, podkomorzy, duchowny w czerni, zapewne kapelan dworski czterech paziów, królowa. Świętę zamykali frater, Balint Torók, Verbóczy, Orban Batthyany i sędziwy Petrovich.

Gergely pełen oczekiwania spoglądał na otwarte jeszcze podwoje. Czekał na kogoś. Był pewien, że skoro panowie mają paziów, królowej paziują dziewczęta. Płonna nadzieja.

Królowa była w głębokiej żałobie. Tylko na głowie błyszczała wysadzana diamentami niska korona. Podeszła do tronu. Halabardnicy stanęli za jej plecami, dostojnicy zaś po obu stronach tronu.

Królowa rozejrzała się po sali. O coś cicho spytała fratra Gyórgya, po czym usiadła na tronie.

Frater ruchem dłoni dał znak odźwiernym.

Za chwilę we drzwiach pojawił się wysłannik sułtana tureckiego, człowiek barczysty, odziany w biały jedwabny kaftan, przyozdobiony złotą frędzlą. Przekroczywszy próg pokłonił się do ziemi, po czym

spiesznymi krokami zbliżył się do krawędzi kobierca spływającego ze stopni tronu. Tam wyrzucił przed siebie oba ramiona i padł plackiem. Za nim podążało parami dziesięciu śniadych chłopców dźwigających skrzynie okryte fioletowym aksamitem. Poustawiali skrzynie obok leżącego, sami też legli pokotem.

— Bądź pozdrowiony, Ali ago — odezwała się królowa po łacinie, nie wiadomo czemu, cichym, ledwo dosłyszalnym głosem. Może była z natury słabowita, a może powaga chwili ścisnęła jej gardło?

Turek podniósł się z ziemi. Dopiero teraz można było zobaczyć, jaki to przystojny mężczyzna. Mógł mieć około czterdziestu lat.

— Wasza królewska mość — odrzekł także po łacinie, głosem silnym, metalicznym — składam do twoich stóp pozdrowienie potężnego padyszacha. Oby zostało ono przyjęte z taką samą serdecznością, z jaką on ci je posyła.

Uczył znak dłonią. Pachołkowie zdjęli wieka skrzyń. Aga jął wyjmować lśniące złote łańcuchy, bransolety, ciężkie jedwabie i aksamity, piękną szablę i buzdygan wysadzany drogimi kamieniami — wszystkie te cenne dary składał do stóp królowej.

Na bladym licu królowej zakwitły rumieńce radości.

W końcu aga podał jej szkatułkę kryształową, oprawną w srebro, a w niej pierścionki: najpiękniejsze okazy klejnotów wschodnich.

— Szablę i buzdygan, najjaśniejsza pani — powiedział dalej Ali ago — pan mój przeznaczył dla jego królewskiej mości. Trzy pełnokrwiste araby to dar sułtanowiczów, którzy także przybyli i przesyłają serdeczne braterskie uściski małemu królowi, Janosowi Zsigmondowi. Może najjaśniejsza pani zechce łaskawie rzucić okiem na rumaki; widać je z okna.

Królowa wstała i wraz ze swoją świtą podeszła do okna. Kiedy przechodziła mimo Gergelya, poczuł on delikatną woń znanej mu już pachnącej wody. Jeden z gwardzistów rozsunał ciężkie kotary. Promienie słońca zalały salę. Królowa, zasłaniając oczy dłońmi, spojrzała na dziedziniec i zobaczyła trzy piękne rumaki we wschodnich rzędach, bogato zdobionych złotem; stojące wokół dworki i dworzanie dawali wyraz swemu podziwowi dla podarunków. Królowa zamieniła kilka słów z fratrem Gyórgyem.

Frater zwrócił się do sułtańskiego posła:

— Jej królewska wysokość ze wzruszeniem dziękuje potężnemu sułtanowi i sułtanowiczom za dary. Niechaj jego wysokość sułtan

wyznaczy godzinę, w której przyjmie posłów jej królewskiej wysokości i króla Janosa Zsigmonda, a ci przekażą twemu władcy wyrazy głębokiej wdzięczności.

Królowa skłoniła głowę i wsparła się dłońmi o poręcz tronu, aby się podnieść. Wszakże aga nie skończył jeszcze swojego posłannictwa.

— Podarunkami — ciągnął dalej, wodząc sowimi oczyma po obecnych — pragnie najjaśniejszy padyszach dać wyraz głębokim ojcowskim uczuciom, jakie żywi dla jego królewskiej mości Janosa Zsigmonda i dla waszej królewskiej miłości. Byłby niezmiernie rad, gdyby mógł ujrzeć syna swojego zmarłego serdecznego przyjaciela i złożyć ojcowski pocałunek na jego czole.

Królowa przybladła.

— W tym celu — ciągnął dalej poseł, wodząc wzrokiem po obecnych — potężny padyszach prosi, aby wasza królewska wysokość zechciała wysłać doń jego królewską mość z niańką w otoczeniu godnych tego zaszczytu osobistości.

Słowa „godnych tego zaszczytu osobistości” poseł wypowiedział z naciskiem. Nikt nie rozumiał dlaczego. Następnego dnia wszyscy mieli to zrozumieć.

Królowa zbladła jak ściana. Oparła się plecami o tron. Wyglądała jakby była bliska omdlenia. Cichy szmer oburzenia przebiegł przez salę.

Gergelyowi ścierpła skóra.

— Co powiedział? — spytał szeptem Mekksey.

— Nie rozumiałem — odrzekł Zoltay i zwrócił się do Gergelya:

— Co powiedział? Ty na pewno lepiej znasz łacinę niż my.

— Wszystko rozumiałem — oznajmił dumnie Gergely — i mogę ci powtórzyć. Nie doszło jednak do tego, gdyż ponownie zabrzmiał głos Turka:

— Nie ma żadnych powodów do obawy. Mój potężny władca tylko dla wrogów jest straszliwy, do przyjaciół żywi serdeczną życzliwość. Chętnie dałby wyraz swojemu szacunkowi i swojej życzliwości osobiście, lecz zakazują tego przepisy naszej wiary. — Poseł zamilkł. Cekał na odpowiedź fratra albo królowej. Salę jednak zaległa głęboka cisza.

— Mój miłościwy cesarz i pan — dodał jeszcze Turek — wyraził życzenie zobaczenia jego królewskiej mości Janosa Zsigmonda w otoczeniu tych panów, którzy odznaczyli się dzielnością w obronie

Budy. Pragnie bowiem poznać węgierskich bohaterów i mieć możliwość uściśnięcia ich dłoni.

Gdy ostatnie oświadczenie także przyjęto milczeniem, skłonił się.

— Wykonawszy zadanie powierzone mi przez potężnego padyszacha, nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na łaskawą odpowiedź.

— Odpowiedź będzie udzielona o trzeciej po południu — odrzekł frater György w imieniu królowej. — Jego wysokość będzie kontent z naszej odpowiedzi.

Królowa wstała. Ruchem dłoni przywołała do siebie Balinta Toroka i wspierając się na jego ramieniu, opuściła salę. Widać było, że goni resztkami sił.

15

Ali aga odwiedzał magnatów w ich pałacach. Wizytował fratra Gyorgya, Balinta Tóroka, Petera Petrovicha, który nie tylko był spokrewniony z królewiczem, lecz i z jego opiekunem. Nie ominął Orbana Batthanya i Janosa Podmaniczkyego.

Obdarował panów drogocennymi kaftanami, nie szczędząc przy tym miodowych uśmiechów i kwiecistych słów.

Najwspanialszy z tych kaftanów z jedwabiu, sięgający do kostek, dostał się Balintowi Torokowi. Wszystkie były koloru fioletowego, podszyte pomarańczowym jedwabiem. Ten jeden zaś sporządzono z ciężkiego jedwabiu barwy słonecznika na śnieżnobiałej podszewce. Sam szeroki pas, misternie utkany z cieniutkich jak pajęczyna szczerozłotych nitek, wymagał tak mozolnej pracy, że wyrobnik zapewne całe życie spędził nad wykonaniem tego arcydzieła. Kaftan od góry do dołu zapinał się na osypane diamentami guzy.

Widząc zachwyt swoich domowników, zebranych wokół podarunku, Balint Tórok zauważył z uśmiechem: — Przyda się na kołdrę — ale po chwili twarz jego spoważniała:

— Zbierajcie manatki, po południu wyruszamy do domu. O godzinie trzeciej udał się na dwór królewski. Panowie czekali już na jego przybycie w bibliotece.

— Królowa nie chce ustąpić — żalił się frater Gyorgy — idź ty, rozmów się z nią.

Balint Tórok wzruszył ramionami:

— Przyszedłem tylko pożegnać się.

Panowie magnaci oniemieli.

— Co ci strzeliło do głowy?

— Czuję burzę w powietrzu. Nie chcę, żeby mnie zaskoczyła poza moją norą.

— Nie igraj z losem ojczyzny! — krzyknął Verbóczy.

— Czyżby los ojczyzny leżał w moim ręku?

Frater Gyórgy zmarszczył czoło.

— Nie wolno nam zniechęcać sułtana.

— Może mam mu na tacy podać swoją głowę?

— Bzdury wygadujesz — machnął ręką Verbóczy. — Przecie tobie posłał najpiękniejszy kaftan. A może nie ciebie uściskał najserdeczniej?

Balint Tórok wsparłszy się łokciami o podstawę ogromnego globu w zamyśleniu pokiwał głową:

— Mądry ptasznik wie, jak zwabić ptaka, którego chce zamknąć w klatce.

Odźwierny otworzył podwoje na znak, że królowa czeka na panów.

Nastąpiła długa i przykra dyskusja. Królowa drżała o dziecko. Za odmowę — argumentowali znów panowie magnaci — odpokutuje ojczyzna i cały naród.

— A ty? Ty nic nie mówisz? — zwróciła się królowa do Balinta Tóroka, który stał nachmurzony pod ścianą. Tórok drgnął, jak gdyby ze snu zbudzony.

— Ja, wasza królewska wysokość, przyszedłem tylko po to, żeby się pożegnać.

— Pożegnać się? — spytała królowa z niewymownym smutkiem w oczach.

— Jeszcze dziś muszę wracać do domu. Mam niecierpiące zwłoki sprawy do rozstrzygnięcia.

Królowa bezradnie załamała rękę.

— Nie odchodź, zostań jeszcze! I poradź mi, co mam uczynić.

— Ja nie wierzę Turkom. Dla Turka chrześcijanin to nie człowiek, tylko pies. Turkowi nie wolno zawierzyć dziecka. Należy Ali agę zawiadomić, że królewicz chory.

Verbóczy przerwał:

— A sułtan na to odpowie: poczekam, aż wyzdrowieje. I co wtedy? Będziemy go mieli na karku i na dodatek trzeba będzie karmić przez ten czas wojsko i konie.

Frater gniewnie tupnął nogą:

— Pomyśl o ojczyźnie! Sułtan stoi tu z potężną armią. Samiśmy go wezwali. Był przyjacielem króla. Musimy spełnić jego życzenie. Jeśli dostrzeże naszą nieufność, kto nam zaręczy, że nie poszczuje na nas całej hordy? A wtedy biada jej królewskiej mości!

Królowa przycisnęła palce do skroni i wsunęła się w głąb fotela.

— Biada mi, biada, słabej kobiecie!... Ja, królowa, jestem uboższa od najędzniejszego żebraka!... Drzewo nie cierpi, gdy odłamią mu gałąź, ale, och, matczyne serce Stwórcy z bólu ulepił.

16

Gergely w tym czasie czekał na korytarzu. Stał właśnie obok wysokiego pieca kaflowego, gdy nagle poczuł, jak gdyby pajak przebiegł mu po twarzy. Chciał uchwycić natręta, lecz palce dotknęły pawiego pióra.

Piec stał w przejściu między dwiema salami i po obu jego bokach świeciły szczeliny.

— Gergely! — rozległo się ciche wołanie.

Gergely w radosnym oczekiwaniu badał każdą szparkę. Serce zabiło mu mocniej. Wesole oczy Ewy śmiały się doń z sąsiedniej sali.

— Wyjdź na korytarz — szepnęła dziewczyna.

Gergely wymknął się niepostrzeżenie. Ewa czekała już we wnętrzu okna.

— Chodźmy do ogrodu! — chwyciła go za rękę.

Droga do ogrodu wiodła przez cztery czy pięć sal, zasłanych puszystymi dywanami. Po słonecznej stronie ciężkie kotary były spuszczone. Na ścianach wisiały portrety królów, świętych, jakoweś sceny wojenne. Jedna sala była szkarłatna, druga liliowa, trzecia błękitna — każda inna. Tylko piece były jednakowo białe.

Ewa, pokazując drogę, spiesznie zbiegła schodami. Wreszcie znaleźli się w ogrodzie.

— Tu jesteśmy sami — rzekła Ewa.

Była w białej odślaniającej smukłą szyję sukience z lekkiej wełny, a na nogach miała żółte pantofelki. Włosy splecione w gruby warkocz zwisały na plecach. Stanęła na cienistej drodze przy kwitnącym krzewie i widząc zachwyty na twarzy Gergelya, spytała z lekkim uśmiechem:

— Ładna jestem?

— Bardzo — odrzekł chłopiec. — Wyglądasz jak biały gołąbek.



— Królowa podarowała mi tę sukienkę — i wzięwszy Gergely pod rękę, poprowadziła go pod rozłożystą lipę.

— Może tu usiadzimy. Mam ci dużo do opowiedzenia. Od razu poznałam cię po głosie, kiedy zawołałeś mnie przez sztachety. Wciąż myślę o tobie. I dziś w nocy mi się śniłeś. Powiedziałam królowej, że jesteś tutaj. Obiecała przyjąć cię, jak tylko pozbędziemy się Turków.

Siedli pod lipą na marmurowej ławce, na której poręczach wyrzeźbane były dwa lwy. W oddali połyskiwała lustrzana tafla Dunaju, na przeciwległym brzegu widniało miasto Peszt. Szare, bezbarwne miasteczko otoczone wysokim murem. Wewnątrz muru małe, parterowe domki, a od południa strzelista drewniana wieża, zapewne strażnica. Na zewnątrz kamiennego pierścienia żółto połyskujące piaszczyste pola. Gdzieś jakieś stare drzewo. Jednakże Gergely nie widział ani Dunaju, ani Pesztu, widział tylko Ewę. Zachwycił się nieskazitelną gładkością jej twarzy, podobnej do płatków białej malwy, pięknymi zębami, smukłą szyją i wesołymi niewinnymi oczami.

— A teraz ty opowiedz coś o sobie! — zachęcała go dziewczyna z uśmiechem. — Jak ci się podoba u Tóróków? Jeszcze się tak dużo uczysz? Wiesz, że i ja uczę się malować? Czemu tak na mnie patrzysz i milczysz?

— Nie mogę się napatrzeć, urosłaś, wyładniałaś!

— I królowa wciąż to mówi. Jestem już prawie dorosłą panną. Ręce i nogi już mi nie rosną. Bo dziewczęta tylko do trzynastego roku życia mają takie długie nogi, powiedziała królowa. Ale ty też ładnie wyglądasz, Gergely! — paplała tak, ale nagle zarumieniła się i zasłoniła oczy. — Ojej! Co za bzdury gadam! Nie patrz na mnie! Wstydzę się.

Gergely zmieszał się także. Zaczerwienił się po uszy. Milczeli przez kilka chwil. Może przysłuchiwali się szczebiotowi jaskółki siedzącej na uschłej gałęzi lipy? Ale nie! Pochłaniała ich piękniejsza muzyka, ta, która dźwięczy w sercu srebrnym głosem.

— Daj rękę — rzekł chłopak.

Ewa z ufnością położyła dłoń na ręce Gergelya i czekała jego słów. Lecz chłopiec milczał i wpatrywał się w nią. Potem z wolna uniósł jej dłoń i ucałował lekko.

Twarz Ewy zaalała się purpurą.

— Śliczny ten ogród — rzekł po chwili Gergely, aby coś przecież powiedzieć.

I znowu milczeli. Uwagę obojga przykuwały spadające do ich stóp liście lipowe.

— Wszystko się skończyło — powiedział Gergely głosem tak przygnębionym, że dziewczyna spojrzała na niego przerażona.

Gergely wstał.

Już czas na mnie, Ewuniu, mój pan może mnie szuka.

Ewa także wstała, ujęła go za rękę. Przytuleni do siebie szli kilka kroków w milczeniu.

Czemu powiedziałaś, że wszystko się skończyło? — zapytała Ewa.

— Skończyło się — zamilkł na nowo. Potem westchnął i dodał cicho:

— Czuję, że nigdy nie będziesz moją żoną.

— A ja czuję, że będę!

Chłopiec przystanął. Spojrzał dziewczynie w oczy.

— Obiecujesz mi?

— Tak.

— A gdyby rodzice nie pozwolili? Albo gdyby królowa chciała cię wydać za kogo innego?

— To powiem im, że jestem zaręczona z tobą.

Gergely z pochyloną głową kroczył u boku Ewy po schodach, potem przez te same sale. We drzwiach wiodących na korytarz Ewa uścisnęła ramię Gergelya.

— Teraz nie zobaczymy się prędko, dopiero kiedy pozbędziemy się Turków. Ale może przyjdiesz kiedyś z panem Balintem do pałacu? Stań zawsze przy piecu, jak cię zauważę, znów wymkniemy się do ogrodu.

Podali sobie ręce.

— Mogę cię pocałować? — spytał Gergely i głos mu zadrżał. Dawniej pocałowałby Ewę bez wahania. Teraz czuł, że to już nie ta sama dziewczyna, którą w Keresztes kochał jak siostrę. Ewa też widać zdawała sobie z tego sprawę, bo usłyszawszy pytanie, zaczerwieniła się.

— Możesz — odpowiedziała z radosną powagą i nie policzek podsunęła mu do pocałunku jak dawniej, lecz wargi.

Po południu o czwartej złocona karoca czekała na dziedzińcu, by zawieźć małego króla do doliny Starej Budy, gdzie obozowała armia turecka.

Królowa nie mogła się rozstać z dzieckiem. Załamywała ręce i płakała.

— Łatwo wam mówić, panowie — narzekała cicho — przecież wy nie macie dzieci, ani frater, ani Podmaniczky, ani Petrovich. Nie wiecie, waszmościowie, co to dla matki puścić swoje małe do tygrysiej jamy. Kto wie, czy powróci stamtąd? Balincie Tórók, zaklinam cię na wszystko, nie opuszczaj mnie! Tobie powierzam moje dziecko! Sam jesteś ojcem, wiesz, co to znaczy, kiedy matczyne serce drży! Pilnuj go, jak własnego! — Osunęła się na kolana u nóg Balinta Tóróka, wyciągając ku niemu błagalnie ramiona. Ta scena wstrząsnęła wszystkimi.

— Na miłość boską, wasza królewska mość! — frater poskoczył i podniósł ją z ziemi.

— Miłościwa pani — rzekł do głębi wzruszony Balint Tórók — odprowadzę niemowlę. I niechaj mi tak Bóg dopomoże, włos mu z głowy nie spadnie albo szabla moja dziś jeszcze pławić się będzie we krwi sułtańskiej.

Sułtan obozował pod starym miastem. Trzy wspaniałe namioty rozbito na miejscu dzisiejszej Łaźni Cesarskiej. Mówiło się: namioty, w istocie były to pałacyki drewniane. Wnętrza obite drogimi tkaninami i podzielone na sale i alkowy — na zewnątrz błyszczące, złote ozdoby. O piątej po południu wyruszyła z dziedzińca zamkowego przy dźwiękach fanfar węgierska deputacja, mająca złożyć hołd sułtanowi. Na przedzie kroczył zastęp husarii, za nim ciągnęły chorągwie magnatów, następnie paziowie w białych i czerwonych strojach wiozący podarunki. (Skonfiskowane skarby zdrajcy narodu, stronnika Niemców, Tamasa Bornemisszy, miano darować sułtanowi.) Z kolei oddział wojska królewskiego, halabardnicy, dworzanie, Pochód zamykał orszak dostojników, między nimi na siwym koniu frater Gyórgy w białej komży, pięknie kontrastującej z błękitnym atłasem kwiecistego stroju Balinta Tóróka. Każdy z panów miał strój innej barwy, jedynie niskie kołpaki, żółte buty i szerokie szable niczym się nie różniły. Kołpaki zdobne były w białe strusie piorą, u niektórych dostojników sięgały one czapraka na turecką modłę. Między rycerzami toczyła się złocona karoca królewska, w której jechały dwie

dworki i niańka. Na kolanach niańki bawił się pyzaty mały król w białych jedwabkach.

Po obu stronach rumaków ciągnących karocę kroczyli długowłosi paziowie w jedwabnych kołpakach na głowach. To oni trzymali konie za uzdę. Za karocą ciągnęła gwardia przyboczna w srebrnych szyszakach. Pochód zamykał długi sznur konnych; byli to oficerowie, którzy się odznaczyli przy obronie zamku.

— Zobaczycie, jeszcze się dziś czegoś dobrego napijemy! — rozległ się głos jednego z jeźdźców.

— A jakże! Wody! — odrzekł ktoś głębokim basem. — Może zapomniałeś, że narodowy trunek Turków to woda?

Odpowiedź przyjęto wybuchem śmiechu.

Gergely jechał za Balintem Tórókiem na bułanym koniku. Przygnębienie pana udzieliło mu się także. Rozchmurzył się dopiero, gdy spojrzął za siebie i dostrzegł starego Ceceyego. Stary zabawnie siedział na wierzchowcu. Drewnianą nogę miał sztywno wysuniętą, drugą zaś, która tylko od kolana była z drzewa, skulił. Kantarek trzymał w prawicy i szablę też miał przypasaną u prawego boku.

Gergely, który go jeszcze nigdy nie widział w uzbrojeniu ani na koniu, parsknął śmiechem.

Ano, prawdę mówiąc, paradnie stary Cecey wyglądał w swoim uroczystym stroju. Staromodna, piętrowa czapa sukienna z orlim piórem, włożona na bakier, końce siwych wąsów podkrecone chwacko; zębów już nie miał, a oczy ze starości zapadły w oczodoły. Toteż wyglądał w tym galowym stroju węgierskim jak strach na wróble.

Rozśmieszył Gergelya swym wyglądem. Ale potem chłopakowi przykro się zrobiło, chciał naprawić grzech, zatrzymał konia, zaczął na pana Ceceyego i przywitał go słowami:

— Dzień dobry! Jak to się stało, że dopiero teraz widzę mości pana?

— Dopiero się przyłączyłem do deputacji. Ale patrzcie, ludzie! Kto cię tak wystroił? — wskazał na wspaniały czerwono-błękitny strój giermka i kosztowną szablę wyłożoną masą perłową.

— Pan mój zrobił mnie swoim giermkiem. Wszędzie mnie z sobą zabiera. Nawet jak idzie na dwór królewski. Dziś idziemy do sułtana — chełpił się Gergely chcąc zaznaczyć, że on też sroce spod ogona nie wypadł, jak to sobie pan Cecey może myśli. Nie tylko Ewa, on przecież też bywa w pałacu królewskim.

Gwarny tłum oblegał plac Św. Jerzego. W domach wzdłuż ulic i wokół placu okna i bramy były otwarte na oścież. Dzieciarnia wdrapywała się na dachy i drzewa, stamtąd gapiała się na barwny pochód szukając oczyma królewicza. Jakie to małe i już wybrane na króla!

— Wykapany ojciec — twierdziła jakaś kobieta w sięgającej kostek jaskrawej zielonej chustce.

— Ślicznotko moja! — zachwycała się dzieckiem wytworna dama o czarnych ognistych oczach. — Buźka jak krew z mlekiem, tylko do całowania!

Przed bramą grodu czerwienieje zwarta trzystuosobowa grupa: to chorągiew pana Balinta Tóroka. Chłopaki z Somogy, wśród nich głowa jednego sterczy ponad innymi, jak zabłąkany kłos żyta w łanie pszenicznym.

Zbliżywszy się do nich Balint Tórok zawrócił wierzchowca. Szabla wyciągnięta ku niebu zabłysła: deputacja przystanąła.

— Chłopcy! — zawołał głębokim metalicznym głosem. — Pamiętajcie, ledwie miesiąc temu tu pod tą samą bramą na moje wezwanie oficerowie i wszyscy żołnierze ślubowali, że nie damy Budy ani Niemcom, ani Turkom?

— Pamiętamy! — huknęła gromada.

Tórok ciągnął dalej:

— Niemca pobiliśmy. Teraz idziemy do obozu tureckiego. Bóg mi świadkiem, że przeciwiałem się temu postanowieniu.

Ciągnął dalej zmienionym nieco głosem:

— Ja, chłopcy, czuję, że już nigdy was nie ujrzę. Bóg jedyny wie, że tylko ze względu na ojczyznę ustąpiłem naleganiom.

Tu załamał mu się głos. Milcząc ścisnął dłonie żołnierzy najbliższej stojących. Oczy napęłniły mu się łzami.

Spiął wierzchowca ostrogami i wjechał w bramę.

— Balincie, Balincie — mrucał jadący za nim sędziwy Verbóczy — czemu tak rzewnie?

Tórok wzruszył ramionami:

— Nieraz dałem dowód, że nie z masła ulepiony! — odburknął.

Komu nie zimno, niech nie dzwoni zębami.

No, no, waszmość, zobaczymy, kto z nas lepiej czuje mróz!

Frater wjechał między nich.

— Gdyby sułtan nawet nie żądał tego i tak złożylibyśmy mu hołd. Z tą różnicą, że królowa osobiście towarzyszyłaby synowi.

Tórók rzucił nań ponure spojrzenie.

— Ty, fraterze, jesteś mądrym człowiekiem. Ale Bogiem też nie jesteś. Widzisz może, co mieszka w sercu sułtana?

Frater potrząsnął głową.

— Gdyby Niemiec siedział nam jeszcze na karku, tobyś i ty inaczej gadał.

Od bramy grodu aż do obozu szpalerem stali janczarzy. Tak burzliwie wiwatowali na cześć małego króla i węgierskich magnatów, że dalsza rozmowa stała się niemożliwa.

Na terenie obozu Węgrzy z trudem przedzierali się przez gęstwinę żołnierzy i barwnych namiotów. Odór nawozu końskiego, potu i kurzu unosił się w powietrzu. Po chwili wyłoniła się z tłumu pompatycznie grupa bejów i paszów, idąca na powitanie gości.

Jeśliby ktoś z góry obserwował te dwa pochody, pomyślałby, że na kwiecistej łące różnobarwne tulipany zbliżają się do siebie, potem przystają, biją pokłony i razem podążają brzegiem Dunaju ku północy, gdzie trzy połączone z sobą wspaniałe namioty lśniły na polance.

18

Sułtan stał przed namiotem. Policzki miał jak zwykle pomalowane na czerwono. Z uśmiechem skinął głową, gdy frater Gyorgy wyjął z karocy jasnoociek pulchne dziecko.

Na zapraszający gest sułtana panowie węgierscy weszli do namiotu.

Gergely pilnie postępował za swym panem. W namiocie panował przyjemny chłód, powietrze było przesycone wonnym zapachem róż. Odór obozu — wręcz nie do zniesienia w upale — tam nie docierał. Odźwierny zatrzymał członków świty, którzy już się nie mieścili w namiocie.

Sułtan miał na sobie długi kaftan koloru czereśni opasany białym sznurem. Przez miękkie jedwab rysowały się wątle kształty monarchy. I przed tymi szczupłymi ramionami drżała wówczas Europa!

Sułtan wziął na ręce królewskie dziecko i przypatrywał mu się z upodobaniem. Niemowlę śmiało się i chwyciło go za brodę. Sułtan uśmiechnięty ucałował dziecko w czoło.

Panowie węgierscy odetchnęli z ulgą. Przecież to wcale nie krwawy Soliman! To kochający ojciec! Spojrzenie ma szczere i uśmiech

serdeczny. Dziecko czuje serdeczność, bo oto ufnie sięga po diamentową gwiazdę błyszczącą na turbanie.

— Masz, baw się — rzekł sułtan, dając małemu drogocenny klejnot.

— Widać, że urodziłeś się na króla.

Tórók i Gergely zrozumieli jego słowa.

Sułtan zwrócił się do swoich synów:

— Ucałujcie małego króla węgierskiego! — i dwaj sułtanowicze uśmiechnięci posłusznie spełnili życzenie ojca. Dziecko też się do nich uśmiechnęło.

— Przyjmiecie go za brata? — spytał sułtan.

— Z radością — odrzekł Selim — przecież to taki rozkoszny malec, jakby się urodził w Stambule.

Gergely przez ten czas wodził oczyma po namiocie. Co za orgia barw! Wszelkie odcienie błękitu. Nawet na ziemi niebieski dywan w kwiaty. Okrągłe okna bez szyb. Jedno z widokiem na Wyspę Małgorzaty. Pod tym oknem leżał stos poduszek. Zapewne sułtan stąd zwykł zachwycać się pięknym widokiem wyspy.

W namiocie znajdowało się — oprócz niańki i Gergelya, którego odzwierny wziął może za pazia małego króla — trzech panów węgierskich: frater Gyorgy, Verboczy i Balint Tórók. Z Turków oprócz sułtana obecni byli dwaj sułtanowicze, dwóch paszów i tłumacz.

Sułtan oddał dziecko pod opiekę niańki, ale w dalszym ciągu przyglądał mu się z wyrazem zachwyty na twarzy, głaskał je po płowej główce.

— Jakie to piękne dziecko, wprost tryskające zdrowiem.

Tłumacz przełożył słowa sułtana na łacinę:

— Jego wysokość zauważyć raczył, że to anielsko uśmiechnięte dziecko jest zdrowe jak rozkwitająca o brzasku róża wschodu.

— Jestem rad, że je zobaczyłem — mówił sułtan dalej — zawieźcie je z powrotem do królowej i zapewnijcie jej królewską mość, że ja zastąpię małemu królowi zmarłego ojca i że moja szabla czuwać będzie nad nim i nad jego krajem po wieczne czasy.

— Jego wysokość — zabrał głos tłumacz — upaja się widokiem małego króla i jest dumny z niego jak z własnego dziecka. Pragnie go usynowić i roztoczyć nad nim skrzydła swej ogarniającej cały świat potęgi. Powtórzcie to jej królewskiej mości i przekażcie pozdrowienie najjaśniejszego pana.

Sułtan wydobyl z kieszeni jedwabną wiśniową sakiewkę i wsunął ją łaskawym gestem w rękę niańki.

Raz jeszcze ucałował dziecko. Był to znak, że audiencja skończona.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Niańka z dzieckiem prawie biegiem ruszyła ku drzwiom.

Deputacja opuściła namiot. Grupa paszów z miodowymi uśmiechami na ustach zaopiekowała się węgierskimi panami.

— Dziś wieczorem jesteście gośćmi najjaśniejszego pana. Podejmie was ucztą. Świta osobista jego królewskiej mości może z nim razem powrócić do zamku. Stół już zastawiony.

— Wina cypryjskie czekają już — przymilał się jakiś młody pasza z bujną czarną brodą.

— Wyjątkowo i nam wolno dziś będzie trącić się pucharami — dodał wesoło rudowłose, młody pasza, tak piegowaty, jakby wszystkie muchy obozu sypiały na jego twarzy. Nawet misternie ułożony turban ze złotą ozdobą w kształcie muszli nie zdołał go upiększyć.

— Odprowadź króla — zawołał Tórok do Gergelya i znikł w namiocie prowadzony pod ramię przez jednego z paszów.

Słońce zachodziło właśnie za murami Budy. Płomienne chmury oświetlały niebo różowym blaskiem.

Małego króla umieszczono w karecie. Prawą rączką wymachiwał paszom i magnatom węgierskim na pożegnanie, złocony pojazd wyruszył do Budy wśród burzliwych owacji janczarów.

19

Cecey w gronie starszych jechał przodem, Gergely z młodymi za karocą.

— Wcale nie tacy straszni — gawędzili wesoło. — Naprawdę szanują Węgrów. Niemcy są gorsi.

Gergely jechał z Zoltaym i Mekkseym obok grubawego i ryżowłosego, któremu przedstawił się przed wyprawą.

— Mam do ciebie prośbę, Furjes — zwrócił się nagle do rudzielca nieśmiało.

— Służę ci. Podzielimy się. Ile ci trzeba?

— Nie o to chodzi. Mam o północy sprawę do załatwienia na placu Św. Jerzego.

Furjes uśmiechnął się wyrozumiale, był przekonany, że idzie o spotkanie miłosne. Potrząsnął bujną czupryną i uśmiechał się do Gergelya po łobuzersku.



- No, proszę!
- Sprawa jest nie do śmiechu, ale i niezbyt poważna.
- Słowem: serce.
- Nie: szabla.

Furjes zrobił wielkie oczy.

- Pojedynek?
- Tak.
- Z kim?

Gergely głową wskazał na jadącego przed nim jeźdźca w zielonym atłasowym stroju. Furjes spoważniał.

- Z Mekkseym?
- Tak.
- Uważaj! To zawadiaka!
- I jam też nie baran.
- Już niejednego Niemca posiekał.
- Tym razem ja go posiekam.
- Umiesz się obchodzić z szablą?
- Od siódmego roku życia.
- Hm. To już coś.

Obmacał mięśnie na ramieniu Gergelya i potrząsnął głową:

- Lepiej go przeproś.
- Ja?
- Ty. Bo cię pobije.
- Mnie? Ten? — wskazał oczyma na Mekkseyego i zapytał Furjesa:
- Zgodzisz się towarzyszyć mi?
- Skoro ci tylko o to chodzi, to chętnie. Ale gdyby ci się coś stało?...
- Co może się stać? Najwyżej poturbuje mnie trochę. Ale ja też nie mam zamiaru próżnować.
- Jak uważasz. Ty się będziesz bił, nie ja.

Na przedzie kolumny powstał jakiś zgiełk. Rozległy się niezrozumiałe krzyki, konie stanęły dęba. Oczy wszystkich zawisły na twierdzy.

Nad bramą zamkową powiewał buńczuk o trzech ogonach. Na wieżach kościelnych także. W bramie stała straż turecka na miejscu węgierskiej.

- Buda stracona!!! — ryknął jakiś niesamowity głos, który targnął tłumem jak poryw wiatru listowiem lasu.
- To stary Cecey ryknął.

Nikt nie odpowiedział. Dokoła tylko pobladłe twarze. Ciszę przerywał przeraźliwy śpiew muezina dolatujący z wieży kościoła Panny Marii.

— Allahu akbar... assadru anna la ilaha ill Allah...

Gergely i część jezdnych galopem wrócili do taboru tureckiego.

— Gdzie są panowie? Panowie! Panowie węgierscy! Oszukano nas haniebnie! To zbrodnia o pomstę do nieba wołająca!

Opodal namiotu sułtana bostandżowie w czerwonych czapach zastąpili im drogę.

— Stój! Ani kroku dalej!

— Musimy wejść! — ryknął Mekksey, zionąc gniewem. — Albo niech panowie tu wyjdą.

Bostandżowie nie odpowiadali ani słowem. Trzymali kopie przyłożone do ich piersi. W taborze panował wesoły nastrój. Zewsząd słyhać było wrzask krzywuł i piszczałek.

Gergely krzyknął po turecku:

— Muszę zamienić kilka słów z Balintem Tórókiem!

— Nic z tego, bratku — kpili bostandżowie.

Grupa Węgrów spojrzała po sobie bezradnie.

— Panowie! — krzyknął co sił pewien gruboszyi Węgier — słyszycie? Nie czas na uczyty! Jesteśmy zgubieni!

Odpowiedziała mu cisza.

Gergely wymknął się niepostrzeżenie i okrężną drogą pogalopował pagórkami do spahich w nadziei, że może stamtąd łatwiej dotrze do uczujących panów węgierskich.

Przed jednym z namiotów ktoś zawołał nań po węgiersku:

— Toś ty, Gergely?

Był to Martonfalvai. Siedział z dwoma Turkami i ze smakiem zajadali melon.

— Czego tu szukasz?

— Chcę się dostać do mego pana!

— Nie dopuszczą cię teraz do niego. Lepiej chodź i pokrzep się trochę.

— Mówiąc to ukroił płatek melona i podsunął ku Gergelyowi.

Gergely potrząsnął głową.

— Weź, weź — zachęcał go Martonfalvai. — Ci Turcy to moi przyjaciele. Później, jak zapalą żagwie, to i my zejdziemy i przyłączymy się do panów.

— Chodź, brat Węgier — zapraszał Gergelya złą węgierszczyzną jeden ze spahich, śniady i krępy Turek.

— Nie mogę — odrzekł Gergely ponuro i zjechał z pagórka między namioty janczarów i topczich. Wreszcie dotarł w pobliże kwatery sułtana.

Bostandżowie i tam stali kołem. Droga do Balinta Tóroka od strony pagórka także była zamknięta.

Przez ten czas grupa rozgorączkowanych Węgrów wytrwale wzywała swoich panów. Z wielkiego namiotu słyhać było muzykę turecką: brzęk kanuna\* o metalowych strunach, zawodzenie kobz, wrzask piszczałek.

\*/ K a n u n - turecki instrument muzyczny.

— Łajdacy! — zgrzytnął zębami Mekksey.

Furjes nieomal płakał ze złości.

— Nigdy nie doszłoby do tego, gdyby mój pan został w zamku.

Furjes był giermkim fratra Gyórgya i uważał go za wszechmogącego.

Kiedy zamilkła muzyka, wszyscy zawołali wielkim głosem:

— Panowie węgierscy! Wyjdźcie! Turcy zajęli zamek! Nikt nie wyszedł. Niebo było zasnuwane chmurami. Zaczął padać deszcz, łał przez pół godziny. Potem ustał. Czarne chmury gnały po niebie ku wschodowi jak uciekające wojsko.

Okolo północy wreszcie pojawili się panowie u wejścia namiotu, rozbawieni, w kołpakach na bakier. Drogę oświetlały dwa szpalery pochodni, które jak dwa ogniste węże wiły się krętą smugą aż do zamku. Po deszczu powietrze było czyste i pachnące od dymu wschodnich pochodni.

Wówczas zjawił się Martonfalvai; bostandżowie rozluźnili pierścień odgradzający panów węgierskich.

Martonfalvai wywoływał koniuchów, panowie kolejno dosiadali swych wierzchowców.

Przy blasku pochodni widać było, jak posepnieją rozgrzane twarze i stopniowo okrywa je bladość. W końcu zabielała komża fratra jak jakaś zjawa.

— Nie becz! — krzyknął frater na jadącego obok Furjesa — niech się nie cieszą z naszych łez!

Panowie pojedynczo albo parami lub we trójkę przejeżdżali szpalerem pochodni ku górze zamkowej.

Gergely oczyma szukał postaci Balinta Tóroka, ale nie znalazł go między opuszczającymi namiot.

Martonfalvai stał tuż przy nim i także zerkał zatroskanym wzrokiem na wejście do namiotu, przez które przesączało się blado-czerwone światło.

Jako ostatni wyszedł chwiejnym krokiem pan Podmaniczky.

Dwóch oficerów tureckich prowadziło go pod rękę i wsadziło na konia.

Na końcu jeszcze wyszło kilku Murzynów.

A potem już nikt nie wychodził.

Spuszczona kotara namiotu tłumiała teraz czerwone światło.

— A wy na co czekacie? — zwrócił się przyjaźnie do Gergely a i Martonfalvaiego jakiś brzuchaty Turek ze strusim piórem na turbanie.

— Na naszego pana. Na pana Balinta Tóroka.

— Jeszcze nie wyszedł?

— Nie.

— W takim razie to pewnie ten, z którym rozmawia właśnie teraz jego wysokość.

— Zaczekamy na niego — zdecydował Martonfalvai.

Turek ruszył ramionami. Odszedł.

— Ja nie mogę czekać — zaniepokoił się Gergely. — O północy muszę być na zamku.

— No to idź — zgodził się Martonfalvai dobrotliwie — a jak znajdziesz w moim łóżku Turka, to go wyrzuć na zbity pysk.

Powiedział to żartem, ale Gergely nie uśmiechnął się nawet. Pożegnał Martonfalvaiego i galopem znikł na krętej podgórskiej drodze.

Księżyc wyłonił się właśnie z gęstych chmur i oświetlał drogę wiodącą do Budy.

Stojący w bramie Turcy zbrojni w kopie nie spojrzeli nawet na Gergelya. Tymczasem pojedynczo ludzie mogli się jeszcze swobodnie poruszać. Ale kto wie, co przyniesie jutro? Czy Węgrów nie wypędzą zupełnie z zamku?

Przejechawszy przez bramę, Gergely puścił konia cwałem. Przed domami zbrojni w kopie janczarzy. Przed każdym domem co najmniej jeden. Na wszystkich wieżach powiewają buńczuki i półksiężyce. Jedyne na wieży kościoła Panny Marii wznosi się jeszcze złocony krzyż.

Gergely dojechał do placu Świętego Jerzego. Ze zdziwieniem stwierdził, że nikogo tam nie ma.

Objechał studnie, armaty. Nigdzie żywego ducha. Tylko jakiś Turek z dzidą stróżował przy armatach.

Gergely zeskoczył z konia i przywiązał uzdę do koła armatniego.

— Czego tu szukasz? — wrzasnął Turek.

— Czekam na kogoś — odrzekł Gergely po turecku. — Może się boisz, że armatę schowam do kieszeni?

— No, no — rzekł topczy pojednawczo. — Toś ty Turek?

— Na szczęście nie.

— No to uciekaj stąd!

— Ale ja mam tu ważną sprawę do załatwienia. Pozwól mi tu zostać!

Turek przystawił dzidę do piersi chłopca.

— Jekel! \*/ (precz!)

Gergely odwiązał konia i dosiadł go.

Od strony Bramy Fejervarskiej pędził jakiś piechur. Gergely poznał w nim Furjesa, którego jasne włosy lśniły w ciemności.

— Mekksey czeka na ciebie w domu pana Balinta — wysapał podbiegłszy do Gergelya. — Chodź, bo na ulicy janczarzy nie pozwolą rozmawiać.

Gergely zsiadł z konia.

W jaki sposób udało im się to draństwo? — zapytał.

Furjes wzruszył ramionami.

Fortelem pogańskim. Przez ten czas, kiedy z królewiczem byliśmy u sułtana, janczarzy pojedynczo wchodzili przez bramę, jakby byli ciekawi oglądać miasto. Łazili ulicami niby spacerując. Ale było ich coraz więcej. Kiedy już wszystkie ulice zalane były janczarstwem, na głos trąby wyciągnęli broń i jęli zapędzać ludzi pod bramy domów.

— To diabły, a nie ludzie!

— Łatwo im przyszło zająć twierdzę.

— Przepowiadał mój pan...

Okna pałacu były otwarte, w komnatach płonęły świece. Z piętrowego okna wychylały się dwie głowy.

Przed bramą odbywała się właśnie zmiana warty. Wysoki i barczysty janczar zagroził chłopcom drogę.

— Czego chcecie? — burknął po węgiersku.

— Jesteśmy tutejsi — odrzekł Gergely sucho.

— Dostałem właśnie rozkaz — oświadczył Turek — by nie wpuszczać i nie wypuszczać nikogo.

— Jestem domownikiem w tym pałacu.

— Wracaj do Szigetvar, synu — zadrwił Turek.

Oczy Gergelya ciskały ognie.

— Puść mnie do środka! — krzyknął chwytając za rękojeść szabli.

Turek błyskawicznie wyrwał jatagan.

— Czarcu synu! Uciekaj, pókim dobry! — Z tymi słowy Gergely wypuścił z ręki uzdę i także wyrwał szablę z pochwy, licząc niewątpliwie na pomoc Furjesa.

Szabla Turka zabłysła. Cios był wymierzony w głowę Gergelya. Gergely odparował cięcie, aż iskry posypały się w ciemności z jego klingi. Skoczył i błyskawicznie zgnął.

— Allach! — ryknął olbrzym.

Reszta krzyku ugrzęzła w charkocie konającego.

Z piętra słychać było wołanie:

— Dźgnij go jeszcze raz!

Gergely przebił pierś Turka. Ze zdumieniem patrzył na olbrzyma, który wypuścił szablę z ręki i jak worek osunął się pod mur.

Gergely rozejrzał się: szukał Furjesa. Ale ten był daleko. Co sił uciekał ku pałacowi królewskiemu.

Trzech janczarów przybiegło olbrzymowi na pomoc z przyległych domów.

— Vaj baszina ibn el-ke!b! /\*

\*/ Waj baszina ibn el-ke!b! (tur.) — Biada ci, psi synu!

Gergely wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Jednym susem dopadł bramy, otworzył i szybko zaryglował za sobą.

Podniecony walką, na drżących jeszcze nogach, zrobił kilka kroków naprzód, ale gdy na drewnianych schodach usłyszał głośny tupot nóg, dysząc usiadł na ławce w bramie.

To Zoltay zbiegł z piętra, a w ślad za nim gnał Mekksey. Obydwaj wywijali szablami.

W słabym blasku lampki oświetlającej bramę ukazała im się przerażona twarz Gergelya.

— Jesteś cały? Nic ci się nie stało? — spytał zatroskany Zoltay.

Gergely uczynił przeczący ruch głową.

— Zadzgałeś go?

Gergely skinął głową.

— Niech cię uścisknę, mały bohaterze! — wykrzyknął Zoltay. — Wspaniale odparowałeś cięcie! — rzekłszy to objął go serdecznie. \Dobijano się do bramy.

— Otwórzcie, psy parszywe, bo was żywcem spalimy!

— Musimy uciekać — odezwał się Mekksey. — Nie damy rady janczarom. Jest ich zbyt wielu. Ale tymczasem pozwól, że i ja ci uścisknę rękę. Wybacz, że cię obraziłem!

Gergely wyciągnął dłoń. Był całkiem odurzony. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Bez słowa pozwolił, by go zawiedli przez podwórze po schodach do ciemnej izdebki. Odzyskał przytomność umysłu dopiero, gdy obaj młodzieńcy skręcili linę z dwóch prześcieradeł i z pasów skórzanych. Mekksey wezwał go, by pierwszy spuścił się z okna.

Gergely spojrział w dół. W głębi zobaczył zalany księżycowym blaskiem królewski ogród warzywny.

20

Następnego dnia przed południem Ali aga ponownie zjawił się u królowej i oznajmił:

— Najłaskawszy padyszach uważa za wskazane roztoczyć swe opiekuncze skrzydła nad zamkiem Buda, dopóki wasza królewska mość nie odchowa syna. Maleństwo nie jest w stanie bronić Budy przed Niemcami. Z tak wielkiej odległości zaś jego wysokość nie mógłby pospieszyć w porę z pomocą. Jego sułtańska mość chętnie by widział, gdyby przez ten czas wasza królewska mość z małym królem przebywała w Siedmiogrodzie aż do odwołania. Dochód z tamtejszych kopalń srebra i soli jego wysokość przeznacza dla waszej królewskiej mości.

Królowa była już przygotowana na najgorsze. Z pogardliwym wyrazem twarzy spokojnie słuchała wywodów posła. A poseł prawil dalej:

— A więc najjaśniejszy padyszach roztoczy swoje opiekuńcze skrzydła nad Budą i Węgrami. W najbliższych dniach jego sułtańska mość złoży uroczyste oświadczenie, że tak wasza królewska mość, jak i jej syn znajdują się pod jego opieką i obroną wobec wszystkich wrogów. A gdy król osiągnie pełnoletność, w jego ręce odda Budę wraz z berłem królewskim.

Obecni byli wszyscy panowie prócz Balinta Tóróka i Podmaniczkyego. Frater był bardziej niż zwykle blady. Twarz jego prawie zlewała się z kolorem białej komży.

Posel ciągnął dalej:

— Buda razem z Zadunajem i ziemią po obu stronach Cisy przechodzą więc pod opiekę najłaskawszego padyszacha. Wasza królewska mość zaś wraz z synkiem przeprowadzi się do Lippy i stamtąd rządzić będzie krajem i ziemią zacisańską. W Budzie będą dwaj wojewodowie: Węgier i Turek. Godność wojewody węgierskiego jego wysokość padyszach nadaje mości panu Istvanowi Verbóczyemu. On będzie sędzią i opiekunem węgierskiej ludności tej prowincji.

Panowie byli tak przygnębieni i smutni, jak gdyby stali przy trumnie, a nie obok tronu królewskiego.

Po odejściu posła sułtańskiego w sali zapadła żałosna cisza.

Królowa uniosła głowę i spojrzała na panów.

Z piersi Verbóczyego wyrwał się szloch.

Z oczu królowej także popłynęły łzy.

— Gdzie jest Podmaniczky? — spytała cicho otarłszy mokrą od łez twarz.

— Poszedł — odrzekł Petrovich, jakby mówił przez sen.

— Bez pożegnania?

— Uciekł. Przebrał się za chłopca i dziś nad ranem wymknął się przez bramę.

— Balint Tórók nie wrócił jeszcze?

— Nie, miłościwa pani.

\*\*

Następnego dnia Turcy usunęli dzwony z kościoła Panny Marii. Zerwali też obrazy świętych z ołtarzy. Obalili posąg świętego Stefana, rozwalili złożone ołtarze, a szczątki wyrzucili przed kościół. Potłukli marmurowe figury aniołów. Modlitewniki porozrywali na strzępy. Zniszczyli organy. Cynowe piszczałki załadowali na dwa wozy i zawieźli do odlewni w obozie tureckim. Srebrne piszczałki, kunsztowne złote i srebrne świeczniki, dywany, ornaty i kielichy zawieźli do skarbcza sułtańskiego. Piękne freski w kościele zamalowali wapnem. Z wieży kościelnej stracili krzyż i na jego miejsce zatknęli ogromny miedziany półksiężyc.

Drugiego września sułtan w otoczeniu sułtanowiczów i paszów udał się konno do Budy. W bramie powitali go uroczyście wystrojeni agowie i przy dźwiękach trąb odprowadzili orszak do kościoła.

Na środku kościoła sułtan osunął się na kolana i czołem bił pokłony.



— Dzięki ci, Allachu, że wzięłeś pod swe opiekuńcze skrzydła ten kraj niewiernych.

21

Czwartego września czterdzieści wozów zaprzężonych w woły zjeżdżało sznurem z Budy do przystani nad Dunajem.

Królowa przenosiła się na wyznaczone miejsce pobytu.

Na pałacowym dziedzińcu stały już powozy, a wokół nich tłoczyli się magnaci. Wszyscy byli gotowi do podróży. Jedynie Verboczy miał zostać w Budzie, a z nim jeden z jego ulubionych oficerów — Mekksey.

Gergely ujrzał Furjesa stojącego za panami.

A ty, bratku — uśmiechał się protekcyjnie do Gergelya — nie jedziesz z nami?

Z tobą nie, bobyś mi znów uciekł jak zając!

Jasnowłosa chłopiec uczynił gwałtowny ruch. Gdy jednak oczy jego napotkały kłujący wzrok Mekkseyego, wzruszył tylko ramionami.

Gergely podszedł do starego Ceceyego, skulonego na swoim wierzchowcu w tylnych szeregach, i położył dłoń na łęku siodła:

— Mości panie...

— To ty, synu?

— Waszmość też jedzie?

— Tylko do Hatvan.

— A Ewa?

— Królowa ją zabiera ze sobą. Idź dzisiaj do mojej pani na obiad i pociesz trochę biedulkę...

— Czemu miłościwi państwo pozwalacie Ewie jechać?

— Verboczy nas namówił. Twierdzi, że za rok wszyscy tu powrócimy...

Rozmowa się urwała. Pojawienie się gwardzistów wskazywało na przybycie królowej.

Przyszła. W głębokiej żałobie. Wśród dworek była także Ewa w lekkiej jedwabnej pelerynce barwy orzechowej, z podniesionym kapturkiem. Wodziła dokoła oczyma, jakby szukając kogoś.

Gergely przemknął się między panami i stanął przed nią.

— Ewa...

— Ty nie jedziesz z nami?

— Chciałbym... Ale mój pan nie wrócił jeszcze...

— A jak wróci?...

— Nie wiem, co postanowi.

— To kiedy się zobaczymy?

Oczy Gergelya zwilgotniały.

Królowa wsiadła już do obszernego, krytego powozu z oknami. Dziecko i niańka siedziały już na swoich miejscach. Czekano jeszcze na kwadratowy koszyczek, który służka właśnie umieszczała pod siedzeniem.

Ewa wyciągnęła dłoń do Gergelya.

— Nie zapomnisz o mnie, prawda?

Gergely chciał powiedzieć: „Nigdy, Ewuniu, nawet na tamym świecie!” — ale słowa ugrzęzły mu w krtani, potrząsnął tylko głową.

W dziesięć dni później sułtan także wyruszył w drogę. Zabrał ze sobą Balinta Tóróka. W kajdanach.

## Część trzecia LEW ZA KRATA

1

Żołnierz w ciemnoniebieskim płaszczu i czerwonej spiczastej czapce zatrzymał konia na bagnistym brzegu rzeki Berettyó. Wymachując czapką, zawołał:

— Ho, ho! Tu mamy wodę!

Zsiadł z konia i sprowadził go po grząskim, nagrzanym promieniami słońca gruncie na brzeg porośły bujnie kwieciem błotnym.

Koń wszedł po kolana w chwasty, lecz woda połyskiwała tylko na płytkim dnie. Pochylił kark, by się napić, zaraz jednak cofnął łeb, potrząsając nim, prychając nozdrzami i pyskiem.

Polem przy galopowało z osiemnastu jeźdźców w strojach węgierskich, wśród nich jeden wysoki i kościsty, z orlim piórem zatkniętym za kołpak; miast płaszcza miał przerzucony przez ramię wiśniowy dolman.

— Panie poruczniku! — tymi słowy przyjął go pierwszy jeździec — ta woda chyba zanieczyszczona czy co? Koń nie chce pić.

Mężczyzna z orlim piórem na kołpaku wjechał w wodę i przyjrzał się jej uważnie.

— Ta woda jest czerwona od krwi.

Rozejrzał się. Wzdłuż brzegu gęste zarośla i krzewy kwitnące. Pszczoły brzęczą nad wiosennymi kwiatami. Porucznik smagnął wierzchowca i pognął go kilka kroków pod prąd. Między gęstymi zaroślami ujrzał nagle rozebranego do pasa młodego mężczyznę. Stał po kolana w wodzie i mył włosy. Miał niezwykle wielką głowę i bystre czarne oczy. Czarne wąsiki zakończone były ostro niby kolce. Jego dolman, żółte buty z cholewami, aksamitny kołpak w kolorze szkarłatnym, szabla w czarnej skórzanej pochwie leżały obok na wystającej z wody kępie.

— Jak cię zowią, synu? — spytał człowiek z orlim piórem z nutą zdziwienia w głosie.

— Moje nazwisko jest Istvan Mekksey.

— A moje Istvan Dobo. Więc to twoja krew zafarbowała wodę? Co ci się stało?

— Jakiś przekłety Turek mnie trochę podrapał — rzekł przyłożywszy dłoń do rany.

— Turek? — rozejrzył się Dobo. — Niechże go kule biją! Nie może być jeszcze daleko! Ilu ich było? Hej, chłopcy! — krzyknął i wyskoczył na brzeg.

— Szkoda fatygi — potrząsnął czupryną Mekksey. — Ja się już rozprawiłem z nim. Tu gdzieś leży.

— Gdzie?

— Gdzieś tu niedaleko.

Dobo zawołał na swego koniucha:

— Przynies tu opatrunki!

— Tam dalej są jeszcze... — oświadczył Mekksey przyciskając ranę dłonią.

— Turcy?

— Nie. Stary szlachcic i jego żona — odparł Mekksey pochylając się nad wodą. Zmył z czoła i nosa czerwone pasmo krwi płynącej z poranionej głowy.

— Są tam w wiklinie — zameldował jeden z żołnierzy. Dobo nawrócił rumaka we wskazanym kierunku i w odległości kilku kroków zobaczył starca rozdzanego do koszuli. Jakaś też niemłoda jejmość, zapewne żona, lamentując obmywała mu pokrwawioną głowę.

— Boże, mój Boże! Taki kaleka powinien się strzec na starość, a nie guza szukać...

— Nie becz! — warknął starszy pan.

— Dzień dobry! — zawołał Dobo. — Głęboka rana? Starzec podniósł wzrok i machnął ręką:

— Iii, cięcie tureckie!

Wówczas dopiero Dobo spostrzegł, że staruszek ma tylko jedną rękę.

— Na Boga, ja go skądś znam... — mruknął pod nosem i zeskoczył z konia.

— Jestem Istvan Dobo.

Staruszek spojrział na niego kosym okiem.

— Dobo? No patrzcie! Toś ty, Istvanie? My się znamy przecież. Zajechałeś kiedyś do nas... Nie pamiętasz? Cecey...

— Cecey?...

— No przecie, że Cecey! Zapomniałeś już, jak tropiłeś Morego?

— Tak, tak, pamiętam. Ale co się stało? Jakim sposobem znaleźliście się tutaj? Mieszkacie przecie w dolinie Mecseku?

— Te zbóje plugawe — jął opowiadać stary Cecey podsuwając głowę żonie, aby ją obmyła — napadli na nas. Mieliśmy szczęście, że tamten młokos właśnie wtedy nas dopędził, kiedy poganie zaatakowali. To dzielny chłopak! Tak siekł Turków, że aż wióry leciały. Ma się rozumieć, że i ja nie próżnowałem, jeszcze na wozie siedząc zdzieiłem jednego po głowie. Nasz woźnica też wcale dzielnie się bił.

— Ilu ich było?

— Dziesięciu parszywców, bodaj ich ogień piekielny pochłonał! Na szczęście nie dali nam rady. Mam przy sobie czterysta dukatów, a może nawet więcej — tu uderzył w skórzaną torbę wiszącą u boku.

Pani Cecey wyżywała krwawą wodę z chustki.

— A ten młody czy nie zmarł? — spytała podnosząc wzrok.

— Ani mu się śni umierać — odrzekł Dobo — też się myje, tam trochę dalej. Wtem rzucił spojrzenie na zabitego Turka leżącego tuż obok.

— Muszę zobaczyć, co to byli za jedni — rzekłszy to Dobo odjechał kawałek brzegiem rzeki.

W trzcinie znalazł siedmiu zabitych: dwóch Węgrów i pięciu Turków. Przy drodze leżał wóz trzykonny wywrócony do rowu. Młody woźnica ustawiał rozrzucone skrzynie.

— Zaczekaj z tym, zaraz przyślę ci pomoc. Dobo powrócił do Mekkseyego.

— Pomyliłeś się, przyjacielu, tu nie jeden zabity Turek leży, Jest ich pięciu. Piękne cięcia! Zuch z ciebie!

Powinien być jeszcze jeden — stwierdził Mekksey. — Ale ten leży chyba w rzece. A moich chłopców znalazłeś, mości oficerze?

— Znalazłem. Jeden biedak ma rozłupaną głowę.

— Było nas tylko trzech.

— A Turków?

— Dziesięciu, żeby ich piorun strzelił!

— Wobec tego czterech uciekło.

— Tak, ale chyba nie powrócą już...

— Nie radzę im. Boby i ze mną mieli teraz do czynienia. Rozmawiając tak zsiadł z konia i ze znanstwem badał ranę.

— Cięcie jest długie, ale nie głębokie — stwierdził po chwili. Potem własnoręcznie opatrzył ranę i owinął mocno pasmem płótna.

— Dokąd się wybierałeś, synu?

— Do Debreczyna.

— A może do Balinta Tóroka?

— Właśnie do niego.

— To świetnie się składa! U pana Tóroka przebywa mój serdeczny przyjaciel, Gergely Bornemissza. Może go nawet znasz?

— Jadę właśnie w jego sprawie. Pisze mi w liście, że ma chęć pójść ze mną na Turków.

— A ileż to on ma lat? Przecież to jeszcze dziecko.

— Chyba z osiemnaście.

— A ludzie Balinta Tóroka? Rozpierzchli się, co?

— Bo i co mieli robić? Pan Balint w niewoli...

— A co się dzieje z Tinódim?

— Dalej włóczy się po świecie. Zresztą nie wykluczone, że zastanę go teraz w Debreczynie.

— Przekaż jemu i synom Tóroka serdeczne pozdrowienia ode mnie.

Podczas rozmowy Dobo zakasał rękawy, zmoczył skrawek płótna i obmył twarz Mekkseyego. Jeden z żołnierzy tymczasem starał się mokrą szmatą wywabić krwawe plamy ze spodni i bluzy rannego.

— Czy stary jest tam? — dopytywał się Mekksey wskazując ku Ceceym.

— Jest, jest. Nie stało mu się nic złego. Też w głowę dostał cięcie. Nie głodnyś, synu?

— Nie, tylko spragniony.

Dobo poszedł po bukłak, żołnierzom zaś kazał pomóc woźnicy.

Potem razem przeszli do Ceceych. Siedzieli oni już na trawie przy wozie. Pan Cecey trzymał w garści udo indyka. Zajadał z wilczym apetytem.

— Zapraszam do uczyty! — zawołał wesoło. — Dzięki Bogu, że się jakoś trzymasz, synu!

Mekksey machnął ręką:

— To głupstwo!

Żołnierze zbierali łup: pięć koni tureckich, tyleż płaszczy i różnej broni po zabitych Turkach.

— Proponuję, abyśmy się podzielili — zwrócił się Mekksey do pana Ceceyego wskazując na konie i broń. — To wspólny łup.

— Na co mi to? — wzruszył ramionami starszek — koni mam dość, broni mi też nie brak.

— W takim razie, mości panie Istvanie Dobo, obdaruję pana jakąś bronią. Niech waszmość wybiera!

— Dziękuję — potrząsnął głową Dobo uśmiechając się. — Jakim prawem miałbym z tego korzystać? Nie walczyłem przecież o ten łup!

— To nic! Proszę wybrać, co się waści podoba.

Ale Dobo ponownie potrząsnął głową.

— Łup bez reszty należy do ciebie. Jakże ja bym mógł przyjmować od ciebie podarunek?

— Nie dam za darmo.

— To co innego — rzekł Dobo z zainteresowaniem i jął oglądać piękną szablę turecką.

— Jaka będzie cena?

— Taka: Jak waszmość będziesz kiedyś obrońcą twierdzy, pozwolisz mi dopomóc ci w wykurzeniu Turków.

— Nie, przyjacielu. Skąd pewność, że zajdzie taka okoliczność— zaprzeczył Dobo dobrotliwie. — To byłoby nieuczciwie kupować szablę za próżną obietnicę.

— Dobrze, stawiam więc drugi warunek. Niech waszmość jedzie ze mną do Debreczyna.

— Niestety i ta cena jest dla mnie nie do przyjęcia. Pełnię urząd komisarza królewskiego i pobieram dziesięcinę w opuszczonych majątkach. Może kiedy... później znajdę czas...

— To może w zamian za skromny podarunek obdarzysz mnie swoją przyjaźnią?

— Już to uczyniłem, synu, i w dalszym ciągu czynię. Posiadasz moją przyjaźń i w imię tej przyjaźni przyjmę od ciebie tę szablę.

Sądząc po broni, byli to jacyś znakomici Turcy. Jeden z nich musiał być begiem. Ciekawym, z jakiej miejscowości?

— Zdaje mi się, z Fejervar.

Dobo kolejno oglądał szable. Jedna miała pochwę aksamitną wysadzaną turkusami; złocona głowica przedstawiała łeb żmii o diamentowych oczach.

— Zatrzymaj ją dla siebie, synu. Ta szabla warta jest majątek — rzekł Dobo sięgając po inną, niepozorną. Wyciągnął ją z pochwy i zatoczył koło.

— To ci stal co się zowie — rzekł zadowolony. — Jeśli mi ją podarujesz, to serdecznie dziękuję.

— Chętnie — odpowiedział Mekksey.

— Widzisz, teraz będziesz musiał wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę. Zabierz szablę do Debreczyna i jeśli byś tam spotkał

Tinódiego, poproś go w moim imieniu, ażeby wymyślił jakąś sentencję. Na pewno znajdzie się w Debreczynie jakiś rytownik, który sentencję wyryje w stali.

— Chętnie — odrzekł Mekksey — może przy tej sposobności Tinódi coś napisze i na tej szabli — wskazał na drogocenną broń. Przez chwilę Mekksey zastanawiał się, potem zawiesił krzywą szablę turecką obok własnej.

— Czy oficerowie tureccy mieli przy sobie pieniądze? — spytał Mekksey żołnierzy Dobo.

— Jeszcześmy nie szukali.

— No to poszperajcie.

— Żołnierz po chwili przywłókł za nogę zabitego Turka.

Czerwone aksamitne szarawary nie miały kieszeni, tylko do pasa przytroczona była skórzana sakiewka pełna złotych i srebrnych monet.

— Przyda się na wydatki — rzekł uradowany Mekksey. — W żołnierskiej służbie nigdy się nie ma dość pieniędzy.

Na szyi bega wisiał złoty łańcuszek, na nim wysadzana rubinami złota spinka i talizman turecki: zwój pergaminu.

Mekksey położył na dłoni oba klejnoty i wyciągnął ją ku panu , Ceceyemu:

— Ale z tego musi pan sobie koniecznie coś wybrać...

— I to schowaj dla siebie, synu. To by tak pasowało do mnie, jak kwiat do kozucha.

Oczy pani Cecey zabłyśły.

— Ewa by się ucieszyła łańcuchem — rzekła i dodała wyjaśniając: — To nasza córka, jest dworką królowej.

— Zapraszamy na jej wesele — huknął pan Cecey. — Niech ja jeszcze raz sobie pohulam, zanim się przeniosę na tamten świat.

— Za kogo wychodzi? — spytał Mekksey, położywszy łańcuszek na dłoni pani Cecey.

— Za porucznika królowej. Nazywa się Adam Furjes. Znasz go może?

Mekksey spoważniał i zaprzeczył ruchem głowy.

— To bardzo dzielny młodzieniec — chępiła się pani Cecey — królowa go wyswatała mojej córce.

— Życzę im szczęścia — burknął Dobo.

Mekksey rozdawał stroje tureckie i pozostałą broń między żołnierzy Dobo, którzy mieli niebawem wyruszyć w dalszą drogę.



Kołpak Mekkseyego był rozcięty prawie na pół. Obracał go w palcach pomstując na Turków.

— Nie złość się — pocieszał go Cecey — sam też byś musiał go przeciąć, boby ci nie wszedł na spuchniętą głowę. Zresztą zapłacili ci przecież za szkodę, i to hojnie!

— Dam ci dwóch żołnierzy do ochrony — wtrącił Dobo. — I waćpanu radzę wziąć ze dwóch na wszelki wypadek.

— Nie wiem, czy nie jedziemy w tym samym kierunku — spojrzął Mekksey wyczekująco na Ceceyego.

— A dokąd ty jedziesz? — odpowiedział stary pytaniem.

— Do Debreczyna.

— Wobec tego w tym samym kierunku.

— To wystarczy nam trzech żołnierzy.

— Jak uważasz — zgodził się Dobo.

Państwo Cecey umieszczali swe mienie w kolasie, Dobo zaś i Mekksey poszli tymczasem oglądać zabitych. Dobo przystanął przy trzydziestoletnim może, otyłym Turku w niebieskich szarawarach, leżącym na wznak z szeroko rozrzuconymi rękoma. Dostał cięcie w samo oko.

— Tego znam chyba — rzekł Dobo zamyślony. — Zdaje mi się, że kiedyś się nawet z nim biłem.

Wył jak szakał — uśmiechnął się Mekksey — aż skóra cierpła na człowieku.

Dwaj węgierscy żołnierze byli potwornie zmasakrowani. Głowę jednego przykryto chustką.

Poległych Turków żołnierze powrzucali do rzeki. Węgrów zaś pogrzebali w pulchnej ziemi nad brzegiem, pod starą wierzbą. Przykryli ich płaszczami, miast krzyża szable wetknęli w mogiłę.

2

Na południowym krańcu Konstantynopola stoi stary zamek. Grecy go jeszcze wybudowali nie opodal południowej bramy słynnego muru obronnego Bizancjum. Ku chwale cesarza Teodozjusza wzniesli tam rzeźbiarze i malarze precudną bramę z białego marmuru, zwaną „Złotą Bramą”. Brama ostała się nietknięta do dnia dzisiejszego. Zamek otaczały wysokie mury. Na zewnątrz murów siedem przysadzistych wież, niby olbrzymie wiatraki, rozmieszczonych było w takim oto porządku:

\*

\*           \*  
\*       \*  
\*           \*

Od zachodu morze Marmara szumi u stóp murów zamkowych, pozostałą część zamku otaczają drewniane domy. Zamek ten zwano Jedikula, co w tłumaczeniu znaczy siedem wież. W tych siedmiu wieżach zgromadzone zostały wszystkie skarby sułtana, które nie mieściły się w pałacu. W dwóch środkowych znajdowały się klejnoty, złoto, perły, diamenty i inne kosztowności. Wieże od strony morza zawierały narzędzia używane przy oblężeniu twierdz, broń krótką i srebra. W pozostałych dwóch wieżach złożono starą broń, pożółkłe pergaminy i księgi. W Jedikule trzymano także co znakomitsze osobistości wzięte w jasyr. W jakich warunkach ich trzymano? W przeróżnych. Niektórych na łańcuchach i w lochach. Inni znowu mieli wszelkie wygody, niemal jak u siebie w domu. Mogli spacerować po zamkowym parku, wysiadywać na balkonie wieży, trzymać nawet troje służby dla siebie, listy pisać, przyjmować znajomych, grywać na harfie albo na innych instrumentach muzycznych, jeść i pić, co im się podobało — tylko opuszczać murów zamkowych nie wolno im było.

W parku Jedikula siedzi na ławce dwóch siwowłosych jegomościów wygrzewając się w promieniach wiosennego słońca. Obydwaj mają na nogach lekkie kajdany — raczej symboliczne, aby ani na chwilę nie zapomnieli, że znajdują się w niewoli.

Jeden z nich siedzi wsparty łokciami o kolana. Drugi rozłożył ręce na oparciu ławki i przypatruje się chmurom sunącym po niebie.

Ten ostatni jest bardziej osiwiwały. Broda sięga mu do połowy piersi, a bujna długa grzywa do ramion.

Obydwaj mają na sobie węgierskie stroje. O, niejeden strój węgierski wyświechtał się w Jedikule! Siedzieli nie zamieniając z sobą ani słowa.

Wśród tuj, cedrowych i laurowych drzew kwitły już tulipany i piwonie. Nad głowami siedzących sążniste liście starego pizanga piły promienie słońca.

Przypatrujący się chmurom mężczyzna zdjął z oparcia ławki szeroko rozpostarte ramiona i krzyżuje je na piersi; rzucił spojrzenie na swego towarzysza.

— Drogi Mayladzie, o czym tak myślisz?

— O starym drzewie orzechowym — odrzekł jegomość wsparty łokciami o kolana — przed moimi oknami w Fogaras.

Znowu zapadli w milczenie. Po dłuższej chwili Maylad odezwał się pierwszy:

— Zmarzły mu niektóre konary... Ciekawym, czy odżyło... Nad tym się właśnie zastanawiam...

— Odżyło na pewno. Tak to bywa. Drzewo zmarznie, a potem suche konary puszczają młode pędy. Jak winorośl... Tylko człowiek nie odżywa na nowo...

Siedzieli dalej pogrążeni w milczeniu. I znowu Maylad podjął rozmowę:

— A ty, Balincie, o czym myślisz?

— O tym, że aga kapi jest taki sam gałgan, jak oni wszyscy.

— Nie wątpię.

— „Przekonasz się, co potrafię”, tak mawiał. I przekonałem się, zaiste. Żona posłała mu trzydzieści tysięcy dukatów na wykup. Od tego czasu minęły już trzy miesiące...

Obydwaj zamilkli ponownie. Maylad zerwał kwiat lwiej paszczy żółcącej się w trawie i krusząc go w palcach, rzekł:

— W nocy zastanawiałem się nad tym, że właściwie do dziś dnia nie wiem, za co cię tu trzymają, Balincie. Często wspominałeś, jak cię przywieziono na statku Dunajem, jak odepchnąłeś jednego z wartowników, że o mało nie wyleciał przez burłę, jak cię tu sprowadzono... Ale o samym początku, o właściwej przyczynie...

— Mówiłem ci już, że sam nie wiem...

— Ostatecznie nie mieli powodu posądzać cię o to, że chcesz zagarnąć tron. Byłeś zwolennikiem Turków. Ty ich wezwałeś przeciwko Ferdynandowi.

— Nie ja sam.

— Zgoda. Ale tylko ciebie jednego trzymają tu... Wiem dobrze, że nie po to ich wezwałeś...

— Często ja sam też łamię sobie głowę nad tym...

Rozległ się dźwięk werbla.

Grupa kapudżich przechodziła przez dziedziniec zamkowy. Rozmowa się urwała. Dopiero, gdy tamci znikli, pan Balint podjął znowu tok myśli:

— Dochodzę do wniosku, że jednak na skutek mojej nocnej rozmowy z sułtanem zostałem pojmany... Spytał mnie, czemu zapowiadałem Niemcom jego przybycie.

— Niemcom? — spytałem go. — Ja nie Niemcom zapowiadałem, tylko Perenyiemu.

— To jest to samo — odpowiedział mi sułtan. — Perenyi trzyma z Niemcami. Gdybyś ich nie zawiadomił, to Niemcy nie mieliby czasu uciec! — pinił się sułtan ze złości. — Zmiażdżyłbym całą potęgę Ferdynanda i zająłbym Wiedeń!

— Krew mnie załała, że ten ohydny Turek tak mi naurągał. Ty mnie znasz, wiesz, że lubię prawdę powiedzieć w oczy.

— No i co? Wygarnąłeś mu?

— Powiedziałem mu najspokojniej w świecie, że właśnie dlatego zapowiedziałem jego przybycie Perenyiemu, bo chciałem uratować tych Węgrów, którzy byli po stronie Niemców.

— To była lekkomyślność!

— Byłem wtedy jeszcze wolny.

— A co on na to?

— Nic. Chodził tam i z powrotem zamyślony. Nagle zwrócił się do jednego z paszów. Polecił mu zaprowadzić mnie do jakiegoś lepszego namiotu na noc. Jutro jeszcze porozmawiamy — powiedział.

— No i jaki przebieg miała ta rozmowa następnego dnia?

— Żaden! Nie widziałem sułtana więcej. Kwaterę dostałem wygodną, ale pilnowano mnie jak oka w głowie. Ile razy chciałem przestąpić próg, dziesięć kopii przystawiano mi do piersi.

— A kiedy nałożyli ci kajdany?

— Dopiero później, kiedy sułtan miał wyruszyć do domu.

— Mnie od razu zakuli w kajdany — westchnął Maylad. — Ze złości płakałem jak dziecko.

— Ja nie umiem płakać. Nie płakałem nawet wtedy, kiedy ojciec mi zmarł.

— Nawet nad swoimi dziećmi nie?

Balint Torok zbladł.

— Nie. Tylko jak pomyślę o nich, to czuję, jakby mnie ktoś nożem pchnął w serce. Westchnął. Przez chwilę trwał zatopiony we wspomnieniach.

— Często myślę o pewnym Turku. Pojmałem go nad brzegiem Dunaju. Latami trzymałem w niewoli na zamku. Był to złoźnik jakich mało... Pewnego razu przeklął mnie...

Z oddali dochodziły dźwięki muzyki... Nasłuchiwali przez pewien czas, potem znowu pograżyli się w swych myślach.

Kiedy zachodzące słońce zaróżowiło chmury, kapitan zamku miarowym krokiem obszedł park; mijając węgierskich jeńców rzucił oschle:

— Już czas...

Zazwyczaj na pół godziny przed zachodem słońca zamykano bramę zamku i wtedy — podług regulaminu — wszyscy musieli wracać do swoich izb.

— Efendi — zagadnął go Balint Torók — co to za święto dzisiaj, że muzyka gra?

— Święto tulipanów — odpowiedział kapitan i poszedł dalej.

Tak. To jest święto tulipanów. Wiosną zeszłego roku także obchodzono ten dzień. Zgodnie z tradycją, żony sułtana bawiły się w tym dniu w ogrodach seraju przez całą noc.

Między grzędami tulipanów poustawiano budki i namioty. Kobiety haremowe sprzedawały w nich błyskotki, perły, kaszmiry, brokaty i tym podobne towary. Trzysta żon sułtana z radością wyczekiwało na ten dzień sprawunków, gdyż wstępu do publicznych bazarów zabraniały im srogie przepisy.

W święto tulipanów ogród rozbrzmiewał wesołością. Z pałacu wnoszono klatki z papugami, słowikami, kanarkami i kosami i umieszczano je na krzewach i między konarami drzew. Ptactwo na wyścigi z muzykantami wypełniało ogród wesołym świergotem.

Wieczorem w zatoce Bosforu zapłonęły wonne pochodnie i kolorowe lampiony, na statkach rozbawiony harem przy dźwiękach muzyki popłynął na morze Marmara.

U podnóża krwawej wieży dwóch Węgrów podało sobie ręce:

— Dobranoc.

— Dobranoc.

\*\*

Bo w niewoli jedynie noce są dobre. Niewolnik we śnie zawsze przebywa w domu. Żyje dalej swoimi codziennymi sprawami, a niewola wydaje mu się tylko snem koszmarnym.

Balint Tórók był senny. Po obiedzie, wbrew zwyczajowi, rzucił się na otomanę i zadrzemał. Potem otworzył okna, usiadł i przyglądał się gwiaździstemu niebu.

Pod Siedmioma Wieżami powoli wypłynął statek na morze Marmara. Wieczór był bezksiężycowy i niebo skrzyło się od gwiazd, które zdawały się płonąć odbijając się w zwierciadle morza. Oświetlony lampionami statek sunął między gwiazdami w głęboką otchłań niby potworny gwiazdozbiór.

Mur ochronny zasłonił statek przed oczyma Balinta Tóróka, lecz dźwięki kanuna i piszczałki dochodziły do jego uszu. W jednostajnym życiu więziennym i muzyka turecka stanowiła urozmaicenie. Przez jakiś czas przysłuchiwał się melodii, jednakże myśli uciekały w dalekie strony.

Koło północy przycichła hałaśliwa muzyka. Kobiety haremowe podjęły śpiew na kilka głosów, a brzęk harfy im wtórował.

Balint Tórók spoglądał na strzępiaste chmury zasnuwające leniwie niebo. I na gwiazdy przeświecające między chmurami.

„Nawet niebo jest tu inne — rozważał — niebo tureckie, chmury tureckie... — I kiedy na statku przerwano muzykę, dodał w myślach: — Nawet cisza jest tu inna...” Czas już był na nocny spoczynek, ale nie potrafił się oderwać od okna.

Nagle w nocnej ciszy rozległ się głos harfy: skądś zza listowia drzew rozbrzmiewały akordy węgierskiej pieśni.

Balint Tórók poczuł bolesny ucisk w okolicach serca. Harfa umilkła. Za chwilę jednak znów cichym szlochem popłynęła melodia. Balint Tórók poderwał głowę, jak lew podrywa łeb na szum południowego wiatru, i tęskno wpatrywał się nieruchomym wzrokiem przez kraty w daleką dal.

Pieśń przycichła i ze stłumionym westchnieniem rozpląnęła się w ciemności, potem wzmogła się znów i równocześnie rozległ się ujmujący głos kobiety:

Kto Cisy wodę raz popijał,

Tęsknym do niej wraca sercem.

I mnie tęsknota nie omija...

Balintowi Tórókowi zaparło dech w piersi. Natężył słuch i uporczywie wpatrywał się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki.

W oczach trwającego w bezruchu starego lwa pojawiły się dwie łzy i wolno stoczyły się po twarzy ku siwej brodzie.

Koło północy hajduk zapukał do drzwi Gergelya:

— Paniczu!

— Co się stało? Wejdz.

Nie spał jeszcze. Czytał przy świecy Horacjusza. Śpiący na sąsiednich łóżkach synowie Balinta Tóróka także się rozbudzili.

— Stróż przyszedł — oznajmił hajduk. — Jakiś jegomość czeka przed bramą.

— Kto taki?

— Jakiś Mecsek czy jak mu tam?

— Mecsek? Kto to do licha może być?

— Przybył z Gyór i chce tu się zatrzymać.

Na słowo Gyór Gergely jednym susem wyskoczył z posłania.

— Kto to jest, Gergely? — dowiadywali się chłopcy zdumieni.

— Kto? Mekksey — zawołał radośnie Gergely. — Każ wpuścić pana Mekkseyego!

Hajduk wybiegł. Gergely włożył buty i narzucił na ramiona płaszcz. Szesnastoletni Janos i młodszy o dwa lata Ferenc także wstali, by jak najprędzej zobaczyć gościa, którego znali tylko ze słyszenia.

— Każcie podać wina i coś do jedzenia! — krzyknął jeszcze Gergely i zbiegł po schodach.

Mekksey stał już na dziedzińcu, przy nim stróż z latarnią w ręku oraz komendant zamku.

Na piętrze także zapłonęło światło. Przez jakiś czas snop jego błakał się po dziedzińcu, w końcu zatrzymał się na przybyszu, który właśnie odprawiał żołnierzy Istvána Dobo, obdarowując każdego talarem.

— Wreszcie jestem na miejscu — uradował się Mekksey ściskając serdecznie Gergelya — już mi się oczy kleją ze zmęczenia.

— Na miłość boską, co masz na głowie?

— Turban, do jasnego pioruna. Jak widzisz, zostałem Turkiem.

— Nie żartuj. Przecież widzę, że chustka jest cała we krwi.

— Jak mi dasz izbę i miskę z wodą, to ci opowiem, co spotkać może podróżnego w drodze z Gyór do Debreczyna.

Służebna pojawiła się na progu i pytająco spojrzała na przybysza.

Gergely potrząsnął głową przecząco. Służebna znikła. Gergely zwrócił się do Mekkseyego objaśniając:

— Nasza pani rzadko kiedy śpi, nawet po nocach czeka na męża albo choćby na wieści o nim.

Trzy dni gorączkował Mekksey z powodu odniesionej rany.

Gergely i chłopcy ani na chwilę nie odstępowali od jego łóżka. Podawali mu czerwone wino dla wzmocnienia i słuchali z zaciekawieniem jego opowiadań.

Pani Tórók także często zaglądała do chorego, który od razu przy pierwszej wizycie oznajmił, że ma zamiar zabrać Gergelya do szeregów króla.

Chłopcy z przerażeniem patrzyli na Gergelya, pani Tórók zaś ze smutkiem.

— Miałbyś serce opuścić nas? Czy nie byłam ci matką? A moi synowie czy nie kochali cię jak brata rodzonego?

Gergely, schyliwszy głowę, odpowiedział:

— Skończyłem już osiemnaście lat. Czyż mam tu wysiadywać nieużytecznie, jak u Pana Boga za piecem, kiedy ojczyzna potrzebuje żołnierzy?

Mimo młodego wieku Gergely wyglądał na dojrzałego mężczyznę. Delikatna, śniada twarz porastała już meszkiem. Błyszczące, czarne oczy były pełne wyrazu i powagi.

— Ale przecież jesteś mi potrzebny — sprzeciwiała się pani. — Nie chciałbyś poczekać, aż moi synowie dorosną? Już wszyscy nas opuszczają — kiwała głową, ocierając płynące z oczu łzy.

Gergely rzucił się na kolana przed nią i ucałował jej rękę:

— Kochana pani i matko, jeśli tak zapatrujesz się na moje odejście, to zostanę.

Przy tej rozmowie obecny był Tinódi. Przybył on tegoż samego dnia z Ersekujvar, by się dowiedzieć czegoś o losie swego pana, ale pytanie ugrzęzło mu w gardle, kiedy ujrzał zamek bez flagi na maszcie, zaś panią domu w czerni.

Siedział na skrzyni pokrytej skórą niedźwiedzią i coś rysował na klindze szabli. Słyszając słowa Gergelya przerwał zajęcie.

— Jaśnie pani pozwoli, abym i ja wtrącił swoje trzy grosze.

— Może coś mądrego powiesz, Tinódi. Słuchamy.

— I ptak wylatuje z gniazda, ale zawsze do niego powraca. Niechaj i Gergely pofruwa troszkę. Nabierze doświadczenia w świecie. Bo widzi łaskawa pani — tu wskazał na Janosa — paniczowi też dziś, jutro wąsy wyrosną i wyjdzie mu na dobre, gdy doświadczony żołnierz służyć mu będzie radą.



W tym, co Tinódi mówił, nie było nic śmiesznego, a jednak uśmiechali się wszyscy. Tinódi bowiem w codziennym obejściu bywał skory do żartów, toteż nigdy nie było wiadomo, jaki ukryty dowcip kryje się za jego poważnymi słowami.

Pani Tórók rzuciła spojrzenie na klingę:

— A czy wiersz już skończyłeś?

— Tak. Nie wiem tylko, czy uzyska aprobatę jaśnie pani. Uniósł głowicę i czytał:

Siła i odwaga idą w parze,  
Los odważnych zwycięstwem obdarzy,  
Kto ciągle prze naprzód zwycięsko,  
Ratuj się śmierci przed nim ucieczką.

— To piękny wiersz — zabłysły oczy Janosowi — chciałbym, żeby i na mojej szabli było to samo wyryte.

— Dla ciebie znajdzie się coś innego.

Teraz odezwał się z łóżka Mekksey:

— Myślę, że na szabli Istvana Dobo trzeba by wyryć coś o królu. Coś takiego na przykład: Za Boga, ojczyznę i króla.

— To już oklepiane — sprzeciwił się Tinódi. — Zresztą od kiedy Niemiec ma koronę na głowie, to hasło nawet przestało być odpowiednie. Gdyby Istvanowi Dobo o taki napis chodziło, toby się nie zwracał do mnie.

— Coś mi przyszło na myśl — rzekł Gergely. — Kiedy byłem dzieckiem, słyszałem z jego ust powiedzenie. To powiedzenie trzeba by uwiecznić.

— Mianowicie?

— Najważniejsze, aby się nie bać.

— Myśl piękna, ale nie dość dosadnie ujęta — rzekł Tinódi i oparłszy brodę o dłoń, zapatrzył się przed siebie. Wszyscy milczeli. Nagle błysnęły mu oczy:

— Mam! Kto się boi — życie traci!

— Tak, to o wiele lepiej! — pochwalił Gergely.

Tinódi zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i wyrysował bojowe hasło na klindze. Następnie wziął ze skrzyni szablę podobną do szabli Istvana Dobo. Był to podarunek Mekkseyego dla Gergelya.

— A co na niej napisać? — spytał Tinódi. — Czy dobrze będzie tak? Gergelyu Bornemissza, rycerzu prawy — czeka już na ciebie koń cisawy.

Zaśmieli się wszyscy. Tylko Gergely potrząsnął głową:

— Nie. Mnie wystarczą dwa słowa. W słowach tych zawarte jest wszystko: Za ojczyznę.

\*\*

Piątego dnia niespodziewanie pojawił się Istvan Dobo. Przywitano go radośnie. Od kilku lat, od kiedy Turcy zabrali pana domu, po raz pierwszy nakryto stół srebrną i złotą zastawą. Niezwykle pogodny nastrój opromieniał dom.

Niemniej pani domu zjawiała się przy stole w głębokiej żałobie, bez żadnej ozdoby. Zajęła swoje miejsce naprzeciwko drzwi. Przy drugim końcu stołu leżało nakrycie i stało puste krzesło z oparciem. Z początku Dobo myślał, że to miejsce księdza, który się jakoś spóźnia. Dopiero później zdał sobie sprawę, że to miejsce Balinta Tóroka. Dzień w dzień nakrywano dla pana domu rano, w południe i wieczorem.

Pani Tórok z wielkim zainteresowaniem słuchała wieści, które Istvan Dobo przywiózł z Wiednia, o tym, jak panowie żyją w kraju. Bo i skąd tu wiedzieć, co się dzieje na świecie, gdyby czasem ktoś nie zajechał i nie opowiedział, która gałąź na drzewie starego rodu uschła, a która wypuściła nowe pędy.

Tylko nazwiska jednego wielmoży nie wymieniono przez dłuższy czas w rozmowie: nazwiska pana domu. Gergely ostrzegł Istvana Dobo, by o nim nie wspomniał, by nie wypytywał o nic.

Lecz gdy służba sprzątnęła zastawę, sama pani Tórok zwróciła się do Istvana Dobo:

— A czy słyszał może waćpan coś o moim ukochanym mężu? — zadała to pytanie, dławiąc się łzami.

Dobo zaprzeczył ruchem głowy.

— Dopóki sułtan żyje...

Pani Tórok schyliła głowę.

Istvan Dobo uderzył w stół.

— Ale do licha... Jak długo chce sułtan jeszcze żyć? Tytani na ogół nie dochodzą do podeszłego wieku. Wiemy o tym z historii... Zresztą... Sądzę, że gdyby jakiś buńczuczny pasza dostał się w nasze ręce, sułtan zgodziłby się nawet na wymianę...

Pani Tórok smutnie kręciła głową:

— Wątpię. Mój mąż nie jest zakładnikiem. Schwytali go jak lwa, którego się boją. Już próbowałam wszystkiego — ciągnęła dalej —

zaofiarowałam im całe nasze mienie wraz ze złotem i srebrem za jego wolność. Paszowie chowają złoto do kieszeni, ale bez skutku starają się uzyskać zgodę sułtana.

— Obawiam się, że nie bardzo się starają... Mekksey oparł się łokciami o stół.

— A czy nie dałoby się jakąś inną drogą? — rzekł.

Dobo wzruszył ramionami.

— Z Jedikuli? Czy ty wiesz, co to jest Jedikula?

— Wiem. Ale jestem pewien, że nie ma rzeczy niemożliwych. Tylko trzeba mieć silną wolę...

— Drogi Mekksey — westchnęła pani domu z bolesnym uśmiechem — chyba nie wątpisz, że mąż mój i jego osierocona rodzina ze wszystkich sił dążą do tego celu. Byłam u królowej, byłam u fratra Gyórgya, byłam u paszy w Budzie. Na klęczkach czołgałam się przed królem Ferdynandem... Bałam się nawet pisać o tym mojemu nieszczęsnemu mężowi...

Tu słowa pani domu zdławił płacz, wszyscy patrzyli na nią w głębokim wzruszeniu. Po chwili otarła łzy i zwróciła się do Tinódiego:

— Drogi Tinódi — z wysiłkiem przywołała uśmiech na mokrą od łez twarz — czy mamy smutkiem raczyć przyjaciela naszego domu? Zechciej zagrać nam ulubione pieśni mego męża. Przymkniemy wszyscy oczy i wyobrazimy sobie, że i on jest między nami.

Już od trzech lat Tinódi nie tknął lutni. Chłopcy wybuchem radości powitali prośbę matki.

Tinódi poszedł do swojego pokoju i wrócił z lutnią w rękę.

Dzieje Judyty recytował cichym głosem, pobrzękując jednostajną melodię na lutni.

Słuchano go z otuchą w sercu. W osobie Holofernesa wszyscy poznali sułtana. Ale biada! Gdzież ta Judyta, która by go zgładziła!

Tinódi nie dośpiewał ballady do końca. Pod jego palcami rozbrzmiała inna melodia, a on zawtórował przejmującym głosem:

Smucą się biedne Węgry i płaczą,

Opuściły je wesołość i radość,

Opłakują niewiasty swą dołę,

Zacni mężowie wzięci są w niewolę.

Siedzący przy stole mieli łzy w oczach.

— Czy łaskawa pani pozwoli dokończyć? — spytał Tinódi z wzrokiem błagalnym.

Pani Tórók skinęła głową.

Tinódi śpiewał o tym, w jaki sposób sułtan omotał Balinta Tóróka. Jak go zabrano w kajdanach, wprzód do Belgradu, a stamtąd do Konstantynopola.

Przy ostatniej zwrotce głos pieśniarza przeszedł w szept:

Twoja żona i dwóch synów pięknych  
Żyją w smutku i mękach piekielnych,  
Znaku twego czekają od Ciebie,  
Gorliwie wciąż modlą się za ciebie,  
Żebyś do domu wrócił zdrowo  
I byś im przewodził na nowo.

Tu głos Tinódiego się załamał. Chłopcy z wielkim szlochem rzucili się na szyję matki, a ona przytuliła ich do siebie. Tinódi odłożył lutnię i oparłszy głowę o stół, zakrył twarz dłońmi i trwał w bezruchu.

Tak upłynęło kilka chwil. Pierwszy odezwał się Dobo, a w głosie jego brzmiała niewymowna gorycz:

— Czemu nie jestem wolnym człowiekiem! Rok życia oddałbym na to, aby na miejscu wybadać, czy są możliwości wydostania go z lochu.

Mekcsey zerwał się.

— Ale ja jestem wolny! I przysięgam na Wszechmogącego, że będę w Konstantynopolu. I jeśli istnieje choć cień możliwości, wyzwolę Balinta Tóróka, choćbym miał życiem to przypłacić!

Gergely także zerwał się na równe nogi.

— Pójdę z tobą! Do piekła pójdę za wolność mego pana i ojca.

— Matko — rzekł Janos Torók wstrząśnięty — czy ja mam zostać w domu, kiedy inni narażają życie dla wyzwolenia mojego ojca?

— To szaleństwo! — szepnęła matka.

— Może szaleństwo — gorączkował się Mekcsey — ale ja uczynię, jak przyrzekłem. Tinódi powstał.

— Ja też pójdę z wami! Ramię mam słabe, ale może mój rozum się na coś przyda...

Pani domu kręciła głową.

— Zastanówcie się! Czego nie dokonało dwóch królów i książęcy majątek, tego wy chcecie dokonać?

— Całkowicie przyznaję słuszość łaskawej pani — przytaknął Istvan Dobo, odzyskawszy spokój. — Tylko że tu na nic starania, na nic złoto, tu jedynie łaska sułtana może skruszyć kajdany.

— A na objawienie tej łaski nie będziemy czekać! — odpalił Mekksey.

Następnego dnia rano Dobo wyruszył w dalszą drogę. Nikt go nie zatrzymywał. Wszyscy wiedzieli przecież, że czekają go pilne obowiązki. Po jego odjeździe Mekksey zawołał do siebie Gergelya:

— Wczoraj wieczorem nie chciałem, abyś się zdecydował pochopnie. Sen to dobry doradca. Nie chodzi tu o mnie. Ja nie odstąpię od swoich zamiarów. Wszelkimi siłami dążyć będę do celu. A ten cel to Konstantynopol.

— Pójdę z tobą — oświadczył Gergely uroczyście.

— Ostatecznie, obecnie nie ma w kraju wojny. A tam... może nam się poszczęści...

— Tak. Trzeba spróbować. Choćby sprawa wyglądała beznadziejnie. A nuż się uda!... Ale jak sądzisz? Czy Tinódiego mamy zabrać z sobą?

— A ty jak uważasz?

— To wyprawa niebezpieczna. Łatwo ją przypłacić życiem. A jego życie jest drogie. On należy do tych nielicznych, co są niezbędni w kraju, żeby swym śpiewem podsycać ogień tłący się w sercach. Z jego pieśni rozbrzmiewa ból całego narodu.

Drzwi uchyliły się: na progu stanął Janos Tórók z pejczem w ręku. Był w żółtawych hajdawerach, a na głowie miał kołpak sukienny.

Mekksey, jak gdyby kontynuował przerwana rozmowę, zaledwie rzucił spojrzenie na Janosa i z uśmiechem machnął ręką:

— To rudy zając. A teraz ma się ożenić — rzekł i dodał zwracając się wyjaśniająco do Janosa:

— Ty go nie znasz. A może Gergely wspominał o nim kiedyś?

— O kim mowa? — spytał Janos obojętnie.

— O Adamie Furjesu.

— A z kim się żeni? — spytał Gergely, a oczy mu się śmiały.

— Z córką szlachcica, co ma drewnianą rękę.

Z twarzy Gergelya uciekła krew.

— Z Ewą Cecey?

— Tak, może ją znasz?

Gergely osłupiały patrzył się na Mekkseyego.

— Nie udawajcie! — krzyknął Janos zniecierpliwiony. — Nie o tym żeście mówili! Myślicie, że jestem dzieckiem! Nie! Nie jestem już dzieckiem! Tej nocy oka nie zmrużyłem. Bywa, że owoc dojrzewa przez noc! Ja też tej nocy dojrzałem, jestem mężczyzną.

Mekcsey przypatrywał się mówiącemu z aprobatą.

— A czy pani matka puści cię z nami?

— Nic jej nawet nie wspominałem. Na zamku w Hunyad mamy różne sprawy do załatwienia. Poproszę matkę, aby mnie je powierzyła.

— Wobec tego wyruszamy — rzekł Mekcsey.

— Choćby i dziś. Już się ubrałem na drogę.

— Zaraz, Istvanie! — wtrącił Gergely głosem bezbarwnym. — Czy to prawda? To, o czym wspomniałeś przed chwilą? Czy też tylko tak mówiłeś, żeby coś powiedzieć?

— O Furjesu?

— Tak.

— To prawda. Słyszałem na własne uszy, jak jej matka się chwaliła, że królowa wydaje córkę za mąż za porucznika gwardii.

Gergely się zachwiał.

— Co ci jest? — János spojrzał zdumiony na Gergelya. — Znasz ją może?

— Czy ją znam? Przecież to moja Ewa!

— Twoja Ewa wyjdzie za kogo innego?

— O ile jej matka prawdę mówiła, ale ja w to nie wierzę! — krzyknął pieniąc się ze złości: — Zabiję tego łotra! Mekcsey wzruszył ramionami.

— A może Ewa go kocha?

— Nie kocha go!

— Sądzisz, że ją zmuszają?

— Na pewno. Z całą pewnością!

— Była zaręczona z tobą?

— Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy już była moją narzeczoną.

— Wobec tego?! Ale może pokochali się?

— Nie! To niemożliwe!

— Nie widujecie się... Jest daleko...

— Jest zawsze blisko mnie... bo w sercu...

— A czy pisujecie do siebie?

— W jaki sposób? Przecież nie mam umyślnego do posyłania listów. Bo gdybym miał, to wiecznie kursowałyby między nami.

Wtem usłyszeli tupot nóg na ganku. Janos Tórók jednym susem znalazł się przy drzwiach i cicho przekręcił klucz w zamku. Za chwilę ktoś nacisnął klamkę. Janos ruchem dłoni nakazał ciszę. Poznał kroki młodszego brata, nie chciał, aby ten się dowiedział przedwcześnie o ich przedsięwzięciu.

4

Królowa Izabela zimowała w Gyalu. Wiosna jeszcze ją tam zastała. Dwóch młodzieńców, Gergely i Mekksey, trzeciego dnia stanęło w Gyalu. Janos Tórók nie towarzyszył im, by uspić podejrzania matki. Matka Janosa wiedziała tylko tyle, że Mekksey razem z Gergelyem zaciągnął się do wojska Ferdynanda i że lato spędzą na żołnierce. Na świętego Bartłomieja Gergely miał wrócić do domu.

Tymczasem trójka młodych ludzi dokładnie już obmyśliła plan. Gergely zamierzał przede wszystkim dowiedzieć się, czy Ewa kocha Furjesa. Jeśli tak, to Gergelyowi nie pozostanie nic innego, jak pożegnać się ze swoimi marzeniami. W przeciwnym razie ulotni się z Gyalu niepostrzeżenie, Mekksey zaś ośmieszy niedosłego pana młodego w oczach wszystkich panien siedmiogrodzkich.

Po wykonaniu tych zamierzeń w Gyalu trzech młodzieńcy mieli się spotkać w Hunyad i stamtąd wyruszyć konno do Konstantynopola. Janos zatrzyma przy sobie sumę powierzoną na odnowienie zamku i postara się ponadto zebrać jak najwięcej złota, by torować Balintowi Tórókowi drogę do wolności. Od granicy tureckiej mieli odbyć podróż piechotą w przebraniu derwiszów, kupców albo żebraków, aby nie zwracać na siebie uwagi zbójów i patroli tureckich. Czy uda im się wyzwolić Balinta Tóróka, czy też nie, za dwa miesiące wrócą do kraju. Może nawet i wcześniej zdołają przebyć powrotną drogę, matka Janosa więc nie będzie miała powodu do niepokoju.

\*\*

Gergely i Mekksey stanęli wieczorem w Gyalu. Towarzyszył im tylko koniuch Matyas, którego Mekksey zgodził do służby w Debreczynie. Matyas był dawniej koniuchem na puszczy Hortobagy.

Jechał na cisawym tureckim koniu, jednym z tych pięciu, które Mekksey zatrzymał dla siebie po niedawnej potyczce.

Zaraz przy pierwszej zagrodzie zagadnęli rumuńskiego gospodarza, czyby nie pozwolił im przenocować u siebie.

Rumun rozumiał po węgiersku. Zdumiony potrząsał głową, a wraz z głową — olbrzymią czarną czapą.

— A czy panowie nie na wesele?

— Właśnie tak.

— Skoro tak, to czemu nie zajeżdżacie, panowie, do pałacu? Obydwaj podróżni spojrzeli po sobie.

— Bo ja — rzekł Gergely po chwili — wieczorem zaniemogłem po drodze i nie chciałbym tam sprawiać kłopotu.

Rumun spojrział na mówiącego uważnie, a że Gergely był naprawdę blady, uwierzył w jego chorobę.

— Mój towarzysz stanie w pałacu — ciągnął dalej. — A jeśli masz stancję wolną, dobrze zapłacę...

Na słowo „zapłacę” Rumun skwapliwie otworzył bramę na oścież.

— A czy aby nie spóźniliśmy się na wesele? — dowiadywał się Mekksey.

— Skądże znów, proszę paniczów! Przecież ślub odbędzie się dopiero pojutrze.

— Otwórz okno, przyjacielu, przyda się trochę świeżego powietrza i zostaw nas samych.

— Chyba już za późno — rzekł Gergely, kiedy gospodarz wyszedł, i zwiesił głowę.

Mekksey zastanawiał się jeszcze przez jakiś czas. Wreszcie westchnął.

— Obawiam się, że tak. Wracajmy, Gergelyu. Trudno, jedno marzenie mniej to jedno doświadczenie więcej. Gergely powstał i potrząsnął głową:

— Nie. Tak łatwo nie zrezygnuję ze swego szczęścia. Dwadzieścia cztery godziny to kupa czasu. Wiesz co? Ja tu zostanę, a ty pojedź do pałacu. Tam tyle gości, że może nikt nie będzie zwracał uwagi na ciebie.

A gdyby mnie ktoś zapytał, czego szukam?

Zaprosił cię Cecey. No więc staraj się za wszelką cenę porozmawiać z Ewą i dowiedzieć się, czy miłość ją skłoniła do małżeństwa z Flirjeselem. Ale nie!... Po stokroć nie!... Nigdy w to nie uwierzę!

— Dobrze. Pojadę do pałacu z Matyasem. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Powiedz śmiało, że Cecey cię zaprosił. Ostatecznie, uratowałeś mu życie.

— To prawda. Może stary nie będzie zbyt zachwycony moją obecnością, ale przecież mnie nie wyrzuci! A może jeszcze dziś



nadarzy się sposobność, aby pomówić z Ewą. Poczekaj, coś mi wpadło na myśl! Może pojedziemy razem? Ty jako mój lokaj.

— Nie, ja zostanę. Gdyby się okazało, że Ewa nie z własnej woli zawiera to małżeństwo, to lepiej, żeby mnie nikt nie zobaczył i nie wiedział, że tu jestem. Ja potem...

— Wtedy ja spoliczkuję Fiirjesa!

— Nie rób nic, póki nie rozmówię się z Ewą. Tylko wracaj, nie trać czasu... potem się zobaczy...

Rumunka przygotowała Gergelyowi wygodne posłanie, przyniosła mokry okład z chustki i inne niezawodne leki na chorobę. Chory jednak nawet się nie położył, nie wypił naparu z ziół ani nie przyłożył zimnego okładu na głowę, tylko przechadzał się po małej, zatechłej izdebce i niekiedy wymachiwał pięścią.

Rano wrócił Mekksey. Zastał Gergelya drzemiącego przy świetle kaganka z głową opartą o stół.

— Czemu się nie położyłeś?

— Bo myślałem, że nie zasnę.

— Rozmawiałem z Ewą. Twoje przypuszczenie sprawdziło się. Ona nie kocha Furjesa.

Gergely zatrzęsł się, słysząc te słowa. W jego oczach zapłonął promień życia.

— Powiedziałeś jej, że jestem tutaj?

— Powiedziałem. Chciała natychmiast przybiec do ciebie. Ale ją powstrzymałem.

— Dlaczego? — zakipiał Gergely zrywając się z krzesła.

— No, no! Tylko nie rzuć się na mnie!

— Wybacz mi! Ale ja siedzę jak na rozżarzonych węglach.

— Pytasz dlaczego? Bo za nią cały dwór zwałiby się nam na kark. Ona by się tylko wstydu najadła, a my byśmy popadli w biedę.

— A co jej powiedziałeś?

— Żeby zwróciła pierścionek zaręczynowy, a ja już Furjesowi dam radę.

Gergely słuchał Mekkseyego z płonącymi oczyma.

— A co Ewa na to?

— Ze królowa ją namówiła do narzeczeństwa. A i rodzice mocno nalegali. Królowa, żeby urozmaicić sobie zimową nudę, zabawiła się w swatkę, a Ewa, aby dogodzić królowej, zgodziła się pokornie swe serce dziewicze ofiarować mości panu porucznikowi.

— Jak ona mogła! Więc jednak o mnie zapomniała!

— Skądże znowu! Może nie mam racji... Ostatecznie, kto wie, jak doszło do tego.

— Ale co tobie mówiła? Czy przyznała się bez ogródek, że Furjesa nie kocha?

— Tak.

— I że chce ze mną mówić?

— Za wszelką cenę. Musiałem jej obiecać, że jeszcze dziś wieczór przemycę cię do pałacu.

Gergely krążył po izdebce jak pijany. Bez widocznej przyczyny nagle ogarnęło go przygnębienie.

— Cóż z tego, że wysadzimy z siodła Furjesa, przecież ja jej i tak nie mogę poślubić. Jej rodzice nigdy by się nie zgodzili na to. Bo i kim ja jestem? Nikim. Nie mam ani ojca, ani matki, nawet własnego kąta. Państwo Tórókowie wychowali mnie co prawda jak własnego syna, ale mimo to nigdy nie miałbym śmiałości prosić, by przyjęli Ewę do rodziny... Zwłaszcza teraz, kiedy ich życie jest w gruzach.

Mekcsey, splótłszy ramiona na piersi, stał plecami zwrócony do okna.

— Nie rozumiem, o czym mówisz? Straciłeś głowę. To smutne, że nie masz ani matki, ani ojca, ale to nie znaczy, że nie możesz poślubić dziewczyny. Najważniejsze, abyś miał dach nad głową. A jeśli o to chodzi, na to jest rada. Mam domek w Zemplen. Stoi pusty. Możesz go zająć, choćby i na dziesięć lat.

— Aż czego żyć?...

— Jesteś uczony! Bardziej uczony od niektórych księży! A tacy ludzie są bardzo potrzebni w dzisiejszych czasach. W Gergelya wstąpił nowy duch.

— Dziękuję ci, Istvanie.

— W tej chwili ważne jest jedynie to, aby Ewa nie wyszła za mąż za Furjesa. Ty wstąpisz do wojska i zobaczysz: nie minie rok, a będziesz zarabiał tyle, że utrzymasz Ewę. A na ten rok moja siostra przytuli ją do siebie.

Gergely gorączkowo przypasał szablę, narzucił płaszcz na ramiona i kołpak włożył na głowę.

— Niech cię Pan Bóg pobłogosławi, Istvanie! Tyś moim aniołem stróżem! Pójdę do rodziców Ewy. Powiem im w oczy, że to nie po bożemu, co czynią. Że...

Na te słowa Mekksey z taką siłą posadził Gergelya na wyplatany słomą krześle, że aż zatrzeszczało.

— Siedź, do stu piorunów! Bo cię zamknę na cztery spusty w jakimś chlewie, póki nie odbędzie się wesele! Radzę ci, abyś stąd nosa nie wychylał!

Trzech jeźdźców galopem przemknęło przed domem. Zjeżdżali się goście weselni z Kolozsvar.

\*\*

Gdy zmrok wieczorny zapadł nad dolinką, Gergely także dosiadł konia i pognął do pałacu wraz z Mekkseym.

Nikt na nich uwagi nie zwrócił. Pałac roił się od gości. Okna były jasno oświetlone. Na dziedzińcu płonęły pochodnie, na korytarzach zaś świece woskowe.

Serce Gergelya biło niespokojnie. Czy w tym tłumie będzie mógł zamienić z Ewą kilka słów na osobności? Pewnie ani na chwilę nie zostawią jej samej! A on, jako nieproszony gość... Nie zna nikogo oprócz pana młodego...

— Chodźmy na tylny dziedziniec — rzekł Mekksey. Dziedziniec ten był też jasno oświetlony, kuchciki w skórzanych fartuchach obracali woły na sążnistych roznach. W kuchni krzątała się cała czereda kucharzy, przy odzianych w biel.

— Zaczekaj tu — rzekł Mekksey — spróbuję jakoś wśliznąć się do pałacu i zapytam Ewę, gdzie moglibyście się spotkać.

Gergely przyłączył się do grupy przyglądającej się pieczeniu wołu. Byli to przeważnie pacholki, ale kilku giermków także pętało się między nimi. Ciekawość ich tu przywiodła. Nie tylko pospólstwo snuje marzenia o królewskiej kuchni, szlachta także żywo się interesuje tym, jak się przygotowują dania w najwyborniejszej kuchni kraju.

W Gyalu kuchnia mieściła się między pałacem a ogrodem. Rozkazy białowłosego kuchmistrza skwapliwie spełniało jedenastu kucharzy i dwudziestu kuchcików w białych czapkach i fartuchach. Ani jednej kobiety nie było pośród nich.

Przed kuchnią pod gołym niebem obracano na rożnie tłustego, ciężkiego wołu. Zapach pieczystego rozchodził się po dziedzińcu. Kucharz ledwie dostrzegalnym skinieniem łaski wskazywał, kiedy i gdzie dorzucić drew, a kiedy żar rozgarnąć. Ciepło musi być równomierne.

W rozżarzonym powietrzu dzwoniły młotki, trzaskały noże, stukały tłuczki do mięsa, w przerwach słychać było skwierczenie pieczeni. Dym, para i drażniące nozdrza zapachy roznosiły się daleko. Jakiś smukły giermek w czerwonym kołpaku na bakier rozprawiał hałaśliwie:

— Ja tu stoję już od samego początku. Tu nawet wół inaczej się piecze jak gdzie indziej.

Tchnienie piekielnego żaru zaróżowiło twarze. Gergely z roztargnieniem przysłuchiwał się słowom gadatliwego giermka.

— Bo tu — prawil ten, otarłszy spocone czoło — wół nadziewany jest cielakiem. A w cielaka wsadzili całego indora. A w indora — bażanta.

— A co jest w bażancie? — zapytał jakiś gapiowaty giermek, z błyszczącymi ciekawie oczyma.

— A w bażancie — odrzekł lekceważąco giermek w kołpaku na bakier — jajko gąsiora. To dla najmłodszego z giermków.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Gapiowaty giermek, zaczerwieniwszy się po uszy, odszedł obrażony.

I rzeczywiście, kucharz po pół godzinie rozpruł wołu i wyciągnął zeń indyka. Przyjemna woń majeranku i pieczystego pobudzała apetyt nawet niegłodnych. Indyk nie był jeszcze upieczony. Kucharz starannie wsunął go z powrotem do wołu, pospinał srebrne haczyki, kazał przygarnąć żar i dalej obracać wołu na rożnie.

Zgiełk kuchenny tymczasem tak się wzmógł, iż wszechwiedzący giermek w czerwonym kołpaku musiał zrezygnować z dalszych opowiadań. Zresztą Gergelya historyjki te nie bardzo interesowały.

Na zamkach jego pana częściej pewnie odbywało się pieczenie wołu niż u królowej w Siedmiogrodzie.

Wtem hajduk wyniósł dwa bochenki świeżo upieczonego chleba. Giermkowie chciwie rzucili się na nie, łamiąc na kawałki. Wismukły młodzieniec w czerwonym kołpaku podsunął Gergelyowi sporą kromkę. Gergely przyjął poczęstunek z wdzięcznym spojrzeniem. Był głodny.

Widząc wilczy apetyt giermków, kucharz naostrzył nóż zwisający u pasa i odkroił im uszy wołu, co zostało przyjęte głośnym wiwatem.

Gergely jadł z apetytem. Po skromnym obiedzie u rumuńskich gospodarzy — zsiadłe mleko i chleb razowy — posiłek mu smakował wyśmienicie. Giermkowie przynieśli skądś dzbanek wina, Gergely

także napił się, otarł wąsy i wyciągnął rękę do młodzieńca, który go ugościł.

— Nazywam się Gergely Bornemissza.

Giermek także się przedstawił, ale żaden z nich nie zrozumiał nazwiska drugiego. Przez ten czas dzbanek, przeszedłszy z rąk do rąk, wrócił. Gergely pociągnął raz jeszcze duży łyk. Kiedy odjął dzbanek od ust, ujrzał przed sobą Mekkseyego, który właśnie ruchem ręki przywoływał go do siebie.

Poszli obaj do ogrodu, daleko od kuchennego zgiełku. Między drzewami i krzewami panował mrok. Mekksey stanął pod brzostem.

— Rozmawiałem z Ewą. Ma zapłakane oczy. Błagała rodziców, żeby się zlitowali nad nią, bo ciebie kocha. Ale nie dali się ubłagać. Olśniła ich pompa, łaska królowej i hojność fratra Gyórgya. Pocieszali Ewę, że oni też nie z miłości się pobrali, jednakże przywykli do siebie.

Gergely słuchał z zapartym tchem. Pożądliwymi oczami zawisł na wargach przyjaciela.

— Teraz już wiesz, dlaczego płakała, i to też wiesz, że tylko ciebie kocha.

— A jednak poślubi Furjesa.

— Wątpię. Za wszelką cenę chce się z tobą rozmówić. A potem pójdzie do królowej i powie jej, jak się sprawa przedstawia.

— Czemu wcześniej tego nie zrobiła?

— Nie miała okazji. Królowa, jak to królowa, przywykła do tego, że spełnia się bez sprzeciwu wszystkie jej życzenia. A zresztą Ewa nie miała żadnego znaku życia o tobie. Nie wiedziała, czy w ogóle żyjesz, czy nie.

— A jeśli królowa będzie obstawała przy swoich zamiarach?

— Ewa jest zdecydowana powiedzieć jutro przy ołtarzu, że nie zgadza się na małżeństwo z Furjesem.

— Niemożliwe!

— Na wszystko powie „nie”. Zapewne wywoła to nie lada zamieszanie. Królowa się pogniewa, a ona powróci do rodziców. A później... ty ją poślubisz.

— Jej rodzice nigdy się na to nie zgodzą.

— Zgodzą się. Ale teraz nie mówmy o tym, co będzie za cztery lata. Ewa przyjdzie tu około północy, a może i wcześniej. Prosiła, abys czekał na nią w pomarańczarni.

W ogrodzie z łatwością odnaleźli wyznaczone przez Ewę miejsce. Wewnątrz paliły się pochodnie. Trzech ogrodników zbierało sałatę i pory. Zaledwie przelotnie spojrzeli na dwóch młodzieńców myśląc, że to jacyś ciekawi goście.

Mekcsey rozejrzał się dokoła.

— Ja teraz pójde, a ty udawaj chorego albo pijanego. Połóż się gdzieś w kącie i czekaj na Ewę. Może i ja przyjdę razem z nią.

Gergely nie musiał udawać; czuł się odurzony. Może wino uderzyło mu do głowy? A może gniew? Zarówno głowa, jak i serce płonęły jakimś ogniem dzikim, od którego zaciskały się pięści.

Przemierzał oranżerię rzucając zaledwie przelotne spojrzenia na drzewa cytrynowe, figowce, palmy i kaktusy. Niespokojny coraz bardziej przyśpieszał kroku. Nagle wypadł z oranżerii. Naciągnął kołpak na oczy i kurczowo ściskając głowicę szabli pobiegł do pałacu.

— W którym pokoju znajdę państwa Ceceych? — dopytywał się na korytarzu.

Jeden z sług przebiegał właśnie obok z dzbankiem wody i zatrzymał się usłudźnie:

— To tu — wskazał na śnieżnobiałe drzwi. Na drzwiach, jak i na wszystkich innych, wisiała tablica, a na tablicy kredą wypisano nazwisko gościa.

Pan Cecey siedział w koszuli przy stole oświetlonym czterema woskowymi świecami. Pół twarzy zakrywała mu gęsta biała piana. Żona goliła go właśnie. Na stole leżała drewniana ręka.

Gergely nie ucałował ich rąk, jak to zwykł czynić, pokłonił się tylko lekko, dzielnie wytrzymując lodowaty wzrok obojga starych.

— Ojczy — zaczął Gergely i zamilkł. Wyczuł, że słowo „ojczy” nie jest tu na miejscu, i zaczął na nowo:

— Mości panie! Proszę mi wybaczyć moją obecność. Nie przyszedłem na wesele ani po to, aby przypomnieć waćpaństwu dawną obietnicę, kiedy to uratowałem Ewę z rąk Turków...

— Czego chcesz? — zachnął się stary.

— Chcę tylko zapytać, czy waćpaństwo wiedzą, że Ewa nie kocha tego...

— Nie twoja to rzecz! — huknął stary. — Czego się tak drzesz? Wynoś się stąd — a oczy jego ciskały błyskawice. Gergely splótł ramiona na piersi.

— Czy chcecie waćpaństwo unieszczęśliwić jedyną córkę?

— Jak śmiesz? Nie mam zamiaru tłumaczyć się wobec ciebie! Ty chamskie nasienie! — ryczał stary, piniąc się z oburzenia. — Wynoś mi się stąd — i chwycił leżącą na stole drewnianą rękę, aby cisnąć nią w Gergelya.

Pani Cecey jednak powstrzymała męża i zwracając się do Gergelya rzekła:

— Idź, synu stąd z Bogiem i nie stawaj na drodze jej szczęścia. Ty i Ewa nie znacie jeszcze życia i zdaje się wam, że się kochacie... ale widzisz... ten młody człowiek jest już porucznikiem...

— Ja też nim wkrótce będę.

— Ale on już jest. Sama królowa pragnie, aby się pobrali. Idź stąd, na miłość boską! Błagam, nie zakłócaj nam tego uroczystego dnia.

— Precz! — ryknął Cecey.

Gergely spojrzał błagalnie na panią Cecey.

— Furjes to tchórzliwy pieczeniarsz! Ewa kocha tylko mnie. Tylko ze mną może być szczęśliwa. Nie łamcie jej serca! Pozwólcie, aby zaczekała na mnie. Przysięgam, że będę jej godny.

Mówiąc to, ukląkł. Oczy mu zaszyły mgłą.

Stary Cecey zerwał się z krzesła:

— Wynoś się, bo cię wyrzucę!

Gergely podniósł się z ziemi. Potrząsnął głową jak ktoś, kogo ukąsiła osa.

— Mości panie — powiedział stanowczo i z przekorą — od tej chwili nie znam pana. A złoto, które matka moja okupiła własną krwią i które jest w posiadaniu pana...

— Zwróć mu natychmiast te trzysta piętnaście dukatów — ryknął Cecey na żonę — choćbyśmy suchy chleb mieli jeść! — Mówiąc to wyszarpnął zza pasa skórzaną sakiewkę i wysypał całą zawartość na stół.

Pani Cecey bez sprzeciwu, acz z widoczną niechęcią, odliczyła spadek — a raczej zdobycz Gergelya — na stół. Kiedy skończyła liczyć, Gergely schował złoto do kieszeni.

Trwał jeszcze przez chwilę w bezruchu. Był blady. Może rozważał, czy powinien podziękować za przechowanie pieniędzy... Wszak nie jemu przechowali, lecz córce. Milcząc pokłonił się i odszedł.

\*\*

Jak lunatyk włókł się wzdłuż korytarza. W jakichś drzwiach. zderzył się z brzuchatym jegomościem.

— Przepraszam.

Przystanął przy ścianie, aby ustąpić z drogi dwóm zbliżającym się znakomitościom. Wzrok jego padł na przeciwległe drzwi z nazwiskiem Mekksey na tabliczce.

Otworzył drzwi. Pokój był pusty. Na stole paliły się świece. Gergely rzucił się na łóżko, z oczu potokiem popłynęły mu łzy. Dlaczego płakał? Sam nie wiedział. Kieszenie miał wypchane złotem. W jednej godzinie stał się wolny i bogaty. A jednak czuł się osamotniony i zawiedziony. Pogarda pana Ceceyego była nie do zniesienia!

— Ty, bezlitosny starcze, nawet serce masz z drewna!

Wesołe dźwięki trąby wstrząsnęły ścianami pałacu. Znak to, że goście się zbierają na ucztę.

Na korytarzu powstał ruch. Drzwi otwierały się i zatrzaśkiwały. Po marmurowych płytach stukwały damskie pantofelki i pobrzękiwały ostrogi. Rozlegały się słowa przywitania:

— Patrzcie, i ty jesteś?

— Witaj, rad jestem, że cię widzę.

Jakiś krzykliwy głos zawołał: „Amelia”.

Może była to papuga?

Potem ucichło wszystko i w tej ciszy nagle uchylily się drzwi pokoju.

— Mekksey — rozległ się szept kobiety.

Gergely zerwał się na równe nogi.

Przed nim stała Ewa w różowej jedwabnej sukience.

Krótki cichy krzyk i dwoje młodych ludzi padło sobie w objęcia.

— Ewa! Ewunia!

— Gergely!

— Pójdiesz ze mną, Ewa?

— Choćby na koniec świata, Gergely...

\*\*

Wspaniale zastawiony stół obsiadło z siedemdziesiąt osób, a blask stuświecowego żyrandola oświetlał zebranych. Połowa obecnych to dworskie znakomitości, reszta zaś — zaproszeni przez pana młodego goście, rodzina i krewni.

Na honorowym miejscu siedziała królowa ze swoim synkiem. Oboje w zielonym aksamicie. Za ich plecami na ścianie zawieszono wieńce, splecione w kształt koron. Po lewicy królowej frater György, u boku królewicza panna młoda, a obok niej miejsce zajęła matka — pani Cecey.



Naprzeciwko panny młodej siedział pan młody.

Z początku goście gawędzili z sobą zaledwie półszepsem. Po trzecim daniu frater György powstał i na cześć młodej pary wygłosił toast, w którym królowę nazwał szczęśliwą gwiazdą, pannę młodą — lilią, zaś narzeczonego — beniaminkiem losu. Kwiecistej mowy złotoustego z przyjemnością słuchali nawet jego wrogowie.

Dopiero gdy podano ciężkie wina, ożywił się nastrój.

— Czemu właściwie wieczór ten zwa „wieczorem płaczu”? — spytała swego sąsiada pewna młoda mężatka o figlarnych oczach.

— Bo panna młoda oplakuje swoje panieństwo.

— Przecież ona nie płacze! Bawi się i jest taka wesoła, jakby się cieszyła, że wreszcie nadszedł ostatni dzień stanu panieńskiego!

— Królowa zwolni ją zapewne z fraucymeru.

— Skądże znów! Dotąd była panną dworską, a teraz będzie damą dworu.

Wieczór miło upłynął bez śpiewów, ale ponieważ nawinał się jakiś włoski wędrowny pieśniarz, królowa zdecydowała się go zatrzymać na wesele i pozwoliła na próbny występ.

Był to przysadzisty, krótkoszyi, śniady człowiek w niebiesko-żółtym odzieniu, z nieodłączną gitarą w ręku.

Głos miał dobry, śpiewał jednak zbyt głośno: „Sono orfanella e vendo i fiori”.

Podczas śpiewu panna młoda nagle zwróciła się do matki z rozmarzoną twarzą:

— Mamo, co by to było, gdybym ja dziś umarła?

Pani Cecey zatrwożona spojrzała na córkę, ale widząc ją nadal uśmiechniętą, odrzekła karcąco:

— Co za pomysł, córuchno?

— Ale powiedz, mammo...

— Nie chcę nawet myśleć o tym!

— Bardzo byś płakała?

— Odebrałabym sobie życie... razem z ojcem.

— A gdybym zmartwychwstała za miesiąc czy za dwa i znowu zjawiała się w naszym domu w Budzie? Pani Cecey zdumiona spoglądała na córkę. Ewa uśmiechnięta ciągnęła dalej:

— I wtedy może pożałowałibyście w grobie, że tak nieopatrznie śpieszyliście za mną na tamten świat.

Z tymi słowy wstała. Podeszła do królowej i coś jej szepnęła na ucho.

Królowa uśmiechając się skinęła głową, a Ewa opuściła salę.

Uwagę gości przykuwał śpiewak. Jego dźwięczny i czysty baryton wywołał powszechny zachwyty.

Na życzenie królowej śpiewak przeszło pół godziny zabawiał zebranych gości.

Zniknięcie Ewy spostrzegła tylko matka i coraz bardziej zaniepokojona rozważała słowa córki.

\*\*

Gdy Włoch skończył śpiewać, odzwierny zawołał:

— Nowy pieśniarz. Bezimienny!

Oczy wszystkich z oczekiwaniem skierowały się na drzwi. Na progu pojawił się smukły piętnastoletni chłopiec. Przyodziały był w atlasowy strój barwy czereśni, sięgający zaledwie do połowy uu. U boku szabelka ze złocistą głowicą. Zbliżył się z pochyloną głową. Długie włosy zasłaniały twarz. Przed królową osunął się na kolana. Potem podniósł się i odrzucił włosy do tyłu.

Goście osłupieli: śpiewakiem była sama panna młoda.

Jeden z paziów królowej kroczył za nią z harfą, którą na skinienie ręki ustawił na środku sali. Zwinne paluszki panny młodej przebiegły po strunach i zaczęła śpiewać.

Z uwagi na królową rozpoczęła od polskiej piosenki, której nauczyła się od niej. Słuchano ją z zapartym oddechem. Głos miała piękny, srebrzysty.

Potem nastąpiły na przemian węgierskie, słowackie, włoskie, francuskie, chorwackie i serbskie piosenki, a każdą goście przyjmowali gorącymi oklaskami. I włoski śpiewak wraz z nimi.

— To istna diablica — ozwał się siwowłosy sąsiad Mekkseyego, znakomitość dworska — o ile ją znam, to jeszcze nam zatańczy.

— Czy ona zawsze taka wesoła?

— Zawsze. Bez tej dziewczyny królowa już by się dawno zamartwiła na śmierć.

— Wobec tego ten... Furjes wygrał los na loterii.

Siwowłosy dostojnik wzruszył ramionami.

— To niedorajda, maminsynek. Sądzę, że nawet na wojnę ona pójdzie się bić zamiast niego. Boć ona nawet szablą niezgorzej wywija.

— Czyżby?

— Latem pokonała szermierzy włoskich. A jak strzela! A jak jeździ konno! Ognia w tej diablicy jest tyle, że starczyłoby na pół tuzina mężczyzn.

W ten sposób wychwalana panna młoda znowu podjęła piosenkę węgierską, której refren brzmiał:

Hej, rumaku, gdzie jesteś!

Wichrem mnie zabierz

Do kochanki mej!...

Piosenka ta znana była wszystkim obecnym, toteż ze zdumieniem usłyszeli z ust panny młodej słowa:

Hej, rumaku, gdzie jesteś!

Wichrem mnie zabierz

Do Gergelya mego!

Przy ostatniej zwrotce wzrok jej prześliznął się po biesiadnikach i zatrzymał się na Mekkseym.

Goście rozbawieni wybuchnęli śmiechem, w przeświadczeniu, że to jakaś dowcipna aluzja.

Mekksey jednak zadrżał. Kiedy panna młoda przy końcu drugiej zwrotki znów nań spojrzała, dopił wino i wymknął się z sali.

Zbiegł po schodach i zawołał w głąb stajni:

— Matyas! Matyas!

Żadnej odpowiedzi. Pobiegł na dziedziniec kuchenny, gdzie czeladź przy świetle pochodni raczyła się winem z dzbanów glinianych, z czapek, butów, rogów — co było pod ręką.

Z trudem odnalazł stajennego. Ale w jakim stanie!! Dopóki siedział, Zdawało się, że jest trzeźwy, lecz gdy stanął na nogi...

Część służby leżała już pod stołami i wzdłuż ściany. Tym, którzy zsunęli się pod stół, dano spokój, lecz tych, którzy runęli na ziemię za ławką, zawleczono na kupę.

Matyas powstał, a raczej tylko usiłował wstać na widok pana, ale czym prędzej usiadł z powrotem, czując, że za chwilę będzie leżał albo pod stołem, albo przy ścianie.

— Matyas! — wrzasnął Mekksey! — Żeby cię piorun trząś! Gdzie mój koń?

Matyas znowu usiłował się podnieść, ale głowa jego zgodnie z prawem ciężkości opadła na stół.

— Ano, wielmożny panie, tam... na swoim miejscu...

— Ale gdzie?

— Między końmi... — i starając się podnieść powieki, dodał: — A bo gdzie ma być koń, jak nie między końmi? Mekksey chwycił sługę za ramię:

— Mów, bo ci duszę wy trzęsę!

Ale wprowadzenie groźby w czyn nie odniosło skutku. Chłopak był upity do nieprzytomności. Mekksey pchnął go na kłębowisko pijanych, po czym wbiegł do stajni, by poszukać swojego konia.

Masztalerz był także pijany. Mekksey mógłby wyprowadzić wszystkie konie.

Przeszedł więc przez pogrążoną w mroku stajnię, wołając głośno:

— Musta! Musta!

— Na wołanie odpowiedziało rzenie z jednego kąta. Tam gniady chrupał spokojnie owies, a obok niego koń Matyasa. Przy pomocy na pół przytomnego stajennego Mekksey osiodłał oba konie i odjechał, nie zatrzymywany przez nikogo.

U rumuńskiego gospodarza Gergely czekał już na niego, wierzchowiec, osiodłany, też grzebał niecierpliwie przy płocie.

Noc była chłodna. Chmury zdawały się trwać w bezruchu. Księżyc jednak niczym przepołowiony srebrny talerz wolno przepływał z chmurki na chmurkę, oświetlając okolice bladym blaskiem.

— To ty, Gergely? Jestem. Jeśli dobrze zrozumiałem, tak przykazała twoja narzeczona.

— Dobrze rozumiałeś — odrzekł Gergely i w głosie jego zabrzmiała nuta wesołości. — Dziś w nocy uciekamy.

Po pół godzinie zaledwie ukazała się przed pałacem smukła zjawą, otulona w opończę. Otworzyła szybko drzwi i znikła.

Była to Ewa. Wymknęła się w tym samym stroju, w którym śpiewała.

5

Trakt wiodący do Drynapola pozornie był takim samym traktem tonącym w kurzu i wyboistym, jak trakt debreczyński albo droga do Gyóngyos. W istocie był zgoła inny. Trakt ten bowiem tak był zroszony łzami, że gdyby jakimś cudem przemieniły się w perły, to świat zyskałby nieprzebrane bogactwo! I śmiało można by je zwać perłami węgierskimi.

...Każdy zajazd mieszczący się na skraju miasta to istna mała wieża Babel. Goście mówią najróżniejszymi językami. Trudno im więc porozumiewać się z właścicielem zajazdu, zwłaszcza podróżnym

przyzwyczajonym do wygod, co to żądają osobnej izby dla siebie lub chociaż łóżka.

Zajazdy takie, zwane tam z turecka „karawan-serajami”, były wypisz-wymaluj podobne do siebie na całym obszarze wschodu: toporny budynek pod ciężkim dachem, przestronny dziedziniec otoczony murem, wewnątrz drugi mur niższy i grubszy od tamtego, którego górna powierzchnia służyła podróżnym za legowisko.

Murowane legowisko odpowiada potrzebom Turka. Tam może sobie uwarzyć wieczerzę, tam przywiązuje konia, tam też sypia, jeśli podróżuje z żonami i dziećmi lub w razie gdy deszcz pada. Przerzuca wtedy przez wyższy zewnętrzny mur matę albo płachtę, od dołu przymocowuje ją do kołka wbitego w niższy mur i ma dach nad głową gotowy. Turcy bardzo niechętnie rozstają się ze swoimi końmi. Lokują je tuż obok siebie. To nic, że koń może trącić łbem swojego gospodarza. Ten najwyżej da mu w pysk i spokojnie przewróci się na drugi bok z błogą świadomością, że nie ukradli mu konia. A więc tak się przedstawia karawan-seraj. Zapach siana, gnoju, cebuli i zgniłych owoców bynajmniej nie odstrasza strudzonych podróżnych.

Pewnego majowego wieczoru dwóch młodych tureckich jeźdźców stanęło w karawan-seraju w Drynapolu. Byli w strojach węgierskich: obcisłe niebieskie portki, niebieskie czamarki przepasane żółtą chustą, za pasem handzary, na ramionach szerokie peleryny z sierści wielbłądziej koloru rdzy, głowy okryte kapturami. Na pierwszy rzut oka widać było, że są to delowie, którzy tylko w czasie wojny służą pod sztandarem prawowiernych. W pokojowych czasach zajmują się rabunkiem. Węgierski strój tylko u nas uchodzi za strój narodowy. Turcy twierdzą, że to strój turecki. Oba narody są przecież wschodnie. Delowie to zazwyczaj bez wyjątku Turcy.

Nikt w karawan-seraju nie zwraca na nich uwagi, co najwyżej wóz ich budzi zainteresowanie — a może nawet nie wóz, lecz siedzący na wozie dwaj więźni w jasyr młodzieńcy i para ładnych koni.

Zarówno młody woźnica, który, nawiasem mówiąc także jest niewolnikiem, jak i dwaj młodzieńcy są albo Węgrami, albo Chorwatami. Twarze dwóch ostatnich i ich ręce świadczą o pańskim pochodzeniu. Widać bogaty łup wpadł im w ręce.

Na dziedzińcu jest ludno. Najróżnorodniejsze nacje: Turcy, Bułgarzy, Serbowie, Słowacy, kobiety i dzieci, kupcy i żołnierze kłębią się i hałasują. Trakt wiodący do Drynapola podobny jest do rzeki, do której

wpadają liczne dopływy. Nic dziwnego zatem, że panujący wieczorami i rano w karawan-seraju zamęt i chaos nasuwają obraz wieży Babel.

Słońce miało się ku zachodowi. Odbywało się właśnie pojenie koni i wielbłądów. Wszyscy śpieszyli się, by zapewnić sobie dogodne miejsce na murze, pokrywając je matą lub dywanem. A kto nie ma maty, ani dywanu, choć naręcze słomy podściela sobie, aby nie leżeć na gołym kamieniu.

Zatrzymawszy się na dziedzińcu, jeden z delich, zaledwie osiemnastoletni młodzieniec o śmiałym spojrzeniu, zawołał na gospodarza:

— Mejhanedzi!

Jakiś człowiek o kwadratowych kształtach pojawił się na ganku i znużonym głosem zapytał, czego gość sobie życzy.

— Masz jakiś pokój? Dobrze zapłacę.

Mejhanedzi potrząsnął głową:

— Od godziny zajęty.

— A kto zajął? Chętnie dam odstępnę.

— Temu trudno będzie zapłacić odstępnę, bo nie przyjmie. Pokój zajął sam aga Altin.

Rzekłszy to z szacunkiem wskazał głową ku gankowi, na którego kamiennej podłodze leżał mały dywanik, a na nim siedział z podwiniętymi nogami śniady Turek o ptasiej twarzy.

Ubiór Turka cechował wschodni przepych. Turban ozdabiały dwa strusie pióra. Obok niego stał sługa i nieustannie wachlował swego pana. Drugi zaś przygotowywał mu orzeźwiający napój. Na dziedzińcu krzątało się jeszcze ze dwudziestu ludzi w czerwono-niebieskich ubiorach, wyglądali na wojskowych. Byli to spahi, uzbrojeni w szerokie szable i łuki, najwierniejsi bojownicy prawdziwej wiary. Jeden z nich prał przy studni bieliznę agi, drugi zdejmował z wielbłąda posłanie agi — puszysty cenny dywan wełniany.

— No tak, śmieszne byłoby nawet prosić agę, aby odstąpił nam swój pokój.

Delowie zniechęceni wrócili do wozu. Woźnica raz-dwa wyprzągnął konie i zdjął niewolnikom kajdany. Napoił konie, po czym rozniecił ogień na murze, nastawił kocioł i jął warzyć wieczerzę.

Na twarzach dwóch młodych niewolników nie było widać co prawda smutku. Turcy odnosili się do nich z szacunkiem. Jedli ze wspólnego kociołka, pili z tego samego kubka. Niewolnicy muszą być niewątpliwie ze szlacheckiego rodu.

Adze także podano właśnie posiłek. Kucharz postawił na dywanie pilaw w srebrnej misie. Aga je oczywiście palcami. Posługiwanie się nożem i widelcem jest i zbyt ciche, i oznaką złego wychowania. Tylko psy niewierne, giaurowie, spożywają posiłki przy stole za pomocą jakichś tam narzędzi.

Po prawej stronie delich i ich niewolników posila się jakaś grecka rodzina, składająca się z dwóch mężczyzn, starej kobiety i dwojga dzieci. Wożą zapewne szafran, na co wskazują pożółkłe palce mężczyzn. Miejsce na lewo zajął jakiś jednooki, bosonogi derwisz. Jedyne jego odzienie to sięgająca kostek tkana z wielbłądziej sierści opończa, przepasana sznurem. Ze sznura zwisa różaniec. Głowę ma odkrytą. Długie, zmierzwiłone włosy zebrane są w tyle w koński ogon. W ręku trzyma długi kij, zakończony miedzianym półksiężycem. Opończę pokrywa szara powłoka kurzu. Derwisz przykucnąwszy na gołej ziemi wyjada z grubo wyciosanej drewnianej miseczki mięso z łożem. Miska przytroczone jest do pasa sznurem. Nie przerywając jedzenia z ukosa spogląda na posilające się obok towarzystwo.

— Czy jesteście wyznawcami proroka?

Derwisza spotkały niechętnie spojrzenia delich.

— Wierniejszymi niżli ty — odparł młodszy z delich, śniady młodzieniec o promiennych, czarnych jak węgiel oczach — bo wielu pęta się po ziemi derwiszów, co tylko brzuchem czczą proroka.

Derwisz wzruszył ramionami.

— Dlatego tylko zapytałem, bo razem z niewiernymi zasiadacie do jedzenia.

— Oni już też przyjęli prawdziwą wiarę, janczarze.

Derwisz osłupiałym wzrokiem spojrzał na mówiącego, potem odstawił miseczkę i wytarł tłuste palce o długą i rzadką brodę.

— A ty skąd mnie znasz?

Śniady deli uśmiechnął się:

— Ja znam cię jeszcze z tych czasów, kiedy nosiłeś broń padyszacha.

— Od tak dawna więc służysz w wojsku?

— Od pięciu lat.

— Nie pamiętam cię.

— Ale czemu porzuciłeś sztandar chwały?

Zanim derwisz zdołał odpowiedzieć na to pytanie, od strony ganku dobiegły tak niesamowite wrzaski, że konie stanęły dęba.

To aga się tak darł. Młodzieńcy z zaciekawieniem spojrzeli w jego stronę: co mu się stało, może go mordują? Ale nie. Aga siedzi i pije, tyle że twarz jego przybrała kolor buraczkowy.

— Czemu on tak krzyczy?

— Nie widzisz, że pije wino?

— Widzę, widzę. Pije przecież z bukłaka.

— Czy ty jesteś urodzonym muzułmaninem?

— Prawdę powiedziawszy, przyjacielu, urodziłem się jako Dalmatyńczyk. Dopiero pięć lat temu przyjąłem wiarę prawowiernych.

— Tak, to co innego, to już rozumiem — skinął głową derwisz. — W takim razie nie wiesz, że aga ryczy dlatego, żeby mu dusza uciekła z głowy w nogi, póki pije. Bo dusza mieszka w głowie, a kiedy umrzemy, nasza dusza żyć będzie dalej na tamtym świecie. A wiesz przecież, że prawowierni tam pokutują za spożywanie wina.

— A jeśli dusza ich nie jest grzeszna?

— Toteż aga myśli, że jego dusza zostanie bez grzechu, jeśli ją wypłoszy na chwilę. Ale po mojemu, na nic takie sztuczki. Sztagfir Allah! \* — mówiąc to, derwisz westchnął i po chwili prawił dalej: — Pytałeś mnie, czemu się rozstałem ze świętym sztandarem?

\*/ Sztagfir Allah (tur.) — Zachowaj Boże.

— No tak. Byłeś przecież dzielnym wojakiem, mógłbyś jeszcze służyć świętej sprawie. Jesteś jeszcze młody: masz najwyżej trzydzieści pięć lat.

Twarz derwisza rozjaśniło zadowolenie, ale zaraz potem znowu sposepniał. Machnął ręką.

— Co warta dzielność bez szczęścia... Dopóty byłem dzielny, dopóki miałem swój amulet, który dostałem od konającego starego bega na polu walki. Amulet ten ochraniał jakiegoś wielkiego bohatera, który walczył niegdyś u boku proroka. A dusza bohatera pomaga teraz w walce temu, kto ma jego amulet. Ale wpadłem w ręce wroga i jakiś ksiądz zabrał mi pierścionek. Póki miałem amulet przy sobie, ani kula, ani szabla nie miały się mojego ciała. A jak tylko straciłem klejnot, raz po razie zostałem raniony. Ojciec mój, potężny Jaja-Oglu Mohamed, wyrzekł się mnie. Moi agowie mnie znieawidzili. Mój



starszy brat, możny beg Arsian, stał się moim wrogiem. Moi własni towarzysze mnie okradali. Kilkakrotnie wpadłem w niewolę... Szczęście mnie opuściło — zakończył i głowa opadła mu na pierś. Wzrok śniadego delego padł na prawą dłoń derwisza. Wzdłuż wskazującego palca czerwieniła się długa szrama.

— Widzę, że byłeś ranny.

— Inszallah! \* \*/ Inszallah! (tur.) - Wola Boża!

Przez okrągły rok nawet nie mogłem nim ruszyć. Wreszcie jakiś święty derwisz mi poradził, abym trzy razy odbył pielgrzymkę do Mekki. I patrz, już po pierwszym razie rana się zagoiła.

— Wobec tego zostałeś derwiszem?

— Inszallah! Mam nadzieję, że moje szczęście jednak powróci do mnie. Myślę, że jak jeszcze dwa razy pójdę do Mekki, to już będę mógł wrócić do szeregów. Ale cóż? Bez amuletu to ryzykowne.

— Masz jeszcze nadzieję na odzyskanie swego amuletu?

— Jeśli pokutować będę tysiąc i jeden dzień, to nie wykluczone.

— Tysiąc i jeden dzień masz pokutować?

— Tak. Tysiąc i jeden dzień.

— Wędrujesz po meczetach?

— Nie. Tylko od Pecs do Mekki. I co dzień odmawiam różaniec i tysiąc i jeden raz wymawiam święte imię Allacha...

— Nie do wiary, że tak mądry człowiek jak ty...

— W obliczu Allacha nikt nie jest mądry. Jesteśmy nędznymi robakami.

W czasie rozmowy derwisz trzymał w palcach długi różaniec o dziewięćdziesięciu dziewięciu paciorkach. Teraz zabrał się do odmawiania modłów.

Woźnica sprzątnął resztki wieczerzy i wydostał z wozu dywany. Dwa rozłożył na murze, trzeci zaś przerzucił przez płachtę wozu. To było miejsce do spania wyznaczone dla najmłodszego z niewolników. Dyszel wozu oparto sztorcem o mur. Jeden z delich legł obok, podłożywszy siodło pod głowę. Miał zadanie czuwać, podczas gdy pozostali spali.

Blask księżycy zalewał karawan-seraj nieomal dziennym światłem. Można było widzieć, jak podróżni rozkładają się na murze i czynią przygotowania do nocnego odpoczynku. Wreszcie wszystko ucichło, tylko zapach koni i cebuli unosił się w powietrzu i jakiś żądny łupu nietoperz zataczał koła nad dziedzińcem.

Jakiś sługa z czerwonymi wyłogami przebiegł podwórze i stanął przed delim, szykującym się do nocnego spoczynku.

— Akszaminiz kajr deli \*. Aga cię prosi. \*/ Akszaminiz kajr deli (tur.)

— Dobry wieczór, deli.

Drugi deli podniósł się niespokojnie z posłania, widząc, że towarzysza bez słowa sprzeciwu spełnia życzenie agi. Powiódł za nim wzrokiem i przypasał szablę, leżącą u jego boku.

Aga siedział jeszcze na ganku. Już nie wrzeszczał; gapił się na księżyc z twarzą czerwoną jak burak.

Deli pokłonił się przed nim.

— Es-salam alek, aga efendi \*.

— U alekum es-salam warahmet allah wabarakatu/\*

\*/ Es-salam alek, aga efendi (tur.) — Pokój z tobą, panie oficerze.

U alekum es-salam warahmet allah wabarakatu (tur.) — I z tobą pokój oraz łaska i błogosławieństwo Boże.

Skąd przybywasz, synu?

— Z Budy, panie. Pasza już nas nie potrzebuje.

— Piękne przywiozłeś sobie konie... Może sprzedasz?

— Nie, panie.

Twarz agi wydłużyła się.

— Widziałeś moje konie?

— Nie, panie.

— Przyjrzyj im się jutro. Gdyby ci się któryś spodobał, może się zamienimy.

— Chętnie, panie. Masz jeszcze jakieś życzenie, panie?

— Możesz iść.

Aga spoglądał za delim, ściągając brwi.

\*\*

Spali już wszyscy. Aga także się udał do swojego pokoju. Przez cienkie, białe zasłony w oknach widać było, jak się układa do snu. Na dziedzińcu rozlegało się chrapanie ludzi i odgłosy chrupiących owies koni, a co pewien czas także stuk kopyt o ziemię. Wszystko to jednak nie przeszkadzało nikomu ze śpiących. Zdrożeni ludzie spali, jak gdyby leżeli w jedwabnej pościeli, w zacisznym pokoju.

Księżyc zwolna wspinał się po niebie, jak pęknięty na pół złoty talerz. Chwilami cień nietoperza rysował się na tle blasku.

Starszy wiekiem deli uniósł głowę i rozejrzał się. Młody niewolnik także się poruszył. Wszyscy trzej naradzali się szeptem.

— Czego aga chciał? — spytał po węgiersku starszy dęli.  
— Nasze konie wpadły mu w oko.  
— A co mu powiedziałaś?  
— Że ich nie sprzedam.  
— Chyba mu tak nie powiedziałaś? Turek nigdy nie wypowie słowa „nie” wobec starszego godnością.  
— A ja właśnie wypowiedziałem... Co mi...  
— No i na czym się skończyło?  
— Że może jutro zamienimy się końmi.  
Skrawek dywanu na wozie uniósł się. Błada twarz najmłodszego niewolnika pojawiła się w szparze.  
— Gergely...  
— Pst — ostrzegął ruchem dłoni jeden z delich. — Co, Ewunia? Wszystko w porządku. Śpij.  
— Czego aga chciał?  
— Pytał tylko o konie — odparł, musnąwszy wargami ciepłą jeszcze od snu twarzyczkę, która znikła uspokojona. Trzej młodzieńcy zamienili z sobą jeszcze kilka słów.  
— Nie mamy się czego obawiać — rzekł Gergely ufnie — skoro świt wyruszamy dalej, zanim aga się rozbudzi.  
— Ale ja jutro nie będę niewolnikiem — powiedział Janos Torok. — Teraz kolej na Mekkseyego. Już mi się znudziły kajdany. I dźwigać tyle złota też niełatwo. Zresztą może byśmy schowali złoto w wozie?  
— Dobrze, dobrze — uśmiechał się Gergely — zgłaszam się na ochotnika, jutro ja będę niewolnikiem, ale jak się przebrać? Teraz nie można, bo jeszcze aga obudzi się i zobaczy nas.  
— To może jutro, po drodze. Chyba diabeł ulokował tutaj tego agę.  
Mekksey potrząsnął głową:  
Tak. To nieszczęśliwy traf. Tacy wielcy panowie nie darują. Jak im byle nędzny deli odmówi czegoś. Gergely znacząco przyłożył palec do ust:  
— Ten derwisz rozumie po węgiersku.  
Derwisz leżał tuż obok, zwinięty w kłębek jak jeź.  
Nad ranem, kiedy słońce wystrzeliło pierwszą złotą strzałą ku niebu, aga pojawił się we drzwiach i głośnym ziewnięciem dał wyraz resztkom senności.  
— Bandsal — rzekł do bijącego przed nim pokłony sługi — gdzie są ci dwaj delowie? Wezwij ich tu!

Obok drzwi siedział w kucki derwisz. Na głos agi wstał.

— Pojechali, panie.

— Pojechali? — zachnął się aga.

— Tak, panie.

— Jak śmieli!

— Dlatego właśnie czekałem na ciebie, panie. Ci delowie nie mają uczciwych zamiarów.

— Skąd wiesz?

— Podśluchałem ich rozmowy w nocy.

— Co mówili?

— Gadali różnie. Ale najwięcej o tym, że niebezpiecznie jest spotkać człowieka twojego pokroju, panie. Oczy agi zabłyśły.

— Ja im pokażę! Zabierzemy im konie! Niewolników! Wóz! Wszystko!

Mówiąc podnosił głos przy każdym słowie. Ostatnie przeszło już w ryk.

— Pieniądze też mają — ciągnął dalej derwisz. — Jeden z niewolników skarżył się, że już sił nie ma tyle złota dźwigać. Myślę, że to nie prawowierni.

— Co ty mówisz? Złoto? Hej, spahi! Na konie! Za nimi! Przyprowadzić mi ich tutaj żywych albo umarłych. A przede wszystkim ich wóz!

Za chwilę dwudziestu dwóch spahi przemknęło przez bramę karawan-seraju.

Aga, rzuciwszy za nimi ostatnie spojrzenie, zwrócił się do derwisza.

— O czym jeszcze mówili?

— Nie dosłyszałem wszystkiego. Mówili szeptem. Jedno jest pewne: mówili po węgiersku, a poza tym jeden z niewolników jest kobietą.

— Kobieta? Nie widziałem jej.

— Przebrana była za mężczyznę, panie.

— Ładna?

— Ładna i młoda. Jadą w kierunku na Istambuł.

Oczy agi rozszerzyły się z chciwości.

— Dostaniesz swój udział z łupów — rzucił kierując kroki ku izbie.

— Ago — zawołał derwisz — ja byłem janczarem. Może byś mi pozwolił dosiąść konia?

— Dobrze! Mnie też każ okulbaczyć konia.

Na lekkich rumakach już po kwadransie dopędzili spahich. Aga z daleka wymachiwał ręką, żeby ani na chwilę nie wstrzymywali pościgu.

Na gościńcu unosiły się białe obłoki kurzu.

Nie minęły dwie godziny, kiedy triumfalne wrzaski oznajmiły adze, że ścigający dostrzegli wóz.

Spahi cwałowali po wierzchołku pagórka, wkrótce potem zniknęli z oczu agi na pochyłości drogi. Aga nie mógł się doczekać, kiedy i on osiągnie szczyt wzniesienia. Spiał konia ostrogami i pomknął jak strzała w błogim oczekiwaniu bogatego łupu. Za nim derwisz, jak kosmaty diabeł, smagał konia raz po raz i ścisnął jego boki bosymi piętami. Daremne wysiłki, wierzchowiec nawykły był do ostróg.

— Ja-hu! Dah-dah! — derwisz zaciął konia ze wszystkich sił. Jeśli to podejrzanе towarzystwo, wmawiał sobie, wpadnie w jego ręce, to byłoby nieomylnym znakiem, że wreszcie upragnione szczęście doń wraca. Zebrane w węzeł włosy rozplotły się i wyglądały jak rozwichrzony pędzel.

W pośpiechu nie zdążył już przypasać otrzymanej od agi szabli, dzierżył ją więc w ręku i poszturchiwał nią konia to z przodu, to z tyłu, wykrzykując:

— Dah-dah! Ja-hu!...

Dopadłszy szczytu aga stwierdził, że jakkolwiek ścigana gromadka znajduje się jeszcze w sporej odległości od prześladowców, jednakże dostrzegła już, co się święci.

Dwaj niewolnicy skoczyli na konie wydobywszy broń z półkoszkow. Woźnica zaś wyciągał jakieś przedmioty z wozu i rozdawał je jeźdźcom, którzy rzeczy te chowali w kulbakach. Potem woźnica wlaź pod wóz, spod którego po chwili wypełził biały dym.

Wówczas skoczył na konia i pogalopował za czterema jeźdźcami.

Aga nie posiadał się ze zdziwienia.

Cóż to za dziwni niewolnicy — krzyknął do derwisza — co nie chcą wolności!

— A czy nie mówiłem ci, panie, że to psy niewierne — ryknął derwisz w odpowiedzi.

Płomień zwolna ogarniał cały wóz.

Najważniejsze to wóz — pamiętali spahi słowa agi. Zatrzymali więc wystraszone konie i stanęli bezradni kołem.

— Gasić! — zawołał aga. — Rozbijcie wóz! — i dorzucił: — Wystarczy was trzech, a reszta niech pędzi za tymi parszywymi psami.

Kto ma zostać? I dlaczego podpalono wóz? Jak świat światem, nikt czegoś podobnego nie robił.

— No, co się gapicie! — wrzasnął zniecierpliwiony. — Nieroby przekłete...

Wtem oślepiający błysk i ziemię wstrząsnęła detonacja. Wybuch zniszczył i wóz, i ludzi. Jedyne rozczochrany derwisz, którego pęd powietrza odrzucił, stał ogłuszony wybuchem jak kot czarownika w kominie.

\*\*

— Co to było? — zawył aga leżący w pyle drogi, gdzie go zrzucił wierzchowiec.

Derwisz chętnie pośpieszyłby mu z pomocą, lecz i jego koń był wystraszony. Wspiął się na tylne nogi, wywrócił gałki oczu i puścił się szalonym biegiem przed siebie, podrzucając derwisza przeskakiwał rowy i krzewy, a z pyska toczyła mu się piana. Derwisz jednak mocno trzymał się siodła.

Aga tymczasem podźwignął się z ziemi, wypluł kurz, który nasypał się mu do ust, zaklął plugawie, dając w ten sposób upust swojej złości, i rozejrzał się dokoła. Miejsce wybuchu z konającymi końmi i spahi przypominało plac boju. Po wozie nie zostało nawet śladu. Nad drogą unosił się szarobury obłok — jedyna widoczna pozostałość.

Koń agi uciekł. Dokąd? Gdzie go oczy poniosły. Można pan o wroniej twarzy stał bezradny. Wreszcie ruszył kuśtykając ku swoim żołnierzom.

Leżeli oni pokotem jak ścięte zboże. Krew sączyła im się z nosów i z ust. Żaden nie dawał znaku życia. Aga usiadł na brzegu rowu i głupio patrzył przed siebie. Pewnie nasłuchiwał, dlaczego i gdzie tak biją dzwony? A przecież dokoła panowała cisza, tylko jemu tak dzwoniło w uszach.

Po przeszło dwóch godzinach derwisz, wróciwszy na swoim spienionym koniu, zastał go siedzącego jeszcze niczym odurzona kura. przywiązał drżącego ze zmęczenia wierzchowca do przydrożnego buka, sam zaś podbiegł do agi.

— Stało się coś, panie?

Aga potrząsnął głową:

— Nie.  
— Czy się nie potłukłeś?  
— Trochę, w zadek.  
— Niechaj będzie błogosławiony Allach, który łaskawie cię strzegł w chwilach tak niebezpiecznych.  
— Niechaj będzie błogosławiony — powtórzył aga machinalnie.  
Derwisz sapał przez czas jakiś, potem jał badać konie; a może udałoby się jeszcze jednego albo drugiego postawić na nogi? Płonne nadzieje! Te, które żyły jeszcze, były tak zmasakrowane, że chyba tylko wronom mogły posłużyć na ucztę. Wrócił tedy do agi.  
— Zdołasz się podnieść, panie? Albo pozwolisz mi, bym cię posadził na siodle? Aga pocierał obolałe łydki i kolana.  
— Pomszczę się! Pomszczę się krwawo! Ale skąd wziąć konie i żołnierzy? — mamrotał gapiąc się na derwisza.  
— Te łotry, niechaj będą przeklęte, podążały do Istambułu. Tam ich znajdziemy na pewno — pocieszał derwisz.  
Aga podźwignął się i wydając bolesne jęki, obmacywał swój zadek.  
— Chodź! Pomóż mi dosiąść konia i zawieź mnie z powrotem do zajazdu. Przyjmuję cię do służby. Jesteś niezłym jeźdźcom. Derwisz rzucił na agę spojrzenie pełne oburzenia:  
Do służby? — powtórzył, ale zaraz potem pokornie skłonił głowę.  
Wedle rozkazu, panie.  
— Jak ci na imię?  
— Jumurdzak.

6

Pięciu jeźdźców węgierskich było już daleko, gnało gościńcem wiodącym do Konstantynopola.  
Wybuch spłoszył także ich konie, tym jednak szybciej mknęły przed siebie. We wściekłym biegu wyprzedzały się wzajemnie, przechodnie już z daleka schodzili im z drogi, nie wiedząc, czy pędzą tak, bo są ścigani, czy też sami kogoś ścigają.  
Ale skąd Ewa Cecey wzięła się wśród nich?  
W ów uroczysty wieczór, kiedy odbyło się spotkanie z Gergelyem, utrwaliło się dawne uczucie. Gergely i Ewa nierozzerwalnie należą do siebie. Miłość jej wobec Gergelya nigdy nie była zachwiana, ale nie miała już sił oprzeć się namowom ze wszystkich stron. Cóż tam Gergely? Nie ma ani domu, ani kawałka ziemi. To żółtodziób, zależny

całkowicie od swojego opiekuna. Czemu nie napisze nigdy? Bo taki biedak nie ma nawet umyślnego! Ewa musiała się poddać losowi. Nagłe pojawienie się Gergelya zniweczyło jednak wszelkie inne wpływy.

— Głos mojego serca to głos boży — zaklinała się Ewa. — Jeśli mieć będziesz maleńką choćby chatkę, aby nie moknąć na deszczu, to wolę tam gnieździć się z tobą niż mieszkać w komnatach pałacowych z kimś innym.

Uciekli poprzez okryte wiecznym śniegiem góry Gyula i promienie rannego słońca przywitały ich już na brzegu rzeki Aranyos \*. Aranyos (węg.) — złocisty.

Las kraśniał właśnie bladozielonymi młodymi pędami. Gdzie spojrzeć, wszędzie kwitnące fiołki, w dolinie wszelkie odcienie żółtych kaczeńców, zawilce i całe mnóstwo różnych innych kwiatów radowały oczy. Powietrze nasycone było balsamem sosnowych lasów.

— Teraz już wiem, czemu potok ten nazywa się Aranyos — zawołał Gergely. — Patrz, Ewo, cały brzeg jakby wysypany złotym pyłem. Ale, Ewo, czemuś taka zamyślona? Czemu moja kochana taka przygnębiona?

Ewa uśmiechnęła się smutno:

— Gnębi mnie, że nie powinnam tak postąpić... jako panna.

Gergely spojrział na nią zdziwiony.

— Ależ, Ewo...

— Dziś cię uszczęśliwia, że usłuchałam głosu serca, ale może po latach, na starość, przypomnisz sobie, że nie z kościoła mnie wywiodłeś, lecz z komnaty biesiadnej.

Mekcsey jechał przodem z rumuńskim wieśniakiem, który się podjął przeprowadzić ich górską drogą.

— Ty, Gergelyu — ciągnęła dalej Ewa — nie jesteś jeszcze pełnoletni i nie ma takiego księdza, który by nam dał ślub.

Gergely spochmurniał.

— Czy nie byłem ci bratem, Ewo? Czy nie opiekuję się tobą jak siostrą rodzoną? Czy nie ufasz mi, że dopóki nie poprowadzę cię do ołtarza, będę ci tylko aniołem stróżem? Jeśli cię to uspokoi, obiecuję uroczyście, że nie tknę nawet palców twoich, nie pocałuję twoich ust, dopóki ksiądz nie pobłogosławi naszego związku. Bylebyś ty, moja kochana, była szczęśliwa.

Ewa uśmiechnęła się:



— Masz moją rękę, należy do ciebie. Ucałuj moje usta, należą do ciebie. — I jadąc obok niego wyciągnęła ku niemu rękę i podsunęła mu twarz.

— Ależ mnie wystraszyłaś — odetchnął głębiej Gergely. — Katechizm przemówił przez twoje usta. Ja przecież też jestem katolikiem, wiesz o tym, mój nauczyciel uczył mnie jednak poznawać Boga z gwiazd na niebie, a nie z katechizmu.

— Ksiądz Gabor?

— Tak. On był luteraninem, ale nie usiłował nigdy i nikogo nawrócić na wiarę Lutra. Często mawiał: „Prawdziwy Bóg to nie ten, którego widzimy na obrazach i o którym czytamy w starych pismach. To nie siwobrody stary rabin ani nie ten histeryczny Żyd, gromiący z wyżyn kłębiastych obłoków. O postaci prawdziwego Boga nie możemy mieć żadnego wyobrażenia. Prawdziwy Bóg mieszka w nas. Prawdziwy Bóg nie ma w sobie gniewu. Mądrość nie zna gniewu”. Jeśli uniosę twarz ku niebu i rzeknę:

Ocze w niebie, ja, Gergely, wybrałem na towarzyszkę mego życia Ewę, i ty tak samo powiesz, że wybrałaś na towarzysza swojego życia mnie, to wierzaj mi, Ewo: będziemy małżeństwem.

Ewa uszczęśliwiona spoglądała na Gergelya mówiącego głosem cichym, z głębokim wewnętrznym przekonaniem. O, na chlebie sierocym wcześniej dojrzeła dusza!

Gergely prawił dalej:

— Ceremoniał ślubny, Ewo, ma znaczenie tylko w oczach ludzi. To sprawa obyczaju. Ślub stanowi dokument dla świata, żeśmy się złączyli po namyśle zgodnie z pragnieniem naszych serc, a nie przypadkowo i chwilowo, jak zwierzęta. Nasze małżeństwo, Ewo, już w dzieciństwie zostało zawarte.

Mekcsey wjechał na pagórek, zieleniejący trawą. Przystanął, obrócił się i czekał, aż się przybliżą.

— Nie zaszkodzi nam trochę odpoczynku — powiedział.

— Dobrze — zgodził się Gergely. — Zatrzymajmy się. Widzę, że tam w dolinie jest woda. Nasz Rumun napoi konie. Zeskoczył z wierzchowca i pomógł Ewie zsiąść. Rozłożył płaszcz i Ewa położyła się, by odpocząć. Mekcsey rozsunał torbę i wy dostał z niej chleb i sól. Gergely ukląkł i ukroiwszy kromkę chleba chciał najpierw poczęstować Ewę. Rozmyślił się jednak, bo cofnął wyciągniętą już rękę i spojrzął na dziewczynę.

— Ewo, zanim przystąpimy do wspólnego spożywania chleba, może uświęcimy związek naszych serc przed obliczem Boga.

Ewa też uklękła. Nie wiedziała, co Gergely ma na myśli, wyczuwała jednak po jego głosie, że to chwila święta i niezwykle uroczysta. Wyciągnęła dłoń do Gergelya.

— Czy ja mam udzielić wam ślubu? — struchlał Mekksey.

— Nie ty, lecz Ten, który stworzył nasze serca.

Zdjął czapkę z głowy i wznosił oczy ku niebu.

— Ojciec nasz w niebiesiech! Jesteśmy w Twojej świątyni. Nie w gmachu z wieżami, zbudowanym przez ręce ludzkie, tylko pod kopułą Twojego nieba, wśród wspaniałych kolumn Twoich drzew. Twój oddech splywa na nas z lasu. I Twoje oczy spoglądają na nas z wysokości. Ta dziewczyna jest moją wybranką od najmłodszych lat, ją jedynie miłuje moje serce spośród wszystkich dziewcząt na tej matce ziemi. Kocham tylko ją. Kocham i będę ją kochał do grobowej deski i poza grobem nawet. Ludzka przemoc nie dozwoliła, abyśmy się pobrali w przyjętej i uświęconej tradycją formie. Pozwól, aby została moją żoną, i pobłogosław nam. Ewo, w obliczu Boga biorę cię za małżonkę.

Ewa ze łzami w oczach wyszeptała:

— A ja ciebie za męża — rzekłszy to przytuliła się do ramienia Gergelya.

Gergely uniósł trzy palce:

— Ślubuję, że nie opuszczę cię nigdy! Wytrwam przy tobie w biedzie i nędzy, do śmierci! Tak mi dopomóż Bóg!

— Amen! — rozległ się uroczyście donośny głos Mekkseyego.

Ewa także podniosła dłoń ku niebu.

— I ja ślubuję! Do śmierci. Tak mi dopomóż Bóg!

— Amen! — zakończył Mekksey wzruszającą chwilę.

Młoda para objęła się i wymieniła pocałunek z namaszczeniem, jakby czuła nad głową ręce Boga, udzielającego błogosławieństwa.

— Byłem już na niejednym ślubie — kręcił głową Mekksey, zabierając się do chleba — ale takiego jeszcze nie widziałem. Gdyby jaśnie pani otrzymała ślub w Gyalu, gdyby go celebrowało dziewięciu księży, toby też nie był bardziej uroczysty ani świętszy. Niech mnie kruki żywcem zjedzą, jeśli nie mówię prawdy.

Uśmiechnęli się i zasiedli do posiłku.

O zmierzchu stanęli w grodzie Hunyad. Jancsi już czekał z wieczerzą. Dzień w dzień oczekiwał ich przybycia to z obiadem, to z wieczerzą. Przy stole siedział także proboszcz parafii, schorowany starzec o zwisających wąsach, który — podobnie jak lipy — tu w zamkowej ciszy się zestarzał. Milcząc, z uśmiechem na ustach przysłuchiwał się dziejom ucieczki młodej pary.

— Poprosiłem wielebnego ojca — wyjaśnił później Jancsi Torók — aby wam dał ślub.

— To mamy już za sobą — oświadczył Gergely i oczy mu się śmiały.

— Jak to?

— Spełniliśmy sakrament małżeński w obliczu Boga.

— Gdzie? Kiedy?

— W lesie.

— W lesie?

Tak. Tak jak ongiś Adam i Ewa. A może ich małżeństwo było bezprawne?

Wielebny ksiądz spoglądał na nich zatrwożony.

— Per amorem...

— Że co? — obruszył się Mekksey. — Jeżeli Pan Bóg zechce dać im błogosławieństwo, może to czynić bez współudziału księży.

Wielebny potrząsnął głową.

— Może, ale nie wystawia dokumentu o zawartym ślubie.

Gergely wzruszył ramionami.

— My wiemy i bez dokumentu, że jesteśmy małżeństwem.

— To też prawda — skinął głową ksiądz — ale wasi wnukowie nie będą wiedzieli.

Ewa zarumieniła się. Gergely podrapał się w ucho. Ksiądz się zaśmiał.

— Dobrze, że tu siedzi ksiądz przy końcu stołu, prawda?

— Czy wielebny ksiądz zechciałby dać nam ślub?

— Chętnie.

— Nawet bez zgody rodziców?

— Nawet bez zgody rodziców. Ostatecznie Biblia nic nie wspomina o tym, że do małżeństwa konieczna jest zgoda rodziców. Chyba nie łączy was pokrewieństwo?

— Tylko duchowe — prawda, Ewo? Skoro tak, to może jednak poprosimy kochanego księdza o wyświadczenie nam tej przysługi, ażebyśmy dostali dokument.

— Ale to zaraz — nalegał Jancsi. — I tak musimy czekać na kapłona.

— Można i zaraz — zgodził się ksiądz.

Przeszli do kaplicy. Po kilku chwilach ceremonia ślubna była już dokonana. Ksiądz wpisał ich nazwiska do księgi metrykalnej. Świadkami byli Janos Tórók i Mekksey.

— Wyślę odpis do rodziców — rzekł ksiądz, wracając do stołu — a wy, moje dzieci, starajcie się uzyskać ich błogosławieństwo.

— Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy — odrzekła Ewa — ale to wymaga czasu. Co najmniej miesiąca albo i dwóch. A gdzie spędzimy te dwa miesiące? — zwróciła się do Gergelya.

— Ty, moja najdroższa, tu w Hunyad. Ja zaś...

— Mów otwarcie — przerwał Jancsi Tórók — ostatecznie nie powinno być tajemnicy między żoną a mężem. Myślę, i wielebny ksiądz jest tego samego zdania, że Ewa też powinna znać nasze plany. Bo w razie gdyby nas spotkało nieszczęście, to zawiadomiłaby naszą matkę o tym za dwa miesiące.

— Wobec tego, moja kochana, przedstawię ci szczerą prawdę.

Zanim usłyszałem o twoich zrękowinach, postanowiliśmy wyruszyć do Konstantynopola. My trzej ślubowaliśmy, iż wyzwolimy naszego ojca, pana Balinta, z niewoli tureckiej.

— Daj Boże, żeby nam się powiodło — westchnął Jancsi Tórók.

Panna młoda z powagą i w skupieniu spoglądała na Gergelya. Wysłuchawszy do końca jego słów, przechyliła głowę nieco na bok i jęła się żalić:

— Oj, oj, oj! To będzie waszmość \* miał nie lada kłopot ze mną. — Od chwili ślubu mówiła do męża „waszmość”. — Rada bym odpoczywała w tym pięknym zamku, ale czyż nie ślubowałam dzisiaj już dwa razy, że nigdy nie opuszczę waszmości?

\*/ Według starowęgierskiego zwyczaju żony mówią do swoich mężów w trzeciej osobie (przyp. tłum.).

— To prawda, ale...

— Nie ma żadnego ale. Czy nie na równi z wami dosiadam konia?

— Ta wyprawa, moja najdroższa, nie tylko na jeździe konnej polega. Nasze zadanie jest niebezpieczne.

— Ja się nie boję niczego. Umiem władać szablą. Nauczył mnie tej sztuki mistrz włoski. Z łuku umiem trafić zająca w biegu. I na strzelbie się znam, wstydu wam nie przyniosę.

— To perła, nie żona! — krzyknął pełen zachwytu Mekksey, podnosząc kielich. — Jesteś godny zazdrości, Gergely.

— Dobrze, dobrze — zasepił się Gergely — ale nie myślcie o niewygodach, jakie nas czekają. A niewiasty lubią spać w łózkach na koronkowej pościeli.

— W drodze nie będę niewiastą — odparła skwapliwie Ewa. — Przecież i tu przyjechałam w męskim przebraniu, mogę więc dalej jechać w takim samym stroju. Widzę, że waszmość już pożałował swego kroku. Ale jeszcze nic straconego. Proszę wielebnego ojca o rozwód, przecież mój mąż wystawia mnie na pośmiewisko. Zaraz pierwszego dnia chce mnie porzucić.

Ksiądz, mocno zaabsorbowany udkiem kapłona, odrzekł nie przerywając sobie:

— Kościół nie uznaje rozwodów.

Ale przecież nie umiesz po turecku — niepokoił się dalej Gergely.

— Nauczę się w drodze.

— Wszyscy jej chętnie pomożemy — wtrącił Jancsi. — To nawet nie tak trudny język, jakby się wydawało. Na przykład po turecku elma, a po węgiersku alma, benim to enyim, baba — papa, pabucz — papucs, szarampo — sorompó \*.

\*/ Alma, e n y i m... (węg.) — jabłko, mój, ojciec, papuść, szlaban. 226

— Szarampo — przerwała Ewa. — Patrzcie, nawet nie wiedziałam, że umiem po turecku.

Hajduk, który podawał do stołu, pochylił się do Mekkseyego:

— Przyszedł jakiś człowiek i prosi, żeby go zameldować. Powiada, że mam tylko powtórzyć, że on jest tutaj, to znaczy, że Matyas.

— Matyas? Jaki Matyas?

— Nic więcej nie mówił.

— To pan czy chłop?

— Jakiś tam ciura.

Mekksey wybuchnął śmiechem.

— To na pewno Matyi, niech go kule biją! Wpuść go, zobaczymy, czego chce.

Matyas alias Matyi wszedł, z twarzą czerwoną jak burak, mrugając nieśmiało ku Mekkseyemu.

— Jestem do usług pana porucznika.

— Widzę, że jesteś. A gdzie wczoraj wieczorem byłeś?

— I wczoraj wieczór prędko się zebrałem do kupy. Ale pan porucznik był łaskaw tak się śpieszyć, że nie zdążyłem go dopędzić.

— Ale przecież byłeś pijany jak kufa.

— Nie tak bardzo, proszę łaskawego pana.

— A jak się tu dostałeś? Konia ci przecież zabrałem.

Matyi podniósł ramiona i brwi:

— Było tam dość koni.

— Ukradłeś, szubrawcze jeden?

— Ja? Kraść? Nigdy, panie poruczniku, tylko kiedy jaśnie pan łaskawie odjechał, kazałem się posadzić na konia, bo sam nie dałbym rady. Czy to moja wina, że luzacy, co tam byli, wsadzili mnie na cudzego konia?

Rzekłszy to, tak niewinnie spojrzął na obecnych, że nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Matyas tym samym uzyskał całkowite rozgrzeszenie. O ucieczce w stanie nietrzeźwym Gergely słuchał z aprobatą.

— Skąd ty jesteś, Matyas? — spytał w końcu z uśmiechem.

— Z Keresztes, do usług — odrzekł chłopak.

— Gdzie, u licha, jest ten Keresztes?

Nie lada wrażenie wywołałoby, gdyby usłyszał w odpowiedzi: Oj, paniczu, dowiesz się jeszcze, oj dowiesz, gdzie leży ten Keresztes. Jako dojrzały i możny pan tam wpadniesz w zasadzkę turecką, tam cię zakują w kajdany. I te kajdany będziesz dźwigał aż do samej śmierci... Po trzech dniach wyruszyli w drogę. Matyas był woźnicą. Oni czworo na zmianę niewolnikami i delimi. Wóz służył Ewie za miejsce nocnego odpoczynku.

7

Co dymi tam w kotlinie okolonej skałami? Obozowisko? Wieś? Gniazdo rozbójników czy siedlisko trędowatych? Czy odprawia się stypa? A może wesele?

Nie. To nie obozowisko, nie wieś ani gniazdo rozbójników, ani siedlisko trędowatych, to wielki obóz cygański.

W cieniu skał, wśród cyprysów i drzew oliwkowych zakopcone i podarte namioty. Na polance rzępolą skrzypce i huczą bębny, dziewczęta tańczą.

Bynajmniej nie z okazji jakiegoś święta lub wesela. Taki to już zwyczaj u Cyganów. Dziewczęta tańczą, mężatki wróżą.

Część Cyganów kołem otacza tańczące. Nagusieńkie Cyganiątka wirują naśladowując dziewczęta. Nawet trzyletnie maleństwa, jak zakopcone aniołki, wirują na zielonej trawie i ruszają nóżkami w rytmie. Miast na tamburynie wybijają sobie takt na łupinie orzecha

kokosowego potrząsając drobnymi rączkami, na których zwisają pajęczyny jak welony.

Nagle jak spłoszone stadko zerwała się dzieciarnia i rzuciła się pędem ku jednej z dróg wylotowych lasu.

Pięciu naszych jeźdźców dotarło tu padając prawie ze zmęczenia. Prowadzili wierzchowce za kantary. Zgraja Cyganiątek świergocąc obstąpiła ich kołem, wyciągając dłonie i żebrząc o bakszysz.

— Gdzie wajda? — spytał Gergely po turecku. — Dostaniecie wszyscy bakszysz, ale dam tylko na ręce wajdy, a on rozda między was.

Mimo tego zapewnienia dziatwa dalej się tłoczyła wokół jeźdźców i ani myślała zawołać naczelnika plemienia.

Ewa już sięgała do kieszeni, by rzucić gromadzie kilka miedziaków, Gergely jednak powstrzymał ją ruchem ręki.

— Hajde! — krzyknął wyciągając z pochwy szablę. Dzieci rozpierchły się jak spłoszone wróbelki.

Ale i starsze pokolenie widać obleciał strach, gdyż na łeb, na szyję uciekali, jedni do namiotu, inni zaś chowali się w gęstwinie krzewów. Jedyne kobiety trwały na miejscu, gapiąc się wyczekująco na obcych.

— Nie bójcie się — uspokajał Gergely po turecku. — Nie stanie wam się żadna krzywda. Tylko dzieci chciałem przepłoszyć, aby tak nie hałasowały. Gdzie jest wasz wajda?

Wajda szedł już na spotkanie, odziany był w kaftan turecki, a na głowie miał wysoką czapkę perską. Na szyi złoty łańcuch, w garści trzymał symbol swojego dostojęstwa — kij. Zapomniał pewnie włożyć buty, a może wcale nie zamierzał się obuć. Przystanął w pewnej odległości, wpatrywał się w obcych strachliwie i pełen oczekiwania, niespokojnie ruszając białymi brwiami. Przylepiona do kaftana o srebrnych guzach rozgotowana fasola świadczyła wymownie o tym, że wajda jest zwolennikiem solidnego śniadania.

— Jakim językiem mówisz? — zapytał Gergely po turecku.

— To zależy od tego, w jakim mi się zadaje pytanie, jaśnie wielmożny paniczu... panie wojaku.

— Czemu się tak przeraził twój lud?

— Jakaś banda rozbójników greckich grasuje w okolicy. Podobno jest ich pięćdziesięciu. W ubiegłym tygodniu zamordowali jakiegoś kupca w tym lesie. Całe szczęście, że byli naoczni świadkowie, bo inaczej nas by podejrzewano o zbrodnię.

— My nie jesteśmy rozbójnikami, tylko zbłądziliśmy. Przybywamy z Albanii. Słyszeliśmy o tym morderstwie i właśnie dlatego zjechaliśmy z traktu. Daj nam przewodnika, który by nas zaprowadził do Stambułu i pozostał z nami przez kilka dni. Dobrze zapłacimy.

— Choćby i dziesięciu, wielmożny paniczu. Przecież to już niedaleko.

— My potrzebujemy tylko jednego, który zna drogę do stolicy, w razie czegoś umie się obejść z końmi i zna się trochę na rusznikarstwie. Niech weźmie ze sobą młotek i pilnik. Nie poskapimy wynagrodzenia.

Wajda spoglądał przed siebie zamyślony, po czym zwrócił się ku jednemu z zakopconych namiotów.

— Sarkozi!

Pięciu jeźdźców zadrżało nieznacznie na dźwięk nazwiska węgierskiego.

Z namiotu wykaraskał się około czterdziestopięcioletni Cygan. Miał na sobie spodnie z krowiej skóry i niebieską koszulę. Kolana słowackich spodni były wylatane czerwonym sukniem. Pod pachą trzymał węgierski dolman; zbliżając się do wajdy, przywdziewał go i zapinał na wszystkie guziki. Następnie strzepnął kurz ze spodni i przeczesał się dziesięcioma palcami. Na dziobatej twarzy wyraźnie malował się strach, kiedy pytająco spojrzął na wajdę.

— Odprowadzisz jaśnie wielmożnych państwa do miasta i zostaniesz tam na ich usługi. Młotek, obcegi i pilnik przygotujesz sobie na drogę. Gergely wydobyl z kieszeni talara.

— Daj to dzieciom, wajdo! I dziękuję za uprzejmość. Wajda schował talara do kieszeni.

— Ja im zaraz dam...

Na to dictum Cyganiątka uciekały co tchu.

— Co mam wziąć ze sobą? — dowiadywał się pokornie Sarkozi po turecku.

— Tylko to, co ci wajda powiedział, na wypadek gdyby koniowi oblużowała się podkova albo gdyby trzeba było naprawić krzesidło \* u strzelby. Przydałaby się też jakaś kojąca maść dla ludzi i koni.

\*/ Krzesidło - zamek u strzelby.

Wszystko będzie, panie — mówiąc to, zawrócił biegiem do namiotu.

Czy nie jesteście zmęczeni, jaśnie wielmożni państwo? — przymilał się wajda. — Pozwólcie do mnie, odpocznijcie po trudach podróży. A możecie głodni?



I ruszył, by wskazać drogę do swego namiotu czerwieniejącego u podnóża najwyższej skały.

Żona wajdy rozłożyła na trawie trzy dywaniki o jaskrawych barwach. Córka jej, z welonem na ramieniu, tak jak przed chwilą tańczyła, przybiegła pomagać matce.

— Mamy ser, jajka, ryż, masło i chleb — zachęcała kobieta w pokłonach. — Moglibyśmy nawet upiec kurczaka, jeśli zechcecie zaczekać, piękni wojacy.

— Zaczekamy — zgodził się skwapliwie Gergely — bo przyznam się, jeść nam się chce, a w drogę nie pilno.

Obstały ich kobiety napraszając się z wróżeniem. Jedna z nich, o obwisłych piersiach, nie pytając długo, przycupnęła brzęcząc pstrą fasolą na rzeszocie.

Gergely sięgnął do kieszeni:

— Rozdaj ten talar między nie — zwrócił się do wajdy. — Nie mamy ochoty na wróżby.

Wajda schował talara do kieszeni.

— Ja im zaraz rozdaj — to rzekłszy pogroził kobietom kijem. — Uciekajcie!

Goście wreszcie spokojnie zasiedli na murawie do obfitego posiłku, przygotowanego przez wajdową.

— Widzę, wajdo, że wesoło tu sobie żyjecie — podjął rozmowę Gergely pociągając z dzbanka z wodą. — Czy dziś jakieś święto albo może zawsze tak tańczą wasze dziewczęta?

— Jutro piątek — brzmiała odpowiedź wajdy — może trochę zarobią przy Słodkich Wodach.

Gergely starał się korzystać z każdego słowa swego rozmówcy.

— Nigdy jeszcze nie byliśmy w Konstantynopolu — rzekł. — Teraz musimy się tam dostać, bo mamy zamiar wstąpić do szeregów. Co to są Słodkie Wody?

— To miejsce zabaw Turków przy końcu zatoki Złotego Rogu. W piątki dopływają tam łódkami. I wtedy Cyganom zawsze kapnie coś niecoś. Dziewczyny tańczą, starsze baby wróżą. Mamy takie wróżki, że...

— I nie boicie się o wasze dziewczęta?

— Czemu mamy się bać?

— Aby im się krzywda nie stała. Wajda machnął ręką.

— Jaka krzywda?

— Niewola.

— Niewola? Przecież dobrze by na tym wyszły. I dla nas byłoby to korzystne. — Znowu machnął ręką. — Na co Turkom Cyganki? Oni wolą białe kobiety. Nasze dziewczęta bywają niekiedy w haremach. Dlatego dziś tańczą zespołowo, bo może jutro pozwolą im wejść do seraju.

— Jak się mówi woda po turecku? — zapytała Ewa cicho Gergelya.

— Su, kochanie.

Ewa weszła do namiotu i zwróciła się do córki wajdy:

— Su, su, aniołku.

Przez odsuniętą zasłonę namiotu ukazała się przestronna jaskinia. Ze skały sączyła się woda, a spadające krople z wiekiem wyżłobiły spore wgłębienie w głazie.

— Możesz się wypluskać, jak chcesz — pokazała Cyganka na migi, podając Ewie kwadratową, glinianą miskę i mydło.

Ewa spojrzała na Cyganę. Uchwyciła wzrok na wpół przymkniętych oczu, które zdawały się mówić: „Podobasz mi się, chłopcze!”

Ewa uśmiechnęła się i pogłaskała twarz dziewczyny. Była aksamitna i gorąca. Cyganka uchwyciła rękę i ucałowała, po czym wybiegła z namiotu.

Jadąc już w głąb lasu, Gergely zagabnął Cygana:

— Słuchaj, Sarkózi, czy miałeś już w życiu dziesięć dukatów? Oczy Cygana rozszerzyły się na dźwięk węgierskiej mowy.

— Miałem już i więcej, ale tylko we śnie, łaskawy panie.

— A na jawie?

— Na jawie miałem najwyżej dwa dukaty na raz. Jednego trzymałem przez dwa lata. Przeznaczony był dla dziecka. Potem kupiłem sobie konia za niego. Koń mi zdechł. Teraz ani konia, ani dukata.

Jeśli nam wiernie będziesz służył przez kilka dni, zarobisz dziesięć dukatów.

Twarcz Cygana rozpromieniła się radością.

Gergely ciągnął dalej:

— Czego tu szukasz w Turcji?

— Ja niczego nie szukam. Przywieźli mnie Turcy. Wciąż gadali, że takiemu jak ja siłaczowi tylko na wojnę iść.

— Ty przecież nie jesteś siłaczem.

— Nie chodziło im tylko o wzrost, całuję rączki. Tylko do dmuchania we flety miałem siły niezmierne. Bo ja jestem flecistą i ślusarzem,

całuję rączki, to i spokoju nie miałem od tych Turków. W końcu mnie złapali na dobre, przygnali tu i postawili do warsztatu. Ale im uciekłem.

— Jesteś żonaty?

— Jak kiedy. Teraz akurat nie jestem.

— Wobec tego mógłbyś wrócić z nami do kraju.

— Po co miałbym wracać, pytam pokornie? Mego pana i tak nie odnajdę. A Turcy, nie ma co gadać, znowu mnie złapią.

— Więc służyłeś u kogoś?

— No, chyba! U wielkiego pana służyłem, u największego patrioty węgierskiego. Pieczeń dostawałem co dzień. A jak grzecznie ze mną rozmawiał. Jeszcze dziś słyszę jego głos: no, kopciuchu, napraw mi tę strzelbę!

— A kto to był ten wielki pan?

— A któż mógł być, jak nie wielmożny pan Balint.

— Jaki pan Balint? — zapytał Jancsi Tórók.

— Jaki? A przecież że wielmożny pan Balint Torok.

Gergely roztropnie wyprzedził pytanie Jancsiego:

— Co o nim wiesz? — ruchem ręki nakazał Jancsiemu ostrożność.

Cygan wzruszył ramionami.

— Skąd ja mogę wiedzieć? Listów nie piszę i nie dostaję od niego.

— Ale może coś słyszałeś?

— Tyle tylko, że jest w niewoli. Ale czy żyje, czy zmarł, tego już nie wiem. Na pewno nie żyje, bobym coś słyszał o nim.

— Na którym zamku pracowałeś?

— W Szigetvar.

Młodzieńcy spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie mógł sobie przypomnieć Cygana. Co prawda wszyscy tylko krótko przebywali w Szigetvar, który był istnym gniazdem komarów. Pan Balint miał zresztą niezliczoną służbę: mogli nie znać wszystkich.

Gergely z uwagą przyglądał się twarzy Cygana i po chwili uśmiechnął się:

— Ja cię pamiętam. Tak. Teraz już sobie przypominam. Byłeś niewolnikiem Jumurdzaka i Dobo cię wyzwolił.

Cygan gapił się na Gergelya. Potem potrząsnął głową:

— Nie Dobo. Jakiś chłopczyk siedmioletni. Czy uwierzysz, jaśnie wielmożny panie, czy nie: siedmioletni chłopak. A może nawet tyle nie miał. Na imię mu było Gergely, jeszcze i to zapamiętałem sobie.

Niechaj Devla pobłogosławi tego malca. Przez niego dostał mi się wóz i konie. Właśnie dla niego przeznaczyłem ten dukat, co go tak długo trzymałem. Ale potem sam śmiałem się już z siebie, bo zrozumiałem, że to nie było dziecko, tylko anioł.

— A może ja jestem tym aniołem?

Cygan z niedowierzaniem zerknął na Gergelya.

— Nigdy jeszcze nie widziałem wąsatego anioła.

— A jednak to ja jestem — uśmiechnął się Gergely. — I nawet pamiętam, żeś się ożenił tegoż dnia. Twoja żona miała na imię Beske. Stało się to w lesie, w okolicy Peksu.

Oczy Cygana niemal wyszły z orbit.

— Ojoj, niechaj Devla dużo szczęścia da wielmożnemu paniczowi! I liczne potomstwo, całuję rączki, aby takich panów jak najwięcej. Oj, oj, co to za szczęśliwy dzień!...

Osunął się na kolana, podjął Gergelya za nogi i ucałował.

— No, teraz już wiem, żeśmy nie na próżno przyjechali — powiedział Gergely z głęboką wiarą.

— To dobry znak — stwierdził Mekksey.

— Jakaś szczęśliwa gwiazda kieruje nami — radował się Jancsi Torok.

Położyli się na trawie. Gergely przedstawił Cyganowi cel podróży. Radził się, w jaki sposób dostać się do pana Balinta.

Cygan słuchał opowieści to z promiennymi oczyma, to z wyrazem beznadziejnego zwątpienia na twarzy. Jancsiego pocałował w rękę, w końcu kiwnął głową w zamyśleniu:

— Dostać się, dostaniem do Stambułu. Może nawet do Siedmiu Wież. Ale trzeba pamiętać, że nie z drewnianą szablą pilnują naszego wielmożnego pana... — i kołysząc głową, jął biadolić: — Oj, oj, czemuż nie wiedziałem, że pan Balint jest tutaj! To bym choć przez okno krzyknął: Dzień dobry, całuję rączki, jeszcze dziś wywróżymy z kart, kiedy wielmożny pan odzyska wolność!... Oj, oj... to bym...

Gdy puszczone z wodzy bujna fantazja Cygana odbyła swoją wędrówkę, tok jego myśli znowu wrócił na właściwe tory.

— Do miasta dostaniemy się bez trudu — zapewniał Cygan — zwłaszcza dziś. Bo dziś obchodzą perskie święto żałoby, a wtedy jest tu tylu pielgrzymów, jak u nas w domu w dniu Świętej Trójcy. Ale do Siedmiu Wież nawet ptak nie przeleci.

— To jeszcze zobaczymy — gorączkował się Jancsi — bylebyśmy się wreszcie dostali do miasta: tam gdzie ptak nie dofrunie, mysz może się wśliznąć.

\*\*

Złoty Róg to szeroka jak Dunaj zatoka, przecinająca w kształcie rogu Konstantynopol i sięgająca daleko za miasto, do lasów.

Nasi podróżni łódką rybacką ze skraju lasu dopłynęli do stolicy. Na dziobie łódki siedział Gergely, którego strój turecki nie budził żadnych wątpliwości, pośrodku Mekksey także w przepisowych barwach tureckich, a pozostali chowali się na dnie łodzi.

W blasku zachodzącego słońca strzeliste wieże minaretów wznosiły się niby szczerozłote kolumny, a złociste kopuły, na kształt grzybów górując nad miastem, odbijały się w zwierciadle morza.

— To kraina marzeń — zachwycła się Ewa, siedząca u stóp Gergelya.

— Tak, to piękny widok dla oka — odparł Gergely. — Ale mnie widok ten przypomina baśniowy pałac, na zewnątrz wspaniały, a wewnątrz zamieszkały przez poczwary i dusze zaczarowane.

— Tak, to jest miasto z baśni! — zgodził się Mekksey.

Jedynie Jancsi siedział pogrążony w milczącym smutku.

— Co to za las pomiędzy budynkami na zboczu góry? — zapytał Cygana, gdy wśród tych wszystkich wspaniałości spostrzegł ciemniejący w dali las. — Wydaje mi się, że to same jodły. Ale niższe i ciemniejsze niż u nas.

— To nie jodły, jaśnie paniczu, tylko cyprysy. A to nie las, tylko cmentarz perańskich Turków. Oby już wszyscy tam spoczywali.

Jancsi przymknął oczy. Myślał o tym, że może i jego ojciec leży już pod którymś z cyprysów.

— To miasto ma podobne położenie jak Buda. Tylko tu dwa, a nawet trzy takie miasta jak Buda leżą obok siebie — zauważył Gergely.

— Nie myślałem, że okolica jest tak pagórkowata — wtrącił Mekksey.

— Zdawało mi się, że Konstantynopol leży na nizinie, jak Segedyn albo Debreczyn.

— Łatwo im było wybudować tak piękne miasto — zabrała głos Ewa.

— To miasto rozbójników. Powstało z bogactw zrabowanych. Kto wie, w którym z tych domów znajdują się teraz bezcenne meble naszej królowej?

— Chciałaś powiedzieć: króla Matyasa? — odparł Gergely, który nie lubił królowej Izabeli. Zresztą słuszna była jego uwaga, bo urządzenie zamku w Budzie nie należało do królowej, nie sprowadziła go z Polski.

Słońce już zachodziło, gdy dopłynęli do mostu, gdzie panował ożywiony ruch.

— Tłoczno będzie dziś na święcie żałoby — powiedział przewoźnik.

— Myśmy też na święto przyjechali — odparł Gergely.

Jancsi zatrząsł się. Ze zbielełą twarzą spoglądał na kłębiący się tłum, który przez most podążał do Istambułu.

\*\*

Warta na moście nie sprawdzała nikogo. Gergely z towarzyszami podróży został zagarnięty przez tłum, który parł naprzód pod górę przez trzy ulice. I nagle stanął jak spiętrzona kra na Cisie, gdy natrafia na przeszkodę. Zwarta masa rozstała się dopiero pod naporem żołnierzy, by dać wolną drogę pielgrzymom perskim.

Gergely objął Ewę silnym ramieniem. Dwóch pozostałych jego towarzyszy tłum przyparł do muru budynku, ale oczu nie spuszczała z siebie, aby się nie zgubić w tłoku.

Nagle na końcu ulicy zabłysnęło światło, jak gdyby słońce cały blask skoncentrowało na tym miejscu: za chwilę wyłoniła się z tłumu płonąca pochodnia — okazałej wielkości kosz o żelaznych obręczach. Tęgi Pers trzyma kosz na końcu drąga. Z kosza wysoko strzelają płomienie. Pali się polano grubości ramienia, zapewne nasycone naftą. W olśniewającym blasku kroczy z godnością jakichś dziesięciu śniadych mężczyzn w głębokiej żałobie. Krótko strzyżone, kędzierzawe brody i kształt podbródka świadczą o ich perskim pochodzeniu.

Tuż za nimi jakiś chłopczyk prowadzi białego konia. Grzbiet konia przykryty jest białym prześcieradłem. Na prześcieradle kulbaka. Na kulbace dwie skrzyżowane szable i dwa białe gołębie. Nogi gołębi przywiązane są do kulbaki.

Koń, gołębie, szable, biała płachta: wszystko skropione jest krwią.

Za koniem ciągnie grupa mężczyzn w żałobie, śpiewają żałosne litanie, składające się z dwóch słów: — „Hussein! Hassan"! Na końcu zaś każdej zwrotki rozlega się przeraźliwy okrzyk „hu!", podkreślony jeszcze jakimś przedziwnym odgłosem przypominającym grzmot.

Kiedy orszak się zbliżył, wyjaśniła się przyczyna dziwnego odgłosu. Persowie postępowali w dwurzędach z odsłoniętymi piersiami. Przywdziani w czarne koszule sięgające do pięt. Głowy mieli obwiązane czarnymi chustami, których rogi łopotały im z tyłu na karku. Posuwając się dostojnym krokiem, na słowa „Hussein-Hassan!” wywijali prawą ręką, zaś na okrzyk „hu!” pięścią bili się w pierś, w okolicę serca. Oto źródło tego przedziwnego odgłosu. Czerwonosine plamy na ich ciele świadczą o tym, że nie symbolicznie biją się w piersi, jak papiści.

Persów jest na oko ze trzystu. W zasadzie stoją oni na miejscu zwróci bokiem i tylko po każdym uderzeniu posuwają się o dwa-trzy kroki naprzód. Między dwoma rzędami Persów łopoczą trójkątne chorągwie o różnych barwach: czarne, żółte, czerwone, przeważa jednak kolor zielony.

Na drzewcach chorągwi i na czapkach perskich dzieci widnieje srebrna ręka. Przedstawia ona rękę męczennika tureckiego, Abbasa, która została ucięta za karę, gdyż tą ręką podał on wodę Husseinowi, wziętemu do niewoli po bitwie pod Kerbelą.

Śpiew rozbrzmiewa ze wzrastającą siłą:

— Has-san! Hus-sein! Has-san! Hu!

Pochodnie oświetlają nową grupę w czerni, otaczającą wielbłąda przykrytego zieloną płachtą. Na grzbiecie wielbłąda szałas z zielonych gałęzi, a w nim chłopaczek, którego twarz tylko widać, czasem rączkę, kiedy przez otwór sypie garstkę jakby trocin na przechodniów w żałobie.

Znowu rozlega się jakiś dziwny brzęk.

Tuż za nimi ciągnie następna grupa żałobna. Posuwają się także bokiem, a czarne koszule są rozwarte na plecach. W rękach trzymała łańcuch, wykuty z żelaznych ogni grubości palca. Łańcuch jest ciężki. Trzymają go oburącz. Przy końcu każdej zwrotki przerzucają go to przez lewe, to przez prawe ramię biczując obnażone plecy.

Gdy Ewa zobaczyła ich okrwawione i posiekane plecy, chwyciła Gergelya za ramię.

— Oj, Gergely, słabo mi!

— Trzymaj się, kochana, bo będzie jeszcze straszniej — odparł Gergely. — Niewolnik turecki opowiadał mi kiedyś o ich święcie żałoby. Myślałem, że to tylko bajka.

— Ale chyba nie zabijają dziecka?

— Oczywiście, że nie. Te dwa gołębie i dziecko to tylko symbol. O północy przetnie się sznurek krępujący łapki gołębi, które są symbolem Hassana i Husseina. Ich wniebowzięcie odbywa się przy pobożnych wrzaskach.

— A dziecko?

— Dziecko jest symbolem osieroconego ludu perskiego.

— A co jeszcze zobaczymy?

— Mężczyzn, którzy szablami siekają własne łby.

Istotnie, zbliżała się następna grupa: ociekająca krwią, odziana w sięgające kostek śnieżnobiałe koszule. Wszyscy mieli ogolone głowy. W prawej ręce handżar, lewą trzymali się pasa swoich poprzedników w pochodzie, aby się nie przewrócić skutkiem upływu krwi lub też by podeprzeć towarzysza, gdyby ten osłabł.

Oni też kroczą bokiem po obu stronach ulicy. Niektórzy chwieją się na nogach. Twarze wszystkich powleka śmiertelna bladość. Między nimi znajduje się chłopak około piętnastoletni. Pienia religijne płynące z ich warg przechodzą prawie w wycie.

Ci pławią się już we krwi. Czerwone strugi spływają im za uszami i po twarzy.

— Hassan! Hussein!

Opary krwi unoszą się w powietrzu.

Ewa przymknęła oczy.

— Jakie to straszne!

— Widzisz, kochanie, mówiłem, żebyś została w domu. To nie dla kobiety taka podróż. Przymknij oczy, najdroższa. Ewa potrząsnęła głową i otworzyła oczy.

— Właśnie, że będę patrzyła.

I choć wszystka krew uciekła z jej twarzy, śmiało patrzyła na ponury pochód.

\*\*

Gergely znosił widok ze spokojem. Od dzieciństwa przywykł patrzeć na krew. „Tylko to jest zastraszające — pomyślał — że ci ludzie dobrowolnie przelewają swoją krew. I z takimi ludźmi muszą Węgry walczyć od setek lat bez przerwy”.

Przez broczącą krwią i kotłującą się ciżbę Gergely spojrzał na drugą stronę ulicy. Zdarza się, że odczuwamy, gdy czyjeś oczy patrzą na nas uporczywie. I w tym wypadku tak było: wzrok Gergelya spotkał



dwóch mężczyzn. Twarz jednego miała cechy ormiańskie. Był to aga drynapolski, którego żołnierzy wyprawił do raju.

Drugim był Jumurdzak.

8

Rok temu latem miał miejsce następujący wypadek. Pewnego dnia rano Maylad czekał przed drzwiami Balinta Tóroka, który miał wyjść ze swej celi.

— Ważna nowina! W nocy dostaliśmy nowych towarzyszy niedoli.

— Węgrów?

— Nie wiem jeszcze. Słyszałem tylko, kiedy rano otwarto bramę, brzęk łańcuchów na dziedzińcu. Już nauczyłem się rozróżniać brzęk kajdan każdego z nas. Nawet leżąc w łóżku poznaję, kto przechodzi mimo drzwi.

— Ja też.

— Rano usłyszałem nieznaną brzęk łańcucha. Ale nie jednego człowieka. Było ich co najmniej dwóch, a może nawet trzech czy czterech. Szli przez całe podwórze, pobrzękując kajdanami. Miejmy nadzieję, że nie zaprowadzili ich do Tasz-czukuru!

Tasz-czukuru była więzienną pieczarą pod Siedmioma Wieżami, coś w rodzaju celi śmierci u podnóża Krwawej Wieży. Kto się tam dostał ten niedługo potem zapoznawał się z tajnikami regionu powyżej gwiaździstego nieba.

Balint Tórok i Maylad pogrążeni w myślach schodzili do ogrodu, gdzie zwykli siadywać. Tego dnia jednak nie zwracali uwagi na rozwijające się krzewy i na chmury ciągnące ku dalekiej ojczyźnie. Niespokojnie oczekiwali na ukazanie się nowych więźniów.

Oni dwaj nie nosili już kajdan. Niezmierna ilość złota, które Tórokowa szczerą ręką rozdawała baszom i sułtanowi, choć nie zdołała otworzyć bramy więziennej, to jednak skruszyła kajdany.

Zresztą obydwaj byli już ludźmi starszymi, a fortecy strzegła dwustupięćdziesięcioosobowa załoga wraz z rodzinami. Stąd jeszcze nigdy nikomu nie powiodła się ucieczka.

Odbywała się właśnie zmiana warty wewnętrznej. Na dziedzińcu pojawił się jakiś młody brzuchaty beg, aby wydać rozkaz odchodzącej warcie.

— Wy trzej pójście do młyna — wysapał z trudem, jakby odbył długi bieg, wskazując na trzech ludzi — do łupania kamieni. — Po

czym zwrócił się do pozostałych dwóch, niskiego wzrostu: — Macie wrócić za godzinę i sprzątać arsenał. A wy...

Balint Tórok nie mógł się doczekać końca odprawy. Zbliżył się do bega wolnym krokiem.

— Sabahingiz khair olsun efendi \*. Jak się spało?

— Sukur \*. Źle. Obudzono mnie przed świtem.

\*/ s a b a h i n g i z... (tur.) — Dzień dobry, begu.

\*/ sukur (tur.) — Dziękuję.

Przywieźli trzech nowych więźniów z Węgier.

— Może fratra?

— Nie, jakiegoś tam nachalnego pana. A może to wcale nie pan, tylko jakiś dziad, bo nawet koszuli porządnej nie ma. Piszą, że napadł na paszę w Budzie i ograbił go.

— Ograbił paszę na zamku w Budzie?

Tak. I dwóch jego synów też przywieźli.

— Jak się nazywa?

— Co prawda sam ich wpisywałem, ale nie pamiętam. Takie dziwne macie nazwiska, któż by mógł zapamiętać.

Z tymi słowy, skinąwszy lekko głową, skierował swe kroki ku budynkowi. Może chciał nadrobić przerwany odpoczynek. Pan Balint osunął się na ławkę obok Maylada.

— Napadł na paszę w Budzie? Kto to może być?

— Żebak? — zastanawiał się Maylad. — Gdyby był żebrakiem, toby go nie przywieźli tutaj.

— Wszystko jedno, kto to jest. Dam mu coś ze swoich rzeczy, aby miał co włożyć.

Do południa zgadywali, kogo to mogli przywieźć. Wyliczali tysiąc nazwisk węgierskich i siedmiogrodzkich, ale według ich zgodnej oceny żaden z tych panów nie porwałby się na wszechwładnego paszę. Przecież on nigdy nie pokazuje się sam, zawsze w otoczeniu licznej świty i gwardii przybocznej.

— Kto to może być?

W południe nowy więzień pojawił się wreszcie przy wspólnym stole, nakrytym po cieniściej stronie wewnętrznego dziedzińca.

Obaj z natężoną uwagą przypatrywali się nowoprzybyłemu, omal że oczy nie wyszły im z orbit. Nie. Nie znali tego niskiego wzrostem, barczystego mężczyzny o śniadej twarzy i ciemnych włosach, przyprószonych siwizną. Odziany był w mocno zniszczony węgierski

strój ze zgrzebnego płótna. U jego boku dwóch cokolwiek lepiej ubranych młodych Węgrów, lat około dwudziestu do dwudziestu pięciu. Sądząc z podobieństwa rysów musieli to być synowie starszego, jakkolwiek wzrostem przewyższali go o głowę.

Na nogi starego nałożono kajdany, które Balint Tórók nosił przez dwa lata.

Maylad pośpieszył na spotkanie nowoprzybyłego więźnia. Nie wiedział, kto to jest, widział tylko, że to Węgier. Pan Balint także wzruszony do głębi stał przy stole przypatrując się staremu.

Wzruszenie ścisnęło gardło Maylada, gdy obejmował nieznanego:

— Bracie...

Pan Balint stał przez chwilę milcząc, po czym niemal drżąc ze zdenerwowania wykrzyknął:

— Jak się nazywasz?

Skinąwszy głową stary szepnął ledwie dosłyszalnie:

— Laszló More.

Balint Tórók ochłonął, jak gdyby go oblano zimną wodą. Odwrócił się i usiadł bez słowa. I Maylad machinalnie cofnął się o kilka kroków. Obaj młodzieńcy stali smutno za ojcem.

— Siadajcie, panowie, to będzie wasz wspólny stół — zarządził beg Veli.

Balint Tórók wstał:

— Nie zgadzam się na wspólny stół — rzekłszy to zwrócił się do sługi, stojącego za jego plecami:

— Moje nakrycie zanieś do pokoju.

Maylad stał przez chwilę niezdecydowanie, po czym i on rzucił sługom:

— I moje też.

Beg Veli wzruszył tylko ramionami. Ciekawość jednak go korciła.

— Czemu oni cię tak nienawidzą?

More ponurym wzrokiem powiódł za oddalającymi się panami:

— Bo to Węgrzy.

— A ty nie Węgier? More machnął ręką.

— Właśnie dlatego. Węgrzy to dziwny naród. Dwóch może żyć ze sobą w zgodzie, ale gdy jest ich trzech, to się gryzą.

\*\*

Balint Tórók nie opuszczał swojego pokoju przez dwa tygodnie. Nie pokazywał się nawet na dziedzińcu. Maylad także nie. Słuchał

rozważań pana Balinta o nowej wierze, którą rozpowszechniali Jan Kalwin i Marcin Luter.

— Prawdziwsza jest wiara Chrystusa aniżeli ta zachwaszczona rzymska — przekonywał Balint Tórók.

W końcu Maylad przyjął nową wiarę. Napisał nawet do syna Gabora i zachęcał go, by i on się zastanowił.

Po dwóch tygodniach, kiedy obmierzły im już cztery ściany pokoju, pan Balint się odezwał:

— Może by tak zejść do ogrodu...

— Tam jest ten rozbójnik.

— A może go nie ma?

— A może jest?

— Niech sobie będzie. Nie musimy z nim rozmawiać. Mamy takie samo prawo spacerować, jak i on.

Maylad uśmiechnął się.

— Prawo. Więc i my mamy jakieś prawo?

Twarz pana Balinta się rozpozodziła.

— Pewnie, że mamy, do licha. Przez dwa lata nabyliśmy już prawa. A co on? Dopiero od dwóch tygodni jest tutaj.

Zeszli do ogrodu. Pod cienistym drzewem zastali już perskiego księcia, cierpiącego także od dwóch lat w więzieniu w towarzystwie drugiego księcia azjatyckiego, któremu smutek i nuda aż krzyczały z twarzy. Od lat grywali w szachy od rana do wieczora, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

Widok dwóch książąt pochylonych nad szachownicą był tak powszedni dla Balinta Tóróka i Maylada, jak marmurowa brama bielejąca pomiędzy Krwawą i Żółtą Wieżą lub obecność dostojnika z Kurdystanu, który za zniewagę sułtana nosił w owych dniach dwucetnarowe kajdany i wycieńczony dźwiganiem żeliwa siedział albo leżał w okratowanym lochu Krwawej Wieży wodząc tylko oczyma za spacerującymi po ogrodzie więźniami.

Tak więc obaj panowie nie zwróciliby uwagi na grających w szachy, gdyby za ich plecami nie siedział jakiś nieznaną jegomość, obserwując bacznie grę.

Kto to może być ten mały, stary Turek w żółtym kaftanie? I czemu ma głowę odkrytą? — Jeszcze nie widzieli Turka bez turbanu, chyba przy myciu albo goleniu.

Turek w żółtym kaftanie odwrócił się na odgłos kroków: był to More.

Widać służył mu pobyt, bo chorobliwa bladość ustąpiła z jego twarzy. Małe czarne oczy spoglądały bystro, ruchy jego stały się prawie że młodzieńcze. Krzyżując ręce na piersi podszedł do magnatów węgierskich.

— Czemu tak mnie nienawidzicie — wybuchnął, a w oczach jego zapaliły się błyskawice. — Czy jesteście lepsi ode mnie? Bogatsi? Tu nie ma bogactw. Jesteście może lepiej urodzeni? Mój rodowód jest co najmniej tak stary jak wasz.

— Jesteś rabusiem — odciął się Balint Tórok.

— A może wyście nie byli rabusiami? A w jaki sposób doszliście do majątku, jak nie przez rabunek? A nie zwalczyliście się wzajemnie? A czy nie chwiliście się jak łodyga na wietrze, między Janosem i Ferdynandem? Służyliście temu, kto więcej płacił.

Maylad chwycił ramię Tóroka.

— Chodźmy stąd.

— Nie pójdę! — zjeżył się Balint. — Nie cofam się ani przed psem, ani przed człowiekiem.

I usiadł na ławce, usiłując stłumić wzbierający gniew, gdyż spostrzegł zbliżającego się od strony bramy bega Velego, w otoczeniu mułłów i synów Mórego. Byli już także przebrani po turecku, ale bez turbanów, z gołymi głowami, jak ojciec.

Maylad usiadł obok Balinta Tóroka.

More stał przed nimi w rozkroku i podparłszy się pod boki prawil dalej:

— Ja brałem udział w walce przeciwko Gyórgyowi Dózsy. I pobiliśmy go. Ja biłem się pod Mohaczem, gdzie dwadzieścia cztery tysiące Węgrów oddało życie za ojczyznę.

— Ja też tam byłem, ale nie chwale się tym — warknął Maylad.

— Jeśliś doprawdy był w tej krwawej bitwie, to powinienesz wiedzieć, że ci nieliczni, co wtedy ocaleli, winni się cenić i kochać jak bracia.

— Ja nie będę bratem żadnemu zbójowi — huknął Maylad czerwony jak burak. — Dobrze wiem, w jakim celu zburzyliście zamek Palota.

— Może i wiesz. A tego nie wiesz, czemuście zburzyli Nana? Nie wiesz, że cały naród węgierski czołga się u nóg paszy w Budzie? Że ja, Laszló More, byłem jedynym, który miał odwagę krzyknąć mu w oczy: „Na pohybel, parszywy bisurmanie!” Przez lata walczyłem bez wytchnienia z Turkami na czele mojego szczupłego oddziału. To nie Ferdynand walczył ani sławetny naród węgierski, to ja, Laszló More,

rozgromiłem w zeszłym roku szeregi paszy ruszającego na Belgrad, ja, Laszló More, którego wy nazywacie rabusiem, rozbójnikiem.

Zasapał się, ale po chwili milczenia, wymachując rękami, znów ciągnął dalej:

— Gdybym tyle miał złota, co Istvan Maylad kiedyś! Albo tyle zamków, poddanych i stad, co Balint Tórok! Gdybym miał tyle wojska, co ten, który tylko dla parady nosił koronę na głowie! Wtedy Laszló More byłby czczony jako oswobodziciel narodu.

Ale że nie miałem ani złota, ani dostatecznej ilości wojska, ten parszywy poganin osaczył mnie w Nana i zburzył mi zamek.

Beg Veli nadszedł.

— Nie słyszałem, o co się sprzeczacie, ale zapewne słowa Selima są słuszne, bo on żyje bliżej źródła prawdy, niż wy, niewierni.

— Jakiego Selima? — zdumiał się Balint Tórok.

— Selim — odparł beg — którego przed paroma dniami niewierni nazywali Laszló More.

Balint Tórok, oparłszy się plecami o ławkę, wybuchnął gorzkim śmiechem:

— Cha, cha, cha! Selim! I ten prawi nam kazanie o patriotyzmie! Milcz, poganinie, jeśli ci życie miłe! — krzyknął rzuciwszy się na „Selima” z podniesioną pięścią.

Beg Veli skoczył między nich.

— Niewierny psie! — ryknął na Tóroka. — Zaraz każę cię zakuć w kajdany.

Tórok poderwał głowę jak rumak uderzony w chrapy. Oczy jego zionęły ogniem i Bóg wie, jakby się skończyło, gdyby Maylad nie odciągnął go stamtąd.

Beg powiódł za nimi wzrokiem pełnym pogardy. Zapewne ze względu na kieszeń zaprzestał rzucania obelg. Podniesionym głosem, by tamci słyszeli, zwrócił się do Laszló Mórego:

— Jego wysokość sułtan rad przyjął do wiadomości twoje wstąpienie w szeregi prawowiernych. Ten dostojnik naszej wiary ma za zadanie zapoznać cię ze światłością Proroka, którego imię niech będzie na wieki błogosławione.

— Wróćmy do siebie — zacharczał Tórok. — Wróćmy, drogi Mayladzie!

\*\*

W kilka zaledwie dni później synowie Mórego zostali wypuszczeni na wolność. Pełnić mieli jakiś zaszczytny urząd w Konstantynopolu. Stary More został w murach Siedmiu Wież.

Tórók i Maylad nigdy więcej nie zamienili z nim ani słowa, ale jak słyszeli, domagał się wolności.

Pewnego razu beg odpowiedział na powtarzające się nalegania:

— Znowu byłem w pałacu w twojej sprawie. Nadszedł już list z Węgier. Nie ma co mówić, ładnie cię opisał pasza w Budzie.

Między innymi pisze, że podczas oblężenia w Nana sypałeś złoto na oblegających Turków, byle uratować swoją skórę. — I kiwając głową, dodał z uśmiechem: — Ej, stary, chytry lis z ciebie.

\*\*

Twierdze Estergom i Szekesfejervar znajdowały się już wówczas w rękach tureckich. Sułtan osobiście dowodził armią, aby obalić ostatnie bastiony zadunajskie.

Zima już była, gdy wrócił do kraju.

Mieszkańcy Siedmiu Wież co tydzień otrzymywali wiadomości z przebiegu wojny. Dowiedzieli się również o powrocie sułtana i oczekiwali przybycia nowych więźniów. Niech im Pan Bóg nie ma tego za złe, ale wręcz cieszyli się, że wkrótce spotkają może znajomych lub przyjaciół w Siedmiu Wieżach i usłyszą nowiny z ojczyzny! A może nawet wiadomości od rodziny...

Pewnego przedpołudnia właśnie na ten temat rozmawiali ze sobą, gdy drzwi się nagle otworzyły i na progu stanął beg Veli czerwony od pośpiechu. Krzyżując ręce na piersi, złożył głęboki pokłon przed panem Balintem:

— Jego wysokość sułtan wzywa wielmożnego pana. Pan zechce łaskawie szybko przebrać się, padyszach już go oczekuje. Tórók zatrzęsł się.

— Jesteś wolny! — szepnął Maylad, gorączkowo wyciągając z szafy leżący tam od lat strój narodowy. Beg Veli wybiegł także, aby się przebrać.

— Wspomnij mu o mnie — błagał Maylad. — Przecież będziesz z nim rozmawiał. Poproś go, aby i mnie zwrócił wolność. O Boże, mój Boże!... Nie zapomnij o mnie...

— Nie zapomnę — wyszeptał Tórók, zapinając drżącą ręką kwiecisty atłasowy żupan, w którym wzięto go do niewoli. Nigdy go tu nie wkładał. Żywił jednak nadzieję, że powróci w nim do domu.

Ubolewał nad tym, że szabli nie pozwolono mu przypasać.

— Mniejsza o to, przypniesz ją, jak wrócisz — pocieszał Maylad, odprowadzając go po schodach.

— Tylko nie zapomnij o mnie.

Promieniejąc z radości obserwował, jak obaj z begiem wsiedli do karocy i otulili się w obszerne bundy tureckie. Widział, jak Beg troskliwie poprawia futro, by nogi pana Balinta nie marzły, a potem skromnie zajmuje miejsce po lewej stronie.

Karoca ruszyła, a za nią dwóch jeźdźców zbrojnych w dzidy. — Boże w niebiesiech, nie opuszczaj mnie — modlił się Tarók po drodze, która dłużyła się w nieskończoność.

Wreszcie skręcili w bramę seraju. Stamtąd już piechotą szli do pałacu przez dziedziniec janczarów.

Niezliczone schody z białego marmuru. Na każdym kroku straż przyboczna. Imponujące kolumny marmurowe, puszyste dywany, połociste lustra, stoliki, brokaty — wszędzie przepych wschodni. Pan Balint Tarók jednak nie widział nic prócz pleców kapudzi w białym kaftanie, który szedł przed nimi spiesznym krokiem, aż wreszcie przystanął w jednej z małych sal. Nie było w niej nic oprócz dywanu i poduszki na nim. Obok na kwadratowej marmurowej płycie okazała kruża miedziana, w której tlił się żar.

Balint Tórók nie pierwszy już raz widział to urządzenie, zwane mangalem, a służące do ogrzewania pomieszczeń w Turcji.

W sali nie było nikogo prócz trzech murzyńskich odźwiernych, stojących we drzwiach. Stali niby posągi z wielkimi halabardami ze srebra. Beg Veli, drżąc na całym ciełe, także przystanął we drzwiach.

Tórók spojrział w okno, za którym zielonkawo falowało morze. Dalej widać było kontury Skutari. Jakby z okna pałacu w Budzie patrzył na Peszt.

Stał tak przez kilka chwil, aż wreszcie ciemna murzyńska ręka odsunęła ciężkie kotary. W następnej chwili wszedł sułtan.

Przyszedł sam, bez świty, tylko jakiś szesnastoletni szczupły Murzynek wsunął się za jego plecami i stanął we drzwiach obok halabardnika.

Beg legł brzuchem na dywan. Balint Tórók stuknął obcasami i uklonił się.

Gdy podniósł głowę, sułtan stał już obok manganu i ogrzewał nad żarem chudą dłoń. Był w sięgającym kostek jedwabnym kaftanie



orzechowej barwy, obszytym gronostajem, tylko czerwone czubki papuci wyzierały spod kaftana. Na głowie sułtan miał biały turban. Twarz była wygolona, długie siwe wąsy zwisały niżej podbródka. Przez chwilę panowało milczenie. Po czym sułtan spojrział na bega:

— Sawul! (wyjdź!)

Beg wstał i w pokłonach cofał się do drzwi. Tam ponownie złożył głęboki pokłon i znikł jak cień.

— Dawno cię nie widziałem — podjął sułtan rozmowę — nic się nie zmieniłeś. Posiwiłeś tylko.

Tórók pomyślał: „I ty nie odmłodniałeś, Solimanie”. Sułtan jeszcze bardziej zeszczupłał, od kiedy go widział ostatni raz; wokół wielkich wylupiastych oczu skóra poorana była głębokimi zmarszczkami. Nos nawet jakby się wydłużył. Twarz miał grubo pokrytą czerwoną barwiczką.

Balint Tórók nic nie odpowiedział, czekał tylko ze ściśniętym sercem, co nastąpi.

Sułtan skrzyżował ręce na piersi.

— Sądzę, że wiesz, iż nie ma już Węgier!

Błada twarz Tóróka zbladła jeszcze bardziej. Jeśli nie ma już ojczyzny, to jakie zamiary ma sułtan względem niego?

— Zajęcie kilku owczarni, co jeszcze pozostały — ciągnął dalej sułtan — to tylko kwestia czasu. Wymusimy kapitulację jeszcze przed końcem roku. — Tu Balint Tórók odetchnął z ulgą. — Potrzebny mi jest rozsądny pasza w Budzie. Pasza, który ani dla Węgrów, ani dla mnie nie byłby obcy. Do którego i oni, i ja mielibyśmy zaufanie. Ty jesteś takim człowiekiem. Zwrócę ci cały majątek, złoto i włości. Wszystko.

Tórók spoglądał przed siebie. Wargi jego poruszały się. Ale że nic nie mówił, sułtan ciągnął dalej:

— Rozumiesz, com powiedział? Przecież umiesz po turecku.

— Ewet \*(tak) — Tórók skinął głową.

— Więc mianuję cię paszą w Budzie.

Tórók zadrżał. Twarz jednak pozostała nieruchoma. Wzrok tylko prześliznął się z sułtana na mangal, przez arabeski którego czerwienił się żar...

Sułtan umilkł na chwilę. Może oczekiwał, że Tórók według tureckiego zwyczaju padnie mu do nóg albo, jak to było przyjęte na Węgrzech, pocałuje go w rękę, lub choć wyszepcze kilka słów

podziękii. Ale Balint Tórok trwał nieruchomo. I jak gdyby zapomniał o obecności sułtana, także skrzyżował ręce.

Sułtan sposepniał. Kilka razy przemierzył pokój. Nagle zatrzymał się i spojrział na Toróka.

— Może nie jesteś zadowolony?

Tórok się ocknął. Bo gdzie błędziła jego dusza przez tę kilkuminutową przerwę? Uskrzydłona dusza obleciała piękne zamki, pola, lasy, uścisnęła żonę, ucałowała dzieci, rozkoszowała się tabunami koni, bydłem, owcami, objęła wzrokiem wszystkich poddanych, pędziła na ulubionym rumaku, oddychała słodkim powietrzem ziemi ojczystej...

Głos sułtana wyrwał Toróka ze snu.

— Wasza cesarska wysokość — odezwał się wzruszony do głębi — jeśli dobrze zrozumiałem twoje słowa, łaskawie wyznaczyłeś mnie na miejsce Verbóczyego.

— Nie. Verbóczy zmarł w roku twojego przybycia tu. Jego urząd pozostaje nie obsadzony. Ciebie chcę widzieć paszą. Będiesz najpotężniejszym paszą mojego imperium z nieograniczoną władzą.

Tórok osłupiał.

— Ale najjaśniejszy panie — rzekł w końcu — jestem Węgrem... pasza węgierski...

— Nie. Pasza turecki.

— Ja... turecki...

— Tak. Turecki pasza. Jak rzekłem, twoja ojczyzna, Węgry, przestała istnieć. Tym samym i Węgrów nie ma. Sądziłem, żeś mnie zrozumiał?

— Ja — Turkiem?

— Paszą tureckim.

Tórok schylił głowę. Westchnął rozdzierająco. Potem zamilkł. Wreszcie podniósł na sułtana oczy pełne bólu.

— Inaczej być nie może?

— Nie.

Tórok przymknął oczy. Oddychał ciężko.

— Padyszachu! — przemówił wreszcie. — Wiem, żeś nie zwykł słuchać szczerych, prostych słów... Ja nie umiem inaczej... w tym duchu się zestarzałem... Mówię zawsze to, co myślę...

— A co myślisz? — spytał sułtan lodowato.

Tórok przybladł, lecz odpowiedział z prostotą pełną godności:

— To, padyszachu, że choćby całe Węgry należały do ciebie, choćby wszyscy Węgrzy się sturczyli... ja... nie... nigdy...

9

Po powrocie beg Veli zatrwożony wysłuchał opowieści o przebiegu rozmowy.

— Wy, Węgrzy, jesteście narodem nieobliczalnym — kręcił głową.

— Głowę dam za to, że dzisiejszą noc spędzisz już w Krwawej Wieży.

Do północy wałęsał się po dziedzińcu, oczekując rozkazu sułtana. Na próżno. Ani w nocy, ani następnego dnia nie nadszedł rozkaz. Po tygodniu sędziwy szejk-ul-islam łaskawie zaszczycił swą wizytą Jedikulę. Przybył bez żadnej pompy, sam, jak jakiś przeciętny przedstawiciel wiary mahometańskiej. Beg Veli osłupiał z wrażenia.

— Tu jest jakiś znakomity giaur — rzekł wysoki dostojnik — nazywa się Balint Tórók.

— Ewet — beg zgiął się w pokłonach.

— Jak zawsze szlachetny i dobry padyszach, niechaj Allach darzy go długim życiem, postanowił mianować tego Węgra paszą węgierskiej prowincji, ale ten niewierny pies odmówił przyjęcia tego zaszczytnego tytułu.

— Psie nasienie...

— Poprosiłem więc padyszacha, niechaj Allach darzy go długim życiem, aby mnie łaskawie pozwolił spotkać się z więźniem, może mi się uda nakierować go na właściwą drogę. Widzisz, synu, ja, stary, doświadczony człowiek...

— Jesteś mędrcom nad mędrkami, jesteś Salomonem naszych czasów, szejku...

— Tak. Uważam, że każdy węzeł można rozsupłać, jeśli się natrafi na właściwy koniec. Tu potrzebny spokój i mądrość. Może to mu właśnie zmiękczy serce, że ja osobiście odsłaniam przed jego oczyma światłość naszego Proroka. Pierwszy raz słuchać mnie będzie uważnie, później nawet sam nie poczuje, kiedy zakiełkuje pierwsze ziarenko prawdziwej wiary w jego sercu.

— Może być, bo ten Węgier to nawet dość mądry człowiek.

— Poza tym, synu, nawrócenie tego giaura sprawi wielką radość padyszachowi. Niechaj Allach darzy go długim życiem.

O godzinie ósmej Balint Tórók spał jeszcze w swej celi, kiedy beg otworzył drzwi i w pokłonach usunął się przed wielkim muftim, gdy ten pojawił się na progu.

Tórók, oparłszy się na łokciu, przetarł oczy na widok długobrodej biblijnej postaci. Nigdy jeszcze nie widział muftiego, jednakże czarny kaftan i biały turban nie pozostawiały żadnej wątpliwości, iż ma przed sobą duchownego.

— Zbudź się, panie! — zawołał beg. — Spotkał cię wielki zaszczyt. Jego dostojność szejk-ul-islam osobiście się fatygował, aby cię oświecić.

Mówiąc to zerwał ze ściany kilim i rozpostarł go na środku pokoju. Chciał jeszcze zdjąć kaftan, aby rozesać go na kilimie, lecz wielki mufti powstrzymał go ruchem ręki. Szejk usiadł z podwiniętymi nogami. Broda sięgała mu do pasa. Bystre stare oczy badawczo przypatrywały się Tórokowi. Wreszcie jał wertować grubą książkę wielkości dłoni, oprawną w pergamin. Był to Koran.

— Co to ma znaczyć? — zachnął się Tórók. — Przecież powiedziałem już sułtanowi bez ogródek, że nie zostanę Turkiem.

Beg milczał. Spojrzał na muftiego. Ten zaś miast odpowiedzieć przytknął Koran do serca i warg. Dopiero potem przystąpił do spełnienia swojego świętego posłannictwa.

— W imię litościwego i pełnego łaski Allacha. Abdul Kazem Mohamed syn Abdułaha, syna Abd el Motalleba, syna Abd Me-nafa, syna Kalebi, syna Morra, syna Lowa, syna Galeba...

Tórók spojrział nań tylko, przywdział żupan, potem usiadł na krześle naprzeciwko starego i czekał, co z tego wyniknie.

Stary niewzruszony mówił dalej:

— Syna Fera, syna Maleka, syna Modara, syna Kenana, syna Kaniza...

Tórók ziewnął.

Stary ciągnął dalej:

— Syna Eliasza, syna Modara, syna Moady...

Wyliczył jeszcze cały korowód imion, aż wreszcie powrócił do Mohameda i jego urodzenia.

Bega już nie było w pokoju. Wysunął się bezszelestnie jak cień, by powrócić do swoich obowiązków. Na korytarzu spotkał Maylada, który właśnie wstał i szedł obudzić Tóróka.

Beg zastąpił mu drogę.

— Nie przeszkadzaj mu — rzekł podnosząc dłoń ostrzegawczo mufti jest u niego. Nawraca go na prawdziwą wiarę.

— Na turecką?

— Tak.

I beg w podskokach zbiegł ze schodów.

Maylad patrzył za nim osłupiałym wzrokiem.

10

Perski żałobny pochód jeszcze nie dobiegł końca, kiedy Gergely ujął ramię Ewy i ruszył z nią z miejsca, na którym stali. Wmieszał się w tłum i zawołał na Cygana i Meksceyego:

— Chodźcie. Grozi nam niebezpieczeństwo.

Barczysty Mekscey bez trudu torował sobie drogę w stłoczonej ciżbie ludzkiej. Jumurdżak i aga, stojąc po przeciwnej stronie w niemniejszym ścisku nie mogli się przebić przez święty pochód. Wojsko pilnujące porządku nie pozwoliłoby na zakłócenie szyku pochodu. Zresztą handżary to groźna broń, zwłaszcza gdy kieruje nią fanatyzm religijny.

Wreszcie jakoś się wydostali ze zwartego tłumy i skręciwszy w ciemny zaułek, naradzali się w pośpiechu:

— Uciekajmy — zdecydował Gergely w końcu. — Spostrzegłem agę i Jumurdżaka. Może już nas ścigają!

Nie było czasu do stracenia. Rzucili się do ucieczki. Na przedzie Cygan, który nawet dobrze nie wiedział, czemu ucieka i przed kim. W ciemności potknął się o psy śpiące pokotem i przewrócił się. Jeden z nich zaskomlał, reszta rozpierzchła się przerażona.

Konstantynopol — trzeba wiedzieć — jest rajem dla psów. Tam podwórka wcale nie istnieją, a jeśli — to mieszczą się na dachach domów. Więc rude psy, przypominające lisy, setkami zalegają ulice. Żaden Turek nie tylko nie skrzywdzi psa, ale gdy zobaczy szczenią sukę w pobliżu swojego domu, przygotowuje dla niej legowisko pod bramą. Psy sprzątają i utrzymują w porządku ulice Konstantynopola. Z kwadratowych blaszanych śmietników Turcy co dzień wysypują śmieci pod bramę, a psy zjadają je. Zjadają wszystko oprócz żelaza i szkła. Są oswojone i radośnie merdają ogonami na najdrobniejszą oznakę życzliwości przechodniów.

Kiedy Cygan się przewrócił, całe towarzystwo zatrzymało się dysząc.

— Niech cię wszyscy diabli... Sarkozi! — zaśmiał się Gergely. — Co tak pędzisz?

— Co robić, kiedy ścigają? — Cygan sapiąc podźwignął się z ziemi.

— Tu już nikt cię nie ściga.

Na ulicy było cicho. Tylko z dali dobiegał pobożny śpiew Persów.

— Ja już mam dość uciekania — złościł się Mekksey — napastnik najwyżej nadzieje się na mój sztylet i basta!

— Stracili nasz trop — orzekł Gergely. — A teraz Sarkozi, przyjacielu, gdzie będziemy spać?

Cygan spojrzął w niebo.

— Zaraz wszędzie księżyc. Mam znajomego, który chętnie by nas przyjął. Ale do niego jeszcze spory szmat drogi. Mieszka za Jedikulą. Jancsi ożywił się.

— A czy Jedikula leży nam po drodze?

— Tak — odparł Cygan. — Stamtąd do karczmy to barani skok.

— Hm... A powiadasz, że zaraz zaświeci księżyc...

— Tak. Czy panicz nie widzi, że różowi się już tam na skraju nieba? Musimy się śpieszyć. Karczmarz jest Grekiem i ma konszachty ze złodziejami. Jakieś przebranie też znajdziemy u niego za dobrą zapłatą.

— A może by tak rozejrzeć się po Jedikule?

— Teraz, w nocy?

— Tak... Bardzo bym chciał...

— Móc to można... żeby nas tylko nie złapali...

Cygan ruszył przodem, ostrożnie wymijając pograżone we śnie psy. Na niebo wzeszedł księżyc, toteż Cygan przezornie trzymał się cienistej strony ulicy.

Ulice i domy pograżone były we śnie. Tylko ujadanie psów od czasu do czasu przerywało ciszę.

Promienie księżycyca oświetlały małe drewniane domki. Wszystkie jednakowe: jednopiętrowe o dwóch oknach osłoniętych kratą drewnianą. Były to okna haremów. Tylko gdzieniegdzie między ciągnącymi się w nieskończoność domkami stał jakiś murowany budynek.

Przy jednym z domów Cygan ruchem ręki nakazał ciszę. Przez nieoszlone okna doleciał ich płacz dziecka i głos męski. Po chwili zaś rozległ się gniewny krzyk kobiety:

— Sessini kes! Hunyadi gelijor \*(Przestań! Hunyadi idzie.) Hunyadim — pogromcą Turków — straszono tu dzieci. Dziecko umilkło. Nasi podróżnicy spieszenie ruszyli dalej. Jeszcze przed

północą zabłysła nagle przed ich oczami gładka tafla morza, pławiącego się w blasku księżyca. Cygan nastawił uszu.

— Musimy poszukać jakiejś łódki — oznajmił prawie szeptem — i objechać Jedikulę. Bo karczma jest po tamtej stronie.

— A więc Turcy i tutaj piją? — Gergely uśmiechnął się.

— W tamtej karczmie i Turcy piją — Cygan lekceważąco machnął ręką. — Mają osobny pokój dla siebie, tam nie wpuszczają nikogo innego.

Rozglądając się bacznie szedł po piaszczystym brzegu. Wreszcie znalazł obok pala łódkę do połowy wyciągniętą na brzeg. A może na skutek odpływu osiadła na lądzie?

Nagle jakiś cień kobiecej postaci wyłonił się z mroku i bezszelestnie posuwał się ku Cyganowi.

Cygan stropiony poderwał głowę.

— To ty, Cserhan?

Była to córka wajdy cygańskiego.

— Gdzie są ci delowie? — spytała zasapana.

Cygan wskazał na sznur domów, w cieniu których stali jego towarzysze podróży, pilnując, żeby Cygana nikt nie zaskoczył. Dziewczyna podbiegła i chwyciła ręce Ewy:

— Uważajcie! Grozi wam niebezpieczeństwo. Jakiś aga tropi was z dwudziestoma spahi.

Ewa spojrzała na Gergelya. Nie zrozumiała słów dziewczyny.

— Aga był u nas — ciągnęła dalej — zaraz po waszym odejściu. Przeszukali namioty. Płazowali szablą ojca, aby im wydał, gdzie jesteście. I w jaskini was szukali.

— A ty naprowadziłaś ich teraz na nasz trop?

— Skądże! Nie zrobiłabym tego choćby ze względu na Sarkóziego.

— Jesteś szczerą — uśmiechnął się Gergely. — Myśmy ich też już spotkali!

— Cóż z tego? Oni was wytropili! Uciekajcie! Sarkózi już pchnął łódkę na wodę.

— Siadajcie prędko.

— Ale księżyc oświecła morze — oponowała Cyganka.

— Nie szkodzi — odrzekł Gergely. — Nie znajdą tu więcej łódek. Będą musieli szukać ich gdzie indziej. Tymczasem my już będziemy daleko.

Księżyc oświetlał srebrzystą tafłę morza. Widoczne od wybrzeża cztery strzeliste wieże i otaczający je mur groźnie ciemniały w nocnym blasku.

Zaledwie dopadli łódki, kiedy od strony ulicy rozległ się łoskot i szczęk broni.

— Idą — stropiła się Cserhan.

Dwoje Cyganów ze sprawnością zab wskoczyło do łódki. Ale i pozostali podróżnicy nie ociągali się.

— Ciasno tu będzie — stwierdził Gergely, lecz głos jego zagłuszył ryk rozlegający się w ciemnej ulicy.

Mekcsey wyrwał z rąk Cygana wiosła i jednym szarpnięciem rozerwał rzemień, którym były związane.

— Siadać!

— Zepchnij łódkę! — krzyknął Gergely.

Mekcsey jednak stał spokojnie na rozkraczonych nogach i z podniesionym wiosłem czekał na Turka, który, wyprzedziwszy o jakieś sto metrów towarzyszy, rzucił się ku łódce.

— Chodź, derwiszu — ryknął Mekcsey wściekły — tylko prędko!

Jumurdzak stropił się. Tylko opuszczony handżar zabłysnął w jego ręku.

— No, prędzej! — zachęcał go Mekcsey. I jakby nie miał zamiaru zepchnąć łódki, rzucił się z wiosłem na Jumurdzaka.

Derwisz odwrócił się i wziął nogi za pas.

— Daj spokój, Mekcsey — zniecierpliwiał się Jancsi Torók — przecież nie damy rady tej czeredzie.

Mekcsey wolnym krokiem wrócił do łódki i silnym ruchem zepchnął ją na wodę.

Przez ten czas nadbiegli prześladowcy. Ale było już za późno. Wściekłe ich krzyki odprowadzały kołyszącą się na morzu łódkę.

Łódź, jak to przewidywał Gergely, istotnie była przeciążona. Krawędź zaledwie na szerokość dłoni wystawała z wody. Siedzieli spokojnie, by łódka nie kołysała się zbyt.

Spahi biegali po brzegu, szukając innej łódki.

— Kaikczi! Kaikczi! \*( Hej, przewoźniku!) — wołali.

Mekcsey zwrócił się do Cygana:

— Którędy?

Cygan przycupnięty na tyle łodzi tak dzwonił zębami, że ledwie mógł wykrztusić odpowiedź:



— O-o-objedźmy z-z-zamek, wielmożny panie żołnierzu.

— A co jest po drugiej stronie zamku?

— Ta-tam nic nie ma.

— A może las, pole?

— O-o-grody i k-krzewy.

Gergely szerokim, silnym ruchem zanurzył wiosło w wodzie.

Cyganka zajęczała:

— Oj, koniec z nami! Znaleźli łódkę!

Istotnie, jakaś łódź odbiła od brzegu. Siedziało w niej siedmiu Turków, ale mieli także tylko dwa wiosła.

Pozostali Turcy zapewne rozbiegli się w poszukiwaniu jeszcze innej łódki.

— Daj wiosła — rzekł Mekksey do Gergelya — ja jestem silniejszy.

— Ojej! Ojej! — rozpaczła Cyganka.

Milcząc wiosłowali ku wschodowi. Łódka Turków sunęła za nimi.

— Jeżeli nie będzie ich więcej — rzekł Mekksey — to ja dam im radę wiosłami, a wy też róbcie, co można.

— Tu trudno będzie walczyć — powiedział Gergely. — Jeśli nas dościgną, to obie łódki się przewrócą. Radzę ci wziąć kierunek na Skutari.

— Kto z was nie umie pływać?

— Ja, wielmożny panie. — Cygan trząsał się jak galareta.

— Gdyby się łódka wywróciła, to czepiaj się krawędzi.

— Nie, Mekksey — potrząsnął głową Gergely. — Staraj się dobrnąć na drugi brzeg, gdzie woda sięga tylko do pasa. Tam możemy złapać grunt pod nogami. Na wszelki wypadek mierz głębokość wiosłem.

— A potem?

— Mam tu dwa funty prochu w węzełku. Zwilżę i zapalę. Gdy się zbliżą, wrzucę im do łódki. Wtedy ty pierwszy wyskoczysz z łódki, po tobie ja, za mną Jancsi i Matyas. Wśród Turków powstanie popłoch, z łatwością rozprawimy się z nimi kolejno.

Z tymi słowy podał Cyganowi hubkę i krzesiwo.

— Masz, Sarkózi, krzesaj!

Mekksey bez sprzeciwu skręcił ku brzegom Azji. Znajdowali się jeszcze w sporej odległości. Na oko licząc jakąś godzinę wiosłowania. Wszyscy siedzieli w milczeniu. Mekksey i Matyas wiosłowali na zmianę. Od czasu do czasu zanurzali wiosła pionowo w wodę, ale gruntu nie było.

Turcy z wrzaskiem podążali za nimi.

— Perzevenk dinini sikeim! — ryczał jeden z nich, a głos jego brzmiał jak wystrzał armatni.

— Perzevenk batakdzi! — wrzasnął drugi o słabszych płucach, ale wścieklej.

— Perzevenk kenef oglu! Hersiz aga! Batakdzi aga — odkrzyknął Jancsi i zaśmiał się nawet.

Gergely zanurzył dłoń w morzu i na plecach Sarkoziego ugniótł z prochu ciemną masę grubości palca.

— A teraz, Ewo, trochę suchego do środka.

Ewa odkręciła korek kościanej otoczki i trochę suchego prochu wysypała w sam środek placka.

Gergely starannie złożył placek, tak aby się suchy proch nie rozsypał, masie nadał kształt kulisty i zawinał w chustkę, zostawiwszy szparę do zapalenia prochu.

— Brzeg! — krzyknął Mekksey, a przecież minęli zaledwie połowę cieśniny.

Wioślarze pracowali rzetelnie. Odległość od łodzi tureckiej prawie się nie zmniejszyła, ale odległość ta wynosiła zaledwie tyle, co rzut silnego ramienia.

— No, jak tam, Sarkózi, pali się hubka?

— Tak.

— Potrzyмай. A ty, Mekksey, teraz zwolnij trochę tempo. Skręć nieco w bok. Ale uważaj, by nie nastąpiło zderzenie z Turkami. Lepiej przepuścić ich bokiem.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

— Jak będziemy na dziesięć kroków od nich, Sarkózi ma się zsunąć do wody, trzymając się przodu łódki. Cyganka też. Ty i może Ewa także, ale dopiero w chwili, gdy ja już rzucę proch. Oni nie powinni się domyślić, że woda sięga tu tylko do pasa. Niech płyną!

Ściągnął różki węzła, nawet zębami zacieśnił i mówił dalej:

— Jak zaczną uciekać z płonącej łódki, ty, Mekksey, zostań na miejscu z wiosłem. Ja i Jancsi skoczmy do wody i będziemy siec Turków. A jak już powstanie zamęt między nimi, to ty, Matyas, staraj się pochwycić ich łódkę i walić tych, co się będą czepiali krawędzi.

— A ja? — spytał Cygan.

— Wy we troje macie pilnować, żeby się nasza łódka nie wywróciła.

— Pochylił się do ucha Ewy i szeptem dodał: — Ty, kochanie,

ześliznij się do wody po drugiej stronie łódki i zanurz się, aby cię proch nie osmalił. Potem łap za drugie wiosło i wal co sił każdego Turka, który by się zbliżył do ciebie. Wiosło jest bądź co bądź dłuższe od szabli.

Turcy spostrzegli, że odległość między łódkami maleje. Dzikie ich okrzyki wskazywały na to, że czuli się już panami sytuacji.

Gdy dwie łódki dzieliła odległość trzydziestu tylko kroków, Mekksey zanurzył wiosło.

— Woda sięga do pasa.

— Wobec tego stój — rzekł Gergely i wstał z ławki.

— Sarkózi, daj mi hubkę — po czym zwrócił się do Turków i zawołał: — Czego chcecie?

— Zaraz się dowiesz! — odpowiedzieli ponurym śmiechem.

Gergely podał Ewie hubkę i węzełek. Następnie wyjął z łódki deskę służącą za siedzenie.

Turcy chwycili za szable, a w zębach ściskali sztylety. Milczeli. Spod wiosła z pluskiem wysoko strzelała woda.

Łodzie zbliżały się. Gergely płasko rzucił deskę przed łódkę Turków. Bach! Wiosłujący Turek niespodzianie dostał w kark strumieniem wody, na chwilę przestał wiosłować i odwrócił się, by zobaczyć, co plusnęło.

Łódki niesione prądem zbliżały się. Wówczas Gergely przytknął hubkę do szpary pozostawionej w chustce, proch rozżarzył się trzeszcząc.

Gergely poczekał jeszcze chwilę i dobrze wymierzonym ruchem przerzucił ładunek do łódki Turków.

Fruwający smok ognisty wywołał nieopisany popłoch wśród Turków. W następnej chwili łódka przemieniła się w płomienistą fontannę.

— Ej wah! \*(Ojej!)

Łódka turecka wywróciła się. Pięciu Turków z pluskiem wpadło w morze.

— Naprzód! — krzyknął Gergely już w wodzie.

Oślepił go jednak blask wybuchu. Nic nie widział. Potrwało czas jakiś, zanim Gergely dostrzegł pierwszego Turka, walącego właśnie w łódkę Węgrów, która się zachybotwała. Mekksey runął do wody.

Gergely machnął szablą i poczuł, że ostrze natrafiło na kość.

— Bij, zabij! — zawołał.

Współtowarzysze także walczyli na ślepo. Kiedy odzyskali wzrok, zobaczyli Mekkseyego borykającego się zaciekle w wodzie z opasłym Turkiem. Gergely zamachnął się na Turka. „Ale ma twardą czaszkę” — pomyślał. Turek odwrócił się i tak wałnął Gergelya w ramię, że ten o mało nie upadł. Mekksey pośpieszył mu z pomocą, rzucił się na Turka, chwycił go za szyję i zanurzył mu głowę w wodzie. Trzymał go tak długo, aż woda przestała bulgotać...

11

Pewnego majowego popołudnia zjawilo się przed bramą Siedmiu Wież trzech młodych Włochów w żółtych aksamitnych strojach, w towarzystwie dwóch równie młodych Włosek w krótkich spódnicach. Jeden z młodzieńców miał w ręku kobzę, podobnie jak jedna z dziewcząt. Druga trzymała bębenek z dzwoneczkami.

Wartownik stał w cieniu bramy i drzemał, otwierając oczy tylko wtedy, gdy usłyszał ciężki tupot butów wojskowych. Dostrzegłszy obcych, wysunął dzidę:

— Stój!

— Jesteśmy śpiewakami z Italii, idziemy do komendanta twierdzy.

— Nie można.

— Ale my musimy...

— Nie można.

— Czemu nie?

— Bo się przenosi.

W cieniu muru siedziało w kucki sześciu żołnierzy. Jakaś stara Cyganka wróżyła im z ziarenek fasoli potrząsanych na rzeszocie. Jedna z dziewcząt, mniejsza, śmiało podeszła do Cyganki.

— Lalaka! Wartownik nie chce nas wpuścić. Poślij kogoś do bega Velego i każ mu powiedzieć, że mamy dla niego dary.

Wróżba dochodziła do decydującego momentu, gdyż Cyganka podzieliła fasolę na pięć równych kupek, oświadczając po namyśle:

— Tu jest twoja szczęśliwa gwiazda. Ale więcej ci nic nie powiem, póki nie pójdziesz do bega i nie zameldujesz, że Talianie czekają, aby mu wręczyć dary.

Twarz żołnierza płonęła już w oczekiwaniu dobrych nowin. Podrapał się w kark, wstał i szybko znikł w bramie.

Nie minęło dziesięć minut, a wrócił i ruchem ręki przywołał śpiewaków:

— Beg czeka na was.

Ruszył przed nimi. Prowadził ich przez mroczny, zionący chłodem korytarz, przez nasłoneczniony ogród, w którym zieleniała bujna sałata.

Wojak wyrwał główkę sałaty i odrywając liść po liściu, ze smakiem zajadał. Poczęstował nawet dziewczyny.

Cyganka wzięła liść i z kolei poczęstowała swoją towarzyszkę.

— Dziękuję ci, Cserhan, ja tego nie lubię.

— Ale spróbuj! Zobaczysz, jakie smaczne.

— Wiem, ale my jadamy sałatę inaczej.

— Jak? Z solą?

— Z solą i pieczonym kurczakiem.

Jeden z Włochów tłumaczył ich rozmowę, a że dziewczęta bez przerwy gawędziły, wyższa wzrostem ciągle zwracała się do niego:

— Gergely, co mówi Cserhan?

Ogród otaczały z dwóch stron wysokie mury. Forteca miała podwójny mur obronny. Nawet dwie wieże pośrodku opasane były osobnym murem.

— Wieże też mają podwójne mury — wyjaśniał Gergelyowi Sarkózi.

— Znajomy wartownik opowiadał mi kiedyś w karczmie, że wieże są napchane złotem i srebrem. On wie, bo pewnego razu tam sprzątał i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza.

— Dlatego wieże tak obstawili wojskiem — westchnął Jancsi zasmucony. Dobry obserwator dostrzegłby u niego oznaki zdenerwowania. Co chwila rozglądał się i nasłuchiwał w napięciu, blednąc i rumieniając się na przemian.

Doszli do kwatery bega. Nie było zresztą w pobliżu innego budynku. Co pięćdziesiąt metrów stała olbrzymia armata. Obok niej sterta zardzewiałych kul wielkości średniego arbuza.

Dziedziniec budynku zawałony był skrzyniami okutymi żelazem. Między skrzyniami czerwieniły się części płóciennego namiotu.

Z piętnastu żołnierzy krzątało się przy skrzyniach, układając w nich broń i dywany. Beg przechadzał się gryząc listki zielonej sałaty, niby koza, też bez pieczonego kurczaka.

Kiwnięciem głowy przywołał do siebie Włochów i usiadłszy koło wielkiej armaty ani myślał przerwać skromnego posiłku.

— Czego chcecie? — spytał pogodnie.

Gergely wystąpił naprzód. Z kapeluszem w ręku zaczął po turecku:

— Jesteśmy, begu, śpiewakami słonecznej Italii. Dziś w nocy łowiliśmy ryby pod zamkiem. Jesteśmy biedni, panie, musimy więc zdobywać pożywienie. Ale dziś w nocy złowiliśmy nie tylko ryby. Gdyśmy wyciągnęli sieć, coś w niej zabłysło. Własnym oczom nie chcieliśmy wierzyć. W sieci leżał piękny, szczerozłoty talerz.

— To ci dopiero!

— Może, panie, chcesz go zobaczyć? Prawda, że piękny? — sięgnął za pazuchę i pokazał bogowi złoty talerzyk z misternie wykutymi na nim kobiecymi postaciami. Były to swawolące w morzu najady.

— Maszallah! — szepnął beg, a oczy wylazły mu na wierzch z zachwytu.

— Rozważaliśmy, co zrobić z tak cennym przedmiotem — ciągnął dalej Gergely. — Sprzedać? To rzecz niebezpieczna, boby nas jeszcze oskarżono o kradzież i kto wie, jakich byśmy doznali nieprzyjemności! A jeśli nie sprzedać, to co jest wart złoty talerz dla tego, kto nie ma co z niego jeść?

Beg obracał talerz w rękę, oglądał go ze wszystkich stron i nawet próbował oszacować wagę.

— To nie złoto, tylko srebro złożone.

— Możliwe. Ale arcydzieło.

— No i czemu przynieśliście talerz do mnie?

— Właśnie chciałem opowiedzieć, panie. Gdy wczoraj zastanawialiśmy się, co zrobić z talerzem, przypomniało nam się, że tu, w Siedmiu Wieżach, siedzi nasz dobroczyńca, pewien Węgier. W dzieciństwie ja i mój brat byliśmy niewolnikami tego Węgra.

Beg uśmiechnięty przypatrywał się talerzowi.

— I dobrze obchodził się z wami?

— Uczył nas i kochał jak własne dzieci. Pomyśleliśmy sobie, że poprosimy cię, abyś pozwolił zaśpiewać mu trochę.

— Aha, rozumiem. Za pozwolenie ofiarujecie mi ten talerz?

— Tak, panie.

Beg uśmiechnął się i schował talerz w zanadrze.

— A umiecie śpiewać? Zaśpiewajcie mi coś!

Pięciu Włochów ustawiło się kołem. Rozległ się dźwięk kobzy i śpiew:

Mamma, mamma

Ora muoio, ora muoio

Desio tal cosa

Che all' orto ci sta.

Głosy dziewcząt płynęły czysto jak dźwięk skrzypiec, doskonale harmonizując z głosami trzech młodzieńców.

Beg zapomniał o sałacie. Wchłaniał śpiew.

— Tylko anioły umieją tak słodko śpiewać albo dziny.

Śpiewacy miast odpowiedzi podjęli skoczną melodię. Cyganka pobrzękując tamburynem powabnie chyliła się i gięła przed begiem.

Beg wstał.

— Chętnie słuchałbym was trzy noce i trzy dni, ale cóż, jutro muszę wyruszyć na Węgry. Jedźcie ze mną. Nie pożałujecie. Będziecie mieli wszystko, czego dusza zapragnie, do końca życia.

Śpiewacy wymienili spojrzenia.

— Panie — odparł Gergely — musimy się naradzić nad twoją zaszczytną propozycją. Ale tymczasem spełnij naszą prośbę.

— Chętnie. Kogo chcecie zobaczyć?

— Pana Balinta Tóroka.

Beg zniechęcony rozłożył ręce.

— To trudna sprawa! Tórok, hm, tego... Torok dostał cetnara.

— Jak to, cetnara?

Beg gniewnie machnął ręką:

— Wyrzucił muftiego...

\*\*

Spełnił jednak prośbę Włochów.

— Wyprowadzić Tóroka na dziedziniec! — nakazał jednemu z żołnierzy. — Ci Italianie chcą mu zaśpiewać. Nie pytajcie go, czy ma ochotę ich posłuchać, wyprowadźcie i już.

Przed śpiewakami otworzyła się wewnętrzna brama zamkowa. Swobodnie weszli na dziedziniec nie mniejszy niż przy pałacu królowej w Peszcie. Dwóch grających w szachy i tym razem siedziało pod rozłożystym drzewem. More znużony przyglądał się grze, podobnie jak i kilku ziewających z nudów panów chorwackich. Bynajmniej nie interesowali się szachami, ale człowiek jest bądź co bądź stworzeniem towarzyskim, podobnie jak owce, mrówki lub gęsi. Maylad siedział na polowym krześle przed okratowanym oknem więziennym, aby dotrzymać towarzystwa Tórokowi. Ale nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Tylko pytali na przemian, to jeden, to drugi: — O czym myślisz?

Grupę śpiewaków zatrzymano w bramie do chwili wyprowadzenia Tóroka z okratowanej celi. Dwóch żołnierzy podtrzymywało łańcuch, aby mógł się poruszać. Postawili mu twarde krzesło na środku i kazali usiąść i nie ruszać się z miejsca ani na krok. Nakaz ten był nawet zbyteczny: i tak nie byłby w stanie się poruszać w łańcuchu grubości ramienia.

Tóroś siedział więc. Nie wiedział, w jakim celu wyprowadzono go na dziedziniec. Był w letnim ubiorze ze zgrzebnego płótna. Głowę miał odkrytą, długie białe włosy opadały mu na ramiona. Ręce zakute w ciężkie kajdany zwisały. Łańcuch ważył cetrnar. Bezsilne, stare ręce już nie mogły udźwignąć takiego ciężaru. Był blady jak tonący, którego dopiero wyciągnięto z wody.

— Już można — oznajmił żołnierz, kiwnąwszy głową ku śpiewakom. Tamci zaraz wyszli spod bramy i stanęli rzędem obok siebie, zaledwie pięć kroków od Tóroka.

Więzień spojrział na nich. Jego obojętny wzrok zdawał się pytać: skąd się tu wzięli ci obcy?

Panowie przestali grać w szachy. Co za niespodzianka! Przecież to będzie wspaniała zabawa! Włoscy śpiewacy w Siedmiu Wieżach! Ustawili się za plecami Tóroka, w oczekiwaniu na piosenkę, a zwłaszcza na taniec dziewcząt.

— Ta młodsza nie jest Włoszką — osądził książę.

— Z daleka poznać, że to Cyganka — odparł Maylad.

— Ale reszta to Italianie.

Dzięki przypadkowi wszyscy wyglądali na południowców. Mekksey był najbardziej barczysty, Gergely najsmuklejszy, Jancsi zaś miał najczarniejsze oczy. Ewa zawdzięczała śniadą twarz olejkowi orzechowemu. Włosy miała przykryte czapką frygijską podobnie jak i wszyscy pozostali.

Grupka śpiewaków stała w milczeniu.

— No, śpiewajcie — zachęcał ich żołnierz.

Na próżno. Stali tylko, a twarze mieli blade jak płótno.

Nagle z oczu najmłodszego popłynęły łzy.

— Do licha! Śpiewacie czy nie? — Żołnierz już stracił cierpliwość.

Najmłodszy zatoczył się i osunął na kolana przed siwowłosym starcem. Podjął go za nogi:

— Ojcze! Ojcze kochany!...



W niewielkiej odległości od Jedikuli, za szpitalem ormiańskim stała samotnie rozpadająca się karczma.

Może niegdyś, w czasach kiedy Konstantynopol zwano jeszcze Bizancjum, był to dom letniskowy, wyłożony marmurem. Ząb czasu i trzęsienia ziemi nawet płytom marmurowym dały się we znaki. Skruszały alabastrowe balustrady tarasów, kamienne kwiaty okien. Rozsypały się marmurowe schodki, a szpary kolumnad zapełniły się chwastami. Z biegiem czasu wspaniała ongiś marmurowa siedziba została zdegradowana do roli karczmy przydrożnej, stała się siedliskiem najróżniejszych mętów. Gospodarz, powszechnie znany pod imieniem Milcjadesa, uprawianiem paserstwa podwyższał swe dochody.

Nasi młodzi znajomi u Milcjadesa dostali aksamitne stroje, złoty talerz i nocleg. Oczywiście nie za darmo, o nie! Milcjades kazał sobie słono zapłacić za wszystko.

Nieudany występ w Siedmiu Wieżach przysporzył im sporo kłopotów. Żołnierz z miejsca zameldował begowi, że ci Włosi to na pewno jacyś krewni więźnia, bo obstąpili go, płacząc, całując mu ręce i nogi. Beg jednak nie dbał już o Jedikulę. Żył myślą o okręgu węgierskim. Wszak w Jedikuli on sam także był tylko więźniem. Żył w tych murach, które dozwolono mu raz w roku opuszczać, by pomodlił się w meczecie Aja Sofia.

— Eszek \*(Dureń!) — huknął na żołnierza. — Ci Italianie byli kiedyś w niewoli u tamtego pana, a teraz są moimi niewolnikami.

Beg trzymał właśnie w ręku marmurowy kałamarz, aby zapakować go do skrzyni. Wyciągnął z boku kałamarza trzciniowe pióro i zanurzył je w gąbce nasyczonej inkaustem. Napisał kilka słów na skrawku pergaminu i podał nie posiadającemu się ze zdumienia żołnierzowi:

— Masz. Daj to śpiewakom i wyprowadź ich przez bramę. I żeby im się nic złego nie stało!

Gergely przeczytał pisemko:

Pięciu italiańskich śpiewaków należy do moich ludzi. Dałem im ten glejt, żeby ich żadna krzywda nie spotkała w mojej nieobecności — Beg Veli.

Gergely pieczołowicie schował ten list żelazny. Spojrzał na żołnierza. Gdzieś widział już tego człowieka o sowich oczach. Wreszcie przypomniał sobie, że zeszłego wieczoru popijał on wino w gronie robotników i marynarzy. Czerwony nos pozwalał przypuszczać, że

zasiądzie na ławie oskarżonych, gdy kiedyś dostanie się przed oblicze proroka Mahometa.

— Ty też jedziesz razem z begiem? — spytał Gergely wsunawszy mu w garść srebrnego talara.

— Nie — odrzekł żołnierz, którego mocno rozweselił widok monety — beg zabiera ze sobą tylko minierów i delów. Od jutra mam nowego pana: bega Izmaila.

— Ale beg Izmail jeszcze się nie sprowadził do zamku?

— Nie. Tymczasem mieszka w tamtym budynku — wskazał na dom porośnięty dzikim winem, przylegający do murów zamku dawnego Bizancjum.

Wczesnym wieczorem żołnierz przepijał talara w karczmie Greka.

Tegoż wieczoru nasi śpiewacy odbyli cichą naradę w ustronnym pokoju tej samej karczmy. Naradzali się, czy mają powrócić do ojczyzny razem z begiem, czy bez niego. Bo powrócić trzeba. Tu na pewno grozi im niebezpieczeństwo na każdym kroku. I jeszcze pewniejsze, że teraz nie zdołają wyzwolić pana Balinta.

— Musimy wrócić z begiem — radził Gergely. — To bodaj najrozsądniejsze wyjście.

— Ja mu śpiewać nie będę — zrzędził Mekksey. — Niech go piorun trzaśnie!

— Możesz wymówić się chrypką — wzruszył ramionami Gergely. — Ja osobiście nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy mu śpiewać. Jak mówi przysłowie: Na czym wózku siedzisz, tego piosenkę śpiewaj!

— Jak się w domu dowiedzą, że zadawaliśmy się z Turkiem...

— No i co? Tu mu śpiewamy, a w domu nauczymy go tańczyć...

Jancsi nie brał udziału w rozmowie. Patrzył przed siebie oczyma pełnymi łez.

Gergely położył mu dłoń na ramieniu:

— Nie martw się, Jancsi. Może już niedługo będzie cierpieł w kajdanach...

— Nie byłem w stanie nawet porozmawiać z ojcem. Cała rozmowa skończyła się na tym, że spytał mnie o brata. Uspokoilem go, że został w domu, aby matka miała podpórę, gdybym ja zginął po drodze.

Wszyscy milczeli i spoglądali nań współczująco.

— Ale też głupiec ze mnie! — rozpaczał Jancsi. — Na co mi było zakradać się w przebraniu, przecież mógłbym go odwiedzić

formalnie! A teraz, po tej porażce, nie mogę się więcej tam pokazać, przecież od razu wykryłoby się, że nie jesteśmy śpiewakami włoskimi. Nie ochroni nas nawet list żelazny bega! Żeby mu choć zostawił złoto!

Cyganka cicho wstała i wyszła. Przez okno wlewała się księżycowa poświata. Płomyk kaganka bladł coraz bardziej.

— Może jeszcze nie wszystko stracone — przerwał Gergely milczenie. — Mamy jeszcze prawie całe złoto. Ty, Jancsi, masz tysiąc dukatów. Ja mam trzysta. To, co mają Mekksey i Ewa, starczy nam na powrót.

Cyganka wróciła uśmiechnięta.

— Turek się upił i leży pod stołem, Sarkózi pije na jego rachunek. Ale widać ma tęgą głowę: gra w kości z Matyasem.

Widząc przygnębienie na twarzach wszystkich, ona też spoważniała. Usiadła na macie i wsparłszy głowę na dłoni z podziwem patrzyła na Ewę.

— Nowy beg — prawil dalej Gergely — na pewno też nie gardzi złotem. Oni wszyscy są chciwi. A może on mógłby coś pomóc? Złoto było zawsze kluczem do wszystkich bram.

— Ja wszystko oddałbym, co mam — zawołał Jancsi — nawet życie!

— W takim razie zaryzykujemy jedną próbę.

— Ale jak teraz nocą dostaniesz się do bega?

— Aresztuje cię — dorzucił Mekksey. — Wysłucha, przyjmie złoto, ale ciebie już nie wypuści.

Gergely uśmiechnął się.

— Tylko że ja nie jestem znowu taki kiep, aby pójść do niego we własnej skórze!

— Tylko jak?

— Przebiorę się za Turka.

— Zaryzykowałbyś? — krzyknął Jancsi, ściskając rękę Gergelya.

— I to zaraz — odparł.

Wstał i zawołał na Milcjadesa:

— Gospodarzu, potrzebuję munduru tureckiego. Takiego, jaki noszą żołnierze w Siedmiu Wieżach.

Greki pogładził czarną, bujną brodę. Często bywało, że jego goście chodzili gdzieś w przebraniu, ale wiedział, że od takich właśnie gości ma dodatkowy dochód dwa-trzy dukaty dziennie. Niech ich wszyscy

diabli... Co go to może obchodzić, czy to zbóje, czy złodzieje! Grunt, by dobrze płacili.

— Takich ubrań akurat mi zabrakło — uśmiechnął się Grek, mrugając oczyma — ale jest tu jakiś pijany Turek, moglibyśmy ściągnąć z niego mundur i płaszcz.

— Dobrze, ale i broda mi będzie potrzebna.

— Bród mam do licha i trochę.

— Chodzi mi o taką właśnie, jaką ma ten żołnierz.

— Znajdzie się i taka.

Wyszedł. Po pięciu zaledwie minutach wrócił z naręczem bród w rozmaitych odcieniach i z klejem.

— Czy ci mam zaraz przylepić?

— Staraj się upodobnić mnie do tego Turka. Milcjades wziął się do pracy, gawędząc cały czas.

— Czy znasz już nowego bega w Siedmiu Wieżach?

— No chyba że znam — napuszył się Grek. — Był topczim.

— Co to za człowiek?

— To dureń. Pije tylko wodę, więc i rozum ma mocno rozcieńczony. Pisać nawet nie umie.

— Inni oficerowie też niepiśmienni. Dobrze, jeśli czytać umieją.

— Inni przynajmniej nie zadzierają tak nosa, jak ten. Ale jak zobaczy większego od siebie pana, to się gniewa jak konopie na wietrze.

— Czy był już na wojnie?

— W zeszłym roku. Z sułtanem. Pod Esztergom dostał nawet chłostę.

— Więc jest tchórzem.

— Dlatego go tu postawili. Tchórz i głupiec. Ale czy człowiek wychowany na wodzie może być rozumny?

Przez cały czas rozmowy pilnie pracował przy twarzy Gergelya, która zmieniła się nie do poznania. Mekksey zaśmiewał się, patrząc na przyjaciela.

Grek nałożył mu turban na głowę, podał płaszcz i handzar.

— Allah emanet olun — Gergely pokłonił się żartobliwie.

Wszyscy chcieli go odprowadzić. Gergely zgodził się jednak tylko na towarzystwo Jancsiego i Mekkseyego. Jancsi powierzył mu wszystko złoto, jakie miał. Po drodze Gergely jednak rozmyślił się i odesłał Jancsiego z powrotem. Jedynie Mekksey został przy nim.

— Ale i ty trzymaj się o parę kroków w tyle — radził Gergely. — Niech się nikt nie domyśli, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Nie minęło pół godziny, a stanęli przed domem bega. Gergely zastukał metalową kołatką przy bramie.

Stara pomarszczona twarz pojawiła się w okienku.

— Czego chcesz?

— Przyszedłem zawiadomić bega, że w Siedmiu Wieżach dzieje się coś niedobrego.

Twarcz znikła. Gergely się cofnął. Liczył na to, że gdy wartownik wróci i nie zastanie nikogo w bramie, pomruczy trochę i zawiadomi bega o zniknięciu żołnierza, ten zaś, zaniepokojony, sam uda się do Siedmiu Wież.

Gergely poszedł w kierunku bramy Siedmiu Wież i tam przystanął.

Brama była zamknięta. Wartownik drzemał przykucnąwszy na kamieniu narożnym. Nad głową wartownika na żelaznym pręcie wystającym z muru palił się kaganek.

Dookoła cisza i wonny zapach pszenicy. Widocznie niedawno wieziono tędy pszenicę do młyna i jeden z worków pękł. Mekksey podązał jakieś trzydzieści kroków za Gergelyem. Dojrzawszy w świetle kaganka, że Gergely przystanął, i on się zatrzymał.

Minuty wlokły się w nieskończoność, i na podobieństwo owadów nocnych Gergely utkwiał wzrok w kaganku, jedynym błyszczącym punkcie w przestrzeni.

— No, chyba przyjdzie oswieć, zanim beg przylezie — mrucał zniecierpliwiony.

Nie, waleczny bohaterze, świetlista gwiazdo historii węgierskiej, nie zdążysz oswieć na tej ziemi! Gdyby jakaś ręka niebiańska odsłoniła przed twoimi oczyma rąbek przyszłości, zobaczyłbyś się skutego w kajdany na tymże miejscu i zobaczyłbyś kata tureckiego, jak na zardzewiały pręt, na którym teraz opiera się kaganek, zarzuca powróż dla ciebie!

\*\*

Nagle od strony ulicy rozległ się trzask bramy, Gergely zadrzał. Szybkim krokiem poszedł w tamtym kierunku.

Beg przyszedł. Przyszedł sam, otulony w opończę, na głowie mu jaśniał biały turban.

Gergely przystanął na chwilę. Natężył słuch, czy ktoś jeszcze nie idzie za begiem. Nie. Słysać było stuk tylko jego kroków. Gergely odetchnął i pośpieszył na spotkanie bega.

— Akszaminiz khair olsun bej efendim \* \*/ Akszaminiz khair olsun bej efendim (tur.) — Dobry wieczór, łaskawy begu! — rzekł salutując według przepisów tureckich — to nie beg Veli cię prosił. Pozwoliłem sobie na ten mały fortel, bo mam ważną sprawę do ciebie.

Beg stropił się: chwycił za szablę.

— Kim jesteś?

Gergely także ujął szablę i, odwróciwszy głowicą, podał szablę begowi.

— Weź na dowód, iż nie mam złych zamiarów. Beg milcząc wsunął klingę z powrotem do pochwy. Gergely uczynił to samo.

— Mam dla ciebie więcej życzliwości, niż możesz sobie wyobrazić — rzekł wydostając woreczek złota z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Beg wziął ciężką sakiewkę, lecz zaraz ją zwrócił.

— Najprzód muszę wiedzieć, kim jesteś i czego chcesz ode mnie?

Z tymi słowy podszedł do białej kamiennej ławki w cieniu budynku i usiadłszy w skupieniu wpatrzył się w twarz Gergelya.

Gergely usiadł także. Splótł ręce na piersi i drapiąc się raz po raz w fałszywą brodę, prawił cicho i gorliwie:

— Nazywam się Sto tysięcy dukatów. Sądzę, że moje nazwisko brzmi dobrze. Beg uśmiechnął się.

— Ale czy to aby nie przybrane nazwisko?

— O tym prędko możesz się przekonać. Ty natomiast nazywasz się Biedak, choć nie ulega wątpliwości, że dzielny bohater z ciebie. Twoje śmiałe wyczyny na Węgrzech są znane i uznane w całym kraju.

— Widzę, że wiele o mnie wiesz.

— Więc krótko mówiąc, od jutra obejmujesz stanowisko komendanta twierdzy Jedikula. Innymi słowy: zostaniesz więźniem także, tylko że płatnym więźniem. Raz do roku wolno ci będzie pójść do miasta. Jeśli Allach obdarzy cię długim życiem, najwyżej dwadzieścia, może trzydzieści razy dane ci będzie zobaczyć Konstantynopol. Roztyjesz się jak beg Veli.

— Mów dalej.

— Od ciebie zależy, byś wybrał sobie lepszy los.

— Mów!

— W Jedikule przebywa więzień, przebogaty Węgier. Pan Balint Tórok.

— Jego chcesz wyzwolić?

— Rzekłeś, begu.

— Mów!

— Z tobą razem przychodzą zapewne do twierdzy twoi zaufam żołnierze. Co by się stało, gdybyś jutro wieczorem kazał wyprowadzić pana Tóroka pod pozorem, że sułtan zawezwał go do siebie?

— Po zachodzie słońca nawet komendant twierdzy nie może przekroczyć bramy.

— Na rozkaz sułtana może. Ale mniejsza o to. Wyprowadź go w dzień. Ty i dwóch żołnierzy. Tu ulice są wyludnione. Żołnierzy odeślesz, a ty z panem Tórokiem pójdiesz dalej, no i zamiast do seraju zaprowadzisz więźnia do czekającego na brzegu statku, na którym powiewa chorągiew koloru pomarańczowego. Byłoby wskazane, byś zmienił mundur i płaszcz na inny, zanim skróćcie z drogi na brzeg.

— To wszystko?

— Niezupełnie. Z chwilą gdy statek ruszy, dostaniesz na rękę trzysta dukatów albo, mówiąc po turecku, trzy tysiące guruszów, czyli piastrów. Następnie pojedziemy do Tekirdagu albo statkiem, albo łądem. Tam będzie czekał na nas jeden z naszych ludzi z końmi i pięcioma setkami dukatów dla ciebie. To dalsze pięć tysięcy guruszów. Potem pojedziemy do Aten, stamtąd do Italii. W chwili gdy dobijemy do łądu, otrzymasz dalsze pięćset dukatów.

— Tysiąc trzysta.

— Na razie. Według moich obliczeń tyle wyniósłby twój zarobek w przeciągu dziesięciu lat. Zastanów się: ten człowiek jest panem na Debreczynie, Szigetvarze i Vajda Hunyad, poza tym ma ogromny majątek, obejmujący niemal całe ziemie zadunajskie. Z łątwością wypłaci ci jeszcze dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy złotych dukatów, choćby połowę fortuny miał na to poświęcić.

— A skąd pewność, że otrzymam pierwszy tysiąc?

— Choćby i zaraz mogę ci wypłacić, jeśli tak sobie życzysz. Beg zatopiony w myślach spoglądał przed siebie.

Gergely ciągnął dalej:

— Jeślibyś spostrzegł, że mam zamiar cię wyprowadzić w pole, a jeszcze nie spotkałeś chyba takiego Węgra, który by tak postąpił, to zawsze jeszcze zdążysz rzucić oskarżenie na Balinta Tóroka, że uciekł i ty sam jeden go wytropiłeś i złapałeś na statku. Zresztą to nieważne, czy go weźmiesz na statku, czy na łądzie. Tobie uwierzą, że dzięki twojej czujności ucieczka została udaremniona.

Beg zastanawiał się głęboko.

— Więc dobrze — rzekł w końcu. — Jutro przed zachodem słońca niechaj statek z pomarańczową flagą czeka w odległości strzału od Siedmiu Wież. Ty będziesz czekał na mnie na brzegu. Po czym cię poznam?

— Przyjrzyj mi się dobrze, przecież księżyc świeci. Ale na wypadek gdybyś mnie nie poznał po twarzy, włożę turban żółty jak siarka.

— Pamiętaj: na godzinę przed zmierzchem.

— Dokładnie o jedenastej.

Według tureckiego czasu o zachodzie słońca jest godzina dwunasta.

\*\*

Północ już była, gdy Gergely wrócił w towarzystwie Mekkseyego.

— Czy ten Turek o sowich oczach jest jeszcze? — zapytał przestępując próg karczmy.

— Śpi — odparł Miicjades.

— Czy masz sposób na to, by nie obudził się do jutra do godziny jedenastej?

— Mam — odpowiedział karczmarz i nie żądając wyjaśnień; wydobyl z szafy szklanice, napełnił ją wodą i wsypał jakiś proszek, który z miejsca się rozpuścił jak sól. Po czym podszedł do Turka i szarpnął go za ramię.

— Hej, Bajguk! Już czas na ciebie!

Turek podniósł głowę i powiódł dokoła mętnym wzrokiem. Ziewnął.

— Wypij szklanke wody i uciekaj do domu.

Turek, nie spojrzawszy nawet na szklanke, wyciągnął po nią rękę i wychylił do dna. Zaraz też wpadł w zadumę. Uczynił ruch, by się podźwignąć, ale opadł z powrotem na podłogę.

Gergely wsunął w dłoń karczmarza pięć złotych monet.

— Możesz być spokojny — mrugnął Milcjades do Gergelya — do jutrzejszego wieczora nie drgnie nawet.

13

Wynajęcie statku nie nastreczyło żadnych trudności. Wypatrzyli sobie grecką galere w zatoce Złotego Rogu z czterema wiosłami. Ten mały statek miał ich zawieźć za odpowiednim wynagrodzeniem do Tekirdagu, leżącego o dzień jazdy od Konstantynopola. W południe galera stała już na miejscu wyznaczonym przez Gergelya. Na dwie godziny przed zachodem słońca na statku podciągnięto pomarańczową flagę, po czym Gergely udał się spieszenie do karczmy,



gdzie rozbudził Turka oznajmiając mu, że aga kazał mu stawić się przy statku z flagą pomarańczową i czekać na swoje przybycie.

Turek był jeszcze lekko otumaniony. Sarkózi prowadził go pod rękę, bo nieborak ślaniał się na nogach. Na głowie miał żółty turban. Nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Czy to już wieczór, czy jeszcze rano? Zapamiętał jedynie to, że beg kazał mu stawić się przy jakimś statku.

Towarzysze Gergelya gęsiego szli za nim w pewnej odległości. Jeżeli beg dotrzyma słowa, wtedy — gdy tylko wstąpi na pokład — wszyscy rzucą się na statek i natychmiast wyruszą w drogę. Jeżeli natomiast beg nie zdobędzie się na tyle odwagi lub też nie potrafi nic zdziałać, to niech spróbuje dogadać się ze swoim ziomkiem w żółtym turbanie.

Pierwsze i najważniejsze pytanie: czy beg przyprowdzi ze sobą Balinta Tóróka?

Ustalenie tego faktu powierzono Cserhan. Nie wtajemniczono jej w planowaną ucieczkę Tóróka, tylko oznajmiono jej, że Tórók ma być zawieziony do sułtana i pragnęliby go raz jeszcze przed tym zobaczyć. Jeżeli więc spostrzeże bega, dwóch żołnierzy i pana Balinta, ma się wspiąć na dzikie wino na rogu ulicy udając, że chce narwać liści. Mekksey, ukryty w odległości tysiąca kroków, dostrzeże ten znak i ruchem ręki zawiadomi swoich towarzyszy, stojących na kilkaset kroków od brzegu. Wszyscy byli przebrani: Gergely za derwisza, Ewa za Cygankę, Jancsi za kupczyka z bazaru, Matyas za ulicznego handlarza precelkami, Mekksey zaś miał być sprzedawcą suszonych ryb.

Ewa przykucnęła obok Matyasa i gryzła precel. Dokładnie w umówionym czasie Mekksey podniósł dzieżkę z rybami i ruszył ku brzegowi. Był to umówiony znak.

Jancsi przybladł. W oczach jego zaszklily się łzy radości. Gergely odniósł wrażenie, iż serce pulsuje mu w krtani.

Wyruszyli w stronę morza rozstawieni o sto kroków od siebie.

Wiatr wesoło powiewał pomarańczową chorągwią statku, właściciel zaś, młody kupiec wiozący cebulę, obliczał przy sterze swój dzienny zarobek.

W pobliżu statku stał Turek, gapiąc się tępym wzrokiem w przestrzeń. Na głowie miał żółty turban. Za jego plecami siedział na brzegu Sarkózi i pluskał nogą w zielonkawej wodzie morskiej.

— Idzie! — szepnął Jancsi, przechodząc spiesznie obok Gergelya. — Boże w niebie, pomóż — dodał, a nogi pod nim drżały. Gergely spojrzął za siebie. Beg wolnym, spacerowym krokiem zbliżał się wraz z siwowłosym magnatem węgierskim. Za nimi kroczyło dwóch zbrojnych w kopie żołnierzy w białych turbanach. W tej chwili beg przystanął i powiedział coś do żołnierzy, którzy ha słowa zwierzchnika odwrócili się na pięcie i poszli w stronę Siedmiu Wież. Jancsi rzucił się ku statkowi, lecz gdy mijał Gergelya, ten chwycił go za rękaw:

— Zaczekaj!

Beg i pan Balint wolnym krokiem zbliżali się do brzegu.

Minęli kurdowskiego handlarza preclami nie patrząc nawet na niego ani na siedzącą obok w kucki Cygankę, na twarzy Tóroka malowało się zdumienie. Beg był wesoły, gawędził bez ustanku. Minęli leżącego na drodze psa. Po chwili doszli do brzegu.

Turek w żółtym turbanie wyprężył się na baczność. Beg obrócił się błyskawicznie. W rękę jego błysnęła szabla, dawał nią jakieś znaki. Potem wsunął ją do pochwy i jak sęp rzucił się na Turka w żółtym turbanie. Zwalił go na ziemię. Przez ten czas jakichś pięćdziesięciu żołnierzy wyskoczyło z pobliskich zabudowań i krzewów.

Przede wszystkim skrepowali Turka w żółtym turbanie, następnie Cygana, po czym wskoczyli na statek i pojмали wszystkich wraz z greckim właścicielem.

Słyszając szamotanie i wrzask przybiegła Cserhan i zanosząc się szlochem, błagała o zwolnienie Sarkóziego. Daremnie. I ją chwycili i skrepowali jej ręce sznurem.

Słońce zachodziło właśnie za chrześcijańską dzielnicą miasta, gdy Gergely zatrzymał się przy kolumnie Konstantyna. Towarzysze zziązani gnali za nim krok w krok. Okryci kurzem i bladzi jak płótno słaniali się ze zmęczenia.

14

W połowie lipca beg Veli ze swymi sylidarami i minierami dotarł do Mohacza. Pole pod Mohaczem było miejscem postoju wszelkich wojsk tureckich w drodze do Budy i na ziemię zadunajskie. Lubili to miejsce. Zwali je polem szczęścia. Soliman zawsze tu odbywał najdłuższy odpoczynek. Toteż Veli kazał sobie rozbić namiot na tym pagórku, na którym stał owego pamiętnego dnia.

Namiot bega był już gotowy, gdy jego strudzone szeregi dotarły wieczorem na pole pod Mohaczem.

Beg wykapał się w Dunaju, po czym kazał zarznąć kapłona i gdy zapadał zmierzch, usiadł przed namiotem, by odpocząć po trudach, dzięki którym znacznie stracił na tuszy, odkąd opuścił Jedikulę.

Pole bielilo się od gnatów końskich. Żołnierze posilali się z drewnianych talerzy, stawiając je na czaszkach zabitych koni. Humor im się poprawił.

Z piętnastu agów obstąpiło bega, składając mu raport dzienny. Po spełnieniu tego obowiązku siedli u nóg bega na matach. W Mohaczu sztab oficerski zazwyczaj wspólnie spożywał posiłek. Tam nawet poważniejsi godzili się z sobą.

Tego wieczora nadeszła do bega konna poczta. Przeznaczona była dla sułtana i zawierała wiadomość, że Wyszogród znajduje się już w rękach tureckich. Twierdzą zdobyto bez przelewu krwi niszcząc wodociągi — pozbawiona wody załoga musiała się poddać. Obrońca twierdzy, Amade, zwrócił się co prawda o pomoc do Ferdynanda, ale taki z niego był król węgierski, że miast pośpieszyć z odsieczą, liczył tylko na cud boski, jak zwykle, gdy w grę wchodziła obrona zamków węgierskich. Amade, kapitulując, zastrzegł sobie wolny odwrót. Pasza w Budzie złożył uroczystą przysięgę, że załozde włos z głowy nie spadnie. Ale cóż z tego, tylko on, a nie jego ludzie zobowiązali się do tego. Tak więc zaledwie Węgrzy złożyli broń na dziedzińcu zamkowym i ruszyli ku bramie, aby opuścić miejsce klęski, Turcy rzucili się na bezbronnych i wycięli ich w pień.

— No, wobec tego odpoczniemy sobie tu przez dwa dni — radował się beg Veli. — Dziś wyśpimy się zdrowo, a jutro pohulamy trochę. Pojutrze wyruszamy do Nógradu.

Wedle planu kampanii był to pierwszy w kolejności zamek do zajęcia. Pocztylion turecki wyruszył w dalszą drogę do Konstantynopola. Zastępy bega Velego ułożyły się do snu.

W południe następnego dnia beg wydał swym oficerom jedyny rozkaz:

— Wszyscy przyjdziecie do mnie na kolację: mam wino, i to nie byle jakie. Włosi będą nam śpiewać. Beg miał wesołe usposobienie. Lubił jeść i pić. Turcy, zaledwie wkroczyli na Nizinę Węgierską, z miejsca zapominali o zakazie Mahometa.

— Jeden z żołnierzy prosi o posłuchanie, chce złożyć jakiś tajny meldunek. Czy przyjmiesz go, panie?

— Niech wejdzie — odrzekł beg beztrąsko.

Jakiś krępy silidar o chytrych lisich oczach wystąpił naprzód. Był oberwany, jak wszyscy szeregowi. Turban na głowie miał niewiele większy od chustki do nosa. Zbliżał się do bega bijąc pokłony.

— Twój sługa ma ważny meldunek o Italianach.

— Mów — rozkazał beg.

— Ci Włosi już od dawna wzbudzili podejrzenie twego marniejszego od prochu pod twoimi nogami sługi. Pierwsze podejrzenie wzbudził we mnie fakt, że jeden z tych Włochów papierem czyścił szable swych towarzyszy.

— Co za dureń z ciebie! — machnął ręką beg. — Wiesz chyba, że to giaurowie. My z szacunkiem obchodzimy się z papierem, bo może na jakimś skrawku znajduje się imię Allacha, ale ci parszywcy nie uznają Allacha. To ciemnota podlejsza od najpodlejszych zwierząt.

Silidar niewzruszony prawił dalej:

— Drugie podejrzenie wzbudziło się we mnie pod Sofią. Może przypominasz sobie, łaskawy begu, że tam spotkaliśmy wozy z łupem i jeden wóz leżał wywrócony w rowie przydrożnym.

— Pamiętam.

— Klatka z kurczakami się rozbiła i kurczaki rozbiegły się. Jakaś starowina wołała na nie: polatiji, polatiji, polatiji! Ale kurczaki ani nawet kury nie patrzyły w jej stronę. Była to Greczynka. Któryś z naszych chciał jej pomóc i zaczął wołać: gak-gak-gak! Kurczaki ani drgnęły. Wtedy jeden z Włochów, ten młody, co ma twarz jak dziewczyna, wziął od tamtego koszyk z pszenicą i nawoływał: pi-pi, pi-pi-pi, a kurczaki na to przybiegły do niego. Złapał nawet jakąś kure i z radości wyczałował ją.

— No i co?

— To, panie, że kurczaki rozumiały po węgiersku! A także ten, co na nie wołał.

— A może Włosi też wołają na kurczaka pi-pi? — i beg dodał po chwili namysłu. — Czy ty mówisz po włosku?

— Nie, panie!

— To czemu strzepisz język, ośle jeden!

Silidar z pokornym ukłonem schował do kieszeni tytuł osła i spokojnie ciągnął dalej:

— Pod Belgradem znowu jeden z naszych silidarów zamienił konia z jakimś chłopem. Twój żołnierz, begu, dopłacił jeszcze chłopu dziesięć asperów. Ale źrebak był tak niesforny, że nikt nie potrafił go dosiąść. Wtedy ten barczysty Włoch skoczył na niego jak lampart i ujeździł go tak, że źrebak w końcu ledwo trzymał się na nogach. Skąd śpiewak zna się tak na konnej jeździe?

Beg wzruszył ramionami:

— Może był dawniej koniuchem?

— Pozwól mi, panie, mówić dalej.

— Mów.

— Wieczorem tegoż samego dnia przyszedł do nas jeden z agów, najpotężniejszy wzrostem ze wszystkich, jakich widziały moje oczy.

— Aga Manda.

— Tak. Gdy przechodził obok Włochów, przystanął przed tym najsmuklejszym i krzyknął: — Patrzcie! Patrzcie! To Borne-missza! — Tamten zadrżał i odpowiedział: — Ja nie Bornemissza.

— Jak mi Bóg miły. Jesteś Bornemissza — mówi znowu aga. — Nie poznajesz mnie? A czy masz jeszcze ten ładny pierścionek? Dobrą mi wtedy dałeś radę! Widzisz, jestem agą! Tylko nie nazywam się Hajwan, ale Manda. Kule mnie się nie imają!

— A co na to Włoch? — zapytał beg.

— Powiedział tak: „Nie wiem, o czym mówisz. Ale wiem o tym, że jakiś Węgier jest podobny do mnie, jak kropla do drugiej kropli. Skąd znasz nazwisko tamtego Węgra?”

— Dowiedziałem się w Budzie — powiedział aga — kiedy wzięto Balinta Tóroka. Bo ten młodzik należał do świty Toróka. Patrzcie no! Gada, że to nie on! A podobni jesteście do siebie — wypisz, wymaluj! No trudno... Dziesięć dukatów straciłeś, że to nie ty.

— No widzisz, więc to nie Węgier, ty słoni jeden! — złościł się beg.

— A jednak Węgier — zatriumfował teraz silidar. — Tegoż wieczoru przekonałem się, że nie tylko on jest Węgrem, ale wszyscy oni. Gdy nastawiono kocioł, by ugotować zupę, jeden z tych Włochów chwycił w garść gałąź dzikiego bzu i wyrwał cały krzak z korzeniami, aby było gdzie rozpalić ogień. Razem z korzeniami wyciągnął z ziemi jakąś czaszkę. Wszyscy ją oglądali i zgadywali, czy to czaszka Węgra, czy Turka? Twój wierny sługa leżał tuż obok i udawał, że śpi. Twój sługa rozumie po węgiersku.

— Mówili po węgiersku? — zachnął się beg. — I o czym mówili?

— Ten młody smukły powiedział tak: „To na pewno czaszka Węgra, bo Turcy chowają swoich zmarłych.” Na to drugi wziął czaszkę do ręki i powiedział: „Nie wiem, kim byłeś za życia, ale zginąłeś za świętą sprawę ojczyzny”. I ucałował czaszkę. Potem zakopali ją ziemi. Tu beg uderzył w szablę.

— Ty parszywcze! Czemu nie dałeś mi o tym znać od razu? Ty bawole jeden!

— Już spałeś, panie!

— Nałożyć szpiegom kajdany! I przyprowadzić ich do mnie! Silidar wybiegł z twarzą rozpromienioną od radości. Beg w ponurym oczekiwaniu obserwował, jak silidarzy biegają między namiotami. Minęły dwie godziny, zanim silidar powrócił, ociekając potem.

— Panie, litości...

— Gdzie oni są?

— Uciekli, psy niewierne! Uciekli, panie...

Część czwarta

## EGER ZAGROŻONY

Gdyby istniała w niebie księga, w której zapisywano by historię Węgier, to z przebiegu ostatnich ośmiu lat zanotowano by w skrócie następujące wypadki:

1545: Buda, Esztergom, Fejervar, Szeged, Nógrad, Hatvan, Vesprem, Pecs — prawie cały kraj znajduje się w rękach tureckich.

1546: Turcy podzielili Węgry na piętnaście sandżaków. Węgrzy trzymają się na północy w górach i dwóch komitatach w pobliżu granicy austriackiej.

1547: Węgry nęka nie tylko Turcja, ale i Austria.

1548: wiara Kalwina i Lutra zatacza coraz szersze kręgi. Nie tylko Turcy i Austriacy są wrogami Węgrów, ale sami Węgrzy patrzą wilkiem na siebie wzajem.

1549: Turcy zabierają wszystko pod pretekstem ściągania podatków. Nawet dzieci.

1550: Przeciw Siedmiogrodowi wystąpiły wojska rumuńskie i tureckie. Frater György przez kilka zaledwie dni zwerbował do walki pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Rumunów pobili. Turcy się wycofali.

1551: Królowa Izabela opuściła Siedmiogród. Fratra Györgya zamordowano skrytobójczo.

Nadszedł rok 1552.

Drzewa oliwkowe w Sopron już miały pąki i słoneczniki zakwitły, gdy pewnego wietrznego popołudnia pani Ewa stała na ganku jednego z domów miejskich i przeglądała rzeczy męża, szukając ubioru stosownego dla młodzieńca udającego się za granicę.

Od naszego ostatniego spotkania Ewa wypiękniała, jej kształty stały się bardziej kobiece. Delikatna twarz o nieskazitelnej białości pozostała dziewczęcą, ale dawne iskierki wesołości nie igrały już w miłych szarych oczach, ustąpiły pogodnej powadze.

— Mam tu dwa ubrania dla ciebie, Miklós — zwróciła się do żaka, kładąc na stole znoszony już strój z adamaszku w kolorze wiśniowym i drugi codzienny, w domu utkany.

— Ten może jest jeszcze za obszerny — wskazała na świąteczny strój z adamaszku — ale to nic. Za kilka miesięcy będzie w sam raz.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję łaskawej pani — wyszeptał żak czerwieniejąc z radości.

— Widzę, że tu i ówdzie jest rozpruty — stwierdziła pani Ewa po bliższym zbadaniu — ale zdążę jeszcze pozaszywać. Możesz przecież odpocząć do wieczora.

Sięgnęła po samodziąłowy ubiór.

— Ten będzie pasował, Mikłósu. Mąż mój nosił go w Budzie, kiedy Turcy zajęli gród, a ja z królową przeniosłam się do Lippy.

— Dziękuję — radował się żak — ten strój włożę na drogę, bo się go kurz nie ima.

Pani Ewa sprawdzała kolejno kieszenie. Wszystkie były puste. Tylko w kieszeni kamizelki wyczuła pod palcami coś twardego. Kieszeń była dziurawa. Wsunąwszy głębiej palce znalazła między podszewką i materiałem mały rulonik z pergaminu.

Zaciekawiona rozwinęła go: był to jakiś rysunek przedstawiający pięciokąt, a na nim różnorodne znaki i kropki.

— Patrz, Mikłósu — co to może być? Jakby ktoś wyciął sobie żółwia dla zabawy. Prawda?

— Wątpię, aby się ktoś tak zabawiał — potrząsnął głową żak i wzięwszy do ręki pergamin, obejrzał go ze wszystkich stron.

Wtem wbiegł do pokoju sześciolatek czarnooki chłopczyk. Do boku miał przypasaną wspaniałą szabelkę w czerwonej pochewce, mocno już wyświechtanej, ale złoconej.

— Mamo — szczebiotał malec — obiecałaś, że mi kupisz trąbkę. Złotą trąbkę.

— Nie przeszkadzaj teraz, Jancsi. Idź, syneczku, do ogrodu, do Lucy.

— Ale kupisz mi złotą trąbkę, mamo? Prawda?

— Kupię. Ale teraz idź, synku.

Chłopczyk zbiegł na dziedziniec, stamtąd zaś do ogrodu.

— To jest, łaskawa pani — rzekł młodzieniec rozpatrując w skupieniu pergamin — plan twierdzy, i to twierdzy w Egerze.

— Twierdzy?

— Z całą pewnością. Może łaskawa pani zechce spojrzeć: dokoła żółwia przebiega podwójna linia. To są mury obronne. Zaś łeb żółwia i cztery łapy to pięć wysuniętych bastionów. A te cienko narysowane czworokąty to zabudowania.

— A ten sierp obok żółwia?

— To zewnętrzna twierdza. Tam nie ma żadnych budynków, jak to zwykle bywa w twierdzach, tylko dwie baszty i na nich dwie wieże.

— A ten czarny pas, który łączy środek sierpa z żółwiem?



— To Ciemna Brama.  
— Czemu nazywają ją ciemną?  
— Bo znajduje się pod ziemią.  
— A to obok bramy?  
— To stajnia.  
— Taka olbrzymia stajnia?  
— Źle powiedziałem. To jest nie tylko stajnia, łaskawa pani. Tam są i szopy, i pomieszczenia dla koniuchów. Nawet klucznik też tam mieszka.  
— A co znaczą te kropki z drugiej strony bramy?  
— Tam był kościół, który wzniesić kazał jeszcze święty Stefan. Połowa została rozwalona, nawet nie tak dawno: dokładnie dziesięć lat temu.  
— Szkoda.  
— Tak. Przez sam środek kościoła przebiega teraz nowa szeroka fosa i tam wzniesiono zewnętrzną twierdzę. Było to konieczne, bo strona wschodnia była najsłabszym punktem twierdzy.  
— Dobrze, ale skąd ty o tym wszystkim wiesz, Mikłósu?  
— Skąd? Przecież chodziłem do szkoły w Egerze przez dwa lata. Tam wszyscy o tym mówią. Podczas mego pobytu budowano w Egerze właśnie Ciemną Bramę.  
Ale przecież i tu jest brama na stronie zachodniej, obok potoku.  
— Od południowej strony też jest brama. Twierdza ma trzy bramy.  
— A co znaczą te czerwone kreski? Żak natężył wzrok, aby odczytać znaki.  
— To kazamaty podziemne.  
— Aż tyle?  
— Nie wszystkie już nadają się do użytku.  
— A te czworokąty?  
— To są sale podziemne. Ta sala na przykład służy za zbiornik na wodę. A tu się mieści cmentarz.  
— Cmentarz? W podziemiach?  
— To może być tylko cmentarz, bo jest napisane: droga umarłych.  
Pani Ewa wstrząsnęła się.  
— To dziwne, że tam chowają zmarłych.  
— Ale tylko w razie epidemii — odparł żak. — Teraz przypominam sobie, słyszałem już o tym.

— Oj, Mikłósu, szkoda, żeś nie zjawił się wcześniej. Co najmniej o dwa tygodnie...

— Czemu to, łaskawa pani?

— Bo gdybyś wcześniej przyszedł, tobym ci wcześniej dała ten strój męża i wcześniej znalazła pergamin. Mój mąż znajduje się właśnie w drodze do Egeru.

— Słyszałem, że Turcy ciągną w tym kierunku.

— Właśnie dlatego mężowi tak pilno było do Egeru! Niepokoi mnie tylko mój biedny ojciec, bo on też poszedł razem z nim. Aż strach pomyśleć, że człowiek siedemdziesięcioletni tak się rwie na wyprawę wojenną. I w dodatku z drewnianą ręką i nogą... Niestety, żadne perswazje nie zdołały go powstrzymać...

— Chce bić Turków?

— Jeszcze jak! A poza tym koniecznie chciał się zobaczyć ze swoim dawnym przyjacielem, księdzem Balintem. W zeszłym roku posprzeczali się o coś. Wtedy żyła jeszcze moja biedna matka. Później ksiądz przeniósł się do Egeru, gdzie Dobo jest kapitanem. Głównie dlatego ojciec wybrał się do twierdzy. Bardzo się lubią z księdzem. Mówiąc to pani Ewa podniosła pomalowane w zielone kwiaty wieko skrzyni, wydostała z niej modlitewnik i schowała między kartki plan twierdzy. Po czym spojrzała na synka biegnącego po ogrodzie obok dziewczyny, która podlewała kwiaty.

— Może wpadnie ktoś z Egeru — rzekła w zamyśleniu.

— A może do naszego sąsiada, do brata Gaspara Peto, to stronnik króla. Posłał nawet furę prochu do twierdzy i naboje, bo jego młodszy brat też tam przebywa. Gdyby przybył z twierdzy jakiś wysłannik, pošlę ten plan mężowi. Może mu się przyda...

Znikła w sąsiednim pokoju i za chwilę wróciła z nitką i igłą i jęła zszywać popękane szwy adamaszkowego stroju. Gawędząc, nagle dostrzegli jakiegoś obcego człowieka w ciemnym dolmanie, który właśnie przekroczył bramę i pytał o coś niewidzialną z ganku osobę.

— Dziękuję, proszę się nie fatygować — rzekł po chwili — trafię bez pomocy.

Pani Ewa powstała. Zarówno człowiek, jak i jego głos był jej nie znany.

Obcy stanął przed schodkami wiodącymi na ganek i podniósł głowę. Był to barczysty, jednooki brunet. Wąsy miał podkręcone po

husarsku. W rękę trzymał kij, jaki zwykle widuje się tylko u wójtów na wsi.

— Dzień dobry — przywitał panią domu. — Powiedziano mi, że tu mieszka wielmożny pan porucznik Gergely Bornemissza.

— Tak — odparła Ewa — ale go nie ma w domu.

— Spóźniłem się więc...

— Tak. Pojechał do Egeru.

— Ejże, ejże... — kręcił głową obcy — a szkoda... Mam bardzo ważną sprawę do niego. Ale może z żoną...

— Ja jestem jego żoną. Proszę.

Obcy wszedł po schodach i stanął: zdjął czapkę i pokłonił się głęboko, z szacunkiem.

— Nazywam się Tomasz Balogh. Jestem szlachcicem z Revfalu — dodał, choć jego ukłon od razu zdradzał, iż nie należy do stanu chłopskiego.

Pani Ewa gościnnie podsunęła mu zydelek i przedstawiła przybyszowi żaka:

— Miklós Rez. Jedzie na zagraniczną uczelnię. Starszy jego brat jest w służbie u króla i dobrze zna mego męża. Przejeżdżając tędy na przygodnym wozie, zatrzymał się u nas na krótki odpoczynek.

— Niech mu Pan Bóg da szczęście — mruknął jednooki niewyraźnie.

Usiadł i jeszcze kilka razy powtórzył półgłosem: — Ejże, ejże!

— Przyjechałem na targ koński — powiedział uderzając dłonią o kolano — i przy tej okazji chciałem różne sprawy z panem Gergelyem załatwić. Między innymi przywiozłem mu pieniądze.

— Pieniądze? — zdumiała się Ewa.

— Słyszałem, że jedzie do Egeru i potrzeba mu pieniędzy. Podobno sprzedaje złote i srebrne rzeczy.

— Niewiele tego mamy — odparła Ewa.

— Ja przepadam za pierścieniami — rzekł obcy i wysunął dłoń. Z dziesięć wspaniałych pierścieni błyszczało na palcach lewej ręki. Nie wiadomo, czy klejnoty ozdabiały także prawą rękę, gdyż na prawicy miał białą miękką rękawiczkę.

— Opowiadano mi, że jakiś przepiękny pierścień znajduje się w posiadaniu pana Gergelya.

— O tak! — uśmiechnęła się pani Ewa.

— Z księżycem.

— Iz gwiazdami.

— Księżyc z topazu.

— A gwiazdy z diamentów. Ale skąd waszmość wie o tym?

— Czy łaskawa pani zechciałaby mi pokazać ten pierścionek? — głos obcego zadrżał.

— Niestety, nie — odpowiedziała Ewa. — Zawsze nosi go przy sobie. To jego talizman. Należał kiedyś do jakiegoś Turka.

Jancsiemu znudził się ogród, przebiegł przez dziedziniec i kilkoma susami znalazł się na schodach. Na widok obcego stropił się nieco.

— Przywitaj się grzecznie z panem — uśmiechnęła się Ewa i wzięła za rękę synka, który gapił się na przybysza ze zwykłą ciekawością dziecięcą.

— Czy to może synek pana porucznika? — spytał obcy. — Zresztą zbyteczne pytanie. Wypisz wymaluj — do ojca podobny! Chodź tu, mały — rzekłszy to przyciągnął do siebie dziecko i ucałował serdecznie.

Ewa doznała przez sekundę nieprzyjemnego uczucia, ale w następnej chwili zapomniała już o tym.

— Mamo, chodźmy kupić trąbkę — nalegał chłopczyk.

— Za pozwoleniem, pani dobrodziejko, może ja mu kupię — zaofiarował się usłużnie żak — i tak chciałem rozejrzeć się po targowisku. Pójdziemy do mojego woźnicy i pokażę małemu żrebaka.

— Dobrze — zgodziła się pani Ewa. — Masz tu denara, Mikłós, i kup mu wreszcie tę trąbkę. Tylko pilnuj go. A ty, Jancsi, bądź posłuszny... pamiętasz, co ojciec powiedział...

Po tych słowach zwróciła się znów do pana Tomasza.

— Zaklinał mnie, żeby pilnować dziecka jak oka w głowie — objaśniła uśmiechając się smutno.

Jancsi w podskokach oddalił się z żakiem. Matka zawołała jeszcze:

— Mikłósu, nie oddalajcie się bardzo od kościoła. My też tam zaraz przyjdziemy.

Wybierała się dziś na targowisko, by kupić kilka drobiazgów od handlarzy wiedeńskich, którzy zjechali tu na jarmark.

Tomasz Balogh w zamyśleniu obracał czapkę w rękę i zniechęcony patrzył przed siebie.

— Czy masz waszmość jakieś wieści z Szolnoka? — pytała pani domu z trwogą w oczach. — Turkom nic nie udaje się tam chyba, prawda?

— Sądę, że nie — odrzekł Tomasz Balogh z roztargnieniem. — I mój mąż rozstając się ze mną zapowiedział, że Turcy w tym roku już nie zdołają dotrzeć do Egeru. Szolnok został w ubiegłym roku poważnie wzmocniony, tak że dziś jest trudniejszy do zdobycia aniżeli Eger.

— O, tak... o wiele trudniejszy.

— A gdyby mimo wszystko Szolnok padł, to w obronie twierdzy Eger stanie cała północ.

Tomasz Balogh uśmiechnął się cierpko.

— Czy ma pani w domu podobiznę pana porucznika?

— Tak — uśmiech rozjaśnił twarz Ewy.

— Może łaskawa pani pozwoli obejrzeć?

— Panowie się nie znają? — zdziwiła się Ewa.

— Zналиśmy się kiedyś, ale już go dawno nie widziałem... Pani domu zaprowadziła obcego do pokoju. Pokój był mroczny, w powietrzu unosił się zapach lawendy. Pani Ewa odchyliła okiennicę. Na pierwszy rzut oka widać było, że to pokój gościnny. Na podłodze leżały dywany tureckie. Pod ścianą stała sofa zasłana niedźwiedzią skórą. Przy oknie sekretarzyk, obok biblioteka, a w niej oprawne w pergamin księgi, dużo ksiąg. Może ze sto. Na ścianie portrety. Stary Cecey w młodzieńczych latach, w szyszaku. Pani Cecey zezowała ze ściany w czepeczku zdobnym w złote hafty. Obok głowa Chrystusa w ramce z drzewa orzechowego. Uśmiechnięta twarz dziewczynki, w której można było odnaleźć rysy pani Bornemissza; następne miejsce na ścianie zajmował jej mąż. Młody i śniady mężczyzna o szczupłej twarzy. Oczy bystre, a w oczach wesołe ogniki. Wąsy krótkie, podkreślone. Twarz okolona miękką przystrzyżoną brodą. Włosy w puklach spadające na ramiona.

Tomasz Balogh w skupieniu przypatrywał się portretom.

— Piękny mężczyzna — rzekł wreszcie z uznaniem — ciekawym, ile ma lat?

— Dwadzieścia sześć.

— I już takiego syna macie, waćpaństwo?

— Osiem lat już jesteśmy po ślubie — odparła młoda kobieta. — Byliśmy bardzo młodzi, kiedyśmy się pobrali.

Wzrok Tomasza Balogha skierował się ponownie na portret.

— Czy to prawda, że porucznik był nawet w Konstantynopolu?

— Najszczęśliwsza prawda. Mogę to poświadczyć, bo byłam razem z nim.

— Mam znajomego Turka, bega Mandę, to on mi wspomniał o tym. Pan porucznik wyświadczył mu kiedyś przysługę.

— Beg Manda? Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

— Może pan porucznik wspominał o nim, jako o Hajwanie. Bo dawniej tak się właśnie nazywał.

Tu Ewa uśmiechnęła się.

— Hajwan? No, tego znamy.

Balogh raz jeszcze skierował wzrok na portret i przypatrywał mu się długo w milczeniu, marszcząc brwi. Pochylił głowę, jak gdyby na pożegnanie, skłonił się głęboko i cofając się tyłem opuścił pokój.

Panią Ewę ponownie ogarnęło złe przecucie, jak wtedy, gdy Tomasz Balogh przyciągnął do siebie jej małego synka. Mimo to odprowadziła gościa do schodów.

Balogh szedł po jej prawej stronie. To był zwyczaj chłopski.

Pożegnał się pokłonem. To był zwyczaj pański. Opuścił pokój zwrócony plecami do drzwi. To był zwyczaj turecki.

Pani Ewa była czymś zaniepokojona. Ale po chwili starała się sama sobie wyperswadować dręczące uczucie.

— Jak można tak źle sądzić o tym nieszczęśniku! Dlatego wygląda jak żmija, bo ma jedno oko.

Powróciła do szycia, aby odpędzić od siebie niepokój. Służąca śpiewała w ogrodzie: Ewa podjęła melodię, nucąc cicho, sprawnymi ruchami przyszywała guziki do adamszkowej kurtki. Potem wyszukała czerwone nitki do zszycia rozprutych szwów.

Myśli jej raz po raz jednak wracały do Balogha.

— Kto to może być? — zastanawiała się, opuszczając bluzę na kolana

— ...Pierścień... prośba o pokazanie portretu męża... Hajwan... opuszczenie pokoju według zwyczaju tureckiego...

— Kto to może być?

Bładła. Uporczywie spoglądała na zamkniętą bramę. Usiłowała znaleźć nić wspomnienia. Teraz zdawało jej się, że pamięta tę twarz. Ale skąd? Przypomniał jej się pierścień. Gergely powiedział, że go weźmie ze sobą, i żartując schował go do codziennego lejbika. Ale czy zabrał ten lejbik?

Wstała. Szybkimi krokami podeszła do skrzyni. Gorączkowo wyrzucała z niej rzeczy męża. Jest lejbik! Pod palcami wyczuła coś twardego! Pierścień! Pierścień! Nawet w papier nie zawinięty!

I wtedy nagle jak błyskawica przebija czarne chmury, przeszło jej mózg nazwisko:

— Jumurdzak!

Służąca wróciła właśnie z ogrodu. Spostrzegła swoją panią osuwającą się na ziemię obok skrzyni na stos rozrzuconych ubrań. Twarz pani była biała jak płótno. Oczy podkrążone.

— Wielmożna pani! — krzyknęła zatrwożona.

Nie było odpowiedzi.

Służąca powiodła oczyma dokoła. Pobiegła do drugiego pokoju. Czyżby się ktoś tu włamał? Zaledwie kilka dni temu ograbiono piernikarza Bóta! I to w dzień! Do dziś nie wykryto sprawcy!

Schwyciła flakon z solami trzeźwiącymi. Wróciła biegiem i natarła skronie zemdlonej.

— Memu mężowi grozi niebezpieczeństwo... — były pierwsze słowa Ewy po odzyskaniu przytomności. — Gdzie synek? Ach tak, poszedł z Mikłósem... Luca, daj prędko płaszcz! Pójdziemy po Jancsiego!

— Ale jaśnie pani jest przecież chora...

— Nie jestem chora. Chodźmy! — rzekła, a twarz jej oblekła trupia bladość.

I nie czekając wybiegła przez bramę, tak jak stała.

Przecucie niebezpieczeństwa dodało jej sił. Jak na skrzydłach leciała ku kościołowi.

Ulicę zalegał tłum. Odbywał się przecież jarmark. Krowy, powiązane za nogi kuśtykające świnie. Wozy obładowane dzieżkami, beczkami. Wszędzie zgiełk targowy, tumany kurzu, odór cebuli...

Służąca dogoniła swoją panią przy kościele i okryła płaszczem.

Nagle z tłumy wyłonił się żak.

Rozpychając tłum łokciami, biegł ku nim wołając z daleka:

— Poganie zajęli Szolnok. Ogłoszono to właśnie przed kościołem. Jak ja mam teraz...

— Moje dziecko!... Gdzie się podział mój syn!? — krzyknęła Ewa.

— Zostawiłem go pod opieką pana Balogha. Prosił, ażebym zawiadomił o nieszczęściu łaskawą panią, a on się tymczasem pomodli... Boże! Miłosierny Boże! Ojczyzna stracona! Jeśli Szolnok zajęli Turcy, Eger też się może nie utrzymać!...

— Moje dziecko! Jancsi!... — krzyk rozpaczony wydarł się z piersi Ewy. Biegła po schodach prowadzących do kościoła, przebijając się z trudem przez tłum.

— Moje dziecko! — krzyczała zdławionym głosem. Wreszcie dobrnęła do wejścia. Chłopi niemieccy z okolicy śpiewali litanie w swoim języku:

— Christus horę uns! Christus, erhore uns! Herr erbarme Dich unser!

\*

Ewa krzycząc przebiegła między rzędami modlących się chłopów nawołując rozdzierającym głosem:

— Jancsi! Syneczku!

Ale Jancsi nie odezwał się z żadnej ławy.

\*/ C h r i s t u s... (niem.) — Wysłuchaj nas, Chryste! Wysłuchaj nas, Chryste! Panie, zlituj się nad nami!

\*\*

Piątego sierpnia Gergely przywitał wschodzące słońce pod zamkiem Sirok. Świeciło mu wprost w oczy. Nie tylko jemu, ale i dwustu pięćdziesięciu dziarskim junakom. Właściwie nawet nie słońce przywitał, tylko dostrzegł jakiś oddział na drodze i czapką przysłonił sobie oczy.

Oddział jechał wprost na nich.

Gergely jadąc konno na czele swoich chłopców pierwszy ujrzał posuwające się w nieładzie wojsko, uzbrojone w dzidy i szable.

Co to mogą być za jedni? — medytował. — Turcy nie. A może Węgrzy? Ale skąd? Węgrzy od strony Egeru? Nie, to niemożliwe!

Serce przeszła mu myśl: może Dobo opuszcza Eger?

Wszak z królem Ferdynandem nigdy nic nie wiadomo. Tylko obiecuje pomoc... Obiecanki cacanki... W ten sposób straciliśmy Lippe i Temesvar w ciągu ostatniego roku.

Kto wie, czy Szolnok jeszcze się trzyma? I jak długo?... Dobo to człowiek przewidujący i mądry... liczyć potrafi... Może już obliczył, że jeden Węgier nie da rady stu Turkom.

Na każdym kroku spotykali księży jadących na wozach. I wszyscy od strony Egeru. Z początku witał ich, ale później widok wozów załadowanych skrzyniami, szafami i worami zniechęcił go i nie ustępował nawet z drogi.

Był do głębi wstrząśnięty przypuszczeniem, że Dobo mógł opuścić Eger. Ale już w następnej chwili odpędził od siebie tę myśl. Nie!



Dobo tak łatwo nie ustąpi! Wobec tego jedno nie ulega wątpliwości, że nie Dobo zbliża się z przeciwnej strony. Może jego wojsko, ale bez wodza!... On trwa na miejscu i jeśli będzie trzeba, odda życie, ale historia nigdy nie będzie miała podstawy twierdzić, że Dobo opuścił powierzona mu twierdzę. Przecież Eger to brama wiodąca na północ! W zbliżających się szeregach nie było widać żadnej chorągwi. Mogło to być jakichś dwustu ludzi... Posuwali się w niewielkich grupach... Gergely ruchem ręki przywołał do siebie Ceceyego, który jechał w tyle i rozmawiał z jakimś starym wojakiem. Pan Cecey z miejsca przerwał gawędę, spał wierzchowca, który skoczył nagle, i stanął obok Gergelya.

— Ja muszę zobaczyć, co to za jedni — zwrócił się do Ceceyego, wskazując na zbliżające się wojsko — ojciec przejmie na ten czas dowództwo.

Spał rumaka i pognął na spotkanie nieznanego oddziału.

Oczywiście szukał dowódcy. Nie widać kołpaka z czaplim piórem. Przystanął więc w odległości kilku kroków przed nimi i podniósł szablę na znak „stój!”

— Jesteście z Koszyc?

Nikt mu nie odpowiedział. Wzrok jego spotykał ich zmieszane spojrzenia. Niektórzy nawet zaczerwienili się po uszy na to pytanie.

— Skądżeście się tu wzięli?

Żadnej odpowiedzi.

— A to co, do licha! — krzyknął Gergely niezadowolony. — Jesteście może żołnierzami niemego zakonu?

Wreszcie jakiś olbrzym o silnie zarysowanej szczęce podniósł nagłym ruchem głowę i odezwał się cierpko:

— Ano, jesteśmy z Koszyc, panie poruczniku, i przychodzimy stamtąd, gdzie jaśnie pan porucznik właśnie idzie.

— Z Egeru?

— Tak. Lepiej, żeby pan porucznik też się nie fatygował dalej. Nie warto. I tak przyjdzie panu porucznikowi zawrócić.

— Czemu? Co się stało?

— To, że tylko kołowata koza sama pod nóż skacze.

— Pod nóż?

— Czy pan porucznik nie słyszał, co się stało w Temesvar?

— Słyszałem.

— Czy pan porucznik wie, że Losoncziego posiekli i naród wymordowali?

— Wiem.

— A czy i to pan porucznik wie, że Dobo nie ma nawet tysiąca żołnierzy?

— Będzie miał więcej.

— A czy pan porucznik wie, że Turcy przedwczoraj zajęli Szolnok? Gergely zbladł.

— Teraz i to wiem. Ale i to wiem, że gdybyście wy tam byli, Szolnok jeszcze wcześniej dostałby się w ręce Turków. Niedołęgi, tchórze! Wracajcie pod pierzyny! I żebyście nie odeszli z pustymi rękami — macie! To dla was wszystkich! Szczury!

I taki wymierzył policzek człowiekowi o wydatnej szczęce, że ten zatoczył się na swego sąsiada.

Równocześnie wyrwał szablę z pochwy i zapewne posiekłby ich, gdyby nie pierzchnęli z drogi.

— Pozdrówcie ode mnie Gyórgya Seredyego — splunął za nimi.

— Życzę mu lepszych żołnierzy niż wy! Gadziny!

Gergely nie spojrział nawet w stronę koszyczan, którzy rozpierzchli się po łące. Zaciął wierzchowca, który po ostrogach swego pana poczuł, że ten aż drży ze złości.

Na trakcie napotkał ciągnący tabor cygański. Czy to uciekające z Koszyc wojsko wywróciło jeden z ich wozów, czy też wóz przypadkiem wpadł do rowu, w każdym razie Cyganie parali się właśnie wyciąganiem go stamtąd.

Gergely spojrział za siebie, jak daleko został w tyle jego oddział. Zatrzymał konia przy cygańskim taborze i czekając na swoich ludzi przyglądał się ciężko pracującym Cyganom — może mu złość przez ten czas od głowy odejdzie.

— Ho! ho! — krzyknął nagle rozradowany. — Przyjacielu! Jeden z kędzierzawych Cyganów stropił się, ale zaraz potem na dźwięk wesołego głosu wyszczerzył zęby. Zdjął czapkę i zbliżył się w pokłonach, bystre, badawcze spojrzenie wpijając w twarz Gergelya.

— Sarkozi! Nie poznajesz mnie?

— A jakże, całuję rączki! Od razu poznałem jaśnie pana! Tylko nazwiska nie mogę sobie nijak przypomnieć, całuję rączki.

— No, zaraz sobie przypomnisz. Ale co ty tutaj robisz? Widzę, nieszczerze ci się powodzi! Wyglądasz jak strach na wróble.

Cygan obejrzał swój strój z wyrazem szczerzej żalości: był oberwany, miał na sobie tylko koszulę i skórzane spodnie, wylatane sukniem w różnych kolorach. A może to były spodnie sukienne, łatane skórą? Wyzierały z nich czerwone łydki i bosc stopy.

— I cóż, Sarkozi, masz konia?

— Skądże, całuję rączki, skądże... I już nigdy nie będę miał.

Chodź, mój stary, ze mną do Egeru. Zapłacę ci tyle, ile każdemu rusznikarzowi. I konia dostaniesz po odsłużeniu miesiąca.

A w dodatku dam ci takie czerwone spodnie, że wszyscy twoi rodacy zżółkną z zazdrości, jak cię w nich zobaczą.

Cygan wyszczerzył zęby. Raz jeszcze spojrzął po sobie, na oberwane spodnie, bosc nogi, potem na Gergelya i podrapał się w głowę:

— Do Egeru, wielmożny panie? Oj, panie, tam będzie gorąco...

— Nie bój się. Możesz pracować w cieniu najwyższej baszty. Będiesz moim naczelnym rusznikarzem — i dodał po turecku:

— Allah iszini rast getirziin".

\*/ A 11 a h.- (tur.) — Niech ci Pan Bóg dopomoże w twojej pracy.

— Jak Boga kocham, jaśnie wielmożny pan Gergely Bornemissza! — krzyknął Cygan, a oczy mu się roziskrzyły ze szczęścia. — Oj, oj, ja bym nawet kopyta koniom jaśnie wielmożnego pana ucałował. Oj, oj, nie na darmo śnił mi się dzisiaj dzięcioł.

— No, wreszcie mnie poznałeś.

— Jakże miałem nie poznać! Przeciem od razu poznał jaśnie pana, tylko nie wiedziałem, kto pan jest, całuję rączki...

— No i co, idziesz ze mną?

Cygan stropił się i znowu poczochnął się w głowę:

— Poszedłbym chętnie, a jakże! Tylko...

— Tylko co?

— Tylko żeby nie ci Turcy przeklęci... — i już oburącz jął się drapać w głowę — żeby ich ziemia pochłonęła albo choć wrona im oczy wydziobała...

— Tymczasem jeszcze ich tam nie ma.

— Ale będą, psie juchy. Gdzie tyle wojska się kręci, tam bywa zawsze gorąco.

— Nic się nie bój, Sarkózi. Ja też tam będę. A gdyby było bardzo źle, pozostanie nam jeszcze droga podziemna z twierdzy do Miskolc.

Gergely rzucił tę uwagę na chybił trafił, wychodząc z założenia, że każda twierdza ma podziemną drogę, ale tego już nie dodał, że wróg

stara się wykryć i odciąć drogę ucieczki. On sam zaledwie tyle wiedział o twierdzy Eger, że Dobo dowodzi tam załogą i Mecxsey go zastępuje. A to byli ludzie, za którymi poszedłby na koniec świata.

Czy to napomknienie o tajnym przejściu tak podziało na Cygana? A może widoki na otrzymanie konia? A może nadzieja na czerwone spodnie? Czy też przywiązanie do Gergelya? Nie wiadomo. Dość, że jeszcze przez chwilę drapał się w głowę, a potem wyraził zgodę na zaciągnięcie się do służby w twierdzy.

— Niech i tak będzie, jaśnie wielmożny panie poruczniku. Zgodziłbym się nawet za darmo służyć, ale jak już mam dostać te buty z ostrogami, to niech będzie. Mogą być nawet trochę dziurawe, byle z ostrogami.

Tymczasem nadciągnął oddział Gergelya i ludzie rozbawieni przysłuchiwali się rozmowie; wesołość doszła do szczytu, gdy Gergely wyciągnął dłoń, a Cygan „dobił targu”.

— No — rzekł Gergely sięgając do kieszeni — masz tu tymczasem denara na zadatek. Do Egeru pojedziesz na moim luzaku, a tam dostaniesz pierwszego z obiecanych koni. I buty będą, ale dopiero po oblężeniu.

Cygan z wigorem skoczył na wierzchowca i bosymi piętami ścisnął mu boki. Odjechał wśród ogłuszającego wrzasku całego cygańskiego obozu. On także odkrzyknął im coś po cygańsku na pożegnanie. Potem poprawił sobie czapkę na głowie, zsunął ją na bakier i wypiąwszy dumnie pierś galopował obok Gergelya.

— De via łaskaw dla mnie, ot jak poprawił moją dolę.

Po upływie kilku godzin, gdy znaleźli się na wzniesieniu drogi prowadzącej do Bakty, przed oczyma jeźdźców ukazały się ogromne wieże twierdzy Eger, kryte zieloną karpiówką. Na wieżach flagi narodowe i czerwono-niebieskie chorągwie miejskie. Twierdzę otaczały potężne białe mury.

Co za piękny zamek! Wokół lasy i winnice w czerwieni i zieleni obfitego urodzaju. W dali za zamkiem wysoka błękitna góra sześciokrotnie przewyższająca Górę Gellerta.

Gergely zdjął czapkę i zwrócił się do swego oddziału:

— Spójrzcie, chłopcy! Nawet Pan Bóg w niebie zachwyca się chyba tym widokiem.

Spiął wierzchowca ostrogami i pognął naprzód. Cygan zastanawiał się przez chwilę, czy zostać na czele oddziału, czy też pojechać za swym

porucznikiem. Zrozumiał jednak widać, że naraża się na pośmiewisko w roli dowódcy, bo klepnął konia po zadzie i ścisnął go bosymi piętami. — Wio, kary!

Rumak galopował podrzucając Cygana raz po raz. Ale ten nie na próżno trudnił się i handlem koni wśród wielu innych zawodów, jakie uprawiał — nie dał się więc zrzucić z grzbietu.

Od strony miasta ciągnęły tłumy uciekinierów. Nad szosą unosiły się kłęby gorącego pyłu. Na wozach kobiety, starcy i dzieci. Niektórzy wlekli się obok naładowanych drobiem i gratami pojazdów. Tu i ówdzie słyhać było kwiczenie świń.

Turcy wprawdzie świń nie zjedzą, bo ze wstrętem patrzą na wieprzowe mięso, ale kto wie, kiedy nadejdzie chwila powrotu?

Mała dziewczynka w czerwonych ciżemkach szła obok wozu trzymając w ręku klatkę z sikorką. To znowu jakaś kobieta dźwigała na plecach drewniane naczynie, jakich się zwykle używa do noszenia wody, a w nim przesadzony w sagan krzak kwitnącej róży. Miało się wrażenie, że odbywa się właśnie powszechna przeprowadzka. Część tych ludzi zapewne nigdy już nie powróci do swoich gniazd. Zwłaszcza ci, co tam w dolinie podążają przez Pstrą Bramę ku Felnemet: wyrobnicy i wdowy. Ci pozostaną na górzystej północy, gdzie konie tureckie jeszcze dotąd nie zostawiły śladów swoich kopyt. Głównym celem uciekinierów były Putnok i Koszyce.

Gergely nie zwracał już uwagi na uciekinierów. Nim kwadrans minął, wjechał galopem przez bramę baktańską, prowadzącą do miasta od zachodu. Rzucając co chwila spojrzenie ku twierdzy, minął cwałem kościół biskupi o potrójnej wieży, na rynku skręcił w bok i pomknął drogą prowadzącą do bramy zamkowej.

Świeżo bielone lśniące czystością mury zdawały się pachnąć jeszcze wapnem.

Most spuszczone. Gergely wpadł na dziedziniec zamkowy jak strzała. Oczywiście poszukał kapitana.

Prosty jak świeca, wysoki, kościsty mężczyzna stał na dziedzińcu naprzeciw grupy kilkuset żołnierzy. Miał na sobie aksamitny dolman koloru fioletowego, u boku szablę, rozszerzającą się ku końcowi, na nogach wysokie czerwone buty, w ręku aksamitną czapkę z orlim piórem. Obok stał ogorzały od słońca jasnowłosy pacholek, trzymając dwie flagi: jedną w barwach narodowych, drugą zaś niebiesko-czerwoną. Po drugiej stronie komendanta stał ksiądz Balint w komży i

ze srebrnym krucyfiksem w ręku. Ze swą białą bujną brodą miał wygląd biblijnego proroka.

Składanie przysięgi przez żołnierzy dobiega właśnie końca. Dobo donośnym głosem skończył uroczyste przemówienie, włożył czapkę na głowę i odwrócił się ku cwałującemu wierzchowcowi.

Gergely zeskoczył z rumaka i z płonącymi oczyma pokłonił się komendantowi.

— Melduję posłusznie panu kapitanowi swoje przybycie.

Dobo przyglądał mu się w milczeniu. Przyglądził długie wąsy i siwą brodę okalającą twarz i milczał dalej.

— Pan mnie poznaje, prawda, panie kapitanie? Nie widzieliśmy się od ośmiu lat. Jestem Gergely Bornemissza, najwierniejszy żołnierz waszmości.

— Gergely! Synu! — zawołał Dobo otwierając szeroko ramiona. — Wiedziałem, że ty nie opuścisz mnie nigdy! — Uściskał i ucałował Gergelya.

— Chyba nie sam przybyłeś?

W tej samej chwili pojawił się na dziedzińcu Sarkózi na swym niesfornym wierzchowcu. Koń podrzucał bosonogiego oberwańca na wysokość pół łokcia.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

Dobo też się uśmiechnął.

— To twoja armia?

— Skąd! — zaśmiał się Gergely. — To mój rusznikarz. Przyda się chyba. Czy nie?

— Tu, synu, każdy człowiek ma cenę złota. Zostaw, jam nie ksiądz — zwrócił się do Cygana, który usiłował pocałować go w rękę.

Ale Cygan nie dał się zbić z tropu. Pocałował cholewę jego buta.

— Ilu was jest? — dowiadywał się Dobo niespokojnie.

— Niewielu — rzekł Gergely z zażenowaniem. — Zaledwie dwustu pięćdziesięciu ludzi zdołałem zwerbować. Oczy komendanta zabłyśły.

— Dwustu pięćdziesięciu? Gdyby wszyscy tylu mi dali żołnierzy, to zapewniam cię, synu, że na polu maklarskim zgotowalibyśmy Turkom gorące przyjęcie.

— Nie śpieszą się więc z pomocą?

Miast odpowiedzi Dobo machnął tylko ręką. Następnie zwrócił się do otaczających go oficerów. Zaprezentował im Gergelya, który znalazł wielu znajomych wśród nich. Zoltayego, którego poznał czternaście

lat temu w Budzie. Nic się prawie nie zmienił przez ten czas. Pozostał tym samym jasnowłosym, smukłym, wesołym młodzieńcem, jakim był. Nie nosił brody, nie był więc żonaty. Drugi znajomy Gergelya to Gaspar Peto, drobny człowieczek o wywoskowanych na sztorc wąsach z ostrymi koniuszkami, niczym widły. Przybył tu z armii królewskiej, podobnie jak Zoltay. U boku Gaspara Peto stał młodzieniec o niebieskich oczach, który gorąco uścisnął dłoń Gergelya:

— Nazywam się Janos Fugedy, porucznik kapituły. Gergely spojrzał na niego uważnie.

— Mam wrażenie, że nie pierwszy raz się spotykamy. Tamten wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

— Nie przypominam sobie...

— Czy to nie ty obdarowałeś mnie uchem wołowym w Siedmiogrodzie?

— Uchem wołowym?

— Tak. Na niedoszłym weselu Furjesa... Na dziedzińcu czeladzi.

— Możliwe, bo rzeczywiście częstowałem pachółków, czym tylko mogłem.

— Mam nadzieję, że teraz będę mógł się odwdziaczyć.

— Jak mam to rozumieć?

— Tak, że poczęstuję cię uchem tłustego paszy. Po tych słowach zwrócił się do Petogo:

— A ty czemuś taki osowiały?

— Po drodze ulotniło mi się dwudziestu chłopów z jazdy. Ale nie ujdzie im to płazem... Jak ich spotkam...

— Nie martw się — machnął ręką Dobo. — Brama otwarta. Kto się boi o własną skórę, niech sobie idzie. Nie trzeba nam tu tchórzów!

Spojrzenie Gergelya padło na księdza Balinta. Nie widział go już od roku. Uściskał i serdecznie ucałował starca.

— Ojciec wielebny nie poszedł z księżmi?

— Ktoś tu musi zostać — odparł stary. — A co robi Cecey?

— Idzie! — krzyknął prawie Gergely. — Młodzi uciekają, a starcy na ochotnika chwytają za broń. Zobaczycie, panowie, jak mój teść wywija szablą, choć ma drewnianą rękę!

Z sieni kościoła wyszedł krępy, krótkoszyi mężczyzna. Był w granatowym dolmanie i spodniach koloru wiśni. Szabla szerokości dłoni z brzękiem uderzała o żółte cholewy butów. Szedł w

towarzystwie ruchliwego starszego pana i już z daleka wymachiwał ręką i uśmiechał się do Gergelya.

Był to Mekksey.

Od ostatniego spotkania z Gergelyem zapuścił brodę i jeszcze bardziej stał się podobny do byka. Ziemia aż dudniła pod jego krokami.

— Ożeniłeś się więc? — uściskał go Gergely uszczęśliwiony.

— Mam już nawet córeczkę. Na imię jej Sarika!

— A kogo uszczęśliwiłeś?

— Błękitnookiego anioła.

— Dobrze. Ale któż to?

— Estera Szunyogh.

— Brawo! A masz jeszcze szablę ze żmiją?

— Mam, ale szkoda mi jej na codzień.

— Gdzie zostawiłeś rodzinę?

— Siedzą w zamku Budetin, póki nie rozniesiemy Turków. — I rzuciwszy spojrzenie na Dobo, prawił dalej: — Namawiałem starego, abyśmy zostawili tu nasze żony, ale on tak się boi o swoją Sari... Nie ma jeszcze roku, jak się ożenił...

Brodaty starszy mężczyzna w okularach, który przyszedł razem z Mekkseym, zwracając się do komendanta, rozwinął arkusz papieru i czytał na głos:

— Mamy osiem tysięcy pięćdziesiąt owiec, czterysta osiemdziesiąt sześć wołów, krów i cieląt, jedenaście tysięcy sześćset jedenaście korców pszenicy i żyta, tysiąc pięćset czterdzieści korców owsa i jęczmienia.

Dobo potrząsnął głową:

— To będzie za mało, panie Sukan.

— I ja tak myślę, panie kapitanie.

— Co damy koniom, jeśli Turcy przetrzymają nas tutaj przez zimę?

Starzec wzruszył ramionami:

— No cóż, panie kapitanie, dostawać będą chleb, jak żołnierze.

— Ile wina mamy?

— Dwa tysiące dwieście piętnaście stągwi.

— I wina będzie za mało.

— Ale to, co mamy, to stare wino. Tegoroczne winobranie już diabli wzięli. I piwa mamy kilka beczek.

— Świnie?



— Sto trzydzieści dziewięć sztuk żywca i dwieście piętnaście boczaków.

Gergely rozejrzał się z uwagą dokoła. Od północy same pałace, od wschodu zaś rozłożysty budynek, zapewne dawny klasztor, obecnie służący za koszary. Obok kościoła czworokątne wieże, płasko zakończone, na nich daszki przykrywające armaty. Gdzie spojrzeć, wszędzie gorączkowa praca: murarze, cieśle, robotnicy z taczkami naprawiają mury, stukają, piłują. Nikt nie siedzi z założonymi rękami. Gergely chętnie wysłuchałby do końca meldunku starego rachmistrza, ale musiał pomyśleć o swym oddziale. Dosiadł konia i wyskoczył za bramę, by przyprowadzić swoich żołnierzy.

Ustawił ich w szyku. Dobo uścisnął dłoń chorążego. Poleciał Mekkseyemu, aby przyjął przysięgę, wyznaczył ludziom miejsce i kazał im dać śniadanie.

— A ty — zwrócił się do Gergelya — przyjdź do nas. Mieszkamy w tamtym jednopiętrowym żółtym budynku. Pokrzep się trochę.

Po uroczystym akcie przysięgi Gergely już ruszył, aby iść we wskazanym kierunku, ale korciła go bardzo chęć zobaczenia twierdzy. Skoczył na konia i objechał ją dokoła.

— To wspaniały zamek — promieniał z radości powróciwszy do kapitana. — Gdybym miał kiedyś zostać oficerem załogi zamkowej, to dalibóg chciałbym osiedlić się tutaj.

Dobo przyjął jego słowa z uśmiechem zadowolenia.

— To jeszcze nic nie widziałeś. Chodź, ja ci pokażę. Gergely Bornemissza zeskoczył z konia.

— Krzysztofie — zawołał Dobo na jasnowłosego pachółka — prowadź konia za nami.

Wziął Gergelya pod rękę i zawiódł go do bramy południowej.

W lewo i w prawo — w pewnej odległości wzdłuż muru — długi szpaler grubych pali tworzył jakby ulicę. Dobo zamierzał w ten sposób zabezpieczyć przechodzących u podnóża murów przed spodziewanym od północy gradem kul.

— Jeżeli chcesz mieć rozeznanie, wyobraź sobie wielkiego żółwia, zwróconego ku południowi. Tu, gdzie teraz stoimy, jest łeb żółwia. Cztery łapy i ogon to baszty. Po bokach są furty dla pieszych.

Przerwał. Krzyknął do strażnicy pod bramą:

— Hej tam na górze! Czuwacie?

Strażnik wychylił się z okienka wieży, odrzucając do tyłu róg zwisający z ramienia.

— Czuwamy we dwóch, panie kapitanie.

— Chodźmy na górę — zwrócił się Dobo do Gergelya. — Ostatecznie, dziś-jutro z tej strony przyjdą Turcy. Rozejrzyj się dokoła, może ci się to przydać.

Mówiąc to, uczynił zapraszający ruch ręką, sam zaś stanął z boku, by przepuścić gościa. Lecz Gergely cofnął się o krok.

— Jestem już po przysiędze, panie kapitanie. — Miało to oznaczać, że nie jest już gościem. Dobo wszedł więc pierwszy. W wieży siedziało dwóch strażników. Oddali im honory.

— Przedstawiam wam porucznika Gergelya Bornemisszę — rzekł Dobo wchodząc do strażnicy.

Żołnierze ponownie oddali honory, Gergely także przyłożył palce do czapki.

Z balkonu wieży południowej widać było dwie wioski i młyn. Pierwsza wioska leżała na odległość strzału od zamku. Za wioskami zaś, pomiędzy rozgałęzionymi pasmami wzgórz, widać było czerwono-zieloną równinę.

— Tam się zaczyna Wielka Nizina — objaśnił Dobo.

— A te dwie wioski pod nami?

— Ta bliższa, składająca się z pięciu domów, to Almagyar. A następna — trzydzieści albo trzydzieści pięć domów — to Tihamer.

— A potoczek jak się nazywa?

— Eger.

— A jeziorko?

— Melegyfsz.

— A brama i ten wysoki mur na prawo od jeziorka? I ten las?

— To zwierzyniec biskupi.

— A czy mury przy bramie są nowe?

— Tak. Ja kazałem je wznieść.

— Dobrze, że takie wysokie. Wątpię, aby Turcy tu podjęli próbę forsowania.

— Dlatego też kazałem je wznieść. Jak widzisz, z lewej strony armata broni bramy, a u góry są blanki.

— We wszystkich zamkach obrona umieszczona jest z lewej strony, bo nacierający wróg także nie w prawej ręce trzyma tarczę.

— Tu, gdyby nawet chcieć, nie dałoby się zrobić inaczej, bo jak widzisz, potok płynie po zachodniej stronie zamku. Tam przy młynie kazałem zamknąć śluzę, abyśmy mieli wodę. Nawet podnieśliśmy nieco łożysko.

Tak rozmawiając przeszli na zachodnią stronę twierdzy, skąd był widok na miasto.

— Co za zawrotna wysokość — zawołał Gergely — mury mają chyba z piętnaście sążni!

— Może nawet i więcej. Z tej strony Turcy nie mają żadnych szans. Od zewnątrz kamień, wewnątrz gruby podkład ziemi. Wątpię, aby nam Turcy tu mogli sprawić niespodziankę.

Dosiedli wierzchowców i konno odbyli dalszą drogę.

W mieście panował spokój, ulice jak wymarłe. Między domami wznosił się kościół i pałac biskupi. Po drugiej stronie zбочa górował kościół Św. Mikołaja, należący do zakonu augustianów.

Od zachodu miasto otoczone było równym masywem górskim, za którym błękitniały postrzępione wierzchołki góry Matra.

Po stronie zachodniej wznosiły się dwie baszty. Pośrodku nieduża, mocna brama. Żołnierze prowadzili właśnie konie do potoku: czas pojenia.

Za potokiem, na rynku miasta, kilku ludzi pędziło trzodę.

— Tu jeszcze są ludzie nie z załogi? — zdumiał się Gergely.

— Są — odparł Dobo. — Aczkolwiek ustawicznie ostrzegam chłopów, żeby uciekali, każdy chce jeszcze sprzedać swoje świnie i rogaciznę.

Przed bramą jakiś oficer o kłujących oczach i kościstej twarzy musztrował z pięćdziesięciu ustawionych kołem żołnierzy.

Wszyscy mieli szable, na głowach rdzawe szyszaki, na ciele kolczugi.

Dwóch z nich stało pośrodku. Porucznik wrzeszczał:

— Cofnij! Cofnij! Ile razy ci mówiłem, durniu, że po cięciu masz cofnąć szablę! Po tak musztrowanym uczniu widać było, że nigdy jeszcze nie służył w wojsku. Był to krępy, mocno zbudowany włościanin z Koszyc, którego Dobo tylko dlatego zatrzymał w wojsku, że szkoda mu było młodej siły marnować przy działach.

— To porucznik Hegedus — powiedział Dobo — człowiek mądry i dzielny.

I krzyknął do żołnierzy:

— Jeśli nie rozumiecie czegoś, to pytajcie pana porucznika. Krępy chłopak opuścił szablę i spojrzął na Istvana Dobo.

— Ja nie rozumiem, panie kapitanie, dlaczego mam cofać szablę.

— Pan porucznik ci wytłumaczy.

— Dlatego, bawole jeden, żebyś miał czym się bronić i żebyś był gotowy do następnego ciosu.

— Ależ panie poruczniku — żołnierz splunął na bok — jak ja kogoś musnę, to on już więcej ręką nie ruszy.

Dobo spał konia lekko ostrogami i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Prawdziwy egerczanin.

Galopem pomknęli wzdłuż murów na północ, gdzie znajdowały się dwa pałacyki kryte gontem, pomalowanym na zielono. Mniejszy budynek był ozdobniej szy, okna miał oszklone, w ołowianych ramach. Większy zaś, coś w rodzaju spichlerza, to klasztor. Dawniej należał do kapituły zamku, obecnie służy za mieszkanie oficerom załogi. Zamiast szkła w oknach zaciągnięte były błony z suszonych żołądków wolic. Za mniejszym pałacykiem tonący w kwiatkach ogród, otoczony zielonym parkanem.

W ogrodzie ławki i altanki. Jakiś spóźniony motyl krążył nad murawą. W ślad za wzrokiem Gergelya, oczy Dobo także spoczęły na różnobarwnych kwiatkach.

— Moja biedna żona tyle się natrudziła pielęgnując te kwiaty... a teraz...

— Gdzie wielmożna pani przebywa?

— Pojechała do mojej siostry. Kobiece spojrzenie niedobrze wpływa na waleczność.

Przez ogród dotarli do wschodniego narożnika zamku.

I tam imponująca wysokość murów. Od spodu wystający skalisty pagórek, ociosany do poziomu chodnika.

— Spójrz — rzekł Dobo — ta baszta usypana z ziemi ma za zadanie chronić to miejsce od kul i równocześnie służyć za ochronę tamtej baszty. Widzisz tamtą basztę? Tam się mieści więzienie — wskazał ręką ku „żółwiemu ogonowi”, na którym wznosiła się baszta imponującej wysokości.

Z tego miejsca otwierał się wspaniały widok na miasto i na porośniętą smukłymi sosnami dolinę, ciągnącą się wzdłuż rzeki. Przy końcu kotliny pięknie położona wieś, tonąca w zieleni. Ta duża wieś to

Felnemet. Dalej już zalesione gęsto góry zamykają dolinę ze wszystkich stron.

Gergely niezbyt długo zachwycił się pięknym widokiem. Uwagę jego przykuwał krajobraz, na tle którego stał zamek. Tam wznosiły się wysokie pagórki, od zamku dzieliła je jedynie przepastna fosa.

— Stąd można spodziewać się ataku — rzekł wpatrując się w skupieniu w pagórek.

— Tak — odrzekł Dobo — i od wschodu, ale tu mury są najmocniejsze i największe działa będą ustawione na tym odcinku.

Przy baszcie, która służyła za więzienie, Dobo zsiadł z konia i rzucił wodze Krzysztofowi.

— Możesz już zaprowadzić konie do stajni — powiedział. Weszli na basztę, z której lufy kolubryny, czterech moździerzy, i jakichś dwudziestu działek ziały ku pagórkowi jak rozwarte paszcze.

Przy działach kędzierzawy, jasnowłosy niemiecki ogniomistrz uczył chłopów:

— Jak ja ci mówię bor, to daj mi bor — pinił się Niemiec. Chłopi z powagą słuchali ogniomistrza. Dobo uśmiechnął się:

— Kuntag, majster Fayrich! Wenn si sagnz bor dann bekommen si kajne pulwer, wajl das bor kajne pulwer ist, sondern wajn.

Władał tak samo językiem niemieckim, jak ogniomistrz węgierskim, ale jakoś się zrozumieli. Krewki ogniomistrz zrzędził dalej:

— Jak ja mówię por, to niech mi nie daje bor, tylko pory-pulwer, czyli proch. Krucifiks donnerwetter!

302

W końcu Dobo wytłumaczył chłopom, że kiedy mistrz Fayrich prosi o „bor”, to trzeba mu dać por, czyli proch, a kiedy żąda por”, to dać mu bor, czyli wino.

Pięciu takich ogniomistrzów było na zamku. Dobo sprowadził ich z Wiednia.

— Zobacz, co za piękne działo! — zwrócił się Dobo do Gergely a, pogłaskawszy lufę. — Nazywa się „Żaba”. Jak zaczniesz rechotać, to Turcy od razu poczują dreszcze.

Działo było całe z brązu, wypolerowane do połysku. Z bukowym, okutym łożyskiem, istotnie wyglądało jak przycupnięta na ziemi żaba. Wolnym krokiem szli dalej, gdzie do samego rogu mocne, wysokie mury o dość dziwnym kształcie otaczały wschodnią część twierdzy.

Z zewnątrz rowy i wewnątrz rowy głębokości dwunastu sążni. Jedynie pośrodku wystawał wąski nasyp pozostawiony widocznie w tym celu, by żołnierze mieli przejście.

— To zewnętrzny zamek — objaśniał Dobo. — Widzisz ten wysoki pagórek, żeby nie powiedzieć górę, na wschodzie? To „Krzeseł Króla”. Nazwa ta pochodzi stąd, że święty Stefan siadywał tu przed swoim namiotem, przyglądając się budowie kościoła. A ten pagórek tu na dole trzeba było rozdzielić na dwie części.

— Rozumiem — Gergely skłonił głowę — to była mądra myśl.

— To był wyczyn Perenyiego przed dwudziestu laty. Na drugim końcu też stoi baszta, baszta Bebek. Tamta narożna wieża służy do tego, aby umożliwić obserwację wroga z tego miejsca, no i oczywiście, żeby go ostrzeliwać.

Mur i tam był podwyższony sążnistym parkanem z wikliny, miejscami nawet nie wyschła jeszcze glina, którą oblepiono pręty. Parkan z wikliny potrzebny był po to, aby wróg nie mógł dostrzec obrońców na szczycie muru.

— A teraz przejdźmy się do kościoła — rzekł Dobo wzięwszy Gergelya pod rękę.

Po kilku zaledwie krokach stanęli przed dwoma budynkami okazałych rozmiarów. Jeden z budynków przypominał klasztor i przylegał do muru kościoła z jedną wieżą. (Dawniej kościół ten miał cztery wieże.) Na bramie kościoła znajdowały się płaskorzeźby, a nad bramą ciosane w kamieniu olbrzymie kwiaty i figury świętych o wyszczerbionych już twarzach. Ale to dziwny kościół, gdzie miast bogobojnych wiernych w nawie leżą wielkie worki ziemi, a na dzwonnicy miast dzwonów stoją armaty, zaś w miejsce organów także działa: organy śmierci.

Na murze kościelnym usypana ziemia tworzy niby zbocze, na którym pasie się koza. Nieco dalej boczne sklepione wejście, wyłożone kamieniem, czarne i zasmolone.

— Może tu się przechowuje proch? — spytał Gergely.

— Tak. Pokażę ci, jaki zapas mamy tu nagromadzony.

— To była zakrystia, prawda?

— Tak. Świetne miejsce do przechowywania prochu.

— Bądź co bądź to wielki grzech, kościół...

— Mnie też jest przykro... Ale cóż? Może właśnie dzięki temu uratujemy twierdzę. Z dwojga złego lepsze to niż dziękczynne modły na cześć Allacha w tych murach.

Weszli. Pomieszczenie przypominało raczej piwnicę aniżeli zakrystię. Wszędzie pełno beczek z cenną zawartością.

— Ile tego jest? — spytał Gergely zdziwiony.

— Dużo — uśmiechnął się Dobo. — Ze dwieście beczek. A może nawet i więcej. Tu trzymam cały zapas prochu.

— Na jednym miejscu? A gdyby nastąpił wybuch?

— To wykluczone. Przed drzwiami czuwa wartownik. Nikt nie ma tu dostępu oprócz starego Sukana i Mekkseyego. A od zachodu słońca do świtu nie wypuszczam klucza z ręki.

Gergely podniósł wzrok ku oknu. Potrójne kraty żelazne chroniły szyby, oprawne w ołowianą ramę.

Naprzeciwko drzwi, gdzie snop światła padał z ukosa, stała kadź po brzezi napęczniona prochem. Gergely nabrał pełną garść i przesypywał między palcami.

— To jest — powiedział — proch do dział. Dobry, suchy.

— Proch do strzelb trzymamy w mniejszych beczułkach — wyjaśnił Dobo.

— Czy ten proch wyrabia się u nas, czy w Wiedniu?

— I u nas, i w Wiedniu.

— Z czego się składa nasz proch?

— Trzy czwarte saletry, jedna czwarta siarki i węgla.

— Miękki węgiel drzewny czy twardy?

— Miękki.

304

To najlepszy zestaw... Ja zwykle mieszam o łyżkę-dwie a\ a wiet^Ji mż to na ogół robią inni.

— Nad kadzią na zasmolonej ścianie wisiał zabrudzony i porozdzierany obraz. Właściwie widać było tylko dwie głowy męskie. Jedna z nich brodata, o smutnym wyrazie, druga tchnąca młodością nachylona nad postacią o smutnej twarzy.

Wokół głów aureole. Od szyi począwszy zwisało zerwane płótno obrazu, a spod spodu jaśniała ściana.

— Przypuszczalnie jest to obraz znad ołtarza — zauważył Dobo. — Może dzieło rąk samego świętego Stefana.

Przed zakrystią dwa konie obracały dwa kieraty. Pod sklepieniem drugiego bocznego wejścia wyrabiano ręczne granaty. Dwaj ogniomistrze nadzorowali pracę.

Gergely przystanął. Obejrzał proch i lont i potrząsnął głową:

— Niedobrze? — spytał Dobo.

— Owszem — wzruszył ramionami Gergely — ale ja proszę o zezwolenie na oddzielny wyrób granatów dla baszty, nad którą ja będę czuwał.

— Masz lepszy sposób? Powiedz. Jesteś człowiekiem uczonym, a nam chodzi o obronę zamku. Wszelkie inne względy nie odgrywają żadnej roli.

— Moje granaty są lepsze. Te tylko skwierczą, huczą... puk!... i koniec! Ja daję do środka „pestkę”.

— Jaką pestkę?

— Małą bombę. Pakuły nasycone olejem, wymieszane z pyłem żelaznym i miedzianym oraz kawałek siarki. Moje bomby zaczynają działać dopiero po wybuchu.

Dobo odwrócił się i zawołał do ludzi zajętych przy granatach:

— Przestać! Pan porucznik Bomemissza zaraz wróci i wyda polecenie, jak macie dalej pracować.

Weszli na wieżę kościelną, zamienioną na basztę.

Ogrodzona była plecionkami z łoży wypełnionymi ziemią. Między tymi odwróconymi koszami, jak w niszach, stały działa. Pośrodku sarta naboji i dół do wyrabiania prochu.

Z wieży wzrok mógł ogarnąć w całości zewnętrzny mur obronny na podobieństwo sierpa obejmujący wschodni odcinek twierdzy; na samym szczycie sierpa dwie baszty zakończone okrągłymi wieżyczkami.

Naprzeciwko muru obronnego widać było okazałe wzniesienie, sięgające do połowy wysokości zamku.

— I tu właśnie na wschodnim odcinku uderzenie powinno być silne — osądził Gergely. — A rano słońce świeci wprost w oczy. Tu trzeba dzielnego dowódcy.

— O tobie myślałem.

— Dziękuję. Nie zawiodę zaufania, panie kapitanie.

Uścisnęli sobie dłonie.



Między działami rozsiadło się szeroko jedno ogromne brązowe. W jego gardle zmieściłaby się kula wielkości głowy. Litery i ozdoby na nim błyszczały złotem.

— To nasza „Baba” — powiedział Dobo. — Przeczytaj napis. Na lufie armaty, pomiędzy wyrytym wieńcem z liści palmowych, widniało zdanie: „Silną twierdzą jest nam Bóg”.

3

Dziewiątego sierpnia słońce nie zaświeciło. Zasnute szarymi chmurami niebo zasłaniało wierzchołki góry Matra. Pogoda była jak twarz rozkapryszonego dziecka, któremu zbiera się na płacz, nie wiadomo tylko dlaczego.

W twierdzy panował ożywiony ruch. Zewsząd słyhać było stukanie. Na Dolnym Rynku cieśle ostrzyli końce pali. Obok żołnierze wiercili dziury w zaostrzonych już palach i układali je w kształt krzyża. Trzecia grupa wiązała złożone krzyże pakułami nasyconymi olejem i smołą. Były to tak zwane „sękacze”, cały ich stos leżał już gotowy.

Przy zakrystii stary Sukan rozważa proch. Chłopi napełniają prochem nieduże woreczki skórzane i dostarczają je kanonierom. Także przy zakrystii, tylko o kilka kroków dalej, ogniomistrz Janos dozoruje napychanie prochem naboju z wypalanej gliny. Wyglądają jak piłki! Z każdej zwisa krótki, bo zaledwie na szerokość dłoni lont. Kładzie się te „piłki” na drucianej kracie, podobnej kształtem do dzisiejszych rakiet tenisowych. Oczywiście „piłki” można rzucać też gołą ręką, nawet kopią. Leży gotowych już jaki tysiąc.

Po obu stronach ku starej bramie ciągnie się długi rząd domów Dolnego Rynku, to koszary. Wokół szlifierzy brusują, ślusarze stukają. Ich zadaniem jest naprawiać broń każdemu, kto się do nich zgłosi. W przestronnych stajniach podziemnych przy Ciemnej Bramie bydło ze smakiem chrupie siano. Ubój odbywa się przy murze. Krew przez dziurę spływa do fosy. Rzeźnicy biją dziennie cztery — pięć sztuk dla załogi.

Gergely stał właśnie na baszcie Sandora. Tu z desek i belek ustawiano rusztowanie, ażeby umożliwić masowy dostęp obrońcom. Same tylko kamienne schody nie pozwoliłyby, w razie konieczności, stawić się ludziom w krótkim czasie na zagrożonym odcinku. Wszystkie pozostałe baszty zostały już zaopatrzone w rusztowanie, ale tu na baszcie Sandora zauważono, że jeden ze słupów się chwieje.

Dobo w otoczeniu swoich oficerów sprawdzał roboty, poruszał każdą belką.

— To musi stać tak mocno — rzekł — żeby wytrzymało ciężar stu ludzi, choćby pociski miały potrzaskać wszystkie słupy. Przybijajcie podpory do każdego słupa. I wybielcie gęstym wapnem.

Trębacz na wieży dał ostry, przeciągły sygnał.

— Co takiego? — zawołał Mekksey do strażnika. — Jesteśmy?

— Idą!

Z tego krótkiego słowa oficerowie zrozumieli wszystko.

— Straż przednia idzie!

Już od kilku dni sznurem rozstawiono posterunki na drodze do Maklar. Żywy teleskop ciągnący się do skraju tego miasta miał za zadanie śledzić każdy ruch wojsk tureckich. I na dalszym odcinku aż do Hatvan szpiegowano Turków. Ludzie pełniący tę służbę byli w przebraniu. Dobo odebrał już meldunek o zbliżaniu się wroga. Porucznik Lukacs zgłosił się na ochotnika, by ze swym dwudziestoosobowym oddziałem jazdy niepokoić przednią straż wroga. Jednakże teraz dopiero stało się powszechnie wiadome, że Turcy dotarli aż pod Abony. Nie ulega już wątpliwości, że wzięli kierunek na Eger, a nie gdzie indziej.

Mekksey skoczył na szczyt muru i rzucił się biegiem ku południowej bramie. Dobo także. Pozostali oficerowie za nimi. Przy baszcie stanęli i przysyłając oczy dłońmi, przypatrywali się traktowi biegnącemu przez odległą równinę od wsi Almagyar i Tihamer wprost do bramy twierdzy.

Drogą z Almagyar cwałował jeździec, ciągnął się za nim tuman kurzu, wzbijanego przez kopyta końskie. Był bez czapki. Czerwony dolman, spięty pod szyją, łopotał za jego plecami.

— To mój żołnierz! Bakocsai!

Bakocsai, który był wspaniałym jeźdźcem, dziwnym zrządzeniem losu służył w piechocie, ale przy każdej nadarzającej się sposobności błagał, aby mu pozwolono dosiąść konia; w ten właśnie sposób wyruszył dziś na podjazd.

Gdy przybył pod twierdzę, widać było, że twarz jego broczy krwią, a u boku konia dynda jakiś kulisty przedmiot przypominający arbuz.

— To mój żołnierz! — tupnął Gergely srodze uradowany. Bakocsai!

Tak, to Bakocsai!

— Bił się — stwierdził z powagą Dobo.

— To nasz egerski rodak — dodał z uznaniem Mekksey.

— Ale mój żołnierz — upierał się wesoło Gergely. — Mój uczeń!

W ślad za Bakocsaim dalszych trzech jeźdźców wyłoniło się z gęstego kurzu. Pozostałych, być może, Turcy zasiekli.

A więc Turcy tuż!

Co odczuwał Dobo, usłyszawszy tę wieść? Niechybnie nastąpi starcie z tą samą armią turecką, która zdobyła najsilniejsze twierdze węgierskie: Temesvar i Szolnok. Zajęte Dregely, Hollokó, Salgo, Bujak, Sag, Balassa-Gyarmat. Turcy zajęli wszystkie twierdze, które oblegali. Hasło, z którym rzucano do boju zastępy tureckie, brzmiało: „Zdobyć i podbić pod jarzmo sułtana wszystko, co pozostało jeszcze z ziem węgierskich”.

Zatem są już blisko. Idą jak burza, jak niszczycielska krwawa wichura, siejąc śmierć i pożogę. Sto pięćdziesiąt tysięcy horda tygrysów, dzikie zwierzęta o ludzkich twarzach. A może nawet jest ich dwieście tysięcy. Większa część od dziecka przysposabiana do strzelania, do włazenia na mury, do walki. Szable mają damasceńskie, pancerze ze stali derbendeńskiej; dzidy ich to arcydzieła mistrzów kowalskich Hindustanu. Działa ich odlewają ludwisarze Europy. Prochu, naboju, bomb i broni mają w bród. Krwawi zbójcy!

A po stronie przeciwnej?

Mała twierdza, zaledwie kilka lichych armat, jakieś tam dziurawe żelazne rurki, falkonety, zwane szumnie działami. Co mógł odczuć Dobo?

Tstvan Bakocsai jak wichur wjechał na dziedziniec zamkowy i zeskoczył z konia. Spocony, pokrwawiony, oblepiony kurzem stanął przed kapitanem Dobo. Na rzemieniu zwisała z siodła obcięta głowa Turka o skreconych wąsach. Na lewym policzku Bakocsaiego czerniała zastygła krew z rany ciętej.

— Melduję posłusznie panu kapitanowi — wyrecytował Bakocsai stuknąwszy obcasami — Turcy idą! Niech ich piorun trzaśnie...

— To tylko przednia straż — odparł spokojnie Dobo.

— Czołówka, panie kapitanie. Głównych sił nie widzieliśmy. Lasy abonyskie zasłaniały. Widać spieszo im. Niech ich piorun trzaśnie! Jak nas wyniuchali, od razu złapali dwóch. Mnie też gonili szmat drogi. Na ostatku ten w smole kapany...

— A gdzie twoi towarzysze? Bakocsai spojrzął ku bramie.

— Myją się w potoku, tam do pioruna!

— No, Bakocsai — powiedział Dobo — od dziś jesteś dziesiętnikiem. Idź, napij się trochę wina... tam do pioruna... — dorzucił uśmiechnięty.

Na dziedzińcu wszyscy tłoczyli się wokół konia, by obejrzeć obciętą głowę, którą Bakocsai trzymał za warkocz i pokazywał dumnie.

\*\*

Na wieść o zbliżaniu się Turków w zamku zaroilo się jak w ulu.

Wszyscy tłoczyli się wokół Bakocsaiego, by usłyszeć jego głos i zobaczyć odciętą głowę. Przybiegły nawet kobiety z kuchni. Wspinając się na palce za gromadą żołnierzy i rzemieślników, słuchały opowiadania dzielnego junaka i trwożnie patrzyły na głowę pogańską, z której jeszcze kapłała krew.

Oczywiście zbiegowisko powstało dopiero wtedy, gdy Dobo opuścił dziedziniec i w otoczeniu wyższych oficerów skierował kroki ku pałacowi: tam przystanęli i odbyli naradę.

Bakocsai głowę Turka zawiesił na gałęzi, sam zaś usiadł na zydelku, by własną głowę poddać zabiegowi cyrulika.

Trzynastu było cyrulików w zamku: czterech mistrzów i dziewięciu czeladników. Bynajmniej nie tylko do golenia zarostów i strzyżenia włosów. O nie! Poważniejsze czekało ich zadanie: obmywanie i zszywanie ran. W całym kraju, jak długi i szeroki, nie ma tylu lekarzy, co w Egerze. Każdy cyrulik pełni bowiem funkcję lekarza.

Wszystkich trzynastu cyrulików rzuciło się na Bakocsaiego, aby ani słowa nie uronić z jego opowiadania. Przede wszystkim ściągnęli z niego dolman i koszulę.

Mistrz Peter był najstarszy pośród cyrulików. On więc wziął się do obmycia rany. Jeden z pomocników trzymał glinianą miskę pod brodą ranego, drugi zaś garnek ciepłej wody nad głową.

Rzetelnie zabrali się do dzieła.

Bohater dnia cierpliwie znosił mycie głowy i nacieranie alunem, ale gdy jęli zaszywać długą ranę, zerwał się, kopnął zydelek, odepchnął od siebie cyrulika, pomocników i ze straszliwym przekleństwem znikł w koszarach.

— Tam do pioruna, przeciem ja nie dziurawa koszula!

Z framugi okna zgarnął pajęczynę i przyłożył ją do rany. Sam owinął głowę, po czym spokojnie pokrzepił się słoniną, popił winem, rzucił się na siennik, i z miejsca zasnął.

Prawie w tym samym czasie jakiś chłop zajechał do twierdzy. Był w burce, a na głowie miał czarny kapelusz z podwiniętym rondem. W ręku sękaty kij niewiele niższy od swojego właściciela. Nie zsiadając z konia, zawołał na jakąś kobietę:

— Który to będzie pan kapitan?

— Tamten, o! — pokazała palcem niewiasta. — Ten wysoki, co tam idzie przed golarzami. Zaraz go poznać po piórku.

Chłop spojrział we wskazanym kierunku. Wszyscy cyrulicy, jak ich było trzynastu, mieli pełne ręce roboty. Oficerowie kazali sobie poobcinać włosy do skóry. Długich pukli włosów, spadających do ramion, łatwo ima się ogień. Zresztą podczas oblężenia kto będzie miał czas na czesanie?

Chłop zsiadł z konia. Przywiązał go do najbliższego drzewa. Sięgnął do worka i wyciągnął zapieczętowany list.

Pośpieszył za kapitanem Dobo.

— Przywiozłem list, panie kapitanie!

— Od kogo?

— Od Turków.

Twarz kapitana spochmurniała.

— Jak śmiałeś? — krzyknął. — Albo może jesteś Turkiem?

Przybysz przeraził się nie na żarty.

— Skądże, łaskawy panie! Jestem z Kalba.

— A czy ty nie wiesz, że Węgier, co wozi listy wrogów, to zdrajca?

I zwrócił się do żołnierzy:

— Pilnować go!

Dwóch żołnierzy zbrojnych w dzidy wystąpiło i stanęło przy chłopie z dwóch stron.

— Panie! — błagał. — Zmusili mnie!

— Mogli cię zmusić, abyś wziął list od nich. Ale nie do tego, żebyś przywiózł.

Dobo nakazał trębaczowi dać sygnał na zbiórkę, splótł ramiona na piersi i czekał pod lipą, na gałęzi której zwiślała głowa Turka.

Po upływie zaledwie kilku, minut zebrała się cała załoga twierdzy. Oficerowie skupili się wokół kapitana. Żołnierze stali w szyku. Na samym końcu cywile, mężczyźni i kobiety.

Dobo zwrócił się do zebranych:

— Dlatego was wszystkich wezwałem, bo Turcy przysłali nam list. Ja nie mam zwyczaju prowadzić korespondencji z wrogiem. Odsyłam z

powrotem każdy list, albo tego, kto ośmiela się doręczyć mi list wroga, zmuszam do połknięcia go. Tym razem każę odczytać pismo i natychmiast odesłać dalej, do króla. Niechaj się przekona na własne oczy, że potrzebujemy pomocy. Turcy depczą nam już po piętach. Ja i bez czytania wiem, co zawiera list. Groźbę i gotowość do pertraktacji. Gróźb się nie boimy. Pertraktować nie będziemy... Ojczyzna nie jest do sprzedania za żadną sumę! Abyście jednak na własne uszy usłyszeli, co wróg ma nam do powiedzenia, każę list przeczytać.

Podał list Gergelyowi. Przekonał się, że jedynie on potrafi każde pismo odcyfrować od pierwszego rzutu oka.

— Czytaj na głos.

Gergely stanął na kamieniu. Złamał pieczęć, strząsnął popiół z papieru i rzuciwszy spojrzenie na podpis jął czytać:

wysyła pasza Ahmed z Kaal.

Witam Istvana Dobo, kapitana twierdzy Eger.

Ja, pasza Ahmed, główny doradca potężnego i niezwycięzonego sultana, główny dowódca jego niezliczonych, traktujących wroga sił zbrojnych, podaję Ci do wiadomości, iż potężny sultan wiosną tego roku wyprawił na Węgry dwie armie. Jedna zajęła Lippe, Temesvar, Csanad, Szolnok i wszelkie twierdze i zamki, które znajdowały się w okolicach rzek: Korós, Maros, Cisy i Dunaju. Druga armia zajęła Vesprem, Dregely, Szecsen i całe tereny nad Ipolyem. Te armie równocześnie rozbiły dwie armie węgierskie. Nie ma bowiem siły, która by mogła się nam przeciwstawić. A teraz nasze zwycięskie armie połączą się pod twierdzą Eger. Z woli potężnego i niezwycięzonego sultana ostrzegam was, abyście nie śmieli się przeciwstawić Jego Sułtańskiej Mości. Schylcie pokornie głowę przed Jego wolą, otwórzcie bramy przed paszą, którego do was wysyłam, poddajcie mu twierdzę i miasto Eger.

— Jeszcze czego! — zahuczało zewsząd. — Nie chcemy dalej słuchać! Dość tego!

Dobo jednak nakazał ciszę.

— Wysłuchajcie do końca. Przecież całkiem ładnie brzmią te rzewne melodie tureckie.

Jeżeli moje życzliwe rady znajdą u was posłuch, to na Allacha — nie doznacie z naszej strony żadnej krzywdy. Natomiast poznacie hojność Jego Sułtańskiej Mości, a ja zapewnię wam wolność, z jakiej korzystalistście za czasów waszego króla.

— Nie chcemy tureckiej wolności! — ryknął stary Cecey. — Wystarczy nam węgierska wolność! Na te słowa wybuchł ogólny śmiech. Gergely czytał dalej:

Roztoczę nad wami opiekę...

— Nasi opiekunowie idą!!! — krzyknął Gaspér Peto. Teraz i Gergely nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Jedyne kapitan Dobo stał ponury.

Zaręczam wam to moją własną pieczęcią. Ale biada wam, jeżeli nie znajdzie u was posłuchu. Narazicie się bowiem na gniew potężnego sułtana i wówczas zginiecie wszyscy straszliwą śmiercią, wy i dzieci wasze.

Odpowiedzcie mi natychmiast.

Odpowiedź była zaiste natychmiastowa: gniewna wrzawa.

— Kpimy sobie z jego potężnego sułtana! My im pokażemy!... Dokoła rozognione oburzeniem twarze. Gergely zwrócił list kapitanowi Dobo. Zgiełk ucichł. Dobo nie musiał stawać na kamieniu, i tak górował nad tłumem.

— Otóż — rzekł głosem metalicznym, nie bez goryczy — to pierwszy i ostatni list turecki, który w tej twierdzy został przeczytany. Chyba zrozumieliście wszyscy, w jakim celu go przysłał pasza turecki. Niesie nam wolność z tureckich szabel i armat. Nie chcecie takiej wolności? To poobcinam wam głowy. Musimy na ten list dać godną odpowiedź! Oto moja odpowiedź! Zgniół list i rzucił w twarz chłopu.

— Jak śmiałeś go przywieść, ty zbójcu plugawy! Zwrócił się do żołnierzy.

— Nałożyć mu kajdany! I do lochu nikczemnika!

4

Po przeczytaniu oburzającego listu Dobo wydał swoim oficerom polecenie:

— Za pół godziny spotkamy się w pałacu.

Sala napelniła się wcześniej. Jeśli się kto spóźnił, to tylko dlatego, że chciał się przebrać w strój świąteczny. Wszyscy przeczuwali, że list był pierwszym dzwonem na trwogę.

Dobo czekał jeszcze na Istvana Bakocsaiego i jego towarzyszy i na powrót Lukacsa Nagya z jego dwudziestoczeroosobowym oddziałem. Chyba nie wpadli w ręce Turków? To byłby zły początek...

Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami stał przy oknie, a wzrok jego błędził po domach rozpościerającego się w dole miasta. Jak ładnie

wyglądały te białe domy! Samo miasto było wyludnione. Tylko pod pałacem i nad potokiem krząta się załoga twierdzy: żołnierze pojący konie i nosiwody; jakaś kobieta w żółtej chustce na głowie wychodzi właśnie z bramy. Na plecach tłumok. Dwoje drobnych dzieci czepia się jej spódnicy. Idzie ku zamkowi tak szybko, że malcy ledwie dotrzymują kroku matce.

— Ta też idzie do zamku — mruczy Dobo z niechęcią.

Giermek stoi u boku kapitana. Jest w dolmanie barwy błękitnej. Ma dziewczęcą twarz i długie włosy — wygląda jak panienska w przebraniu chłopięcym. Tylko ręce ma silne, dzień w dzień ćwiczy w rzucaniu kopią.

Dobo zwrócił się do chłopca, pogładził jego sięgające ramion włosy:

— No, Krzysztofie, nie śniło ci się, że jesteś w domu? Chłopak zamrugął.

— Wstydzilibym się, panie kapitanie, gdybym miewał takie sny.

— Radzę ci obciąć włosy, synu.

Spośród giermków jedynie Krzysztof pozostał w zamku. I to też tylko dlatego, że ojciec napisał do kapitana, by chłopca nie odsyłał do domu. Krzysztof miał macochę, która go nie lubiła. Dobo traktował go jak własnego syna. Pozostałych giermków wyprawił do domu. Byli to czternasto- szesnastoletni chłopcy, dla których dwór kapitana był niejako szkołą rycerską. Byli jeszcze za młodzi do czynnej walki.

Poza Krzysztofem Dobo miał jeszcze jednego pupilka wśród dworzan: Balazsa Balogha, syna jednego z poruczników fratra Gyórgya, zamordowanego rok temu. Balazs był świetnym jeźdźcom, choć nieco młodszy niż Krzysztof. Odjechał z zamku płacząc. Bolało go, że Krzysztofowi pozwolono zostać, a jemu nie.

— Odprawiają mnie jak jakiegoś szewczyka — narzekał. — Czemu tobie pozwolono zostać? Czy jesteś lepszy niż ja? Jak wrócę, to będziemy rzucać kopią do celu. I zobaczymy!

— Balazs, co ty wygadujesz? Nie myślisz chyba, że ja się przyczyniłem do twego odejścia? — przeraził się Krzysztof. I z miejsca pobiegł do kapitana, aby go ubłagać:

— Panie kapitanie, niech Balazs zostanie! Dobo był jednak nieubłagany.

— Nie. Jego matka jest wdową. Ma tylko jednego syna. To jednak. W domu matka dmucha i chucha na niego! Nie mówmy o tym więcej!



Kapitan Dobo oddał Balazsa pod opiekę Lukacsa Nagya, by po drodze zawiózł chłopca do matki.

— Gdzie ten Lukacs się podział? — Dobo spojrział na Mekkseyego.

— Obawiam się, że wpadł w potrzask — potrząsnął głową.

— Nie sędzę — uśmiechnął się Mekksey. — Jestem dziwnie spokojny o ludzi małego wzrostu. Jestem przesądny i wierzę w to, że małym ludziom nic złego się nie stanie na wojnie.

— Wręcz przeciwnie! — wtrącił Gergely. — Człowiek mały nigdy nie czuje się tak pewny na koniu, jak wysoki. Małego prowadzi koń, wysoki natomiast prowadzi konia.

— Dlatego tak mówisz, bo jesteś wysoki.

Odźwierny zameldował, że patrol wrócił ze zwiadów.

Dobo spoważniał.

Za chwilę siedmiu chłopaków w żółtych butach z ostrogami stuknęło obcasami na środku sali. Byli świeżo umyści. Jeden, z mokrą jeszcze głową, wystąpił:

— Melduję posłusznie panu kapitanowi, wróg jest już tuż, pod Abonyem.

— Wiem o tym — odparł Dobo. — Mamy tu nawet już pierwszego Turka. Bakocsai przywiózł.

Głos jego był karcący.

Żołnierz nosił barwy miasta, niebiesko-czerwone. Głośno oddychał i wyciągnął szyję.

— Panie kapitanie, ja mógłbym przywieźć nawet trzy głowy.

— To czemu nie przywiozłeś?

— Tylko dlatego, panie kapitanie, bo wszystkie trzy rozwaliłem. W sali rozległ się ogólny śmiech. Z siedmiu żołnierzy czterech było obandażowanych. Dobo także się uśmiechnął.

— Nie z głowami tureckimi bieda, synu, tylko z waszymi głowami. Waszym zadaniem było przeprowadzić zwiad i przekazać mi wiadomości, a nie wdawać się w potyczkę. Żołnierz porucznika Bornemisszy uprzedził was, pierwszy przywiózł wiadomość. A dla was ważniejsze było umyć się, zmienić koszule i podkręcić wąsy. Antalu Komłósi, jaki z ciebie żołnierz?

Komłósi zwiesiwszy głowę spoglądał przed siebie. Czuł, że kapitan ma rację. Nagle poderwał głowę:

— Pan kapitan zobaczy jeszcze, jaki ze mnie żołnierz.

Dwóch ludzi nie powróciło ze zwiadu. Turcy ich złapali. Dobo wyznaczył nowy zwiad, ale zakazał wszelkich starć z Turkami. Co godzinę mają składać dyżurnemu oficerowi meldunek o ruchach wroga. Odprawiwszy ich usiadł przy stole.

Przez ten czas oficerowie zebrali się już w wielkiej sali: stali w luźnych grupkach. Pięciu ogniomistrzów także było obecnych, podobnie jak i ksiądz Balint, rozmawiający cicho ze starym Ceceym. Niektórzy oglądali portret biskupa Miklósa Olaha, który ze sfałdowanym czołem patrzył w bok swymi oczami sowy. W dłoni trzymał modlitewnik, a jako tło do portretu służyła twierdza Eger z czasów, gdy miała tylko jedną wieżę. Na ciemnej ścianie sali wisiała również podobizna króla Janosa. Właściwie poznać go można było tylko po żółtej brodzie. Następny obraz tonął w mroku, zaledwie nos i jedna strona twarzy były widoczne, no i napis w samym dole: „Perenyi”.

— Przyjaciele, jak słyszeliście, nastąpiło to, czego się spodziewamy już od lat — zaczął wreszcie Dobo wśród uroczystej ciszy, doniosłym, metalicznym jak dźwięk wielkiego dzwonu głosem.

— Mój przyjaciel, kapitan Mekksey, podał mi przed chwilą stan sił obronnych naszej twierdzy. Wprawdzie rzeczy te są wam znane, uważam jednak za wskazane podać je dziś jeszcze raz do waszej wiadomości. Proszę cię, Gergely, czytaj.

Wyciągnął spis ku Gergelyowi, który łatwiej sobie radził z literami i cyframi niż stary Lukacs.

— Stan załogi twierdzy Eger w dniu dziewiątego sierpnia tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku... — zaczął Gergely, lecz Dobo przerwał mu, wtrącając:

— To znaczy, że w dniu dzisiejszym.

— ...przedstawia się jak następuje: w aktywnej służbie dwustu jeźdźców i tyluż piechurów, siedemdziesięciu pięciu chłopów zwerbowanych z Egeru i ośmiuset z okolicy; pan György przysłał dwustu ludzi...

Mekksey potrząsnął głową:

— Zostało z nich najwyżej pięćdziesięciu — i spojrzał na mrugającego porucznika o kościstej twarzy.

— Nie moja to wina — zachnął się. — Ja zostałem — i zabrzczał szablą.

Dobo zwrócił się do niego pojednawczo;

— Ależ przyjacielu Hegediis, nie o tobie mowa! I Hunyadi miał marnych żołnierzy. Gergely czytał dalej:

— Z Koszyc zgłosiło się dwustu powstańców. Zresztą to najlepszy dowód — i zwrócił się wprost do porucznika Hegediisa — że w Koszycach też są dzielni ludzie. Niemi zakonnicy dostarczyli czterech drabantów, egerska kapituła zaś dziewięciu.

— Co? Dziewięciu? — warknął Tomasz Bolyky, porucznik strzelców z Borsod — przecież mają powyżej stu żołnierzy.

— Nawet za wynagrodzeniem nie chcieli dać więcej — stwierdził oschle Dobo.

Filgedy, porucznik kapituły, wstał. Dobo nakazał mu jednak milczenie.

— Proszę cię, nie teraz. Nie dali? To ich rzecz! Miasto Eger leży w okręgu Heves, twierdza zaś w komitacie borsodzkiem. Za potokiem zaczyna się Heves, a tu jesteśmy w Borsod. Czytaj dalej, Gergely, tylko szybko.

Gergely czytał dalej jednostajnym głosem. Spis wojaków był długi. Wolne miasta Saros, Gómor-Szepes, Ung wszystkie wystawiły po oddziale drabantów. Prałat z Jasza sam jeden dostarczył czterdziestu chłopów. Tu zabrzmiało głośnie wiwatowanie na sali.

Wreszcie Gergely podniósł głos:

— Jest nas razem dwa tysiące bez stu ludzi. Dobo powiódł okiem po siedzących przy stole i wzrok jego zatrzymał się na Hegediisu.

— Do tych dwóch tysięcy możemy jeszcze doliczyć ludzi, których przyjąłem do służby zamkowej: trzynastu golarzy, ośmiu rzeźników, trzech ślusarzy, czterech kowali, pięciu cieśli, dziewięciu młynarzy i trzydziestu czterech chłopów do obsługi dział. W czasie oblężenia wszyscy oni mogą chwycić za broń. Nie zapominajmy poza tym o Lukacsu Nagyu, którego wysłałem na podjazd z grupą dwudziestu czterech ludzi w dniu świętego Jana. Lada chwila mogą powrócić — rzekł, kierując wzrok na Mekkseyego.

I ciągnął dalej:

— Tak przedstawia się sprawa. Jest nas niemało, ale oczekuję jeszcze poważnych posiłków od jego królewskiej mości.

Stary Cecey energicznie machnął ręką i mruknął coś pod nosem.

— No, no, drogi Cecey — spojrział nań Dobo — teraz jest inaczej, niż dawniej bywało. Król dobrze wie, iż jeśli Eger padnie, to koronę może schować do komory.

— To byłby koniec Węgier — dorzucił posepnie Mekksey, stojący u boku kapitana Dobo.

— Ale za to będziemy mieć Niemca — warknął Cecey.

— Wojsko królewskie nadchodzi podzielone na dwie armie — kontynuował Dobo. — Jakies pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a może nawet sto tysięcy dobrze karmionych i hojnie opłaconych żołnierzy. Na czele jednej armii stoi książę Maurycy saski, drugą dowodzi książę Maksymilian. Jego królewska mość zapewne dołoży wszelkich starań, aby nie tracąc czasu pośpieszyć nam z pomocą. Dziś Eger stał się hasłem bojowym wojska królewskiego.

— Kto chce, niech wierzy — mruknął Cecey.

— Ja wierzę! — odciął się Dobo. — I proszę waszmości, aby mi nie przerywał. Mój poseł, Miklós Vas, dziś jeszcze wyrusza ponownie do Wiednia, i gdyby armia królewska nie była przygotowana do wymarszu, to poseł przekaze wieść o przybyciu Turków.

Z kolei zwrócił się do Gergelya:

— Zaraz po naradzie napiszesz prośbę do jego królewskiej mości i przytoczysz list paszy tureckiego. Przedstawiaj sprawę tak, ażeby każdy, kto ma ręce i nogi, nie zostawał dłużej w Wiedniu, lecz śpieszył do Egeru.

— Tak jest, mości kapitanie.

— Nie mamy żadnych powodów po temu, aby z ciężkim sercem patrzeć w przyszłość. Prochu i żywności mamy dość. Posiadamy w twierdzy cztery tysiące owiec. Większa część już uwędzona. Czteryście pięćset sztuk bydła rzeźnego. Zboża osiemset trzydzieści pięć korców, częściowo przemielonych na mąkę. Mamy wszystkiego w bród: choćby i cały rok wytrzymamy. Gdyby król wysłał tylko swoją armię siedmiogrodzką, tobyśmy Turków prędko wyprawili na łono Mahometa. A teraz przeczytaj drugi spis — rzekł Dobo do Gergelya.

I Gergely czytał:

— Działa: jedna kolubryna, dwie bombardy: „Żaba” i „Baba”. Trzy działa od króla, cztery od Gabora Perenyiego, jedno od Benedeka Seredyego.

— Prochu nie przeważyliśmy. Byłoby to w naszych warunkach trudne — wtrącił Dobo. — Mamy jeszcze z zeszłego roku i od króla też dostawaliśmy. Zakrystia po brzegi wypełniona prochem gotowym. Poza tym mamy sporo saletry i młyn — jak będzie trzeba, to i sami potrafimy zemleć proch.

Gergely podjął czytanie:

— Pięć starych haubic miedzianych, murołomy i pięć haubic żelaznych. Od jego królewskiej mości pięć murołomów miedzianych. Dwadzieścia pięć odlewów do murołomów i bombard, dwie dubeltowe bombardy z Pragi, pięć moździerzy.

— Możemy godnie odpowiadać Turkom. Ale to jeszcze nie koniec. Czytaj!

— Trzysta miedzianych i żelaznych hakownic. Z Pragi i z Csetnek dziewięćdziesiąt trzy zwykłe strzelby, sto dziewięćdziesiąt cztery strzelby niemieckie.

— To nic warte! — ryknął Cecey. — Dobry łuk lepszy od najlepszej strzelby.

Na ten temat powstała sprzeczka. Starzy przyznawali słusność Ceceyemu, młodzież była zwolenniczką strzelb.

W końcu Dobo przeciął dyskusję tym, że i strzelba dobra, i łuk dobry, ale najlepsze jest działo.

Giermek Krzysztof postawił na stole arcydzieło sztuki złotniczej: mały krucyfiks. Na ramieniu trzymał płaszcz i stanął za plecami kapitana.

Gergely czytał jeszcze przez jakiś czas. W spisie wyliczone były kopie, piki, zbroje, różne naboje, czekany, szpadle, obuszki, lonty, dzidy i wszelki sprzęt wojenny, znajdujący się na terenie twierdzy.

Gdy Gergely zamilkł, Dobo wstał.

Włożył na głowę złocisty szyszak, na ramiona zarzucił purpurowy kapitański płaszcz z aksamitu i oparłszy lewicę na głowicy szabli, przemówił:

— Drodzy przyjaciele i towarzysze broni. Mury obronne widzieliście, a teraz wiecie już, co znajduje się wewnątrz murów. Los naszej ojczyzny jest ściśle związany z losem tej twierdzy. Salę zaległa cisza. Oczy wszystkich spoczywały na Dobo.

— Jeśli Eger padnie, to ani Miskolc, ani Koszyce się nie obronią. Te drobne zameczki Turcy połkną jak nic. I wówczas historia wpisze państwo węgierskie do księgi umarłych.

Ponurym wzrokiem powiódł dokoła i ciągnął dalej:

— Twierdza Eger jest silna, ale na przykładzie Szolnoka widzimy, że siła murów tkwi nie w kamieniu, lecz w sercach! Tam byli żołdacy, im chodziło o żołd, a nie o obronę zaniku. Tu tylko nasi kanonierzy są

najemni, ale to ludzie dzielni. Tu wszyscy bronią swojej ojczyzny. Jeśli będzie trzeba, to do ostatniej kropli krwi.

Niech przyszłe pokolenia wiedzą, że Węgrzy, co tu żyli w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym drugim, zasłużyli na miano Węgrów.

Wdzierające się przez okno promienie słońca oświetlały broń na ścianie i zbroje ustawione wzdłuż ściany. Złocisty szyszak kapitana połyskiwał w blasku. Gergely stał u boku Dobo: spojrzął na okno i uniósł dłoń do oczu, aby lepiej widzieć swego dowódcę.

— Po to wezwałem tu waćpanów — ciągnął dalej Dobo — ażebyście spojrzeli w siebie. Kto więcej ceni swoją skórę aniżeli przyszłość narodu: brama jeszcze otwarta. Ja potrzebuję mężczyzn! Wolę kilka lwów niż dużo zajęcy. Kto drży przed nadchodzącą burzą, niechaj opuści salę, zanim przystąpię do sedna sprawy. Musimy bowiem złożyć przysięgę, że obronimy zamek. I to taką przysięgę, żeby ten, kto ją złamie, bał się stanąć przed obliczem Boga.

Rozejrzał się wokół i milcząc trwał w oczekiwaniu.

Na sali panowała cisza.

Nikt się nie poruszył.

Po obu stronach stały świece. Giermek je zapalił.

Dobo po chwili podjął dalej:

— Musimy sobie ślubować w imię wiekuistego Boga na następujące punkty:

Podniósł arkusz papieru ze stołu i czytał:

— Po pierwsze: każdy list nadesłany przez Turków bez czytania zostaje spalony na oczach całej załogi.

— Przyrzekamy! — rozległo się w sali.

— Po drugie: gdy Turcy zajmą miasto, zaniechamy wrzasków, nawet ich krzyki zostaną bez odpowiedzi z naszej strony.

— Przyrzekamy!

— Po trzecie: po obsadzeniu miasta zabrania się prowadzenia rozmów i zbierania się w grupy. Nawet prowadzenie rozmów szeptem we dwójkę albo we trójkę jest wzbronione.

— Przyrzekamy!

— Po czwarte: podoficerowie bez wiedzy poruczników, porucznicy bez zlecenia dwóch kapitanów nie wydadzą wojsku żadnych rozkazów.

— Przyrzekamy!

U boku Fiigedyego rozległ się głos:

— Proszę o głos!

Był to Hegedlis, porucznik Serśayego. Twarz miał rozognioną.

— Słuchamy! — zgodził się Dobo.

— Proponuję, ażeby dwóch kapitanów działało w porozumieniu z porucznikami. A jeśliby się tak złożyło, że choćby jeden z poruczników zwrócił się do kapitanów bądź w sprawie obrony, bądź w innej ważnej sprawie, by nie odmówiono mu odbycia narady.

— Zgadzam się, ale tylko w przerwach między natarciami.

— Przyrzekamy! — huczało zewsząd.

Dobo podjął na nowo:

— Ostatni punkt: śmierć temu, kto choć słówkiem wspomni o możliwości poddania zamku, prowadzić będzie rozmowy na ten temat lub w jakikolwiek inny sposób osłabiać ducha bojowego.

— Śmierć takiemu! — wołano z płonącymi oczyma. — Nie oddamy twierdzy! My nie żołdacy najemni! My nie z Szolnoka! — huczało dokoła.

Dobo zdjął z głowy złocisty szyszak. Przyglądził długie, przyprószone siwizną włosy, dał znak księdzu.

Ksiądz Balint powstał i podniósł mały srebrny krucyfiks.

— Ślubujemy razem — rzekł Dobo.

Wszyscy obecni wysunęli ku krucyfiksowi podniesione do przysięgi ręce.

— Przysięgam na Boga jedyngo... — zaczął ksiądz.

— Przysięgam na Boga jedyngo — rozległo się uroczyście w sali.

— ...że oddam swoją krew i swe życie za ojczyznę, za króla i dla obrony zamku Eger. Nie odstraszy mnie żadna siła, żaden fortel. Ani złoto, ani obietnice nie zachwieją mego postanowienia. Nie wspomnę nigdy ani słówkiem o oddaniu zamku. I słuchać nie będę, gdyby inni o tym mówili. Na czas obrony zamku ślepo podporządkuję się rozkazom zwierzchnictwa. Tak mi dopomóż Bóg!

— Tak mi dopomóż Bóg! — zabrzmiało echem.

— A teraz sam złożę przysięgę — zawołał Dobo, przykładając dwa palce do krucyfiksu. — Przysięgam, że żyć będę tylko dla dobra zamku i ojczyzny, że do ostatniej kropli krwi będę walczył w obronie twierdzy. Przysięgam, że będę z wami w najgroźniejszych chwilach! Przysięgam, że twierdza nie dostanie się w ręce pogan. Pókim żyw, ani twierdzy, ani sam siebie nie poddam wrogowi. A jeślibym tego ślubowania nie dotrzymał, niechaj ziemia wyrzuci moje ciało, niechaj

dusza moja nigdy nie zazna spokoju, niechaj mnie Wszechmogący na wieczne potępienie skaże! Na sali zabłyśły szable i zawołano jednym głosem:

— Ślubujemy! Ślubujemy! Z tobą razem!

Dobo włożył na głowę szyszak i usiadł.

— Bracia — rzekł wzięwszy do ręki arkusz papieru — teraz musimy jeszcze uzgodnić rozmieszczenie straży na murach. Nie należy ustawiać równych sił na wszystkich murach, bo od strony miasta i od strony nowej baszty teren jest prawie równy, nieco tylko pagórkowaty. Musimy zatem silniej obsadzić baszty wschodnie i północne, bo tamten teren jest górzysty. Wróg tam zapewne umieści swoje działa i będzie usiłował rozbić mur, aby utorować sobie drogę do twierdzy.

— Nigdy mu się nie uda rozbić muru — machnął ręką Cecey.

— No, no — odparł Dobo i ciągnął dalej: — Wezwałem więc do twierdzy całą rzeszę cieśli i murarzy z myślą, że to, co wróg zniszczy w dzień, naprawią w nocy. Tam będzie najwięcej roboty. Zresztą rozmieszczenie załogi może się zmieniać podczas oblężenia wedle potrzeby.

— Jak zarządzicie, mości kapitanie, dobrze będzie — słychać było z sali.

— Według mojego zdania obronę musimy podzielić na cztery grupy. Jedną przy bramie, drugą na odcinku wieży narożnej, trzecią w twierdzy zewnętrznej, czwartą na północy, dokoła baszty więziennej. Odpowiednio do tego na cztery części podzieli się również załoga wewnątrz zamku. Tą załogą będzie dowodził kapitan Mekksey. Podczas oblężenia według jego rozkazów zmieniać się będą oddziały. Jemu podlega także obrona wewnętrznej twierdzy.

— A od strony miasta? — zapytał Hegedus.

— Tam postawimy tylko nieliczne jednostki. Przy bramie wystarczy dwudziestu ludzi. To wąska brama dla pieszych, tam Turcy na pewno nie przypuszczą ataku.

Dobo podniósł drugi arkusz ze stołu.

— W ten sposób mniej więcej rozdzieliłem załogę: przy starej bramie, na odcinku od głównej bramy do nowej baszty, będzie stale czuwało stu drabantów, na baszcie więziennej stu czterdziestu i jeden oficer. Wzdłuż baszty Sandora stu dwudziestu, nie licząc ludzi przy bramie. A od baszty do bramy stu pięciu.



— To razem czterystu sześćdziesięciu sześciu — stwierdził Gergely.  
— Na obu wieżach kościoła po dziesięciu drabantów. To wewnętrzna obrona twierdzy.

— Czterystu osiemdziesięciu sześciu — liczył Gergely na głos.  
Dobo ciągnął dalej:

— A teraz zewnętrzna obrona. Od baszty Csabi do baszty Bebek dziewięćdziesięciu chłopów. Stamtąd do wieży narożnej stu trzydziestu. Od starej bramy do wieży narożnej pięćdziesięciu ośmiu. Jest tam wąski mur, który łączy wewnętrzną twierdzę z zewnętrzną. Tam straży potrzebna nie tyle broń, co bystry wzrok. Toteż tam wystarczy trzydziestu ośmiu drabantów. — Tu rzucił spojrzenie na Mekkseyego i ciągnął dalej: — Tam umieścimy słabych i tych, co odniosą rany podczas oblężenia.

— Ośmiuset bez jednego — rzekł Gergely.

— A teraz, jak podzielić oficerów? Co do mnie, chcę być wszędzie.

Na sali rozległy się wiwaty.

— O przydziale Mekkseyego już wspomniałem. Z czterech poruczników jeden będzie przy starej bramie. Tam potrzebna jest siła i nieustraszona odwaga. Przypuszczalnie Turcy będą chcieli właśnie tamtędy się wdrzeć. Tam trzeba będzie stanąć oko w oko ze śmiercią. Gaspar Peto wstał i uderzył się w pierś.

— Zgłaszam się na to miejsce.

Głośne okrzyki zagłuszyły słowa

Dobo, widać było tylko, że skinął głową na znak zgody.

Stary Cecey podszedł do Gaspara Peto i podał mu lewą rękę.

— Poza tym — dodał Cecey — największe niebezpieczeństwo grozi przy zewnętrznej twierdzy. Turcy na pewno będą usiłovali zasypać fosę. Tam też trzeba oficera o wielkim, patriotycznym sercu i odwadze, który by się nie bał spojrzeć śmierci w oczy.

Pozostali trzech porucznicy zerwali się z miejsc.

— Jestem! — zawołał Bornemissza.

— To ja! — zawołał Fiigedy.

— Ja! — zawołał Zoltay.

— Nie kłóćcie się — uśmiechnął się Dobo — wszyscy trzech tam będziecie.

Ogniomistrzom już przedtem wyznaczono stanowiska. Dobo był zdania, że potrzebny jest jeden jeszcze starszy ogniomistrz. Kto to ma być?

Żaden z oficerów nie znał się na armatach. Tak więc Dobo przyjął na siebie funkcję starszego ogniomistrza.

Ponowny wybuch wiwatów wstrząsnął ścianami sali, a ponieważ oczy wszystkich skierowały się na kanonierów, ci, zaniepokojeni, pytali się wzajemnie:

— Was ist das? Was ist das?

Bornemissza zwrócił się do nich po niemiecku:

— Meine Herren! Kapitan Dobo wird der Ober bum-bum sein. Verstanden?

Potem Dobo kazał zatrąbić na apel. Na dziedzińcu odczytał całej załodze pięć punktów ślubowania. Następnie uprzedził żołnierzy, by ci, co odczuwają strach, opuścili twierdzę i swoją postawą nie zarażali innych, gdyż — jak twierdził — to choroba zaraźliwa niczym dżuma. Może nawet jeszcze bardziej. W ciągu ułamka sekundy może udzielić się innemu. A twierdza w nadchodzących ciężkich dniach będzie potrzebowała ludzi silnych i dzielnych.

Potem kazał rozwinąć chorągiew i objąwszy ręką drzewce zawołał:

— Ślubujcie!

Jak gdyby w odpowiedzi na to wezwanie zabrzmiało uderzenie dzwonu w bazylice zamkowej.

Jedno tylko uderzenie. Potem nastąpiła cisza.

Wzrok wszystkich skierował się ku miastu. Głos dzwonu brzmiał jak krzyk trwogi. Pełna napięcia cisza zaległa twierdzę, miasto i okolicę.

5

Wieczorem tego dnia Dobo podejmował u siebie wszystkich, którzy razem z nim składali przysięgę.

Przy jednym końcu stołu siedział Dobo, przy drugim Mekksey. Po prawicy Dobo zajął miejsce ksiądz Balint, po lewej stronie zaś Cecey. Obok księdza chwacki Peto, człowiek z piekła rodem o wąsach wywoskowanych na szpikulce. Zaszczytne miejsce słusznie mu się należało. Brat jego, Janos Peto, dostojnik dworski, piastował stanowisko podczaszego. Dostał się do twierdzy za sprawą brata, który zresztą przysłał z Wiednia proch i pięciu ogniomistrzów. Pozostali oficerowie zasiedli przy stole według hierarchii i wieku: Zoltay — jasnowłosy, smukły, o cokolwiek przymrużonych oczach, jak gdyby w rzucie oszczepem mierzył do celu, ale z nieustającym uśmiechem na twarzy; potem Bornemissza; Fugedy — przysadzisty, z olbrzymią głową i czupryną jak druty; następnie Farkas Koron,

porucznik piechoty z Abauj, młody, śniady człowiek o wydatnej szczęce; Balint Kendi i István Hegedlis, porucznicy; György Seredy, który przywiódł z sobą pięćdziesięciu drabantów; Lőrinc Fekete — z krótko ostrzyżonymi i mimo młodego wieku siwiejącymi włosami; ten, przybył z Regec z piętnastoma chłopami, Mihály Lókós, duże chłopisko o łagodnym jak u dziecka spojrzeniu, którego wolne miasta wysłały ze stuosobowym oddziałem piechoty; Pál Nagy, człowiek śmiały i niebywale silny, porucznik trzydziestu drabantów Györgya Batorego; Marton Jaszay, porucznik czterdziestu drabantów proboszcza z Jasza, wyglądający jak gorliwy żak, z czarnymi, gładko zaczesanymi włosami; Marton Szency, porucznik z Szepes, który przysporzył obrońcom czterdziestu piechurów, cokolwiek brzuchaty, krótkoszyi mężczyzna o kłującym spojrzeniu; Mihály Bór, wyborny strzelec, dowodzący siedemdziesięciu piechurami z Sarospatak, człek o rzadkich blond włosach i marzącej twarzy, jak gdyby wiecznie zasłuchany w pozytywkę lub wpatrzony w księżycową poświatę; z Ugocsy przybył György Szalacsy, o nogach jak słupy, z tłustym podbródkiem, lecz o srogim spojrzeniu; dalej Imre Nagy, uprzejmy młodzik, patrzący na wszystkich z głębokim szacunkiem. Gaborowa Homonnay wysłała go z osiemnastoma piechurami. Z Eperjes przybył Antal Blasko, człowiek o silnej budowie, kąśliwym wejrzeniu, z twarzą okoloną kędzierzawą brodą, przyodziany w niebieski strój, z ciężką szablą u boku.

Wszyscy wyżej wymienieni są w randze poruczników. Dalej siedzą kolejno: Jób Paksy, najroślejszy oficer w szeregach króla, i Tomasz Bolyky, porucznik dowodzący pięćdziesięcioosobowym oddziałem strzelców. Ci dwaj ostatni przybyli najpóźniej. Dalej siedzą Janos Sukan, stary rachmistrz, Imre-skryba i klucznik, pełniący także funkcję piwnicznego, Mihály-skryba i oficer aprowizacyjny (albo, jak go wówczas zwano, kamasznik, gdyż on wydawał buty), Mihály Gyóngyósy, skryba biskupa (zamek był własnością biskupa), skryba Boldizsar i jeszcze kilku. Dobo bowiem gościł u siebie nie tylko oficerów, lecz na znak szacunku dla mieszkańców twierdzy zaprosił jednego dziesiętnika, jednego piechura oraz szlachcica i wieśniaka z Egeru.

Do stołu podawało pięciu służących Dobo, pomagali im także ordynansi wyższych oficerów.

Za plecami Dobo stał giermek, Krzysztof Tarjani; on usługiwał swemu panu, podawał półmiski i napełniał kielich.

Był dzień piątkowy. Wieczera zaczęła się więc od szczupaka w sosie chrzanowym, sandacza smażonego, następnie podano suma i jesiotra. Na zakończenie były łazanki z serem i kompot z suszonych owoców.

Czemu oszczędny skądinąd Dobo wydał tę ucztę? Jako zakończenie uroczystej przysięgi? Albo może po to, by zapoznać się z oficerami? A może chciał przy szklance zbadać hart ducha? Nastrój był początkowo uroczysty, kościelny prawie. Powaga świętej przysięgi nie znikła jeszcze z czoła zebranych. Śnieżnobiałe obrusy, srebrna zastawa z herbem Dobo, zwisająca nad stołem na łańcuchu rzeźbiona beczułka i bukiety jesiennych kwiatów potęgowały uroczysty nastrój.

Biesiadnicy zachowywali powściągliwość nawet wtedy, gdy z misternie rzeźbionej beczułki lało się do kielichów rubinowe wino. Uroczyste słowa Dobo jeszcze wibrowały w zakamarkach dusz, jak głos dzwonu wibruje mimo ciszy w uszach.

Po rybie służba zmieniła talerze. Oczekiwano, że Dobo wzniesie toast na cześć swych gości.

Dobo jednak z wyrazem zmęczenia na twarzy siedział w fotelu obitym czerwoną skórą. Może był zdania, że to ani imieniny, ani wesele, lecz kolacja, którą on, kapitan i głównodowodzący obroną zamku, po złożeniu przysięgi wydaje na cześć swych oficerów.

Wśród ciszy zalegającej salę nagle zabrzmiał wesoły śpiew kobiet zajętych wypiekiem chleba.

Dobrze jest mieszkać na skraju wsi,  
Na samym skraju wsi. Luby mój przychodzi,

Co dzień przychodzi  
Koniki poić, koniki poić

I mnie kusić,  
By go pokochać, chce mnie zmusić.

Jak za dotknięciem różdżki rozchmurzyły się twarze. Bo i jakże! Patrzeć w przyszłość z troską, podczas gdy kobiety ze śpiewem na ustach witają nadchodzący czas.

Mekcsey podniósł puchar stojący przed nim i powstał:

— Drodzy przyjaciele! — zaczął. — Czekają nas ciężkie dni. Może sam Pan Bóg siedzi w oknie, bo rad by widzieć, jak dwa tysiące ludzi toczyć będzie walkę z dwustutysięczną armią. Mimo to nie tracę nadziei. Tchorzów nie ma wśród nas. Jak słyhać, tam na dole nawet

kobiety pośpiewują sobie wesoło. Obecność dwóch ludzi wśród nas napawa wszystkich ufnością i daje pewność zwycięstwa. Nawet ślepy nie może mieć co do tego wątpliwości. Znam ich obu od młodzieńczych lat. Jednego z nich Pan Bóg stworzył, aby był nam przykładem węgierskiej dzielności. Jest mocny i szlachetny jak klinga z hartowanej stali. Drugi z nich, którego także znam od dzieciństwa, może służyć za symbol roztropności, dzielności i przytomności umysłu, bohaterstwa i bystrości. W obecności tych dwóch nie ma się czego obawiać. Ich siła i spryt sprostają wszelkim zadaniom. Tam gdzie są oni, obecna jest węgierska odwaga i węgierska chwała. Tam nie grozi żadna porażka. Pragnę, abyście ich poznali, tak jak ja ich znam: Istvana Dobo, naszego kapitana, i Gergelya Bomemisszę, naszego porucznika.

Dobo wstał, kolejno stuknął się kielichem ze wszystkimi i stojąc odpowiedział na słowa Mekkseyego:

— Drodzy bracia! Gdybym był nawet płochliwy jak jelen, którego byle sfora psów gończych napęlnia strachem, stawilibym czoło tam, gdzie w grę wchodzi los mojego narodu. Przykład Jurisicsa dowodzi, jaką siłę stanowi najmniejsza nawet twierdza, jeśli znajduje się w rękach ludzi dzielnych. Nasza twierdza jest silniejsza niż Kószeg, toteż i my musimy być silniejszymi. Ja dobrze znam wojsko tureckie. Wąsy jeszcze mi nie wyrosły, kiedy byłem już pod Mohaczem i widziałem dzikie hordy Sulejmana. Wiercie mi: dwadzieścia osiem tysięcy Węgrów stratowałoby tę stutysięczną horde, gdyby się znalazł choć jeden jedyny człowiek, który by umiał pokierować bitwą. Niestety nie znalazł się taki. Wojsko zostało rozmieszczone nie według pozycji nieprzyjaciela, lecz według widzimisię jakiegoś oficera. Biedny Tomory, godny chwały bohater, nie nadawał się na dowodzącego armią. W jego mniemaniu sztuka dowodzenia polega na okrzyku: Za mną! Odmówił więc zdrowaśkę, zaklął na czym świat stoi i zawołał: Za mną! Szeregi nasze popędziły na Turków jak wichry. Turcy rozpierzchli się jak spłoszone stado gęsi. My zaś z istic węgierskim zapalem rzuciliśmy się naprzód i nadzialiśmy się na armaty nieprzyjacielskie. Armaty i kule z łańcuchami dokonały tego, czego siła ludzka nie mogła dokonać. Zostało nas zaledwie cztery tysiące z dwudziestu ośmiu. Z tego potwornego nieszczęścia możemy wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy, że armia turecka to nie zastępy bohaterów, lecz zbieranina. Zwerbują byle hołotę, aby tylko ilościową

przewagą wzbudzić strach. Drugi zaś wniosek jest taki, że Węgrzy, choćby ich było niewielu, zdołają odepchnąć i pobić Turków, jeżeli oprócz odwagi żołnierza mieć będą i rozsądek, który jest najlepszą tarczą.

Siedzący wokół stołu z pełną napięcia uwagą słuchali kapitana. Dobo ciągnął dalej:

— Biorąc na rozum, w naszej sytuacji musimy niezłomnie wytrzymywać ataki, dopóki nie nadejdzie armia króla. Wróg będzie ostrzeliwał miasto, będzie usiłował rozwalić umocnienia, być może uda mu się nawet przemienić w gruzy mury, które nas chronią. Ale my musimy stawiać czoło. I podobnie jak mury nas chronią, my będziemy bronić murów. Wróg wspinający się na mury spotka nas w każdej szczelinie. W naszych rękach spoczywa los narodu węgierskiego i nigdy nie pozwolimy go sobie wydrzeć! Przenigdy!

— Nigdy! Nigdy! Przenigdy! — wołali wszyscy, zrywając się z miejsc.

— Dziękuję wam, żeście przyszli z pomocą — ciągnął dalej Dobo. — Dziękuję, żeście przynieśli swoje szable i swoje serca, gotowe bronić ojczyzny. Wierzę niezachwianie, że Pan Bóg wzniesie rękę nad miastem Eger i nakaze mrowiu pogańskiemu: „Dość! Ani kroku dalej!” Niechaj moja wiara będzie źródłem zasilającym wasze męstwo. A jeśli tak będzie, nie ulega wątpliwości, że tu, na tym miejscu, wyprawimy ucztę zwycięską.

— Tak będzie! — rozbrzmiewało zewsząd; stukano się srebrnymi pucharami.

Po Istwanie Dobo wstał ruchliwy porucznik Peto. Uśmiechnął się podnosząc kielich, potem spoważniał. Poruszył szyją w prawo, potem w lewo, wreszcie przemówił:

— Kapitan Mekksey wierzy w kapitana Dobo i w Bornemisszę. Oni zaś wierzą w nas i w mury. Wobec tego i ja powiem, w co wierzę.

— Słuchamy! słuchamy!

— W tym roku padły już dwie nasze twierdze: Temesvár i Szolnok.

— A Vesprem?

— Vesprem nie miał obrońców. Dlaczego padły dwie mocne twierdze? Przyszłe pokolenie powie: „Dlatego, że Turcy byli silniejsi.” A tak nie jest. Temesvar padł dlatego, że bronili go żołdacy hiszpańscy. Szolnokowi zaś bronili Hiszpanie, Czesi i Niemcy. Obrońcy Egeru to ani Hiszpanie, ani Czesi, ani Niemcy. Nie licząc pięciu

ogniomistrzów, wszyscy tu jesteśmy Węgry z krwi i kości, a na dodatek przeważająca część jest rodem z Egeru. To są lwy broniące swoich własnych nor. Ja wierzę w krew węgierską.

Twarze rozognione. Brzęk pucharów. Na tym mogłoby się skończyć przemówienie Petógo, ale on z gadatliwością urodzonych mówców ciągnął dalej:

— Naród węgierski to krzesiwo. Im mocniej się je pociera, tym mocniej iskrzy. Do stu piorunów! Czyż dwa tysiące chłopów, co już z matczynej piersi wyssali bojowość, co węgierską pszenicą się karmili, co pili słynne czerwone wino węgierskie — czy dwa tysiące takiego chłopów nie dałoby rady tym w smole kąpanym warkoczarzom Mahometa, co całe życie tylko wodę żłopią?

Słowa Petógo zagłuszyły wiwaty, brzęk szabel i śmiech, ale on ponownie dziarsko podkręcił wąsa i tak zakończył:

— Eger było dotąd miastem zacnym, skupiskiem Węgrów borsodzkich i heveskich. Daj Boże, żeby się teraz stało miastem chluby i chwały węgierskiej! Pogańską krwią napiszemy na murach:

„Precz od Węgier!” Aby po stuleciach, gdy na ruinach zamku zielenić się będzie mech odwiecznego pokoju, przyszłe pokolenie, chyląc czoło z poczuciem głębokiej dumy, mogło rzec: „Tu walczyli nasi ojcowie. Chwała ich prochom!”

Na te słowa rzucono się, by uściskać mówcę, i powstał taki zgiełk, że niesposób było mówić dalej.

Ale widać on sam nie zamierzał dalej przemawiać. Usiadł i podał rękę Tomaszowi Bolykyemu, porucznikowi oddziału z Borsod.

— Tomasz — rzekł — gdzie my dwaj będziemy, tam zrobimy siekaninę z bisurmanów.

— Tak mi do serca przemówiłeś — Tomasz mocno uścisnął wysuniętą dłoń — żem gotów rzucić się na stu choćby warkoczarzy.

Po Peto już nikt nie czuł się na siłach, by wygłosić toast. Kilkakrotnie wywoływano nazwisko Gergelya, ale bezskutecznie. Jako człowiek zamknięty w sobie nie przywykł do wygłaszania przemówień. Tak więc zaczęły się pogawarki między sąsiadami; salę nappełnił wesoły szum i szcęk pucharów.

Dobo także się rozchmurzył, trącał się kielichem to z tym, to z owym sąsiadem, wreszcie przez stół wysunął kielich ku Gergelyowi. Ponieważ ksiądz przysiadł się do Petógo na pogawędkę, ruchem ręki zaprosił Gergelya do siebie.

— Chodź tu bliżej, synu.

Gergely usadowił się bliżej i Dobo tak zaczął:

— Chciałbym pomówić z tobą o chłopcach Tóróka. Napisałem do nich, ale, zdaje się, na próżno.

— Obawiam się — odrzekł Gergely — że ich nie zobaczymy. Jancsi woli walczyć z Turkami na otwartym polu. Feri zaś nie wypuściłby się tak daleko. Uważa, że jego miejsce jest na ziemiach zadunajskich.

— Czy to prawda, że pan Balint zmarł?

— Niestety, tak. Kilka miesięcy temu. Dopiero śmierć potrafiła skruszyć jego kajdany.

— Przeżył jednak swą żonę?

— O dobre kilka lat. Pani Tórók zmarła, kiedyśmy wrócili z Konstantynopola. Właśnie ją chowano, gdy wróciliśmy do Debreczyna.

— Zaczyna to była kobieta — schylił głowę Dobo, zamyślony.

— Tak. Niewiele takich chodzi po tej ziemi — westchnął Gergely.

Sięgnęli po kielichy. Stuknęli się w milczeniu. Może pomyśleli, że ta kobieta anielskiej dobroci, wychyliwszy się z nieba, zobaczy, że na jej cześć piją.

— A Zrinyi? — podjął na nowo Dobo. — I do niego też napisałem, że czekam na niego w Egerze.

— Zrinyi na pewno przyszedłby, ale już od miesiąca ostrzegają go, że pasza bośniacki szykuje się na niego. W lutym rozmawiałem z nim w Csaktornya. Już wtedy wiedział, że Turcy ogromną siłą idą na Temesvar, Szolnok i Eger. Kazał mi napisać o tym do króla w jego imieniu.

Trębacze i fleciści jęli wygrywać skoczną melodię:

Stroi się panna młoda,

Weselna zajeżdża podwoda...

Jak gdyby nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dobo skinął głową; giermek wpuścił muzykantów, trzech flecistów i dwóch trębaczy. Między nimi był nasz Cygan. Na głowie miał zardzewiały szyszak, zdobny w kogucie pióra. U boku zwisała mu goła szabla, przypasana sznurkiem, na bosych nogach olbrzymie ostrogi. Wydymając policzki, co sił dmuchał w klarnet.

Muzykanci mieli powodzenie. Gdy po raz wtóry odegrano piosenkę, z grona poruczników zabrzmiał głęboki baryton:

Znów się wierzby zazielenią,



Znów mój kary koń przed sienią,  
Gdy na grzbiet mu skoczę,  
Szablą krąg zatoczę,  
Płakać będzie Turek,  
Jak dostanie w skórę!

Śpiewał barczysty wojak o tak długich wąsach, że nawet od tyłu można go było po nich poznać.

— Kto to jest? — spytał Gergely szeptem kapitana Dobo.

— To porucznik Paksy, młodszy brat kapitana zamku Komarom.

— Ma dobry głos.

— Iz całą pewnością to dzielny chłopak. Żołnierz, który lubi śpiewać, z reguły dobrze się bije.

— A ten płomienooki młodzik z zakręconym wąsem?

— To Pista Budahazy, oficer sześćoosobowej jazdy.

— Chyba urodził się na wojaka. A ten niższy z bujną brodą? Ten, co sięga właśnie po kieliszek.

— To Ferenc Bay, oficer pięcioosobowej jazdy. Też dzielny z niego człowiek.

— A ten elegant tam obok, z chustą jedwabną na szyi, to też egerczanin?

— Nazywa się Pista Fekete, oficer sześćoosobowej jazdy.

— Prawda, przecież go już poznałem.

Porucznik Paksy chciał zaintonować jakąś piosenkę, ale nie mógł sobie przypomnieć melodii; muzykanci trwali w oczekiwaniu.

Nagle ktoś z obecnych wzniósł okrzyk:

— Niech żyje nasz ksiądz!

— Niech żyje sędziwy obrońca twierdzy! — krzyknął Zoltay.

Cecey udawał oburzonego:

— Ja ci dam „sędziwy”!

— Niech żyje najmłodszy obrońca twierdzy! — krzyknął Peto.

Teraz już i Krzysztof Tarjsni sięgnął po puchar i zarumieniony stuknął się z najbliższymi stojącymi.

— Niech żyje pierwszy Turek — zawołał Gergely — któremu wybijemy zęby!

Wśród ogólnego śmiechu wstał z krzesła czerstwy szlachcic z Egeru. Niebieską oponczę zarzucił na prawe ramię, podkręcił wąsa z jednej i drugiej strony, przygładził czuprynę i powiedział:

— Niech żyje ten, który pierwszy życie odda za Eger! Rozejrzał się i nie stuknąwszy się z nikim, z powagą wychylił puchar do ostatniej kropli.

Nie przeczuwał chyba, że pije na własną śmierć.

Wielki stojący zegar wskazywał właśnie godzinę jedenastą, kiedy wszedł jeden ze strażników i zameldował:

— Melduję posłusznie, panie kapitanie, że Turcy są już w Maklar.

— To tylko czołówka, synu.

— Melduję posłusznie, że nie tylko czołówka. Widziałem ich przy świetle księżyca. Nadciągają całą chmarą. Stąd widać, jak strasznie dużo rozbili już namiotów i rozpalili ognisk.

— Wobec tego jutro będą już tutaj — skinął głową Dobo.

Odprawił strażnika z tym, że rano nie będzie musiał składać meldunku.

Był to znak, że uczta skończona.

Wstał.

Mekcsey zaciągnął Gergelya, Fiigedyego i Zoltayego w kąć sali.

Zamienił z nimi kilka słów i podszedł szybko do kapitana Dobo. Stuknął ostrogami.

— Panie kapitanie, dwustu z nas prosi o pozwolenie na wycieczkę dziś w nocy.

— Dokąd, u diabła!

— Do Maklar.

— Do Maklar?

— Tak. Chcielibyśmy życzyć Turkom dobrej nocy.

Dobo przyglądał węża z zadowoleniem i odszedłszy kilka kroków stanął w wykuszu okna. Mekcsey szedł za nim krok w krok.

— Nie mam nic przeciwko temu, Pista; tego rodzaju wypadki działają budująco na załogę.

— Właśnie o to mi chodzi.

— Duch bojowy daje ręce celność cięcia. Ale ciebie nie puszcę.

Mekcsey zasepił się.

Dobo spokojnie spojrział mu w oczy.

— Ty jesteś zapalczywy jak byk. Rogi wbijasz w każde drzewo, aż pewnego razu złamiesz róg. A przecież ty musisz uważać na swoją głowę na wypadek, gdyby moja spadła. Nie wspominaj o tym nikomu. Ale Bornemissza i inni niech idą. Gergely to człowiek roztropny.

Niech zaleje trochę sadła za skórę czołówce bisurmanów. Zawezwij go tu!

— Ty możesz iść — zwrócił się Dobo do Gergelya, gdy ten zjawiał się za chwilę. — Ale dwustu ludzi to za dużo. Wystarczy osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu. Taki wypad zniecka to dobry pomysł. Wroga trzeba nękać. Wracajcie bez zbytej zwłoki. Uważaj, aby nie było strat w ludziach.

Przez ten czas obstąpili Dobo pozostali oficerowie.

— Panie kapitanie, my też nie chcemy siedzieć bezczynnie.

— Wszyscy przecież nie możecie iść. Sprawę powierzyłem Gergelyowi Bornemissza. On dobierze sobie trzech z was. Reszta niechaj pamięta o przysiędze: bezwzględne posłuszeństwo.

— Peto, Zoltay, Fugedy — wywołał Gergely nazwiska wybranych do akcji.

Pista Fekete tak błagalnie spoglądał na niego, że Gergely zlitował się nad nim.

— A, tak! I Pista Fekete.

— Panie kapitanie — błagał mały Tarjani. — Ja też z nimi pójdę.

Dobo znowu pogładził wąsa.

— Dobrze, ale trzymaj się za plecami pana porucznika Bornemisszy. A jak cię zakatrupią, to mi się więcej na oczy nie pokazuj!

6

Gergely prawie biegiem udał się do kwatery jazdy. Trębacza nie było, więc wystrzeliwszy z pistoletu na szerokim korytarzu, ogłosił alarm.

Chłopcy jak z procy wyskoczyli z łóżek.

— Tu do mnie! — krzyknął Gergely.

Wybrał stu co zwinniejszych.

— Ubierać się! Raz, dwa! Zanim doliczę do trzech, macie być przy bramie na koniach i z szablami! Ty biegnij do zastępcy kapitana i poproś o trochę łańcuszków do pętania wroga. Zabierzesz je z sobą. Każdy z was musi mieć małą strzelbę na kulbace. (Mała strzelba — ówczesna nazwa pistoletu.)

Gergely zbiegł ze schodów i spiesznie skierował się ku stajni. Przy czerwonym świetle lampy zwisającej ze sklepienia spostrzegł jakąś postać w żółtym dolmanie, w szyszaku na głowie; człek ów siedział na dzieźce odwróconej do góry dnem i zajadał arbuza trzymanego na kolanie. Był boso.

Gergely krzyknął:

— Sarkozi!

— Na rozkaz jaśnie pana! — przymilił się Cygan usłudźnie.

— Chodź ze mną, a zdobędziesz wspaniałego konia. Cygan położył arbuz na ziemi.

— Już idę. Gdzie?

— Na Turków — odparł Gergely wesoło. — Teraz śpią. Zaskoczmy ich.

Cygan podrapał się w głowę. Spojrzał na arbuz i usiadł z powrotem na dzieźce.

— Chętnie poszedłbym, wielmożny panie, ale nie mogę — rzekł z powagą.

— Czemu?

— Panie kapitanie, przecież wszyscy złożyliśmy przysięgę, że nie opuścimy twierdzy.

— Ależ, Sarkózi, nie na to przysięgaliśmy. Przysięgaliśmy, że obronimy twierdzę.

— Może inni na to przysięgali — odpowiedział Cygan, podnosząc ramiona niemal na wysokość uszu — ja przysięgałem, żebym zdechł, jeżeli opuszczę twierdzę. Niech mi tak Pan Bóg dopomoże dotrzymać. Pokiwał głową i zabrał się znowu do arbuza.

Wkrótce potem Gergely, Peto, Fligedy i Zoltay galopem pędzili traktem wiodącym do Maklar. Księżyc świecił, niebo było wygwieżdżone.

O pięćdziesiąt kroków przed czołówką jechał Pista Fekete i Peter Bódogfalvi, żołnierz znający drogę. Za Melegviz skręcili w pole. Tam tętent kopyt końskich tłumiała pulchna ziemia. Zdawało się, że stu jeźdźców to sto cieni posuwających się bezszelestnie.

W trzciniowisku pod Andornak ujrzeli pierwsze ognisko tureckiej czaty.

Peter zatrzymał się. Pozostali także.

Sierp księżyca schował się za chmury. Stos drzewa i postacie jak czarne cienie rysowały się na tle bladej poświaty.

Gergely podjechał do Bódogfalwiego.

— Zsiądź z konia. Doczołgaj się do pierwszej straży. Gdyby pies był ze strażnikiem i zaczął szczekać, połóż się na brzuchu i wracaj cicho, aby cię nie usłyszeli. Ale gdyby psa nie było, zakradnij się za plecy strażnika i zadźgaj go. Potem rozejrzyj się. Gdyby w pobliżu nie było drugiej straży, to wsuń w ogień proch zawinięty w liście. Przygotuj to

sobie. Potem zaraz rzuć się na ziemię, aby cię nie zobaczyli, gdy proch wybuchnie.

— A co z koniem?

— Przywiążesz go do tego drzewa. Tu go znajdziesz, gdy wrócimy.

— A gdyby ich było więcej przy ognisku?

— Rozglądaj się bacznie i zapamiętaj, gdzie leżą i gdzie ich jest najwięcej. Potem wracaj jak najszybciej.

Stali jeszcze dobre pół godziny na brzegu potoku w gęstwinie wikliny.

Gergely wydał polecenie:

— Gdy rzuca się do ucieczki, bijcie, tnijcie ich. Pilnujcie, aby się nie oddalić od towarzyszy więcej niż o sto kroków, by nikt nie został odcięty od swoich. Na dźwięk trąbki natychmiast zawracać i jechać do domu. Folgujcie sobie, póki nie usłyszycie trąbki.

Żołnierze obstąpili Gergelya kołem i chciwie wchłaniali każde jego słowo.

Gergely mówił dalej:

— Turcy będą spłoszeni i żadnemu na myśl nie przyjdzie, by stawić opór. A wy uważajcie. Tam walić, gdzie gęsto, aż się rozlecą. Zapamiętajcie sobie raz na zawsze, że ten, co walczy na koniu, musi tak szybko ciąć, żeby wróg nie miał czasu się bronić. Uderzenia mają spadać na nich jak grad. — Gergely zamilkł i nastawił uszu. Po chwili zwrócił się do żołnierzy:

— Gdzie jest „ludołapacz”?

— Jestem, panie poruczniku!

Chłopak słusznego wzrostu wystąpił z szeregu.

— Masz przyrząd?

— Mam. — Mówiąc to, podniósł wysoko coś w rodzaju żelaznego haka na długim kiju.

— Umiesz obchodzić się z nim?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Staraj się złapać jakiego bisurmana. To dopiero byłby sukces, chłopcy, gdyby nam się udało capnąć jakąś wyższą rangę! Tacy zajmują najlepsze namioty. I na pewno śpią rozebrani do koszuli. Postaramy się złowić takiego.

Ponownie nastawił uszu, potem ciągnął dalej:

— Od razu trzeba go skępować, wiążąc ręce do tyłu. Jeżeli uda nam się zdobyć konia, to wsadzimy nań jeńca. Ty, Krzysztof, i ty— Gergely wskazał na chłopca niskiego wzrostu — weźmiecie go

między siebie, przywiązując kantar tureckiego konia do swoich. Gdyby próbował uciekać albo krzyczał, to go w łeb!

— A jeśli nie zdobędziemy konia? — spytał Krzysztof.

— To przywiążecie go do konia i niech tak biegnie. I do twierdzy. Nie czekajcie na nas.

Zamilkli. Noc była cicha. Z winnic dolatywało tylko czasem żałosne brzęczenie jesiennych owadów i postukiwanie kopyt końskich.

— Błysnęło — rozległ się wreszcie czyjś głos. Wszyscy dostrzegli błysk ogniska.

— Wraca — padło po chwili słowo.

Dłonie wszystkich uchwyciły wodze.

Z mroku zarośli wyłoniła się postać Petera. Zbliżał się biegiem.

— Zadźgałem strażnika — wysapał. — Ani pisnął, zwałił się jak worek. Ognisko pali się między namiotami. Jakiś Turek siedzi przy ogniu. W rękę trzyma żółte papucie i smaruje je żółtą farbą.

— To sługa — uśmiechnął się Gergely. — Mów dalej.

— Reszta leży pokotem na trawie, na lewo od ogniska, cała setka.

— Śpią?

— Jak susły.

Gergely zsunął pod brodę zapinkę szyszaka.

— Ano, chłopcy, w miarę możliwości trzymać się na dziesięć kroków jeden od drugiego. Skręcamy. Jak wystrzelę z pistoletu, dajcie ognia i rzućcie się na nich jak wilki. Wycie na całe gardło; bij, zabij!

— Wrzeszczcie, jakby was było co najmniej tysiąc — dorzucił Peto.

Tymczasem i Bódogfalvi wskoczył na konia. Oddział rozproszył się, jadąc na wschód.

Na skraju jechał Peto. Już z oddali można go było poznać po trzech orlich piórach, zatkniętych za szyszak.

Jadą teraz półkolem. Peto przybiera tempo Gergelya, Gergely obejmuje prowadzenie akcji.

Przez pewien czas posuwa się truchcikiem wzdłuż zarośli, potem nagle przechodzi w galop.

Nocną ciszę rozdziera dziki wrzask pierwszego Turka. Strzela z pistoletu do Gergelya. Gergely oddaje strzał. Za chwilę rozbrzmiewa huk stu pistoletów i setka jeźdźców z nieludzkim krzykiem puszcza się cwałem, jak piekielna nawałnica, na pogrążone we śnie wojsko tureckie.

W jednej chwili w gęstwinie namiotów powstaje dzika wrzawa.

Głosy Węgrów i Turków potęgują się na kształt wycia orkanu. Zbudzeni ze snu Turcy w panicznym strachu zrywają się z ziemi i jak opętani biegną między namiotami, tratując i popychając się wzajemnie.

— Bij, zabij! — krzyczy Gergely.

— Allah! Allah akbar! — wyje jakiś Turek.

— Hej, do czarta... — rozlega się czyjś krzyk.

— Krop bisurmanów! — huczy głos Gaspara Peto gdzieś między namiotami.

Wycie tureckie, siarczyste przekleństwa węgierskie. Szamocące się, padające cienie. Świst szabel, łomot toporów, stuk kopyt końskich, rżenie, skowyt psów, trzaskanie namiotów. Ziemia aż dudni pod pędzącymi jeźdźcami.

Gergely rzuca się na zbitą między namiotami gromadę pogan. Tnie w prawo i w lewo. Czuje, że jego szabla za każdym razem trafia w ciało wroga. Turcy walą się pokotem jak skoszona pszenica.

— Allah! Allah!

— Masz, poganinie przeklęty!

Opodal pasie się stado tureckich koni. Uciekający jataganami przecinają pęta i wskakują na końskie grzbiety.

— Chłopcy, za mną! — krzyczy Gergely i atakuje jeźdźców. I tu świst szabel i trzask lanc.

— Allah! Allah!

— Masz na pamiętkę, psiajucho!

Topory idą w ruch. Turcy wskakują na konie. Na niektóre po dwóch. Ci, co zdążyli dopaść koni, pędzą w ciemności przed siebie na oślep.

Gergely nie myśli ich ścigać. Każe trąbić na zbiórkę. Z zaułków między namiotami wyskakują jego ludzie.

— Turcy uciekają! — woła Gergely. — Zabierać, co się da! Koni nie wypuszczać z rąk! Żarem z ogniska obrzucać najbliższe namioty!

Znowu rozbiegli się na wszystkie strony. Gergely otrząsnął krew z szabli i kilka razy przeszył nią płachtę namiotu, by oczyścić ostrze.

— Tfu, cóż to za ohydna robota! — sapał Zoltay, wycierając szablę w podobny sposób.

Po czym, jako że nigdzie nie było widać Turków, Gergely przywołał do siebie Fugedyego.

— Przeszukajmy kolejno namioty!

Przy słabym świetle nie dało się ustalić, który namiot był oficcerski, tym bardziej że namioty te nie bywały jednakowe. Jeden był okrągły, inne miały kształt kwadratowy. Zdarzało się nawet, że właśnie w najbardziej ozdobnych namiotach sypiali żołnierze.

Gergely zerwał właśnie z jednego namiotu buńczuk z końskim ogonem, gdy spostrzegł Krzysztofa.

— No, chłopcze, ilu ich zasiekłeś?

— Dwóch — wydyszał giermek.

— Tylko dwóch?

— Reszta uciekła, zanim zdążyłem.

Żołnierze zdobyli kilka wozów. Naładowali na nie to, co nie mieściło się na koniach: dywany, złożone buńczuki, wysadzaną kamieniami uprząż, skrzynie z drogimi strojami, szyszaki, broń, naczynia kuchenne — co im w ręce wpadło. Kilka namiotów rozebrali nawet zupełnie i rzucili na wozy.

Świtało już, gdy wracali do twierdzy.

Dobo z baszty wypatrywał niespokojnie ich przybycia. Gdyby wycieczka skończyła się porażką, załoga zamku upadłaby na duchu. Zwłaszcza to go niepokoiło, że Gergely do tej akcji zabrał z sobą trzech wyższych oficerów.

Przygnębiona twarz Dobo rozpogodziła się, gdy ujrzał galopującego na przdzie Krzysztofa, załadowane wozy i Gergelya wywijającego już z daleka buńczukiem.

Gdy wracające wojsko przejeżdżało przez bramę, cała załoga witała ich wiwatowaniem i okrzykami radości.

Nie ponieśli strat w ludziach. A nawet liczebność się powiększyła. Jakiś wysoki drągał przywiódł Turka z zakneblowanymi ustami. Turek ubrany był w krótki lejebik, żółte hajdawery, na nogach miał papucie. Turban zleciał mu z głowy, widać więc było ogolony łeb. Bujne białe wąsy osłaniały wargi. Nabiegłymi krwią oczyma wywracał z wściekłością.

Żołnierz zaciągnął go prosto przed oblicze kapitana. Wyrwał z ust Turka knebel, jak się okazało — jego własny turban.

— Panie kapitanie, melduję posłusznie, że języka też przyprowadziliśmy.

— Dureń! — wrzasnął nań Turek, kipiąc ze złości. Dobo nie zwykł się śmiać w takich chwilach, teraz jednak aż się spłakał ze śmiechu.



— No, Varsanyi — rzekł wreszcie do schwytanego — widzę, świetnie udajesz Turka. — Po czym zwrócił się do żołnierza: — Rozwiąż mi ręce, przecież to nasz szpieg.

— Chciałem temu durniowi wytłumaczyć, że jestem Węgrem, ale jak tylko spróbowałem się odezwać, dał mi w łeb. A potem zakneblował mi usta. — Pięściami groził żołnierzowi.

Dumny dotychczas ze swego bohaterstwa żołnierz, teraz zawstydzony, odsunął się na bok.

Dobo przywołał do siebie Gergelya i Mekkseyego. Następnie zwrócił się do szpiega: — Chodź!

Weszli razem do strażnicy nad bramą wewnętrzną. W izdebce strażnika Dobo, rzuciwszy się na splecione krzesło z oparciem, zwrócił się do Varsanyiego krótko:

— Mów!

— Panie kapitanie — zaczął szpieg, rozcierając obolałe ramię — nadchodzi cała armia. Pasza Ahmed idzie na przedzie. Dziś w nocy obozowali w Abony. Czołówkę posłano naprzód do Maklar. Niechże go kule biją!... — dodał zmienionym głosem.

Okrzyk odnosił się do żołnierza, który go porwał z sobą do twierdzy. Sznur pozostawił na przegubie ręki głębokie bruzdy, a czubek głowy bolał jeszcze od otrzymanych razów.

— Beg też był z wami? — obruszył się Gergely. — Szkoda, że nie wiedziałem, moglibyśmy go złapać!

— To by było nie byle co — odparł szpieg — bo to wypasiona sztuka. Waży ze trzy cetnary, a może i więcej.

— Jak się nazywa?

— Manda. Kule się go nie imają. Niedawno został begiem. Po bitwie o Temesvar otrzymał nominację. Żołnierze go nazywają Hajwan.

Gergely z uśmiechem potrząsnął głową.

— To o nim wspominałem onegdaj wieczorem — zwrócił się do dwóch kapitanów. — Miejmy nadzieję, że tym razem kule będą się go imać.

— Mów dalej — rozkazał Dobo szpiegowi.

— Warto wymienić osobę beglerbega Mehmeda Sokołowicza. To wyborny strzelec. On ustawia armaty. Mówią o nim, że oczy jego widzą poprzez mury. Ja w to nie wierzę. To zapewne przesada.

— Ile mają armat?

— Starych murołomów szesnaście. Innych wielkich dział mają osiemdziesiąt pięć. Granatników sto pięćdziesiąt. Moździerzy bardzo dużo. Sto czterdzieści wozów wozi pociski. Wielbłądów jucznych prochem naliczyłem do dwustu. Na wozie zaprzężonym w cztery woły nic innego nie ma prócz marmurowych pocisków wielkości dużego arbuza.

— A jak u nich z żywnością?

— Ryżu mają niewiele. Przydzielają tylko oficerom. Ale mąkę, owce, bydło rabują wszędzie, gdzie przechodzą.

— Czy w szeregach panuje jakaś choroba?

— Nie. Tylko beg Kason zachorował w Hatvan od ogórków.

— Kto jeszcze idzie?

— Beg Arsian.

— Czy to syn byłego paszy w Budzie?

— Tak.

— A kto jeszcze?

— Beg Mustafa, beg Kamber, beg belgradzki, beg z Sendro, beg Derwisz, beg Veli...

— Ho, ho! — krzyknął Mekksey — tego muszę nauczyć śpiewać!

— I tańczyć! — dodał Gergely.

— A beg Derwisz to co za jeden? — dopytywał się Dobo.

— Varsanyi potrząsnął głową.

— Licho go wie! Na oko beg jak to beg, ale przed każdą walką przebiera się w habit z wielbłądziej sierści. Dlatego go nazywają Derwiszbiegiem.

Varsanyi zniechęcony spojrzał na kapitana. Z zadawanych mu pytań zrozumiał, że już inny szpieg go wyprzedził.

— Jaki to człowiek? — nalegał Dobo. — Którą armią dowodzi?

— Jazdą. Ma tylko jedno oko. Dawniej był janczarem i jego prawdziwe nazwisko jest Jumurdzak.

Słyszając to nazwisko Gergely bezwiednie chwycił za szablę.

— Jumurdzak — powtórzył. — Czy pan kapitan go nie pamięta? Z jego właśnie rąk uciekłem jako dziecko. Dobo potrząsnął głową:

— Z tyłoma Turkami miałem do czynienia, że trudno mi ich wszystkich zapamiętać. Nagle stuknął się w czoło:

— Już wiem! Znam go! To brat bega Arsiana. Okrutny pies! I ponownie zwrócił się do szpiega:

— Jaką pełniłeś służbę w wojsku?

— Ostatnio byłem sługą bega Mandy — żeby diabli wzięli tego, co mnie łapał! — i teraz miałbym możliwość donoszenia panu kapitanowi o wszystkich ich zamierzeniach. Zaprzyjaźniłem się z jego sługą, wciąż pętałem się przecież w pobliżu namiotu bega. Pod Hatvan beg zgniewał się na swojego sługę i pobił go. A że mnie często widywał, kazał mi przyjść do siebie, bo ja się już nauczyłem warzyć atrament.

— Co?

— Atrament. Bo Turek pije atrament, jak my wino. Rano, w południe i wieczór pije tylko atrament.

— To na pewno nie był atrament.

— Ależ panie kapitanie... jak mówię, że atrament, to atrament... Gotuje się go z jakiejś fasoli. Jak spróbowałem łyżeczek, to plućem jeszcze na drugi dzień, bo gorzkie to jak piołun. Ta fasola nazywa się po turecku kawa.

Oficerowie wymienili między sobą spojrzenia. Żaden z nich nie słyszał jeszcze o kawie.

— Szczęśliwie się stało, żeś się tam dostał — rzekł Dobo zamyślony.

— A co w wojsku się mówi o Egerze? Czy oceniają twierdzę jako trudną do zdobycia, czy też uważają, że to będzie dla nich igraszka?

Szpieg wzruszył ramionami.

— Po zajęciu Szolnoka, panie, uważają, że cały świat już do nich należy. Mówią, że pasza Ali napisał do Ahmeda, iż Eger to rozklekotana owczarnia.

— To znaczy, że siły paszy nie połączyły się z wojskiem Ahmeda?

— Jeszcze nie.

Dobo spojrział na Mekkseyego. Ten uśmiechnął się tylko.

— Przekonają się wnet, że w tej rozklekotanej owczarni czekają ich nie owce, a rozwścieczone byki. Szpieg ciągnął dalej:

— W armii całe chmary hołoty. Za wojskiem ciągną różni kupcy greccy, ormiańscy, linoskoczki, handlarze koni i Cyganie. Prowadzą z sobą kilkuset niewolników. To przeważnie kobiety z Temesvar. Rozdzielono je między oficerów.

— Łotry — warknął Mekksey. Szpieg prawił dalej:

— Nie ma niewolników w starszym wieku, sami chłopcy, no i woźnice, co wożą pociski. Beg Arsian powtarza w kółko, że egerczanie uciekną, jak zobaczą ogromną armię. Tak samo jak załoga w Szolnoku.

— Co jest uważane za trzon armii?

— Janczarzy i jazda „muselimska”. Minierzy też nadciągają. Minier to po turecku lagumdzi. Mają też kumbaradżich. To ci, co kopią i miotają na twierdzę pociski z wypalanej gliny.

Dobo wstał.

— Teraz idź i odpocznij trochę. Pokaż się załodze, a zwłaszcza strażnikom, aby cię poznali w razie czego. W nocy wrócisz do Turków. Gdy będziesz miał coś do zameldowania, to przyjdź pod mur od strony miasta i daj sygnał gwizdawką. Straż przy bramie zna już twój sygnał.

7

Przez ten czas na rynku zamkowym wystawiano na sprzedaż zdobyty na Turkach łup: pięć załadowanych wozów i osiem bachmatów. „Kamasznika” wyciągnięto z łóżka. Postawiono przed nim stół, a obok ustawiono dobosza. Na wywoływacza ceny wyznaczony został Bódogfalvi.

— Zacznijmy od koni — zaproponował Peto.

— Dwa piękne konie arabskie! — rozpoczął Bódogfalvi swą funkcję wywoływacza.

Dobo polecił Mekkseyemu, aby dla giermków zakupił dwa gniade konie. Mekksey odczekał, żeby ktoś podbił cenę. Nikt się jednak nie zgłosił.

Wszyscy czekali na sprzedaż broni i rzeczy osobistego użytku. W końcu Mekksey nabył wszystkie cztery pary koni za cztery forinty i z miejsca kazał je postawić w stajni.

Przyszła kolej na wozy. Przede wszystkim wyprzedano broń. Za denara czy dwa można było kupić piękną szablę wysadzaną kamieniami lub strzelbę z uchwytem z kości słoniowej. Kobiety na wyścigi podbijały cenę pięknych strojów. Fiigedy kupił dwudziestofuntowy buzdygan, Paksy pięknie haftowany czaprak, Zoltay srebrny szyszak z klapką przykrywającą nos. Przed Mihalyem zebrała się już spora kupka pieniędzy, a on skrzętnie notował, kto co kupił i ile zapłacił.

Kiedy pierwszy wóz opustoszał, Bódogfalvi zawołał wesoło:

— A teraz zabierzemy się do skarbnicy sławetnego króla Dariusza!

I przy pomocy barczystego żołnierza postawił na tyle wozu skrzynię obciążoną skórą cielęcą.

Skrzynia była zamknięta, ale nie było widać ani zamka, ani kłódki. Tak więc po prostu zabrano się do zerwania wieka.

Załoga twierdzy cisnęła się zaciekawiona. Nie spodziewali się co prawda zobaczyć skarbu Dariusza, ale wszyscy myśleli, że skrzynia zawiera wartościowe rzeczy.

Laci Nagy i Gyuri Debróy przybiegli ze swoich karczem, tak jak stali, w niebieskich fartuchach.

— Ja chciałbym kupić kilka srebrnych pucharów — rzekł Debróy — żeby dogodzić panom, jak wstąpią do mnie na winko.

Mówiąc to spojrzął na młodego drabanta o śniadej cerze, który usłużnie sięgnął do kieszeni.

Zapewne niektórzy oficerowie tureccy przywieźli z sobą żony, gdyż na dnie wozów ukazały się stroje kobiece i doniczki na kwiaty.

— Ja chciałbym tylko parę papuci — westchnęła jakaś starowina. — Zawsze słyszałam, że Turcy mają najlepsze papucie na świecie.

Wreszcie udało się oderwać wieko skrzyni. Ku największemu zdumieniu kupujących i gapiów ze skrzyni wyłonił się chłopczyk sześć- siedmioletni. Było to małe, przestraszone, blade dziecko o oczach sarenki. Nic nie miał na sobie oprócz koszuli, a z szyi zwisała mu złota moneta na łańcuszku.

Bódogfalvi zaklął:

— Do jasnego pioruna! A skąd się tu wzięło to diabelskie nasienie? — twarz mu się wykrzywiła w żartobliwym grymasie. Wybuchł ogólny śmiech.

— Zabij bękarta! — ryknął żołnierz z drugiego wozu.

— Tępić w zarodku przeklętych warkoczarzy! — pomstował drugi.

— Wyłaż wreszcie, małpko kosooka! — huknął Bódogfalvi na malca.

Chwycił go za ramię i rzucił na trawę jak worek.

Dziecko zaskomlało.

Wszyscy patrzyli na malca jak na ropuchę.

— Oj, co za brzydka! — zauważyła jedna z kobiet.

— Wcale nie taki brzydki — spierała się druga. Malec stał przestraszony. Piąstkami ocierał z twarzy strumienie łez płynących z oczu. Trwożnie spojrzął to na jedną, to na drugą kobietę. Bał się płakać głośno, tylko pochlipywał.

— Na co czekacie!?! Zabijcie go i już! — domagał się jeden z żołnierzy zacisnąwszy pięści.

Chłopczyk, wystraszony szorstkim głosem, przytulił się do stojącej najbliżej kobiety i schował twarz w jej spódnice. Była to ta sama chuda starowina o orlim nosie, która przed chwilą ze wstrętem

orzekła, że to brzydal; kobieta ta zapewne pracowała właśnie przy wypieku chleba, bo rękawy miała zawinięte po łokcie, a na głowie zawiązaną chustę.

— Zabić, zabić! — wzięła w obronę malca. — A nuż to wcale nie dziecko tureckie? Prawda, synku, żeś nie Turek? Chłopczyk podniósł główkę, lecz nie odpowiedział.

— A co ma być, jak nie Turek — rzekł Bódogfalvi. — W skrzyni leżą jego rzeczy. Patrzcie! Czapka czerwona, lejbik czerwony. A kto by nosił takie spodniki, jak nie Turek. W nogawkach sznur do ściągania, jak przy workach — pieniał się Bódogfalvi, ciskając ubranko malca na ziemię.

— Annem! — zaszlochało dziecko. — Nerede?

— No, widzicie, że to węgierskie dziecko? — zatriumfowała kobieta — przecież wyraźnie mówi „anyam gyeride” \*.

Anyam gyeride (węg.) — właśc.: anyam, gyere ide — mamó, chodź tu.

— Co też Vasowa wygadujecie, to wcale nie Węgier — uśmiechnął się Peto — przecież nie powiedział „gyeride”, tylko „nerede”.

— Jok burda anang. \*(tur.) — Nie ma tu twojej matki.

Na to dziecko na dobre wybuchnęło płaczem.

— Meded, meded! \*(Oj,oj!)

Vasowa uklękła i milcząc włożyła malcowi czerwone hajdawery, czerwoną czapkę, karmazynowe wyblaknięte papucie, fioletowy zaplamiony dolman z aksamitu. Potem wytarła fartuchem mokrą od łez twarzyczkę.

— Trzeba by go odesłać z powrotem — rzekła po namyśle. Peto stał bezradnie.

— Co tam będziemy się litować! — huknął Bódogfalvi, wrywając szablę z pochwy. — Czy te psy plugawe nie mordują naszych dzieci? Nie litują się nawet nad niemowlęciem.

Vasowa przytuliła do siebie chłopczyka i opiekuńczo wysunęła ramię.

— Zakłuj go! — krzyknął żołnierz z wozu.

— Nie śmieć go ruszać!

I już trzy kobiety zasłaniały dziecko własnymi ciałami. Żołnierz schował szablę do pochwy, a dziecko zniknęło pod ochroną spódnic i fartuchów zebranych kobiet.

\*\*

Po nocnej wyprawie Gergely skoczył do Melegviz. Szybko wykopał się i wrócił do zamku.

Przed pałacem spotkał jakiegoś młodego człowieka pokaźnej tuszy, w niebieskim lejbiku.

Na ramieniu niósł żelazny pręt do nabijania pocisków armatnich. Na końcu pręta czerniały zakopcone pakuły. Pokłonił się Gergelyowi.

Gergely spojrzał nań i stanął jak wryty. Te jasne włosy, ten krótki nos, śmiałe oczy...

Niektóre twarze utrwalają się w naszej pamięci nie do starcia. W pamięci Gergelya odżyła ta twarz i cała postać. Tak. Spotkał ją jako dziecko, gdy wpadł w ręce Turków i siedział na wozie przytulony do młodej wieśniaczki... chłopak był skuty w kajdany... złorzeczył Turkom... Gergely krzyknął:

— Gaspar!

— Przepraszam za pytanie — chłopak zdjął grzecznie kapelusz z głowy — skąd pan porucznik zna moje imię?

Gergely przypatrywał mu się przez chwilę ze skupioną uwagą. Czyżbym się mylił — rozważał w duchu. — Może to nie on?

Widziałem go dwadzieścia lat temu.

— Jak się twój ojciec nazywa? — rzekł głośno.

— Tak samo jak ja, panie poruczniku. Gaspar Kocsis.

— A twojej matce Margit na imię, prawda?

— Tak.

— A czy nie w Baranya się z sobą poznali?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Byli w niewoli tureckiej?

— Tak, ale niedługo...

— Ktoś wyzwolił ich?

— Tak jest.

— Istvan Dobo ich wyzwolił.

— I jakiś chłopczyk.

Oczy Gergelya zabłyśły.

— Czy twoja matka jest tutaj?

— Tak. Przyszła razem z nami. Bo i mój ojciec jest w zamku, panie poruczniku. Pracujemy razem przy tym samym dziale.

— A gdzie twoja matka?

— O tam idzie!

Zażywna kobieta o okrągłej twarzy zbliżała się od strony bramy. Niosła dwa dzbanki na mleko. Na plecach miała dzieżkę, a w fartuchu marchew.

Gergely podbiegł ku niej na spotkanie.

— Kochana ciociu Margit! Co za radość, ciociu kochana! — objął kobietę i serdecznie ucałował w oba policzki. Kobieta stanęła osłupiała.

— Ja jestem tym malcem, którego ciocia tak pocieszała i pieściła na drodze do Pecs.

— Patrzcie no — dziwiła się kobieta głosem grubym jak dźwięk drewnianej trąby — czyżby to było możliwe?

— Tak, tak — zapewniał ją Gergely gorąco, promieniejąc z radości.

— Ileż to razy śniła mi się uśmiechnięta dobra twarz tamtej młodej dziewczyny! Jak nam matkowała na wozie!

Oczy kobiety zaszły mgłą.

— Masz, trzymaj ten dzbanek — zwróciła się do syna — bo na Boga, wypuszczę go z ręki. A co z tą małą? Żyje?

— A jakże! Pobraliśmy się. Ona pozostała w Sopron. Mamy synka. Na imię mu Jancsi. Zaraz napiszę do niej, że spotkałem ciocię. Ucieszy się bardzo...

Hej, Gergelyu, gdzie twój synek! I gdzie twoja piękna żona!...

8

Tego dnia Gergely spał głębokim i zdrowym snem na niedźwiedziej skórze. Obudziły go ogłuszające huki i trzaski, jak gdyby tysiąc drzwi wywalano równocześnie.

Przeciągnął się i wstał. Otworzył drewniane okiennice: miasto stało w płomieniach. Piękny budynek pałacu biskupiego, kościół Świętego Mikołaja, kryty kamienną dachówką dom kanoników, młyn Cifra, dwie wieże Pstrej Bramy, domy — słowem, wszystko. Nad miastem unosiły się pełzające wolno słupy dymu. Wyżej, na zamku, huk i trzask piekielny.

Gergely otworzył zewnętrzne okno. Gonty, dachówki, drzazgi płonących krokwi fruwały mu tuż przed nosem. Zrywano dach monastyru i piękne pokrycie kościoła.

Podszedł do drugiego okna i otworzył: gdzie spojrzeć, w całym mieście zrywano dachy. Podwórza i ulice wymarłe, tylko na murach roilo się od ludzi.



Spojrzał na słońce. Południe już minęło. Zawołał na służącego. Cisza. Umył się prędko i za chwilę był ubrany. Przypasał szablę i włożył czapkę z orlim piórem. Zbiegł po schodach. Po drodze włożył pancerz i nie zważając na padające z góry odłamki gontów, pobiegł na basztę. Chmara Turków napływała z doliny niby barwny, grożący zalewem potok. Płynęła ze szczękiem i brzękiem w takt melodii bębnów i trąb. Czerwone, białe i niebieskie kolory zbliżały się nieprzebranym mrowiem.

Almagyar i Tihamer, dwie schludne wioski, stały już w płomieniach. Całe ulice — od końca do końca.

Na drodze, wiodącej do Maklar, nie kończący się sznur dział ciągnionych przez woły i bawoły.

Na zboczu góry kłębiący się tłum dżebedżich w błyszczących zbrojach, a w dole zmierzająca ku zwierzyncowi jazda turecka w czerwonych czapkach. A jakież to tłumy orężne ciągną jeszcze za nimi!

— Gdzie jest kapitan?

— Na wieży kościelnej.

Gergely zwrócił spojrzenie we wskazanym kierunku. Wierzchołek wieży jest ścięty na płask. Dobo stoi tam w codziennej czapce z szarego sukna. U jego boku Mekksey, Zoltay, Peto, ksiądz Balint, Cecey i stary Sukan.

Gergely pospieszył do nich.

Na wieżę prowadzą drewniane schodki, które Gergely przeskakuje po trzy. Na zakręcie zderza się z Fugedym.

— Co się stało? Skąd te pożary? — pyta zasapany.

— Pan kapitan kazał podpalić miasto.

— A tu co się dzieje?

— Zrywamy dachy, aby Turcy nie mieli co podpalać i żeby ich nam nie zasłaniały.

— Dokąd idziesz?

— Wodę noszę do zbiornika. Idź na górę. Dobo pytał już o ciebie.

Ze szczytu wieży Turków widać było jak na dłoni. Droga wiodącą do Abony też ciągnęli jak gęsta, pstrokata chmura.

— No, Gergely — przywitał go na wieży Mekksey — właśnie mówiłem Krzysztofowi, że nie widać jakoś, abyście aż tylu Turków wybili dziś w nocy.

— Zmartwychwstały psy parszywe — podjął Gergely żartobliwy ton — ot, tam idzie właśnie ten, którego łeb przywiózł nam Bakocsay.

Dobo potrząsnął głową.

— Lukacs Nagy znikł — zwrócił się właśnie do Ceceyego. — A szkoda... dwudziestu pięciu moich najlepszych jeźdźców.

Gergely przyłożył palce do czapki.

— Panie kapitanie, czy nie należałoby popukać trochę na przywitanie?

— Nie — odrzekł Dobo. A na pytający wzrok Gergelya dodał wskazując głową na Turków: — Ten, kto przychodzi, musi pierwszy powiedzieć „dzień dobry”.

Pod drewnianym ogrodzeniem otaczającym miasto armia turecka zatoczyła krąg i popłynęła w stronę zwierzyńca jak wezbrana rzeka, która natrafiła na przeszkodę.

9

Tej nocy znowu znikło kilku chłopów. Na ich miejsce przyszli inni. Z Felnemet zameldowało się jakichś trzydziestu wieśniaków. Ubrojeni byli w kosy. Jeden z nich przyszedł z cepami. Ma się rozumieć, nabijane były gwoździami. Grupą dowodził barczysty człowiek w skórzanym fartuchu. Na ramieniu trzymał młot kowalski.

Stanąwszy przed Dobo opuścił młot z ramienia na ziemię i zdjął czapkę.

Dobo podał mu rękę.

— Przyszliśmy z Felnemet. Nazywam się Gergely. Jestem kowalem. Jeśli trza, to nie tylko żelazo, ale i Turków walić potrafię.

W ciągu dnia nadciągnęli jeszcze ludzie z Almagyar, Tihamer i Abony. Przeważnie chłopci z żonami. Kobiety objuczone tobołami, mężczyźni dźwigający żywność w workach. Niektórzy przyjechali wozami.

Wóz zaprzężony w woły skręcił właśnie w bramę zamku. Na wozie dzwon taki wielki, że ocierał się o koło.

Przodem kroczył jakiś starszy mężczyzna. Obok wozu szło dwóch paniczów w niebieskich dolmanach i czerwonych butach z cholewami. Jeden z nich, około dwudziestu lat mający, z wąsami podkręconymi, drugi, szesnastoletni, prawie dziecko jeszcze.

Wszyscy trzej podobni do siebie: jednako okrągłe śniade twarze i jednakowo krótkie szyje. Tyle że starszy ma czoło poorane bruzdami zmartwienia. U jego boku wisi szabla w czarnej aksamitnej pochwie,

zaś u boku synów w czerwonych. Twarze wszystkich trzech są zaczerwienione od promieni słońca.

Starzec był w czerni, nawet buty miał czarne z cholewami.

Dobo już z daleka zwrócił uwagę na mężczyznę w żałobie. Był jednak zajęty ochotnikami z Felnemet, poznał go więc dopiero, gdy ten stanął przed nim.

Był to wójt z Egeru.

— Witam cię, Andrasu! — Dobo uściśnął dłoń starego. — To ty?

— Tak — odrzekł wójt. — Przywiozłem wielki dzwon. Pozostałe kazałem zakopać.

— A ci dwaj młodzieńcy?

— To moi synowie.

Dobo z kolei podał rękę dwom młodym, po czym zwrócił się do woźnicy:

— Ułóżcie dzwon obok baszty przy kościele. Krzysztofie — ruchem dłoni przywołał do siebie giermka — powiedz panu kapitanowi Meksseyemu, żeby kazał dzwon zakopać, by go kule nie zniszczyły.

Wzrok Dobo zatrzymał się na czarnych butach wójta.

— Po kim waść nosisz żałobę?

Wójt opuścił wzrok i rzekł z prostotą:

— Po moim mieście.

Gdy znowu podniósł głowę, oczy miał wilgotne od łez. Po chwili zbliżył się jakiś mężczyzna w popielatym ubiorze sukienym. Były z nim dwie kobiety. Każda z nich niosła dziecko. Dobo rzucił przybyszowi życzliwe spojrzenie, zagabnął go nawet:

— Jesteście młynarzem, prawda?

— Tak. Jestem młynarzem z Maklar — odpowiedział z błyskiem radości w oczach. — Nazywam się Janos Body, do usług pana kapitana. Dziś w nocy spałem w młynie Cifra.

— A te dwie kobiety?

— Jedna to moja żona, a druga córka. A ci malcy to moi chłopcy. Nie chcieli mnie puścić samego, więc pomyślałem sobie, że jakoś się znajdzie miejsce i dla nich.

— Mniejsza o miejsce, ale za dużo już mamy niewiast. Tu zwrócił się do Sukana:

— Ile mamy kobiet w twierdzy?

— Jak dotąd czterdzieści pięć — rzekł Sukan bez namysłu.

Dobo pokiwał głową.

Tymczasem przybyło znowu trzech mężczyzn, a z nimi chudy ksiądz o zapadniętych policzkach. Szabli nie miał przy sobie, tylko kij, a na ramieniu worek uszyty z lisiej skóry.

Dobo był szczerze uradowany. Przydałoby się więcej księży w twierdzy, aby wojacy czuli bliskość Boga i aby księża wygłaszali kazania, dawali umierającym ostatnie namaszczenie i chowali zmarłych.

— Witam wielbnego serdecznie — Dobo wyciągnął dłoń — nie pytam o nazwisko. Wiem, że Pan Bóg tu księdza przysłał...

— A ilu jest księży w zamku? — dopytywał się duchowny.

— Tylko jeden — zaśmiał się Dobo.

Usłyszawszy mowę i akcent księdza zrozumiał, że niewielka będzie z niego pociecha na ambonie.

\*\*

W miarę jak Turcy napływali z południa i zalegali okolicę miasta, coraz więcej mieszkańców chroniło się na zamek. Byli to przeważnie chłopcy i rzemieślnicy z żonami i dziećmi.

W każdym obleżonym mieście bywają niedowiarki, którzy mawiają:

— Co tam Turcy. Rok w rok straszą tylko człowieka, a tu Turków jak nie było, tak nie ma, nawet na lekarstwo.

Takich to właśnie zaskakuje każda powódź, wyniszczając wojny. Są oni nieśmiertelnym potomstwem rodu „Mamyczas”.

Dobo przyjmował każdego z zadowoleniem. Wprawdzie kobiety i dzieci nie są mile widziane w twierdzy, ale trudno je przecież wypędzić. Zresztą kobiece ręce zawsze się mogą przydać przy zaopatrzeniu licznej załogi. Niechaj więc zostają.

Kobiety przydzielono do kuchni i do piekarni. Stary Sukan każdej rodzinie wyznaczył miejsce. W niektórych izbach gnieździło się piętnaście albo i dwadzieścia kobiet z dziećmi. Ostatecznie szło tylko o to, aby w nocy było gdzie głowę przytulić i złożyć tobołki.

Mężczyzn natomiast Mekcsey zatrzymał przy baszcie bramnej. Dopiero po złożeniu przez nich przysięgi wpuszczono ich do twierdzy.

— I po co to? — obruszył się po przysiędze jeden z właścicieli winnic w Egerze — przecież właśnie po to przyszliśmy, żeby bronić twierdzy.

Inny dorzucił:

— I żeby Turcy nie rozpanoszyli się w mieście naszych ojców.

Po złożeniu przysięgi Mekksey rozdawał broń. W wykuszach baszty leżały całe sterty szabel, kopii, pancerzy. Ma się rozumieć nie były to arcydzieła damasceńskie czy derbendzkie, tylko jakieś tam zardzewiałe rupiecie, których nagromadziło się w zamku przez wiele, wiele pokoleń. Każdy mógł sobie wybierać według własnego upodobania.

Pewien wąsaty szewc, którego krzaczaste brwi w niczym nie ustępowały wąsom, rzekł zuchowato:

— Ano, to wszystko bardzo ładnie, panie kapitanie, ale ja wziąłem z sobą nóż na wszelki wypadek — co rzekłszy wy dostał z za pazuchy błyszczący nóż szewski. — Ot, tym to nożem rozpruję brzuch każdemu Turkowi, który by się na mnie porwał.

Nieliczni tylko przymierzali szyszaki, ale że żelazne czapy były za ciężkie i raczej przypominały rondle aniżeli nakrycie głowy wojaka, więc i oni cichaczem je odkładali.

— Na co nam to?

Oj, dowiecie się jeszcze, na co!

Pod wieczór straż na wieży bramnej zameldowała, iż zbliża się galopem czterokonna kolasa, aż się za nią kurzy.

Daremnie zgadywano, kto to może być. Przecież czterokonnym powozem jeździł zwykle tylko biskup. Panowie jeżdżą konno i tylko wtedy wsiadają do karocy, gdy są chorzy.

A chory człowiek czegoż by teraz szukał w twierdzy? Wszyscy weszli na wieżę i wyteżając wzrok, obserwowali pędzący jak wichura pojazd.

— Zobaczycie, waszmościowie, że to biskup — radował się Fugedy, porucznik kapituły.

Ale że nikt nie podzielał jego radości, jął przytaczać przykłady z historii:

— Czyż biskupi nie byli obecni w każdej bitwie? Czyż nie byli prawie wszyscy pod Mohaczem razem ze swoimi wojskami? Każdy biskup ma swoich żołnierzy, każdy biskup jest również kapitanem swojego wojska...

— Szkoda, że każdy kapitan nie może być biskupem — odrzekł Dobo, a w myślach dodał: Wtedy więcej wojska wystawiliby przeciw Turkom.

— A może to umyślny króla, tylko zaniemógł w drodze — rozważał Mekksey.

Twarz Dobo się rozjaśniła.

— Tak. Król nie może nas opuścić!

I zniecierpliwiony ruszył schodami przez rynek do starej bramy, przez którą odbywał się wjazd kołowy.

Skórą kryty, na żółto pomalowany pojazd skręcał właśnie ku południowej bramie, następnie wjechał na rynek zamkowy.

Gdy się zatrzymał, wysiadła zeń kobieta niewysokiego wzrostu, w czerni.

— Gdzie jest pan kapitan? — były jej pierwsze słowa.

Ujrzawszy Dobo odrzuciła woalkę. Miała lat około czterdziestu. Sądząc po stroju, była wdową.

— Pani Balogh! — krzyknął Dobo i zdjawszy czapkę pokłonił się.

Pani Balogh była matką giermka, którego Dobo odesłał do domu pod opieką Lukacsa Nagya.

— Mój syn... — wyrzekła kobieta drżącymi wargami — gdzie Balazs?

— Odesłałem go przecież do domu — odparł zdumiony Dobo. — Już minął miesiąc od tego czasu...

— Wiem o tym. Ale powrócił tutaj.

— Nie, mościa pani, tu nie wrócił.

— Zostawił mi list, w którym pisze, że wraca tu.

— Nie wrócił.

— Uciekł za Lukacsem Nagym.

— On też nie powrócił.

Wdowa przycisnęła dłoń do czoła.

— O, mój jedyny syn! I on mi zginął!

— Jeszcze nic pewnego...

— Przysięgam mężowi u łoża śmierci, że będę go strzegła od niebezpieczeństwa, póki się nie ożeni. Dobo bezradnie wzruszył ramionami.

— Wiem o tym, mościa pani. Przecież właśnie dlatego odesłałem go do domu. Ale radzę pani stąd wyjechać, póki nie zamknął się jeszcze pierścień Turków dookoła miasta.

Wyznaczył konny oddział do eskortowania nieszczęśliwej matki. Pani Balogh złożyła ręce jak do modlitwy i błagalnie spojrzała na kapitana.

— Gdyby wrócił...

— Zamknę szelmę pod kłódkę...

Pani Balogh wsiadła do powozu. Przed nią i za nią pięćdziesięciu jeźdźców. Dwie pary koni pomknęły jak strzała ku Pstrej Bramie.

Za chwilę pędem powrócił jeden z jeźdźców.

— Pan porucznik Fekete kazał zapytać, czy ma się przebić przez pozycje Turków?

Dobo wstąpił na basztę. Koło bramy tłoczyły się już opancerzone czambuły. A za nimi nadciągało nieprzebrane mrowie asabów.

— Nie!

Dobo pozostał na baszcie. Zasłaniając dłońmi oczy spoglądał ku zachodowi.

— Chłopcy — zwrócił się do żołnierzy stojących obok — który z was ma dobry wzrok? Co tam widzicie na drodze do Felnemet?

— Jeźdźców! — odrzekł jeden z żołnierzy.

— Jest ich ze dwudziestu — dodał drugi.

— Dwudziestu pięciu — sprostował ten, który pierwszy się odezwał.

— Wraca Lukacs Nagy! — krzyknął z baszty przykościelnej porucznik.

Istotnie był to Lukacs Nagy, który wyruszył na podjazd. Ale gdzie u licha się pętał tak długo i jak teraz dostanie się do twierdzy?

— Pędzą jak na skrzydłach! Za późno, Lukacsu Nagy! Turcy zatarasowali bramę!

Lukacs Nagy jeszcze o tym nie wie. Skręca z pagórka i kieruje się ku Pstrej Bramie. Tam spostrzegł jazdę turecką. Szarpnął wędzidłem i mały oddział skręcił śmiałym łukiem w stronę bramy baktańskiej.

Tam jeszcze więcej Turków.

— Pij piwo, któregoś sobie nawarzył — śmieje się Zoltay.

— Gdyby nie konnica przy bramie — tupnął nogą Dobo, a oczy mu się iskrzyły — toby się Lukacs przebił.

Lukacs Nagy stanął i patrzył w stronę zamku. Podrapał się w głowę.

Oficerowie na murach powiewali czapkami.

— No, Lukacs, chodź, jakieś taki chwyt!

W oddali pojawiły się nagle barwne plamy. Ze stu akindzów skoczyło na bachmaty i ruszyło na oddział Lukacsa Nagya.

Lukacs Nagy także nie próżnuje, pomyka na czele podjazdu. Rozpoczyna się pościg. Z początku widać jeszcze mknące konie, później nie widać nic, tylko dwa obłoki kurzu, unoszące się hen wysoko nad wierzchołkami topoli. Obłoki rozprzestrzeniają się w kierunku Felnemet.

Nazajutrz była niedziela, ale dzwony egerskie nie odezwały się jak zwykle. Hordy tureckie już otoczyły miasto i twierdzę.

Góry i pagórki dokoła, jak okiem sięgnąć, upstrzone tysiącami namiotów białych i czerwonych, urozmaiconych tu i ówdzie płachtami niebieskimi, żółtymi i zielonymi. Namioty żołnierzy przypominają złożone na pół karty do gry. Namioty oficerów mają kształt ośmiokątów przyozdobionych na szczycie chorągwiami z półksiężycem. Gdziegdzie iskrzą się w słońcu i powiewają na wietrze buńczuki z końskimi ogonami. Łąki w całej okolicy zalegają tysiące, tysiące koni. Wzdłuż potoku kąpią się ludzie i bawoły. Z rojącego się tłumu coraz to wynurza się szyja wielbłąda, bieleje turban oficera na koniu.

Z tego falującego morza barw wynurza się twierdza egerska, małe miasteczko ogrodzone płotem drewnianym, Krzesło Króla, ta wschodnia strona, naprzeciw której wznosi się najwyższy mur.

Dobo otoczony oficerami i teraz stał na wieży, na ściętym jej wierzchołku. Dwie wieże, które kazał wznieść jeszcze król Stefan, okazały się bardzo pożyteczne. Stojąc na nich, widzieć można było dokładnie, jak Turcy ustawiają działa.

Za twierdzą przestronna trawiasta powierzchnia wielkości połowy Krwawego Pola pod Budą. Dalej widnieje nieduża winnica. Pod tę właśnie winnicę Turcy zawlekli trzy armaty. Nie zaopatrzyli ich nawet daszkiem. Opodal trzydzieści bawołów pasło się spokojnie u podnóża pagórka. Wielbłądy objuczone ciemnymi workami umieszczono obok dział.

— Skórzane worki — objaśniał Dobo — z prochem.

Niskiego wzrostu topczowie w czerwonych turbanach swobodnie krzątają się przed oczyma obserwujących. Czarne paszcze dział, jeszcze milczące, zieją ku twierdzy. Topczy-aga coraz to przykuca przy nich, przygląda im się, lufy nastawia to wyżej, to niżej, przesuwając je to w prawo, to w lewo.

Lufę jednej armaty skierowano na wieżę, drugą nastawiono na środkową północną basztę, osłaniającą pałac.

— Spójrzcie, nastawia ją na cel — odezwał się Dobo. — Nie samą lufą kręci, a coś tam z tyłu majstruje.

Jeden z kanonierów wsunął głowę przez drzwi wieży:

— Panie kapitanie!

— Czego? Wejdz!



Za chwilę chłopak zjawił się i rzucając niespokojne spojrzenie na pozycje tureckie, stuknął obcasami:

— Panie kapitanie, melduję posłusznie, majster Balazs kazał zapytać, czy nie odpowiedzieć na strzał.

— Powiedz mu, żeby nie strzelał, póki nie wydam rozkazu. Potem tu wrócisz.

Topczowie wpychali proch w gardziele armat, potem ubijali go stemplem.

— A miałbym ochotę palnąć w sam środek — gorączkował się Mekksey.

— Niech się pobawią trochę — odparł spokojnie Dobo.

— A może by tak uderzyć na nich? — niecierpliwił się Paksy, brat kapitana twierdzy Komarom.

— Mnie też swędzi ręka — mruczał Bornemissza.

Dobo uśmiechnął się.

— Zobaczymy, jak celują.

Tymczasem już topczowie pakułami kneblowali gardziele armat. Teraz stemple trzymali we czterech i na komendę wbijali w paszcze dział.

— Parszywi poganie — wybuchnął Cecey. — Kapitanie, a od czego mamy armaty?

— Nawet waćpan podjudzasz przeciw mnie? Jutro się waść dowie, dlaczego nie kazałem strzelać.

Topczowie wydobywają z jednego worka skórę. Dwóch ją trzyma, trzeci zaś smaruje łożem. Następnie w niesmarowaną stronę zawijają kulę.

— A to co? — drwi Zoltay. — Może jajkiem będą strzelać? Wtem powrócił kanonier.

— Chodź tu — rzekł Dobo. — Zauważyłem przed chwilą, że się boisz. Turcy mierzą do mnie. A ty stań przede mną.

Chłopak zaczerwieniwszy się po uszy stanął przed kapitanem.

Dobo wychylił się z okna wieży i dostrzegłszy Petógo zawołał nań:

— Gaspar! Ty masz dobry głos! Krzyknij no, synu, że Turcy zaraz strzelą, niech się nikt nie przestraszy! A kobiety, jeśli się boją, niech przejdą na słoneczną stronę.

Topczowie już napchali prochem wszystkie trzy armaty. Trzech trzyma już w ręku płonący lont. Jeden, stojący z tyłu, splunął w dłoń i skrobiąc się po karku, spoglądał ku zamkowi.

Proch zapłonął i z działa wystrzelił płomień i dym: dziewięciokrotne wybuchy, następujące jeden po drugim, wstrząsnęły ziemią i twierdzą. Potem nastąpiła cisza.

— To nic — Dobo z uśmiechem machnął ręką i dopiero teraz odesłał strachliwego chłopca.

Dym leniwie unosił się nad działami.

Ale, do kata! W jaki sposób trzy działa mogły huknąć dziewięć razy? To góry wokół twierdzy odbijają podwójnym echem wybuch trzech pocisków.

A co będzie, jak zagra naraz czterysta armat tureckich? Po upływie piętnastu minut Peto przybiegł na wieżę, a za nim stapał, lekko dysząc, młody rzeźnik. W silnych ramionach dźwigał cuchnący i parujący pocisk i postawił go przed Dobo.

— Melduję posłusznie, panie kapitanie, to pocisk turecki — rzekł Peto. — Wpadł do potoku i nosiwody przynieśli nam go w beczce.

— Każ im dalej nosić wodę. Brama twierdzy niech zostanie otwarta.

— A my nie strzelamy? — rozczarował się Peto.

— Przecież dziś niedziela — uśmiechnął się Dobo — a to dzień odpoczynku. — Spokojnie przyglądał się, jak topczowie ochładzają działa i napychają na nowo prochem.

11

Następnego dnia rano Turcy przesunęli trzy armaty bliżej muru i ustawili trzy murołomy.

Dziewięć pocisków wystrzelonych poprzedniego dnia poszło na marne. Z twierdzy przyjęto ogień całkowitym milczeniem. Wobec tego Turcy przysunęli działa bliżej, tak blisko, że nawet świst strzały z łuku byłby dosłyszalny w twierdzy.

Dobo przewidywał ten krok wroga. Czy miałoby sens spłoszyć tureckich topczich? I tak nic by nie wskórał. Zachwiałyby tylko zaufanie żołnierzy jakąś tam głupią pukaniną.

Skoro świt, był już na nogach i własnoręcznie przygotowywał działa przeznaczone na ten odcinek. Nie owijał pocisków w skórę, tylko smarował je łożem. Proch sam skrupulatnie wymierzał miarką.

— A teraz dawajcie, chłopcy, pakuły i ubijać stemplem... Do celu mierzył długo i dokładnie.

Czekał, aż Turcy także skończą przygotowania. Kiedy rozległ się pierwszy wystrzał armatni Turków, Dobo krzyknął:

— W imię Boga! Ognia!

Dwanaście knotów równocześnie zbliżyło się do armat węgierskich i równocześnie wypaliło z wszystkich dwunastu dział.

Dwie armaty tureckie przewróciły się. Jedna została roztrzaskana. Wściekły ryk uciekających za zasłonę dymu topczich wzbudził niepohamowany śmiech stojących na murze.

— No, czy teraz rozumie waszmość — rzekł Dobo w końcu — dlaczego nie strzelaliśmy wczoraj?

Stał na murze w szerokim rozkroku. Oburącz podkręcał długiego węża.

\*\*

Obawa Dobo nie sprawdziła się, mieszkańcy zamku bowiem wcale tak się nie przerazili. Eger był miastem najczęściej chyba ostrzeliwanym, odkąd wynaleziono proch. Nawet i dziś jest nie do pomyślenia, aby w Egerze nie oddano strzału armatniego przed majówką, zabawą strażacką lub inną uroczystością. Tu do dnia dzisiejszego armata zastępuje plakat. Zdarza się, że nawet rozwiesza się plakaty po mieście, ale z wystrzału armatniego nikt nie rezygnuje. Na zamku od niepamiętnych czasów stoi kilka porzuconych moździerzy. Kto ma ochotę, ten z nich strzela. Jakże więc egerczanie mieliby się przestraszyć huku armatniego?

Jeden jedyny człowiek w zamku po pierwszym wystrzale spadł z ławki i krzyczał wielkim głosem; a potem schował się w kąt.

Łatwo zgadnąć, o kim mowa.

Lecz żołnierze podbiegli doń, wyciągnęli jegomościa z kryjówki i tak jak stał, w żółtym dolmanie, czerwonych spodniach, w szyszaku na głowie i z ostrogami na bosych nogach zawlekli go na basztę.

Tam dwóch trzymało go za rozpostarte szeroko ręce, dwóch za nogi, trzeci zaś plecami oparł się o plecy Cygana i tak wołali do Turków:

— Tu strzelajcie!

Cygan zachowywał się względnie spokojnie, póki Turcy nabijali armatę, ale gdy rozległ się huk, wyrwał się z rąk swoich prześladowców i z mrożącą krew w żyłach odwagą zeskoczył z wysokości dwóch sążni. Znalazłszy się pod drabiną przede wszystkim obmacał się, czy aby pocisk nie porwał jakiejś części jego ciała, potem rzucił się biegiem, niby chart, w kierunku starej bramy.

— O j oj, o j oj o j! — ryczał, trzymając się oburącz za głowę — bodaj mnie kurcz złapał za nogę, kiedy tu szedłem! Oj, oj, oj! bodajby ta przeklęta szkapa oślepla, co mnie tu przywiozła! Oj, biada mi, oj!

\*\*

Tego samego dnia Dobo roztrzaskał wszystkie działa tureckie, ustawione na Krześle Króla.

Topczowie rozpierzchli się z krzykiem, klnąc na czym świat stoi. Dwóch topczy-agów zostało zabitych, a trzeciego zabrano zawiniętego w płachtę. Na placu boju zostały jedynie przewrócone kosze, trzy zabite wielbłądy, roztrzaskane działa i rozrzucone kawałki kół lawety. Zachęcony sukcesem Gergely dokonał o północy wypadu i zagarnął dwadzieścia koni i osła.

Ale cóż, Turcy mieli tyle koni, ludzi i armat, że z brzaskiem ustawili nowe kosze napełnione ziemią. Przezornie jednak rozmieścili armaty nieco dalej i wzniesli przed nimi spore nasypy. Między koszami stało dwanaście nowych dział, a do ich obsługi zjawili się nowi topczowie i nowi agowie.

Słońce zaledwie wstało, gdy twierdza zatrzęsała się od potężnych wybuchów. Głuchy łoskot wskazywał na to, że armaty biją w mur.

Dobo, jak wczoraj, wystrzelił ze swych dział i jak wczoraj powywracał wrogowi kosze i armaty, ale za przewróconymi koszami wznosiły się natychmiast nowe, zjawiały się nowe armaty, nowi topczowie, którzy się już nie rozpierzchali. Z nahajami w ręku pilnowała ich kupa zbrojnych dżebedżich.

— No, cóż, pozostało nam tylko strzelać i umierać.

— Niech oni strzelają — wzruszył ramionami Dobo — my musimy oszczędzać proch.

I tylko z kartaczy kazał czasem wypalić, by przeszkodzić Turkom w pracy.

Tego dnia Turcy nie zajęli jeszcze miasta. Węgierska piechota trzymała straż przy bramach, jazda zaś strzegła bram twierdzy.

Turcy jeszcze nie szturmowali miasta. Niepilno im było. W opustoszałych domach nie mieli już co grabić. Choć jesień, ale jest ciepło; wszyscy chętnie śpią pod namiotami, a nawet pod gołym niebem.

Wyżsi rangą oficerowie tureccy już od dwóch dni krążą konno po górach i pagórkach, szukając choćby szczeliny, by rzucić okiem na wewnętrzny zamek. Próżny trud. Widać tylko wieże. Wysokie ogrodzenie z plecionej wikliny oblepionej gliną strzeże przed ludzkim okiem wierzchołków murów i baszt.

— Jak tu mierzyć do celu?

Ostrzeliwano więc mury i ogrodzenia.

A przecież za murami kryło się kilka budynków wartych prochu. Ocalała połowa ogromnego kościoła stanowi jeszcze arcydzieło budownictwa. No, i zbudowany z ciosanego kamienia stary klasztor obok kościoła jest nie do pogardzenia. (Nigdy dotąd węgierski żołnierz nie miał tak pięknych koszar.) Albo pałacyk komendanta twierdzy; Dobo przed swoim ślubem kazał przyozdobić go rzeźbami włoskiego mistrza. Okna tego pałacyku są szklone, podczas gdy w dolnym mieście nawet u biskupa okna zaciągnięte są tylko błoną. Nieco dalej stał pałac biskupi, pochodzący jeszcze z owych czasów, kiedy kościół zamkowy był katedrą. Następnie dom drugiego kapitana, Mekkseyego, zwany wówczas także pałacem, i sznur budynków dla oficerów załogi, ciągnący się wzdłuż muru północnego. Turcy strzelali zaciekle. Działa huczały od świtu do nocy; pociski nadszarpaneły mury i ogrodzenie z wikliny. Gdy słońce schowało się za górę Bakta, wystrzelili z wszystkich armat jednocześnie i bogobojny śpiew duchownych: Allahu akbar... rozbrzmiał po całym obozie.

Wojsko tureckie odprawiało modły. Topczowie także. Murarze kapitana Dobo, wyczekujący na ten moment, chwycili za kielnie i jeszcze przy zanikającym świetle dziennym przystąpili do pracy: naprawiali uszkodzone mury.

12

Dwóch paszów kręciło głową. Zęby już zjedli na wojnach, gdzie przechodzili, pozostawiali za sobą tylko gruzy, zdobywając coraz to nowe tereny dla imperium sułtana.

— Musimy zająć miasto. Stamtąd będziemy ostrzeliwać mury.

Istotnie, czwartego dnia oblężenia wdarli się do miasta. Dla wojsk tureckich była to igraszka. Z jednej strony tysiąc drabin szturmowych i tysiąc młodych dzielnych wojowników, z drugiej zaś strony gliną wylepiony płot...

Straż przy bramie dostała polecenie, by się natychmiast wycofała, gdy Turcy ukażą się na murze. Tak się też stało. Wrócili do twierdzy w szyku bojowym przy dźwiękach werbla.

Wtedy na rozkaz bega Arsiana ustawiono obok klasztoru Matki Boskiej cztery mуроłomy i skierowano lufy na baszty, na których stały milczące armaty węgierskie.

Strzały bega Arsiana były celniejsze. Jego pociski kruszyły mury i pale od strony miasta. Główny cel pocisków tureckich stanowiła Baszta Ziemna. Jeden i drugi pocisk wybuchł nawet w samej twierdzy, powodując drobne zamieszanie, póki ludzie nie przekonali się, że idąc pod murami można mieć pewne schronienie i zostać poza obstrzałem.

Tego dnia Turcy zdjęli krzyże z dwóch kościołów i zatknęli półksiężyc na ich miejsce. Ołtarze powyrzucali. Obrazy spalili. W południe już z okna kościelnej wieży rozbrzmiewał przeciągły śpiew muezina: Allahu akbar! Aszhadu anna la illaha ill Allah! Aszhadu anna Mohamed arasulu Allah! Heija Alaszalah! Heija alalfalah! Allah akbar! La ilaha ill Allah! \* Allahu akbar... (tur.) — Bóg jest jedyny! Zaprawdę nie ma Boga Prócz Boga. Zaprawdę Mohamed jest jego prorokiem! Zbierajcie się na modlitwę! Zbierajcie się ku czci Jego! Nie ma Boga prócz Boga!

W południe przy wspólnym obiedzie Dobo siedział milczący i poważny.

Od króla wciąż jeszcze nie nadchodziły żadne wieści. Umyślny wrócił w nocy od biskupa egerskiego. Zawiadomił on Dobo, że nie ma ani wojska, ani pieniędzy, ale modli się za załogę twierdzy.

Twarz Dobo ani drgnęła, gdy wysłuchał tej wieści. Tylko brwi się lekko ściągnęły.

Gnębiła go także sprawa Lukacsa Nagya. Był to jeden z najdzielniejszych oficerów. Lubił czatować na Turków, niepokoić ich. To tu, to tam nękał przeważające siły wroga i znikał. Jak ma teraz powrócić, kiedy twierdza jest otoczona i aż do Felncmet pstrokacieją namioty tureckie? A może go już złapali?...

Dobo siedział jeszcze przy stole, gdy zameldowano mu, że Antal Nagy został trafiony kulą armatnią.

Bornemissza zerwał się:

— Niech pan kapitan pozwoli, bym uderzył na Turków! Wstyd mi, że oddaliśmy miasto, nie wyciągając nawet szabli z pochwy.

Budahazy, oficer o wąsach skreconych w koła, także się odezwał:

— Niech Turcy zobaczą, że i w dzień stać nas na wypad, nie tylko w nocy.

Również Peto wypiął pierś:

— Choć nas mało, ale nie lękamy się nawet stutysięcznej armii!

Twarz Dobo rozchmurzyła się:

— Zgoda. Ale nie warto przerywać obiadu z tego powodu. Więcej o Turkach nie było mowy, dopiero po posiłku Dobo podjął na nowo:

— Uderzenie tym razem skierujcie na piechotę przy wielkim kościele. Cała akcja musi być błyskawiczna. Cwałem przejechać po nich i zawrócić nie tracąc ani chwili czasu. Żadnych walk, tylko sieć szablą każdego, kto pod rękę wpadnie. Ciach, ciach i z powrotem! Stu ludzi wyznaczam na wypad.

Oficerowie chwytają za broń, nakładają zbroje i na koń! Gergely musi odmawiać żołnierzom udziału, tyłu się zgłosiło na ochotnika.

— Tym razem pójdą tylko ci, których ja wyznaczę.

Asabowie, lagumdżowie, piadowie właśnie posilają się na trawie przed kościołem. Dziś mieli tylko zupę na obiad. Schowali już łyżki za pas. Niektórzy zabierają się teraz do chleba i cebuli. Inni pożywiają się arbusami, ogórkami lub inną zieleniną. Z zamku widać wszystko jak na dłoni. Przecież oddziela ich od twierdzy tylko potok i rynek.

Na rynku wzdłuż budynków rozlokował się czambuł janczarów. Zabawiają się właśnie beztrosko. Jakiś zwinny chłopak podrzuca wysoko handżar i arbus. Wpierw łapie handżar, następnie na ostrze handżaru chwyta spadający arbus.

Najwidoczniej idzie o zakład. Oto jeden z janczarów podchodzi do niego z arbusem w ręku. Rozmawiają przez jakiś czas, po czym janczar podrzuca arbus, drugi zaś szablę.

Trzeci janczar szarpnął z tyłu tego, który się popisывał. Arbus pada na ziemię i ku radości żołnierzy roztrzaskuje się na kawałki.

Brama zamku stoi jeszcze otworem. Chłopi w najlepsze wożą wodę z potoku. Wczoraj wyprowadzili jeszcze bydło i owce do pojenia, dziś już poją tylko konie. Bo i co by Turcy zyskali, gdyby przerzucili most przez wodę i szturmowali bramę? Co najwyżej kilka kul. Dobrze przecież wiedzą, że otwarta brama to paszcza lwa: są w niej kły. Strzelać? Nie ma zwyczaju otwierać ognia do ludzi nieuzbrojonych, zresztą z zamku też nie omieszkaliby strzelać do Turków pojących konie i wielbłądy.

Nagle ustało pojenie koni przy potoku. Ustało też noszenie wody.

Przez kilka chwil janczarzy, zajęci zabawą, nie zwracali na to uwagi. Nie spostrzegli nawet, że na murach pojawia się coraz więcej ludzi. Zwłaszcza łuczników i strzelców. Zerwali się w popłochu dopiero na głośny tętent. Gdy skierowali wzrok na zamek, na murach zagrzmiały haubice, sypiąc im w oczy gwoździemi, kulami i odłamkami. Długi

sznur jeźdźców wypadł przez bramę. Na czele pędził Gergely Bornemissa w lekkim odzieniu, bo tylko w cienkiej skórzanej kamizelce. Zoltay już z daleka wygrażał pięściami. Peto spiął konia do cwału, Budahazy z czapką na bakier, Fugedy z bujną czupryną i co najdzielniejsi cwałują za nimi.

Jak nawałnica przesadzają potok i wałą na wroga, sieką w prawo i lewo, zanim Turcy zdołali wydać jakiś rozkaz.

— Allah! Allah!

Przebiwszy się przez szeregi tureckie, dopadają pokrytego murawą placu, na który w południowym słońcu pałac biskupi rzuca długi cień. Turecka piechota zrywa się do ucieczki, niektórzy tylko dobywają szabli z pochew.

Pędząca jazda dopada ich. Kłute ostrogami rumaki zdają się fruwać jak ogniste smoki. Tysięczne zastępy tureckie pierzchają niby spłoszone przez wilki stado owiec. Węgrzy depczą im po piętach.

— Bij! Zabij! W łeb go!

Ale z bocznych ulic niesie się harmider: to uciekającym spieszą na odsiecz konni akindżowie i janczarzy, zbrojni w dzidy i strzelby.

Jakiś janczar w białej kapuzie godzi dzidą w pierś Gergelya.

Szabla Gergelya błyska razi drugi. Pierwszy błysk i dzida pęka na pół, drugi — Turek zwała się z konia i ciężko pada na wznak.

— Jezusie! Jezusie! — wołają na basztach. — Jezusie, dopomóż im!

— Allah! Allah! — wyją Turcy.

Grupa Węgrów wywijając szablami przerębuje się przez zbite masy wroga. Jakiemuś janczarowi udało się rozplatać pierś koniowi Mihalya Horvatha. Koń pada, w ostatniej chwili Horvath zeskakuje, zabija napastnika i drugiego jeszcze Turka, który przyszedł tamtemu z pomocą. Lecz przy tym uderzeniu pęka szabla Horvatha, więc ostatnim tegim zamachem kropi pięścią w nos trzeciego janczara i puszcza się kłusem ku zamkowi przez opustoszały już plac.

Jazda węgierska naciera dalej. Konie tratują ludzi. Budahazy zamachnął się właśnie szablą do potężnego ciosu, gdy zza węgła janczarzy otworzyli ogień. Szabla wypadła z rąk Budahazyego. Czterech na raz janczarów rzuciło się na niego z dzidami i jataganami. Pewien chwacki chłopak skoczył Budahazyemu na pomoc, ale dzida janczarska przebiła mu pierś. — Kto to? — pytają żołnierze stojący na murze.

— Gabor Groszy — odpowiada Mecxsey nie bez wzruszenia.



Budahazy dzięki tej pomocy zyskał czas na ucieczkę. Zawrócił konia i przyłgnąwszy do karku wierzchowca pędził ostro w kierunku twierdzy.

Pozostali również zawrócili, bo już przez główną ulicę tysiące akindzów wichrem gnało na odsiecz.

— Allah! Allah! Jazik sana!

Gergely przezornie ominął tę horde. Skręcił łukiem w kierunku ulicy Kapituły. Ale i tam kłębiły się tłumy Turków; przeważnie była to piechota, która, uciekając na łeb na szyję, przeszkadzała własnej jeździe, bo ta, miast atakować, musiała uważać, by nie tratować swoich ludzi. Niemniej przecież konnica perska ruszyła już do natarcia. Ale daremny trud! Podjazd węgierski bił się wściekle. Ulica przemieniła się w krwawe pole bitwy. Na wszystkie strony padają ciała, niby snopy rozrzucone przez wichurę.

Okazało się przy tym, jaką przewagę mają dorodne, tęgie konie węgierskie nad drobnymi konikami wschodnimi. Tuzin jeźdźców węgierskich potrafi w ataku rozbić stuosobowy oddział jazdy tureckiej. I jeśli któryś z Węgrów dobrał się do Turka, to ten już z pewnością nie miał szans zostania kiedykolwiek wielmożą na zamku egerskim.

Wypad skończony. Wracają.

— Usunąć się z bramy! Z drogi!

Zwycięskie okrzyki z muru mieszają się ze zgiełkiem powracającej konnicy.

Dobo nie bez obawy spostrzega, że z bocznych ulic pędzą akindzowie i dżebedzowie na pomoc.

— Ognia! — rozkazuje.

Rozlega się huk strzelb i świst łuków. Zaskoczona czołówka turecka cofa się w zamieszaniu, powodując zator w tylnych szeregach.

Nagle na murze rozbrzmiewa niemal zwierzęcy ryk. Oczy wszystkich kierują się tam. To Cygan, rycząc nieludzkim głosem, wymachuje szablą w stronę Turków.

— Waj sana! \* \*/ Waj sana! (tur.) — Biada wam!

Psy przeklęte!

Nasi jeźdźcy, korzystając z zamieszania w szeregach tureckich, popędzają spocone, okryte krwawą pianą konie i galopem wjeżdżają przez otwartą bramę, witani zwycięskimi okrzykami załogi.

Wypad nie trwał nawet kwadransa, ale na placu kościelnym, na rynku i na ulicy Kapituły pokotem leżą trupy ludzi i dogorywające konie.

Pozostali przy życiu Turcy odgrażają się, wyciągają ku zamkowi zaciśnięte pięści, pienia się w bezsilnej wściekłości.

Na rozkaz Dobo bramę wychodzącą na potok i tego dnia zostawiono otwartą, by mieszkańcy zamku mogli się swobodnie poruszać od rana do wieczora. Niechaj Turcy widzą, że Eger z całym spokojem oczekuje oblężenia.

Przy rozwartej na oścież bramie nie widać nawet uzbrojonej straży. Co prawda, w głębi stoi stu dwudziestu drabantów. I to prawda, że strażnik czuwa w okienku na wieży i na jeden ruch jego ręki spadają „organy”, czyli żelazne sztaby chroniące bramę od dołu, a przypominające wyglądem piszczałki organów. Moździerz także ustawiono nieco dalej pod bramą. Most zaś każdej chwili może być podniesiony, choćby roіło się na nim od ludzi.

Wokół zamku i na moście panuje nieustanny ruch. Żołnierze wyprowadzają konie do potoku, mieszkańcy noszą wodę do zbiornika twierdzy. Wprawdzie i studni w zamku nie brak, ale dla dwutysięcznej załogi, dla koni, bydła i owiec jedna studnia nie wystarczy. Trzeba przygotować zapas.

Na przeciwległym brzegu potoku Turcy też poją konie i piechurzy przychodzą tu gasić pragnienie.

Odkąd Dobo kazał opuścić zastawę, potoczek przybrał i pośrodku sięga pasa. Turcy nie ruszają zastawy, bo i oni potrzebują wody dla nieprzebranej ilości bydła i ludzi. W samym mieście nie ma studni, tylko dwa źródła na pobliskich zboczach.

Chłopi egerscy przywykli do widoku Turków, wcale się ich nie boją. A dziś, kiedy na własne oczy widzieli, jak szczupły oddział Węgrów mimo liczebnej przewagi przeciwnika rozpędził i stratował wrogów, nabrali otuchy. Jeden z chłopów, napełniając beczkę, zuchwale zawołał do Turków, czerpiących wodę po drugiej stronie:

— No chodź, kumie, jakeś taki zuch!

Turek, choć nie rozumie słów, widzi ruch głowy. On też w podobny sposób zaprasza Węgra.

Zachęceni przykładem inni Węgrzy i Turcy zapraszają się wzajemnie. Pewien Kurd olbrzymiego wzrostu, w brudnym turbanie na głowie, przemywał właśnie zranioną nogę na przeciwległym brzegu. Nogawki

miał podwinięte do kolan. Wstał, wszedł do wody i wysunął ku Węgrowi twarz o jasnych wąsach.

— Jestem! Czego chcesz?

Nasi chłopci nie myśleli uciekać. Stali w wodzie także z podwiniętymi nogawkami. Jeden z nich nagłym ruchem chwycił Turka za ramię i jednym szarpnięciem porwał go na stronę Węgrów.

Zanim Turcy się połapali, czterech chłopów już popychało Kurda między beczkowozami. Pozostali powstrzymują pogan skaczących do wody.

Kurd wrzeszczy. Szarpie się. Za chwilę jego kaftan jest w strzępach. Turban także. Z nosa leci mu krew. Drze się wniebogłosy:

„Jetiszin!" \* Jetiszin! (tur.) — Ratunku) — Ale nikt nie idzie mu z pomocą. Węgrzy wloką go za nogi i znikają w bramie.

Prowadzą go do kapitana Dobo.

Turek już nie jest zuchwały. Strzepuje z siebie kurz, potem krzyżuje ręce na piersi i składa głęboki pokłon; nogi mu się trzęsą.

Dobo każe go przeprowadzić do sali rycerskiej. Bornemissza pełni, jak zwykle, rolę tłumacza. Kapitan siada przy ścianie zawieszanej bronią. Nawet nie każe nałożyć kajdan Kurdowi.

— Jak się nazywasz?

— Dzekidż — wysapał Turek, tocząc oczyma nabiegłymi krwią.

— W czyjej armii służysz?

— Paszy Ahmeda.

— W konnicy?

— Nie.

— W piechocie?

— Tak, panie.

— Czy byłeś przy oblężeniu Temesvaru?

Turek wskazuje na udo, na którym widnieje blizna szeroka na cztery palce.

— Byłem, panie.

— Z jakiej przyczyny padła twierdza?

— Z woli Allacha!

— Mów prawdę, bo jak cię przyłapię na kłamstwie, koniec z tobą.

Dobo skierował lufę pistoletu na Turka.

Turek pokłonił się; widać było po jego oczach, że zrozumiał kapitana.

Dobo nie posiadał dokładnych wiadomości o oblężeniu Temesvaru.

Doszło do niego tylko, że Temesvar był bardziej umocniony niżeli

Eger i że oblegający mieli o połowę mniejsze siły, niż te, które zgromadzili pod Egerem, a jednak zdobyli Temesvar.

Na sali znajdowało się kilku oficerów zluzowanych z warty: Peto, Zoltay, Hegedus, Tomasz Bolyky, a także giermek Krzysztof i Andras, wójt egerski.

Usiedli wokół Dobo. Krzysztof stał wsparty za krzesłem kapitana, a na cztery kroki przed kapitanem Turek bosy, z odkrytą głową. Strzegło go dwóch żołnierzy z dzidami.

— Kiedy przybyłeś pod Temesvar?

— Piątego dnia miesiąca redżeb \* (27 czerwca. )

— Ile murołomów posiadała wtedy armia turecka?

— Dwanaście.

Bolyky zachnął się:

— Łże!

— Nie — odparł Dobo — przecież pasza Ali zabrał część na północ.

— I dalej wypytywał poganina:

— A ile murołomów miał Ali, kiedy się połączył z wami?

— Cztery.

— Zgadza się — Dobo spojrział na oficerów. — Według meldunku mojego szpiega powinni mieć szesnaście murołomów.

I znów zwrócił się do Turka:

— A teraz opowiedz nam, w jaki sposób odbywało się oblężenie twierdzy. Zwracam ci uwagę, że to, co powiesz, wykorzystam w naszej obronie. Gdybyś mnie wprowadził w błąd, zginiesz. Jeśli powiesz prawdę, po oblężeniu zwrócę ci wolność.

W słowach Dobo dźwięczała powaga i szczerłość.

— Wielmożny panie — rzekł Turek uradowany — na zbawienie mojej duszy przysięgam, że ani słowa kłamstwa nie usłyszysz z moich ust.

Dalej mówił już płynnie i śmiało:

— Jego wysokość pasza wybadał, podobnie jak i tutaj, najsłabszy punkt obrony i potem kazał go ostrzeliwać tak długo, aż mury zostały zrujnowane i można już było szturmować.

— Gdzie była najsłabsza część temesvarskiej twierdzy?

— Wieża wodna, panie. Zdobyliśmy ją, ale po ciężkich walkach. Ludzie padali jak trawa pod sierpem. Ja też tam dostałem postrzał z łuku. Po zajęciu wieży wodnej Niemcy i Hiszpanie dali nam znać, że

poddadzą się pod warunkiem, iż pozwolimy im opuścić twierdzę bez szwanku. Pasza dał słowo honoru, że im włos z głowy nie spadnie.

Przez czas zeznawania armaty grzmiały bez ustanku. Przy ostatnim słowie Kurda rozległ się potężny huk. Powalę sali przebił pocisk wielkości głowy i razem z tynkiem runął między kapitana Dobo a Turka.

Pocisk wirował przez chwilę.

Turek uskokzył. Dobo spoglądał na pocisk cuchnący prochem i niewzruszony, jak gdyby nigdy nic, skinął na Turka:

— Mów dalej!

— Ludność miejska — podjął ów — ludność...

Głos uwiązał mu w gardle. Z trudem łapał powietrze.

Giermek Krzysztof wyciągnął z kieszeni chusteczkę misternie wyszywaną i jął strzepywać z twarzy kapitana, z nakrycia głowy i z ubrania proch i tynk. Tymczasem Turek odzyskał przytomność umysłu.

— Mów dalej! — rozkazał Dobo.

— Mieszkańcy chcieli zabrać z sobą wszystko, co mieli. I to ich zgubiło. Losonczy, kapitan twierdzy, wytargował jeden dzień, by przygotować się do wyjścia. Ale gdy wojsko tureckie spostrzegło, że będzie pozbawione łupu, następnego dnia niechętnym okiem patrzyło na ciągnące kolumny gjaurów. Czy po to walczyliśmy przez dwadzieścia pięć dni — powiadali — żeby wszystko zabrali nam sprzed nosa? Ten i ów, co odważniejszy, capnął coś z wozów. Chrześcijanie nie podnosili gwałtu, toteż żołnierze coraz bezwstydniej grabili wozy, porywali dzieci i młode kobiety. Nawet w Istambule nie widziałem na targu piękniejszych dziewcząt, panie, jak tam.

— A czy pasza nie zabezpieczył spokojnego odwrotu obrońców?

— Zabezpieczył. Ale cóż z tego? Nawet spośród wycofujących się żołnierzy chrześcijańskich porwano jednego: giermka pana Losonczego. Chłopak krzyknął, Losonczy i wszyscy Węgrzy rozsierzdzili się, chwycili za szable i napadli na nas. Na nasze szczęście opancerzeni dżebedżowie stali w pobliżu, inaczej wysiekliby nas.

Dobo wzruszył ramionami:

— Dżebedżowie? Myślisz, że wystarczy kawałek blachy i już się jest niezwyciężonym? To nie pancerze was obroniły, tylko Węgrów było za mało.

Wtem drugi pocisk wpadł do sali. Zerwał stare sztandary zdobiące mury i wyrwał kawał podłogi.

Siedzący obok Dobo oficerowie wstali. Hegediis odsunął się o kilka kroków. Niektórzy zaś, idąc za przykładem Dobo, trwali na swoich miejscach.

— Gdzie pasza Ahmed rozbił swój namiot? — spytał Dobo.

— Obok Melegviz, w zwierzyńcu.

— Tak też myślałem — Dobo spojrział na swoich oficerów i znowu zwrócił się do Turka:

— Co stanowi największą siłę tej armii?

Spoglądał Turkowi prosto w oczy.

— Janczarzy, artyleria i liczebność. Jego wysokość pasza Ali jest doświadczonym wodzem. W jednym ręku trzyma hojne nagrody, w drugim bat kolczasty. Tych, którzy na jego rozkaz nie chcą iść naprzód, jasaulowie poganiają chłostami.

— A co jest stroną słabą?

Kurd w zamyśleniu wzruszył ramionami.

Oczy Dobo zatopiły się w źrenicach Turka jak dwa sztylety.

— Gdybym serce wyjął z piersi i otworzył, panie, tobyś też nic innego z niego nie wyczytał niż to, że armie te były niezwyciężone, zanim się połączyły. Zdobyły przecież i zamieniły w gruzy jakieś trzydzieści twierdz i nigdy nie poniosły porażki. Skłamałbym więc, wskazując ci jakąkolwiek słabą stronę.

Dobo skinął głową na dwóch żołnierzy stojących za jeńcem.

— Związać go i odprowadzić do lochu.

I wstał.

Wtem trzeci pocisk armatni uderzył w to miejsce, gdzie przed chwilą siedział Dobo. Roztrzaskał pięknie rzeźbione krzesło z oparciem.

Dobo nawet się nie odwrócił. Wziął z ręki giermka szyszak, który zwykle nosił, i włożył na głowę.

Wszedł na szczyt baszty więziennej, by zaobserwować, która armata ostrzeliwuje pałac. Wkrótce miał rozpoznanie. Skierował trzy swoje działa na sypiącą pociskami armatę wroga. I dał ognia równocześnie z trzech luf.

Kosze się przewróciły. Topczowie uciekali na wszystkie strony.

Armata zamilkła. Dobo wstrzymał ogień, bo prochu trzeba oszczędzać.

— Celny strzał! — radował się Gergely.

Gdy schodzili na dół, uśmiechnął się do kapitana i pociągnął go za sobą w jeden z wykuszów przy schodach.

— Od Turka zażądałeś przysięgi, mości kapitanie, ale o tłumaczu waść zapomniał.

— Chyba niczego nie przemilczałeś?

— Owszem. Przemilczałem. Kiedyście zapytali, mości kapitanie, na czym polega największa siła Turków, coś opuściłem w zeznaniach. Turek mianowicie powiedział, że Ali ze swoimi czterema armatami więcej szkody potrafi wyrządzić niż Ahmed z dwunastoma. Przypuszczalnie więc Ali tak długo będzie ostrzeliwał twierdzę, aż wszystkie mury zamienią się w gruzy.

Dobo wzruszył ramionami.

— Zobaczymy.

— Tę część odpowiedzi opuściłem — zakończył Bornemissza. — Jeżeli uważacie, mości kapitanie, za wskazane, to proszę zakomunikować ją oficerom.

Dobo uściśnął dłoń Bornemisszy.

— Dobrze uczyniłeś. Po co niepokoić załogę. Ale przy tej sposobności ja ci powiem to, czego Kurd nie wiedział: co stanowi słabą stronę armii tureckiej.

Oparł się plecami o mur i skrzyżował ręce na piersi. — Być może, trzynaście murołomów już jutro zacznie kruszyć mury, nie mówiąc o tym, że równocześnie możemy znaleźć się pod ostrzałem stu albo i dwustu armat. Zniszczą nam mury, zwałą wieże. Ale to potrwa może całe tygodnie. A tymczasem trzeba będzie karmić tę ogromną armię. Przypuszczasz, że przywieźli z sobą dostateczną ilość żywności? A jeżeli nie, to przypuszczasz, że zdobędą ją tutaj? A co będzie, jeśli październikowe przymrozki zastaną ich jeszcze pod murami? Czy przypuszczasz, że to wojsko urodzone i wychowane w ciepłym klimacie będzie chciało wdrapywać się na mury o głodzie i chłodzie? Pocisk zarył się głęboko w ziemię tuż koło nich. Dobo zaledwie rzucił przelotne spojrzenie na kanonierów na baszcie i ciągnął dalej:

— Załoga dopóty będzie odważna, dopóki w nas widzieć będzie odwagę. Najważniejsze: utrzymać twierdzę, aż zabraknie im jedzenia, aż nastaną przymrozki, aż wreszcie nadejdzie armia królewska.

— A jeśli będą mieli co jeść? A jeśli nie będzie przymrozków w październiku? A jeśli armia królewska nie wyruszy spod Gyor?

Gdyby w głosie Gergelya zabrzmiał choć cień zwątpienia, może Dobo kazałby go z miejsca zakuć w kajdany. Ale Gergely mówił pogodnie, nie oczekiwał zresztą odpowiedzi. Po prostu wypowiedział swe myśli w szczerzej rozmowie. Dobo widać dobrze zrozumiał intencje Gergelya, bo wzruszył tylko ramionami.

— A czy biskup egerski nie pocieszał nas, że odprawi mszę za nasze zwycięstwo?

\*\*

Tego dnia pod wieczór kobieta owinięta w czarną ferezję spieszny krokiem przebiegła plac targowy. Nikt jej nie towarzyszył prócz piętnastoletniego Murzynka i olbrzymiego łaciatego psa polowego.

Gdy doszli do potoku, pies wskoczył do wody, kobieta zaś, stojąc nad brzegiem, załamywała ręce. Co chwila rzucała spojrzenie ku bramie, którą zwykle zamykano o zmierzchu na kłódkę i zabezpieczano żelaznymi sztabami. Kobieta widać czekała właśnie na ten moment, gdyż w chwili zamykania bramy przebrnęła przez potok, nie podnosząc nawet skraju sukni.

— Synku! — krzyknęła rozdzierająco, znalazłszy się przed bramą. — Synku!

Zameldowano kapitanowi, że matka małego Turka czeka pod murami.

— Wpuścić ją! — orzekł Dobo.

U wylotu zwodzonego mostu obok bramy znajduje się mała, żelazna furtka. Lecz gdy ją otwarto, kobieta cofnęła się zatrwożona.

Pies szczeka.

— Moje syn! — błaga kobieta.

Potrząsa sakiewką, w której brzęczą złote monety. Furtka się zamyka. Kobieta dalej stoi przed bramą i załamuje ręce. Unosi kryjącą twarz zasłonę i białą chustką ociera łzy spływające z oczu. Wykrzykuje przy tym bez ustanku:

— Selim, moje syn!

Wreszcie podchodzi do furtki i stuka. Furtka znowu się uchyla; kobieta ponownie się cofa. Wtem na baszcie nad bramą ukazuje się Gergely; trzyma za rękę tureckiego chłopca.

— Selim! — krzyczy kobieta i wyciąga ku dziecku ramiona. — Selim! Selim!

— Anam! — szłocha chłopiec.



Pies wesołym szczekaniem daje wyraz swojej radości. W myśl przysięgi Gergely nie zamienia ani słowa z kobietą, lecz chłopiec woła:

— Mamo, po obłączeniu możesz mnie wymienić za niewolnika chrześcijańskiego!

Kobieta osuwa się na kolana i jakby chciała swoje dziecko objąć na odległość, podnosi w górę ręce, lecz dziecko znika jej już z oczu.

\*\*

Tej nocy ciemność osnuła twierdzę, miasto, góry, niebo i cały świat.

Dobo późno udał się na spoczynek, ale o północy zjawił się znowu na basztach. Był w grubym, długim płaszczu, na głowie miał aksamitną czapkę. W rękę trzymał spis strażników.

Zoltay pełnił właśnie dyżur. Ujrawszy kapitana na baszcie Sandora, milcząc oddał mu honory szablą.

— Czy masz coś do zameldowania?

— Przed chwilą zrobiłem obchód. Wszyscy na swoich miejscach — odparł Zoltay.

— Murarze?

— Pracują.

— Chodź, pójdziemy razem. Mam do ciebie zaufanie, ale straż musi wiedzieć, że czuwam. Weź ten spis.

Ruszyli razem. Zoltay wywoływał kolejno nazwiska. Działa na basztach pogrążone w ciemności. Wartownicy to tylko czarne cienie. Pod sklepieniami baszt i murów palą się ogniska. Tu się ogrzewają wartownicy czekając na zmianę.

W twierdzy panuje cisza. Słychać tylko głuchy stuk murarzy naprawiających mury uszkodzone za dnia.

Dobo stoi na szczycie baszty. Co pięć minut z którejś blanki błyska szeroki snop światła płonącej latarni, przymocowanej do dzidy. Błysk ten na przestrzeni dwudziestu sążni rozprasza ciemność na murze i za fosą.

Ruszają dalej. Przy zachodniej bramie Dobo przystaje. Straż oddaje honory. Kapitan bierze od jednego z wartowników dzidę, a jego samego posyła po strażnika bramy.

Wartownik biegnie po schodach i za chwilę słychać, jak budzi strażnika:

— Kumie Mihalyu!

— No!

— Chodźcie no, kumie, prędko!

— Bo co?

— Przyszedł pan kapitan!

Łomot. (Strażnik wyskoczył z łóżka). Stuk-stuk. (Wkłada buty).

Brzęk. (Przypasuje szablę). Spieszne kroki. (Zbiega po schodach).

Wąsaty człek, przyodziany w obszerną sukmanę, staje przed kapitanem. Jeden koniec wąsa zwisa w dół, drugi sterczy w górę.

— Po pierwsze — zwraca się Dobo do wartownika, oddając mu dzidę

— żołnierz nie mówi do swojego dziesiątnika „kumie”. I nie mówi „chodźcie no prędko”. Tylko melduje według przepisów: „Panie dziesiątniku, melduję posłusznie”. Taki jest regulamin. Choć właściwie miałeś rację: strażnik, który śpi rozebrany do koszuli, to żaden pan dziesiątnik, tylko kum Mihaly. Takiego stróża to tylko wystrzelić z armaty, aż huknie.

Na to dictum i druga połowa Mihalyowego wąsa zwiśla żałośnie.

Dobo ciągnął dalej:

— Od dzisiaj będziecie spać na gołej ziemi pod bramą. Zrozumiano?

— Rozkaz, panie kapitanie.

— Po drugie: od dziś mostu nie spuszczaamy rano, tylko „organy” prócz jednej sztaby. W razie ataku i tę sztabę macie spuścić nie czekając rozkazu.

— Rozkaz, panie kapitanie.

Nie minęło nawet pięć minut, a już spadły grube jak ramię ostre pręty, niczym puszczalki organów, które zabezpieczyły bramę od wewnątrz. Tylko jedna sztaba została zawieszona: przejście dla pojedynczego człowieka.

Dobo wspiał się na wieżę kościelną. Tam też dokonał lustracji działa, obejrzał kanonierów, potem założywszy ręce na piersi spojrzął przed siebie w nocną dal.

Niebo było ciemne, lecz ziemia jak gdyby usiana tysiącami błyszczących gwiazd: to tureckie ogniska.

Nagle od wschodniej strony, tuż spod muru, rozległ się przenikliwy męski głos:

— Gergelyu Bornemissza! Poruczniku Bornemissza! Czy mnie słyszysz?

Cisza. Długa cisza.

— Jesteś w posiadaniu — rozległ się głos na nowo — tureckiego pierścienia. Pierścień jest mój. Ja uprowadziłem węgierskiego chłopca. Twego syna.

Cisza.

— Jeśli chcesz syna odzyskać, przyjdź do bramy targowej. Przynieś mi mój pierścień, a ja zwrócę ci syna. Czy się godzisz, Gergelyu Bornemissza?

Twarze wszystkich zwróciły się odruchowo w stronę wołającego, ale w ciemnościach otaczających twierdzę nie było widać nikogo.

— Sza! — mruknął Dobo brzęknawszy lekko szablą.

— Nie wierzysz mi? To nic! Może jak ci przerzucę przez mur głowę twojego syna, uwierzysz!

Dobo spojrział w prawo i w lewo i znów brzęknęła jego szabla.

— Chłopaki! Ani słowa o tym porucznikowi i nikomu innemu, bo jak mi Bóg miły, każę odliczyć dwadzieścia pięć kijów temu, kto puści parę z ust.

— Dziękuję, panie kapitanie — rozległ się zachrypnięty głos za plecami Dobo.

Był to Bornemissza. Przywiązał do strzały nasycony smołą wiecheć i rzekł spokojnie:

— Co noc traktują nas takimi bzdurami. Ubiegłej nocy w ten sam sposób zawiadomili Mekkseyego, że żona posyła mu pozdrowienia z namiotu bega Arsiana.

Zanurzył strzałę w dzbanku z olejem i ciągnął dalej:

— Moja żona z synkiem przebywają w Sopron. Nie ruszą się stamtąd ani na krok.

Głos z dołu odezwał się na nowo:

— Czy mnie słyszysz, Bornemissza? Twój syn jest w moich rękach. Przyjdź do bramy za godzinę, a zobaczysz go.

Gergely napiął cięciwę, przytknął strzałę do ognia i wystrzelił w mrok w kierunku głosu.

Płonąca strzała jak ognista kometa pomknęła w ciemność, oświetlając na chwilę pagórek od strony wschodu słońca.

Dwaj Turcy w długich kaftanach stali na pagórku. Jeden trzymał w rękę tubę, oko drugiego zakrywała biała opaska.

Chłopca nie widać było przy nich.

\*\*

Ta noc przyniosła jeszcze inne wydarzenie.

Varsanyi zameldował się przy bramie i prosił o wpuszczenie. Wartownicy mieli rozkaz obudzić kapitana, gdyby któryś ze szpiegów się zjawił.

Dobo bawił jeszcze na wieży kościelnej, grzejąc sobie ręce przy ognisku.

— No, co nowego?

— Melduję posłusznie, wszystkie murołomy stoją już na wyznaczonych pozycjach. Na podwórzu Heceyego postawili trzy. Wszystkie inne działa i moździerze są też już przygotowane do ataku. Od strony miasta z dwóch, a od pagórków z trzech miejsc mają kruszyć mury przy pomocy pocisków armatnich. Pozostałe działa będą strzelały ze wszystkich stron jednocześnie. Podczas południowej modlitwy rzucą do ataku kumbaradźich, którzy mają zasypywać mury tysiącami ognistych pocisków z kopii i proc. Ojoj! — potrząsał głową prawie płacząc.

— Wobec tego — rzekł Dobo spokojnie — na pierwszy ogień pójdzie baszta więzienna, twierdza zewnętrzna i stara brama. I co dalej?

— Wszystko, panie kapitanie.

Masz jeszcze coś do powiedzenia?

— Nic. Tylko że... czy nie byłoby lepiej... Tak nas niewielu... za ryzykowne...

Nie skończył, bo Zoltay wymierzył mu tak potężny policzek, że krew trysnęła z nosa obryzgając mur.

Dobo odsunął go ruchem ręki.

— Daj mu spokój.

Varsanyi obcierał krwawiący nos, rzucając żalosne spojrzenia na Zoltayego.

— Czy nie wiesz, że pod groźbą śmierci nie wolno nawet wspomnieć o możliwości kapitulacji? — uspokajał go Dobo.

— Ja jestem tylko szpiegiem — mruczał Varsanyi — mnie za to płacą, żebym szczerze mówił.

— Jeszcze tej nocy złożysz przysięgę, a krew z nosa postaram się zatamować ci złotem. Chodź ze mną.

Wyminęli studnię, gdzie Gergely z Cyganem i czterema chłopami ubijali pociski. Dzień i noc pięciu ludzi było zajętych robieniem bomb. Gergely ich wyuczył tego sposobu. Przygotowywali zapasy na wypadek nieoczekiwanego ataku.

Dobo przywołał do siebie Gergelya. We trzech weszli do pałacu.

W swej komnacie Dobo wyciągnął szufladę z sekretarzyka i zwracając się do Gergelya, rzekł:

— Napisz list do Szalkayego. Zawiadom go, że jak dotychczas ani od króla, ani od biskupa nie otrzymaliśmy pomocy, i prosz, by wezwał na pomoc komitaty i miasta.

Gergely wykonał zlecenie kapitana, który przez ten czas w sąsiednim pokoju odebrał przysięgę od Varsanyiego.

— Panie kapitanie — powiedział po uroczystym akcie Varsanyi — przecież ja dobrze wiem, że mnie tylko pana kapitana się trzymać, bo jeżeli obronimy twierdzę, to już nigdy więcej nie będę musiał przebierać się w to paskudztwo.

— Słusznie — odparł Dobo. — Ale nawet gdybyś się nie spodziewał nagrody, obowiązkiem twoim jest służyć dla dobra ojczyzny.

Na stole stał dzbanek wina. Dobo podsunął go szpiegowi.

— Napij się, Imre.

Szpieg był widać spragniony: wychylił cały dzban jednym tchem.

Otarł wasy, widać było po jego oczach, że wzbierają w nim słowa wdzięczności. Dobo uprzedził go:

— Do Turków nie masz teraz po co wracać. Jeszcze dziś w nocy zanieziesz ten list do Szarvaskó. Tam zaczekasz na powrót Miklósa Vasa od króla i od biskupa. Jeśli ci się uda, przyprowadz go z sobą. Jeśli nie, wrócisz sam. Czy Turcy mają jakieś hasło?

— Skądże. W przebraniu tureckim każdy może się między nimi wałęsać, zwłaszcza jak umie trochę mówić po ichniemu. Tylko za co ja dostałem po twarzy?

W sąsiednim pokoju zadzwoniły ostrogi Gergelya. Dobo wyszedł, aby wysłuchać treści listu.

13

Następnego dnia, szesnastego września, huk armat i ogłuszające wybuchy pocisków przywitały wschodzące za górami słońce.

Ziemia dygotała. Ku niebu wznosiły się gęste, brunatne chmury dymu z dział, zasłaniając nie/tylko słońce, ale i bezkresny błękit nieba.

Ostrzeliwane wieże i mury aż jęczały i trzeszczały. Na wewnętrzny dziedziniec gradem padały większe i mniejsze pociski. Na każdym kroku śmierć czyhała na ludzi i zwierzęta.

Załoga i ludność twierdzy z opanowaniem stawiały czoło niebezpieczeństwu. Dobo jeszcze w nocy kazał zatrąbić na alarm. Część ludzi pracowała nad podwyższeniem ogrodzenia tam, gdzie

spodziewano się ataku następnego dnia. Część zaś miała za zadanie zbierać skóry ubitych zwierząt i układać je w kadziach napełnionych wodą.

Inni znowu gromadzili przy zewnętrznych murach twierdzy belki, beczki i wory z ziemią, układali je przy baszcie więziennej, przy bramach, by je mieć pod ręką do naprawiania uszkodzonych murów.

Wszelkie naczynia, dzbany, garnki i wiadra kazał Dobo napełnić wodą. Kazał też zbędne rzeczy poprzemnieść z dołu do wyższych pomieszczeń, podobnie jak sól, marchew, kapustę i inne warzywa z piwnicy, gdzie na ich miejsce ustawiono prycze dla ludzi pracujących i potrzebujących odpoczynku.

Konie i krowy umieszczono w przestronnych salach podziemnych.

Wschodnie i północne ściany budynków zabezpieczono zwałami ziemi. W najbardziej zagrożonych miejscach kopano rowy, wznoszono szańce obronne.

Na obszarze twierdzy zabezpieczono się przed pożarem. Łatwopalny dach starej obory Dobo kazał zerwać, stojące przed stajnią stogi siana i słomy, jak i stertę pszenicy obłożono mokrymi skórami.

Ogłuszająca kanonada zastała załogę przy tych czynnościach. Pierwszy pocisk — półmetrowej długości — rozbił kuchnię, a w niej moc naczyń.

Kobiety właśnie rozniecały ogień w piecu, aby ugotować strawę dla żołnierzy. Kiedy pocisk wpadł do kuchni, ogarnął je strach i jęły uciekać na łeb, na szyję przez drzwi i okno.

Pocisk przez jakiś czas obracał się, wirował na gruzowisku potrzaskanych naczyń i czerepach garnków.

Mekcsey dojrzał ze stajni uderzenie pocisku w kuchnię i przybiegł co prędzej.

— Co się tu dzieje?! — krzyknął na kobiety i rozłożył szeroko ramiona, aby je zatrzymać.

— Bomba uderzyła w kuchnię!

— Wracać! Chodźcie za mną!

Wbiegł do kuchni. Porwał kadź z wodą za obydwa ucha i wylał zawartość na pocisk.

— No — kopnął go w kąt — teraz gotujcie dalej. Pocisk uderzył z lewej strony. Pod lewym murem możecie śmiało pracować dalej. Z tamtej strony przenieście wszystko tu, a tam się nie kręćcie.

— Oj, coś niedobrze, panie kapitanie—biadoliła staruszka z pomarszczonym czołem — w nocy kura zapiała. Chyba już po nas!

— To był kogut, matko.

— Gdzie zaś. Kura piała, panie kapitanie.

— No więc ugotujcie mi tę kurę na obiad, to więcej już nie będzie piała.

Wystraszone kobiety robiły przy każdym wybuchu znak krzyża, ale gdy drugi pocisk przebił dach, już same oblały go wodą i przytoczyły w kąć obok pierwszego.

— Fe, jak cuchnie! — I pracowały dalej.

W końcu jednak ludność twierdzy straciła poczucie bezpieczeństwa. Jak długo pociski padały tylko z jednej strony, wiadomo było, że trzeba omijać mury wschodnie i północne. W innych miejscach nic nie groziło życiu. Teraz jednak działa huczały bezustannie ze wszystkich stron, miotając ogień, ani na chwilę nie ustawał huk, świst, łomot i trzask wirujących i podskakujących pocisków, wielkich jak arbuzy, to znów małych jak orzechy włoskie.

Dotychczas jedynie Cygan chodził — boso wprawdzie, ale w szyszaku na głowie i w stalowej koszulce — gdy jednak po godzinnej kanonadzie u golibrodów było z dziesięciu czekających na zszycie i ałunowanie ran, wszyscy gromadnie rzucili się do cekhauzu, aby dobrać szyszaki i co grubsze koszulki.

Kapitanowie i porucznicy już w pierwszym kwadransie obeszlą całą twierdzę.

— Nie bójcie się! — grzmiał Dobo.

Porucznicy powtarzali jak echo:

— Nie bać się! Pod obstrzałem zawsze są te same budynki. Unikajcie miejsc, gdzie padł już pocisk!

Oni sami chodzili wszędzie.

Po godzinie odbity tynk na budynkach, osmolone ściany, dziesiątki pocisków utkwionych w murach wskazywały obiekty najbardziej wystawione na ogień.

Przy murach, gdzie panował względny spokój, pracowali rzemieślnicy i odpoczywali żołnierze.

Co prawda, niewiele było w twierdzy takich murów.

\*\*

Mimo śmiercionośnej kanonady Dobo biegał od baszty do baszty. Teraz miał już nie tylko błyszczący szyszak stalowy na głowie, cały był opancerzony. Tu poprawił coś przy koszach, tam przy armatach.

— Strzelać tylko do upatzonego! Oszczędzać proch!

Ta ostatnia przestroga nie mieściła się ludziom w głowie.

— Co, do diaska! — mruzcili niezadowoleni. — Do czego proch, jak nie do strzelania!

Nie mogli się doczekać komendy: ognia! Bo i na co czekać? Turcy są tuż, tuż! Tępić zbójów, jak szczury! A przynajmniej Przepędzić ich od twierdzy!

Nikt jednak nie śmiał zdradzić tych myśli przed kapitanem.

Wobec wzmagającego się niebezpieczeństwa Dobo jeszcze mocniej ujął w swoje ręce całość obrony.

Turcy obsadzili już Krzesło Króla. Jak okiem sięgnąć, pstrzyły się buńczuki i namioty, a między nimi roily się chmury tureckich wojowników.

Polowa orkiestra turecka przygrywała to tu, to tam, grzmotowi armat wtórowały piszczałki, trąby i nieustanny trzask miedzianych talerzy.

Gdzie murołomy nie forsowały murów, tam kumbaradżowie przerzucali bomby, janczarzy szyli płonącymi strzałami z łuków.

Ognisty, żelazny deszcz.

Strzały i bomby wywoływały wśród załogi i ludności o wiele większe zamieszanie aniżeli pociski.

Doświadczeni oficerowie i temu zaradzili: dzielna ich postawa służyła za przykład wszystkim.

Gdy wpadły pierwsze bomby i skwiercząc odbiły się od ziemi, miotając ogniem, Dobo własnoręcznie porwał mokrą skórę i rzucił się z nią na bombę. Załoga oczom nie wierzyła: bomba nie tylko nie rozerwała kapitana w kawałki, ale po chwili drgania zgasła.

Następne bomby żołnierze unieszkodliwiali już bez obawy.

Były one z gliny i tłuczonego szkła.

— Zaraz pokażemy Turkom trochę lepsze! — krzyknął Gergely. I kazał przynieść bomby zrobione pod jego nadzorem. Dobo położył rękę na ramieniu Gergelya.

— Jeszcze nie czas.

\*\*

Od rana tureckie działa pracowały bez wytchnienia miotając ogniem na oblężonych.



Półcietnarowe pociski murołomów robiły wyrwy wielkie jak bramy. Hakownice i granatniki kruszyły misterne rzeźby kościoła, mocno podziurawiły mur opasujący od północy tył kasztelańskiego domu. Ten mur był najbardziej wystawiony na obstrzał.

— Nawieź tu ziemi — nakazał Dobo — na zewnątrz i do wnętrza, a nawet do tylnych komnat pałacu!

Ludzie Mekkseyego okrężną drogą zwozili ziemię taczkami, dwukółkami; z beczek i koszów napełnionych ziemią ustawiano barykady na drodze i na zakrętach narażonych na obstrzał z flanki.

— A tu największą beczkę! — krzyknął właśnie porucznik Balazs Nagy.

Wtem, jakby go szarpnięto, stoczył się z nasypu. Pocisk armatni zwalił go z nóg.

Porucznicy kazali wokół zamku kopać rowy, wznosić szańce, napełniać ziemią kosze i beczki, by stworzyć osłonę od kul tureckich. Szczególnie główną basztę przy starej bramie gęsto obstawiono koszami.

Świtem, ledwie załoga baszty Sandora rozlokowała się za barykadą, hakownice tureckie poczęły sypać gradem kul.

— Padnij! — zakomenderował Gergely.

Stu pięćdziesięciu żołnierzy rzuciło się twarzą na ziemię.

Gergely schronił się przy murze.

Kule ze świstem przelatywały nad głowami żołnierzy i wbijały się w mur.

Ogrodzenie zostało podziurawione jak sito. Na działobitni nastąpiła wreszcie przerwa. Turcy wystrzelili już wszystkie pociski; teraz na nowo nabijają armaty i hakownice.

— Powstań! — zawołał Gergely do swoich żołnierzy. Pięciu ludzi nie ruszyło się z miejsca.

— Zabrać ich i ułożyć przed kościołem — wskazał ruchem głowy Gergely. — A czy ranni są? Piętnastu ludzi milcząc wystąpiło z szeregu.

— Do cyrulików!

Zacisnął pięści; zaklął siarczyście.

— Chłopcy — rzekł potem — nie możemy leżeć beczynn timer na brzuchu do wieczora. Przynieście łopaty, musimy się okopać. Dziesięciu pobiegło po narzędzia i za chwilę wszyscy kopali rów. Nie minęła godzina, a żołnierze stali już w okopie po piersi. Gergely

zaczekał, aż Turcy znowu wystrzelą swoje pociski, po czym wyskoczył z rowu i pobiegł do wewnętrznej twierdzy, by złożyć kapitanowi meldunek o sypaniu szańca.

Przy klasztorze natknął się na tureckiego chłopaka, bawiącego się pod okapem. Właśnie wydłubał łyżką z muru dymiący jeszcze pocisk. Wybiegł pewnie z kuchni i zaciekawiony kanonadą przystanął tam, gdzie bez ustanku padały kule i pociski.

— Hajde! — krzyknął Gergely.

Dziecko zwróciło ku Gergelyowi przerażoną twarz. Wsparte o mur spoglądało nań wylęknione, wysuwając rączki, jakby szukało matczynej spódnicy.

Kule waliły. Pocisk wielkości pięści wbił się w mur tuż nad głową malca.

Gergely skoczył, porwał dziecko i zaniósł je do pałacu.

\*\*

Tego wieczoru zachodzące słońce strzeliło na chwilę złocistym snopem promieni, po czym skryło się za purpurą chmur, aby opromieniać szczęśliwszą część kuli ziemskiej, gdzie mieszkańcy spokojnie mogli przytulić głowy do poduszek przy cichym brzęczeniu jesiennych owadów.

W twierdzy egerskiej zaś dopiero zaczyna się praca.

Gdy ucichł ostatni strzał topczich, murarze chwytają za kielnie, mieszkańcy płci męskiej wożą kamienie, ziemię, belki, wodę, piasek, by załatać wyłomy. Czekany kują pracowicie. Dobo kazał odłupać zewnętrzne schody kamienne i gzymsy wież, gdyż pryskające pod uderzeniami pocisków odłamki rozlatują się szeroko i ranią nawet tych, którzy przebywają w bezpiecznych miejscach.

Praca wre przez całą noc. Na skraju murów leżą strzelcy, czuwają; dalej murarze i chłopci dwoją się i troją.

Czasem rozlega się huk moździerza to na jednej, to na drugiej baszcie. Pocisk wystrzelony w górę pęka i na chwilę błysk oświetla przedpole twierdzy.

To pociski świetlne: pozwalają na obserwowanie wroga, czy nie przygotowuje jakiegoś fortelu.

— Szybciej! Szybciej! — słychać nawoływania oficerów.

Murarz spuszcza się po linie, aby założoną w wyłom belkę przymocować żelazną kłamrą.

Z dołu huk wystrzałów: grad kul sypie się na robotników. Potem jeszcze przez chwilę słychać grzechot serii strzałów.

Błysk tureckich strzelb oświetla dwa czambuły janczarów leżących na brzuchu.

Odpowiada im salwa z twierdzy.

Jeden z murarzy chwyta się za serce i wali z muru na zewnątrz.

— Pracować tylko wewnątrz! — rozlega się rozkaz porucznika Peto.

Ludzie pracują, nie zważając wcale na ogień janczarów.

O północy rozlega się głos straży przy bramie.

Dobo siedzi właśnie na skrzyni z prochem. Podrywa głowę.

— List od króla! — woła Peto.

Po upływie kilku minut dwóch ociekających krwią ludzi dysząc staje przed kapitanem.

Obydwaj są w przebraniu tureckim. Okrwawione szable świadczą, że to nie igraszka dostać się do oblężonej twierdzy.

— No — powiada Dobo — mówcie!

Jeden z nich to Varsanyi wracający z nocnej wyprawy, drugi zaś Miklós Vas, wysłannik, który miał zawieźć do króla pismo paszy Ahmeda.

Varsanyi dyszy ciężko.

— O mało nas nie zakatrupili.

Miklós Vas wsuwa okrwawioną szablę do pochwy i siada na ziemi.

Zdejmuje swe żółte buty. Wyciąga kozik. Odpruwa podeszwę. Spod podeszwy wydostaje list i wręcza kapitanowi.

Przez ten czas odsapnął i melduje:

— Mówiłem z biskupem. Pięknie pozdrawia wielmożnego pana kapitana. Jego ekscelencja raczył sam zawieźć list do króla. Oto odpowiedź.

— Trzeciego zabito — przerywa Varsanyi.

— Jakiego trzeciego? — zachnął się Peto.

— Istvana Szurszabó, naszego człowieka. Szedł z nami, chciał się też dostać do twierdzy, a sam przecie nie dałby rady. Przed samą bramą dźgnęli go dzidą.

Varsanyi wziął głęboki oddech, po czym ciągnął dalej:

— Na myśl nam nie przyszło, że przy bramie natkniemy się na Turków. Wyciągam piszczałkę i przystawiam do ust, a tu z dziesięciu Turków rzuca się na nas. Ale my też nie od parady nosimy szable:

ciach! ciach! Na szczęście już dniało i bramę otwarto. Istvana zadźgali, a my hyc do bramy!

Dobo złamał pieczęć, która zresztą w bucie już i tak się rozkruszyła. Pochyliwszy się ku lampie, jał czytać.

Twarz z minuty na minutę chmurzyła mu się coraz bardziej. Brwi się ściągnęły. Skończywszy czytać machnął ręką i wsunął list do kieszeni. Peto miał już na końcu języka pytanie, co pisze król, lecz Dobo zwrócił się już do Varsanyiego:

— Oddałeś list panu Szalkayemu?

— Tak jest, panie kapitanie. Przesyła pozdrowienia. Pisał od rana do południa, a potem ile listów, tylu umyślnych rozesłał po kraju.

— I jeszcze coś?

— Tyle tylko — odparł Miklós Vas — że jego ekscelencja biskup przyjął mnie bardzo łaskawie. U króla jegomości też wszyscy byli serdeczni. Ale... chyba... już pójdę do cyrulika... aby mi zaszył głowę.

— Peto, przypomnij Sukanowi, aby umieścił tych dwóch na liście wyznaczonych do nagrody królewskiej po oblężeniu.

— Panie kapitanie — odezwał się Varsanyi, drapiąc się w kark — ja mam jeszcze coś do zameldowania. Dobo spojrział nań pytająco.

— Lukacs Nagy kazał prosić pana kapitana, aby przy głównej bramie zaświecić żagwie. Chciałby wrócić tej nocy.

— Taaak? — Dobo gniewnie tupnął nogą. — Ja go nauczę, co to karność!

Minął ich biegiem człowiek z kielnią i gracą do mieszania zaprawy. Dobo przepuścił go i zawołał do murarzy:

— Belki na krzyż, a nie w poprzek!

Po czym ponownie zwrócił się do Varsanyiego:

— Ten Lukacs uważa, że... ale... niech mi się ten łotr tylko na oczy pokaże, nauczę go moresu! — pinił się kapitan.

Varsanyi zakłopotany drapał się w brodę i błagalnie spoglądał na kapitana:

— Oj, panie kapitanie, i tak chodzi już jak struty, że Turcy odcięli go od twierdzy. Ledwo zipie ze zmartwienia... Dobo przechadzał się pod latarnią.

— Próżne twoje wstawiennictwo. Kara go nie minie i basta...! Ale co do was, jeszcze tej nocy musicie wrócić i zawieźć list do biskupa i do króla. Czy podołasz, Miklósu?

Młody chłopak przycisnął do głowy chustę przesiąkniętą krwią. Po lewym policzku ciurkiem spływała czerwona struga.

— Podołam — rzekł skwapliwie. — Najwyżej w Szarvaskó każę sobie zaszyć ranę...

14

Murarzom przydzielano do pomocy coraz więcej ludzi, mimo to jednak nie nadążali z naprawą uszkodzeń. Zwiększono liczbę strażników na murach. Następnego dnia, kiedy armaty tureckie zaczęły walić jak zwykle, świeża jeszcze zaprawa pryskała na dziesięć sążni wzwyż, a pociski zarywały się w murach.

— Strzelajcie zdrowo! — ryczał stary Cecey. — Podreperujcie nam mury żelazem!

Dziesiątego dnia oblężenia sporo już było nie załatanych dziur i wyłomów w murach. Zbyt krótkie noce nie starczały, by nadążyć z pracą.

Pod koniec drugiego tygodnia oblężenia nagle zamilkła kanonada turecka. Ze wszystkich, punktów obserwacyjnych twierdzy wyteżano wzrok, by wykryć przyczynę, lecz bez skutku.

— Zbliża się jakiś wieśniak — zameldował strażnik bramy targowej.

Istotnie, jakiś stary chłop w długiej burce szedł ku bramie wolnym krokiem. Wpuszczono go.

Dobo przyjmuje go na rynku. Zapewne wysłannik od Turków.

— Skąd jesteście? — spytał kapitan oschle przybysza.

— Z Csabragu, panie.

— A skąd się tu wzięłeś?

— Ano, przywiozłem mąkę Turkom.

— Ile?

— Ze szesnaście fur.

— Kto was tu posłał?

— Pan rządca.

— To nie rządca, to sługa turecki.

— Ano, panie... musowo było się poddać, żeby nam się nie powiodło tak, jak sąsiadom.

— Jakim sąsiadom?

— Twierdzy Dregely, panie.

— Masz list?

— Tak... łaskawy panie.

— Od Turków?

— Tak, panie.

— A czy nie wiesz, że to grzech dostarczać swoim list od wroga?

— A bo ja wiem, co w tym liście piszą?

— Czy może być coś dobrego od Turków?

Chłop milczał.

— A czytać umiesz?

— Nie.

Dobo zwrócił się do kobiet:

— Przynieście mi tu garnek żaru.

Za chwilę jedna z kobiet zjawiała się z garem i zawartość wysypała na ziemię.

Dobo rzucił list na żar.

— Weźcie za rękę starego zdrajcę i przytrzymajcie ją nad dymem. Niech wącha zapach zdrady, skoro czytać nie umie!

Kazał zakuć go w dyby i zostawić na rynku ku przestrodze: taki los spotka każdego, kto od Turków listy przynosi.

\*\*

Porucznicy byli świadkami zajścia. Ludzie zbiegli się na niezwykle widowisko. Wyśmiewali zakutego człowieka, z oczu którego od dymu i rozpaczły płynęły łzy.

— A widzisz, durniu! — przedrzeźniał Cygan. — Zachciało ci się bawić w posłańca.

Litery na zwęglonym liście stały się widoczne na chwilę, jako świecące czerwienią wykrętasy.

Gergely stał tuż obok.

Nieprzyjacielskie armaty wciąż jeszcze milczały. Turcy czekali na odpowiedź.

— Panie kapitanie — rzekł Gergely oddalając się od zbiegowiska. — Niechcący przeczytałem część zdania pisma tureckiego. Dobo wzruszył ramionami.

— Po cóż ci to? Widzisz, ja nie czytałem, a jednak wiem, co napisali.

— Prawda. Nie warto o tym mówić, ale to jedno zdanie było tak przeklecie pogańskie, że pozwólcie je sobie powtórzyć. Dobo ani zezwolił, ani zabronił. Gergely ciągnął dalej:

— A więc to zdanie brzmiało: „w przeciwnym razie możesz sobie przygotować trumnę, Istvanie Dobo!” Dobo mruczał pod nosem:

— Jeśli to miało być przestroga, bym się przygotował na śmierć, to zaraz dam im odpowiedź.

Po kwadransie z muru zwisała na dwóch łańcuchach czarna trumna, podtrzymywana dwiema kopiami zatkniętymi w szczeliny.

Działa tureckie zaczęły bić na nowo.

15

Wieczorem w dniu świętego Michała piętnaście olbrzymich wyłomów ziało w murach jak otwarte rany. Najbardziej ucierpiały mury zewnętrznej twierdzy na południowy zachód i na południe od wieży narożnej. Wieżę strażniczą tak poharatały działa tureckie, że była prawie przepołowiona. Wierzyć się nie chciało, iż trzyma się jeszcze jakimś cudem.

Murarze już nie nadażyliby z naprawianiem wyrządzonych szkód, choćby nawet cała załoga przyszła im z pomocą.

— No trudno! Zrobimy, chłopcy, co się da! O północy Dobo wezwał oficerów na wieżę kościelną i kazał wystrzelić kulę świetlną w kierunku wschodnim.

— Spójrzcie — rzekł — w tych ciągnących się do samej twierdzy nasypach aż się mrowi od Turków.

Istotnie, Turcy tej nocy ściągęli z gór i rozlokowali się blisko murów. Przy blasku kul świetlnych ukazały się żółto-czerwone proporce na janczarskich namiotach z grubego płótna i rozstawione drabiny oblężnicze. Pierścień turecki wokół twierdzy zacieśnił się.

— No, moi drodzy — rzekł Dobo — jutro ruszą do ataku. Załoga ma spać na murach.

W wyłomach Dobo ustawił moździerze i puszkarzy. Lufy armatnie nastawił także na wyrwy. Cały zapas broni: kopie, dzidy, bomby, czekany, toporki kazał przygotować pod murami.

A teraz kolejno uścisnął dłonie oficerów.

— Przyjaciele, znacie swe obowiązki. Odpocznijcie, jak długo można. Atak musimy odeprzeć.

Ostatnie słowa wypowiedział z twarzą zwróconą ku miastu. Z dołu dobiegał ich jakiś niezwykły szum, przechodzący w łoskot.

Oczy wszystkich zwróciły się w tym kierunku.

Przy bramie od strony potoku dał się słyszeć ostry sygnał gwizdawki Varsanyiego.

— Otworzyć bramę! — krzyknął Dobo.

W mieście wrzawa jeszcze się wzmogła. Dochodzi tętent koni, szczęk szabel, huk wystrzałów. Na murach rozlegają się przynaglające okrzyki:

— Otwierać bramę, Lukacs idzie!

W strażnicy porucznik Janos Vajda każe zapalić żagiew i wysunąć ją przez strzelnicę. W blasku światła widać sznur konnicy Lukacsa Nagya, przebijający się przez mrowie dżebedżich, zalegających rynek.

— Zanieście pochodnie pod bramę! — rozkazał Vajda. — Łatwiej im będzie przebić się pod osłoną ciemności. Most został spuszczoney, organy podciągnięte.

— Strzelcy pod bramę! Kopijnicy do bramy! Junacy Nagya jeden za drugim wpadają w bramę jak wichur, za nimi z wrzaskiem rzucają się Turcy.

— Allah! Sara jezik! Waj sana! Allah! Allah!

Pod bramą krwawe zmaganie.

Bosonogi piad niby kot wspina się po łańcuchu mostowym. W zębach ma handżar. Strażnik trzymający pochodnię spostrzega go. Przez chwilę stoją oko w oko. Wreszcie strażnik ciska mu w twarz płonąca żagiew. Turek spada głową w dół i znika w ciemności.

Pozostali Turcy z wrzaskiem „Allah akbar” „sara jezik” pchają się jeden przez drugiego z mostu do bramy.

— Most w górę! — rozkazuje Dobo. Seria strzałów nad bramą tłumi jego słowa.

— Nie zdołam podciągnąć! — krzyczy strażnik.

Na moście roi się od Turków.

W tej chwili Gergely dopada bramy. Wrywa z rąk strażnika pochodnię i rzuca się do moździerza. Za chwilę moździerz pluje ogniem, który zmiata hordę turecką tłoczącą się na moście.

Dźwig wielkości koła u wozu obraca się, unosi most wraz z pozostałymi na nim Turkami, trzeszcząc i zgrzytając, w końcu z głuchym trzaskiem staje.

Jednocześnie spadają z brzękiem żelazne sztaby organów.

Z pięćdziesięciu Turków zostaje schwytyanych, jak szczury w pułapkę, między mostem a żelaznymi prętami. Miotają się wściekle, póki strzelcy i kopijnicy nie wybiją ich co do nogi.

Po kilku chwilach pod mroczną bramą zostaje tylko stos charczących, dogorywających ludzi.

Dobo stoi już na rynku.

W świetle pochodni dwudziestu dwóch chłopca z obnażonymi głowami zsiada z koni i trzymając wierzchowce za uzdy, ustawia się rozciągniętym szykiem przed kapitanem. Konie pokrywa biała i



czerwona piana. Jeźdźcy są zadyszani. Twarze niektórych zakrwawione. Jednemu na ramieniu, spod przeciętego szabłą dolmana, prześwieca biała koszula.

Z szyku występuje niski, barczysty człek:

— Melduję posłusznie, panie kapitanie — dyszy — swoje przybycie.

— Lukacsu! — odpowiada Dobo ze wzruszeniem obejmując swego żołnierza — zasłużyłeś na kajdany, włóczęgo jeden, za niewykonanie rozkazu! A za dzielność na złoty łańcuch na szyję! W jaki sposób udało wam się przedostać?

— Musieliśmy tak długo czekać, panie kapitanie, aż zakatrupimy tylu Turków, żeby każdy z nas miał turban i płaszcz. Robiliśmy wypady z Szarvaskó: dziś wieczorem brakowało nam jeszcze dwóch turbanów. Varsanyi oddał mi swoją piszczałkę. Gdyby nie ta przekłeta piechota na rynku, wszystko poszłoby gładziutko. Ale psiakość! Wyniuchali nas, no i zaatakowali.

— Kogo z was brakuje?

Żołnierze spojrzeli po sobie. Pochodnia oświetlała im tylko połowę twarzy. Zarówno ludzie, jak i konie ociekali krwią.

— Gabora — rozlega się głos cichy jak szept.

— Bicskeiego — dodaje któryś.

— Balkanyiego!...

— Gyuri Soósa...

Wzrok kapitana zatrzymał się na młodym chłopaku o dziewczęcych włosach, który stał nieco w głębi, twarz schował za karkiem wierzchowca.

— Balazs! — krzyknął szczerze uradowany. — To ty?

Chłopak wystąpił. Osunął się na kolano. Złożył u stóp kapitana skrwawioną szablę i bez słowa schylił głowę.

Był to Balazs Balogh, najmłodszy giermek kapitana.

16

Tej nocy wojsku pozwolono wyspać się, poza osiemdziesięcioma strzelcami, którzy czuwali co dziesięć kroków między leżącymi w pełnym rynsztunku wzdłuż murów i w rowach.

Dobo odkomenderował do pomocy murarzom wszystkich cywilnych mieszkańców twierdzy, nawet rzeźników, młynarzy, ślusarzy, cieślów, czterech kowalów, dwóch hyclów, no i Cygana.

Kazał wstawiać belki w wyłomy, zamuroвывать je naprędce lub w razie braku kamieni i zaprawy pozatykać, jak się da. Część ludzi

wznosiła dodatkowe umocnienia z kamieni, piasku, beczek. Ponad bramą i przed bramą ustawiono moździerze, z boków hakownice i granatniki.

Tureccy tufekczowie dają ognia z głębokich rowów, ilekroć jakiś robotnik ukazuje się w wyłomie. Zdarza się to dość często, choć pracują pod osłoną koszy wiklinowych.

Przy wieży narożnej Tomasz Bolyky nadzoruje łątania wyłomu, mającego trzy sążnie długości. Każę przymocować jedną belkę do drugiej powrozami i łańcuchami. To niebezpieczna praca. Trudno bowiem uniknąć, by czasem któryś z robotników nie wychylił się na zewnątrz muru, narażając się na grad kul janczarskich.

Daremnie nasi odpowiadają strzałem na strzał, daremnie obrzucają Turków bombami. Turcy siedzą bezpiecznie, jak u Pana Boga za piecem, w swoich aproszach, z których widać zaledwie czubek janczarki.

Mają przy tym doskonale widoczny cel: blask latarni murarzy.

— Belki w górę! — rozkazuje Tomasz Bolyky.

Chłopi stojący obok belek wymieniają spojrzenia; tej nocy już trzech z nich odniosło rany.

— Belki w górę! — powtarza Bolyky.

Chłopi stoją niezdecydowani.

Porucznik rzuca się na brzeg wyłomu i stamtąd woła:

— Ruszajcież się wreszcie, do licha! To tu!

Belki szybko unoszą się w górę. Z dołu grzechot janczarek. U góry miarowy stuk młota: to robotnicy przytwierdzają łańcuch do belek grubymi gwoździami o długości piędzi.

— Nie bać się! — zachęca porucznik swoich ludzi. I nikt nie śmie się bać.

Kula ze świstem szurnęła po szyszaku porucznika, zmiatając z niego srebrny emblemat.

— Prędko! Prędzej!

Sam chwyta za belkę i przywiązuje ją łańcuchem do drugiej.

— Tomaszu! — woła Mekksey z dołu. — Zejdź stamtąd!

— Zaraz! — odpowiada Bolyky.

Przykłęka i schylony sięga po drugą belkę, by ją podźwignąć.

— Powróż!

I tak już trwa pochylony, jakby skamieniał.

— Tomaszu! — krzyczy Mekksey wstrząśnięty.

Tomasz nie rusza się; szyszak spada mu ze schylonej głowy, długie siwawe włosy opadają na czoło.

Mekcsey jednym susem znajduje się obok i ściąga go ze skraju wyrwy. Układa bezwładne ciało w wykuszu baszty.

— Latarnie!

Twarz Tomasza oblekła już woskowa bladość. Po przyprószonej siwizną brodzie spływają strugi krwi, barwiąc czerwienią wapienny proch na ziemi.

— Tomaszu! Przyjacielu! — woła Mekcsey wzruszony. — Chcesz coś powiedzieć?

— Tak — szepce Tomasz z trudem — bijcie się... za ojczyznę...

\*\*

Latarnie i zawieszane na gwoździach żagwie migocą i płoną w różnych punktach twierdzy. Dobo gna od wyłomu do wyłomu.

Stan wieży nad starą bramą niepokoi go najbardziej. Wprawdzie pociski tureckie poharatały także i bramę, ale ta da się naprawić. Gorzej z wieżą... Od strony południowej widać na wylot kręcone schody — zresztą także uszkodzone — i nie ma czasu na zamurowanie tego potężnego wyłomu... A co będzie, jeżeli Turcy jutro znowu tę samą wieżę wezmą pod ostrzał? Bądź co bądź, to najważniejszy punkt obserwacyjny od strony południowej. Rozwalenie tej wieży byłoby niepowetowaną stratą dla obrony...

Kapitan postawił tam czterdziestu wybornych strzelców, gotowych każdej chwili do walki.

— Tymczasem możecie spać — krzyknął Dobo z dołu na odchodom — wystarczy, jeżeli dwóch z was czuwa przy oknach wykusza.

I już pędzi dalej do wieży narożnej.

— Co się tu dzieje? Czemu nie pracujecie?

— Panie — odpowiada jeden z robotników, a głos mu drży — przed chwilą zabili nam porucznika Bolykyego.

Właśnie dźwigają go na noszach. Nogi mu zwisają. Złożone dłonie spoczywają na opancerzonej piersi. Mekcsey kroczy za nim, trzymając w ręku szyszak przyjaciela.

Ich wydłużone do niesamowitych rozmiarów cienie żalobnie suną po murze.

Dobo stanął jak wryty.

— Umarł?

— Tak — odpowiedział smutno Mekcsey.

— Bierzcie się do pracy! — krzyknął Dobo do robotników. Zsiadł z konia. Zdjął szyszak. Podeszedł do zmarłego i przez dłuższą chwilę przyglądał mu się ze smutkiem.

— Tomaszu, mój drogi... stań przed Panem Bogiem: pokaż mu krwawiącą ranę i wskaż na naszą twierdzę.

Z głową obnażoną, wiódł smutnym wzrokiem za oddalającymi się, aż latarnia zniknęła za stajniami, potem dosiadł znowu konia i pogalopował do wylomu za pałacem.

Tam Zoltay borykał się z powrozem, przywiązując belkę do belki, by wzmocnić uszkodzony mur. Napinając powróż zachęcał swoich ludzi:

— Nie bój się, to nie kiełbasa. Trzymaj, do licha! A ty, ciągnij tam mocniej, jakbyś samego cesarza tureckiego wciągał na szubienicę!

Belki skrzypiąc przywierają wreszcie do siebie i kowal sprawnie łączy je klamrami, inni oblepiają je, zatykają szpary tłuczonym kamieniem i polanami drzewa.

Dobo zawołał na Zoltayego:

— Zejdź!

Zoltay wypuszcza z ręki powróż, ale schodząc nawołuje jeszcze ludzi:

— Nie żałujcie klamer!

Dobo kładzie mu rękę na ramieniu:

— Idź, prześpij się trochę, synu. Oszczędzaj siły na jutro.

— Jeszcze tylko kilka belek, panie kapitanie...

— Już cię nie ma! — huknął Dobo. — Raz, dwa!

Zoltay oddaje honory i odchodzi bez słowa.

Dobo nie uznaje sprzeciwu.

Fugedyego i Petógo także pognął na spoczynek, po czym sam zsiadł z konia przed pałacem. Powierzywszy konia odźwiernemu, wszedł do swego pokoju.

Od chwili rozpoczęcia oblężenia kapitan ulokował się w parterowej izbie, oświetlonej wiszącą zieloną lampą glinianą. Na stole wino, mięso i chleb. Dobo stojąc odłamał sobie kawałek chleba.

Drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się cicho. Na progu stała siwowłosa kobieta ze świecą w ręku.

Spostrzegłszy kapitana weszła.

Była to pani Baloghowa, matka Balazsa, najmłodszego z giermków.

Mała ta i słaba istota, która zbiegiem okoliczności znalazła się w oblężonej twierdzy, okazała się niezwykle dzielna. Przejęła na siebie obowiązki klucznicy, gotowała dla kapitana, dbała o niego.

— Jak się ma Balazs? — zapytał Dobo.

— Zasnął — odparła pani Baloghowa. — Biedaczek ma sześć ran. Na piersi, na głowie i na ramieniu. Ale waszmość nic nie je i nie odpoczywa. Tak dalej nie można. Jeśli waść jutro też nie przyjdzie na czas, to wyniosę za nim obiad.

— Nie miałem czasu — usprawiedliwiał się Dobo, wychyliwszy kielich. — Czy łóżko już posłane?

— Od trzech dni na próżno czeka na waszmości.

— Wobec tego dziś prześpię się trochę. Mam nadzieję, że stan chłopca nie budzi obaw.

— Cięcie na głowie jest dość głębokie. Ale dzięki Bogu, miał na sobie dość gruby lejbik skórzany, tak że pozostałe rany są mniej groźne.

— A jak się ma Budahszy?

— Golibroda powiedział, że obojczyk ma roztrzaskany na miazgę.

— Będzie żył?

— Golibroda twierdzi, że tak.

— Może waćpani teraz się położy. Ja uczynię to samo. Muszę odpocząć. Dobranoc.

Po wyjściu pani Baloghowej Dobo przez chwilę patrzył przed siebie, potem wybiegł z pokoju.

W sieni narzucił na siebie długi płaszcz i pobiegł w stronę baszty Sandora. Spotkał tam Gergelya, na którego rozkaz wnoszono na wieżę skórzany worek.

— A to co? — krzyknął Dobo gniewnie. — Czego tu szukasz? Czy nie kazałem ci się położyć?

— Już wykonałem rozkaz, panie kapitanie — odparł Gergely. — Już leżałem. Ale przypomniałem sobie, że proch pewnie zwilgotniał od rosy. Każę wszędzie dostarczyć suchy proch.

Dobo zawołał na kanoniera.

— Ognia! Kulą świetlną!

Rozległ się huk. Z kuli buchnął ogień na sto sążni wysokości, oświetlając okolicę.

Wojsk tureckich nie było widać. Tylko warta siedziała otulona po uszy w płaszcze.

Dobo udał się z porucznikiem Bornemissza na wieżę kościelną i obserwował, jak wydmuchuje z zapalników zwilgotniały proch, a potem starannie nasypuje suchy; jak sprawdza, czy lont jest na miejscu, czy ubijacz, łyżka do nabierania prochu i pociski

przygotowane. Kanonierzy spali obok swoich dział owinięci w długie kożuchy.

— Idź spać! — rzekł Dobo.

On sam został. Stał z założonymi rękoma na szczycie baszty przy kolubrynie zwanej „Baba”. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Wzniósł wzrok ku niebu.

Niebo było bezksiężycowe i chmurne. Tylko na małym skrawku migotało kilka jasnych gwiazd.

Dobo obnażył głowę i osunął się na kolana. Oczy wniósł w górę.

— Boże miłosierny! — szepnął splótłszy dłonie do modlitwy. — Spójrz na tę chmarę zbójów i morderców. I spójrz na naszą lichą twierdzę, na kruszące się mury i na tę garść ludzi gotowych do największych poświęceń w imię ojczyzny. Nasz świat stanowi w Twoim bezkresnym wszechświecie tylko drobny pyłek, ale dla nas pyłek ten jest wszechświatem! Jeśli taka Twoja wola, zabierz nam, Panie, nasze życie! Pokornie schylamy głowy przed Twoją wolą, aby tylko nasza ojczyzna ocalała... Ta nasza mała ojczyzna...

Był błydy. Z oczu popłynęły mu łzy. I z twarzą zalaną łzami modlił się dalej:

— Mario, matko Jezusowa, patronko Węgier! Obraz Twój święty nosimy na naszych sztandarach! Miliony ust śpiewają imię Twoje po węgiersku! Módl się za nami! Święty Stefanie, królu Węgier! Spójrz na nas z wysokości! Spójrz na swą biedną ojczyznę, nad którą wisi zagłada, podobnie jak nad całym narodem. Spójrz na twierdzę Eger, gdzie jeszcze stoją mury Twojego kościoła i gdzie i dziś w Twoim języku chwalą Boga Wszechmogącego! O, święty Stefanie, królu węgierski, padnij przed Bogiem na kolana i módl się za nami!

Bezchmurna połać nieba rozprzestrzeniała się zwolna i coraz więcej światełek migotało na firmamencie.

Dobo otarł łzy z twarzy i usiadł na lawecie. Zatopiony w smutnych myślach skierował wzrok w ciemność otaczającą twierdzę. Obóz turecki spał z cichym pomrukiem. Powietrze drgało, wibrowało od oddechu kilkuset tysięcy ludzi.

Dobo wsparł się łokciem o lufę armaty. Głowa opadła mu na ramię: usnął.

W pobliżu stajen piskliwie zapiał młody kogut, wkrótce potem zawtórowało mu grube kukuryku. Szara wstęga jaśniała na tle ciemnego jeszcze nieboskłonu.

Świtało.

Dokoła twierdzy czarno falowała powierzchnia ziemi. Grudy zdawały się poruszać; z odległej dali dochodził głuchy brzęk i szmer, wzmacniający się z chwili na chwilę. W jednostajnym brzęku można było już odróżnić dźwięk dzwonek i głos gwizdawk. Szara wstęga horyzontu rozszerzała się zwolna; gęsta ciemność nieba rozpływała się, tworząc przejrzystą zasłonę.

Już widać łopocące na wietrze chorągwie. Widać już bielejące turbany i górujące nad nimi strzeliste drabiny obłężnicze, jak posuwają się ku twierdzy.

Niebo od wschodu szybko jaśnieje. Szarość ustępuje różowemu brzaskowi; z porannego mroku wyłaniają się wieże zamkowe, rozwalone mury.

— Panie! — Bornemissza dotknął ramienia kapitana.

Dobo zerwał się na równe nogi.

— To ty, Gergely?

Rzuca spojrzenie na falującą pod zamkiem hordę turecką.

— Każ zatrzeć pobudkę!

Na baszcie rozbrzmiewa sygnał. Osiem tręb wtóruje echem. Szczęk broni. Komendy. Tętent. Załoga obsadza mury i baszty.

Dobo wskakuje na konia i w blasku poranka bada liczebność wrogich zastępów na poszczególnych odcinkach.

Największego zgrupowania dokonano na tyłach pałacu.

— W razie forsowania murów obrzucić ich pigułkami! — rozkazuje Dobo załodze.

Jadąc przez rynek na tureckim koniu, otulony w długi niebieski płaszcz, giermek Krzysztof dostrzega kapitana.

— Dzień dobry, panie kapitanie! Przynieść pancierz?

— Nie trzeba. Już wracam.

Nie wraca jednak. Jeździ od baszty do baszty, by osobiście dopatrzeć przygotowań.

— Strzelajcie tam, gdzie najgęściej — zaleca kanonierom. — Teraz wasze pigułki najważniejsze. I już pędzi dalej.

— Nie wchodzić na mury! — rozlega się jego głos. — Niech Turcy wpięrow wystrzelają swoje pociski!

Przy każdym wyłomie sterta piguł. Od tygodni wyrabiano je dniem i nocą. Na rozkaz Gergelya dano do środka trochę „nadzienia”, przez co stały się dwukrotnie silniejsze w działaniu. Pierwszy wybuch następował po upadku pigułki, a drugi — kiedy wysypywało się owo nadzienie zawierające i domieszkę sproszkowanej porcelany, rozpryskując parzące piekielnie iskry, od których na domiar złego zajmowało się odzienie. Kto dostał w twarz taką białą iskrą, nie miał chęci do śmiechu.

Turcy nie znali sposobu wyrabiania pocisków tego rodzaju.

Krzysztof czas jakiś czekał na swego pana przed pałacem, ale widząc, że kapitan raz po raz jak błyskawica przebiega od jednej baszty do drugiej, wszedł do sali, wyniósł i załadował na swego konia kolczugę, naramienniki, nałokietniki i nagolenniki, wziął pod pachę szyszak i przy baszcie narożnej dopadł kapitana.

Dobo, nie zsiadając z konia, kazał siedzącemu także na grzbiecie bachmata giermkowi nałożyć sobie żelastwo. Aby nałożyć nagolenniki, giermek musiał zeskoczyć z konia. W końcu podał kapitanowi pozłocisty szyszak.

— Przynieś mi inny, stalowy — rzekł Dobo.

Tymczasem rozjaśniło się; widać już było wyraźnie oddziały tureckie pod murami. Od północy i wschodu bielity się tysiące turbanów i tysiące błyskających srebrem szyszaków falowało, kotłowało się w rowach pod murami. Zastępy czekały na znak do boju.

Niedługo. Gdy światłość dzienna dostatecznie oświetliła szczeliny murów, w obozie tureckim rozległ się bogobojny śpiew muezinów, równocześnie wokół całego zamku. Zdało się, że cały nie ogarnięty wzrokiem obóz bił czołem o ziemię, to znów podnosił się, aby z daleko niosącym się szmerem znów paść na kolana.

Jak pomruk nadciągającej nawałnicy dochodziły do twierdzy odgłosy modlitwy odprawianej w pogańskim obozie.

...Allachu... Mahomecie proroku... wlej odwagę w nasze serca... Wznies nad nami swe ramię niezwyciężone... Zatkaj gardła ich dział, aby nie pluły na nas ogniem... Zamień niewiernych pomyleńców w psy, aby zagryzły się na śmierć... Ześlij na nich wirujące wiatry, by im oczy zasypały piaskiem... Połam im nogi, aby nie mogli stanąć przeciwko nam... Zgotuj im upokorzenie, o pełny chwały proroku, daj nam nad nimi przewagę, aby słońce zwycięstwa świeciło nad twoim krajem na wieki.



I poderwali się na nogi wśród szczęku broni.

— Bismillah! \*— W imię boże

Jednocześnie odezwały się wszystkie tureckie działa i janczarki. Mury zamkowe zdrzały, od wybuchów bomb szanice jeły się zamieniać w kupy gruzów. Świszczące strzały i grad kul zasypały baszty. Powietrze cuchnęło prochem. Wstrząsające niebem i ziemią grzmoty, dźwięk rogów i trąb, bojowy wrzask tysięcy tureckich gardzieli: Allah! zestroiły się w jedną straszliwą kapekę.

W kłębach dymu wysypało się z aproszów mrowie asabów, janczarów, delów, dżebedżów i nieprzeliczone zastępy tureckiej piechoty. Niby las miotany wichurą zbliżają się ku rozpadlinom i szczerbom murów i niosą drabiny oblężnicze, zza drabin zaś pada ze świstem grad strzał, które, lecąc wysokim łukiem, dosięgają obrońców. Muzyka kapeli tureckiej nie ustaje ani na moment.

Lecz zamek broni się zaciekle. Lufy dział, skierowane na najgęstsze kupy wroga, miotają ogniem, żelazem, ołowiem i czerepami. Setki żołnierzy tureckich padają brocząc krwią, charcząc. Ale już nowe setki cisną się na miejsce poległych, ogarnięte szalem bojowym, ślepo tratując rannych.

Kłębiący się dym i duszący zapach siarki osnuwa twierdzę. Żelazne zaczepy drabin ze szczękiem wbijają się w mury i zastępy proroka z niebywałą zaciekłością pną się w górę. W jednym ręku każdego tarcza wzniesiona nad głową, w drugim dzida, w zębach błyska handżar.

Dwadzieścia siedem czerwonych sztandarów powiewa na wietrze, wiodąc orężny tłum po drabinach do wyłomu za pałacami.

— Allah akbar! La illa Allah! Ja kerim! Ja rahim! Ja fettah! — zlewają się okrzyki w jeden straszliwy wrzask.

— Na mury! Na mury! — grzmi rozkaz w szeregach obrońców. Zaroilo się na murach. Dopiero teraz poszły w ruch granaty. Gołymi rękoma rzucają w dół tysiące pękających i siejących śmierć pocisków. Krzyk, wrzask, huk, dym, swąd siarki, zgiełk piekielny. Po żelaznych zaczepach drabin trzaskają czekany, topory i siekiery. Niektórych drabin czepia się dwudziestu ludzi; gdy odepchnięte od muru runą, przygniotą ich u podnóża twierdzy.

— Allah! Ja kerim! Ja rahim!

Lecz nowe fale orężnego tłumy napływają niby rzeka wezbrana, tratując rannych i poległych i obok zahaczonych już o mur drabin wznoszą się coraz to nowe.

— Allah! Allah akbar! Allah!

Na baszcie narożnej, której w dniu wczorajszym nadano imię Bolykyego, dowodzą Gergely i Zoltay. Pierwszego widać wszędzie, drugi dowodzi obroną muru...

Tam Turcy atakują z wściekłą furją, zasypują mur strzałami i bombami. Drabiny stoją ciasno, jedna obok drugiej, oblepione ludźmi.

— Allah akbar! — ryczy jakiś głos straszliwy.

Granaty, piguły padają ulewą, zmiatając wspinających się po drabinach, jeśli ostali się strzałom padającym z boku. Ale Turcy nie liczą się z życiem ludzkim! Potęga ich jest niezmierna! Forsują wyłom bez względu na poniesione straty. Jeśli choć kilku ich ludziom uda się wedrzeć, to w ślad za nimi wciśnie się cała chmara, niby wody wezbranej rzeki.

Od godziny już pigułki skutecznie odpierają atakujących, którzy mimo wszystko niezmordowanie prą naprzód. Na mury coraz częściej dochodzą jęki spadających, lecz mimo to spustoszeń w szeregach wroga nie widać. Świeże zastępy pchają się na drabiny, szukając nabiegłymi krwią oczyma dogodnego miejsca na murze. Mimo niszczycielskich pocisków ciągle wyrastają nowi ludzie, wżerają się w mury nowe zaczepy drabin i nowi atakujący wspinają się na krawędź wyłomu i górnego parkanu po mniejszych drabinach podawanych z dołu.

— Podciągać drabiny! — wrzasnął Gergely.

I oto ku wielkiemu zdziwieniu Turków oblężeni wcale nie rąbiają już zaczepów, tylko zręcznie, jednym chwytem, porywają drabiny i ciągną ku sobie.

W ten sposób zdobyli jakieś pięć drabin; tureckiemu oficerowi w miedzianej zbroi udało się zaczepić nową drabinę i wspiąć się po szczelkach.

— Podciągać! — grzmi Gergely podważając końcem kopii górne drążki.

— Już!

Drabina szturmowa odchyła się od muru i staje pionowo. Na najwyższym jej szczelku wisi Turek w miedzianej zbroi. W jednej ręce trzyma dzidę, w drugiej tarczę. Chwilę dynda w powietrzu, by wreszcie wypuścić z rąk i dzidę, i tarczę i chwycić się kurczowo ostatniego drążka.

Wisi między niebem a ziemią.

— Allah! Allah! — huczy z dołu.

Gergely ma wielką ochotę wziąć Turka żywcem, ale nie ma na to czasu. Tuż obok jakiś asab w futrzanej czapie wspina się w górę. Trzeba go unieszkodliwić.

— Strząsnąć go! — woła, zwracając spotniałą twarz ku czterem ludziom, porającym się z drabiną.

Jeden z jego chłopców, Gyuri Gyulai, osunął się na kolana. Gergely przeskakuje go i kopią przebija obojczyk asaba. Ten przez chwilę chwieje się, krew tryska mu z ramienia, potem jak worek wali się w dół, zmiatając swoim ciałem dziesięciu innych, wspinających się w górę.

Przez ten czas czterech chłopców przekreśliło drabinę. Turek w miedzianej zbroi ma do wyboru: zwichnięcie ręki albo upadek z wysokości dwudziestu sążni. Wybiera to ostatnie.

Ciało spadającego w dół oficera wali się na łeb tureckiego dobosza, który o jakieś dziesięć łokci od muru bije w bęben, mający kształt bochenka. Obaj rozciągają się na stosie zabitych.

Ale czy to ma znaczenie? O jednego mniej...

Pod ochroną lśniącej tarczy ze skóry krokodyla wspina się w górę z niebywałą szybkością jakiś szczywany Turek; środek tarczy przymocował sobie do czubka szyszaka. Z której strony by go nie atakowano kopią, ostrze ześlizguje się z gładkiej powierzchni i trafia w próżnię.

Gergely przyskakuje jednym susem. — Nie tak! — I grubym końcem odwróconej kopii grzmoci Turka w łeb. Ten fikając koziołki leci głową w dół.

— Allah akbar! Ja kerim! Ja fettah! — wrzeszczą Turcy. Któryś z nich rzuca w języku węgierskim:

— Poddajcie twierdzę!

— A masz twierdzę! — ryczy Zoltay i straszliwym ciosem topora roztrzaskuje szyszak razem z głową krzykacza.

Zoltay stojący przy jednym końcu wyłomu posługuje się wyłącznie toporem. Po pas osłania go mur nad belkowaniem, gdzie — jak widać — łatwiej Turkom zaczepiać drabiny, bo sterczą tam gęsto.

Żołnierze zajęci byli rozbijaniem drabiny, gdy Zoltay nagle ryknął:

— W łeb go, chłopcy! — i sam skoczył naprzód, by własnoręcznie powitać świeżo przybyłych. Stoi w stalowej zbroi, ze spoconą twarzą, z błyszczącymi oczyma, pełen wigoru. Raz po raz pluje w garść i

woła: — Prędzej, mordo zakopcona! — zachęca w ten sposób Murzyna, który wspina się po drabinie w kłębiącym się dymie, błyskając białkami oczu zza wiklinowej tarczy.

Zbliżywszy się na odległość sążnia Murzyn skulił się, zwinął w kłębek, jak gdyby szykując się do skoku. Rachuje, że doszedłszy szczytu wyprostuje się błyskawicznie, skoczy na mur i dzidą przebije Zoltayego. Godność paszy egerskiego obiecano temu, kto pierwszy zatknie na murze sztandar zwycięstwa. Oblężeni też o tym wiedzą.

Czarny kocimi ruchami wspina się ze szczebla na szczebel. Tuż za nim brodaty dżebedzi. Za pasem buńczuk na krótkim drzewcu, w zębach jatagan. Zapluwając się, wrzeszczy:

— Allah akbar! Ja kerim! Ja rahim!

Zoltay błyskawicznie zsuwa przyłbicę. W samą porę. Murzyn, zerwawszy się na równe nogi, napina potężne mięśnie i godzi dzidą w twarz: koniec dzidy łamie się o zawias przyłbicy. Topór spada jak piorun: Murzyn przegięty do tyłu leci w dół. Na jego miejscu stoi już brodacz zbrojny w buzdygan zawieszony na łańcuchu, nabijany ćwiekami. Sapie jak miech kowalski.

Zoltay odchyła głowę w bok, by uniknąć ciosu, i z taką siłą kropi brodacza, że zmiażdżona ręka Turka zwisa bezwładnie. Czas jakiś trzyma się jeszcze drabiny jedną ręką, wrzeszcząc imię Allacha, ale po następnym ciosie głos więźnie mu w gardle i potężne cielsko staczając się z drabiny zmiata z sobą innych.

— Pozdrów proroka! — żegna go Zoltay i już zachęca swoich żołnierzy:

— Ciach go pałaszem, Janos! Z tego też nie będzie już pasza egerski.

— A ty czego się cackasz? — strofuje drugiego. — Kropnij go raz wreszcie!

Bynajmniej nie próżnuje przy tym; już rozprawia się z jakimś gurebą w turbanie i stalowej koszulce.

— Czego się pchasz? Do rajy ci pilno? No, to masz! — Trafia go w sam kark. Krew tryska na mur i gureba bokiem stacza się po szczeblach. — Szczęśliwej drogi! — śmieje się Zoltay od ucha do ucha.

Wtem wzrok jego pada na spodnie; przez podartą nogawkę wyziera udo na dwie dłonie. Nie czas teraz zastanawiać się, skąd to i jak...

— No, zbliż się wreszcie, kumie! — wita Zoltay następnego poganina.

Kłębiący się dym przesłania promienie słoneczne, omracza cały świat. Tylko gdy wietrzyk rozprasza ciemną zasłonę, oczy mogą ogarnąć mrowie nadciągającego wroga: lśnią zbroje, połyskują złociste guzy chorągwi. Działa pracują bez wytchnienia: piekielne huk i grzmoty zlewają się z wrzaskiem Turków i Węgrów.

Dobo przerzuca się z jednego odcinka na drugi. Tu nastawia działo, tam każe odwieźć rannych, zatkać wyrwy, przenieść kopie i lance, gdzie odczuwa się już ich brak. Dodaje otuchy, chwali, karci i klnie. Dwaj jego giermkowie pędzą co chwila do Mekkseyego, który dowodzi rezerwą wewnątrz twierdzy.

— Stu ludzi do pałaców! Pięćdziesięciu na basztę Bolykyego! Pięćdziesięciu do starej bramy!

Oddziały bojowe zmieniają się co pół godziny. Spoceni, brudni, cuchnący prochem, lecz pełni zapалу żołnierze ciągną na zasłużoną odsapkę przed karczmą i chełpiąc się opowiadają o swoich bohaterskich wyczynach towarzyszom z oddziałów rezerwowych.

Ci, rozwścieczeni szczegółami, rwą się do boju. Mekksey w skrytości ducha także się zżyma, że nie może siec wroga, tylko musi na dziedzińcu zamkowym wyczekiwać i na rozkaz kapitana rzucać nowe oddziały na mur, zachęcając je tylko słowami:

— Tylko dzielnie, chłopcy! Pamiętajcie, że los ojczyzny w waszych rękach!

I chłopcy z wypiekami na twarzy rzucają się w huczącą na murze zawieruchę walki.

Drabiny oblężnicze nasiąkły już krwią. Mury są purpurowe. U dołu krwawe, drgające stosy zabitych i dogorywających. Ale coraz to nowe tysiące z nieludzkim wyciem wspinają się po zwałach poległych. Dźwięk trąb, warkot bębnow, zgiełk orkiestry polowej, okrzyki „Allah!”, którym wtóruje ryk walczących na murze, ostre komendy konnych jasaulów, grzmot pocisków, terkot strzelb, grzechot samopałów, rżenie koni, charczenie konających...

— Prędeż, baszo, prędeż!... — zachęcają Węgrzy.

— Powiedz swemu prorokowi, że to cios od Zoltayego — rozlega się głos zza kłębow dymu.

Zwierzęcy ryk i grzmot moździerza zagłusza słowa oficera. Ożywiony ruch obrońców i błyski ich broni świadczą o tym, że i oni nie próżnują.

Przez ciemną, gęstą zasłonę prześwieca czasem zbroja nowych zastępów tureckich, brunatny sznur wielbłądów objuczonych beczkami prochu lub łopocące na wietrze chorągwie i buńczuki.

Na baszcie przy starej bramie najczęściej zmieniają się ludzie. Gaspar Peto prowadzi tam obronę. Turcy cetnarowymi pociskami ostrzeliwiają ten odcinek, gdy tylko rzednieje las drabin.

W barykady bramy Turcy walą młotami, nawet z „organów” żelaznych zdołali już wyłamać trzy sztaby.

— Pięciuset! — krzyczy kapitan do Krzysztofa.

Krzysztof zawraca konia: pędzi po pięciuset ludzi.

Tych pięć setek stanowi bodaj całą rezerwę.

Mekcsey wkłada szyszak i wespół z dziesiątką chłopów rzuca się ku starej bramie. Gdyby się Turcy wdarli, zacznie się jego praca: obrona wewnętrznego zamku.

Pod bramą, jak i na baszcie Turcy padają jak muchy. Strzelcy z wieży gradem kul układają ich w stosy. Co chwila rozbrzmiewa głos Gaspara Peto:

— Za mną, chłopcy! Nie cofać się! Oburącz! Do kroćset! I sam także, okrwawiony po pas, zadaje straszliwe ciosy to toporem, to kopią.

— Jezusie, dopomóż!

— Allah! Allah!

Jeśli na chwilę rzednie mrowie na drabinach, wśród obrońców rozlega się zewsząd: — Wody! wody!

Pod basztą kobiety roznoszą wodę w dzbankach i drewnianych kubkach.

Peto chwyta kubek. Podnosi przyłbicę. Pije chciwie, nie spostrzegając nawet, że woda ciurkiem spływa mu z kącików ust na pancerz. Ugasiwszy straszliwe pragnienie, odejmuje od ust kubek i widzi, że jakiś Turek wdarł się właśnie na mur. W jednym ręku ma buńczuk, w drugim handzar, którym siecze wokół jak opętany. Za nim na drabinie podnosi się druga i trzecia głowa turecka.

— Ho, ho! Zbóje plugawe!

Szarpie Turka za nogę z takim impetem, że razem staczają się po schodach. Zatrzymawszy się na ziemi, Peto chwyta Turka za gardło i grzmoci go żelazną rękawicą w twarz.

— Masz, psie parszywy!... Masz!...

Zrywa się na nogi i dysząc zostawia na wpół uduszonego Turka uwijającym się na dole mieszkańcom twierdzy. Sam zaś wraca, w kilku susach dopada baszty i już tnie, wywija szablą błyskawicznie.

— Allah akbar!

Mur roi się od Turków. Nasi też padają brocząc krwią. Jakiś akindzi kocim ruchem wspina się na wieżę. Udało mu się! Zatyka chorągiew: cała armia turecka wita ten czyn zwycięskim rykiem.

— Jezusie, dopomóż!

Sztandar turecki nie powiewa nawet przez dwie minuty. Obrońcy rzucają się na zagrożony odcinek, walą, tłuką wspinających się na mur Turków. Smukły młody chłopak w zardzewiałym szyszaku puszcza się za akindżim na wieżę. Wsparłszy się stopą o wystający kamień, bierze rozmach do straszliwego ciosu: ramię Turka spada razem z chorągwią.

— Jak się nazywasz? — ryczy Peto uradowany dzielnością swego żołnierza.

Żołnierz odwraca promieniejącą szczęściem twarz ku oficerowi:

— Antal Komłósi!

Od strony pałaców galopem pędzi giermek Balazs. Głowę ma jeszcze owiniętą białym płótnem, ale cwałuje już, jak gdyby nigdy nic.

— Przy pałacu przerwali świeżo załatany wyłom! — woła do kapitana.

— Stu ludzi! — pada rozkaz.

Chłopak pędzi do Mekkseyego, Dobo zaś kładąc się na kark wierzchowca cwałuje ku pałacowi.

Turcy rozwalili świeżo załatany wyłom. Strzaskane belki sterczą z murów jak ości smażonej ryby. Chmara Turków oblepia mury niby rój czerwonych mrówek. Dobo jednym skokiem jest na baszcie. Rozbija głowę Turka. Drugiego silnym kopnięciem spycha w przepaść.

— Zwalić belki!

Ludzie, którzy dotąd wciągali belki, teraz spychają je co siłą.

Belki zmiatają wyjących pogan razem z drabinami.

Ryk starego Ceceyego wybija się ponad harmider:

— Diabelska mordą!...

Po zmieceniu pogan w murze ziejie olbrzymi wyłom. Walka toczy się o kilka sążni wyżej i niżej.

Kula uderza w chorągiew węgierską. Chorągiew spada między Turków. I oto wyłom przydaje się na coś. Dziarski chłopak wyskakuje

za mur, wali Turka między oczy i wyrywa mu chorągiew, zanim inni zdążyli rzucić się na niego. — Zuch z ciebie, Laszló Torok! — kwituje uradowany Dobo ten śmiały wyczyn.

Wtem pocisk armatni uderza o mur, zasypując oczy żołnierzom.

Tuż przed kapitanem tęgi siwy człowiek osuwa się na kolano, by lec pod murem. Szyszak spada mu z głowy i toczy się do stóp dowódcy.

Dobo przeciera oczy i spogląda na leżącego: to Andras, wójt cgerski. W rękę kurczowo ściska szablę. Z szyi niby czerwona wstęga spływa struga krwi.

Ale co to? Od starej bramy pędzi dwóch giermków. Dobo rzuca spojrzenie na wieżę: w górze powiewa buńczuk turecki! Jeden, dwa, pięć, dziesięć — coraz więcej buńczuków!

Z blanków wieży sypią się na oblężonych kule. Janczarowie od zewnątrz forsują wieżę. Jeden z nich trzyma w zębach czerwoną chorągiew, by zatknąć ją na szczycie.

W twierdzy rozlega się pomruk grozy. Wokół powietrze drży od zwycięskiego ryku stu tysięcy Turków.

— Allah! Ja kerim!

Twarze Węgrów obleka bladość. Szable opadają, jakby ramiona zostały dotknięte nagłą niemocą.

Dobo spina konia i jak wicher pędzi na wieżę kościelną. Nastawia działa na połowę wysokości wieży, na której roi się ze trzystu chyba janczarów odurzonych zwycięstwem. Z trzech luf równocześnie bucha ogień. Wieża, zachybotawszy się jak pijany olbrzym, wali się z potężnym grzotem. Z gruzów wzbija się ku niebu gęsta chmura wapiennego pyłu, z kamieni tryska krew turecka jak sok wyciskany z winnego grona.

Zdjęci grozą Turcy, tłoczący się pod bramą i na murze, rozbieganymi oczami szukają przyczyn straszliwego huk. Nie minęło nawet pięć minut, a i drabiny oblężnicze sterczą opustoszałe. Tylko zmasakrowane ciała poległych i konających zalegają ziemię na zewnątrz i wewnątrz starej bramy.

Na całym południowym odcinku cichnie walka. Dym się przerzedza. Promienie słoneczne przeświecają przez mglistą zasłonę. Pod murami tysiące okopconych i krwawych trupów tureckich i! rannych, których jęki „ej wa” i „meded” napełniają powietrze.

Jasaulowie nie panują nad sytuacją. Dziś nikt już nie jest w stanie zapędzić do ataku nawet włóczników.



Rynek twierdzy także zalegają ociekający krwią ranni. Golibrody i niewiasty uwijają się między nimi z miskami wody, płótnem, ałunem i arniką. Jedni jęczą, drugich trzęsie febra, inni znowu zgrzytają zębami.

A coraz to przybywają nowi, wydobywcy spod gruzów, zwożeni na taczkach.

Oczy wszystkich kierują się ku przybyłym: kogo przywieźli? Nazwiska przechodzą z ust do ust.

— Peter Górgey... Janos Pozsgai... Jakub Zirkó... Gyuri Urban...

— Czy żyje?

— Tak. Ramię ma przestrelone.

Pierwszej pomocy golibrody udzielają tym, co odnieśli rany w nogi lub w ręce. Pozostali muszą się tymczasem zadowolić opieką kobiet. Większość bez słowa znosi cierpienia, czekając na swoją kolej. Niektórzy tylko żałośnie narzekają na swoją niedolę.

— Boże! Boże! — biadoli młody żołnierz nazwiskiem Mihaly Arany, z zawodu rusznikarz — oko mi wypłynęło... — I przyciska do okrwawionej twarzy rąbek osmalonego rękawa koszuli.

Peto siedzi wśród innych na krześle pokrytym kozuchem. Na jego łydce ziele taka rana, że spływająca z niej krew tworzy pod krzesłem kałużę. Odprysk kamienia wyrwał mu mięśnie.

— Nie narzekaj tak, Mihaly — zwraca się przez ramię do sąsiada — nie lepiej ci żyć w zamku egerskim z jednym okiem, niżeli wisieć na tureckiej szubienicy z dwoma?

I zaciskając zęby, cierpliwie znosi, gdy cyrulik arniką obmywa mu potworną ranę.

Ci, co odnieśli lżejsze rany, nie czekając nawet na golibrodów sami je sobie opatrują. Wielu z nich zmienia koszule, bo większą przykrość sprawia im przepocona koszula aniżeli rana. I z zapalem opowiadają:

— A ja...

— A mnie...

Przed kościołem składają rzędem zabitych, osmalone, krwawe strzępy ludzkie. Jeden bez głowy, inny bez ramienia. Nieraz udaje się odnaleźć tylko ramię tkwiące w dolmanie...

Jakaś kobieta, zanosząc się szlochom, biega między rynkiem a kościołem, jakby czegoś szukała.

Dobo zsiada z konia, zdejmując szyszak i schyliwszy głowę, przechodzi przed rzędem poległych.

Wójt egerski także tam leży. Jego siwe włosy czerwone są od krwi.  
Na pokrytych kurzem czarnych cholewach widnieje krwawy okrągły  
ślad. Dwóch synów klęczy przy nim.

Dobo zwraca się do swego giermka:

— Przynieś tu chorągiew miejską!

Zrywa z drzewca czerwono-niebieską chorągiew miasta Eger —  
wójtowi na całun.

Część piąta

## BLEDNĄCY KSIEŻYC

1

Kapitan zamku Szarvasko od świtu do nocy trwał na wieży, zasłuchany w dobiegający z Egeru huk armat.

Szarvasko pławił się w promieniach jesiennego słońca. Od kilku zaledwie dni las zaczął żółknąć, ale obfite deszcze za dnia sprawiły, iż zazieleniła się trawa pod drzewami i na brzegach potoku. Jak wiosną...

Szarvasko leży o kilkanaście zaledwie kilometrów od Egeru. Ale ten zamek stoi wśród gór. Od Felnet ciągną się góry, szczyt za szczytem, coraz gęściej i gęściej, jakby ściśnięte dłonią olbrzyma. Do zamku prowadzi głęboki, wijący się wąwóz.

Rankami, gdy w Egerze zaczynały grzmieć armaty, niebo zaciągało się ciemnymi chmurami. Po godzinie zaczynał padać deszcz. Często zanieczyszczony. To wiatr napędzał tu chmury dymu i deszcz pozostawiał brudne smugi na murach zamkowych, skałach i na astrach kapitana, jak gdyby tam w górze wylewano wodę po kąpieli niebiańskich kominiarzy.

Szarvasko był małym sobie zameczkiem, jak Dregely. Stał na szczycie wysokiej łupkowej skały. Na pierwszy rzut oka miało się wrażenie, że zamek wyciosany jest z głazu. Skromny dziedziniec, na którym koń z wozem zaledwie mógł się obrócić, otaczały trzy budynki. Właściwie był to raczej dworek myśliwski. W obecnej dobie nie stanowił punktu obronnego, mógł służyć jedynie jako miejsce postoju dla żołnierzy ciągnących do Egeru albo jako stacja pocztowa w razie napadu na Eger.

Gdyby Eger dostał się w ręce Turków, kapitanowi Balazsowi Szalkay nie pozostałoby nic innego, jak wsiąść wraz z czterdzieścioosobową załogą na koń i pojechać do krewnych na północ kraju lub wziąć przykład z rozgniewanego Szondyego albo Lórinca Nyaryego, kapitana twierdzy Szolnok, który czwartego dnia tegoż miesiąca stanął w bramie naprzeciw stutysięcznej armii tureckiej:

— Chodźcie, ja nie uciekłem!

Zacny Balazs Szalkay stał więc na wieży swojego zameczku, w długiej oliwkowej opończy z kołnierzem. Na głowie ma czapę z lisiego futra. Wyteżając zatroskany wzrok, patrzył na wierzchołki gór, które zasłaniały Eger. Gdyby skierował wzrok w inną stronę, to siłą

rzeczy zatrzymałby się on na innej górze, tak bliskiej, że z dobrej strzelby można by ustrzelić sarnę pasącą się na jej zboczu.

Pod zamkiem — kilka domków i potok Eger. Wzdłuż potoku brukowany kamieniem gościniec.

Kapitan Szalkay stoi więc na wieży i spogląda przed siebie w pustkę. Dokoła głęboka cisza. Nic więc dziwnego, że kapitan skoczył jak oparzony, gdy stojący za jego plecami strażnik nagle z pełnych płuc zadał w róg.

— Idą — usprawiedliwił się, gdy pan, przerażony nieoczekiwanym dźwiękiem rogu, zamachnął się na niego.

— Ośle! — huknął Szalkay — po co dmiesz, kiedy stoję obok. Bawole jeden! — I rzucił spojrzenie na ścieżkę wijącą się po skałach, którą podążało dwóch jeźdźców. Jacyś nieznajomi. Jadą chyba z daleka, bo do jednego z siodłał przytroczona jest podróżna torba. Na ramionach mają krótkie strzelby. Obaj w długich kontuszach koloru orzechowego, sięgających strzemion.

— To chyba nie z Egeru — zastanawia się głośno Szalkay.

— A może to Miklós Vas — dodaje strażnik skwapliwie, w cichej nadziei, że popełniona przez niego głupia bezmyślność pójdzie prędzej w niepamięć. Ale jakoś nie dopisuje mu szczęście: kapitana ponownie krew zalała:

— Skądby się tu wziął Miklós Vas, durniu jeden! Czego się gapisz jak ciele na malowane wrota? Myślisz, warchole jeden, że do Wiednia barani skok, jak do Apatfalvy?

Od kiedy się zaczęło oblężenie Egeru, tego zacnego i łagodnego z natury człowieka byle drobiazg wyprowadzał z równowagi.

A dziś zgoła nie mógł sobie darować, że w obecności sługi zdradził przestach.

Na zafrasowaną twarz strażnika wystąpiły poty. Nie śmiał się już odzywać. Pan Szalkay z ręką na szabli ruszył w dół po krętych schodach, aby zobaczyć, kto się w te strony zawieruszył. Przecież przez ostatnie dwa dni wszyscy stąd tylko odchodzili, nikt nie przychodził...

Na dziedzińcu zastał młodego człowieka o bladej twarzy i śmiałym spojrzeniu. Nie miał ani wąsów, ani brody. Za jego plecami stał chłopak, coś w rodzaju giermka, trzymając za uzdy dwa wierzchowce. Spostrzegłszy pana domu, młody człowiek postąpił kilka kroków naprzód i zdjawszy czapkę z głowy, pokłonił się:

— Jestem młodszym bratem porucznika egerskiego Bornemisszy. Na imię mi Janos. Ten chłopak to Miklós Rez. I jego brat znajduje się w twierdzy.

Szalkay uściśnął dłoń Janosa Bornemisszy. Drugiemu nie. — To nie pan — ustalił po przelotnym spojrzeniu.

— Witaj — rzekł obojętnie. — Nie znam twojego brata, ale rad bym go poznać. Tymczasem miło mi jest gościć cię u siebie.

Tu zdumiony jego wzrok padł na ręce przybysza tkwiące w rękawicach. „Co za zniewieściały młodzieniec” — pomyślał, ale gościnnie zapraszał dalej.

— Dziękuję — młody człowiek złożył znowu ukłon. — Nie przyjechałem w gościnę... Może waszmość zechciałby tylko odpowiedzieć na kilka pytań... Co słychać w Egerze?

Szalkay wzruszył ramionami i wskazał w kierunku grodu:

— Jak sam słyszysz.

— Słyszę, że działa huczą.

— Już od dziewiętnastu dni.

— Czy to mocna twierdza?

Szalkay znowu wzruszył ramionami:

— Niby mocna, ale Turcy też mocni.

— Czy wojska tam dość?

— Dziesiątego było ich dziewięciuset trzydziestu pięciu. Ale Turcy strzelają nie fasolą...

— Król nie przysłał pomocy?

— Dotąd nie.

— A biskup?

— Też nie.

— Ale spodziewają się?

— Spodziewać, to się spodziewają. Ale... na razie, młodzieńcze, jesteś zdrożony. Chodź, odpocznij trochę. Widzę po twoim wierzchowcu, że wczesnym rankiem wyruszyłeś w drogę.

Twarz kapitana zdradzała, że niechętnie odpowiada na natarczywe pytania, stojąc na dziedzińcu. Zresztą on także z przyjemnością by coś przegryzł, bo zbliżało się południe, a był jeszcze bez śniadania; zasłuchany w odgłosy walk dobiegające z Egeru, zapomniał o wszystkim.

— Mości panie — zatrzymał się przybysz w drzwiach — chłopak, który przybył wraz ze mną, jest żakiem, słuchaczem teologii.

— Żak? No to... Hej, żaku! — krzyknął przez ramię.

Zaprowadził gości do izby i kazał przygotować im pachnącą wodę. Varsanyi przyniósł mu z obozu tureckiego olejku różanego i Szalkay chciał się nim pochwalić.

Wszedłszy do pokoju jadalnego goście zastali nakryty stół. Nawet pieczony zając dymił już na półmisku.

— Co, znowu zając? — mruknął Szalkay, po czym zwracając się do gości dodał jakby na swoje usprawiedliwienie:

— Mamy teraz combrów w bród. Chyba wszystkie egerskie zające pouciekały do nas w góry.

Bornemissza zdjąwszy kontusz zjawił się w pokoju jadalnym w ciasno skrojonym adamaszkowym dolmanie koloru wiśniowego. Żak był w skromnej bluzie konopnej. Obydwaj mieli jednakowe skórzane pasy i wygięte szable węgierskie.

Na stole nie było sztućców, tylko łyżki. W owych czasach widelców używano tylko w kuchni, a nóż każdy nosił z sobą.

Goście sięgnęli do pasów, do których przytroczone były noże. Bornemissza miał nóż z rękojeścią złocistą, wykładaną masą perłową, teolog — zwykły z drewnianą rączką.

— Ja bardzo lubię zająca — uśmiechnął się Janos Bornemissza. — A ten jest wspaniale przyrządzony. W naszych stronach nieco inaczej podaje się dziczyznę. Czy waszmość słyszał coś o moim bracie?

— Inaczej przyrządzony? — zainteresował się Szalkay. — Czyżby?

— Tak — rzekł Janos Bornemissza — u nas zające moczy się w winie, następnie stawia na ogniu, podlewa trochę wody i dodaje kromkę czarnego chleba. Ważne jest, żeby się sos nie wygotował. Kiedy zając jest już miękki, odstawia się garnek z ognia, wyjmuje mięso, precedza sos i przyprawia go goździkami, pieprzem, szafranem i imbirem. Czy nie można by się jeszcze dziś dowiedzieć, jak się przedstawiają sprawy w twierdzy? Czy mój biedny brat nie poległ?...

I w oczach jego stanęły łzy.

— A czy octu nie dodaje się do smaku? — zdumiewał się Szalkay rzucając spojrzenie na młodzieńca.

— Oczywiście że tak — odparł Janos Bornemissza — ale dopiero na samym końcu, kiedy po raz drugi wkłada się zająca do sosu. Za wszelką cenę musimy jeszcze dziś dostać się do Egeru.

Szalkay starannie obgryzał comber zajęczy, potem trącił się z gośćmi, którzy trochę zmieszani usprawiedliwiali się, że nie piją.

— Hm — rzekł Szalkay.

Otarł wąsy obrusem, spojrzął raz jeszcze na swoich gości i powtórzył:

— Hm.

Przez chwilę milczał, nagle wsparł się łokciami o stół:

— Do Egeru? — spytał, jakby nie wierząc własnym uszom.

— Tak — potwierdził Janos Bornemissza, a twarz jego nieco przybladła. — Jeszcze dziś wieczór.

— Hm. Chciałbym wiedzieć, jak? Może na skrzydłach ptaka? Albo jak duchy: niewiadomym sposobem.

— Jak krety, waszmość.

— Jak krety?

— Do zamku prowadzą drogi podziemne.

— Drogi podziemne? — Szalkay potrząsnął głową.

Janos Bornemissza wyciągnął spod dolmana arkusz pergaminu i rozwinął go.

— Może zechce waść popatrzeć: te czerwone wykresy...

— Wiem, wiem — skinął głową Szalkay, rzucając przelotne spojrzenie na rysunek. — Tu są, tylko tam ich już nie ma. Zawalono je jeszcze za czasów Perenyiego.

— Zawalono?

— I to doszczętnie. Gdy Perenyi dzielił kościół Św. Stefana, dokopali się tych tuneli i rozbili je pociskami. Bo to nie była węgierska robota. Węgier nie myśli o ucieczce, kiedy buduje twierdzę.

— Czy to aby pewne?

— Tak pewne, jak tu siedzimy.

— Ale skąd ta pewność?

Szalkay wzruszył ramionami.

— Przecież często przychodzą do mnie posłańcy Dobo, którzy kursują przez tabor turecki. Ma się rozumieć — w przebraniu. Onegdaj zdołali Turcy nawet zadźgać jednego z nich. Gdyby był chociaż jeden korytarz podziemny, myślisz, że nie woleliby przechodzić bezpieczniejszą drogą?

Młody Bornemissza milczał zatopiony w myślach. W końcu odezwał się:

— Czy wiadomo, kiedy będzie przechodził następny posłaniec?

— W tej chwili dwóch jest w drodze. Jeden z nich to Miklós Vas, a drugi Imre Szabó. Dobo posłał ich do króla do Wiednia.

— A na kiedy waść przewiduje ich powrót? Kiedy mają wrócić do twierdzy?

— Miklós Vas będzie może za tydzień, drugiego spodziewam się za dwa tygodnie. Co tydzień wysyłają posłańca...

W oczach młodzieńca zaszklily się łzy. Z pobladłą twarzą patrzył przed siebie.

Szalkay wychylił kielich do dna. Odchrząknął raz i drugi, wsparł się plecami o krzesło i zerkając spode łba zaczął cichym głosem:

— Słuchaj, Janosu Bornemissza! Taki z ciebie Janos, jak ze mnie Abraham. Taki z ciebie młodszy brat Bornemisszy, jak ze mnie brat egerskiego biskupa. Tyś kobieta, choć jesteś w dolmanie. Mnie nie zwiedziesz!

Przyjezdny powstał.

— Waszmość zechce mi wybaczyć: nie dlatego przemilczałam prawdę, by wprowadzić waści w błąd lub też z braku zaufania. Ufam waszmości jak własnemu ojcu. Chciałam tylko, żeby waść nie odwiódł mnie od moich zamiarów.

Szalkay wstał i pokłonił się:

— Jestem do usług mości pani.

— Dziękuję. A teraz opowiem, dlaczego tu przyjechała. Mój mąż jest w posiadaniu talizmanu pewnego Turka, który uprowadził naszego synka i przywiózł go do Egeru sądząc, że mąż ma talizman przy sobie i odda mu go za cenę zwrotu dziecka. Ale pomylił się.

Tu pani Bomemissza sięgnęła do kieszeni i wydobyła wspaniałą pierścień turecki.

Szalkay z podziwem spoglądał na klejnot.

Młoda kobieta ciągnęła dalej:

— Przez czas jakiś szukałam tego Turka przy pomocy wojsk soprońskich, ale bez skutku. Postanowiłam więc poszukać go sama. Turek jest przesądny. Opętała go myśl, że wraz z pierścieniem utracił szczęście. Skłonny jest zabić mojego męża, byle odzyskać talizman, a jeśli mu się to nie uda, zabić naszego synka. Gdyby mój mąż miał pierścień przy sobie, może doszłoby do porozumienia między nimi. Mąż zwróciłby talizman, a Turek oddałby dziecko.

Szalkay potrząsnął głową:



— Nic z tego, mościa dobrodziejko. Egerczanie złożyli przysięgę, że pod karą śmierci nie zamienią z Turkami ani słowa i że nie wysłuchają żadnej od nich wieści. — Drapiąc się w głowę ciągnął dalej: — Szkoda, że dobrodziejka nie zjechała tu o dzień wcześniej... Zresztą kto wie, czy mu się udało przebić... — kapitan miał na myśli Lukacsa Nagya.

— Mimo wszystko — odparła młoda kobieta — ja muszę się tam dostać. Jeszcze dziś. Ja nie przysięgałam, że z Turkami rozmawiać nie będę.

— Ale jak mościa pani to sobie wyobraża? Chyba nie myśli dobrodziejka przebić się we dwoje przez tabor turecki?

— Idziemy przecież w przebraniu.

— To was zastrzelą z twierdzy.

— Będziemy wołać do swoich!

— To znowu Turcy was wezmą na zewnątrz twierdzy. Bramy są zabarykadowane. Być może nawet już zamurowane.

— A jak się przedostanie za kilka dni posłaniec kapitana Dobo?

— Z narażeniem życia. Poza tym on wie, w której bramie go oczekują. Zna hasło. Mówi po turecku. Skoro mimo wszystko pani dobrodziejka stanowczo podtrzymuje swoje niebezpieczne zamiary, radziłbym poczekać na powrót posłańca.

— A gdybym powiewała białą chustą? Gdybym powiedziała, że szukam oficera nazwiskiem Jumurdzak?

— Mościa pani jest piękna i młoda...

— Ale w męskim przebraniu...

— Pierwszy lepszy żołnierz zakuje panią w kajdany. No, i potem niewola...

— Ale jeśli się powołam na znanego oficera...

— W dwustutysięcznej armii trudno, żeby żołnierz znał wszystkich oficerów po nazwisku. Nie mówiąc już o tym, że to zbieranina różnojęzyczna: Persowie, Arabowie, Egipcjanie, Kurdowie, Tatarzy, Serbowie, Albańczycy, Grecy, Ormianie i kto wie, jakie jeszcze narodowości. W najlepszym razie znają nazwiska oficerów swoich oddziałów, i to też nie prawdziwe, raczej znają ich przyzwiska. Każdego oficera z długim nosem żołnierze nazywają między sobą „długonos” albo „słoń”. Rudego zwą „wiewiórką” albo „czerwonym”, długonogiego „bocianem”. Każdemu przydają nazwisko wedle jego

cech zewnętrznych. Bywa, że kogoś zowią „bekaczem”, bo ma zwyczaj wołać głośno, jakby pobekiwał.

Młoda kobieta bezradnie spuściła głowę.

— Co mi więc waszmość radzi?

— Czekać na posłańca. Czy to będzie Miklós Vas, czy kto inny, łaskawa pani powierzy mu pierścień i on go dostarczy do rąk porucznika Bornemisszy. Reszta to jego rzecz. Znajdzie jakiś sposób porozumienia się z Turkiem.

Rada była bezsprzecznie mądra. Lecz dręczone niepokojem serce matczyne rwie się do czynu! Każda chwila zwłoki przyprawiała młodą kobietę o drżenie nad losem ukochanych.

Pani Ewa rozłożyła plan twierdzy i długo mu się przypatrywała.

— Jeżeli twierdzę zbudowano jeszcze przed przybyciem Węgrów — rzekła wreszcie unosząc głowę — to nikt z żyjących nie może wiedzieć, co się kryje pod nią. Tu jest kościół. Stąd, jak widać, rozgałęziają się trzy drogi podziemne. Bardzo możliwe, że zostały zniszczone. Ale czwarty tunel, który prowadzi do pałacu, przebiega daleko od tamtych. Wątpię, czy natrafiono nań przy budowie baszty Sandora. Mikłósu! Gdzie jest wejście do tego tunelu? — zwróciła się do młodzieńca, podsuwając mu arkusz.

— Przy cegielni — odrzekł młodzieniec rzuciwszy okiem na plan.

— Czy jest tam cegielnia? — zapytała Ewa pana domu.

— Owszem — odrzekł Szalkay — na północny wschód od twierdzy.

Młody człowiek jął czytać nakreślone drobnym maczkiem słowa:

— Na północny wschód piec do wypalania cegły. Płaski, okrągły kamień. Na dziesięć kroków od drzewa orzechowego znajduje się wejście.

— Czy stoi tam drzewo orzechowe? — spytała ponownie Ewa.

— Prawdę powiedziawszy, nie mogę wiedzieć — odpowiedział Szalkay. — Raz w życiu tam byłem, jeszcze za czasów Perenyiego.

— A czy cegielnia leży daleko od twierdzy?

— Nie. Chyba z piętnaście minut drogi, może nawet mniej.

— W takim razie i tam już są Turcy.

— Z całą pewnością. Jeśli nie wojsko, to koniuchy, kupcy, pastuchy i cały motłoch ciągnący za armią.

— Czy może mi waszmość dać jakiś strój turecki?

— Tak. Znajdzie się coś dla dobrodziejki.

— Może jakiś płaszcz?

— Tak. Mam, mam, ale tylko jeden. Co prawda rozdarty od góry do dołu...

— To nic. Zeszyję — odparła młoda kobieta. — Raz już jechałam przebrana za delego. Nie myślałam, że kiedyś przyda mi się jeszcze... Przez chwilę siedziała zatopiona w myślach.

— Kto wie, czy posłaniec będzie za pięć dni? Może się spóźni. A może go zabiją gdzieś w drodze?

— Wszystko jest możliwe. Na szpiega na każdym kroku czyha śmierć.

Ewa zerwała się.

— Nie, nie mogę czekać! Nawet płaszcz nie zeszyję. Włożę go taki, jaki jest. Może to nawet lepiej. Serdecznie dziękuję za gościnę — wyrzuciła z siebie, wyciągając dłoń na pożegnanie.

— Ale chyba nie...

— Wyruszamy natychmiast...

Kapitan wstał i podszedł do drzwi.

— Nie mogę na to pozwolić. To pewna zguba!... Nigdy nie mógłbym sobie wybaczyć...

Ewa opadła na krzesło. — To prawda — westchnęła — musimy wymyślić coś, aby nie wpaść w ich ręce.

— Otóż to — odparł kapitan także siadając. — Przyrzekam nie zatrzymywać mości pani, jeżeli będę uważał, że jest choć iskierka nadziei...

2

Na północny wschód od twierdzy Eger wznosi się wysoka, stroma góra — Eged.

Gdyby ktoś, umiejący napiąć kuszę, wystrzelił z twierdzy w kierunku owej góry, strzała przeleciałaby ponad pagórkami, gdzie huczą armaty tureckie, i wpadłaby w dolinę, gdzie koczują motłochy ciągnący za armią: bazarnicy, koniuchy, golibrody, znachorzy, handlarze niewolnikami i starzyzną, sprzedawcy sorbetu i chałwy oraz Cyganie. Z tego to obozu ciągną sznurem ku taborom na handelek, by czyhać na odpadki, zamawiać choroby, kraść, oszukiwać, słowem — ciągnąć zyski z żołnierzy, żyjąc ich życiem.

Drugiego października, w trzy dni po ataku przypuszczonym w dniu św. Michała, przybył tam młody deli; zjawiał się od strony lasu tarkańskiego. Jechał konno. Był w szamerowanej bluzie, spodnie miał wąskie, a okrywał go płaszcz z sierści wielbłądziej. Miast turbanu,

zwyczajem delich, kaptur płaszcz okrywał mu głowę. Dokoła pasa handzary. Na ramieniu łuk i kołczan. Pędził przed sobą węgierskiego chłopaka w kajdanach, ten zaś prowadził wołu. Chłopak i wół byli widocznie łupem delego.

Okolica była bogata w winnice, a Węgrzy tego roku nie zbierali owoców. Gdzie spojrzeć, Turcy w turbanach i czapach futrzanych kręcą się między krzewami winorośli. Ten i ów zagabuje jeźdźca:

— Nielicho ci się powiodło! Skąd ten bogaty łup?

Deli jakby nie słyszał: i on, i jego niewolnik zajęci są właśnie wściekłym smaganiem wołu.

Deli to Ewa, a niewolnik — Miklós.

Straży nie ma. A może i jest, ale także myszkuje po winnicach. Bo i na co straż, kiedy nie widać wroga? Nie zatrzymywani przez nikogo dotarli do cegielni leżącej w dolinie, gdzie przesuwających się między rzuconymi bezładnie namiotami obskoczyła sfora ujadających psów i chmara hałaśliwych Cyganiątek. Kupcy przedarli się przez ciżbę:

— Za ile sprzedasz chłopca?

— Dam za niego pięćdziesiąt piastrów.

— Ja dam sześćdziesiąt...

— Siedemdziesiąt!

— Za wołu możesz dostać dwadzieścia piastrów!

— Trzydzieści pięć...

— Czterdzieści...

Deli nie wdaje się w rozmowę. Całą uwagę skupia na zwierzęciu i na niewolniku, w którego rękę trzaska bat.

Ze zbocza winnicy skręcają do cegielni. Tam dopiero wre życie. Cyganie sklečili sobie z cegieł „murowanki”, pokryli je konarami drzew i płachtami. W piecach gnieździ się kilka rodzin cygańskich: warzą, pieką, wylegują się na jesiennym słońcu.

Stoi tu stary wielki orzech. Odpoczywa pod nim jakiś koniarz. Ewa oblicza w myślach odległość dziesięciu kroków w kierunku południowym. Tam właśnie jest postój koni. Obok okazały namiot handlarza z tureckim napisem, będącym cytatem z Koranu: „Fakri, fakhiri”. \* Fakri, fakhiri (tur.) — Moje ubóstwo, moja chluba.

Kupcy tureccy na ogół nie wypisują na szyldzie swojego nazwiska, tylko jakąś sentencję z Koranu.

Ewa dostrzegła kamień. Niegdyś był to kamień młyński. Od dawna musi tam już leżeć, bo zapadł się w ziemię: wystaje tylko kawałek porośnięty mchem.

Ewa zagnała wołu i niewolnika na postój koni, a dzidę swą wbiła w sam środek kamienia młyńskiego.

Handlarz zjawił się w pokłonach.

— Za ile sprzedasz niewolnika? — spytał, gładząc brodę.

Ewa udawała niemowę; palcem wskazywała na usta i potrząsała głową.

Niemy żołnierz nie należał do rzadkości. Zetknąwszy się z takim każdy Turek bez pytania wie, że ma przed sobą osobnika, który — pożegnawszy się z wojskiem na skutek kalectwa — żyje z tego, czego nie posiada.

Przeszedł więc na grecki:

— Otez gurusz. \* Otez gurusz — trzydzieści piastrów.

Ewa ruchem ręki dała do zrozumienia, że tylko wół jest na sprzedaż.

Greki okiem znawcy obejrzał zwierzę ze wszystkich stron:

— Jirmi gurusz. \* Jirmi gurusz — dwadzieścia piastrów.

Ewa potrząsnęła głową. Handlarz podwyższył cenę do trzydziestu, a następnie do trzydziestu pięciu piastrów.

Ewa przez ten czas usiadła na kamieniu i krzywiąc się z bólu obejmowała łydkę. Miała przywiązany do łydki kawałek surowego mięsa, od którego zwilgotniało niebieskie sukno nogawki.

Gdy Grek rzucił cenę trzydzieści pięć piastrów, Ewa na migi i czubem dzidy pokazała, że potrzebuje namiotu i chce go rozbić właśnie tu na tym miejscu.

Greki widząc, że deli jest ranny i śmiertelnie zmęczony, zrozumiał, że chce odpocząć i zostać tu, póki mu się rana nie zagoi, dlatego namiot mu potrzebny. Kazał sługom przynieść kilka najędzniejszych namiotów.

— Który?

Ewa wybrała największy i najbrudniejszy i wskazała na wołu: może go sobie zabrać. Handlarz nie zgodził się na cenę. Ewa dodała mu konia pod warunkiem, że Grek rozbije namiot nad kamieniem.

No, dotąd wszystko szło jak z płatka.

— Sam Pan Bóg nam pomaga — szepnęła Ewa, gdy zostali z Mikłósem sami w namiocie.

Tymczasem działa huczą za pagórkiem bez ustanku, a z zamku odpowiadają im hakownice. Czasem cuchnący dym dolatuje aż tu w dolinę. Jedna z wież wyziera sponad koron drzew. Jest wyszczerbiona jak świeca poogryzana przez myszy. A jednak deli i Miklós radują się jej widokiem: to miejsce, gdzie mają dotrzeć jeszcze tej nocy.

Dokoła hałasuje pospólstwo. Niekiedy pojawia się tu żołnierz pragnący kupić konia lub szukający znachora. A i talizmany cygańskie są popytnym towarem. Żołnierze nie bardzo w nie wierzą, ale kupują na wszelki wypadek. Na obrośniętej piersi pewnego asaba wieńcem wiszą drobne talizmany.

Ewa wyciągnęła się na swoim płaszczu.

— Jak sądzisz, Miklós, czy nie powinnam i tu szukać syna?

— Znowu powracasz, pani, do tego planu?

— Nikt mnie nie zatrzyma w tym przebraniu. A może odnajdę go tu wśród żołnierzy? Stanęłabym przed Jumurdżakiem i powiedziała: „tu masz pierścień, zwróć mi syna”!

— Wziąłby pierścień i nie zwrócił dziecka.

— O, ta bestia!

— Hej! Gdyby nie to... Ale nawet gdyby był człowiekiem uczciwym, cóż z tego, czyż nie może waszmość pani zaczepić któryś z oficerów? A może są oddziały, do których delowie nie mają dostępu? A teren koło baterii jest pewnie mocno strzeżonym miejscem. Od razu poznaliby, że pani jest obca.

— I wzięliby mnie w niewolę...

— I Jumurdżak nie wypuściłby waszmość pani z rąk...

Ewa westchnęła. Rozsupłała worek, wydobłała z niego chleb i kurczaka i położyła na kamieniu.

— Może zjemy coś, Miklós?

Wreszcie zapadł zmierzch. Huk armat ustał. Z zapadnięciem zmroku wszyscy udali się na wypoczynek.

Ewa wydobyła z worka świecę i skrzesawszy ognia krzesiwem, zapaliła ją.

Koło północy Miklós wymknął się z namiotu i po chwili wrócił z drągiem grubości ramienia.

Drąg wsadzili w sam środek kamienia i podważywszy, usunęli go z miejsca, gdzie leżał od niepamiętnych czasów.

Pod kamieniem nie było nic prócz mokrej gliniastej ziemi i kilku czarnych owadów.

Ewa tupnęła nogą w miejscu, gdzie przedtem leżał kamień. Ziemia wydała głuchy odgłos. Ewa wyciągnęła z worka łopatę, przymocowała ją do drzewca dzidy i jęła kopać.

Miklós palcami grzebał ziemię. Na głębokości stopy łopata stuknęła o deskę.

Była to deska dębowa, grubości dłoni, ale już na pół spróchniała. Deskę wykopali i znaleźli ziejący ciemnością spory otwór wydrążony w kamieniu. Zeszli w dół po dziesięciu małych stopniach. Poniżej otwór rozszerzał się. Był obmurowany jak piwnica. Dalej mogli już schodzić wyprostowani. Powietrze było stęchłe. Na murze gdzieś bielila się saletra. Zionęło wilgotnym chłodem.

Miklós szedł pierwszy ze świecą. Miejscami musieli brodzić w wodzie sięgającej kostek, czasem natrafiali na jakiś sterczący głąz, który oderwał się od sklepienia. Wtedy Miklós ostrzegał:

„Uwaga, kamień"! Miejscami ziemia dudniła pod ich krokami. Spodem, głębiej, przebiegał widocznie drugi tunel. Kto to mógł budować i kiedy? W czasach, gdy ta twierdza powstała, nie zapisywano jeszcze historii. Bóg wie, jakie plemiona żyły na tej ziemi, nim przyszli tu Węgrzy...

— Uwaga, schylić się!

Chodnik od pewnego czasu stawał się pochyły, sklepienie coraz niższe. Potem poziom zaczął się wznosić, sklepienie zaś pozostało na tej samej wysokości.

Miklós posuwał się już na czworakach. Ewa stanęła.

— Ty, Miklós, idź dalej — rzekła. — Jeśli okazałoby się, że wylot tunelu jest zasypany, musimy wrócić po łopatę.

Miklós czołgał się dalej. Obręb światła zwężał się coraz bardziej, wreszcie znikł. Ewa została sama w ciemnościach. Osunęła się na kolana, modląc się gorąco:

— Miłosierny Boże... strózu mojej biednej, udręczonej duszy! Twoje oczy mnie widzą w tej ciemnej głębinie... Kilka kroków dzieli mnie od mojego Gergelya... Czy po to nas złączyłeś, aby rozłączyć w tak okrutny sposób? Boże litościwy! Do ciebie zwraca się moje drżące serce. Stoję samotna pod stopami wroga i błagam Cię: pozwól mi dotrzeć do Gergelya!

Zajaśniał znowu płomyk świecy. Wkrótce wyłonił się z ciemności Miklós na czworakach.

— Tunel zwęża się na długości dwudziestu kroków, później znowu się rozszerza przez dziesięć kroków. Tam droga się rozgałęzia, ale obydwie wyloty są zasypane.

— Wracaj, Mikłós, po łopatę. Będziemy kopać do rana. Ale co godzinę musisz się pokazywać przed namiotem, aby nie wzbudzić podejrzenia Turków. Odwdzięczymy ci się, Mikłós, za twoją dobroć. Dobo lubi mego męża jak rodzzonego brata. Mąż postara się, aby cię Dobo przyjął do siebie...

— Wielki to byłby zaszczyt dla mnie — odparł Mikłós. — Ale nie zasługuję na to. Dziecko zginęło z mojej winy i z moją pomocą Musi się odnaleźć. Po spełnieniu swego zadania wracam do szkoły.

Oj, Mikłós! Ty już do szkoły nigdy nie powrócisz!

3

W dniu św. Michała walka trwała do południa. Po południu stygły działa po obu stronach. W twierdzy rozległa się żalosna pieśń „circum dederum”. Wokół twierdzy derwisze układali zabitych i rannych, którzy nie mogli o własnych siłach stanąć na nogi.

Wewnątrz i zewnątrz twierdza czerniała od krwi. Na basztach i na czterech głównych miejscach ataku kobiety popiołem i piaskiem zasypywały kałuże krwi. Kat przerzucał przez mury trupy janczarów, którzy runęli wraz z wieżą narożną. Zdobyte chorągwie zanesiono do sali rycerskiej. Broń turecką oddano żołnierzom, by sobie wybrali, co komu potrzebne.

Najcenniejsze okazały się jednak czekany. Żołnierze setkami gromadzili się przed kuźnią:

— Dajcie mi czekany! Czekany!

Mekcsey kazał kuć czekany. Kowale przecinali sztaby żelazne na kawałki i rzucali w ogień. Jeden koniec wykuwali na spiczasto, drugi na płask, a środek przedziurawiali. Żołnierzom, którzy kilku denarami popierali swą prośbę, opiłowywali narzędzia, a nawet żłobili wgłębienia zwane „krwawymi rowkami”. Trzonek każdy sam zdobywał i osadzał.

— Teraz wam pokażemy, warkoczarze!

Żołnierzy, którzy nie cały czas brali udział w odpieraniu Turków, Dobo zaraz po obiedzie wyznaczył do naprawiania murów. Przede wszystkim naznosili kamieni ze zwałonej wieży do wyłomów. Do wieczora powyciągali z gruzów moc trupów tureckich i — niestety — Węgrów.



Ale nie czas teraz na żalobę! Trzeba zakasać rękawy. Nawet dzieciom wyznaczono pracę.

— Zbierajcie, dzieci, walające się pociski armatnie. Większe składajcie przy wielkich działach, drobniejsze przy armatkach na baszcie Sandora.

Tę noc porucznik Hegediis i Gergely spędzili na baszcie Sandora. Było chłodno. Sierp księżycyca jaśniał wśród gwiazd. Strudzona załoga odpoczywała na rynku i dokoła rynku. Wartownicy także ledwie trzymali się na nogach. Niektórzy usypiali stojąc.

Gergely kazał przynieść sienniki pod sklepienie, przed którym rozniecono ogień.

Leżąc, owiany łagodnym ciepłem żaru, porucznik Hegedus odezwał się:

— Gergely, tyś człek uczony. Ja też uczyłem się na księdza, ale wyrzucono mnie z seminarium. Dziś własnoręcznie ukatrupiłem czterdziestu Turków. Widzisz zatem, że nie brak mi odwagi.

Gergely był zmęczony i senny, jakaś nuta w głosie Hegedusa jednak go uderzyła: spojrzał na niego.

Porucznik siedział na sienniku. Płomień ogniska oświetlał jego twarz i niebieski, sięgający kostek płaszcz. Zamilkł na chwilę, potem ciągnął dalej:

— Często rozmyślałem nad tym, że człowiek jest człowiekiem, czy ma ogoloną głowę, czy nie... A my... zabijamy...

— Ano, tak — mruknął Gergely sennie.

— A oni nas zabijają.

— Ba! Gdyby z bukłakiem wspinali się na mury, my byśmy ich też z bukłakiem czekali. Wino by się lało, a nie krew. Ale czas już spać...

Hegedus wpatruje się w ogień, jak gdyby wahając się, czy mówić dalej. W końcu powiada:

— Co to jest odwaga?

— Tylko co mówiłeś, że własnoręcznie zabiłeś czterdziestu Turków, a pytasz, co to odwaga? Połóż się i śpij. Ty też jesteś zmęczony.

Hegedus wzrusza ramionami:

— Gdyby znalazł się wśród nas człowiek mądry, który by miał więcej rozumu niż my wszyscy razem, na pewno nie byłby tak odważny.

Mówiąc to spojrzał na Gergelya. Płomień świecił mu wprost w oczy, podczas gdy kontury twarzy zaledwie rysowały się w mroku.

Gergely przymknął powieki i odrzekł sennie:

— Wręcz przeciwnie, ten byłby najodważniejszy.

— Chyba nie, Gergely, taki wyżej ceniłby wartość życia. Raz człowiek żyje. Byłoby więc wbrew rozsądkowi wyrzec się tego jedyne go życia tylko po to, aby potomni mówili: bitny był to człowiek.

Gergely ziewnął.

— Ja też nieraz się zastanawiałem nad tym — odparł po chwili — i doszedłem do wniosku, że głupi dlatego jest odważny, że nie rozumie śmierci. Człowiek mądry zaś dlatego, że rozumie ją w całej rozciągłości.

— Śmierć?

Gergely odwrócił się na bok, oczy miał już przymknięte. Sennym głosem odpowiedział:

— Tak. Głupiec wie życie bezmyślne, jak zwierzę. Zwierzęta nie wiedzą, co to śmierć. Widziałeś kiedy, jak kura broni swych kurcząt? Gdy któreś przewraca się martwe, bez żalu idzie dalej. Gdyby swoim kurzym rozumem pojmowała śmierć, na pewno w jakiś sposób zdradzałaby smutek z powodu utraty dziecka. Kto nie zna pojęcia śmierci, ten nie zna pojęcia życia. Co innego człowiek świątły. Jest odważny, bo wie, że ciało to nie wszystko. Nie wiemy, gdzie byliśmy przed przyjściem na świat i co czeka nas po śmierci. Inaczej nie podołalibyśmy naszym ziemskim zadaniom, bo ciągle by nas zaprzętała myśl, jak też się wie dzie na tamym świecie temu lub owemu ze znajomych, jak się przedstawiają sprawy, od których zostaliśmy oderwani.

— Dobrze, dobrze — odrzekł Hegedus — nieraz już słyszałem to z ambony. Ale chyba nie wątpisz, że doczesne życie przedstawia pewną wartość, że nie tylko po to żyjemy, aby jakiś przybłęda Turek nas zarżnął.

Trzaskający ogień ozłacał zbroje i szable leżące obok siennika. Gergely, poprawiwszy pod głową skórzany pawęż, odpowiedział, zupełnie już senny:

— Bzdura! Bezrozumnemu człowiekowi uda się nieraz bezmyślnie dokonać szlachetnego czynu, mądry zawsze czyni to świadomie. Obrona ojczyzny jest takim samym świętym obowiązkiem jak obrona rodzonej matki!

Naciągnął płaszcz na ucho.

— Czy istnieje pisane prawo, w jaki sposób bronić swej matki? Nie. A mimo to dziecko broni jej choćby za cenę własnego życia. Zwierzę nie poczuwa się do tego obowiązku. Człowiek zaś, czy głupi, czy mądry, rzuca się na napastnika i choćby miał przypłacić życiem to, że matki broni, wie, że inaczej postąpić nie może. Przykazania boże kierują jego wolą. A miłość jest przykazaniem bożym. Miłość do matki i miłość do ojczyzny to jedno i to samo. Turcy mogą zabić ciało, ale duszy nie! Ale do diaska! Dość tego filozofowania! Daj mi wreszcie spać!

Hegedus zamilkł. Rozciągnął się na sienniku. Twierdzą zaległa cisza. Słyszał było tylko miarowe kroki wartowników, głucho stukania młotów, cichy turkot młyna, a przed młynem dudnienie kopyt końskich.

\*\*

Następnego dnia rano działa milczały. Za sztańcami tureckimi jednak roiło się jak w ulu.

— Turcy znowu piszą list — powiedział Dobo.

W ręku miał biały arkusz papieru. Kazał zatrzeć na zbiórkę. Po kilku chwilach szeregi ustawiły się w szyku. Wiele obandażowanych głów, oczu i rąk, ale duch panował znakomity.

— Żołnierze! Zarządziłem zbiórkę, aby was pochwalić. Pierwszy szturm na twierdzę odparliście z taką odwagą, jaka przystoi węgierskiemu żołnierzowi. Nie spostrzegłem ani jednego tchórza pośród was. Zasługujecie na miano bohaterów! Po przepędzeniu Turków udam się osobiście do jego królewskiej mości i poproszę o nagrodę dla was. Ale tymczasem chciałbym wyróżnić tych czterech junaków, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo wykazali niezłomne bohaterstwo w odpieraniu ataku. Niechaj wystąpią z szeregów Istvan Bakocsi, Laszló Tórók, Antal Komlósy i Szaniszló Sonczy.

Czterech junaków wystąpiło. Wszyscy mieli obandażowane głowy. Dobo ciągnął dalej:

— Wróg sforsował zewnętrzny mur twierdzy i zatknął chorągiew. Szeregowy Istvan Bakocsi ślepo rzucił się na zastęp janczarów. Wyrwał z ręki Turka chorągiew i przerzucił przez mur. Zanim będę mógł przedłożyć jego królewskiej mości listę bohaterów, awansuję go na dziesiątnika i wyznaczam jako nagrodę pięćdziesiąt srebrnych denarów oraz nowy mundur.

Wśród głośnych wiwatów załogi stary Sukan odliczył w garść bohatera pięćdziesiąt srebrnych monet.

Dobo mówił dalej:

— Chorągiew twierdzy została razem z murem zmieciona przez pocisk armatni. Chorągiew spadła między Turków. Laszló Tórók wyskoczył przez wylom, stawiał czoło niebezpieczeństwu, przyniósł chorągiew z powrotem. Do czasu uzyskania dla niego nagrody królewskiej otrzyma forinta z kasy królewskiej i ubiór sukieny.

Bohater z triumfem wodził po twarzach wiwatujących, podczas gdy Sukan odliczał mu nagrodę pieniężną. Dobo podjął na nowo:

— Przy starej bramie Turcy także zatknęli chorągiew. Antal Komlósy wdarł się na mur i odrąbał rękę Turka razem z chorągwią. Tymczasem wyznaczam mu nagrodę dwóch forintów i nowy ubiór.

Pozostał jeszcze czwarty bohater.

— Gdy pocisk wyrwał świeżo załatany wylom, przez który Turcy pchali się setkami, ty, Szaniszló Sonczy, nie patrząc na przewagę wroga, sam jeden łupiłeś pogan, aż nadeszła pomoc. Oprócz królewskiej nagrody otrzymasz dwa łokcie sukna i forinta.

Po chwili Dobo dodał:

— Nagrody te nie są na miarę waszego bohaterstwa, ale na miarę skarbcza twierdzy. Jeszcze wielu mógłbym wymienić takich, którzy położyli niemniejsze zasługi. Na własne oczy widziałem, że niektórzy z was zatłukli po kilkudziesięciu Turków. Żeby wspomnieć tylko Lukacsa Nagya i jego ludzi. Sami wiecie, czego dokonali! Tymczasem udzieliłem pochwały tylko najdzielniejszym, którzy narazili się na największe niebezpieczeństwo w obronie ojczyzny.

Od strony bramy zabrzmiał róg i zaraz potem jakiś wieśniak pojawił się na rynku, kierując swe kroki do kapitana. W ręku miał list. Zanim doszedł, zdjął czapkę z głowy.

— Wróćcie do swoich zajęć, chłopcy — zwrócił się Dobo do żołnierzy.

Kilka słów powiedział Mekkseyemu, z pogardą zmierzył przybysza, dosiadł konia i odjechał galopem.

Oficerowie przyjęli posła niezbyt gościnnie. Listu nawet nie rozpieczętowali: przedarli go na pół, jedną połowę wrzucili w ogień, a drugą wepchnęli wieśniakowi w usta.

— Masz, zryj gościniec, któryś przyniósł.

Wtrącono go do lochu. Miał tam czas na rozmyślenia, że lepiej nie służyć Turkom. Człowiek ten nazywał się Andras Sari. Turcy porwali go z Fejervar.

Poganie czekali godzinę na powrót posła. Przekonawszy się, że egerczanie i tym razem milczeniem odpowiadają na ich pismo, otworzyli ogień ze wszystkich dział dokoła twierdzy. Aprosze wypełniły się wojskiem tureckim.

Dotąd z taboru tureckiego słychać było tylko okrzyki „Allah” przeplatane obelgami, teraz ze wszystkich stron rozbrzmiała węgierska mowa:

— Poddajcie się, bo marny czeka was koniec!

— Nie ludźcie się, że uda wam się odeprzeć atak! Dotąd to były tylko próby! Nawet niemowląt nie będziemy oszczędzać!

— Nie słuchajcie kapitana Dobo! To głupiec! Jak chce umrzeć, niech sobie umiera! Żadna krzywda nie stanie się temu, kto wyjdzie z twierdzy. Może zabrać z sobą broń i pieniądze!

— Kto chce wyjść, niech przytwierdzi białą chustkę do dzidy! — łyknął z aproszy spahi w spiczastym hełmie.

— Tysiąc denarów temu, co nas wpuści! — wył aga janczarów ze strusim piórem na zawoju.

Z twierdzy rozległ się huk trzech strzałów. Aga przezornie rzucił się na ziemię.

— Dobo stracił rozum! — grzmiało teraz z innej strony. — Nie bądźcie głupcami. Sto denarów pierwszemu, co wyjdzie przez bramę! Każdy następny dostanie dziesięć denarów i ma zapewniony wolny powrót do domu!

— Opornych wbijamy na pale! — ryknął jakiś gorliwiec.

Twierdza milczeniem przyjęła zarówno zachęty, jak groźby. Turcy często wznawiali okrzyki. Obietnice były z chwili na chwilę bardziej zachęcające, pogróżki stawały się coraz potworniej sze. W końcu Gergely postawił na murze swojej baszty doboszów i trębaczy i ilekroć rozległ się z dołu ryk turecki, tylekroć głuszył go z muru warkot bębnow i drwiący głos trąb.

Załogę rozweselała ta zabawa. Na wszystkich murach postawiono więc doboszów i trębaczy, a nawet trzech szyposzów, którzy także nie próżnowali. Do wytworzenia piekielnego hałasu przyczyniali się i żołnierze trzaskając tarczami.

Paksy, porucznik jazdy, młodszy brat kapitana twierdzy Komarom, poprosił Dobo, by pozwolił zrobić wypad na krzykaczy.

Młody ten i chwacki oficer był słusznego wzrostu i słynął z niezwykłej siły. Wąsy sięgały mu od ucha do ucha. W czasie ataku straszliwie wywijał pałaszem. Jednym uderzeniem potrafił rozłupać głowę Turka wraz z tęgim szyszakiem.

Prosił tylko o pięćdziesięciu ludzi.

Dobo potrząsał głową.— Ej, Paksy, Paksy, nie szukaj guza, bo go łatwo znajdziesz.

Młody człowiek jednak ze skóry wprost wyłaził. Targował się jak Abraham na drodze sodomskiej.

— Jak nie pięćdziesięciu, to chociaż dwudziestu... W końcu błagał o dziesięciu, aby się trochę „przewietrzyć”. Być może Dobo nie pozwoliłby, ale młodego porucznika obstąpiło już kilkudziesięciu wojaków, których także ręce świerzbiały. Z wypiekami na twarzy wołali:

— Panie kapitanie!... Panie kapitanie!...

Dobo obawiał się, że jego odmowa może być zrozumiana nie jako słuszną przeczność dowódcy, lecz jako strach przed uszczupleniem i tak nielicznej załogi. Machnął więc ręką:

— Skoro wam tak pilno do grobu, to idźcie!

— Ilu? — ryknął Paksy uradowany.

— Dwustu — powiedział Dobo.

Brama wychodząca na potok była jeszcze cała. Paksy dobrał sobie dwustu chłopca i pomknęli jak strzała przez otwartą bramę.

Działo się to koło południa.

Wzdłuż potoku roіło się od Turków pojących konie i wielbłądy. Na wprost bramy byli to przeważnie akindżowie.

Dwustu jezdnych rzuciło się na nich niby nawałnica. Akindżowie padali jak muchy. Pędzący na czele Paksy przerębywał się ciężko przez ciżbę. Prawa strona pancerza i prawy bok konia były zbryzgane krwią. Pozostali także dzielnie wywijali szablami; akindżowie, tratując się wzajemnie, uciekali wśród przeraźliwych krzyków. Natomiast tysiące janczarów, sformowanych w szyk bojowy, wzięły podjazd w potrzask z dwóch stron.

Wierzchowiec Paksyego spłoszył się nagle na widok wielbłąda i uskoczył w bok. Paksy zamachnął się właśnie do potężnego ciosu na

jakiegoś spahi w ciężkiej kolczudze i straciwszy równowagę, runął z grzbietu konia, który wywrócił się ugodzony w brzuch.

Widząc to Węgrzy otoczyli leżącego na ziemi Paksyego i siekąc szablami chcieli zyskać na czasie, aż porucznik się podźwignie.

Paksy jednak nie wstał. Skręcił albo złamał nogę. Ale nawet w pozycji siedzącej wściekle wywijał szablą wokół siebie. Szyszak spadł mu z głowy. Jakiś janczar wymierzył mu cios.

Na murach twierdzy trąby grały bez ustanku: odwrót! odwrót!

Zawracali i przebijali się przez chmurę Turków. Dziesięciu ich tylko zostało przy Paksym. W mgnieniu oka otoczył ich las dzid.

— Poddajcie się! — wołali Turcy.

Dziesięciu jeźdźców, jeden za drugim, opuściło szable.

— Tchórze! — rozległ się krzyk oburzenia na murach. Mekkseyego siłą musiano powstrzymać, aby się nie rzucił na pomoc Paksyemu.

\*\*

Po upływie godziny Turcy ustawili okragłe wzniesienie na górze zwanej Krzesło Króla. Na tym wzniesieniu kat turecki na oczach obleżonych rozciągał na kole rannych Węgrów, z wyjątkiem porucznika Paksyego.

4

Egerczanie dotąd czuli tylko nienawiść do Turków, ale teraz nabrali również odrazy. Kobiety płakały, żołnierze samowolnie chcieli się rzucać na pogan. Dobo kazał zamknąć bramę.

Po tym nikczemnym okrucieństwie siepacze paszy Alego krzyczeli przy murach:

— Rozbiliśmy armię królewską, która szła wam na odsiecz. Nie ma litości dla was! Jeżeli się nie poddacie, czeka was ten sam los!

Załogę ogarnęło przygnębienie. Zbrodniczy czyn Turków przyprawił dobośzów o takie odrętwienie, że zapomnieli nawet zagłuszać głosu krzykaczy tureckich.

— Wierutne kłamstwo! — mówił Gergely z pogardą do otaczających go żołnierzy. — To też były kłamstwa, że jakoby nasze żony, dzieci i narzeczone znajdują się w ich rękach. Armia królewska jest w drodze! Może nadejść lada chwila.

— A może nie kłamią? — odezwał się ktoś zaczepnie za plecami Gergelya.

Gergely zbladł jak ściana.

Był to głos porucznika Hegedusa. Gergely spojrział na niego świdrującym wzrokiem. Ściskając głowicę szabli, odpowiedział:

— Panie poruczniku! Wypadałoby panu jako oficerowi wiedzieć, że wróg zabiera chorągwie rozgromionej armii. Czyżby Turcy przez skromność ich nam nie pokazali? — dokończył mierząc go wzrokiem. Zdarzyło się to na wieży kościelnej. Dobo stał nieco dalej, obok niego stary Cecey wsparty na kiju oraz Zoltay, Fugedy i ksiądz Marton w komży i stule. Wracał właśnie z pogrzebu zmarłego na skutek ciężkich ran żołnierza.

Dobo zwrócił uwagę dopiero na słowa Gergelya. Osłupiały spoglądał na Hegedusa.

Cecey także zwrócił się ku nim.

— Głupie gadanie — huknął na Hegedusa — chcesz zastraszyć ludzi? Hegedus wściekłym wzrokiem patrzył na Gergelya.

— Dłużej jestem w wojsku niż ty, smarkaczu! Jak śmiesz mnie uczyć? Jak śmiesz tak mierzyć mnie wzrokiem! Błyskawicznie wyrwał szablę z pochwy. W ręku Gergelya także błysnęła klinga. Dobo stanął między nimi.

— Tymczasem zabraniam wszelkich osobistych porachunków! Po oblężeniu będzie czas na to!

Dwaj porucznicy milcząc wsunęli szable do pochew. Dobo oschłym głosem wydał polecenie, by Hegedus odtąd pełnił służbę w jednostce Mekkseyego przy starej bramie. Gergelyowi zaś kazał nie opuszczać terenu zewnętrznej twierdzy bez ważnych przyczyn.

— Po oblężeniu więc!... — wyrzucił z siebie Hegedus, ze złym błyskiem w oczach.

— Nie będę się chował — odrzekł Gergely pogardliwie.

\*\*

Incydent ten przygnębił kapitana.

Gdy oficerowie oddalili się, każdy w inną stronę, zwrócił się do .Ceceyego:

— Co będzie — rzekł — jeśli oficerowie żywią wrogi stosunek do siebie? Musimy ich z sobą pogodzić.

— Do wszystkich diabłów z tymi koszyczanami! — złościł się Cecey.

— Mój Gergely dobrze mu przygadał.

Tak rozmawiając przechodzili właśnie przez rynek. W karczmie rozlegał się śpiew. Właśnie gdy mijali budynek, przez drzwi



wytoczyła się trójka pijanych żołnierzy. Objęli się za szyję i śpiewając ruszyli ku koszarom.

Pośrodku szedł Bakoćsai. Na zakończenie pieśni ryknął:

— Życ, nie umierać!!!

Gdy rozbawiona trójka spostrzegła kapitana, wypuściła się z objęć; żołnierze stanęli na chwiejnych nogach i milcząc mrugali.

Dobo minął ich bez słowa i zatrzymał się przed drzwiami karczmy.

W karczmie było wesoło. Tórók powiewał chustką, którą obwiązano mu ranę. Komlósy blaszaną kwaterką walił w stół. Szaniszló Sonczy wielkim głosem domagał się muzykantów. Jeszcze trzech żołnierzy pomagało mu w przepiciu nagrody za bohaterstwo.

Dobo zwrócił się do swego giermka:

— Wezwij tu obydwu karczmarzy.

Za chwilę zjawili się: Gyórgy Debroy w koszuli z podwiniętymi rękawami, Laszló Nagy w niebieskim fartuchu. Stali zmieszani przed pieniącym się ze złości kapitanem.

— Ludzie! Jeśli jeszcze raz zobaczę w twierdzy pijanego żołnierza, każę powiesić karczmarza, u którego się upił. Odwrócił się i poszedł dalej.

\*\*

Przez całą noc łatano, naprawiano mury zburzone za dnia. Dobo spał zaledwie dwie godziny. Dniem i nocą był na nogach. Przerzucał się z miejsca na miejsce wydając rozkazy, coraz to gdzie indziej rozlegał się jego spokojny, metaliczny głos.

W trzecią noc po ataku ponownie zabrzmiało na wschodnim pagórku głośnie wołanie:

— Istvanie Dobo! Czy słyszysz mnie? Mówi do ciebie stary twój przeciwnik, beg Arsian. Honor mój jest bez skazy jak moja szabla i nazwisko. — I po chwili przerwy: — Śmierci dzielnego kapitana Losonczyego nie uważajcie za przykład temu przeczący. On sam winien był swojej zguby! A jeśli nam nie dowierzacie, sam ofiaruję się za zakładnika! Jeśli wywieszisz białą chorągiew, wejść do was bez obawy i zostanę w waszych rękach, aż ostatni żołnierz opuści twierdzę! Zabijcie mnie, jeśli któremu z was choć włos z głowy spadnie. Ja osobiście ręczę za porządek, beg Arsian, syn sławnego paszy Jahja Oglu Mohameda.

Nastała cisza, jak gdyby wołający oczekiwał odpowiedzi. Ale Dobo już po pierwszych słowach dosiadł konia i pognął na drugą basztę,

dając w ten sposób dowód swej pogardy dla wszelkich pokus tureckich.

Żołnierze tylko słyszeli dalsze słowa:

— Nie wątpię, iż moja osoba stanowi dostateczną gwarancję dla ciebie. Gdyby twoim ludziom to nie wystarczyło, skłonni jesteśmy wycofać nasze szeregi, co do jednego, na trzy mile. Żaden z nas nie pokaże się, dopóki wy także nie znajdziecie się o trzy mile w przeciwnym kierunku. Czekam na twoją odpowiedź, szlachetny Istvanie Dobo.

Twierdza milczała.

5

O północy przed prochownią Dobo spostrzegł żołnierza, który niósł na głowie z dziesięć misek.

— Co robisz?

— Pan porucznik Bornemissza kazał przynieść miski z kuchni.

— Gdzie jest pan porucznik?

— Na baszcie Bolykyego.

Dobo pogalopował na wskazane miejsce. Zsiadł z konia i spieszny krokiem wszedł na słabo oświetloną basztę. Zastał Gergelya na murze z latarnią w ręku: trwał bez ruchu, skupiony, nad sporym naczyniem napełnionym wodą.

— Gergely!

Gergely wyprostował się.

— Nie wiedziałem, że pan kapitan jeszcze na nogach. Kapitanowi Mekkseyemu kazałem zameldować, że poleciłem rozstawić naczynia.

— Podkopują się?

— Najprawdopodobniej. Po odparciu ataku z całą pewnością będą chcieli założyć miny. Wszyscy dobosze rozstawią na ziemi bębny z grochem i drobnym śrutem.

Dobo zawołał z baszty na Krzysztofa:

— Obiegnij wszystkie stráže i powiedz im, aby przechodząc sprawdzali bębny i naczynia. Natychmiast mają mi zameldować, gdyby zauważyli drganie wody, grochu lub śrutu na bębnie.

I wzięwszy Gergelya pod rękę zaciągnął go do wewnętrznej twierdzy.

— Gergelyu, mój drogi — podjął ojcowskim głosem — obserwuję cię od tygodnia. Co ci jest?

— Panie kapitanie — odpowiedział Gergely, a głos mu odrobinę drżał. — Nie chciałem obarczać waszmości swoimi sprawami. Skoro

jednak pytasz mnie, panie, to powiem. Od chwili oblężenia twierdzy co noc wołają zza muru, że synek mój jest w ich mocy.

— Nikczemne kłamstwo!

— Ja też tak myślę. Z początku puszczałem to mimo uszu. Ale jakiś tydzień temu przerzucono mi przez mur szabelkę. Szabelkę mojego syna!

Mówiąc to wy dostał spod dolmana małą szabelkę w aksamitnej pochewce.

— Noszę ją przy sobie. Waszmość pewnie już nie pamięta, że kiedyś obdarował mnie tą szablą. Ja zaś dałem ją synkowi, kiedy się z nim rozstawałem. W jaki sposób dostała się w ręce Turków?

Dobo w milczeniu przypatrywał się szabli.

Gergely ciągnął dalej:

— Syna i żonę zostawiłem w Sopron. Tam Turków nie ma nawet na lekarstwo, boby ich wycięli w pień. Żona moja nie ruszy się stamtąd, zresztą nie ma nawet dokąd.

Dobo potrząsnął głową:

— Hm... może ktoś ukradł szablę? Złodziej sprzedał ją handlarzowi i jakiś żołnierz odkupił...

— Ale skąd mógłby wiedzieć, że to własność mego syna? Istnieje w tym jakieś powiązanie i to dręczy mnie dzień i noc. Jumurdzak alias beg Derwiz miał talizman, który zabrał mu kiedyś mój świętej pamięci nauczyciel, ksiądz Gabor. Ja odziedziczyłem ten talizman po nim. Celem życia tego głupiego Turka jest odnalezienie talizmanu. Skąd się dowiedział, że ja go mam? Nie wiadomo! Ale się dowiedział na pewno, bo żąda ode mnie zwrotu.

— I sądzisz, że twój syn jest u niego? Skoro tak, to rzuć mu u diabła ten pierścień i koniec.

— Właśnie w tym ambaras, że go nie mam przy sobie — odparł Gergely, zdjawszy szyszak z głowy. — Zostawiłem go w domu.

— Hm... — medytował Dobo — coś mi się to nie widzi... Dajmy na to, że kilku Turków zawędrowało do Sopron... W takim razie, biorąc na rozum, beg ukradłby pierścień, a nie dziecko...

— Właśnie, dla mnie to też zagadka...

— Przypuszczasz więc, że twój synek jest tutaj naprawdę?

— Razem z szabelką i synka mogli porwać z Sopron... Rozmawiając doszli do pałacu. Dobo usiadł na marmurowej ławie pod latarnią.

— Siadaj, Gergely — wskazał mu miejsce obok siebie.

Wsparł się łokciami o kolana i patrzył w przestrzeń.

Milczeli.

Wreszcie Dobo, uderzywszy się w kolano, rzekł:

— Jeszcze dziś w nocy dowiemy się, czy Turek kłamał, czy mówił prawdę.

Zawołał do wartownika przed pałacem:

— Miszka, idź do lochu i przyprowadź tu tego Kurda, którego ludzie złapali w potoku.

Pani Baloghowa przez okno zawołała:

— Panie kapitanie, może by podać płaszcz...

Dobo był w samej tylko bluzie z szarego zamszu, a noc chłodna.

— Dziękuję — odrzekł Dobo — zaraz pójdę spać. Jak się miewa Peto?

— Bredzi i pojekuje.

— Kto czuwa nad nim?

— Żona Gaspara Kocsisa, ale i ja posiedzę jeszcze przy nim, aż się trochę uspokoi.

— Nie ma potrzeby — uspokajał ją Dobo. — Zbadałem ranę. Już się zagoiła. Może waćpani spokojnie udać się na spoczynek. Wartownik nadszedł z Kurdem.

— Zdejm mu kajdany! — rozkazał Dobo. Złożywszy skrzyżowane ręce na piersi, Kurd czekał.

— Słuchaj, poganinie! — zwrócił się doń Dobo. — Czy znasz bega Derwisza?

— Znam.

— Jak wygląda?

— Ma jedno oko. Chodzi ubrany jak derwisz, ale pod spodem ma zbroję.

— Dobrze. Skąd jesteś?

— Z Bitlisu, panie!

— Matka twoja żyje?

— Tak, panie!

— Masz rodzinę?

— Dwoje dzieci, panie — i oczy mu zwilgotniały.

Dobo ciągnął dalej:

— Zwrócę ci wolność, ale musisz wiernie wykonać moje polecenie.

— Jak pies będę ci służył do śmierci.

— Pójdiesz do bega Derwisza i powiesz mu, żeby chłopczyka, którego trzyma w niewoli, przyprowadził do bramy wychodzącej na potok. Zwrócimy mu to, czego pragnie. Przyjdźcie z białą chustą.

— Rozumiem, panie.

— Nasz człowiek wyjdzie z bramy po chłopca i będzie miał przy sobie talizman bega. Jednocześnie ty weźmiesz chłopca za rękę i przyprowadzisz do naszego wysłannika. Uważaj, aby mu włos z głowy nie spadł.

— Za jego życie odpowiadam własną głową.

— To nie wystarczy, musisz przysiąc na serce twojej matki i na szczęście twoich dzieci, że spełnisz nasze żądanie.

— Przysięgam, panie — odpowiedział Kurd.

Dobo zwrócił się do stojącego obok Krzysztofa.

— Pobiegnij, Krzysztof ku, do sali rycerskiej. W kącie leży kupa gratów tureckich, między nimi znajdziesz książeczkę turecką. Przynieś ją tu.

Był to Koran. Umiejący czytać wojacy tureccy nosili przy sobie świętą księgę oprawną w pergamin.

Kurd przyłożył palce do Koranu i złożył przysięgę. Następnie rzucił się do nóg kapitana, ucałował ziemię i oddalił się promieniejąc z radości.

— Panie kapitanie — rzekł Gergely drżącym głosem — jeśli zobaczą, że zostali oszukani...

Dobo odparł z całym spokojem:

— Gdyby beg miał naprawdę dziecko w swych rękach, toby już dawno ci je pokazał. Co Turek, to łgarz. Zrobiłem to tylko dla twojego spokoju.

Gergely wrócił spieszenie na basztę. Serce mu biło z podniecenia. Przechodząc koło młynów, usłyszał z ciemności ciche: pst! Spojrzał w kierunku szeptu. Dostrzegł Cygana klęczącego na słomie, wymachiwał ręką.

— Czego chcesz? — spytał Gergely niechętnie.

Cygan podźwignął się i powiedział szeptem:

— Coś mi tu śmierdzi, jaśnie wielmożny panie Gergelyu.

— Bo co?

— Wczorajem reperowałem szyszak żołnierzowi z Koszyc przy starej bramie. Słyszałem, jak pan porucznik Hegedus rozprawiał o tym, że podczas oblężenia należy się podwójny żołd. Żołnierze szemrzą na

wielmożnego pana kapitana Dobo. Powiadają, że Turcy gwiazdy z nieba obiecują, a on nic.

Gergelya zatkało:

— Przy tobie tak mówił?

— Przy wszystkich. Nie pisałbym nawet o tym. Ale teraz zaczynam się bać. Ano, powiedziałem sobie, skoro tak, to ja się wolę bać Turków aniżeli porucznika z Koszyc.

— Chodź ze mną!

Odszukał Mekkseyego, który właśnie nadzorował kopanie rowów.

— Pista — zwrócił się do niego — posłuchaj Sarkóziego.

I oddalił się.

6

Kiedy Dobo rano wyszedł z pałacu, Hegedus oczekiwał go w drzwiach.

— Panie kapitanie — rzekł oddając honory — mam coś do zameldowania.

— Pilne?

— Nie bardzo.

— To chodź ze mną. Opowiesz mi wszystko przy bramie. Nad bramą stali już Bornemissza, Mekksey i Fugedy. Ogrodzenie z wikliny zasłaniało ich przed rojącymi się wzdłuż potoku Turkami.

Dobo pytająco spojrział na Gergelya:

— Jeszcze nikt?...

— Nikt... — odrzekł Gergely patrząc na Hegedusa.

Ten przyłożył palce do czapki. Gergely zrobił to samo. Wymienili przy tym zimne spojrzenia.

Dobo skierował wzrok na Hegedusa w oczekiwaniu meldunku.

— Panie kapitanie — podjął Hegedus — uważam za swój obowiązek zameldować, iż stwierdziłem oznaki niezadowolenia wśród żołnierzy.

Oczy kapitana wyrażały zdziwienie.

— Niestety — wzruszył ramionami Hegedus, a wzrok jego uciekał w bok — znajdują się między nami weterani, którzy znają się na... tego... zwyczajach powszechnie przyjętych... Wczoraj każdy z nich liczył na to, że dostanie dodatek obłązeniowy... Wieczorem już szemrali... Postanowiłem nie besztać ich, aby nie stawiać sprawy na ostrzu noża. Niech się wygadają, pomyślałem. Prosili, bym przekazał panu kapitanowi ich żądania.

Twarz kapitana przybrała wyraz srogości:

— Po pierwsze: pan porucznik winien wiedzieć, iż na terenie twierdzy nie ma miejsca na szemranie. A co do dodatku za oblężenie: kto nie za ojczyznę walczy, a za dodatek, niech się zgłosi do mnie. Dostanie.

Odszedł. Wychylił się nad ogrodzenie.

— Idzie — odezwał się Gergely i serce łomotało mu w piersi. Z ciżby Turków wyłoniła się postać Kurda. Prowadził za rękę dwóch malców w węgierskich strojach. Chłopcy musieli biec, by dotrzymać kroku Kurdowi.

Za nimi, o jakieś sto kroków, konno, posuwał się jednooki derwisz. Na odległość strzału zatrzymał się i wyprostowany w siodle spoglądał ku twierdzy.

— Ani jeden z nich nie jest moim synem — radował się Gergely.

Obaj chłopcy byli starsi od jego syna. Jeden z nich mógł mieć dziesięć, drugi zaś ze dwanaście lat.

Kurd przystanął przed bramą i zawołał:

— Beg przysyła dwóch chłopców zamiast jednego. Zwróćcie pierścień, a wtedy odda wam trzeciego chłopca.

Dobo zawołał na strażnika z wieży:

— Wychyl się i daj znać Kurdowi, że może odejść.

\*\*

Tego dnia Turcy walili w mury bez przerwy. Kolubryny pracowały wolno, ale z tym straszliwszą siłą. Za każdym hukiem pryskały mury, czasem z łoskotem osuwały się wyrwane głązy. Jednakże nastąpiła pewna zmiana, o której straż zameldowała z samego rana.

Konnica oddaliła się od twierdzy. Znikły z pola widzenia czerwone czapki akindżich, błyszczące zbroje spahi, pstrokate, różnorodne przyodziewki bezlików, długie delie, bachmaty gónnulluch, gurebów i silidarów. Podziało się gdzieś nawet dziewięćset wielbłądów taborowych.

Co się stało?

Mieszkańcy twierdzy wylegli promieniejąc z radości. U szlifierzy pojawił się Cygan i kazał sobie naostrzyć długą, zardzewiałą szablę. Przy piecach chlebowych rozbrzmiewał śpiew kobiet. Obok na pagórku porośniętym trawą bawiła się dziatwa: chłopcy w wojnę, a dziewczynki w kółko graniaste.

Służąca pani Baloghowej przyprowadziła tu również małego Turka, który tęsknym wzrokiem śledził rozbawione dzieci.

— Bawcie się z nim — namawiała służąca chłopców.

— Nie — odmówili jednogłośnie.

Dziewczynki zlitowały się nad nim. Mały Turek co prawda nie rozumiał słów piosenki, niemniej z takim nabożeństwem kręcił się w kółko, jakby uczestniczył w Bóg wie jak uroczystym obrzędzie.

Co było przyczyną całej tej wesołości, radości?

Znikła konnica turecka. Dlaczego? Na pewno zbliża się armia z odsieczą. Armia królewska! Co więc Turcy mieli robić? Jak tu nie uciekać?

Dobosze ze świeżą werwą zagłuszali krzykaczy po tamtej stronie. Nawet wielkie bębny poszły w ruch.

Turcy jednak bynajmniej nie poprzestali na wołaniu przez mury. Białe kartki przyfruwały razem ze strzałami. Nikt ich nie czytał. Kto taką kartkę znalazł, rzucał ją do ognia. Strzały zaś zanosili staremu Ceceyemu, który całymi dniami siedział na baszcie więziennej i ile razy pojawił się w pobliżu jakiś Turek, strzelał doń z łuku.

Twarz kapitana nie zdradzała zadowolenia, pozostała niezmiennie poważna.

Niespokojnie przechodził z wieży na wieżę; obserwował wroga. Niekiedy przez dłuższy czas patrzył ku górze Eged; potrząsał głową.

Razu pewnego zawołał Mekkseyego do pałacu.

— Istvan — zaczął opuszczając się na krzesło — ten Hegedus mi się nie podoba. Trzeba go pilnować...

— Już od dawna go pilnuję.

— Muszę wiedzieć o każdym jego kroku.

— Pan kapitan będzie wiedział.

— Ale żeby nie spostrzegł, że jest śledzony.

— Postaram się.

— Bunt w twierdzy byłby dla nas klęską. Mógłbym go aresztować, ale musimy się dowiedzieć, ilu ludzi przeszło na jego stronę i kto. Gangrenę musimy wyciąć doszczętnie. Kto go obserwuje?

— Cygan.

— Czy można mu ufać?

— Od kiedy odbiliśmy podjazd, przestał wierzyć w obietnice Turków. Między nami czuje się bezpieczniej. Wczoraj pracował razem z koszyczanami. I dziś znajdzie sobie tam jakąś robotę. Przyrzekłem mu, że dostanie dobrego konia z rzędem, jeśli skutecznie wykona zlecenie. Radziłem mu udawać, że jest po ich stronie.

— Nie masz innego godnego zaufania człowieka?



— Mam. Ale koszyczanie nie mieliby zaufania do niego. Cygana lekceważą, przy nim nie krępują się w gadaniu...

— Najważniejsze dowiedzieć się, kto należy do szajki.

— Pouczyłem Cygana.

— No, to dobrze. Chodźmy.

— Panie kapitanie — powiedział Mekksey innym już głosem, pełnym nadziei — wszystkie znaki wskazują na to, że zbliża się armia królewska.

Dobo wzruszył ramionami:

— Możliwe, że się zbliża — odparł przygnębiony — ale znaki wskazują na całkiem co innego. Mekksey stanął jak wryty. Dobo ciągnął dalej:

— Dowódcy pozostali na miejscu. Widziałem dwóch obok siebie na koniach. Armat także nie zabrali. Armie odwodowe też nie cofnęły się nawet na krok...

— Więc co znaczy wycofanie się oddziałów szturmowych? Dobo rozłożył ręce:

— Co? Poszli do lasu.

— Do lasu?

— Tak. I do winnic. Zbierać chrust i kopać ziemię, żeby zasypać fosy i wznieść nad nimi pagórek. Ale zatrzymaj to dla siebie. Tymczasem niech załoga się cieszy, że armia wyzwoleńcza się zbliża.

Uścisnął rękę Mekkseyego ufnie patrząc mu w oczy i wszedł do pokoju, gdzie leżeli Peto i Budahazy.

Zaledwie zmierzchno, zadudniła ziemia pod kopytami konnicy tureckiej.

Przy blasku kuli świetlnej można było dojrzeć, że każdy jeździec prowadzi jucznego konia za kantar. Konie były obładowane wikliną i ściętymi konarami, długi sznur wielbłądów zaś worami ziemi.

Dobo nakierował lufy hakownic i moździerzy w dół i wydał rozkaz:

— Ognia!

Robiło się coraz ciemniej, a jeźdźcy tureccy bez przerwy prowadzili juczne konie. Dobo zaniechał więc ostrzeliwania z armat, tylko strzelcom kazał nękać wroga.

Pod murem Turcy pracowali jak mrówki. Trzask chrustu i gałęzi, który dochodził z dołu, przerywały krzyki jasaulów, wydających rozkazy.

Dobo zarządził, żeby większość latarni ustawić w załamach murów i wyrwach tak, aby rzucały światło na zewnątrz, ale nie stanowiły celu dla kul ani strzałów.

Wewnątrz twierdzy panowała ciemność. Gdziekolwiek tylko migotało światło. Okolice starej bramy oświecał żar z pieców chlebowych. Niewiasty pracowały ze śpiewem na ustach.

— Niech śpiewają — powiedział Dobo — śpiewających nie opuszcza szczęście...

Koło północy Mekcsey sprawdzał z baszty Bolykyego, czy nie ma jakiegoś ruchu w szeregach wroga: czy nie zanoszą się na niespodziewany szturm.

Większość oficerów także czuwa w różnych punktach obrony.

Mekcsey, przyłożywszy do uszu zwinięte na kształt tuby dłonie, wychylił się, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemność. Wtem ktoś z tyłu szarpnął go za dolman.

Był to Cygan. W butach janczarskich, w szyszaku na głowie, przystrojonym kogucim piórem. Przy jednym boku zwisała szabla, przy drugim jatagan.

— Pst! — podjął tajemniczo. — Pst...

— Czego?

— Jaśnie wielmożnemu panu kapitanowi melduję posłusznie, że czuję już w garści kantarek obiecanego konia.

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Ajaj, aż mi głowa puchnie!

— Masz dowody?

— Mam. Tylko złapać trzeba!

— No to łap, psiajucho!

— To ja mam złapać? Żeby nie obrazić jaśnie pana kapitana, pójdziemy razem i złapiemy. Ojoj, wielmożny panie, tylko już, bo nam ucieknie... Chodźmy...

— Dokąd?

— Do starej studni podziemnej. Tam schodził pan porucznik Hegedus! Ojoj, moja głowa...

— Sam?

— Trzech jego żołnierzy trzyma straż przy wejściu...

Mekcsey zbiegł po schodach.

Na dole wezwał do siebie sześciu żołnierzy:

— Zostawcie strzelby! Zdejmijcie buty! Rzemienie i powrozy są potrzebne.

Za chwilę wyruszyli. W drodze Mekksey wyjaśniał:

— Idziemy do studni. Trzech pilnuje wejścia. Napadniecie ich z tyłu, zaprowadzicie do lochu i oddacie w ręce dozorczy, żeby ich zamknął. Wszystko musi się odbyć cicho i bez krzyku.

Wokół zbiornika było ciemno, tylko na wierzchołek jednego ze słupów padało blade światło. Od tego miejsca żołnierze posuwali się na czworakach. Cygan żegnał się bez ustanku...

Po chwili od zbiornika doszedł cichy brzęk, głuchy odgłos padającego ciała, złorzeczenia.

Mekksey podbiegł do włazu.

Trzej strażnicy leżeli obezwładnieni. Drzwi prowadzące do studni rozwarły się na oścież. Mekksey wsunął głowę: cisza. Odwrócił się do Cygana:

— To tu? — spytał szeptem.

— Na własne oczy widziałem, jak wchodził.

— Czy to był porucznik Hegedus? Na pewno?

— Moje oczy nie kłamią.

— Leć co tchu do pana kapitana na nową basztę. Powiedz, że proszę, aby zechciał tu przyjść. Po drodze powiedz panu porucznikowi Bornemisszy, by zaraz przysłał sześciu drabantów.

Cygan pognał.

Mekksey z obnażoną szablą usiadł przy schodach wiodących z głębi studziennego włazu w górę. Zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy. Spuścił skrzydła zwodzonych drzwi, które zasłaniały wylot schodów. Dobiegł go stukot ciężkich kroków: to drabanci nadeszli; prawie jednocześnie z nimi kapitan Dobo i giermek Krzysztof.

Krzysztof latarką przyświecał kapitanowi.

Mekksey ręką dawał znaki nagłące do pośpiechu: odgłosy dochodzące ze starej studni wzmagaly się coraz bardziej.

— Tędy, tędy — rozległ się głuchy głos z dołu. Na rozkaz kapitana drabanci skierowali w dół lufy strzelb i czekali gotowi do strzału.

— Krzysztof — zwrócił się Dobo do chłopca — jeszcze dwudziestu ludzi od pana Gergelya.

Odebrał od niego latarnię i postawił obok słupa bacząc, by nie rzucała światła na studnię.

Z głębi dochodził szczepek broni i stukot kroków.

— Tędy, tędy — dobiegło ponownie. Chlup! Zaraz potem drugi raz: chlup!...

— Ej wa meded... — następnie cała seria: chlup! chlup!..

Stuknięcie o opuszczone zawory. Drzwi się podnoszą i przez nie wysuwa się czyjaś głowa. Dobo chwyta latarnię i świeci prosto w wynurzającą się twarz.

Twarz porucznika Hegedusa — on to był bowiem — oblekła trupia bladość.

Mekcsey chwycił go za kołnierz.

— Ludzie! Tu!... — wykrzyknął Dobo.

Silne ręce wyciągają porucznika z głębi.

— Rozbroić go!

Od dołu nieprzerwanie słyhać plusk i krzyki przerażenia:

— Jetizin! Jetizin!

Dobo, poświeciwszy latarnią w dół, widzi rój zbrojnych postaci w turbanach, tłoczących się na dnie ciemnego zbiornika, a przez boczny otwór pchają się Turcy jeden przez drugiego.

— Ognia! — zawołaj: Dobo.

Sześciu drabantów wystrzeliło.

Huk rozległ się w studni, jakby to było sześć pocisków armatnich; odpowiedział wściekły ryk.

— Ty zostań — rzekł Dobo do Mekcseyego. — Pod nami przebiega tunel. Nie wiedziałem o nim. Dobierz sobie ludzi i sprawdźcie. Posuńcie się w miarę możliwości jak najdalej. Gdyby prowadził poza teren twierdzy, będziemy musieli zamurować przejście albo nawet zniszczyć. Postaw straż przy murze.

Po czym zwrócił się do żołnierzy wskazując na Hegedusa i jego współników:

— Zakuć ich w kajdany. Zamknąć każdego osobno. Wrócił na basztę.

Zaledwie Dobo odszedł, z głębi studni dało się słyszeć wołanie po węgiersku:

— Ludzie! Ratujcie!

Mekcsey poświecił latarką. Wśród topielców szamotał się Turek w skórzanej czapie; on to krzyczał.

— Rzuć mu sznur — rozkazał Mekcsey żołnierzowi — może to ktoś z twierdzy.

Spuszczono linę z umocowanym na końcu wiadrem. Tonący oburącz chwycił wiadro i trzech żołnierzy go wyciągnęło. Uratowany przypominał wyrzuconego na brzeg suma chwytającego powietrze. Mekksey skierował mu światło na twarz. Był to wąsaty akindzi ociekający wodą.

— Jesteś Węgrem?,

Człowiek podjął Mekkseyego za nogi i błagał:

— Miej litość, panie!...

Zwrócenie się do Mekkseyego przez „ty” zdradziło jego turecką narodowość.

Mekksey miał wielką ochotę zepchnąć go z powrotem do studni. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek: może się przydać jako świadek.

— Zabierzcie mu broń — rozkazał żołnierzom — i do lochu z nim. Każcie go zamknąć z chłopami, którzy przynosili listy od wroga.

7

Czwartego października słońce igrało na świeżych nasypach wzniesionych przez Turków. Głęboka fosa, przebiegająca na północ od twierdzy, była miejscami zasypana.

Dobo milcząc chodził po murach. W skupieniu przyglądał się pracy: spodem chrust, gałęzie i suche winokrzewy, na wierzchu usypisko ziemi. Pewnie podwyższą jeszcze nasypy, ale miejscami zostawia niższe, by nie stanowiły przeszkody dla ich własnych pocisków. Z niektórych nasypów nietrudno będzie wtargnąć do twierdzy przy pomocy drabin.

Dobo rozważył nowo powstałą sytuację, po czym zwrócił się do wachmistrza Guthayego, który czekał z raportem. Jemu to powierzył kapitan przesłuchanie Hegedusa i domniemanych współników, gdyż on sam niewiele czasu mógłby na to poświęcić.

— Skończyliśmy przesłuchanie, panie kapitanie. Żołnierze przyznali się od razu, że mieli wpuścić Turków. Hegedusa musieliśmy trochę pokropić, nim zaczął śpiewać. Ale darł się na całe gardło, jak to powie panu kapitanowi, że torturowaliśmy go i tylko dlatego się przyznał do winy.

Dobo wezwał do sali rycerskiej czterech poruczników, jednego podporucznika, wachmistrza, dziesiątnika, szeregowego i pisarza Mihalya, zwanego kamasznikiem.

Na stole obitym zielonym suknem stał krucyfiks, a po obu jego stronach płonące świece. W kącie sali przy blasze z rozżarzonym

węgłem, obcęgami i kawałkami ołowiu stał kat przyodziany w szkarłatny strój sukienny.

Dobo był w czerni, w szyszaku z zatkniętą na czubku oznaką kapitańską — orlim piórem. Przed nim arkusz czystego papieru.

— Mości panowie — zaczął z uroczystą powagą — zebraliśmy się, aby zbadać sprawę porucznika Hegedusa i jego współników. Czyny ich świadczą, iż są zdrajcami. — Mówiąc to dał dłonią znak, aby przyprawiono więźniów.

Bornemissza wstał:

— Nie mogę być sędzią w tej sprawie. Mam żal do oskarżonego. Proszę mnie zwolnić z obowiązku sędziowania.

Mekcsey także wstał:

— Ja mogę być tylko świadkiem— rzekł. — Sędzia nie może być jednocześnie świadkiem.

— Niech więc będzie tylko świadkiem — zdecydowali siedzący przy stole.

Gergely opuścił salę.

Mekcsey także wyszedł na korytarz.

Straż przyprawiła Hegedusa i trzech współoskarżonych, a także owego Turka.

Hegedus był blady, oczy miał zapadnięte, wzrok spuszczoney.

Dobo kazał zostać tylko Hegedusowi, pozostałych zatrzymano przed drzwiami.

— Słuchamy — zaczął. — Jak to było z przeprowadzeniem Turków?

Hegedus przez chwilę zbierał się w sobie, wreszcie jął się usprawiedliwiać urywanym głosem:

— Chciałem zwabić Turków do cysterny. Ani przez chwilę nie miałem zamiaru wydania twierdzy w ich ręce. Cysterna jest duża. Znaleźliśmy w niej wąskie przejście. Uważałem, że potopienie tysięcy Turków policzone mi będzie za zasługę.

Dobo słuchał spokojnie. Oficerowie także nie stawiali oskarżonemu żadnych pytań. Gdy skończył, Dobo kazał odprowadzić go na stronę i wezwał żołnierzy. Każdego osobno.

— My — wzruszył ramionami pierwszy z nich, człowiek pod czterdziestkę, cały umazany błotem — robiliśmy tylko, co nam pan porucznik nakazał. My przysięgliśmy, że słuchać będziemy rozkazów.

— A co rozkazał?

— Kazał nam stanąć przy zbiorniku i czekać, bo, powiadał, zaraz przyprowdzi kilku Turków.

— A czy powiedział, dlaczego?

— Tak. Żeby omówić warunki poddania twierdzy. Dobo spojrział na Hegedusa, który potrząsnął głową:

— Nieprawda! Kłamie!

— Niby ja? — obruszył się żołnierz. — A czy pan porucznik nie powiedział, że Turcy obiecują złote góry, a pan kapitan nawet dodatku za oblężenie...

— Kłamie — powtórzył Hegedus.

Przyprowdzono drugiego żołnierza. Wystraszony mrugał oczyma. Na długich czarnych włosach zaschłe błoto.

— Co robiliście przy studni?

— Czekaliśmy na Turków — odparł, a oczy mu się rozbiegały niespokojnie. — Pan porucznik Hegedus powiedział, że Turcy prędzej czy później i tak twierdzę zajmą i że wybiją nas co do jednego, jeśli się nie poddamy...

Dobo kazał wezwać trzeciego żołnierza. Młody, prawie wyrostek jeszcze. Wypłowiąłe czerwone spodnie były w strzępach.

— Ja o niczym nie wiem. Mnie kazano stawić się przy studni, ale nie wiem, po co.

— Czy pan porucznik Hegedus nie powiedział, że lepiej będzie ugodzić się z Turkami?

— Powiedział.

— Kiedy powiedział to pierwszy raz?

— Wieczorem po wielkim ataku.

— A co powiedział?

— Ano, że tego... powiada, że nas mało, a Turków dużo, że którzy tylko przechodzili, wszystkie twierdze padały jak domki z kart, a przecież jeszcze nie byli tacy silni, bo dopiero teraz przeciwko nam połączyły się obie armie.

— Czy pan porucznik wspomniał wtedy o dodatku oblężeniowym?

— Tak. Powiedział, że w twierdzach płaci się podwójny żołd w takich wypadkach...

— A co powiedział o poddaniu twierdzy?

— Powiedział, że tego... powiada, że Turek tak czy owak zajmie twierdzę, lepiej więc, jak nam zapłaci, niżeli mielibyśmy tracić życie...

— A co na to mówili żołnierze?

— Nic, tylko tak sobie rozmawialiśmy przy ognisku, a Turcy wrzeszczeli przez mury...

— A wyście im odkrzykiwali?

— Nie. Tylko pan porucznik rozmawiał z nimi w nocy.

— A w jaki sposób?

— Przez wyrwę przy starej bramie. Był tam ze trzy razy i rozmawiał.

— Z Turkami?

— Tak.

— A jak wracał, co mówił?

— Że Turcy wypuszczą nas bez szwanku, koszyczanie dostaną nawet po dziesięć dukatów w złocie, i że obydwaj paszowie przyślą list z pieczęcią, że dotrzymają słowa.

— Ilu was słyszało, co porucznik powiedział?

— Z dziesięciu.

— Dlaczegoście mi o tym nie meldowali? Złożyliście przecież przysięgę, że nie będziecie mówili o poddaniu twierdzy.

Chłopak milczał.

Dobo ciągnął dalej:

— Waszym obowiązkiem było zameldować mi natychmiast o każdym słowie porucznika.

— Baliśmy się.

— Tak więc zdecydowaliście się wydać twierdzę w ręce Turków. Kto jeszcze wyraził na to zgodę?

Po dłuższej przerwie chłopak wygrzebał z pamięci jeszcze dwa nazwiska. I jął się usprawiedliwiać:

— My, wielmożny panie kapitanie, nie mieliśmy żadnej zmowy z Turkami, my tylko słuchaliśmy rozkazów. Pan porucznik jeno z nimi ugadał wszystko i wydawał rozkazy.

Ściana sali zatrzęsła się od pocisku. Zawieszane na ścianach zbroje zabrzęczały. Tynk posypał się na podłogę. Dobo spojrział na sędziów. Siedzieli do głębi wstrząśnięci. Wreszcie odezwał się ten, który był szeregowym:

— Czy cała dziesiątka zgodziła się, by twierdza przeszła w ręce Turków?

Chłopak wzruszył ramionami. Był śmiertelnie blady.

— Szeregowy nie może mieć innej woli niż jego oficer.

Więcej nikt nie zadawał pytań.

— Pozostał jeszcze Turek — rzekł Dobo. — Przyprowadzić go.



Turek złożył trzy pokłony, zanim podszedł do stołu. Stał zgięty, ręce skrzyżowawszy na piersi.

— Rozumiesz po węgiersku?

— Tak, panie.

— Jak się nazywasz? — pytał dalej Dobo.

— Jusuf, czyli po węgiersku József.

— Stań prosto!

Turek wyprostował się. Był to człowiek około trzydziestki, krępy, o silnej budowie. Wgnieciony nos i czerwona szrama na czole świadczyły, że przeszedł już chrzest bojowy. Widać po nim było, że przez całą noc nie zmrużył oka.

Na pytanie odpowiedział, że już od dziesięciu lat wojuje na Węgrzech i był obecny przy murze, kiedy Hegedus zawołał przez szparę. „Hej, Turcy, który z was mówi po węgiersku?”

— Kłamię — mruknął Hegedus, ale zbladł jak ściana i dodał: — Zoltay wciąż rozmawia z Turkami.

— Ja? — obruszył się Zoltay.

— Tak. Ty sam! Zawsze coś do nich krzyczysz, jak atakują. Zoltay, pieniąc się ze złości, zerwał się z krzesła:

— Proszę wszczać dochodzenie przeciwko mnie! Nie wolno mi dalej sędziować! Wszyscy wiedzą, że klnę, gdy łupię Turków!

— To nie grzech!

Dobo uspokoił Zoltayego:

— Znamy ten twój zwyczaj. Inni też klną w gorączce walki.. Niemniej zwolnimy cię z obowiązku sędziowania, ponieważ czujesz teraz gniew do oskarżonego.

Zoltay uklonił się i wyszedł.

Dobo ponownie zwrócił się do Turka.

Ten łamaną węgierszczyzną opowiadał, że Hegedus rozmawiał przy starej bramie z początku z jednym z agów, potem z begiem Arsianem. Jako gwarancji dotrzymania warunków żądał od niego uroczystego słowa honoru i stu złotych dukatów. W zamian Hegedus zapewnił bega, że wpuści armię turecką do twierdzy. Niech beg każe kopać przy starej bramie, tam gdzie dobosz zawsze wali w miedziany bęben. On (tu wskazał na Hegedusa) pewnej nocy był przypadkiem przy starej studni i natrafił na tunel, którego wylot przy starej bramie leży w gruzach. Nie trzeba głęboko kopać, bo jak stał w tunelu — powiadał — słyszał bicie bębna i kroki żołnierzy. On (tu znów

wskazał głową na Hegedusa) będzie czekał o północy. Wymógł na begu, że strzegącym starej bramy żołnierzom z Koszyc nie stanie się krzywda. Przyszło do ugody. O północy Hegedus prowadził przez tunel, świecąc latarnią. Turków było ze trzy tysiące, janczarzy, asabowie i piadowie. Reszta armii, Bóg wie ilu tysięcznej, czekała na otwarcie bramy. Latarnia Hegedusa stłukła się o jakiś wystający kamień i zgasła. W ciemności prowadził dalej czołówkę, bo znał drogę na pamięć, ale że przejście było wąskie, a ludzie pchali się jeden przez drugiego, stracili grunt pod nogami i powpadali do wody.

— Może słyszałeś — przerwał mu Dobo opowiadanie — że beg Derwisz porwał synka jednego z naszych poruczników?

— Słyszałem — odparł Turek bez namysłu. — Już od dwóch tygodni beg szuka dziecka we wszystkich namiotach. W trzy dni po przybyciu pod twierdzę porwano je albo uciekło.

Dobo spojrzął na Hegedusa.

— Nikczemniku!

Hegedus osunął się na kolana.

— Litości! Litości! — błagał. — Błądziłem, straciłem rozum.

— Przyznajesz się do tego, że chciałeś twierdzę wydać wrogom?

— Przyznaję się. Tylko miejcie litość, panowie! Mam dzieci... Głos mu się załamał. Rozprawa trwała zaledwie godzinę.

W następnej godzinie Hegedus zawisł na skleconej naprędce szubienicy pośrodku rynku. Fugedy oznajmił załodze i ludności:

— Taki koniec czeka każdego żołnierza czy oficera, który złamie przysięgę i pomyśli o oddaniu Turkom twierdzy.

Trzem żołnierzom obcięto uszy pod szubienicą. Pozostałych siedmiu zakuto w kajdany i skazano na ciężkie roboty wewnątrz twierdzy.

Turka wyrzucono przez wysoki mur zachodni: spadł do swoich ze złamanym karkiem.

Dobo pokazał, że to nie żarty.

8

Najsilniejsza ze wszystkich sił: miłość matczyna! Promień słońca wcielony w ludzką postać! Święty ogień niebiański, gardzący śmiercią, żelazna woła istoty słabej. Ty, co opuściłaś spokojny dom, jedwabną pościel, całe swe bogactwo, aby fortelem przekraść się przez stado wilków do swoich najdroższych, którym grozi niebezpieczeństwo! Ty, która schodzisz w głębinę ziemi! Ty, która swoimi słabymi rękami chcesz przebić mury, przez setki tysięcy

dzikich wyjących zwierząt otoczone! Ty, która nie znasz słów „niemożliwe”, jeśli w grę wchodzi; osoba ukochana, choćbyś miała cierpieć i umrzeć razem z nią — schylam głowę przed tobą, miłości matczyna.

\*\*

Przez dwa dni i dwie noce przebijali się przez zawałony tunel, pod popękany sklepieniem. Lepka wilgoć przenikała ich do szpiku kości. Nie odczuwali tego wcale. Miejscami trzeba było usuwać zwaliska, gruz zalegał przestrzeń kilku kroków zaledwie, ale zajęło im to godziny mozolnej pracy. Gorzej, gdy trzeba było uporać się z głazami. Słabe ramię Ewy i prawie dziecinne jeszcze ręce piętnastoletniego młodzieńca nie były zaprawione do takiej pracy...

Trzeciego października wieczorem, kiedy tabor ogarnęła już cisza senna, Ewa i Mikłós zabrali z namiotu cały zapas żywności. Obliczyli, że ledwie sto kroków dzieli ich od twierdzy: nie trzeba więc będzie już wracać.

Pracowali bez wytchnienia całą noc. W podziemiu nie widzieli, kiedy świta, kiedy słońce wstaje. Dobiegało ich jedynie dudnienie kopyt koni, objuczonych chrustem i krzami, oraz huk dział i moździerzy z twierdzy. Sądziło, że Turcy przypuszczają nocny atak i z tym większym zapałem pracowali, by dobrać do celu.

W późnych godzinach porannych, kiedy słońce stało już nad górami borszodzkimi, słudzy koniarza spostrzegli, że namiot jest pusty, i weszli do środka. Zdziwili się niezmiernie na widok odsuniętego kamienia i zięjącego przy nim otworu. Kupiec osobiście pobiegł do agi delich i niemal drżąc z radości krzyknął: — Panie! Mam sposób na zdobycie twierdzy! Odkryłem tej nocy tunel! Zbierający chrust Turcy porzucili pracę, nawet konie zostawili w lesie bez nadzoru. Powstał wrzask, trąby zagrały na zbiórkę. Wojsko, bez względu na rodzaj broni, zaczęło się z wrzaskiem tłoczyć u wylotu tunelu. Kupiec ich prowadził z płonąca żagwią w rękę.

\*\*

Pani Ewa i Mikłós tymczasem niezmordowanie pokonywali piętrzące się przed nimi trudności. Przemoczeni do nitki, czołgali się naprzód, odsuwając kamienie z drogi.

W pewnym miejscu tunel znów stał się spadzisty. Mury tu były suche, droga rozszerzała się.

Idąc dalej znaleźli się w trójkątnej, przestronnej sali zionącej stęchlizną.

— Chyba jesteśmy już pod fosą twierdzy — oceniał Miklós.

— Nie, ta sala musi być już pod wewnętrznym murem; kiedyś była tu pewnie stajnia albo spichlerz — odparła Ewa.

Ale co dalej? W dwóch narożnikach dwa zwaliska. Nad jednym mały okrągły otwór wielkości pięści. W drugim czerni się wąska szpara.

— Tu jest rozgałęzienie — rzekł Miklós — pytanie, którą drogę wybrać.

Wspiął się kolejno na zwaliska i przytykał zapaloną świecę do otworów. Przy jednym płomień zachybotał, przy drugim palił się spokojnie.

Miklós przymocował świecę do czapki i szarpnął głaz leżący na samym wierzchu zwaliska, przy którym płomyk chybotął. Kamień z łoskotem stoczył się na ziemię.

— Jeszcze jeden — powiedział Miklós i razem z Ewą wzięli się do następnego. Głaz ani drgnął.

— Musimy wydłubać mniejsze kamienie dokoła. Miklós łopata obluźnił mniejsze kamienie, które stanowiły podporę głazu.

Głaz się poruszył. Miklós z westchnieniem ocierał spoconą twarz.

— Jestem zmęczony.

— Odpocznij trochę — zgodziła się Ewa, także zasapana. Usiedli na jednym z głazów. Miklós oparł głowę o mur i zasnął natychmiast.

Ewa także była już u kresu sił. Spodnie miała przemoczone do kolan, ręce pokrwawione. Rozsypane włosy opadały jej na ramiona. Nie chciała się jednak poddać zmęczeniu. Chwyciła świecę i oświetliła nią otwory. Droga wolna, trzeba tylko zdecydować się, którą iść dalej.

— Nie będę spała, tylko trochę odpocznę — pomyślała przylepiając świecę do kamienia.

Zaledwie oparła się plecami o mur, dobiegło ją dudnienie od strony, z której przyszli.

Ściągnawszy brwi nasłuchiwała, czy dudnienie pochodzi z góry, czy z tunelu.

W głębi tunelu nagle zabłysła czerwona smuga światła.

— Miklós! — krzyknęła potrząsając chłopcem. — Idą! Młodzieniec spojrział na nią zaspanymi oczyma.

— Idą! — powtórzyła Ewa z rozpaczą, chwytając za szablę.

Została jednak tylko sama pochwa, szablę zgubiła czy zapomniała przy jakimś rumowisku, gdy podważali głazy. Kindzały, które miała wetknięte za pas, połamały się przy pracy. Ten sam los spotkał nóż. Byli bez broni.

Światło zbliżało się. Zebrawszy wszystkie siły, Ewa i Miklós poczęli szarpać głaz. Poruszył się, ale nie ustąpił.

Zdrętwiali z przerażenia ujrzeni wyłaniającego się z ciemności kupca z żagwią w ręku. U jego boku otyły, o zwisających wąsach aga, cały opasany błyszczącymi handżarami.

W następnej chwili ujęły ją żelazne ręce.

Aga rzucił przelotne spojrzenie na rozpoczętą pracę i szybko powziął decyzję.

— Trzymaj żagiew, psie niewierny — nakazał Mikłósowi. Miklós, choć nie rozumiał słów, z gestu domyślił się, czego od niego żąda wtykając mu żagiew w garść.

W ciągu kilku minut zwalisko było uprzątnięte, droga wolna. Sala tymczasem zapełniła się uzbrojonym po zęby wojskiem.

— Ty będziesz prowadził — rzekł aga do Mikłósa — a ona — wskazał na Ewę — zostanie tu. Jeżeli wprowadzisz nas w błąd, kobietę tę oddam na pastwę żołnierzy.

Ewa przymknęła oczy.

Po tych słowach oddalił się, rzucając jeszcze przez ramię:

— Ten deli ma jej pilnować!

I popchnął Mikłósa przed sobą.

Deli stanął obok Ewy. Pozostali ruszyli dalej tunelem. Ponieważ jednak oficer nie wyznaczył imiennie stróża, deli wnet przekazał Ewę drugiemu:

— Pilnuj jej ty teraz!

Drugi stał jakiś czas przy Ewie, ale gdy pomyślał, że ci, którzy pierwsi będą w twierdzy, może zostaną dostojnikami, zapragnął przekazać stróżowanie innemu:

— Ani mi się śni! — machnął ów ręką i poszedł dalej.

— Idź, ja przypilnuję — odezwał się stary asab w futrzanej czapce.

Wyciągnął handżar i stanął obok Ewy.

Ewa oparła się o mur; była blada jak kreda. Gęstym sznurem przechodzili tuż obok żołnierze cuchnący potem i prochem. Każdy trzymał w ręku obnażony jatagan, oczy wszystkich płonęły szczęściem, iż znajdują się wśród pierwszych.

Szli w ciemności po omacku. Tylko niektóre grupy przyświecały sobie żagwiami. Jeden z żołnierzy niósł na ramieniu zwiniętą czerwoną chorągiew.

Nagle rozległ się głuchy huk, jak gdyby niebo grzmiało pod ziemią. To zawalił się długi odcinek tunelu, którym weszli do sali. Łoskot spadających kamieni trwał jeszcze przez kilka chwil. Droga odwrotu była zamknięta.

Od strony zawalonego tunelu dochodziły jęki i charczenie. Z przeciwnej strony — cichy szczełk broni oddalającego się wojska.

— Niech się pani nie boi — odezwał się nagle stróż Ewy po węgiersku i chwycił ją za rękę. — Kto pani jest? Węgierka?

Ewa, niezdolna wydobyć z siebie głosu, skinęła tylko głową.

— To się droga zawaliła — rzekł po chwili asab. — Jeśli mi się uda oczyścić drugi otwór, jesteśmy uratowani... Rzecz jasna, jeżeli się tunel nie zawali nad nami...

W serce Ewy wstąpiło nowe życie.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Varsanyi... Może pani na mnie liczyć...

Wydostał zza pasa kawałek stali i krzesiwo. Hubka się zapaliła. Wonny dym zmieszał się ze stęchłymi wyziewami tunelu. Varsanyi przyłożył hubkę do świecy woskowej i dmuchnął. Knot zapłonął.

Ewa trzymała świecę, podczas gdy Varsanyi kilkoma szarpnięciami obruszył kamień tarasujący drogę do drugiego rozgałęzienia.

Był to człowiek niskiego wzrostu, ale niezwykle silny. Olbrzymie płyty kamienne z łoskotem staczały się na ziemię. Wkrótce otwór rozszerzył się wystarczająco, by mogli się przesunąć.

Droga ta była prawie wolna od gruzów, ale w dalszym ciągu schodziła w dół.

Nagle Varsanyi odwrócił się:

— Czy pani jest szpiegom? Może przyniosła pani wiadomości od króla?

— Tak — potwierdziła Ewa jakby we śnie.

— Idzie już armia królewska?

— Nie wiem.

— Musimy się spieszyć, żeby wyprzedzić Turków. Żebym choć wiedział, gdzie jesteśmy?

Droga prowadziła teraz pod górę. Po bokach tunelu, co kilkanaście kroków ciemniały nisze. Wilgoć, niby rosa, błyszczała na brunatnych kamieniach.

— Prędejj! Prędejj! — przynaglał Varsanyi. — Przypuszczam, że wyjdziemy przy studni.

Drogę niespodzianie zatarasowała góra białego tynku zionąc silnym zapachem wapna.

Varsanyi podrapał się w głowę.

— Niech to kule biją!

— Co się stało?

— Nic. Ja pójdę pierwszy, a pani niech mi przyświeca. Położył się na brzuchu i przeczołgał się przez zwał wapna. Gdy wstał wreszcie na nogi, Ewa podała mu świecę. Przez chwilę Varsanyi mruczał coś pod nosem, po czym wyciągnął rękę, aby pomóc Ewie.

Znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu. Z góry dochodziły dźwięki żałobnej pieśni: „In paradisum deducant te angeli”. Skądś z wysokości przesączało się światło dzienne.

Wszędzie widniały pobielane trumny, a wokół nich kałuże lasowanego wapna. Obok trumny wyzierała z bajorka wapiennego koścista, wąsata twarz zmarłego. Płynące z góry światło oświetlało głowę trupa. Z szyi zwisał mu powróż... Varsanyi zdrętwiał. Spojrzał na zwłoki, potem przed siebie. Ewa leżała nieprzytomna na ziemi za jego plecami.

\*\*

W tym samym czasie Miklós prowadził Turków.

W pierwszej chwili strach sparaliżował go prawie, lecz potem pocieszył się myślą, że zdoła w porę zaalarmować załogę, kiedy będą wychodzili z tunelu na teren twierdzy...

Ta myśl podniosła go na duchu. Bez wahania niósł żagiew, krocząc to obok agi, to przed nim.

Wkrótce i oni także zaczęli wspinać się pod górę. Droga stawała się coraz bardziej stroma. W końcu mur zagroził przejście. Jak wszystkie mury w Egerze, był to mur z piaskowca, którego otynkowanie wskazywało na to, że został wzniesiony w bardzo dawnych czasach.

— Rozwalić! — rozkazał aga.

Dzidy i jatagany poszły w ruch, tynk posypał się niebawem. Tylko pierwsze dwa, trzy kamienie stawily mocny opór, silne ręce z łatwością wypruwały następne.

Mimo wszystko praca trwała godzinę.

Gdy otwór rozszerzono na tyle, by człowiek mógł się przedostać, aga kazał przejść Mikłowski.

Dostali się do olbrzymiego pomieszczenia, jakby piwnicy, bo gdzie spojrzeć stały beczki różnego kształtu. Właściwie pomieszczenie to wyglądało raczej na salę. Na ścianie wielki poszarpany obraz, pod nim kadź. Obraz przedstawiał głowy dwóch mężczyzn. Smutną twarz jednego z nich okalała broda. Młodzieńcza twarz drugiego przytulona była do piersi starszego i pokrywał ją także wyraz głębokiego smutku. Wokół tych dwóch głów jaśniała aureola. Spod młodej twarzy wyczierała ściana między strzępami płótna.

Nad sklepieniem słycać było tupot nóg.

— Przygotować broń! — wydał aga szeptem komendę. — Zachować ciszę!... Najpierw wyważyć drzwi, ale bez wrzasków. Jeśli pod drzwiami nikogo nie będzie, zaczekamy na idących za nami. Chorążowie od razu na mury! — Z gromady wystąpiło dwóch chorążych. Aga ciągnął dalej: — Reszta za mną w stronę bramy. Najważniejsze, rozbroić straż, jak najszybciej rozwalić bramę. I nie litować się nad nikim. Zrozumiano?

— Tak — rozległa się cichym pomrukiem odpowiedź żołnierzy. Aga postąpił krok naprzód i spostrzegł przed żelaznymi drzwiami wielką kadź pełną prochu. Stropił się.

Byli w prochowni. Beczki wypełniało nie wino, lecz proch. Mikłowski, który także zrozumiał, gdzie się znajdują, mocno zabiło serce. Stojąc przy wielkiej kadzi, odwrócił się. Rzucił spojrzenie na tłoczący się zbrojny motłoch. Powleczoną bladością twarz nagle rozświetliło niebiańskie natchnienie: uniósł wysoko płonąca żagiew i cisnął w proch.

9

Zaskrzypiały liny, gdy spuszczano nową trumnę. Varsanyi krzyknęły:

— Hej, ludzie!

Na to wołanie zamajaczyły przerażone twarze wysoko w otworze podziemnego cmentarza.

— To ja, Varsanyi! Wyciągnijcie mnie!



Podniósł z ziemi nieprzytomną Ewę i trzymając ją na rękach przechodził z trumny na trumnę ku linie. Związał dwa końce i z Ewą na kolanach usadowił się jak w krześle. Wyciągnięto ich.

Oprócz dwóch księży, którzy celebrowali pogrzeb, i dwóch chłopów, którzy spuszczały trumny, nie było nikogo przy otworze. Osłupiali spoglądali na Ewę, która jak nieżywa leżała na trawie, gdzie ją Varsanyi złożył.

— Przynieście prędko wody — zwrócił się Varsanyi do chłopów.

W tejże chwili straszliwy huk wstrząsnął ziemią: z baszty kościelnej wystrzelił płomień niby niebosiężna wieża, w której wirowały zakopczone belki, głązy i ludzkie ciała.

Potężny wstrząs wywołał w twierdzy istne trzęsienie ziemi. Wszystko legło pokotem, jak gdyby podcięte siłą nadprzyrodzoną.

Z góry spadł deszcz kamieni, posoki, broni i obręczy żelaznych. Po wybuchu zapanowała śmiertelna, trwająca przez kilka minut cisza, która zaległa nie tylko twierdzę, lecz i obóz turecki.

Oczy zdawały się pytać: Czy się niebo zawaliło? Albo może ziemia się rozstała, by plując ogniem zatopić świat w morzu płomieni? A może nadszedł już Sądny Dzień?

„To jakiś fortel turecki” — było jedyną myślą obrońców zamku. „Twierdza stracona” — było jedynym uczuciem, które przeszywało serca skamieniałe w chwili wybuchu.

Gergely na baszcie Sandora wsypywał właśnie „mieszankę piekielną” do kubków. Podmuch odrzucił go do muru obwieszzonego tarczami na gwoździach. Podniósł oczy: nad nim na tle nieba płomienny słup, rozszerzający się u góry na kształt leja, a w nim spadające ciemne koło młyńskie, leżące na wznak ciało ludzkie i noga wyrwana z tułowia. Miał tyle przytomności umysłu, by uskoczyć pod sklepienie baszty, ale w pierwszej chwili patrzył przed siebie ogłuszony, martwym wzrokiem,

Wreszcie twierdza otrząsnęła się z odrętwienia. Wszędzie biegający na oślep ludzie, porzucający broń żołnierze, szlochające kobiety, wyrrywające się z pęt spłoszone konie...

Od dołu zabrzmiał ryk zwycięstwa. Drabiny szturmowe niesione przez orężny tłum niby fale zbliżały się do twierdzy.

— To już koniec — rozbrzmiał po całej twierdzy żałosny jęk rozpacz.

Kobiety ogarnięte paniką porywały dzieci na ręce i biegały po okopconych gruzach i belkach. Byle uciekać, ale dokąd?

Jak gdyby na potwierdzenie powszechnej rozpaczony z nieba jał padać czarny śnieg. Czarny śnieg tak gęsty, że przesłonił oczom świat.

Był to popiół. Zасыpywał twierdżę, jak gdyby chciał pokryć ją kirem.

Na rozrzuconych kamieniach i belkach zmasakrowane ciała zabitych i krwawe kończyny...

Dobo, bodąc konia ostrogami, z gołą głową pędził na miejsce wybuchu.

— Nic strasznego — dodawał załodze otuchy — tylko dwadzieścia cztery tony prochu mieliśmy w zakrystii.

Wszyscy oficerowie jęli, wskoczywszy na konie, powtarzać słowa kapitana i uspokajać ludzi.

— Na mury! Zajmować stanowiska! Tylko dwadzieścia cztery tony prochu...

Mekcsey z wściekłością kropi odurzonych i nie słuchających żołnierzy połamaną dzidą.

— Za broń, psiakrew! I na mur!

Sam także zeskoczył z konia. Chwycił w garść sążnistą kopię i rzucił się na mur.

— Za mną, chłopcy! Za mną! Za ojczyznę!

Wspinających się na mur Turków przywitał deszcz żelazny. Żołnierze z wewnętrznej twierdzy rzucili się na mur bez rozkazu. Kopie, szable, czekany pracowały bez wytchnienia.

Turcy bezładnie tłoczyli się to naprzód, to do tyłu. Na zewnątrz, pod murami, panowało nie mniejsze zamieszanie niż w twierdzy.

Większość ludzi pognąła na miejsce wybuchu.

Stojący na szczycie muru Gergely widział przez rzednącą zasłonę czarnego popiołu, jak wojsko tureckie rzeką płynie ku baszcie kościelnej.

— Ty zostań! — zawołał na Zoltayego, sam zaś z wyciągniętą szablą popędził na zagrożone miejsce.

— Korcsolas! — wrzasnął po drodze na dziesiątnika, który wolnym krokiem oddalał się od baszty. — Na mur!

Mimo że przechodził zaledwie o pięć kroków od niego, Korcsolas się nie zatrzymał. Nie spojrzął nawet.

— Korcsolas! Do stu piorunów! Ogłuchłeś? Dziesiątnik spokojnie szedł dalej, patrząc przed siebie w przestrzeń.

Gergely dopadł go i szarpnął za kołnierz:

— Nie słyszysz, huncwocie jeden?

Dziesiętnik, jakby ze snu wyrwany, spojrział na Bomemisszę, który teraz dopiero dostrzegł krew płynącą mu z uszu.

„Ten naprawdę ogłuchł na dobre” — pomyślał Gergely i nie tracąc czasu pobiegł dalej. Mijał kotły; warzył się w nich obiad dla załogi powracającej z pozycji. W ośmiu ogromnych kotłach bulgotała tłusta zupa z drobno pokrojonymi kawałkami mięsa.

Porucznik przystanął. Chwycił za kij, przesunął go przez ucho kotła i krzyknął na kucharza:

— Trzymajcie! Resztę też przynieść na basztę! Dopadłszy muru, chlusnął wrzącą zupą na mrowie Turków wspinających się po drabinach.

\*\*

Gdy Varsanyi po wybuchu odzyskał przytomność, rozejrzał się wokół: Ewa leżała jeszcze na trawie, dwaj księża, tak jak stali, w komżach, pobiegli na mur i chwycili za broń, chłopci zaś pospieszyli przypuszczalnie do dział.

Varsanyi wziął Ewę na plecy, niby worek, i zaniósł do pałacu; przypuszczał, że jako posłaniec królewski ma ona przy sobie jakiś ważny list.

Zostawił ją pod opieką pani Baloghowej.

\*\*

Dopiero po odparciu ataku sprawdzano szkody, wyrządzone przez wybuch.

Na miejscu prawego boku wieży kościelnej, tam gdzie znajdowała się zakrystia, pozostała ziejąca czarna wyrwa. Mur obronny na tym odcinku legł w gruzach. Z dwóch młynów sterczały zaledwie żalosne resztki. Szczątki trzydziestu sztuk bydła, rozerwanych na strzępy, wały się przed zakrystią w kałużach własnej krwi.

Ośmiu chłopców, którzy pełnili tu wartę, wybuch zmasakrował nie do poznania. Zginął także jeden z poruczników, Pał Nagy, którego György Bathory przysłał z trzydziestoma drabantami z twierdzy Erdód.

Wielu żołnierzy znajdujących się w pobliżu doznało kontuzji. Jednemu z nich, nazwiskiem Gergely Hórvath, odłamek kamienia wyrwał całe przedramię. Zmarł tego samego dnia.

Załoga znowu nabrała otuchy, gdy zobaczyła, że Turcy jednak nie zdołali wdrzeć się do twierdzy.

— Sam Pan Bóg broni twierdzy Eger! — krzyknął Dobo podnosząc oczy ku niebu. — Ufajcie, chłopcy, Bogu!

Właściwie gorąca zupa odparła szturm. Turcy byli przyzwyczajeni do kul, do szabel, do kopii, ale gorącą zupę spożywali tylko łyżką. Parzący zapaprykowany płyn spowodował istne spustoszenie na pierwszej drabinie. Nawet tłoczące się pod drabiną gromady uskoczyły z rykiem, trzymając się za poparzone twarze i karki. Chowając głowy pod tarcze, Turcy klęli z nienawiścią.

Obleżeni zyskali trochę na czasie.

Dobo wezwał do siebie młynarzy i cieśli:

— Zbierzcie prędko ocalałe części młynów i zestawcie z dwóch jeden młyn do kruszenia saletry. Czego tam brakuje, niech cieśle dorobią. Gdzie Sukan?

Zakopcona ciemna postać wyszła z ruin świątyni, zdmuchując sadzę z wąsów, otrzepując brodę.

— Panie Sukan — zwrócił się Dobo do niego — niech pan wyda z piwnicy saletrę, siarkę i węgiel. Młynarzom kazałem zestawić młyn i zaraz przystąpić do mielenia prochu.

Patrząc na Sukana, który wyglądał jak kominiarz, przypomniał sobie, że on sam także powinien się umyć.

\*\*

W bramie siedział usmolony człowiek w tureckim przebraniu. Łyżką wyjadał miąższ pieczonej dyni. Na widok kapitana wstał.

— To ty, Varsanyi?

— Tak, panie.

— Masz jakieś wieści?

— Przeprowadziłem posłańca królewskiego, jakąś niewiastę...

Dobo biegiem prawie wpadł do pani Baloghowej:

— Gdzie jest posłaniec?

Pani Baloghowa siedziała przy łóżku Petogo. Podszywała właśnie szyszak czerwonym jedwabiem: szyszak swego syna.

— Jaki posłaniec? — spojrzała zdumiona na kapitana. — Do mnie przynieśli tylko zemdloną kobietę.

— A gdzie ta kobieta?

Pani Baloghowa zajrzała do sąsiedniego pokoju, ale zaraz cicho przytknęła drzwi.

— Jeszcze śpi — rzekła. — Biedactwo, jest zupełnie wyczerpana. Niech sobie odpocznie.

Dobo, jakby nie słyszał, otworzył drzwi.

W łóżku na czystym białym pościeliu leżała Ewa. Ciemne, rozrzucone po poduszce włosy okalały bladą twarz.

Dobo ze zdumieniem dojrzał w twarzy Ewy wyraz cierpienia, który nie ustępował nawet we śnie.

Była osobą nie znaną mu. Wycofał się na palcach.

— Czy przyniosła jakiś list?

— Nie.

— Chciałbym zobaczyć jej szaty. Kim ona jest?

Pani Baloghowa wzruszyła ramionami i błagalnie spojrzała na Dobo.

— Prosiła usilnie, aby nie pytać jej o nazwisko. Obawiała się, że waszmość nie będzie jej rad.

— Proszę mi pokazać ubiór tej kobiety!

Pani Baloghowa bez sprzeciwu przyniosła umazany wapnem ekwipunek turecki, żółte safianowe buty, pas z zaszytymi wewnątrz pięćdziesięciu kilku złotymi monetami węgierskimi, pochwę od szabli i dwa jatagany.

— Może zechce pani przeszukać kieszenie.

W jednej kieszeni zaszeleścił papier.

— O, jest! — skwapliwie rzucił się Dobo.

Zasmoloną ręką rozłożył arkusz pergaminu. Był to plan twierdzy.

Poza chustką do nosa i parą zmiętych rękawiczek kieszenie nic nie zawierały. Sprawdzali szwy, nadpruli nawet podszewkę, wywrócili cizemki... Nic!

— Może ma coś przy sobie?

— Nie — odparła Baloghowa. — Ja dałam jej koszulę... Strasznie jest wyczerpana... Kto wie, od jak dawna nie spała... Dostała się tu przez podziemia... przez drogę zmarłych...

Dobo wezwał Varsanyiego:

— Powiedziałeś, że ta kobieta jest posłańcem.

— Tak zrozumiałem.

— Nie mówiła wyraźnie?

— Niewiele rozmawialiśmy. Przechodziliśmy tunelem, biegnąc prawie...

— Jakim tunelem?

— Tym, co prowadzi do cmentarza.

— Więc i tam jest droga podziemna?  
— Już nie ma, panie.  
— Czy Turcy mają jeszcze żywność?  
— Dostają czasem kilkanaście fur mąki i stadko owiec. Bóg wie skąd. Ryżu nie mają już od dawna.  
— Głodu więc jeszcze nie cierpią.  
— Jak dotąd, nie.  
— Jakie jeszcze masz wiadomości?  
— Podkopują się od strony Krzesła Króla. Pracują tam lagumdżowie.  
— Czemu się nie zgłosiłeś wcześniej? Powinieneś być donieść o zwożeniu chrustu.  
— Nie mogłem. Bramy pilnowali sami wyborowi janczarzy, a ja nie miałem janczarskiego przebrania. Wzbudziłbym podejrzenie...  
— Teraz zostaniesz w twierdzy. Zamelduj się u pana porucznika Bornemisszy i donieś mu, z której strony zakładają miny. Potem wróć i nie oddalaj się od moich drzwi.  
Arkusz papieru trzymał jeszcze w ręku. Wezwał do siebie Mekkseyego.  
— Masz tu plan — powiedział mu. — Uwidocznione są na nim drogi podziemne. Nie wiedziałem o istnieniu takiego szkicu. Zbierz murarzy, aby zamurowali przejścia, o ile jeszcze są. Najpilniejsza sprawa to zabezpieczyć drogę do cmentarza.  
Wydał jeszcze kilka poleceń swym giermkom i kazał przynieść dwa wiadra wody. Po kąpieli przebrał się. Włożył nawet nagolenniki. Po czym wyciągnął się na okrytej niedźwiedzią skórą ławie.  
Zwykle sypiał godzinę, dwie w rynsztunku, tam gdzie go sen zmorzył. Załoga natomiast twierdziła, że nigdy nie sypia.

10

Dopiero wieczorem Dobo znalazł czas, by się rozmówić z Ewą. Pani Bornemissza już wstała. Była w lekkim gieźle tylko. Poprosił ją do siebie w czasie spożywania posiłku. Na pierwszy rzut oka poznał, że ma przed sobą osobę dobrze urodzoną.

— Kim pani jest?

Giermek Balazs stał, jak zwykle, za plecami swego pana. Baloghowa także krzątała się po pokoju, zapaliła trzecią świecę woskową i podała czerwone wino do pieczonej baraniny.

— Wolałabym mówić o tym w cztery oczy — odparła Ewa słabym głosem. — Nie obawiam się obecności pani Baloghowej, tylko nie

wiem, czy panu kapitanowi byłoby na rękę, gdybym ujawniła swoje nazwisko.

Dobo skinął ręką; giermek opuścił pokój. Pani Baloghowa także wysunęła się dyskretnie.

— Jestem żoną Gergelya Bornemisszy — łzy potoczyły się po twarzy mówiącej.

Dobo wypuścił nóż z ręki.

— Wiem, że obecność żon nie jest tu pożądana — ciągnęła dalej z błagalnym spojrzeniem. — Ale zapewniam waszmość pana, że nie będę ciężarem dla nikogo, nie będę usiłowała płaczem trzymać męża przy sobie...

— Pani pozwoli — Dobo wskazał krzesło. — Proszę mi wybaczyć, że przyjmuję panią podczas posiłku... Może i pani by zechciała... — dodał ze zdawkową raczej uprzejmością.

— Dziękuję — Ewa odmówiła ruchem głowy i prawie bezsilnie opadła na krzesło.

Milczeli przez kilka chwil. Potem odezwał się Dobo:

— Czy Gergely wie, że pani jest tutaj?

— Nie. Ale może to i lepiej...

— Wobec tego — rzekł Dobo, rzucając na nią cieplejsze spojrzenie — słusznie droga pani przemilczała swoje nazwisko. Gergely nie powinien dowiedzieć się o pani obecności. Co do tego jestem nieubłagany. Oblężenie nie potrwa długo: odsiecz powinna nadejść lada chwila. W jakim celu pani przybyła?

W oczach Ewy zaszklily się łzy:

— Mój syn...

— Naprawdę go porwano?

— Tak.

— A pierścień?

— Mam go przy sobie — odrzekła Ewa, wskazując zawieszony na szyi sznurek.

Dobo ledwie rzucił okiem na pierścień, wstał, wychylił kielich wina.

— Czy mogę mieć pewność, że waszmość pani nie spotka się z Gergelyem?

— Podporządkuję się we wszystkim rozkazom pana kapitana...

Dobrze wiem przecież...

— Czy pani rozumie, dlaczego nie wolno jej spotkać się z Gergelyem?

— Domyślam się,

— Gergely jest mózgiem twierdzy. Jego umysł musi być bez reszty skierowany na obronę twierdzy. Każda stracona chwila może pociągnąć za sobą fatalne skutki... Kogo waszmość pani zna spośród członków załogi?

— Mam kilku dawnych znajomych: Mekksey, Zoltay, Fligedy... Ale i mój ojciec, i ksiądz Balint są tutaj.

— Niechże mi waszmość pani przyobieca nie opuszczać pokoju pani Baloghowej. Proszę mi to poręczyć honorem...

— Ręczę...

— Niech pani przysięgnie!

— Przysięgam!

— Ja ze swojej strony obiecuję uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby synek pani się odnalazł. Proszę o talizman... Dziękuję...

Dobo przypasał szablę i uściskiem ręki pożegnał panią Ewę.

— Wybacz mi moją oschłość, ale w obecnej sytuacji nie wolno mi postąpić inaczej. Pokoje mojej żony i jej rzeczy są do dyspozycji pani. Proszę się czuć, jak u siebie w domu.

— Jeszcze chwilę... Co mam powiedzieć pani Baloghowej?

— Co pani zechce. Byle się tylko Gergely nie dowiedział.

— Nie dowie się...

Dobo z ukłonem wyszedł i zawołał na koniucha.

\*\*

Pod wieczór zerwał się wiatr wydmuchując z twierdzy popiół i sadzę. Prawdę mówiąc, od czasu oblężenia nikt tam nie zamiatał. Wszędzie wałały się śmieci; w powietrzu unosił się wstrętny odór padliny. A cóż dopiero za murami?!

Dobo wezwał murarzy i wieśniaków na miejsce uszkodzone przez wybuch.

— Zbierajcie porozrzucane kamienie! Podciągnijcie mur! Uważajcie na kule Turków!

Po tych słowach zwrócił się do giermka:

— Idź, Balazs, przynieś mi wosk do pieczętowania i świecę. Podeszedł do działka zwanego Babą, usiadł na lawecie i kawałkiem cyny nakreślił na kartce:

Begu Derwisz! Jak tylko odnajdziesz synka Bornemisszy, daj znać przez wywieszenie niebiesko-czerwonej chorągwi na topoli przy potoku, tej na północ od twierdzy. Pieczętuje ten list twoim



pierścieniem na znak, że go mam. Chłopca niechaj przyprowadzi posłaniec z białą chorągwią. W zamian za niego zwrócę ci nie tylko pierścień, ale i chłopca tureckiego, który jest u nas.

Wezwał Mekkseyego:

— Istvan, podpisz tu swoje nazwisko.

Mekksey podpisał bez słowa. Balazs tymczasem wrócił z woskiem i świeczką.

Gdy rozgrzany wosk nakapał obok jego nazwiska, Mekksey wycisnął pieczęć swym sygnetem, po czym — nie pytając co i jak — oddalił się spiesźnie.

Dobo złożył kartkę i na zewnątrz wycisnął pieczęć pierścieniem tureckim. Półksiężyc i gwiazdy wyraźnie widniały na pieczęci.

Wezwał z kolei Varsanyiego.

— No, przyjacielu — przyjął go z uśmiechem — i tym razem nie zagrzejesz miejsca. Czy znasz bega Derwisza?

— Jak cholewy własnych butów — odrzekł Varsanyi wesóło.

— Masz tu list. Albo podrzucisz go do namiotu bega Derwisza, albo wsadzisz mu go do kieszeni, jak ci się uda.

— Rozumiem.

— Potem pójdziesz do Szarvaskó i tam poczekaś na Miklósa Vasa. Powinien już nadejść lada chwila.

— A jak się dostaniemy z powrotem do twierdzy?

— Powiedz straży przy bramie, aby co noc spuszczano linę przyczepioną do dzwonka u góry.

Varsanyi owinął list w chustkę i wetknął za pazuchę.

Na baszcie Sandora z hukiem pękały pociski armatnie. Dobo spostrzegł jakieś zamieszanie wśród żołnierzy; odskakiwali od muru, jakby ogarnięci paniką.

Turcy nie wiadomo jakim sposobem dowiedzieli się, że wały obronne zewnętrznej twierdzy łączy z murem wewnętrznym mała brama. Złożyli dwie wysokie drabiny i związali je w kształt litery A. Drabinę rozstawili na wierzchołku Krzesła Króla, jakiś zwinny Turek wspiął się na sam szczyt i zobaczył, że wojsko węgierskie przechodzi przez małą bramę. Pospieszenie wciągnęli na górę działa i wzięli bramę pod gęsty obstrzał.

Nie minęła nawet godzina, a już ranni żołnierze węgierscy zalegali ziemię wokół bramy. Pięciu zostało zabitych na miejscu.

— Deski! — grzmiał Dobo. — Podwyższyć osłonę! Daremnie. Dogodnie umieszczone działa pozwoliły Turkom na swobodny obstrzał bramy nawet ponad osłoną z desek.

— To będzie kosztowało dwa cetnary prochu — zrzędził Dobo. — I to właśnie teraz!... Gergely biegiem skierował się ku narożnej wieży.

— Panie kapitanie — wysapał — musimy coś zrobić z tą bramą! Wybiją mi najlepszych ludzi!

— I na to znajdzie się rada — odparł Dobo i dodał nieco ciszej: — ale nie zaraz. Nic nie zrobimy, dopóki młyn nie zacznie mleć prochu.

Pociski biły w bramę raz po raz.

— Proszę, panie kapitanie, o pozwolenie przebicia przejścia w innym miejscu albo wykopania podziemnego połączenia.

— Ty, Gergely, nie musisz za każdym razem prosić o moje pozwolenie. Masz wolną rękę.

Gergely kazał wykuć otwór w murze; żołnierze mogli tam swobodnie przechodzić. Turcy dalej zasypywali pustą już bramę pociskami, tak iż łopata można je było zbierać.

\*\*

Z zapadającym zmrokiem Turcy znów wzięli się do zwożenia ziemi. W bladym świetle księżyca padały ku nim z twierdzy strzały raz po raz.

— Nie strzelać! — rozkazał Dobo.

W miarę pogłębiania się ciszy w twierdzy wzmagala się wrzawa, dudnienie i trzaski od zewnątrz.

Dobo skupił wszystkich strzelców przy czterech wyłomach.

Nad rzędem leżących ustawił się rząd klęczących, a nad nimi jeszcze jeden rząd, pochylonych tylko w przód.

Latarnie wygaszono.

Turków przybywało coraz więcej; pracowali bez żadnej osłony przy świetle ręcznych latarek. Gdy turbany ukazały się na szybko rosnących wałach tuż przed wyłomem, Dobo rozkazał: Ognia!

Po salwie — jęki, wrzask, popłoch. Paniczna ucieczka Turków świadczyła o tym, że kule bynajmniej nie poszły na marne. Kilku tufekczich ostrzeliwało się, ale kule ich chybiały.

Po tym wypadku Turcy zmądrzeli; pracowali dalej, ale już pod osłoną.

Młyn mełł dzień i noc bez wytchnienia. Dwanaście żarn pilnie kruszyło węgiel i saletrę. Czarny proch strumieniem sypał się do koryta. Do serc załogi wróciła ufność.

Turcy wznosili nowe szańce. Skoro świt, zagrzmiały trzy kolubryny przy probostwie. Celem obstrzału była tym razem północno-zachodnia wieża. Wątpliwe, czy z tego niedogodnego dla nich miejsca Turcy chcieli przypuścić atak; raczej wyglądało na to, że chcą tylko odciągnąć siły obrońców od innych punktów twierdzy.

Grube czarne pociski „macały” wieżę.

Na drodze lotu pocisków rozciągały się w stronę miasta koszary piechoty. Krótsze strzały uderzały w koszary.

W zachodni mur pałacu kapitańskiego także trzasnęło raz i drugi.

Pani Baloghowa przerażona wpadła do pokoju, w którym posłała łóżko dla kapitana.

Kapitan w pełnym rynsztunku siedział na krześle przy łóżku. Tylko szyszak zdjął z głowy. Wsparty łokciami o poręcz spał snem spokojnym. Przed nim dwie palące się świece. Nad głową na ścianie stary obraz, przedstawiający króla Stefana, jak wznosi koronę węgierską ku Matce Boskiej. Jakaś bogobojna dusza przeniosła go tu z kościoła, chociaż był już tak zniszczony i pociemniały, że na miejscu oczu króla widniały tylko ciemne plamy.

Dobo zazwyczaj tam spał.

Tego dnia wrócił do siebie dopiero nad ranem; być może obawa przed niespodziewanym atakiem trzymała go tak długo na nogach.

Ostrzeliwano właśnie tę stronę pałacu, gdzie kapitan spał. Mury trzęsły się od pocisków, belki aż trzeszczały. Jedna ściana pokoju pękła na szerokość czterech palców; przez szparę widać było ogrodzenie.

— Mości kapitanie! — krzyknęła Baloghowa.

Ponowny huk: tynk posypał się na głowę pani Baloghowej. Skoczyła i potrząsnęła kapitanem.

— Co takiego? — Dobo otworzył oczy.

— Niech pan się zbudzi, na miłość boską! Ostrzeliwują pałac!

— Wobec tego trzeba będzie umieścić łóżko w którejś izbie na dole, bliżej bramy. Zaraz wrócę.

To „zaraz wrócę” było obietnicą tak często nie dotrzymywaną, że pani Baloghowa uśmiechnęła się mimo groźnej sytuacji.

— Proszę zaczekać chwileczkę, zagrzeję trochę wina.

— Nie zaszkodziłoby — odparł Dobo, strzepując tynk z włosów — na rozgrzewkę. A może z goździkami?

— Gdzie panu zanieść, panie kapitanie?

— Dziękuję. Sam wpadnę i wypiję.

— W takim razie wyślę przez syna.

Okulbaczony wierzchowiec stał jak zwykle pod bramą, a obok — na przemian jeden lub drugi giermek ze swoim konikiem. Dobo wskoczył na grzbiet wierzchowca i wyruszył na objazd twierdzy.

Z małych budynków koszarowych wysypywali się żołnierze, z bluzami i bronią przerzuconymi przez ramiona, z rzeczami pod pachą; niektórzy nawet spodni nie zdążyli wciągnąć; wszyscy klęli.

— Idźcie do monasteru — radził Dobo — tam jest spokojnie. Przenieście sienniki i rozłóżcie w korytarzach.

Mekcsey z grupą żołnierzy biegł przez rynek. Ludzie mieli motyki, łopaty i czekany. W ręku Mekcseyego wielka skałkówka.

Dostrzegłszy kapitana, machnął strzelbą. Wierzchowiec Dobo w kilku susach znalazł się przy nim.

— Podkopują się od strony Krzesła Króla — zameldował Mekcsey — idziemy napluć im w kaszę.

— Dobrze — zgodził się Dobo — poprowadź tam ludzi, wydaj im zlecenia, a ty wracaj zaraz.

Pognał na basztę Bolykyego. W dole przy stajniach siedziało pięciu ludzi w szyszakach. Twarze mieli zarumienione od żaru ognia. Pletli słomiane warkocze, zwijali je w wieńce. Obok nich w kotłach bulgotała smoła.

Nieco dalej stał Gergely nachylony nad bębnami, obserwując groch. Spostrzegłszy Dobo wyprostował się.

— Zakładają miny. Mekcsey ma im przeszkodzić.

— Wiem — odrzekł Dobo.

— Bębny rozmiękły, są nie do użytku. Ale woda w miskach drga.

Dobo podszedł do ogrodzenia i wyrztał przez szparę. Wały tureckie przy wyłomach urosły na wysokość sążnia. Derwisze właśnie zabierali zabitego akindżego na dwóch kopiach. Ofiara nocnej strzelaniny.

Pod murami wszędzie rowy za ogrodzeniami z desek. Turcy także nauczyli się osłaniać.

— Coś się znowu szykuje — potrząsnął głową Dobo. — Nie widać jasaułów ani janczarów.

Mekcsey zjawił się na baszcie.

— Ludzie już kopia — zameldował krotko.

Po jego twarzy widać było, że całą noc nie spał. Oczy miał zaczerwienione i zmęczone, włosy zwichrzone. Na dolmanie ślady wapna i błota. Pewnie pomagał murarzom przy dźwiganiu belek.

— Kapitanie — zwrócił się doń Dobo tonem rozkazującym — spać! I to natychmiast!

Giermek Balazs wstępował właśnie na schody. W rękę trzymał na srebrnej tacy kielich z parującym na porannym chłodzie napojem.

Mekcsey oddalił się, oddawszy honory.

Dobo złagodniałym głosem zawołał nań:

— Istvan! — Mekcsey odwrócił się. — Weź kielich od Balazsa i napij się trochę, synu...

12

Następnej nocy okazało się, co janczarzy robili dnia poprzedniego.

Otóż wymyślili coś w rodzaju baldachimu, pod jakim kroczy ksiądz z Najświętszym Sakramentem podczas procesji. Baldachimy miały dachy z mocnych grubych desek, a podtrzymywały je cztery kopie. Pod takimi baldachimami mogą się swobodnie poruszać, wozić ziemię i wiklinę.

Oficerowie w twierdzy pozwalali sobie zazwyczaj na dłuższy poobiedni wypoczynek, Turcy z reguły bowiem tylko rano przypuszczali ataki. W nocy znowu bywali na nogach, zaś połowa załogi udawała się na odpoczynek. Dobo uzgodnił z Mekcseym, że i oni będą się zmieniali wzajemnie. Mimo to żaden z nich nie spał. Najwyżej, bywało, zdrzemnął się który godzinę czy dwie w jakimś wykuszu na siedząco. Dobo miał już czerwone obwódki koło oczu, jakby je kto wstęgą obszył.

Sprytny wynalazek Turków bynajmniej nie zachwycał strzelców na murach, dobitnie też dawali wyraz swemu niezadowoleniu. — Parszywi poganie, zebrali wszystkie deski z całego miasta, bo bez osłony nie daliby nam rady!

Przy baszcie Sandora nasyp turecki sięgał już dolnej krawędzi wyłomu. Czuwało tam dwudziestu strzelców z jednym nabitym moździerzem, nie licząc nacelowanych z murów luf. Ale cóż: ciemność sprzyjała Turkom w ich nocnej pracy.

Gergely sam także czuwał przy największym wyłomie.

Nagle w nocnym mroku wyłoniły się spod dachu cienie ze dwudziestu Turków z wiązkami wikliny na głowach.

Gergely zawołał z muru:

— Gasparics!

— Słucham — odpowiedział męski głos.

— Czy was garść nie świerzbi?

— Jeszcze jak, panie poruczniku! Zalejmy im trochę sadła za skórę!

— Dobrze! Tylko pamiętajcie: dźgnąć i z powrotem!

— Rozkaz, panie poruczniku!

Murarze gorączkowo pracują przy wyłomie, mimo to w otworze wóz by się jeszcze zmieścił swobodnie.

Gasparics dał susa, wyskoczył przed otwór, przebił pierś Turka opasanego jataganami i uciekł do swoich.

Turek osunął się na ziemię, pozostali pracują dalej.

Bohaterski wyczyn Gasparicsa okazał się zaraźliwy. Trzech żwawych chłopców wyskakuje przez otwór, pchnięciem dzid kładą tyłu Turków. Bez szwanku wracają za mur.

Turcy klną. Powstaje zamieszanie. Ale z dołu inni prą już do góry.

Zachęceni powodzeniem i inni uderzają na wroga. „Różgarze” tną, dźgają i błyskawicznie znikają jeden po drugim za murem. Na trzech ostatnich rzuca się ze trzydziestu Turków, którzy poniechali wiązek wikliny.

— Waj baszina kenef ogłu!...

Gergely kazał dać ognia. Turcy osuwają się na ziemię, lecz dziesiętnik Kalman także pada ugodzony w pierś.

— Tam do kata! Jeszcze raz ognia! — woła z góry Gergely.

Na pozostałych Turków już i z dolnych otworów błyska śmierć. Przy tym błysku widać, że ze czterdziestu Turków leży przed wyłomem brocząc z odniesionych ran. Reszta z obnażonymi szablami i z dzidami rzuca się ku wyrwie. Właśnie nadszedł Dobo.

— Ognia! — grzmi Gergely do stojących na murze.

Tuż przy otworze leży Kalman na wznak w potoku krwi. Jakiś janczar dźga na oślep w wyłom, trafia w próżnię i ze zwycięskim wrzaskiem wskakuje na mur.

Dobo stoi tuż obok. Gołą pięścią uderza tak silnie janczara w nos, że krew tryska fontanną. W tejże chwili Gasparics przebija go lancą.

Pozostali Turcy zawahali się stropieni. Potem zawrócili i rzucili się do ucieczki.

— Wyrzućcie tego psa! — rozkazuje Dobo murarzom i wchodzi na mur.

— Turcy przestali zakładać miny — zawiadamia Gergelya.

— Tak przypuszczałem.

— Masz coś ciekawego?

— Może pan kapitan obejrzy nasze kubki?

Pod dolnym sklepieniem baszty przy świetle wiszącej latarni pracuje pięciu ludzi, nie licząc Cygana. Wokół nich kilkaset glinianych kubków. Zajęci są właśnie „nadziewaniem” kubków. Jeden sypie garść prochu. Drugi wpycha gałgan i żwir. Trzeci znowu garść prochu; czwarty siedzi na stercie pociętych na kawałki zardzewiałych luf i ubija w nich proch. Oba końce zatyka drewnianymi kołkami. Piąty okręca drutem kołki, aby się mocno trzymały. Cygan zaś oblepia je gliną.

— Mamy już trzysta gotowych — melduje Gergely.

— Dodajcie siarki — radzi Dobo. — Spore kawałki.

— Tak. Słusznie — przyznaje Gergely.

Balazs już gna po siarkę.

Dobo przez jakiś czas przypatruje się pracy z wyrazem zadowolenia, po czym rozejrzawszy się wokół, pyta:

— A gdzie Gasparics?

— Jestem, panie kapitanie — rozległ się głos z dołu.

— Chodź tu.

Za chwilę Gasparics stuknął obcasami przed kapitanem.

— Czy ty pierwszy wyskoczyłeś?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Od dziś jesteś dziesiętnikiem.

\*\*

Obleżeni przekonali się następnego dnia, że baldachimy zdały egzamin. Począwszy od domostwa proboszcza Heceyego ciągnęły się nasypy aż do południowo-wschodniego muru, czyli do obecnej bramy. U podnóża murów wkrótce ukazały się beczki, znoszone i ustawiane przez tysiące rąk.

Turcy splądrowali wszystkie piwnice w mieście. Wino wypuścili, a beczki i kadzie zwozili teraz pod twierdzę. Tegoż jeszcze dnia wyrosła wysoka góra, opierająca się o mur obronny. Po zewnętrznej strone napełnione ziemią worki służyły im za schody.

Z muru sypią się na nich kule od rana do wieczora. Ale beczki stanowią dobrą osłonę. Turcy pracują pilnie. Nawet w nocy słysząc głucho dudnienie pustych drewnianych naczyń.

Większość strzelców przerzucono na zagrożony odcinek. Huczą przycupnięte móżdżierze. Kilka hakownic z flanki obsypuje ogniem górę beczek.

— Co za durnie! — orzekł Fugedy.

Nie. Turcy to wcale nie durnie. Już o brzasku zza góry beczek wyłania się z szarości kilka wielkich, szerokich ruchomych daszków, spoczywających na ośmiu kopiach. Pod każdym mieści się dwudziestu, a może nawet trzydziestu Turków.

— Ognia i wody! Przynieście słomę, bosaki i czekany! Jak najwięcej! — zarządził Dobo, gdy oprócz baldachimów spostrzegł płonące żagwie. Wiedział, co się święci. Wczoraj przy ataku na basztę Bebek wchodzili po workach wypchanych ziemią...

Dosiadł konia. Gergely był już zaopatrzony w bosaki i czekany na łańcuchach. Nad ogniskiem w kotłach topił się łój. Wiechcie słomy maczane w smole leżały ułożone w stertę. Turcy i tam szykują atak pod osłoną baldachimów. Meksy przy starej bramie gotuje się do odparcia spodziewanego ataku. Największe niebezpieczeństwo grozi na południowo-zachodnim murze, gdzie Fugedy dowodzi obroną.

Dobo włożył hełm stalowy i odprowadzony przez giermka Balazsa pognął w tamtą stronę.

Ogrodzenie stało już w płomieniach. Turkom udało się je jakoś podpalić. Już nie wrzeszczą. Kryjąc się przezornie pod daszkiem, obsypują obleżonych kulami.

A obrońcom żal każdej zmarnowanej kuli. Leżąc twarzą do ziemi, czekanami wyrębują szpary między kamieniami i stamtąd strzelają pod daszki.

— Obrzucić słomą! — grzmi Dobo.

Jedni strumieniami wody gaszą stojące w płomieniach ogrodzenie, inni unurzanyimi w smole i łoju wiehcziami słomy obrzucają drewniane dachy baldachimów.

Czekany rąbią, przewracają daszki, które dotarły blisko muru. Te, które zajęły się ogniem smolnych pocisków, pozostawia się własnemu losowi. Turcy porzucają płonące daszki i z wrzaskiem uciekają przed ognistym deszczem. Beczki chwieją się pod nimi.



Jakiś Turek w czerwonym kaftanie czmycha, unosząc na grzbiecie płonący wiecheć ku radości obleżonych.

— Słomy! Więcej słomy! — woła Dobo.

Gęsto fruwią zapalone wiechcie i działają piorunująco. Kopijnicy, porzuciwszy broń, uciekają na łeb, na szyję odprowadzani gradem kul.

— Szczęśliwej drogi! — żegna ich załoga.

Nastąpiła pozorna przerwa. Po ucieczce żołnierzy armaty tureckie przystąpiły do rozwalania ogrodzenia."

— Padnij! — zakomenderował Dobo.

Tureckim armatom udało się wyrwać dwa słupy z ogrodzenia. Zachwiało się i skrzypiąc, trzeszcząc przechyliło się na zewnątrz na długości czterdziestu sążni. Jeszcze jedno takie uderzenie, a zerwie się na całej długości.

— Czekany! — krzyknął Fugedy. — I łańcuchy! Powrozy!

Pięćdziesiąt czekanów wbija się w chylące się na zewnątrz ogrodzenie. Łańcuchy, powrozy i nowe belki podpierają je i wkrótce ogrodzenie stoi na dawnym miejscu.

A Dobo jest już na baszcie Bolykyego, cuchnącej topionym łojem i prochem. Tam Gergely odpiera natarcie.

Turcy pokładali wielkie nadzieje w tej mocno już nadwreżonej baszcie narożnej, chociaż przy pierwszym ataku nie udało im się jej zdobyć. Ale pamiętali, że i Temesvar także dostał się w ich ręce dzięki zdobytej wieży...

Nasyp ziemny tuż przy murze wieżowym sprawiał, że byli zabezpieczeni od strzałów z wewnątrz twierdzy.

— Idą! Idą! — gorączka ogarnęła obleżonych.

Turcy, popychając się wzajemnie, prą do góry pod osłoną baldachimów.

Sypią się na nich płonące wiechcie, nasycone łojem i smołą, ale mimo wszystko udaje im się w końcu wedrzeć na wieżę.

— Allah akbar!

— Bij, zabij!

Tysięczna rzesza orężnego motłochu rusza z Krzesła Króla do sforsowania muru.

Czekany, kopie jak macki sięgają z dolnych murów, odpychając, rąbiąc, zaczepiając ruchome daszki.

Ale Turcy też nie próżnują.

Spod dachów strzelają tufekczowie. Dzidy, pociski i strzały spadają na obrońców.

Jakiś w pogardzie śmierć mający spahi, cały zakuty w zbroję, rzuca się na mur i wywijając opancerzonymi rękami, odparowuje czekany i kopie. Za jego przykładem skacze drugi i trzeci.

Podczas gdy na murze rozprawiają się z tą trójką, pozostali prą naprzód.

— Allah! Aferin!

Po kilku minutach znalazł się na samym wierzchołku wieży baldachim obciągnięty krowią skórą; ze trzydziestu albo czterdziestu janczarów klęcząc i leżąc na brzuchu ostrzeliwało spod niego walczących na baszcie węgierskich żołnierzy.

— Allah! Allah! — wyją z dołu tysiące gardzieli.

— Wybiła godzina zwycięstwa! — ryczą jasaulowie.

Z głowy Dobo spadł szyszak. Tak jak stał, z gołą głową popędził ku baszcie.

Znajdujący się wewnątrz wieży żołnierze węgierscy bezsilni byli wobec faktu zajęcia przez janczarów wyżej położonej kondygnacji wieży. Kule nie przebijały grubych desek.

— Opuścić wieżę! — ryknął Gergely, spostrzegłszy, iż Dobo nastawia w tym kierunku lufy armat.

Gdy załoga zobaczyła, że spora grupa janczarów wdarła się na wieżę, wszyscy chwycili za broń palną i obsypali ogniem pracę na mur zastępy.

Dobo, obserwując przebieg walki, spostrzegł w pewnej chwili, że na skutek ognia napór janczarów został powstrzymany.

— Lufy w dół! Ognia!

Huk dział. Janczarzy na ogół nie boją się armat. Dwie armaty mogą wystrzelić tylko dwa pociski. A z huków nic sobie nie robią. Ale tym razem przeliczyli się. Lufy armatnie Dobo nabite były drobnymi kulami, które czyniły poważne spustoszenie w szeregach tureckich.

Janczarzy cofnęli się zatrwożeni.

— Żagwie! — zabrzmiała komenda Gergelya.

Wśród odciętych na wieży janczarów wybuchła panika. Ze szpar między deskami wydobywał się dym i wkrótce drewniana podłoga, podpalona przez Węgrów od dołu, stanęła w płomieniach. Wrzeszczać wniebogłosy Janczarzy rzucali się z wieży. Szczęśliwi ci, co spadli

poza mury i skręcili kark. Gorzej, jeśli wylądowali na terenie twierdzy...

\*\*

Tegoż wieczoru i tejże nocy Turcy nie przerwali walki przy Baszcie Ziemnej, stanowiącej dalszy ciąg umocnień kamiennych na północno-zachodnim krańcu grodu.

Ze wszystkich stron ryli w ziemi, by się podkopać pod basztę. Lecz był to daremny trud. Mur stoi na murze do dwudziestu sążni głębokim, jak gdyby w nieznanym czasie twierdzę budowano w dolinie, a dopiero późniejsze pokolenia zasypały stare obwarowania i na nich postawiły nowe, własne, aż wreszcie poddani świętego Stefana wzniesli obecną twierdzę na starych fundamentach.

Dobo wkrótce przejrzał fortel turecki: nocnym szturmem zamierzali odwrócić uwagę od zwożenia i ustawiania bali na murze.

Dobo postawił dwustu ludzi na Baszcie Ziemnej, resztą zaś załogi obsadził mury.

Konnicy tureckiej nie było widać. Przypuszczalnie w nocy będą zwozili drzewo, a nie, jak dotąd, gałęzie tylko. Ile wielbłądów, wołów, bawołów, mułów było w taborze, wszystkie wracały o zmierzchu pod mury, objuczone okrągłakami i balami. Nie kończący się sznur pojazdów skrzypiąc toczył się od strony Almagyar i Eged.

Z transz i nasypów naprzeciwko murów rzucano bale na chybił trafił, a później, gdy sterta już osłaniała Turków dostatecznie, przystępowano do ich ułożenia.

Tysiące, tysiące rąk popychało, układało drzewo. W nocnej ciszy rozlegało się dudnienie rzucanych bali i stuk młotków, gdyż Turcy żelaznymi kłami i łańcuchami spinali kloce.

Naprzeciw baszty Gergelya wznoszono wielkie rusztowanie, którego szczyt znajdował się o trzy sążnie zaledwie od muru.

Turcy pracowali ostrożnie: kłody drzewa układali w taki sposób, aby równocześnie służyły za osłonę. Gdy rusztowanie osiągnęło wysokość sążnia, zaczęli zrzucać grube okrągłaki w pustą przestrzeń dzielącą ich od murów. Drewniana góra rosła w oczach, coraz bardziej zbliżała się do murów. Było do przewidzenia, że gdy dźwignięta zostanie jeszcze wyżej, siłą własnego ciężaru przechyli się na mur.

Gergely wyglądał to z jednej, to z drugiej blanki obserwując postępy pracy wroga. W końcu wszedł na sam szczyt muru.

Zastał tam kapitana Dobo z pisarzem Balazsem. Był jak zwykle w płaszczu sięgającym kolan i w lekkim hełmie na głowie. Jednym uchem słuchał jakiejś skargi pisarza.

— Panie kapitanie — zwrócił się doń Gergely — potrzebne mi są wszystkie gonty, które zerwaliśmy z dachów.

— Weź.

— Poza tym proszę o łój, smołę i olej.

— Każ sobie wydać. Ile łoju mamy, Balazs?

— Będzie ze dwadzieścia cetnarów.

— Biorę wszystko — wtrącił Gergely — szkoda nawet, że nie ma więcej. Ale może uda się zastąpić go częściowo słoniną. Więc koniecznie potrzebna mi jest słonina.

— Ile?

— Jak najwięcej.

— Krzysztofie, każ obudzić Sukana. Niech wyda ze spichrza łój i czterdzieści pości słoniny. Przynieście tu wszystko!

I dopiero po wydaniu zlecenia zapytał, na co to wszystko potrzebne.

Gergely znalazł sposób, by zaradzić niebezpieczeństwu. W miarę jak Turcy wznosili rusztowanie, on kazał zrzucić między bale pokrojoną słoninę, gałki łoju i gonty. Turcy nie zwrócili na to uwagi. Wciąż coś sfruwało z murów, jakiś pęknięty gar, zdechły kot, czasem gont pomalowany olejno lub owinięty w słomę kubek. Kubki były oblepione gliną i odrutowane; zawierały pocięte lufy nabite prochem i kawałki siarki.

Teraz zabrakło już słoniny i łoju.

Dobo wysłuchał Gergelya w skupieniu, po czym badawczo przyglądał się przez chwilę tempu pracy wroga.

— Wcześniej niż rankiem nie skończą — orzekł w końcu. — Krzysztofie, idź zobacz, czy kapitan Mekcsey śpi. Jeśli nie, powiedz mu, że ja idę trochę odpocząć. Gdyby spał, nie budź go. Potem obejdiesz strażę. Powiesz im, że gdyby spostrzegli najmniejszy ruch, mają mi natychmiast zameldować, będę na wieży narożnej. Ty się nie położysz, Gergely?

— Nie.

— A Zoltay?

— Posłałem go spać! Żeby miał siły na jutro...

— Każ mnie zbudzić natychmiast, gdy wał będzie podciągnięty. Na wieży narożnej Dobo zmęczony wyciągnął się na drewnianej pryczy.

Krzysztof stanął z obnażoną szablą przy drzwiach. Strzegł pogrążonego we śnie lwa.

13

Nad ranem wysokość tureckiego wału zrównała się prawie z murem twierdzy. Brakowało zaledwie półtora sążnia.

Gergely kazał nabić prochem dwa kawałki starych luf armatnich i pobielił je wapnem.

— No, starowino, nie myślałaś, że przyjdzie ci jeszcze strzelać— monologował Cygan. — Może nadać im imiona? Wszyscy się przecież jakoś nazywają.

Gergely wy dostał z kieszeni ołowianą kulę i nakreślił na mniejszym kawałku lufy „Janos”, a na większym „Ewa”.

Wziąwszy rury pod pachę, wszedł na basztę.

Jaśniało. U dołu we wrogim obozie zaczynał się ruch. Z wszystkich stron ze szczękiem i zgiełkiem zbliżały się tureckie oddziały.

Żołnierz biegiem dopadł Gergelya.

— Idą, panie poruczniku!

— Widzę. Pobiegnij do pana kapitana na wieżę narożną. Powiedz giermkowi, by go zbudził.

Na murach stali już żołnierze zbrojni w kopie i czekany. Strzelby leżały na białych od szronu kamieniach. Trzy działa baszty nakierowane w dół, tylko lufy armat Ciemnej Bramy sterczały ku górze.

— Zapalać wiechcie i sękacze! — rozkazuje Gergely — i rzucać!

Gdy Dobo nadszedł, Turcy mrowiem zalegali już pagórek. Inni nadal zwozili bale i umocowywali je klamrami. Drewniany stos urósł już do wysokości wewnętrznej baszty. Coraz to dorzucano nowy okrągłak, by wypełnić próżnię między stosem a murem. Ileż drzew! Turcy wykarczowali chyba cały las na ten drewniany wał.

Na wierzchu szanica poruszały się baldachimy pokryte mokrą krowią skórą.

Płonące wiechcie nie wyrządzają szkód nasiąkniętej wodą skórze, a gdy któryś pada obok baldachimu, Turcy kopnięciem usuwają go z drogi.

Ostry gwizd, a potem powietrzem wstrząsa wrzask z tysięcy gardzieli:

— Bismillah!

Muzyka turecka rozbrzmiewa. Potężna budowla z drzewa dudni pod nogami biegnących w górę.

— Allah! Allah!

— Jezusie, dopomóż!

Spod baldachimów w mig wysuwają się krótkie drabiny obłężnicze i tworzą most między budowlą z drzewa a murem baszty.

Obleżeni czekają na murze, gotowi odeprzeć atak. Na drabiny sfruwają setki płonących wiechci zanurzonych w smole, gonty i siarka. Wkrótce drabiny stają w płomieniach.

Pierwszy zastęp, któremu udaje się wdrzeć na mur przez wysoko strzelające języki ognia, staje wobec lasu czekanów i kopii. Następnym już oczekują szable i obuszki na łańcuchach.

Jakiś pyzaty Turek w zielonym turbanie, unoszący wysoko nad głową ogromny buńczuk, pojawił się na stosie drzewa o kilkanaście kroków od Gergelya. Gdy rozwarł paszczę do ryku „Allah”, Gergely cisnął mu w twarz mniejszy kawałek rury, większy zaś wrzucił w płonący już poniżej ogień.

— Allah! Allah! Eismillah! Ileri!

Potężna budowla oblepiona jest Turkami, którzy pędem rzucają się przez płomienie. Nagle zatrzymują się jak wryci: strzały broni palnej i armat zaczynają naraz huczeć z dołu i z góry.

Kubki gliniane jęły pękać, plując zapaloną siarką niby miniaturowe wulkany.

— Ja kerim! Ja rahim! Meded! Ej wa! Jetiszin! — ryczą Turcy i ogarnięci zwierzęcym strachem rzucają się do ucieczki.

Jasaulowie jednak zastępują im drogę.

— Teraz tchórzysz?! W godzinie zwycięstwa! — pokrzykują.

— Wody! Wody! W kubłach! — wołają do stojących na dole. Starają się uratować, ugasić wodą, piaskiem, czym się da, ogromną budowlę, wynik znojnego trudu.

Na próżno. Słonina i łój zaczyna już topnieć między balami. Coraz częściej pękają z hukiem kubki, opryskują siarką wszystko dokoła, zapalając okrągłaki i kloce.

— Ja kerim! Ja kerim! Ja rahim! Do twierdzy! Do twierdzy, przez ogień!

Kto jeno żyw, nosi wodę w skórzanych wiadrach, dzbanach i najrozmaitszych naczyniach zatkniętych na kije. Nosiwodów wszędzie pełno, gdzie tylko ogniste języki wystrzelą spomiędzy bali. Przeskakując z nogi na nogę gaszą pożar, a że skutek ich wysiłków jest opłakany, pienia się z wściekłości.

— Bre-bre! Ja hu! — słycać z rusztowania rozpaczliwe wołanie na nosiwodów.

Cała drewniana budowla przemieniła się w jeden płonący stos. Nabite prochem rury dopiero teraz zaczynają się rozrywać z hukiem. Skwierczący niebieskim płomieniem tłuszcz pryska w oczy gaszących. Dwie pocięte lufy armatnie wybuchają niemal równocześnie z ogromnym grzmotem, rozrywając Turków, znajdujących się w pobliżu.

Nieopisany wrzask, strach i wściekłość!

Janczarzy, którym odcięto drogę odwrotu, starają się uciekać z gęstego, dławiącego dymu mostem drabin obłączniczych poprzez wyspy nie zajętych jeszcze ogniem bali do twierdzy. Dokoła huczące wybuchami ogniste morze. Ten i ów z determinacją rzuca się na mur, lecz w tejże chwili pada z rozłupaną głową, brocząc krwią. Pozostali wściekle przebierają nogami na płonącym stosie, starając się zdeptać ogień, stłamsić go własnymi ciałami. A ogniste języki liżą coraz to nowe bale.

Nie ma ratunku! To piekielna nawałnica! A biegające na rozżarzonych węglach postacie Turków to jakby cienie diabelskie. Dostają się do raju Mahometa przez wszystkie męki czyśćca.

I na murach twierdzy żar jest nieznośny. Załoga ściąga działa, polewa pozycje wodą, by się ogień nie przerzucił.

W płomieniach wyją nie ratowani przez nikogo ranni Turcy. Poza purpurową zasłoną ryk rozwścieczonych jasaulów, czyniących ostatnie bezskuteczne próby ugaszenia pożaru.

Dwa obozy odgradza teraz niebotyczna ściana płomieni i kłębiąca się czarna chmura dymu.

14

Nie daliśmy rady drzewem, spróbujemy ziemią! — sądzili Turcy.

Wzięli pod ostrzał armatni zewnętrzną twierdzę. W dzień walili pociskami, nocą zaś zwozili ziemię i ubijali, polewając starannie wodą.

Gergely z trwogą stwierdził, że z dnia na dzień rośnie niepowstrzymanie groźne niebezpieczeństwo, otwierające drogę do baszty przeważającej sile wroga.

Zatopiony w myślach chodził po twierdzy, głowił się nad czymś najwidoczniej; przystawał przy każdym zwale gruzów, przy stajniach i dołach, drapał się w głowę, potrząsał nią i szedł dalej.

Minąwszy ruiny zakrystii, doszedł do ślusarni. Tam przy stercie broni węgierskiej i tureckiej ciemniało jakieś wielkie koło drewniane. Gergely przypomniał sobie, że jest to koło jednego ze zburzonych młynów.

Na kole siedział Cygan z wielką miską na kolanach i łyżką w garści. Ze smakiem zajadał gotowane mięso. Uzbrojony był po zęby. Na nogach miał karmazynowe kamasze janczarskie. U pasa błyszczące jatagany. Na głowie przedziurawiony szyszak miedziany, przypuszczalnie niegdyś własność jakiegoś znamienitego Turka.

Z racji tego wojskowego wyposażenia poczuwał się do obowiązku wstać i przyjąć postawę na bacność. Miskę trzymał pod lewą pachą, prawą ręką salutował. Spełniwszy tę wojskową powinność powrócił do przerwanego posiłku.

— Wstań no, Sarkózi — rzekł Gergely — chcę zobaczyć z bliska to koło.

Cygan wstał.

Koło było już nieco sfatygowane. Gergely stanął na nim sprawdzając, czy dobrze się trzymają poszczególne szprychy. Tylko jedna się ruszała.

— Hm — powiedział, przyłożywszy palec do brody.

Cygan zapytał z zaciekawieniem:

— Może Turków będziemy mleć, wielmożny panie poruczniku?

— Tak — odparł Gergely — przybijcie rozluźnione szprychy.

Ślusarze odstawili miski i chwycili za młotki.

— Nie widzieliście pana kapitana Dobo? — dowiadywał się Gergely.

— Był tu już z dziesięć razy — odpowiedział jeden ze ślusarzy — ale już chyba z pół godziny nie widać go.

Gergely poszedł odszukać kapitana. Po drodze przyglądał się w skupieniu rozrzuconym po ziemi najróżniejszym przedmiotom.

Idąc wolnym krokiem w stronę Baszty Ziemnej, dostrzegł przez otwarte okno pałacu parę oczu, patrzących nań z głębi pokoju.

Przystanął. Serce zabiło mu mocno. Przymrużył powieki, by lepiej widzieć; oczy już znikły.

Gergely uporczywie patrzył w okno. Na widok tych oczu ogarnęło go jakieś dziwnie ciepłe uczucie. Przez kilka chwil stał, jakby wrośnięty w ziemię.

— Ee, bzdura! — mruzczał, potrząsając głową. — Co za pomysł!



Niemniej znowu skierował wzrok ku oknu. Ale zobaczył już tylko twarzyczkę małego Turka.

Dobo zbliżał się od strony Baszty Ziemnej. Gergely pospieszył mu na spotkanie. Przyłożył palce do hełmu.

— Potrzebne mi jest koło młyńskie, panie kapitanie.

— Bierz — odrzekł krótko Dobo i skręcił do pałacu.

Gergely szybkim krokiem szedł ku kuchniom, przed którymi siedział na ziemi długi szereg żołnierzy, owianych zapachem octu. Była właśnie pora obiadowa. Ze smakiem jedli zupę z soczewicy na kwaśno. W zupie pływały spore kawałki mięsa. Ale wino było rozcieńczone wodą — wedle rozkazu kapitana Dobo.

Gergely zabrał z sobą dziesięciu żołnierzy i kazał im koło młyńskie przetoczyć do swojej baszty.

\*\*

W twierdzy było pod dostatkiem kawałków starych luf, zardzewiałych strzelb; Gergely kazał ponabijać je prochem, ułożyć wewnątrz koła i poprzywiązywać drutem w ten sposób, żeby końce wystawały na zewnątrz. Szpary między rurami zatykano wiórami pomieszanymi z siarką, łojem i smołą i z obu stron zabijano deskami. W końcu Gergely kazał przybić do koła szerokie podpory, aby się nie przewróciło.

Cała twierdza przychodziła podziwiać tę piekielną machinę. Dobo też ją oglądał kilkakrotnie.

— Gergely — powiedział — staraj się tak umieścić moździerz, żeby wypalił na samym końcu.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Potrzebujesz jeszcze czegoś?

— Jeżeli to możliwe, proszę o puste beczki.

— Z piwnicy?

— Tak.

— Bierz, ile ci trzeba, mamy tego pod dostatkiem.

Nasyp przed murem rósł coraz wyżej. Na murze przybywało coraz więcej beczek, wypełnionych wiórami, siarką, łojem i smołą, i ma się rozumieć, prochem. Denka na beczkach mocno przybito i obłożono je od zewnątrz kamieniami. Lonty przeciągnięto przez otwory szpuntowe.

W twierdzy było sporo hakownic — ze trzysta sztuk. Dobo poradził więc Gergelyowi, by kilkadziesiąt sztuk starych, niezdatnych już do użytku, umieścić w dużych beczkach.

Na ten cel przygotowano pięćdziesiąt wielkich kadzi. Odrutowano je — obręcze żelazne były wówczas jeszcze nie znane — i zabito gwoździami. Ludzie z taką dumą patrzyli na to swoje dzieło, jak matka na noworodka.

Tymczasem Turcy całymi nocami gorączkowo pracowali nad wykończeniem drogi wiodącej na wały twierdzy.

15

Gdy pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych Gergely spał w wykuszu baszty, Zoltay odebrał meldunek o drganiu wody w jednym z rogów najniżej położonej stajni.

Zoltay nie pozwolił budzić Gergelya. Posłał po Mekkseyego, który zjawił się wkrótce w stajni.

Przestawiał naczynie z wodą z miejsca na miejsce, aż wreszcie ustalił, gdzie należy kopać.

Dziesięciu chłopów chwyciło za łopaty. Co jakiś czas przerywali pracę i z natężoną uwagą obserwowali drganie wody w miskach.

Obudziwszy się koło południa, Gergely od razu pobiegł do stajni. Panował tam duszny zapach nawozu. Żołnierze wkopali się już na trzy sążnie głębokości. Głuche dudnienie oznajmiało zbliżanie się lagumdżich.

— Ho, ho! Panie kapitanie — powitał Gergely Mekkseyego. — To moja baszta! Tu ja dowodzę!

— Masz mi coś do zarzucenia?

— Do zarzucenia? Nie! Ale każę przerwać kopanie.

— Żeby nam mury wysadzili?

— Żeby nie odkryli, że my też kopujemy.

Mekksey chwycił się za głowę:

— Człowieku, masz rację, oddaję ci berło.

Gergely kazał sobie przynieść króciwą. Własnoręcznie wsadził w nią krzemień i nabił prochem. Dobrał sobie dziesięciu wybornych rusznikarzy i kazał zgasić latarnię. Zostali w ciemności. Dudnienie wzmogło się. Chwilami słyhać było już głos dowodzącego akcją oficera.

Od czasu do czasu Gergely przykładł dłoń do muru, aby ustalić, w którym miejscu drganie jest najsilniejsze.

— Pst! — ostrzegał żołnierzy. — Są tuż!

I rzeczywiście. W ślad za następnym uderzeniem czekana na Gergelya posypała się ziemia. W powstałym otworze o półtorametrowej średnicy ukazał się lagumdzi: opuścił czekan i chwilę nasłuchiwał z głową wsuniętą w otwór.

W ciemności nic nie widzi. Za to światło dwóch latarni tureckich zza jego pleców oświetla brzuchatego agę w białym turbanie, ze złotymi galonami. Lagumdzi odwróciwszy się melduje, że dokopał się jakiegoś otworu. Aga zwraca się we wskazanym kierunku. Gergely mierzy doń. Huk strzału. Aga chwyta się za brzuch i osuwa na ziemię. Gergely jednym susem odskakuje w tył.

— Ognia!

Błysk. Strzelby dziesięciu żołnierzy jednocześnie obsypują kulami uciekających jeden przez drugiego lagumdżich.

Garść żołnierzy wraca z trzydziestoma zdobytymi czekanami i ze zwłokami agi. Jednego żołnierza postawiono na warcie ze strzelbą gotową do strzału i latarnią oświetlającą wylot tunelu.

\*\*

Agę ułożono na rynku twierdzy. Mówiąc szczerze, uczyniono to bez szczególnej troskliwości. Głowa agi stuknęła o bruk z taką siłą, że turban zsunął mu się na nos. Ale jemu już i tak było wszystko jedno. Był to człowiek z wydatnym podbródkiem, o siwiejącej brodzie. Długie szramy na czubku głowy świadczyły, iż nie bez powodów i zasług został oficerem. Kula Gergelya utkwiała mu w brzuchu. Druga kula — wystrzelona zapewne przez któregoś z żołnierzy — trafiła go w pierś.

Stary Sukan przeszukał turban agi, pas i kieszenie. Skrzętnie spisał monety, pierścień i broń znaną przy zabitym. Przedmioty wartościowe i pieniądze dostaną się żołnierzom, którzy kopali dół.

Później wystawiono zwłoki na widok ciekawych. W pierwszym rzędzie obstały je kobiety.

— O, patrzcie, jakie ma czerwone papucie!

— To chyba był jakiś bogacz...

— Nogawki sznurem związane!

— Porucznik albo może i kapitan.

— Ciekawe, czy miał żony?

— Mógł przecież mieć nawet i dziesięć.

— Wcale niebrzydki — stwierdziła z żalem Bódyowa, żona młynarza z Maklar — szkoda, że Turek. Zoltay także podszedł zobaczyć.

— No cóż, temu jednemu udało się dostać do twierdzy! Wtem mały Turek, prześliznąwszy się między kobietami, z okrzykiem radości schylił się nad zmarłym:

— Baba! Babadszizim! Babatatli! Babadszizi! \* Baba!... (tur.) — Tata! Mój Tatuniu! Tata! Tatku kochany!

Rzucił mu się na pierś i całował. Przytulił twarz do twarzy zmarłego. Śmiał się do niego:

— Baba! Babadszizim!

Do oczu kobiet napłynęły łzy. Pani Baloghowa chwyciła malca za rączkę:

— Chodź, Selimku! Tata śpi!

16

Wśród żołnierzy na murach panował świetny duch, gdy nad ranem chmara Turków wyruszyła z doliny do nowego ataku. Wściekła żądza zemsty naprężyła mięśnie jak napięte struny. Nie mogąc się już doczekać chwili, gdy zewrą się z wrogiem. Krępy, młody chłopak wyrwa się przez otwór w murze na nasyp, staje naprzeciwko zbliżającej się z wrzaskiem cizby Turków i wygraża im szablą.

Żołnierze na murze boki ze śmiechu zrywają.

— Kto to? — pyta Zoltay także rozweselony.

— Mały Varga. Janos Varga.

Chłopak, w gorącej snadź wodzie kąpany, uskoczył błyskawicznie za mur, ale widząc powszechny śmiech znowu wypadł, by odgrażać się niezmiernej armii tureckiej.

Tufekczowie dali ognia, a on — zapewne wystraszony niespodziewanym hukiem — jeszcze szybciej uskoczył w tył niż poprzednio, co wywołało wśród załogi twierdzy gromki śmiech.

Dobo, naoczny świadek tych harców, z aprobatą skinął głową.

Janos Varga, zachęcony powodzeniem, po raz trzeci wyskoczył za mur i nie bacząc na kule chwacko wymachiwał uniesioną pięścią ku pracującym z wściekłością w górę Turkom.

— Chodźcie no! Chodźcie! Tu czeka was koniec, psy parszywe! Świst, seria kul. Żadna go jednak nie trafia. Mały Janos Varga droczy się, wiruje tanecznym krokiem, pokazuje wrogom język i niezbyt grzecznie, ale aż nadto wymownie poklepał się po pewnej części ciała, znika za murem.

To wszystko dzieje się na krok od potęgi tureckiej, na krok od stutysięcznej armii.

— Chwat z ciebie, Varga! — woła Dobo z góry. — Zasłużyłeś na nagrodę!

Przekonawszy się, że na tym odcinku duch załogi nie budzi zastrzeżeń, Dobo dosiadł konia i pomknął ku starej bramie. Turcy obeszlili miasto z flanki od wschodu i od południa. Cała wroga siła kieruje się na dwa punkty.

Gergely w pełnej zbroi stoi na szczycie baszty, na razie osłonięty drewnianym ogrodzeniem, za którym przygotowano beczki i piekielną maszynę.

Stoi niewzruszony, niby skała na brzegu rozszalałego morza. Turcy rzucają się do ataku. Lufy wszystkich dział plują w twierdzę ogniem. Istny wyjący huragan piekielny.

— Bismillah! Bismillah!

Ryk bojowy głużył na kilka chwil trzask miedzianych talerzy i jazgot kapeli, ustawionej w wąwozie góry Krzesło Króla.

— Zaraz zaczniecie tańczyć!

Nieprzebrany orężny tłum kłębi się. Powiewają buńczuki z półksiężycem. Na przedzie żółto-czerwona chorągiew janczarów. Dalej pasiasty biało-zielony proporzec ulefedżich. A tu spahi osłonięci po kolana pawężami, w ciężkiej zbroi, wysuwają się ze zgiełkiem do przodu.

— Allah! Allah!

W ręku dzidy albo kopie. Z rapci na przegubie rąk zwisają obnażone szable. Przy boku każdego druga szabla. Zwartą masą rzucają się na basztę.

— Allah akbar! La illach! Il Allah! Ja fettah!

Jak gdyby w odpowiedzi z góry stacza się ciemna beczka. Plując ogniem w podskokach zbliża się do atakujących. Jeden ze spahich przezornie wbija kopie w ziemię na krok od beczki, aby ją zatrzymać, drugi i trzeci robi to samo tuż obok.

— Allah! Allah!

Czwarty spahi przyciąga beczkę ku sobie, aby ją z rozmachem rzucić do rowu. W tym momencie beczka wybucha z hukiem i miotając purpurowym ogniem rozbija czołówkę.

— Allah akbar!

Turcy jeszcze nie otrząsnęli się, a tu toczy się już druga beczka; strzelając i plując ogniem, zatrzymuje się wśród zbrojnego tłumu, który rzuca się na ziemię lub ucieka na łeb, na szyję.

— Allah! Allah!

Lecz odwrotu nie ma. Z dołu prze już do góry stutysięczna rzesza. Popłoch i panika ogarniają tylne szeregi. Zatrwożona armia staje przed niebosięznymi płomieniami jakby przygwożdżona.

— Naprzód! Przez ogień!

Lecz ogniste beczki toczą się raz po raz nieprzerwanym sznurem.

— Ileri! Ileri! Allah! Allah!

Fala turecka rzuca się z determinacją naprzód, w piekło.

Trrrach!... U góry rozwarło się drewniane ogrodzenie i olbrzymie, zakopczone koło młyńskie ukazuje się na szczycie baszty.

Ze środka koła pełźnie dym. Koło skwiercząc sunie z muru i rusza na ómę nieprzyjaciela.

— Ileri! Ileri! — grzmia zewsząd nawoływania spahich i jasaulów.

Ale pojawienie się koła zmienia gruntownie postawę nawet najśmielszych.

Koło nie przytoczyło się jeszcze do atakujących, kiedy wystrzeliła z niego pierwsza błyskawica. Pięćdziesięciosążniowy strumień płomienia, którego każda kropla płonie oddzielnie niebieskim ogniem.

— Gózónu acz! Sakin!

Czołówka turecka ogarnięta trwogą rzuca się twarzą na ziemię, aby po ich plecach przeleciał potwór, który oto strzela iskrami i ogniem. Tryskają płomienie, paląca się oliwa fioletowymi ognistymi tulipanami obsypuje łyse głowy, kaftany, zbroje. Skwierczy, fuka, sapie, dyszy, pluje przeskakując po plecach leżących. Szprychy miotają tysiące czerwonych, niebieskich i żółtych gwiazd.

— Meded Allah!

Najbardziej bitne oddziały pierzchają tratując się wzajemnie, ogarnięte strachem w obliczu diabelskiej maszyny.

A koło, jak gdyby kierowane wolą i rozumem, depta uciekającym po piętach, podcina im nogi i opryskuje żywym ogniem, płonąca oliwą i siarką. W zwartej masie uciekających żar powoduje samowypalanie broni; tak więc Turcy sami się ostrzeliwują. A koło toczy się dalej. Błyska, ciska gromami, powalając na ziemię konnych jasaulów wśród dławiącego dymu i ogłuszających huków. Przywdziewa w szkarłatny

płomień zastępy, obok których się przetacza. Na śladach koła wiją się w objęciu ognia setki na wpół zwęglonych ciał i żywych pochodni.

A obojętne na ludzkie cierpienia koło osnute już czarnymi obłokami toczy się i toczy dalej, ciskając setkami błyskawic.

— Jetiszin! Jetiszin! Allah! Meded!... Waj!... Waj!...

Bezskuteczna jest zawziętość jasaulów, próżny świst harapów, nie ma chętnych do ataku na zewnętrzną twierdzę.

Na dodatek Węgrzy co chwila wyskakują z wyłomu i z wściekłością lwów siekają, tną tych, którzy obezwładnieni widokiem ognia nie zdołali się podnieść z ziemi.

— Odwrót! Odwrót! — grzmi za murem dźwięk rogu.

Gergely z trudem utrzymuje w karbach rozgorączkowanych żołnierzy.

— Beczki na mur! Beczki!

Zastępy tureckie wycofują się ze zgiełkiem. Tylko armaty, ogłupiali topczowie i wystraszone wielbłądy zostają na placu boju.

\*\*

Gdy po rozstaniu z Gergelyem Mekcsey wrócił na swój odcinek przy starej bramie, Turcy podkopywali się już w trzech miejscach.

Podczas gdy tam koło ogniste sieje zniszczenie, tu przy starej bramie walka toczy się pod ziemią. Mury są już tak wykruszone, że obleżeni i oblegający dźgają się wzajemnie przez szpary.

Mekcsey, dokopawszy się do zakładających miny, przepędził ich trzykrotnie w krótkich odstępach.

Ostatecznie Turcy podpalili bramę, aby wtargnąć przez nią do twierdzy, ale, rzecz jasna, natknęli się na mocny mur, który przezorny Mekcsey zawczasu kazał wznieść.

Po gwałtownej ucieczce Turków przy Baszcie Ziemnej Gergely kazał mokrymi skórąmi poprzykrywać armaty i skrzynie z prochem. Zostawił dziesięcioosobową straż na murach, a pozostałych zabrał do starej bramy na pomoc Mekcseyemu.

Zbytecznie. Paniczny strach, jaki ogarnął oddziały walczące na odcinku Gergelya, udzielił się także tym, którzy atakują bramę. Spośród wojsk tureckich rzuconych na ten odcinek tylko tufekczowie nie zawiedli. Oblegali bramę, strzelali i na nowo nabijali broń bez chwili wytchnienia.

Gergely biegł na mur. Osłaniając się tarczą, spojrział w dół. Jakiś zastęp turecki jeszcze się kręcił u podnóża twierdzy, lecz niestety w miejscu niewygodnym do obstrzału i z flanki, i z góry.

Węgrzy przez szpary w murze uderzają na oślep, ale atakujący przywierają do murów mniej uszkodzonych albo przykucają na ziemi. Jedni mają przy sobie worki, inni dźwigają kamienie i starają się zatykać nimi otwory, by uniemożliwić Węgrom działanie. Oczywiście i Węgrzy nie przyglądają się temu beczynnemu; lancami wypychają łąty.

Turcy czają się przy murze. Zaledwie ukaże się w szparze lanca, dwóch, trzech Turków czepia się jej zniemacka i ciągnie ku sobie.

Węgrzy klną soczyście:

— Do stu piorunów! — krzyczy Gergely z góry. — Przecie macie ogień. Zagrzejcie trochę lance.

Dwudziestu żołnierzy na raz przyskakuje do płonącego ogniska i wsadza weń końce lanc, by rozżarzyć je do czerwoności.

Turcy szczerząc zęby czyhają na nowe lance. Nie na próżno. Od razu dwadzieścia wysuwa się zza muru.

Chciwie chwytają je oburącz. Wściekłym przekleństwom tureckim odpowiada drwiący śmiech Węgrów.

17

Dziewiętnasty października, środa. Tego dnia mury twierdzy wyglądały już jak sito. Nic dziwnego. Twierdzę od trzydziestu dwóch dni ostrzeliwują ze wszystkich stron.

Pociski tureckie walają się wszędzie. Wieśniacy brzożowymi miotłami usuwają mniejsze, aby nie zagradzały drogi podczas szturm. Większe przenoszą do armat i na mury.

W murze między nową basztą a Ziemną zieje otwór w kształcie litery „V”. W baszcie więziennej widnieje ogromny wyłom. Baszta Ziemna przypomina raczej gniazdo os. Z baszty Bolykyego sterczą tylko dwa mury. Baszta narożna rozłupana od góry do dołu wygląda jak dziupla w pniu drzewa. Z ogrodzeń zostały tylko gdzieniegdzie krótkie odcinki. Budynki wewnątrz twierdzy to gołe mury bez dachów. W pałacu zaledwie trzy pokoje są do użytku, ale do nich też przecieka deszcz. Rynek także gruntownie zmienił wygląd. Przecina go teraz pięć głębokich rowów, służących za przejścia w czasie ostrzeliwania przez Turków.

A na zewnątrz murów wycie stada wściekłych wilków.

Naprawa murów odbywa się w dzień i w nocy bez przerwy. Łatają wyłomy belkami i deskami, wspartymi od wewnątrz przez kamienie.



Przy starej bramie Mekksey osobiście pomaga znosić kamienie. Strudżonym dodaje otuchy, wlewa im w serca wiarę w pomoc boską. Wszelkie znaki wskazują na to, że na tym odcinku walka będzie zaciekła. Dobo, Gergely i Mekksey na przemian badają mury. Wszyscy trzej doszli do wspólnego wniosku: baszta narożna nie jest w stanie obronić bramy, tu nieodzowne są ręczne bomby. Gromadzi się więc bomby na rusztowaniu. Na blanki wyznaczają najwyborniejszych strzelców.

Gergely dogląda wyrobu wiechci nasyconych smołą, „pigulek” i sękaczy; pilnuje, by je rozdzielano na wszystkie mury.

Zoltay czuwa nad naprawą baszty Sandora.

Fugedy przeprowadza umacnianie wyłomu na nowej baszcie za pomocą łańcuchów.

Dobo gna konno od baszty do baszty w miarę możliwości pod rusztowaniami. Często pomyka wśród świszczących kul. Czuwa, wydaje zarządzenia, by roboty postępowały równomiernie. Balazs podąża za nim na swoim bachmacie, aby roznosić rozkazy kapitana. Siedem wierzchowców padło już pod nim, ten jest ostatni.

Tego dnia Peto także dosiadł konia. Nogę miał obandażowaną do kolana. Był jeszcze blady, ale wąsy podkreślił. Mekksey przejął jego obowiązki przy starej bramie, on zaś zastępował Mekkseyego jako dowódca oddziałów zapasowych.

Peto głębokim, metalicznym głosem przysposabia swoich żołnierzy do walki.

— Już od trzydziestu dwóch dni napierają Turcy z przeważającymi siłami. Damy im radę. Wybijemy ich co do nogi! Królewska armia jeszcze nie nadeszła, ale nadejdzie! Jeszcze po stu latach świat podziwiać będzie egerczan, którzy w pamięci całej ludzkości pozostaną symbolem odwagi i bohaterstwa.

Wokół mówcy powstało zbiegowisko. Dobo także przystanął na chwilę, zaciekawiony.

Przy ostatnim zdaniu uśmiechnął się mówiąc do towarzyszącego mu Ceceyego:

— Po stu latach? — Właściwie mówił to raczej do siebie. I jak gdyby chcąc złagodzić wypowiedzianą na głos myśl, dodał wzruszając ramionami: — Zresztą, to nie ma znaczenia. My spełniamy święty obowiązek wobec narodu.

I już ruszył dalej do baszty Sandora.

Żołnierze słuchali Petogo z upojeniem. Płomienna mowa działała jak stare wino.

Peto zsunął szyszak na bakier i tak ciągnął dalej:

— Sam król przyjdzie tu do nas i uściśnie nam wszystkim rękę. To wielki zaszczyt, ale zaszczyt zasłużony. Słyszałem, że odtąd tylko spośród egerskich bohaterów będzie dobierał sobie oficerów. Po oblężeniu każdy żołnierz zostanie porucznikiem. Tak przynajmniej wszyscy mówią. Będą mogli nawet dojść do rangi kapitana.

Ostatecznie król też woli żołnierzy, na których będzie mógł polegać.

Tu spojrzął w bok i spostrzegł Cygana, który kozim skokiem podbił się w powietrze, wystraszony świstem pocisku.

— No, Cyganie, ilu Turków posłałeś na łono Mahometa?

— Niech ich kruki zadziobią! — odparł tamten, drapiąc się po głowie.

— Jak mnie zobaczą, to uciekają psiejuchy, aż się kurzy, wielmożny panie oficerze!...

\*\*

O zmierzchu z jednej z wyrw wyłoniła się głowa w białym turbanie.

Był to Miklós Vas.

Wciągnięto go na mur i zaprowadzono do kapitana. Po drodze z setek ust padało pytanie:

— Co nowego?

— Idzie armia! — oznajmiał wszystkim.

Radosna wieść echem przeleciała całą twierdzą.

Armia królewska idzie!

A przecież to kapitan Dobo kazał mu rozgłosić tę wieść po powrocie.

Znalazłszy się przed kapitanem Miklós Vas zdjął turban i wypruł z niego list.

Dobo spojrzął na pieczęć: list od biskupa. Ze spokojem otworzył pismo.

Siedzącego na koniu kapitana obstąpił tłum. Ludzie starali się z jego twarzy odczytać treść listu.

Ale twarz kapitana nie drgnęła: była jak z marmuru.

Dobo po przeczytaniu spokojnie złożył list i schował do kieszeni, po czym rozejrzał się, jakby zdumiony tym zbiegowiskiem.

Spośród poruczników tylko Peto był obecny. Kapitan zwrócił się do niego tak, aby i inni słyszeli:

— Panów poruczników poproszę na wieczór. Mam radosną wieść do zakomunikowania.

Poszedł do swego pokoju i zamknął drzwi za sobą. Rzucił się na krzesło. Marmurowa twarz przybrała wyraz smutku. Pustym, beznadziejnym wzrokiem patrzył przed siebie.

Owego dnia Dobo otrzymał i drugi list. Przyniósł go jakiś wieśniak od Turków. Czwarty posłaniec Alego paszy.

Było powszechnie wiadome, że Dobo rozprawia się krótko z posłańcami Turków. Zaprowadzono go zatem na rynek; niech go Dobo tam przyjmie na oczach wszystkich.

Wieczory już były chłodne. Zluzowani żołnierze rozniecili ogniska. Ten i ów przypiekał sobie słoninę, popijając ją szklanką wina rozcieńczonego wodą.

— Radzę spalić list, zanim pan kapitan zobaczy — odezwał się do wieśniaka jeden z życzliwych żołnierzy — bo inaczej, Bóg mi świadkiem, źle na tym wyjdziecie!

— Że to niby ja miałbym spalić? — odrzekł przybysz. — Przecie to nie moje.

— Ale przynieśliście od wroga!

— A od kogo miałbym przynieść, jak nie od tego, co go przysłał?

— Będziecie dyndać.

— Niby ja?

— No chyba! Już jednego naszego porucznika też kazał pan kapitan powiesić. A to był pan! Szlachcic! A nie byle chłop, jak wy.

Szubienica stała jeszcze na rynku. Chłop złął się nie na żarty; siódme poty na niego uderzyły. Z namysłem drapał się po głowie, wreszcie sięgnął do sakwy.

Na to nadjechał Dobo.

— Co takiego? — spytał. — Kto jest ten człowiek? Czego chce? Chłop wsunął sakwę za kozuch.

— Nazywam się Istvan Kovacs, całuję rączki — odparł obracając czapkę w palcach.

— Czego chcecie?

— Niby ja? Nic.

— Po coście przyszli?

— Ano... tak sobie... myślę sobie, trza zobaczyć, jak sobie radzicie, panowie, w tej biedzie.

— List przynieśliście? Co?

— Niby ja? Na Chrystusa! Ani kawałka listu nie przyniosłem. I czując na sobie przenikliwy wzrok kapitana, otarł spoczone czoło i powtórzył:

— Na Pana Jezusa, nie przyniosłem.

— Przeszukać go!

Chłop przybladł, ale bez sprzeciwu poddał się rewizji. Z sakwy wyciągnięto list skreślony na pergaminie, z ogromną pieczęcią.

— Spalić!

— Jeden z żołnierzy rzucił list w ogień. Chłop drżał jak osika.

— Patrzcie no! Skąd się to u mnie wzięło?... Chyba ktoś mi wetknął...

— usiłował się usprawiedliwiać.

— Nałożyć mu kajdany! — rzucił Dobo oschle. — I do lochu z gałganem!...

18

Dwunastego października na skutek wzmożonego ognia armatniego niebo było pochmurne, padał deszcz. Dopiero wieczorem rozplynęły się chmury, zerwał się lodowaty wiatr jesienny.

Obleżeni widzieli z muru, że Turcy gromadzą się w szańcach. Dobo tylko trzystu żołnierzom zezwolił na odpoczynek. Reszta załogi obsadziła wyłomy, gotowa do boju.

Koło jedenastej wiatr rozpędził ostatnie chmury. Księżycowa pełnia zalała Eger omal że dziennym światłem.

— Do broni! — zabrzmiał nagle głos, wnet powtórzony echem po całej twierdzy. — Wszyscy do broni!

Bębny zawarczały na alarm.

— Wróg szykuje się do nocnego ataku! Kto ma ręce i nogi, do broni!

Z ruin oblanych księżycowym światłem wyłaniają się i stają na murach postacie w hełmach i z dzidami.

Ksiądz Balint zjawiał się w pełnym uzbrojeniu w szeregach zapasowych. W rękach ma wielką kopię i tarczę. Dwóch karczmarzy dołączyło również. Młynarze, cieśle, rzeźnicy, chłopci — wszyscy czekają na rozkaz.

Każdy czuje przez skórę, że zbliża się ostatnia próba sił.

Za murem warczą bębny tureckie. Jak wezbrana woda po oberwaniu chmury napływają do aproszy szeregi wojska. Nad chmarą ludzką powiewają buńczuki. Za szańcami w świetle księżyca połyskują ozdobne kamienie i srebrzyste kółka na uprzęży.

Jasaulowie w piętrowych turbanach pędzą konno z miejsca na miejsce, ustawiając nacierające oddziały w bojowym szyku.

O północy błysnął pierwszy ogień z armat tureckich. Nieustanny huk trwa pięć minut i przez ten czas Turcy zasypują twierdzę pociskami.

Potem ze stu tysięcy gardzieli wydobywa się bojowy ryk: Bismillah! Allah! Buńczuki aż fruwią po murach.

Przed starą bramą rozpalono ze trzydzieści ognisk. Bomby i wiechcie słomiane skwierczą, aż zabłysną płomieniem. Wtedy fruwią iskrzącym się łukiem tysiące ognistych tęczy.

Wróg nie daje się zbić z tropu. Z pogardą śmierci i determinacją rzuca się do ataku. Zaledwie drabiny oblężnicze zostały sprawnie zaczepione o mur, już śmigają po nich jak wiewiórki janczarzy, asabowie i konnica, która w czasie oblężenia pełni rolę piechoty.

U góry czekany trzaskają o zaczepy drabin. Sypią się kule, grad kamieni zmiata wszystko przed sobą.

— Allah akbar! Ja kerim! Ja fettah!

Buńczuki padają gęsto, lecz coraz to nowe ręce je chwytają i znowu wznoszą. Na miejscu zepchniętych drabin wyrastają inne. Nad drgającymi ciałami konających fale świeżych oddziałów zalegają drabiny.

Gęste roje Turków pokrywają mur. Węgrzy dwoją się i troją. Dźgają wroga poprzez szpary, ale cóż! Turcy nie unikają nawet miejsc niebezpiecznych. Zrządzeniu losu pozostawiają, czy dzida przebija czyjś brzuch, czy też trafi w próżnię.

Wszystkie bramy twierdzy uległy zniszczeniu. Teraz Turcy stojąc na drabinach toporami rozbijają belkowanie wyłomów. Niekiedy padające z góry ciała porywają swym ciężarem toporników i toczą się w dół razem z nimi, tworząc u podnóża muru krwawą masę, którą za chwilę już tratują stopy wdzierających się na mur.

— Allah akbar! Ja kerim! Ja rahim!

— Jezusie, dopomóż!

Krwawa wichura huczy, szaleje.

Z pięćdziesięciu Turkom udaje się równocześnie wspiać do góry i zaczepić drabiny o palisadę. Płot wygina się na zewnątrz. Mekksey wyrywa topór z ręki stojącego w pobliżu żołnierza i jednym zamachem przecina powróż podtrzymujący ogrodzenie, które razem z uczepionymi doń Turkami wali się w przepaść, zmiatając po drodze setki napastników.

— Na mury! Na mury! — grzmi głos Mpkcseyego, on sam też chwytając kopię półtorasażniowej długości. Olbrzymie kule, kostki kamienne i półcetnarowe pociski tureckie skrzętnie wyzbierane w twierdzy padają raz po raz na kłębiącą się u dołu ciżbę, która także nie próżnuje.

Świszczą strzały, lecą kamienie. Spod przyłbicy Mekkseyego spływa krew.

— Panie kapitanie... — ostrzegają go żołnierze.

— Ognia! Ognia! — wrzeszczy Mekksey.

I żelaznym nagolennikiem strąca w dół żar z ogniska.

Węgrzy także giną, ów spada za mur, inny do wewnątrz twierdzy. Nikt już teraz nie liczy zabitych. Najbliżej stojący zajmuje miejsce zabitego i wali kamieniami, gołą ręką rzuca pociski armatnie. Tych, którym udało się wspiąć na mur, obrońcy przyjmują razami czekanów i kopii.

Na Baszcie Ziemnej toczy się równie zażarta walka. Tam Dobo dowodzi obroną. Gdy Turcy przedarli się przez piekło pękających bomb i płonących wieńców, kazał spuszczać z góry belki, które strącały wroga z drabin.

W wolnej chwili pognął do starej bramy, by tam sprawdzić przebieg walki. W drodze powrotnej przerzucił załogę baszty więziennej, gdzie panował względny spokój, do pomocy walczącym na Baszcie Ziemnej.

Żołnierze, którzy wspiąwszy się na armaty i na palisadę przez cały czas ataku beczynnie śledzili przebieg zażartej walki na sąsiedniej baszcie, z zapalem rzucili się na odsiecz.

Ale już po ich odejściu Turcy niespodziewanie przypuścili atak na basztę więzienną. Z początku przystawili do muru dwie, trzy drabiny, stopniowo liczba drabin wzrosła do piętnastu, a gdy przekonali się, że nie spadają stamtąd na nich kamienie ani płonące wiechcie, błyskawicznie ruszyli w górę.

Stary Sukan, całkowicie pochłonięty widokiem krwawego boju toczącego się na sąsiedniej baszcie, nagle ujrzał przed sobą szyszak zasapanego Turka.

— Tfu! Niech cię lichy! — ryknął zaskoczony.

Nastawił kopię i pchnął ile sił. Turek runął z drabiny, wraz z tymi, którzy pchali się za nim.

— Hej! Ludzie! Tutaj! — ryczał Sukan na całe gardło, rozprawiając się dzielnie z napastnikami już przy następnej drabinie.

Pierwszy skoczył ogniomistrz Janos Pribek i rąbnął stołkiem w oczy Turka niosącego chorągiew.

Wartownik z dołu pobiegł sprowadzić pomoc. Nie minęły dwie minuty i Peto na czele jednego z wypoczętych oddziałów pojawił się

na murze, szczerze obsypując atakujących zapalonymi wieńcami, kamieniami i pociskami.

Ten niespodziewany atak przyciągnął uwagę kapitana Dobo. Widząc, że drzewce węgierskiej flagi zostało złamane przez pocisk, kazał Istvanowi Nagy przynieść chorągiew zluzowanego oddziału.

Świtało.

Istvan Nagy oblany różową poświatą wschodu biegł w górę z flagą. Bez pancerza i hełmu wspiał się na szczyt baszty i szukał żelaznego uchwytu, aby zatknąć drzewce.

— Zostaw! — woła Dobo.

Istvan Nagy łapie się za serce, zatacza i osuwa przy armacie. Dobo chwyta sfruwającą ku niemu flagę i oddaje ją Bocskayemu.

— Trzymaj!

O brzasku Turcy przypuszczają atak także na basztę Bolykyego. Osiem chorągwi rusza do forsowania murów. Blask wschodzącego słońca gra purpurą na złocistych ozdobach buńczuków.

Turcy już tyle razy wykrywawili się przy tej baszcie, że jedynie janczarzy, najbardziej zaprawieni w bojach, ważą się na ponowną próbę. Całe ciało, głowy wraz z szyją i twarzą, okrywają im lekkie zbroje siatkowe. Cicho stąpają w safianowych papuciach.

Na baszcie Bolykyego Gergely i Zoltay o głodzie i chłodzie trwali na stanowiskach. Czuwali przez całą noc. Skazani na bezczynność, nasłuchiwali tylko odgłosów krwawych walk przy trzech innych basztach.

Wreszcie nastał dzień.

Okolo dwustu asabów z napełnionymi wodą bukłakami ustawiło się pod basztą, za daleko jednak, by można było obsypać ich płonącymi wiehczami.

Turcy tym razem nie posłużyli się drabinami. Gdy obrońcy ukazują się na murach, z dołu świszczą strzały, tysiące rąk obrzuca ich gradem kamieni.

Kamienny pocisk ugodził Zoltayego w głowę. Na szczęście był w hełmie. Tylko kłamra zapinki została zmiażdżona. Zaklął:

— Poczekajcie, psy przeklęte! Już ja za to niejednemu z waszych rozłupię głowę!

Wkrótce słyhać było jego wołanie:

— Masz za mój szyszak! A to na pamiątkę z Egeru!

Nagle nad taborem tureckim uniósł się jakiś wielki przedmiot z krowiej skóry, niesiony przez pięćdziesięciu asabów. Pod tym dziwnym nie wiadomo czym postępowano ze dwustu janczarów.

Gergely miał przygotowane beczki ogniste i przesycone oliwą wiechcie.

Olbrzymi dach powoli, niby gigantyczny żółw, zbliżał się do muru. Turcy widać zmądrzeli. Skóra ociekała wodą. Nim zapłonie, uda im się dotrzeć do celu. A może skóra wcale nie da się zapalić.

Słońce wyłoniło się zza gór i świeciło wprost w oczy obrońcom baszty Bolykyego. Nawet słońce sprzyjało Turkom.

Zaledwie ruchomy dach dotarł blisko muru, Gergely wrzasnął:

— Padnij!

Żołnierze z początku nie zrozumieli przyczyny rozkazu. Huk strzałów i grad kul dał im wyjaśnienie.

Turcy zastosowali nowy fortel: wokół olbrzymiego dachu jak puszczalki organów sterczały lufy skierowane na obrońców.

— Powstań! — krzyknął Gergely po salwie. Turcy nie bali się już beczek ognistych, po prostu uskakiwali przed nimi i parli naprzód.

— Dwie beczki! — zagrział głos Gergelya.

Trzecią sam przytoczył i zapalił lont.

Dwie ogniste beczki wyrąbały ścieżkę w kłębiącym się pod palisadą tłumie. Na trzecią porwał się jakiś tęgi janczar, wepchnął ją do dołka i zasypał ziemią. Właśnie udeptywał ziemię, gdy beczka wybuchła, powalając dwudziestu stojących w pobliżu Turków, a ów tęgi janczar wyleciał w powietrze wraz z beczką.

Eksplozja stropiła prących do góry. Lecz od dołu rozbrzmiewały już dzikie okrzyki jasaulów: Ileri! Sawaul! Bukłakami gaszono rozsiany wokół ogień; słychać było bulgot wody i syk buchającej pary.

— Kamienie! — zawołał Gergely. Czekał, aż chmara nieprzyjaciół pokryje mury i drogi.

Turcy wśród dzikich ryków: Allah!, dźwięku trąb i warkotu bębnow rzucili się do ponownego ataku. Las drabin zbliżał się do muru.

Pewien janczar zarzucił na mur linę zakończoną mocnym hakiem i ściskając w zębach jatagan, z małpią zręcznością wspinał się po niej.

Padające z góry kamienie strąciły mu szyszak z łysej głowy, podobnej do melona i przeciętej zasklepioną blizną.

Turek niewzruszenie wspinał się dalej.



Gergely chwycił za dzidę. Zbliżywszy się na sążęń, Turek podniósł spoconą twarz: dyszał jak niedźwiedź!

Gergely skamieniał.

Ta twarz. To przecież twarz księdza Gabora, jego dawnego nauczyciela! Te same szare oczy, te same cienkie wąsy, mocne sklepione czoło!...

— Tyś brat księdza Gabora! — wrzasnął ku Turkowi.

Ten, nic nie rozumiejąc, wybałuszył tylko oczy.

— Zabijcie go! — krzyknął Gergely odwracając się. — Zapomniał już nawet po węgiersku.

\*\*

Krwawy szturm trwał do zachodu słońca. Wówczas wycieńczeni Turcy wycofali się do obozu. Wokół murów twierdzy leżały tysiące zabitych i rannych, których jęki, skomlenia i wołania: — Ej wa! Meded Allah! — wypełniały powietrze.

Lecz i w obrębie twierdzy pokotem leżeli ranni i polegli. Wewnętrzne mury zbryzgane były krwią. Ludzie spoceni, obszarpani, z oczyma nabiegłymi krwią, ociekali posoką. Słaniające się ze zmęczenia kobiety zbierały rannych i zabitych.

Oficerowie poszli zmyć z siebie brud. Dobo był także okopcony, z osmaloną brodą i wąsami: bez szyszaka kapitańskiego na głowie nikt by go nie poznał.

W takim stanie przyjmował jeszcze meldunki przy armacie Baba.

— Mam sześćdziesięciu pięciu zabitych i siedemdziesięciu ciężko rannych. Zużyto pięć cetnarów prochu — zameldował Mekksey.

— Trzydziestu zabitych i stu dziesięciu rannych. Prochu osiem cetnarów — złożył z kolei meldunek Bornemissza. — Wyłom jeszcze tej nocy musi być naprawiony.

— Trzy cetnary prochu, dwudziestu pięciu poległych, około pięćdziesięciu rannych — zdawał sprawę Fugedy, trzymając się za twarz.

— Co to? Jesteś ranny? — zapytał Dobo.

— Nie — odpowiedział Fugedy — ale ząb mnie tak boli, jakby rozżarzona dzida przewiercała mi twarz.

Dobo spostrzegł Varsanyiego między składającymi raport.

Szpieg miał na sobie strój derwisza, tak przesiąknięty krwią, że wyglądał jak opasany długim czerwonym fartuchem.

— Varsanyi — przerwał Dobo meldunki — chodź tu! Jesteś ranny?

— Nie — odparł Varsanyi — musiałem pomagać przy zbieraniu tureckich trupów, przy tej okazji udało mi się wejść do twierdzy.

— I co nowego?

— Mości pan Szalkay po raz drugi rozesłał listy do komitatów i grodów.

— No i co? Nic?

— Owszem, zgłosiło się kilku ludzi z różnych stron — odpowiedział Varsanyi cierpko — ale czekają jeszcze, aż zbierze się większy oddział, żeby całą kupą uderzyć na Turków.

Dobo zrozumiał: Szalkay nie otrzymał odpowiedzi znikąd.

— A co u Turków?

— Od czterech dni kręcę się wśród nich i wiem, że są okropnie rozgoryczeni.

— Powtórz głośniej! — oczy kapitana zabłyśły.

Szpieg powtórzył głośno, by mogli usłyszeć stojący wokół:

— Turcy są okropnie rozgoryczeni, panie kapitanie. Pogoda dla nich już nieodpowiednia, za zimno. Nie mają co jeść. Wczoraj jakiś wieśniak z Nograd przywiózł pięć fur mąki, a ci jak szarańcza napadli na niego, napchali sobie kieszenie i czapy, jedli garściami na surowo. Ale co to znaczy dla tylu ludzi? To kropla wody w morzu...

— Krzysztofie — zwrócił się Dobo do giermka — pobiegnij do rzeźników. Najlepsze woły dla załogi. Dziś wszyscy mają dostać pieczeń.

I znów zwrócił pytający wzrok na szpiega.

— Janczarzy już wczoraj szemrali — podjął na nowo szpieg.

— Głośniej!

— Janczarzy się już buntują — zagrzmiał Varsanyi. — Mówili, że Pan Bóg Węgrom pomaga. Gadali, że znają się na rozmaitych narzędziach wojennych, ale nie potrafią walczyć z takimi piekielnymi machinami! Nigdy jeszcze nie widzieli na oczy takich ognistych cudów, jakie mają Węgrzy.

Dobo przez chwilę zamyślony patrzył przed siebie.

— Za godzinę — rzekł — bądź przed pałacem. Miklósa Vas odprowadzisz znowu do Szarvaskó.

Po czym zwrócił się do Sukana.

Stary Sukan miał głowę i nos tak opatulone, że z twarzy widać było tylko szparki oczu i wąsy. Mimo to zameldował dziarsko:

— W dniu dzisiejszym zużyliśmy dwadzieścia cetnarów prochu.

Wschodzące słońce, przebiwszy się przez mgłę, spojrzało na okopconą, zakrwawioną twierdzę, na poszczerbione mury. Tu i ówdzie pełzał jeszcze dym z wypalonych belek i zwęglonych beczek ognistych. Wszędzie odór cuchnącej padliny, trupów i stert śmieci.

Wrogi obóz obserwowany jest nieustannie z murów i wyłomów. Ale nie widać nikogo prócz derwiszów, którzy zbierają zabitych. A mają co zbierać...

Armaty milczą. Słońce, wytoczywszy się jakby niechętnie, skulone na niebie, spogląda na kotliny i miasto Eger spowite w mgłę aż po szczyty kościelnej wieży.

Mgła podniosła się dopiero około godziny ósmej. Słońce rozpromieniło się i jakby chciało pocieszyć świat, wiosennie i łagodnie świeciło z błękitu.

W twierdzy kobiety i wieśniacy układają poległych na taczkach i wozach. Ksiądz Balint grzebie zmarłych, a ksiądz Marton udziela konającym ostatniego namaszczenia.

Spokój panujący we wrogim obozie okazuje się pozorny. Bo oto nagle rusza ku twierdzy olbrzymia ława wojska. Prawdopodobnie zjednoczone siły dwóch armii rzucono na podbój mocno już nadszarpniętej twierdzy.

Po zażartym boju nocnym załoga nie opuszczając murów zapadła w kamienny, krzepiący sen. Tak zarządził Dobo. Na basztach czuwały jedynie straże. Oficerowie też spali snem głębokim, podobnym do śmierci. Porucznik Bornemissza wyciągnął się pod armatą Żaba i o ósmej spał jeszcze tak mocno, że ani drgnął na dźwięk trąby. Okręcił się grubym wełnianym kocem, jego długie czarne włosy oprószył szron. Meksej przysłonił mu osmaloną twarz chustą i przykrył go swoim płaszczem.

Dobo kazał nabić garłacze i móżdżierze drobnymi gwoździami. Na jego również rozkaz zatarasowano wyłomy ładownymi wozami. Mniejsze wyrwy pozatykano beczkami, belkami, skórą, czym się dało. Miejscami murarze poobciosywali gładko palisadę na murze, aby drabiny oblężnicze nie mogły się zaczepić. Na szczycie murów zgromadzono zapas kamieni. Kotły, sagany i większe naczynia kobiety napełniały wodą. Cały zapas smoły przygotowano obok kotłów. Cynową rynnę zdjęto z dachu pałacu, połamano na drobne kawałki i przydzielono je kanonierom. Kucharze dostali rozkaz

upieczenia na obiad wołów na rożnie. Na rynku czekały na zluzonych góry chleba. Mihaly, prowiantowy, patrzył przez palce, kto ile je. Ubrany w jasnobrązowy dolman i żółte buty, kręcił się po rynku. Do swojego wykazu wpisał tylko: czternastego października — siedemset bochenków...

Turcy napływali z gór i pagórków nieprzerwaną falą jak wezbrana rzeka.

O godzinie dziesiątej trębacze na rynku zatrąbili na zbiórkę. Rynek się zaludnił. Na wszystkich prawie bieleją opatrunki. Rany nie są ważne w takiej chwili: twierdza potrzebuje każdego, kto jeno żyw.

Pośrodku rynku jedwabne, wypłowiałe już chorągwie kościelne z wizerunkami Matki Boskiej, świętego Stefana i świętego Jana łopocą na wietrze. Ksiądz w fioletowym ornacie staje przy ołtarzu, skleconym naprędce z desek i skąpo przyozdobionym. Na ołtarzu tabernakulum.

Ważą się losy twierdzy.

Wszyscy są odświętnie przyodziani, umyści i starannie uczesani. Oficerowie w barwnych strojach i czerwonych butach z ostrogami; wąsy podkreślone z wielką dbałością, na szyszakach powiewają pióra. Mekksey w stalowym, dobrze dopasowanym, błyszczącym pancerzu. U boku dwie szable: jedna z głowicą w kształcie węża, którą przypasuje tylko w chwilach uroczystych.

Gergely Bornemissza zjawił się w kolczudze, w ostro zakończonym szyszaku z trzema białymi czaplami piórami na głowie. Pióra przytrzymała srebrna łapka. Na ramiona narzucił czerwony skórzany dolman. Na ręce wciągnął jedwabne rękawice, nabijane drobnymi stalowymi łuskami. Na szyi wykładany kołnierz naszywany złotem.

Zoltay nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— Kołnierz jak u pana młodego.

— To robota mojej żony — odpowiedział Gergely z powagą. — Nie na cześć Turków włożyłem... — A w myśli dodał: na cześć śmierci...

Zoltayego opinał jasnobrązowy dolman — u boku dwie szable. Hełm bez przyłbicy, tylko ze stalowym pręcikiem, sięgającym końca nosa, i ze spadającym na szyję drucianym welonem. Zapewne zdobycz z ostatniego wypadu.

Fugedy od stóp do głowy w stali. Oczy ma mętne. Skarży się na ból zęba.

— Wstyd, nie wstyd, ale to wściekły ból.

— To nic. Wściekłość dodaje animuszu — pociesza go Zoltay.

— Mnie i bez bólu nie brak animuszu — odpalił Fugedy.

Peto, którego noga jeszcze się nie wygoiła, przybył konno. Stanął w tyle i stamtąd oddał honory starszyźnie.

Zebranych ogarnął uroczysty nastrój. Każdy czuł nad sobą cień śmierci, a śmierć to dostojna pani, przed nią wszyscy chylą głowy z pokorą. Oczy zaczerwienione od nieprzespanych nocy i dymu goreją w powleczonej ołowianą bladością twarzach, znaczonej śladami świeżych lub zagojonych już ran.

Czekają na kapitana Dobo.

Nadchodzi w błyszczącej zbroi. Na głowie złocisty szyszak, na nim orle pióro. U boku szeroka szabla, w pochwie wysadzanej drogimi kamieniami. Na dłoniach rękawice ze srebrnych ogni. W ręku lanca o złotym ostrzu i aksamitnym uchwycie. Za nim postępowali dwaj giermkowie, także w zbroi i przy szablach. Włosy ich miękko spływały na ramiona.

Dobo stanął przed ołtarzem, zdjął szyszak.

Wzruszenie tak ścisnęło gardła księży, że Mekcsey musiał pierwszy zabrać głos.

— Bracia i siostry. Po wczorajszej porażce Turcy uderzą dziś na twierdzę całą siłą. Ale my ich odeprzemy. Wbrew woli Boga poganie nas nie zwyciężą. A Bóg jest z nami. Tu, w tym Najświętszym Sakramencie. Padnijmy na kolana przed nim i módlmy się.

Szczęk broni — wszyscy osuwają się na kolana.

Miast księdza Mekcsey podjął modlitwę.

— Ojcze nasz...

Tłum wtóruje mu szeptem.

Po modlitwie zapadła długa, uroczysta cisza. Ksiądz Marton nachylił się do Mekcseyego i szepnął mu coś do ucha.

Mekcsey wstał i ciągnął dalej:

— Dwaj wierni słudzy Boga podniosą Najświętszy Sakrament na znak rozgrzeszenia. W chwilach zgrozy bowiem Kościół zezwala na odpuszczenie grzechów bez spowiedzi. W duszy niech każdy żałuje za swe grzechy ze skruchą.

To rzekłszy ponownie opuścił się na kolana.

Ministrant dzwoni. Ksiądz Balint podnosi Najświętszy Sakrament. Załoga i ludność twierdzy skłoniwszy głowy słuchają, jak sędziwy

ksiądz wypowiada słowa rozgrzeszenia, a potem postawiwszy Najświętszy Sakrament na ołtarzu, wznosi ręce do błogosławieństwa i pełnymi łez oczami spogląda w nieskażony błękit nieba.

Po zakończeniu ceremonii Dobo wkłada szyszak, staje na kamieniu i zaczyna uroczystym głosem:

— Przez usta księdza Martona słyszeliście głos Boga Wszechmogącego. A teraz ja chcę wam powiedzieć kilka słów. Trzydzieści cztery dni temu złożyliśmy przysięgę, że nie oddamy twierdzy. Przysięgi dotrzyaliśmy. Nasza twierdza przetrwała zaciekły napór wroga, jak skała granitowa wystawiona na biczowanie rozhukanych fal. Teraz czeka nas ostatnia próba. Prosiłszy Boga o pomoc. Oczyszczeni z grzechów ruszymy do decydującego boju. Bezprzykładna jest bohaterska obrona twierdzy i bezprzykładną klęskę ponieśli tu Turcy. Wierzę w nasz oręż. Wierzę w gorące serca moich rodaków. Wierzę w Matkę Boską, opiekunkę Węgier. Wierzę w króla Węgier, świętego Stefana, którego duch nigdy nas nie opuszcza, a ponad wszystko wierzę w Boga Wszechmogącego. Do broni! Za ojczyznę i za twierdzę!

Zawarczał bęben i zabrzmiał róg.

Żołnierze z pogardą śmierci chwycili za dzidy i podzielili się na grupy. Dobo dosiadł rumaka. Dwóch giermków jechało za nim.

Z baszty Dobo rozejrzał się wokół. Na łąkach i pagórkach pasły się tabuny tureckich koni. Dokoła murów ruchomy las kopii. Turcy morzem otaczają twierdzę.

Gołym okiem widać już obydwu paszów, stojących na Krześle Króla. Ali pasza w ogromnym jak melon turbanie: ma żółtawą twarz starca. Drugi pasza to olbrzym o siwej brodzie. Obydwaj w niebieskich jedwabnych kaftanach. Krótka, wysadzana diamentami broń za pasem skrzy się przy każdym poruszeniu.

Begowie na wspinających wierzchowcach wiodą armię do ataku. Wśród różnobarwnych tureckich chorągwi rzuca się w oczy duża czarna płachta na drzewcu. Widok jej wywołuje na murach szmer. Oficerowie znają znaczenie czarnej chorągwi: nie ma litości. Śmierć obleżonym.

Okolo południa zahuczały działa i jednocześnie rozbrzmiały dwie kapele.

Z zewnątrz twierdzę otacza chmura dymu. Mury drżą od wrzasku: Allah akbar!...

W twierdzy rozniecają ogniska.

\*\*

Na rozkaz kapitana wieśniacy i kobiety zebrali się przy kotłach i pod murami. Nawet chorzy i ranni zwlekli się, aby pomóc walczącym. Choćby tylko rozkazy podawać z ust do ust. Niektórzy, co mieli obie ręce na temblaku, pilnowali ognisk, nogą podsuwając szczapy pod kocioł.

W domach pusto. Gdzieniegdzie tylko drobne dzieci, a w pałacu dwie kobiety.

Jedna to Baloghowa. Jakże drży o syna! Ale cóż, sama przecież powierzyła kapitanowi wychowanie jedynaka, by pod jego okiem wyrósł na bohatera. To prawda, ale... chłopiec nie wyzdrowiał jeszcze na dobre, jakże sprostą okrutnej walce. Chciała już błagać kapitana, żeby oszczędzał jej syna, ale gdy stanęła przed nim, rozwiały się wszelkie obawy. Żelazna wola kapitana przełamывała wszystkie opory. Na samo skinienie jego ręki każdy bez sprzeciwu wykonywał rozkazy.

Bo i jaki los spotkałby twierdzę, gdyby kapitan choć drzeniem powieki okazał strach? Nawoływał do przezorności, kazał wkładać pancerze, chronić się pod hełmy i za tarcze, ale gdy śmierć się jawiła na murach, nie szczędził nikogo; bez pardonu rzucał w jej objęcia całą załogę.

Nikt nie jest droższy, cenniejszy niż ojczyzna.

Każdy dzień oblężenia był dla Baloghowej męką. Drżała, kiedy rano syn wyruszał z kapitanem. Nie zaznała ani chwili spokoju. Może już trafiła go kula? Cieszyła się, gdy giermek Krzysztof zluzował go w służbie i Balazs wrócił do pałacu zmęczony i osmalony prochem. Witowała go, obcałowywała, jakby wrócił z dalekiej podróży. Przygotowywała mu kąpiel, czesała jego długie jedwabiste włosy, zastawiała stół najsmakowitszymi kęsami.

— Kto z oficerów poległ, kto jest ranny? — brzmiało pierwsze pytanie Baloghowej i Ewy.

Chłopak nie wiedział, kim jest Ewa. Myślał, że to jakaś pani z Egeru, którą matka wzięła sobie do pomocy. Toteż swobodnie opowiadał o wydarzeniach. Zawsze zaczynał od wyliczenia, kto został tego dnia zabity, a kończył hymnem pochwalnym na cześć porucznika Bornemisszy. Dusza chłopaka pełna była podziwu i uwielbienia dla

Gergelya. Jaki on pomysłowy! Szczegółowo opowiadał, ilu Turków zasieki w walce i w jaki sposób.

Ewa słuchała go z oczyma gorejącymi w bladej jeszcze twarzy. Była dumna z męża. Gdy na zakończenie Balazs oświadczył, że takiemu jak Gergely Turcy nigdy nie dadzą rady, na skupionym licu Ewy zakwitł uśmiech.

Przez cały czas krwawych walk dwie kobiety tkwiły w oknie pałacu. Przez wąską szparę widziały uwijającą się załogę, dym i błysk wystrzałów, golibrodów biegnących po czystą wodę, a potem rannych, coraz więcej rannych, coraz okropniej zmasakrowanych.

Cała ich uwaga skupiła się w końcu na rannych. Boże, kto to?... Czy to Balazs! Czy nie Gergely! Dzięki Najwyższemu!... A ten?... Też nie... A może zostali zabici i zabrano ich od razu na cmentarz. A może leżą gdzieś brocząc krwią? Może walczący tratują ich...

Ewa drży także o ojca. Często widuje sędziwego starca, jak przechodzi przed pałacem stukając drewnianą nogą. Na ramieniu ogromny łuk. Kołczan pusty już lub jeszcze pełen strzał. Zagryza wargi, by nie krzyknąć: — Tato! Tatko! Uważaj na siebie!....

Tego dnia, gdy zahuczały działa, kobiety objęły się płacząc.

— Módlmy się!

— Módlmy się!

Uklęły, czołem uderzyły o podłogę i modliły się żarliwie. A razem z nimi modliło się na północnych Węgrzech tysiąc pięćset kobiet. Modliły się w dzień i w nocy. Daleko od twierdzy niewinne dziecięce usta błagały Pana, modliły się o walczącego w Egerze ojca:

— Boże miłosierny, uchronij nam naszego ojca! Spraw, by powrócił do nas...

Piekielny zgiełk, huk armat, głos trąb, okrzyki „Jezusie!”, ryki „Allah!”. Ciężkie, rozplywające się powoli chmury dymu...

Niosą już pierwszych rannych. Na taczkach — młody blady żołnierz. Pocisk urwał mu nogę. Cyrulicy opatrują go z grubsza. I tak wykrwawi się biedak za godzinę-dwie...

Już jest następny, po nim trzeci, czwarty... Twarz jednego zmasakrowana. Oczy mu wypłynęły... Zęby wyszczerzone jakby w straszliwym śmiertelnym śmiechu. Drugiemu strzała sterczy z szyi. Trzeci trzyma się za prawy bok, a ręka jego wygląda jak w czerwonej rękawiczce. Krew bucha z rany obfitym strumieniem. Siada na ziemi i w milczeniu czeka, aż mgła śmierci zasnuje mu oczy.



Dobo przemyka przed pałacem, za nim galopuje giermek Krzysztof.

— A mój Balazs? — zapytują zatrwożone oczy matczyne.

— Widać go tam, pędzi w stronę baszty Sandora: na pewno z jakimś rozkazem. Chwała Ci, Boże!

Biada! Biada!

Cyrulicy mają już pełne ręce roboty. Okrzyki tureckie stają się coraz bardziej podobne do zwierzęcych ryków; gęsty jak jesienna mgła dym spalonego prochu zasłania okolice wschodniej i północnej baszty i ściele się aż ku pałacowi.

— Boże, mój Boże! — rozpacza Baloghowa — co z nami będzie, jeśli Turcy się wedrą?

— To i ja zginę — mówi Ewa bledsza niż ściana.

Wchodzi do sali rycerskiej. Wraca z jedną z szabel kapitana. W skupionym zamyśleniu kładzie ją na stole. Przez uchylone okno słyszczyć skomlenia i jęki żołnierzy.

— Oj, moje oczy, moje oczy! — pokrzykuje jeden. — Już nigdy nie zobaczę świata bożego...

— Co ja pocznę — żali się drugi — bez ręki?

Golibrody nie mogą już sobie poradzić z tyloma rannymi, choć kobiety pomagają dzielnie, obmywają rany, nacierają ałunem, opatrują.

— Oby Pan Bóg pozwolił nam przetrwać — wzdycha młody chłopak, siedząc w zakrwawionej koszuli i trzymając się za brzuch, rozpruty dzidą.

Baloghowa drży jakby w gorączce.

— Musimy wyjść! — mówi udręczona. — Musimy pomagać!

— Ale czy i mnie wolno wyjść? Wyjdę! Niech się dzieje wola boska! Ani dane słowo, ani rozkaz nie mogą być wiążące, gdy idzie o życie ludzkie!

Lekki wiatr rozsunał ciemną zasłonę dymu. Baloghowa otwiera drzwi i wyteża wzrok ku baszcie więziennej. Widzi, jak w kłębach dymu Dobo straszliwym ciosem szabli rozwała głowę jakiemuś Turkowi, który wdarł się na mur, a potem nogą spycha zabitego w dół.

Giermek Balazs stoi za nim w stalowym szyszaku, ze spuszczoną przyłbicą. Pod pachą lanca, w ręku obuszek i druga szabla kapitana.

Chwilami słońce przebija ciemną zasłonę. Jesienna pogoda przejmuje chłodem, ale walczącym jest gorąco jak w najbardziej upalny dzień. Dobo jednym szarpnięciem odpina szyszak i rzuca go Balazsowi.

Wyciąga z pasa chusteczkę i ociera spotniałą twarz, po czym z odkrytą głową walczy dalej.

Giermek Balazs nie wie, gdzie podziąć złocisty szyszak, w końcu wkłada go na własną głowę. Znowu zasnuwa ich dym. Baloghowa wydaje jęk rozpaczy.

Dym, jakby zrozumiał ból matczynego serca — rzednieje. Balazs trwa bez ruchu na murze, nie spuszczać oczu ze swego pana.

— Synku, cofnij się trochę! Stań niżej! — wyrwał się krzyk z piersi matki.

Głos trwogi ginie w piekielnym hałasie.

Baloghowa macha ręką, by zwrócić uwagę syna. Lecz on nagle wypuszcza z ręki szablę kapitana. Słania się przez chwilę, by wreszcie bezwładnie osunąć się na ziemię. Złocisty szyszak spada mu z głowy i toczy się po murze.

Matka z rozdzierającym krzykiem wypada z drzwi. I już klęczy przy swym dziecku. Płacze, obejmuje syna; łkając woła go po imieniu:

— Balazs! Balazs!

Dobo ogląda się, podnosi z ziemi szyszak. Ruchem dłoni daje znak jednemu z żołnierzy, który dźwignawszy nieprzytomnego chłopca niesie go do komnat matki.

Chłopak leży z krwawiącą raną na szyi, bez życia, niby ustrzelony gołąb.

— O! nie mam już syna! — rozdzierająco zawodzi matka.

— A może tylko przytomność stracił — pociesza żołnierz. — Ale ja... Ja może już pójdę...

— Biedny Balazs! — Ewa zalewa się łzami.

Odpina mu szyszak, zdejmuje pancerz i nagolenniki.

Na szyi chłopca zieje duża rana. Kula trafiła w pas a wyszła przez szyję.

Twarcz wdowy wykrzywia straszliwy ból. Oczy nabiegają krwią. Porywa leżącą na stole szablę Dobo i przedzierając się przez kłębowisko ludzi, biegnie na Basztę Ziemną, gdzie krzątają się już inne kobiety.

Wnoszą na mur gotującą się wodę, smołę i ołów.

— Dajcie trochę wody do picia! — wołają spragnieni żołnierze w chwilach względnego spokoju. — Wody! Wody!

— Kobiety do piwnicy! — grzmi Dobo. — Odszpuntować wszystkie beczki, przetoczyć wina w dzbany i przynieść żołnierzom!

Część kobiet, usłyszawszy krzyk kapitana, pędzi co tchu po wino.

Żak Imre pełni tam wartę ze strzelbą na ramieniu. Na widok nadbiegających kobiet wsadza klucz w zamek.

— Dla oficerów? — pyta Kocsisową.

— Dla wszystkich, panie żaku. Kapitan rozkazał.

Żak szeroko otwiera drzwi piwnicy,

— Tam przy ścianie są najlepsze beczki! — rzuca w pośpiechu i spuściwszy przyłbicę i wyrwawszy szablę z pochwy puszcza się dziarskim biegiem ku Baszcie Więziennej, której poharatane mury Turcy szturmują zwartą masą. Niektórzy są już na baszcie, podejmując morderczą walkę z załogą. Dobo właśnie chwyta za gardło jakiegoś olbrzyma, którego same kości ważą ze dwa cetnary. Usiłuje go zepchnąć, lecz Turek ani drgnie. Przez chwilę stoją oko w oko, ziejąc nienawiścią. Dobo napręża mięśnie, spycha Turka na skraj muru i zrzuca go na dziedziniec. Turek, zgubiwszy w upadku szyszak, ląduje na kupie kamieni.

Ale już się dźwiga i rozgląda za kamratami. Wtem dopada go Baloghowa. Z piskiem, zamachnąwszy się straszliwie, tnie Turka w kark, głowa mu prawie odpada po tym ciosie.

Pozostałe kobiety także dzielnie walczą na baszcie. Nie czekając na żołnierzy, pochłoniętych zmaganiem na śmierć i na życie, same chlustają wrzątkiem z kotła, smołą i topionym ołowiem na wspinających się po drabinach Turków.

Martwi padają, lecz szeregi żywych mnożą się i mnożą jak grzyby po deszczu. Wrząca woda, smoła, ołów, staczane w dół głązy na chwilę zaledwie czynią spustoszenie na murze, po zwałach zabitych nowe zastępy wspinają się w górę, żywi wydzierają z rąk poległych proporce: i końskie ogony znów łopoczą na drabinach.

— Allah! Allah! Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Dobo zdumiony patrzy na walczącą obok Baloghową, ale nie ma czasu na rozmowę. Po jego lśniącej zbroi ścieka krew.

Baloghowa raz po raz zadaje ciosy wspinającym się na mur Turkom, aż ugodzona dzidą osuwa się na rusztowanie.

Nikt jej nie ratuje. Zażarta walka toczy się już na szczycie muru. Żywi tratują konających i poległych. Dobo, wskoczywszy na wystający głaz, spogląda w dół.

U podnóża muru pełno agów. W ręku bega Velego czerwony aksamitny sztandar, na którego widok wojownicy tureccy na nowo wznoszą okrzyki:

— Allach z nami! Wybiła godzina zwycięstwa! To sztandar niezwyciężonego paszy Alego. Od wiosny tego roku tryumfująco łopotał już na trzydziestu twierdzach, jako symbol chwały i potęgi tureckiej.

Beg Veli gna ze sztandarem ku Baszcie Ziemnej. Tam obrona najsłabsza, kobiety już walczą na murach.

Dobo spostrzegł sztandar z błyszczącym złotym napisem, posyła gońca do Petógo i sam także spieszy na Basztę Ziemną.

Toczy się tam zaciekle walka wręcz. Co chwila jakiś Turek wynurza się z chorągwią i znika w kłębowisku. Straszliwe zapasy za ciemną zasłoną dymu, na tle której jak komety fruują ogniste wieńce.

— Jezusie! — krzyczy jedna z kobiet.

Dobo dopada baszty w chwili, gdy kamień rzucony z zewnątrz godzi w głowę Matyasa Szór, młynarza z Maklar. Ten zatacza się, lecz zanim zdążył osunąć się na ziemię, jakiś barczysty Turek wdziera się na mur i wbija mu kindżał w pierś aż po rękojeść. Żona zabitego porywa szablę męża i rzuca się na Turka krzycząc:

— Nie dajmy się! Pomoc już blisko!

Słowa te dodają otuchy żołnierzom, którzy rozprawiają się ze wspinającym się na mur wrogiem wśród potoku niepowtarzalnych przekleństw.

Morderca młynarza z Maklar siecze wokół jak szalony. Dobo, który nie spuszczał go z oka, błyskawicznie rzuca się na niego i przywala własnym ciałem. Barczysty Turek nie daje za wygraną. Szarpie się i rzuca pod kapitanem jak olbrzymia ryba w sieci. Nagle odwraca twarz do góry i to staje się jego zgubą: palce Dobo żelaznym uchwytem obejmują odsłoniętą szyję olbrzymia...

Dobo podnosi się właśnie, gdy rzucona z góry z impetem dzida trafia w jego nagolennik, by przebiwszy skórzany rzemień utkwic w łydce.

Z piersi kapitana dobywa się ryk ugodzonego lwa. Osuwa się na kolano i chwyta za nogę. Twarz jego wykrzywia ból.

— Panie kapitanie — skoczył co tchu giermek Krzysztof. — Stało się panu coś?

Dobo nie odpowiedział, wyrwał z nogi dzidę i odrzucił na bok. Z zaciśniętymi pięściami, zagryzając wargi czekał, aż minie pierwszy

ból. Poruszył nogą, czy nie jest złamana. Nie! Chwycił szablę i jak rozwścieczony tygrys rzucił się do wyłomu. Biada temu, kto mu teraz wejdzie w drogę!

Walka przechodzi w krwawe zmagania wręcz: zębami, pazurami... wróg zwiera się z wrogiem.

\*\*

Zaledwie o dziesięć sążni dalej, przy innej wyrwie gęstnieją szeregi napastników.

Belki trzeszczą pod naporem setek, tysięcy ciał. Turcy prą naprzód rycząc triumfalnie, popychając się nawzajem. Za regularnymi oddziałami ciągnie motłoch napadający na rannych i kobiety pod rusztowaniami przy ogniskach.

Jeden z nich opancerzoną nogą kopnął kilka płonących szczap, które potoczywszy się zatrzymały się tuż przy słupie rusztowania. Po chwili ogniste języki jęły oblizywać suche drewno.

Rozsierdzone niewiasty podejmują walkę na śmierć i życie. Gasparowa Kocsis, kobieta potężna, celnie chlusnęła wrzącą wodą prosto w obrośniętą długą brodą twarz agi. Gdy ten z bolesnym rykiem chwycił się za oparzeliznę, wspaniały zarost został mu w garści. Druga kobieta porywa z sąsiedniego ogniska płonącą szczapę i ciska z taką siłą w twarz Turka, że iskry się sypią jak gwiazdy. Pozostałe kobiety z bronią w ręku stawiają opór poganom.

— W łeb go! Wyrznij go w zęby! — porykuje kowal z Felnemet. Z cetnarowym młotem w ręku przychodzi na pomoc grupie kobiet walczących dzielnie z trzema Turkami. Jednego z nich z taką siłą gruchnął młotem, że mózg trysnął z głowy jak fontanna. Drugi z Turków ugodzony potężnym ciosem upadł na kolano, ale nie zrezygnował z walki: kindżał błysnął mu w ręku i zatopił się w brzuchu kowala aż po rękojeść.

— Mordo parszywa! Razem pójdziemy do raj! — ryknął kowal.

Jeszcze raz zamachnął się ogromnym młotem i trzymając się za brzuch, czekał, aż tamten ze zgniecionym na placek szyszakiem upadnie martwy. Dopiero wówczas i on runął na ziemię.

Przez ten czas prawie wszystkie kobiety dorwały się do jakiejś broni i z wrzaskiem a piskiem biły się z Turkami. Zsunięte w tył chusty, zmierzwiłone włosy, fruujące spódnice. Ręce niewprawne do szabli nie odparowują ciosów. Gradem padają na nie cięcia jataganów. Ale i Turkom dostaje się niemało.

— Niech żyją nasze kobiety! — grzmi głos Petógo za ich plecami. Wtem Peto dostrzega ognisty język trawiący rusztowanie, porywa wiadro, by chlusnąć wodą na słup.

Porucznik Peto sprowadził do pomocy wypoczęty oddział. Sam też wymachuje szablą, rzuca się na akindziego wspinającego się ze zwinnością kota. Kładzie go potężnym cięciem.

Żołnierzom jego szybko udaje się odeprzeć wroga. Nawet ci, którzy zdołali się już wdrzeć do wylomu, czmychnęli.

Dobo ukląkł na murze i dysząc patrzy w dół. Krew mu spływa po brodzie i szabli.

Rozwścieczeni egerczanie coraz częściej wypadają przez wyrwy i tratując po ciałach zabitych biją się z Turkami pod basztą.

— Wrócić! — krzyczy Dobo co sił w płucach. — Wrócić!

Ale tu, w tym zgiełku bojowym, nie słyhać nawet własnych słów.

Laszlo Tóth, szeregowy, spostrzegł bega z czerwonym aksamitnym sztandarem i zaatakował go bez namysłu. Z króciicy palnął mu w pierś. Jedną ręką porwał sztandar, drugą walnął w oczy innego Turka i w kilku susach wrócił z łupem za mur, rycząc tryumfalnie. Lecz w tym samym czasie janczarzy roznieśli na szablach pięciu innych żołnierzy...

Dobo widział, jak beg Veli runął z konia, a zuchwały żołnierz porwał zwycięski sztandar paszy Alego. Ruchem dłoni wskazał zagrożony punkt i w biegu zaciskając krwawe strzępy rękawa na lewym ramieniu, pędzi w dół do wylomu.

Zastał tam już Petógo, właśnie gdy podkładał płonąca szczapa pod móżdziej w wylomie.

Ten strzał odrzucił chmurę janczarów, usiłujących odbić swój sztandar.

— Nabijać! — zawołał Dobo do ogniomistrza Fayricha. — Czterech was ma tu zostać. Kamienie! Belkę! Szybko!

Krwawa burza ze świeżą siłą rozszalała się na basztach.

20

Ewa została sam na sam ze zmarłym. Zamyślona utkwiała w nim. wzrok. Nagle drgnęła... Była wzrostu chłopaka... Przebrała się w jego strój: włożyła szyszak, pancerz, naramienniki. Szabla była za krótka; weszła do pokoju kapitana i zdjęła ze ściany włoski floret. Rzemienie okręciła wokół przegubu ręki.

Pozostawiwszy pochwę w pokoju, wypadła z gołym floretem, biegiem ruszyła przed siebie, nie wiedząc dokąd. Słyszała, że mąż jej razem z Zoltaym broni zewnętrznej twierdzy. Ale którądy tam się idzie?

Słońce właśnie zachodziło. Przez ciemne obłoki dymu czerwona tarcza słoneczna przebłyskiwała niby zawieszony w powietrzu rozżarzony pocisk armatni.

Ewa pamiętała, iż według szkicu zewnętrzna twierdza rozciąga się na kształt sierpa po wschodniej stronie „żółwia”.

Słońce zachodziło z prawej strony, a więc trzeba iść na lewo.

Szczęk broni. Dziesięciu okopconych żołnierzy ze wzniesionymi lancami biegnie z twierdzy ku baszcie więziennej. Na przedzie dziesiątnik. Potem jakiś słaniający się na nogach żołnierz. Twarz zalana krwią. Chciał się pewnie dowlec do golibrodów, ale po kilku niepewnych krokach zatoczył się i rozciągnął na ziemi, obok dwóch zabitych już lub nieprzytomnych. Ewa poznała jednego z nich: był to starszy syn wójta z Egeru. Widywała go z okna... W piersi jego tkwiła strzała.

Grupa kobiet zbliżała się od strony piwnic. Na głowach dzieżki, w ręku wielkie uchate dzbany.

One także spieszyły ku wschodowi. Ewa pognąła za nimi. Minąwszy stajnie, znikły w spadzistym tunelu, oświetlonym dwiema latarniami.

To była Ciemna Brama łącząca zewnętrzny sierp twierdzy z górnym murem.

Coraz gęstszy kurz i cuchnący dym. Piekielny zgiełk i wrzask, mieszanina słów węgierskich i tureckich. Wszędzie trupy: na schodach, na rusztowaniach, przeważnie twarzą ku ziemi. Jeden leżący na wznak. Ewa poznaje w nim księdza Balinta. Szyszak spadł mu z głowy. Długa, biała broda przesiąkła krwią. Szablę kurczowo ściska w zastygłej garści.

Ewa zawadziła nogą o porzucony obuszek. Porwała go i co tchu popędziła w górę schodami. Tu bójka wręcz. Żołnierze z zakasanyimi rękawami, z nabiegłymi krwią oczyma, spychają Turków z muru. Kobiety pomagają im, to rzucając płonące szczapy, to zapalone wiechcie na karki Turków.

Dwukrotny huk działa.

Ewa spojrzała. Przy armatach stał jej mąż trzymając w ręku dymiący lont. Spoglądał właśnie w dół, śledząc lot pocisku.

Pięciu czy sześciu Turków czepia się jeszcze parkanu. Za chwilę i ci znikają. Następuje chwila wytchnienia.

— Wody! Wody! — wołają żołnierze.

Uwagę Ewy zwraca starzec w hełmie, który tuż obok niej także woła o wodę, stojąc na sterczącym z wyłomu kamieniu. Krew pomieszana z potem spływa mu po twarzy. Oczy ledwie widać.

Ojciec!

Wyrywa kwaterkę z rąk jednej z kobiet i podaje ją ojcu.

Stary chciwie podniósł naczynie do ust. To nie woda, to stare czerwone wino egerskie. Pije dużymi haustami, nie zważając, że wino ścieka mu po wąsach, a gdy wreszcie odrywa kwaterkę od ust, wzdycha z zadowolenia.

Ewa dopiero teraz spostrzega, że prawa dłoń ojca pali się płomieniem. Jest aż do przegubu z drzewa. Musiała zająć się od słomy przesyconej smołą. A stary nawet tego nie zauważył.

Ewa odrzuca kwaterkę i obuszek, chwytając ramię ojca. Sprawnie odpina kłamrę, ciska palącą się rękę w dół, między Turków.

Stary Cecey, nie przejmując się zbytnio całą tą historią, chwytając szablę i wychyliwszy się, lewą ręką wymierza potężny cios w wiklinową, zdobną półksiężycami tarczę, za którą kryje się wróg.

Ewa pędzi do męża. Przeskakuje zabitych. Płonące wiechcie migają jej przed oczami. Kule świszczą i rozpryskują się to przed nią, to za nią. Żołnierze piją wino. Nawet woda ze studni byłaby dla nich nektarem. A co dopiero wino! Życiodajne, mocne czerwone wino.

Nad wrzaskiem kłębiących się u dołu Turków góruje porykiwanie Zoltayego.

— No, psy parszywe! Co tak marudzicie? Zanieście ode mnie serdeczne pozdrowienia Mohamedowi w raju! W chwilę później dorzuca:

— No to dobranoc!

Turek, do którego to słowo było skierowane, zapewne już nie zdążył mu się odkłonić.

— Ileri! Ileri! — grzmi nieprzerwany ryk. — Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Nowe tłumy, nowe drabiny, nowy las tarcz roi się na pagórkach zmarłych.

— Allah! Allah!



Ewa dopada Gergelya w chwili, gdy ten zapaliwszy beczułkę z prochem zrzuci ją w dół.

Gergely ciska hełm o ziemię. Z rąk stojącej obok niego kobiety wyrywa kubek i przykłada do splekanych warg. Odrzuciwszy w tył głowę pije chciwie, z zamkniętymi oczyma.

Ewa pochyla się, aby podnieść szyszak, ale w tej chwili gryzący dym smolny bucha jej w twarz. Gdy wreszcie otwiera załzawione oczy, Gergelya nie ma. Ewa rozgląda się w prawo i w lewo: nagle widzi, że żołnierze przy kucają.

W dole o dziesięć zaledwie sążni od muru rozbrzmiewa salwa tufekczich. Jedna z kul z takim impetem uderza w szyszak Ewy, że stal pęka. Ewa zatacza się, czas jakiś stoi odurzona.

Na dole dalej huczy piekielna muzyka bojowa: warkot bębnow, ryk trąb, surm i krzywuli.

Długoszyi jasauł drze się co sił w płucach.

— Ja ajjuha!

Na miejsce janczarów zegnano teraz asabów w skórzanych czapach i akindżich.

Derwisz, cały w bieli, ale w szyszaku na głowie zamiast czapki z sierści wielbłądziej porywa chorągiew i z okrzykiem — Ileri! Ileri! — rusza do ataku pod ochroną dziesięciu starszych janczarów.

Do derwiszów zazwyczaj się nie strzela, ale tego w szyszaku, wywijającego jataganem, biorą pod ostrzał. Ewa także zwraca uwagę na uzbrojonego derwisza.

Wiatr przepędza dym i powiewa buńczukiem, który derwisz trzyma w ręku. Serce Ewy zamiera na chwilę! Derwisz ma jedno oko przewiązane chustą.

— Jumurdżak! — woła niczym rozsierzona tygryska.

Obuszek Ewy jak żółta błyskawica spada z muru. Chybia jednak derwisza i przeleciawszy nad jego głową, godzi w pierś jakiegoś janczara. Derwisz usłyszał krzyk i spogląda w górę. Wtem wystrzał armatni z twierdzy pada w tłum Turków: derwisz znika za zasłoną ognia i dymu. Gdy dym się wreszcie rozprasza — ani śladu derwisza. Mury oblegają nowe zastępy.

Już nie tylko po drabinach się wspinają. Jeden z janczarów, w białej czapce, rusza w górę, wykorzystując każdą szczelinę, każdy wystający kamień. Dla janczara nie ma przeszkód. Przysposobieni do tego rodzaju walk wspinają się z ręcznie z kamienia na kamień, a między

belkami wcale łatwo jest posuwać się w górę. Za pierwszym janczarem postępuje drugi, trzeci, dziesiąty i setny. Oblepiają mur na całej długości jak muchy w dzień słoneczny.

Oczy im błyszczą, dyszą ciężko. Niektórzy mają z sobą drabiny plecione z powrozów. Gdy je zaczepią o upatrzony kamień, żołnierze z dołu wspinają się po nich.

Gergely z odkrytą głową pędzi z baszty do wyłomu. W ręku lanca. Twarz czarna od prochu. Dopada Sukana, zbroczonego krwią, lecz walczącego dzielnie kopią.

— Sukan! — krzyczy staremu w ucho ochrypłym głosem — czy mamy jeszcze smołę w piwnicy?

— Nie! — odpowiada Sukan. — Została tylko beczka żywicy.

— Każ ją przynieść do działła Perenyi. Tylko szybko! Przy starym walczy żak Imre, „kamasznik”. Rzuca kopię i już biegnie jak strzała.

— Junacy! — woła Gergely. — Nie dajmy się!

Z drugiej strony muru niby echem odpowiada głos Zoltayego:

— Pozbędziemy się ich na zawsze, byle teraz dać im w skórę.

— Ognia! Ognia! — słychać zewsząd wołanie.

Kobiety w kotłach zawieszonych na kijach noszą gorący ołów, olej i wrzącą wodę.

Ferencowa Vas z wielką łopatą żaru w ręce biegnie na mur. Przechyla łopatę, żar sypie się na głowy Turków, lecz w następnej chwili łopata wypada jej z rąk: odłamek kamienia trafił ją w skroń. Zatacza się, uderza o słup i osuwa na ziemię.

Inna, osmalona, rozłożysta kobieta schyla się nad nią. Widzi, że kona. Porywa kamień leżący obok Ferencowej Vas i biegnie ku murowi. Kula godzi ją w pierś. Pada.

— Mamo! — wrywa się krzyk z ust dziewczyny w czerwonej spódnicy.

Nie płacze. Porywa kamień, który matka wypuściła z rąk i z rozmachem rzuca w dół.

Kamień rozbija głowy dwóm Turkom. I dopiero wówczas dziewczyna dopada matki, bierze ją w objęcia i szlochając dźwiga po schodach w dół.

Przez kłęby dymu widać zbliżające się pawęże z żółwiej skorupy. To akindzowie. Twarzy ich nie można dostrzec, idą zwartą grupą.

— Uwaga, junacy! — grzmi ostrzegawczy głos Gergelya.

— Wody! Ognia! — krzyczy Zoltay. — Tam! Tam! włączą po drabinach!

Z aproszy unosi się baldachim obity blachą. Czterech piadów pędzi z nim pod mur. Turcy na drabinach porywają go i wznoszą nad głowy. A już zbliża się drugi baldachim, jeszcze jeden, coraz więcej baldachimów. Wyrastają jak grzyby po deszczu.

— Gorącej wody! — woła Gergely przez ramię. — Dużo, jak najwięcej.

Ewa dopada go, wciska mu na głowę szyszak.

— Dziękuję ci, Balazsu! Masz coś od kapitana? Ewa nie odpowiada, sfruwa w dół po wodę.

— Wody! Gorącej wody, kobiety! Tylko szybko! Prędzej! — grzmi głos Gergelya.

Przez ten czas poszczególne baldachimy złączyły się. Pod nimi lekko odziani, półnaczy wspinacze, ociekający potem, zdobywają mur cal po calu. Jedyna ich broń to ostry jatagan przypasany do przegubu ręki. Złączone baldachimy tworzą szeroki blaszany dach. Kilku agów pod jego osłoną kieruje akcją. Beg Derwisz przesadza rów, trzymając w ręku buńczuk z półksiężycem.

Ewa wróciła, aby być blisko Gergelya, lecz w gęstym dymie nic nie widzi, tylko metalowy połysk szabel na tle ognistych języków.

— Allah! Allah!

Bum, bum, bum! — odpowiadają armaty z twierdzy.

Gęsty dym, jakby dotknięty różdżką czarodziejską, unosi się tworząc kłębiaste obłoki wysoko ponad głowami obrońców. Za krawędzią muru jeżą się krzywe szable tureckie.

— Wody! Wody! — krzyczy Gergely.

Blaszany dach wznosi się wolno i miarowo. Z góry sypią się cetnarowe kamienie. Dachy się rozstępują, połykają głazy i znów się zwierają.

— Gorącej wody! — powtarza Zoltay.

Gergely, spostrzegłszy Zoltayego, przeskakując po dwa stopnie zbiega w dół, do armaty. Obok stoi już beczka z żywicą. Gergely wydaje rozkaz:

— Nabić armaty żywicą! U samego wylotu lufy. Pchać, ile się tylko da! Żywicę rozbić na miazgę! Lekko zakorkować! Wrzątek chlusnął z muru. Gdzie kamień nie dosięgnął, dosięgła gorąca woda. Baldachimy

zachybotały się i rozstały. Turcy z wyciem uciekają spod nich jak opętani.

Lecz janczarzy uparcie jak szarańcza czepiają się muru. Gergely daje ognia z moździerza. Mimo to zostaje ich jeszcze sporo.

Rzuca się więc ku nim z obuchem.

— Gergely! — rozbrzmiewa wołanie Petógo.

— Jestem! — odkrzykuje Gergely zachrypnięty.

— Mam tu pięćdziesięciu ludzi. Wystarczy?

— Daj, ilu masz... Każ rozpalić ognie i nosić wodę na mur. Po salwie tufekczich i wystrzale moździerzy dym zasłania na chwilę mury. Chwilę tę wykorzystują wspinacze i drabiny znowu oblepiają mur.

Gergely w te pędy wraca do dział.

— Nabite? — pyta.

— Tak! — odpowiada stary Gaspar Kocsis.

— Ognia!

Błysk łuczywa i huk z lufy wystrzela w dół dwudziestosążniowy ognisty słup żywicy.

Turcy, choćby dotknięci tylko podmuchem wystrzału, zeskakują z muru.

Z baszty widać, jak uciekają ku aproszom. A uciekają wszyscy: na nic wrzaski jasaulów, ryki agów. Nawet harapy nie są w stanie zatrzymać ogarniętej zwierzęcym strachem, broczącej krwią hordy.

Starszyzna siecze szablami, by opanować panikę.

— W imię Allacha, za mną! — wyje nieludzkim głosem beg Derwisz.

W pogan wstępuje nowy duch. Z wściekłą pasją raz jeszcze porywają drabiny obłącznicze i na oślepie rzucają się przez ogień węgierski na mur.

Derwisz ich prowadzi. Jego biały habit powiewa na przedzie.

W zębach kosztowny buńczuk, bez tarczy wspina się szybko po szczeblach.

Na sąsiedniej drabinie przewodzi jakiś aga olbrzymiego wzrostu i tuszy. Ogromny jego turban przypomina gniazdo bocianie. Szabla — topór katowski.

U boku Gergelya mały giermek z furią bombarduje kamieniami z muru.

— Balazs! — ryknął Gergely spostrzegłszy go — uciekaj stąd!

Ewa nie odpowiada. Nastawia swój floret. W kilku susach znajduje się przy drabinie, po której wspina się Derwisz.

Gergely spogląda w dół.

— Hajwan! — krzyczy na dyszącego olbrzyma, wyłaniającego się zza muru. — Ty bydlaku! Bawole jeden! — przechodzi na język turecki. — Czy jeszcze wierzysz, że broń się ciebie nie ima?

Źrenice Turka zwięzają się. Gapi się na Gergelya osłupiały.

Gergely wykorzystuje ten moment. Jego dzida przebija pierś wroga.

Turek jedną ręką chwyta za pierś, drugą wymierza Gergelyowi straszliwy cios. Lecz szabla olbrzyma tylko powietrze przeszywa świstem, cielsko jego na wznak spada na baldachim.

Lecz w tejże chwili zza muru wyłania się głowa Derwisza, a jego lanca mierzy w Ewę. Ewa uchyla głowę i zadaje Derwiszowi cios, godząc go w lewą rękę, czepiającą się jeszcze drabiny. Daremnie: spod przeciętego rękawa wyziera błyszcząca kolczuga. Derwisz jednym susem znajduje się na murze. Chwyta szablę zwisającą z przegubu prawej ręki i zionąc nienawiścią szykuje się do skoku.

Ewa cofa się o dwa kroki. Floret trzyma pewną ręką, skierowany prosto przed siebie. Z rozszerzonymi oczyma czeka na atak wroga. Lecz Turek nie po to zęby zjadł na wojnach, aby się lekkomyślnie nadziać na ostrze floretu. To nie to, co szabla! Hamuje swój rozmach: zamierza się szablą, aby odbić floret i kolejnym ciosem wyprawić małego giermka w krainę cieniów.

Ale Ewa zna ten chwyt. Młynkując wymija klingę Turka, a gdy ten zamierza się do następnego ciosu, floret błyskawicznie wbija mu się w pierś.

Kolczuga ratuje Turkowi życie. Stalowe oczka co prawda zachręściły, lecz szabla Derwisza z rozmachem spada na głowę Ewy. Ewa ma wrażenie, że głowa jej się rozszczepiła. Oczy zachodzą ciemną mgłą. Traci grunt pod stopami: osuwa się obok działa.

21

Gdy Ewa odzyskała przytomność, wokół niej panował spokój. Nie wiedziała, gdzie jest. Zaczęła szukać w pamięci. Leżała w rozwalonym budynku... belki... między belkami przeświecało bezchmurne księżycowe niebo i mrugały gwiazdy. Coś uciskało ją pod żebrem... A pod głową jakoś mokro...

Sięgnęła pod plecy. Zdrętwiałe palce dotknęły kamienia, a obok — żelaznej kuli wielkości jabłka.

Już przypomniała sobie wszystko.

Cisza oznacza koniec walki. Ale w czyich rękach znajduje się twierdza? Tureckich czy węgierskich? Na rusztowaniach słychać miarowe stapanie straży: raz, dwa, trzy, cztery.

Ewa usiłuje wstać, ale głowa, ciężka jak z ołowiu, opada! Znajduje się w pobliżu baszty... wydaje jej się, że obok niej leży kobieta twarzą zwrócona do ziemi i żołnierz w niebieskiej bluzie, bez głowy.

Boże miłosierny! Jeśli Turcy zajęli...

Poprzez belki czerwienieje blask latarni. Zbliża się odgłos kroków...

Słychać ochryply głos męski:

— Teraz zabierzemy giermka czy kobietę? Dzięki Ci, Boże! Mówią po węgiersku...

— Oboje — odpowiada drugi głos.

— A może giermka...

— Dobrze. Niech będzie giermek. Pan kapitan jeszcze nie śpi. Podchodzą do Ewy.

— Do pałacu czy tam gdzie reszta?

— Tam gdzie wszyscy. Po śmierci już nie ma różnicy. Nieboszczyk, to nieboszczyk.

Jeden chwytą za nogi, drugi za ramiona i kładą ją na noszach. Ewa się odzywa:

— Ludzie!...

— Patrzcie no! To panicz żyje? No to dziękować Bogu. Idziemy do pałacu.

— Ludzie, czy on żyje?... — pyta Ewa ledwo dosłyszalnie.

— Czy żyje? Jeszcze jak. Golibrody właśnie opatrują nogę pana kapitana.

— Pytam o porucznika Gergely!

— Żaka Gergelya?

Łokciem trąca drugiego:

— Chodźmy! Majaczy... — plują w garść i chwytają za nosze.

— Ludzie! — Ewa niemal krzyczy. — Mówcie mi wreszcie, czy Bomemissza żyje?

Na to stanowcze pytanie obaj odpowiadają jednogłośnie:

— No chyba, że żyje!

— Ranny?

— Ręce i nogi ma trochę poharatane.

— Zanieście mnie do niego.

Jeden z wieśniaków drapie się w głowę.

— Do niego?

— Hej, bohaterze — woła drugi do strażnika — gdzie jest porucznik Gergely?

— Czego chcecie? — odpowiada z góry głos samego Gergelya.

— Młody pan Balazs chce wielmożnemu panu coś powiedzieć.

Stukot powolnych kroków. Gergely schodzi po schodach utykając. W rękę ma latarnię ze świeczką w środku. U stóp schodów zatrzymuje się i mówi do kogoś:

— Niemożliwe. Tylu jest zabitych, że nie uprzątniecie ich nawet w ciągu dwóch dni.

— To prawda. I cztery dni będzie za mało.

Latarnia się zbliża.

— Zdejmijcie mi szyszak — mówi Ewa.

Wieśniak sięga do klamry pod brodę. W tejże chwili nadchodzi Gergely.

— Biedny Balazsu! Wszystko będzie dobrze. Najważniejsze, że żyjesz.

Wieśniak odpina i ściąga szyszak. Ostry, piekący ból przeszywa głowę Ewy.

— On! — wrywa się z jej piersi bolesny okrzyk.

Szyszak przylgnał do przesiąkniętych krwią włosów.

Gergely odstawia latarnię, pochyla się nad leżącą. Twarz jego jest jeszcze okopcona. Wąsy, broda, rzęsy opalone. Prawa ręka w grubym opatrunku.

Ale i jej twarz jest nie do poznania pod grubą warstwą skrzepłej krwi i sadzy. Tylko gałki oczu bieleją z umorusanej twarzy. Przez serce Gergelya przebiega ciepły prąd, podobnie jak wtedy, gdy przechodząc przed pałacem zobaczył w oknie tę samą parę oczu.

Wzrok ich się spotyka.

— Gergely! — szepce Ewa bliska omdlenia.

— Ewa! Kochana! Skąd się tu wzięłaś?

W jednej chwili w mózgu Gergelya wszystko się skojarzyło: przedziwna postawa rzekomego giermka, porwanie syna... Zrozumiał gorzką prawdę. Łzy popłynęły z oczu po uczernionej prochem twarzy.

22

Po ostatnim straszliwym ataku przez trzy dni zbierano poległych. Derwisze i asabowie, zrzuciwszy zbroje, sami sprząтали swoich zabitych.

Pod murami trup przy trupie. W rowach ziemia rozmiękła od krwi; miejscami Turcy musieli podłożyć kłody, by nie brodzie w krwawym błocie. Wokół wały się roztrzaskane tarcze, buńczuki, szable, dzidy, łuki i strzelby. A nad wszystkim unosił się ohydny trupi odór.

Turcy zbierali swych zabitych dniem i nocą. Pod zewnętrzną tylko twierdzą legło ich osiem tysięcy. Trzeciego dnia dopiero zniknęły ostatnie zwłoki, kiedy już strzałami trzeba było płoszyć stada żerujących wron.

Ale i załoga twierdzy poniosła srogie straty w ludziach: W poranek, który zaświtał po ataku, ksiądz Marton nad trzystoma zabitymi musiał odśpiewać „Absolve Domine”.

Trzystu poległych ułożono długim rzędem wokół wspólnego grobu. Pośrodku ksiądz Balint w komży i stule. Naprzeciwko Cecey z uciętą głową, ośmiu poruczników, giermek Balazs z matką, Matyas Szór młynarz z Maklar, Gergely kowal z Felnemet, Gasparics, Ferencowa Vas, kobiety, dziewczyny: milcząca, zmasakrowana gromada, krwawe twarze, tu tylko czyjeś ramię, tam obuta, odcięta od ciała noga.

W pogrzebie wzięli udział pozostali przy życiu oficerowie. Kapitan Dobo stał z odkrytą głową, ze sztandarem twierdzy w ręce.

Gdy ksiądz poświęcił zwłoki, Dobo podjął smutnym, załamującym się głosem:

— Z odkrytą głową stoję przed wami, którzyście polegli w świętej walce. Dusze wasze znajdują się już nad gwiazdami, w wiecznej ojczyźnie: prochy wasze błogosławić będą żyjące i przyszłe pokolenia. Chylę sztandar przed wami, bohaterscy obrońcy twierdzy. Życie oddaliście za naszą ojczyznę. Wszechmogący wynagrodzi wam wasze męstwo. Żegnam was, spoczywajcie w Bogu! Spotkamy się w wiekuistej światłości, przed obliczem naszego króla, świętego Stefana. I wśród nieustającego huku wszystkich dział twierdzy spuszczoneo zabitych do wspólnej mogiły.

Z nieba sypały się białe płatki śniegu.

\*\*

Niedziela szesnastego października. Dobo po południu odpoczywał godzinę. Ocknąwszy się, dosiadł konia i pocwałował do baszty Sandora.

Załoga skończyła już naprawianie szkód, czuwano tylko przy blankach i wyłomach.

Pogoda była chłodna, jesienna.



Turecka artyleria grała bez wytchnienia.

— Skocz no, synu — zwrócił się Dobo do Krzysztofa — zobacz, co się dzieje na baszcie Bolykyego? Ja będę przy starej bramie.

Krzysztof — oko miał przewiązane białą chustką — dosiadł konia. Przy Ciemnej Bramie przywiązał go do słupa i kłusem pobiegł przez tunelik na mur do porucznika Bornemisszy.

Gdy mijał jeden z wyłomów, ugodziła go kula. Runął z muru na kupę gnoju jak podcięte drzewo.

— Panie poruczniku, zabili giermka! — zawołał żołnierz stojący na straży do Zoltayego. Ten skoczył na mur. W piersi chłopca ziała krwawa rana. Żołnierz ukląkł przy nim i zdjął szyszak z głowy nieprzytomnego.

— Pędź do kapitana — rozkazał Zoltay żołnierzowi, tuląc głowę Krzysztofa do piersi. — Zamelduj mu...

Krzysztof jeszcze żył. Twarz miał białą jak wosk. Zamglony wzrok skierował na Zoltayego.

— ...że poległem — dodał szeptem. Westchnął głęboko. Skonał.

Następnego dnia twierdzy nie obudził jak zwykle huk armat.

Namoty bielily się na pagórkach i zboczach, ale Turków nie było widać.

— Musimy się mieć na baczności — ostrzegwał Dobo — aby nas nie zaskoczyli.

I jak zawsze przezornie wydał rozkaz czuwania w podziemiach i przy wszystkich wyłomach.

Na murach już nie było gdzie stanąć. Twierdza przypominała tort orzechowy nadgryziony przez myszy. W niektórych miejscach kamienie osuwały się z łoskotem na samo zbliżenie się do muru.

Niezwykły spokój, panujący w namiotach tureckich, zastanawiał wszystkich. Gdy tak zgadywali przyczynę, ktoś rzucił jakby od niechcienia:

— Uciekli...

Jak ogień szerzy się w suchym listowiu, tak rozeszła się błyskawicznie ta wieść:

— Uciekli. Uciekli... — powtarzano jak echo. I coraz głośniejsze, radośniej:

— Uciekli! Uciekli!

Lecz oficerowie nikomu nie pozwolili wyjść za mury.

W kwadrans po wschodzie słońca straż zameldowała, że jakaś kobieta zbliża się do twierdzy od strony Maklar. Była w czarnej feredży, co wskazywało na to, że jest Turczynką.

Jechała na mule, przed nią na wysokiej kulbace siedziało węgierskie dziecko. Muła wiódł za uzdę piętnastoletni Murzynek.

Nie czekała przed roztrzaskaną bramą. Wjechała przez wyłom. Widać po węgiersku nie umiała, bo wciąż wołała tylko jedno słowo:

— Dobo! Dobo!

Dobo stał nad rozwaloną bramą oczami przeszukując teren od strony Fuzes-Abony. Spostrzegł zbliżającą się Turczynkę i domyślił się, że to pewnie matka małego Selima. Usłyszał, że kobieta wykrzykuje jego nazwisko i zszedł kuśtykając.

Kobieta rzuciła mu się do nóg. Potem podniósłszy głowę, wskazała na małego Węgra:

— Selim! Selim! — błagała ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi.

Malec mógł mieć jakieś sześć lat. W śniadej twarzy mądrze patrzące oczka. W lewej ręczce drewniany konik.

Dobo pogłaskał chłopca.

— Jak się nazywasz, synku?

— Jancsi.

— A jeszcze jak?

— Bojnemissza.

Dobo zalała gorąca fala radości: zwrócony w stronę baszty Sandora, wołał:

— Gergely! Gergely! — A po chwili do jednego z żołnierzy: — pędź do pana porucznika Bornemisszy, niech zaraz przyjdzie.

Ale Gergely już ich dopadł,

— Jancsi! Syneczku! — wołał ze łzami w oczach. Porwał synka w objęcia, ścisnął go, całował, to znów odsuwał od siebie i patrzył na niego, jakby nie chciał wierzyć własnemu szczęściu.

— Chodź, synku, pójdziemy do mamusi.

Turczynką z pazurami rzuciła się na dziecko, jak sęp na jagnię.

— Selim! — krzyknęła z oczami rozszerzonymi trwogą. — Selim!

Gotowa byłaby rozszarpać dziecko, jeśli swojego nie odzyska. Za chwilę Ewa przybiegła z pałacu tak, jak wyskoczyła z łóżka.

Na czole biała chustka, twarz blada, ale promieniejąca szczęściem.

Za rączkę prowadziła Selima, który trzymając w garści kawałek kołacza ledwo dotrzymywał jej kroku.

— Selim!

— Jancsi.

Dwie matki ukłękły przy swoich dzieciach. Tuliły je, ścisnęły. Spojrzenia ich się spotkały: klęcząc podały sobie ręce.

\*\*

Turcy istotnie uciekli.

Varsanyi pojawił się w twierdzy zaraz po Turczyńce. Opowiadał, że paszowie chcieli przypuścić jeszcze jeden atak, ale janczarzy, dowiedziawszy się o tym, porzucili broń, wrzeszcząc:

— Dość tego! Nie będziemy walczyć. Choćbyście nas wszystkich powiesili. Allah jest po stronie Węgrów. A przeciwko Bogu nie chcemy walczyć.

Pasza Ahmed na oczach całej armii wyrywał sobie brodę i w bezsilnej złości złorzeczył paszy Alemu.

— Ty nikczemniku! — rzucił mu w twarz — powiedziałaś, że twierdza Eger to owczarnia, a jej mieszkańcy to potulne barany. Teraz sam donieś sułtanowi o sromotnej klęsce.

Tylko dzięki interwencji begów nie doszło do bójki.

W korpusie oficerskim także były straty. Bega Velego na noszach zabrano z placu boju. Bega Derwisza znaleziono jęczącego w nocy pod murami.

Armia turecka, rozżalona na paszów za dziesiątki tysięcy zabitych i rannych, rozpoczęła odwrót, jeszcze zanim wydano rozkaz. Wojsko obozujące pod Felnemet podpaliło wieś i przy świetle pożogi rzuciło się do ucieczki. Przed brzaskiem ostatnie oddziały opuściły pobojowisko, pozostawiając puste namioty i rynsztunek.

Słowa Varsanyiego wywołały niebiańską radość żołnierzy. Tańczyli, skakali, czapki ciskali o ziemię, podrzucali zdobyte chorągwie tureckie. Wystrzelili na wiwat z armat. Ksiądz Marton uniósł krzyż ku niebu i w szale radości ryczał jakby nie swoim głosem: — Te Deum laudamus!

Rzucił się na kolana, czołem bił o ziemię, całował krzyż. Szłochał.

Wykopano z ziemi dzwon. Belkę, na której wisiał, podparto dwoma słupami. Dzwon się zakołysał. Bim-bam-bim-bam!... dzwonił wesoło i podczas gdy ksiądz Marton klęczał pośrodku rynku i trzymając krzyż śpiewał, załoga i ludność wraz z kapitanem Dobo ukłękła wokół.

Ranni powychodzili z zakamarków i podziemnych pomieszczeń i także ukłękli w szeregach.

Nagle Lukacs Nagy ryknął:

— Za nimi! Psiejuchy!

Oczy zbrojnego tłumu skierowały się na kapitana. Dobo skinął głową na znak zgody.

Ile koni w twierdzy, tylu żołnierzy skoczyło na siodła i wichrem pomknęło w pogoń za Turkami.

Piechota rzuciła się na opustoszałe namioty, zdobywając ogromne ilości prochu, kul i broni. Namioty zaś zwożono całymi tygodniami jeszcze.

Wieczorem konny pościg wrócił z bogatym łupem.

Trzysta ofiar spoczywało już we wspólnym grobie, a dwustu ciężko rannych leżało na sianie i słomie, w niepewności wyzdrowienia czy też kalectwa.

Wszyscy oficerowie byli ranni lub kontuzjowani. Dobo i Bornemissza mieli nogi i ręce w łupkach. Zoltay leżał, posiekane i posiniaczone ciało Mekkseyego przypominało mapę, włosy, brodę i rzęsy miał osmalone, jak większość walczących, z opatulonej głowy Fugedyego tylko oczy i uszy było widać. Jakiś Turek tak go wyróżnął obuszkiem, że wypłuł trzy zęby. Był nawet z tego zadowolony, bo przy okazji pozbył się również bolącego. Jedynie Cygan z oblężenia wyszedł bez szwanku.

Ostatni meldunek Sukana brzmiał jak następuje:

— Wielmożnemu panu kapitanowi melduję posłusznie, że większe pociski w twierdzy są zebrane i porachowane.

— Ile?

— Nie licząc tych kilkuset, co jeszcze tkwią w murach, dwanaście tysięcy bez pięciu...

## EPILOG

Gdyby czytelnika interesowały dalsze dzieje twierdzy, odsyłam go do podręcznika historii Węgier. Ja także z niego czerpałem materiał do krótkich mych notatek.

Gdy przed oblężeniem Dobo zwrócił się do zgromadzenia w Sziksza o pomoc, odprawiono go, czyli w jego zastępstwie Mekkseyego, słowami:

— Jeśli was, panowie, za mało, to zrezygnujcie z obrony! Nawarzyliście piwa, to teraz wypijcie!

W odpowiedzi na to po oblężeniu obydwaj kapitanowie zrzekli się swej godności.

Rozgłos zwycięstwa szybko dotarł na Zachód. Europa się radowała. Papież w Rzymie odprawił „Te Deum”. Króla zasypano zewsząd listami dziękczynnymi. Wiedeńczycy sznurem ciągnęli, by podziwiać zdobyte na Turkach chorągwie, darowane po oblężeniu dworowi. (Aksamitny sztandar paszy Alego prawdopodobnie dziś znajduje się między wojennymi trofeami Habsburgów.)

Król posłał do Egeru Matyasa Sforzia, kapitana, aby nakłonił Dobo i Meczeyego do pozostania. Byli jednak nieustępliwi.

— Spełniliśmy naszą powinność — rzekł Dobo — oby wszyscy ją spełniali! Proszę przekazać jego królewskiej mości wyrazy czci.

Na miejsce Dobo król mianował Gergelya Bornemisszę kapitanem twierdzy Eger.

Gwiazdy Egeru